

Niezwykłe połączenie literackiego horroru z powieścią psychologiczną

JOHN
AJVIDE

LINDQVIST




AMBER

WPUŚĆ MNIE

WPUŚĆ MNIE



Redakcja stylistyczna
Elżbieta Steglińska

Korekta
Jolanta Kucharska
Anna Tenerowicz

Ilustracja na okładce
David Baldeosingh Rotstein

Skład
Wydawnictwo Amber

Druk
Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału
Låt den rätte komma in

Mii, mojej Mii

Warszawa 2008. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

LET THE
RIGHT
ONE WIN



MIEJSCE

BLACKEBERG.

Jednym skojarzy się pewnie z pianką kokosową, oblewana czekoladą, innym z prochami. „Godziwe życie”. Może ze stacją metra, z przedmieściem. I to chyba wszystko. Mieszkają tam ludzie, jak wszędzie. Po to zbudowano tę dzielnicę: żeby ludzie mieli gdzie mieszkać.

Nie jest to miejsce, które powstało w sposób naturalny. Od samego początku podzielono wszystko na kawałki. Ludzie wprowadzali się do tego, co dla nich przygotowano. Do betonowych bloków w kolorach ziemi, rozrzuconych wśród zieleni.

Kiedy rozgrywa się ta historia, Blackeberg istnieje od trzydziestu lat. Można by się tu spodziewać ducha pionierów. Mayflower, ziemia niczyja. Właśnie. Wyobraźcie sobie te niezamieszkałe domy, czekające na swoich lokatorów.

I oto lokatorzy nadchodzą!

Jadą kolejką przez most Traneberg, w oczach mają słońce i wizje na przyszłość. Jest rok 1952. Matki niosą na rękach swoje maleństwa, pchają je przed sobą w wózkach albo trzymają za rączkę. Ojcowie nie dźwigają motyk i szpadli, tylko kuchenne roboty i funkcjonalne meble. Prawdopodobnie coś śpiewają. *Międzynarodówkę*. Być może. Albo *Zdążamy do Jerozolimy*, w zależności od poglądów.

Jest duże. Jest nowe. Jest nowoczesne.

Ale przecież to nie było tak.

Przyjeżdżali metrem. Albo samochodami, wozami meblowymi. Jedni za drugimi. Wsiąkali w gotowe mieszkania, niosąc ze sobą rzeczy. Układali je na półkach, w dokładnie wymierzonych przegródkach, ustawiali meblościanki na korkowej wykładzinie. Kupowali nowe, żeby uzupełnić braki.

Kiedy wszystko było gotowe, podnosili oczy i spoglądali na krainę, która została im dana. Wychodzili ze swoich klatek i odkrywali, że wszystko już podzielono. Musieli się więc do tego dostosować.

Było tu centrum. Były przestronnie zaprojektowane place zabaw dla dzieci. Były rozległe zielone tereny wokół domów. Było wiele wytyczonych ścieżek dla pieszych.

To dobre miejsce. Tak mówiono przy stole kuchennym w jakiś miesiąc po przeprowadzce.

- Przyjechaliśmy w dobre miejsce.

Tylko jednej rzeczy brakowało: historii. W szkole dzieci nie mogły przygotowywać prac o przeszłości Blackebergu, bo przeszłość nie istniała. Chociaż może? Mówiono coś o jakimś młynie. O królu tabaki. Były jakieś dziwne stare budynki nad wodą. Ale to było dawno i bez związku z teraźniejszością.

Tam, gdzie teraz wznosiły się trzypiętrowe budynki, kiedyś rósł las.

Było się tu poza zasięgiem tajemnic przeszłości, brakowało nawet kościoła. Miejscowość z dziesięcioma tysiącami mieszkańców bez kościoła.

To wiele mówi o nowoczesności i racjonalizmie tego miejsca. I o tym, że ludzie byli tu wolni od duchów historii i strachu.

W pewnej mierze pokazuje też, jak bardzo byli nieprzygotowani.

Nikt nie widział, jak się wprowadzili.

Kiedy w grudniu policja trafiła w końcu na ślad kierowcy, który przewoził ich rzeczy, nie miał on wiele do powiedzenia. W notesie na rok 1981 zapisał jedynie: „18 paźdz.: Norrköping - Blackeberg (Sztokholm)". Pamiętał, że wiózł mężczyznę z córką, miłą dziewczynką.

- No i jeszcze jedno. Właściwie nie mieli rzeczy, tylko kanapę, fotel, jakieś łóżko. Pod tym względem to był łatwy kurs. I jeszcze... o właśnie, chcieli, żeby kurs odbył się nocą. Powiedziałem, że to będzie drożej, bo dojdzie dodatek za uciążliwe godziny pracy. Nie szkodzi. Chcieli jechać nocą. Jakby to było najważniejsze. Czy coś się stało?

Kierowca dowiedział się, czego sprawa dotyczyła, kogo wiózł w swoim wozie. Otworzył szeroko oczy, patrzył na zapisek w notesie.

- Cholera...

Wykrzywił usta, jakby poczuł niesmak do własnego pisma.

„18 paźdz.: Norrköping - Blackeberg (Sztokholm)".

To on ich wiózł. Mężczyznę i dziewczynkę.

Ale nie miał zamiaru nikomu o tym opowiadać. Nigdy.

CZĘŚĆ PIERWSZA

SZCZĘŚLIWY,

KTO MA TAKIEGO PRZYJACIELA

Miłosne rozterki to problem wielki, chłopaki!

Siw Malmkvist - *Miłosne rozterki*

Nigdy nie chciałem zabijać, nie jestem z natury zły

To, co robię,

robię ze względu na ciebie

Czy postępują źle?

Morrissey - *The Last of The Famous International Playboys*

ŚRODA

21 PAŹDZIERNIKA 1981

JAK MYŚLICIE, CO TO JEST?

Gunnar Holmberg, komisarz policji z Vallingby, uniósł do góry małą plastikową saszetkę z białym proszkiem.

Pewnie była to heroina, ale nikt nie odważył się odezwać. Nikt nie chciał, żeby zaczęto go podejrzewać, że zna się na takich rzeczach. Szczególnie jeśli brat albo kumpel brata miał z tym do czynienia. Czyli ćpał. Nawet dziewczyny milczały. Policjant potrząsnął saszetką.

- Może proszek do pieczenia, co? Albo mąka?

Pomruk. Niech nie myśli, że 6B to idioci. Nie można było rozstrzygnąć, co jest w saszetce, ale skoro lekcja dotyczy prochów, można wyciągnąć jakieś wnioski. Policjant zwrócił się do nauczycielki:

- Czego ich uczycie na lekcjach gospodarstwa domowego?

Pani się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami. Klasa się śmiała: gliniarz był w porządku. Przed rozpoczęciem lekcji pozwolił nawet chłopakom dotknąć swojego pistoletu. Pistolet nie był co prawda naładowany, ale jednak.

W piersi Oskara wszystko się gotowało. Znał odpowiedź na pytanie i cierpiał, bo znając odpowiedź, nie mógł nic powiedzieć. Chciał, żeby policjant na niego spojrział. Spojrział i potwierdził, że podał poprawną odpowiedź. Wiedział, że robi głupio, ale mimo to podniósł rękę.

- Tak?

- To heroina, prawda?

- Zgadza się - odpowiedział policjant i popatrzył na niego przyjaźnie. - Skąd to wiesz?

Wszystkie twarze odwróciły się w jego kierunku. Ciekawe, co powie.

- No... ja dużo czytam i w ogóle.

Policjant pokiwał głową.

- To dobrze, że czytasz - powiedział i potrząsnął saszetką. - Kiedy się w to wejdzie, nie ma już czasu na czytanie. Ile może być warta, jak myślicie?

Oskar nie musiał już niczego dodawać. Dostał i spojrzenie, i odpowiedź. Nawet powiedział policjantowi, że dużo czyta. To więcej niż mógł się spodziewać.

Rozmarzył się. Wyobraził sobie, jak po lekcji policjant podchodzi do niego, zagaduje, siada obok. Wtedy będzie mógł wszystko mu powiedzieć. A policjant go zrozumie. Pogładzi po włosach i powie, że jest dobrym chłopcem, przytuli i powie...

- Cholerny kablarz.

Jonny Forsberg dźgnął go w bok palcem. Brat Jonny'ego trzymał z ćpunami i Jonny znał mnóstwo słów, które szybko od niego przejmowali inni chłopcy z klasy. On zapewne dobrze wiedział, ile jest warta torebka, ale on nie donosił. Nie gadał z gliniarzami.

Zaczęła się przerwa. Oskar stanął przy wieszaku na ubrania, wahał się. Jonny chciał mu dołożyć. Czy uda mu się wywinąć? Ma zostać na korytarzu czy wyjść na zewnątrz? Jonny, tak jak reszta klasy, wybiegł na szkolny dziedziniec.

Właśnie, policjant miał czekać przy radiowozie. Ci, których to interesowało, mogli podejść i obejrzeć wóz. Jonny nie odważył się zaatakować go przy policjancie.

Oskar podszedł do oszklonych drzwi i wyjrzał. Cała klasa rzeczywiście zebrała się wokół policyjnego wozu. Chciałby tam pójść, ale to nie był dobry pomysł. Ktoś rzuciłby go na kolana, ktoś inny podciągnąłby mu slipki tak wysoko, że zaczęłyby się wrzynać w tyłek, niezależnie od tego czy policjant tam stoi, czy nie.

Ale przynajmniej miał chwilę wytchnienia. Przerwa. Wyszedł na boisko i zakradł się do toalety na tyłach szkoły.

W toalecie zaczął nasłuchiwać. Odchrząknął. Dźwięk odbił się echem między kabinami. Szybko wyciągnął ze slipek siuszkę, kulę z gąbki wielkości mandarynki, wyciętą ze starego materaca, z dziurą w środku, którą zakładał na siusiaka. Powąchał.

A niech to, jednak się złał. Opłukał gąbkę pod kranem, wycisnął z niej tyle wody, ile się dało.

„Inkontynencja”. Tak to się nazywało. Czytał o tym kiedyś w broszurze, którą ukradkiem wziął z apteki. Głównie cierpią na to stare baby.

I on.

„Istnieją środki zaradcze”. Tak było napisane w broszurze, nie zamierzał jednak za własną tygodniówkę stać w aptece i jeszcze się wstydzić. A już na pewno nie miał zamiaru mówić o tym mamie. Tak by mu współczuła, że chyba by się rozchorował.

Miał siuszkę, zdawała egzamin, byle tylko nie było gorzej.

Kroki na zewnątrz, głosy. Z siuszką ściśniętą w dłoni wśliznął się do jednej z kabin i zamknął drzwi dokładnie w chwili, kiedy otworzyły się drzwi zewnętrzne. Bezszelestnie wszedł na klapę sedesu, żeby ten, kto zajrzałby pod drzwi, nie mógł zobaczyć jego stóp. Starł się nie oddychać.

- Prosiaaczku?

To Jonny, oczywiście.

- Prosiaczku, jesteś tu?

I Micke. Dwóch najgorszych. Nie, Tomas był jeszcze gorszy, chociaż wycofywał się, kiedy dochodziło do bicia i szarpaniny. Był na to za mądry. Teraz pewnie stoi na dworze i podlizuje się gliniarzowi. Jeśli odkryją siuszkę, Tomas wykorzysta to, żeby go ranić i poniżać przez długi czas. Jonny i Micke zleją go tylko i na tym się skończy. W pewnym sensie miał więc szczęście...

- Prosiaczku? Wiemy, że tu jesteś.

Chwycili za klamkę. Szarpali. Uderzali w drzwi. Oskar objął rękoma kolana i zagryzł zęby, żeby nie krzyknąć.

Idźcie stąd! Zostawcie mnie w spokoju! Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju?

Teraz Jonny odezwał się swoim łagodnym głosem:

- Prosiaczku maleńki, jeśli zaraz nie wyjdiesz, dopadniemy cię po szkole. Tego chcesz?

Przez chwilę było cicho. Oskar ostrożnie odetchnął.

Walili w drzwi, kopali i uderzali w nie. Dudnienie było słychać w całej toalecie; haczyk w drzwiach zaczął się odginać. Powinien otworzyć, wyjść do nich, zanim zezłoszcza się na dobre, ale nie potrafił.

- Prosiaaczku?

Podniósł rękę, zgłosił się do odpowiedzi, pokazał, że istnieje, że coś wie. To było zabronione. Tego nie wolno było mu robić. Wynajdywali mnóstwo powodów, żeby go dręczyć: był za gruby, za brzydki, zbyt odrażający. Zasadniczy problem polegał jednak na tym, że w ogóle istniał, i każde przypomnienie o tym było przestępstwem.

Prawdopodobnie tylko go „ochrzczą”. Wsadzą mu głowę do kibla i spuszcza wodę. Niezależnie od tego, co mu robili, zawsze czuł ulgę, kiedy było już po wszystkim. Dlaczego więc nie podniesie haczyka, który lada chwila i tak sam odskoczy, i nie pozwoli im się zabawić?

Wpatrywał się w drzwi. Haczyk wygiął się z trzaskiem, drzwi nagle uderzyły o ścianę kabiny. Zobaczył triumfalnie uśmiechniętą twarz Mického Siskova.

On nie podniósł haczyka, a oni nie przeskoczyli ścianki kabiny, bo nie takie były reguły gry.

Oni byli triumfującymi myśliwymi, on przerażoną ofiarą. Kiedy go dopadali, zabawa się kończyła; wymierzenie kary było raczej rodzajem obowiązku, który po prostu należało spełnić. Jeśli poddawał się za wcześniej, istniało ryzyko, że więcej energii włożą w tę karę niż w samo polowanie. To było jeszcze gorsze.

Jonny Forsberg wsunął głowę.

- Podnieś klapę, jeśli chcesz srać, tyle chyba wiesz. I kwicz jak prosię.

Oskar zakwiczał jak prosię. To należało do rytuału. Jeśli kwiczał, czasami odstępowali od bicia. Starł się, jak mógł, bo bał się, że podczas egzekucji siłą otworzą mu dłoń i odkryją jego obrzydliwą tajemnicę.

Zmarszczył nos tak, żeby przypominał świński ryj, kwiczał i wrzeszczał, kwiczał i wrzeszczał. Jonny i Micke śmiali się.

- Do diabła, Prosiaku. Jeszcze.

Oskar kwiczał dalej. Mrużył oczy i kwiczał. Zaciskał pięści tak mocno, że paznokcie wbijały mu się w dłonie, i kwiczał. Kwiczał i krzyczał, aż poczuł w ustach dziwny smak. Wtedy przestał. Otworzył oczy.

Poszli sobie.

Siedział skulony na klapie sedesu i wpatrywał się w podłogę. Czerwona plama na kamiennej płytce. Kiedy jej się przyglądał, kolejna kropla krwi skapnęła mu z nosa na podłogę. Urwał z rolki kawałek papieru toaletowego i przytknął do dziurki.

To mu się czasem zdarzało, kiedy się bał. Wtedy zaczynała mu lecieć krew z nosa, tak po prostu. Kilka razy nawet mu to pomogło. Rezygnowali z bicia, bo już i tak leciała mu krew.

Oskar Eriksson siedział skulony, trzymając w jednej dłoni kawałek papieru toaletowego, w drugiej siuszkę. Krawił, moczył się, za dużo mówił. Z każdej dziury coś mu ciekło. Niedługo zacznie pewnie też robić kupę w majtki. Prosiak.

Wyszedł z toalety. Plama krwi została na podłodze. Niech ktoś ją zobaczy, niech się zdziwi. Może pomyśli, że kogoś zabito, bo naprawdę kogoś zabito. Po raz setny.

Håkan Bengtsson, czterdziestopięcioletni mężczyzna z początkami brzuszka i łysiny i z adresem nieznanym władzom, siedział w wagonie metra i wyglądał przez okno, przyglądając się temu, co miało być jego nowym domem.

Nic ciekawego. W Norrköpingu jest ładniej. Ale musiał przyznać, że zachodnie przedmieścia Sztokholmu nie wyglądały jak te, które widział w telewizji: Kista, Rinkeby czy Hallonbergen. Były inne.

- Następna stacja: Räcksta.

Było tu jakby więcej łagodnych krągłości. I prawdziwy wieżowiec.

Pochylił się, żeby dojrzeć ostatnie piętro kompleksu biurowego Vattenfall. Nie przypominał sobie podobnego budynku w Norrköpingu. Ale też nigdy nie był tam w centrum.

Chyba powinien wsiąść na następnej stacji. Spojrzał na mapę metra nad drzwiami. Tak. Na następnej.

- Uwaga na drzwi. Drzwi się zamykają.

Chyba nikt mu się nie przygląda?

Nie, w wagonie było mało ludzi, wszyscy pochłonięci lekturą popołudniówek. Jutro przeczytają o nim.

Jego wzrok przykuła reklama bielizny. Kobieta w wyzywającej pozie prezentowała czarne koronkowe majtki i biustonosz. To jakiś obłęd. Wszędzie nagle ciąga. Kto na to pozwala? Jak to wpływa na ludzkie głowy, na miłość?

Drżały mu ręce, oparł je o kolana. Był bardzo zdenerwowany.

„Naprawdę nie ma żadnego innego sposobu?”

„Myślisz, że narażałabym cię na to, gdyby był inny sposób?”

„Nie, ale...”

„Nie ma żadnego innego sposobu”.

Żadnego innego sposobu. Trzeba to po prostu zrobić. I nie narzekać. Prze-studiował mapę w książce telefonicznej i wybrał zalesiony teren; uznał, że powinien się nadać. Potem spakował torbę i ruszył w drogę.

Metkę z napisem „Adidas” wyciął nożem, który teraz leżał w torbie stojącej między jego nogami. To jedna z tych rzeczy, które zawałił w Norrköpingu. Ktoś przypomniał sobie znaczek z firmowym logo na torbie i policja znalazła ją w kontenerze, do którego ją wrzucił, niedaleko ich mieszkania.

Dzisiaj zabierze torbę do domu. Może potnie ją potem na małe kawałki i spuści z wodą w toalecie. Tak to się robi?

Jak właściwie się to robi?

- Wszyscy podróżni proszeni są o opuszczenie wagonu.

Metro wypuło swój ładunek i Hakan podążył razem z innymi, z torbą w rękę. Wydawała mu się ciężka, chociaż jedynym przedmiotem, który coś ważył, był pojemnik ciśnieniowy. Starał się iść normalnie, nie jak na stracenie. Ludzie nie powinni go zapamiętać.

Ale nogi miał jak z ołowiu, jak przyspawane do peronu. A gdyby teraz się zatrzymał? Gdyby tu został, zaczekał, aż zapadnie noc, aż ktoś go zauważy i zadzwoni po... kogoś, kto go stąd zabierze. Zabierze do jakiegoś innego miejsca.

Szedł dalej w normalnym tempie. Prawa noga, lewa noga. Nie może zawieść. Jeśli teraz zawiedzie, stanie się coś strasznego. Najstraszniejszego, co można sobie wyobrazić.

Przy bramkach rozejrzał się. Kiepsko orientował się w terenie. Gdzie jest las? Nie może przecież nikogo spytać. Musi się domyślić.

No, miej to już za sobą. Prawa noga, lewa noga.

Musi istnieć jakiś inny sposób.

Ale żaden nie przychodził mu do głowy. Były pewne wymagania, pewne kryteria. To był jedyny sposób, w jaki można było je spełnić.

Zrobił to już dwa razy i za każdym pokpił sprawę. W Vaxjö poszło mu co prawda nie najgorzej, ale na tyle źle, że musieli się wyprowadzić. Dzisiaj zrobi wszystko jak należy, zasłuży na pochwałę.

Na pieśczoły, być może.

Dwa razy. To tak, jakby już został skazany. Jakie znaczenie ma więc ten trzeci raz? Żadnego. Kara, jaką wymierzy mu społeczeństwo, będzie zapewne taka sama. Dożywocie.

A aspekt moralny? Jak długo można się kręcić w kółko, królu Minosie?

Parkowa alejka, którą szedł, skręcała tuż pod lasem. To pewnie ten las, który widział na mapie. Pojemnik ze sprayem i nóż uderzały o siebie. Próbował nieść torbę tak, żeby nią nie potrząsać.

Przed nim alejką szło dziecko. Dziewczynka, może ośmioletnia, wracała ze szkoły do domu. Tornister podskakiwał jej na biodrze.

Nie! Nigdy!

To była ta granica. Nie takie małe dziecko. Prędej sam umrze. Dziewczynka coś śpiewała. Przyspieszył kroku; chciał podejść bliżej, żeby posłuchać piosenki.

„O poranku śliczne słońeczko zagłada
w moje okieneczko...”

Dzieci wciąż to śpiewają? Pewnie jej nauczycielka to jakaś starsza kobieta. Dobrze, że nadal śpiewają tę piosenkę. Miał ochotę podejść bliżej, żeby lepiej słyszeć; tak blisko, by poczuć zapach jej włosów.

Zwolnił. Nie może zawalić sprawy. Dziewczynka skręciła w leśną ścieżkę. Zapewne mieszkała w jednym z domów po drugiej stronie lasu. Że też rodzice pozwalają jej tędy chodzić zupełnie samej. Jest taka mała.

Zatrzymał się, żeby zwiększyć odległość między sobą a dziewczynką, żeby mała znikła w lesie.

Idź dalej, maleńka. Nie zatrzymuj się po drodze i nie baw się w lesie.

Odczekał może minutę, słuchał śpiewu zięby na pobliskim drzewie. Potem ruszył śladem dziewczynki.

Oskar wracał ze szkoły do domu z ciężką głową. Zawsze źle się czuł, ilekroć udało mu się uniknąć kary, naśladować prosię albo inne zwierzę. To było gorsze, niż gdyby został ukarany. Wiedział to, a jednak nie potrafił się przełamać. Już lepiej dać się poniżyć. Żadnej dumy.

Robin Hood i Spiderman mieli dumę. Przyparci do muru przez sir Johna czy Doktora Octopusa pluli niebezpieczeństwu w twarz, nawet jeśli byli bez szans.

Ale co może wiedzieć Spiderman? Zawsze udawało mu się uciec, nawet jeśli to było niemożliwe. Był postacią z komiksu i musiał przeżyć do kolejnego numeru. On miał swoją moc pająka, Oskar swoje kwiczenie. Cokolwiek, byle przeżyć.

Musiał się jakoś pocieszyć. Miał paskudny dzień i teraz musi to sobie wynagrodzić. Ryzykując spotkanie z Jonnym i z Mickem, ruszył do Sabisu, centrum handlowego w Blackebergu. Człapał zygzakowatą ścieżką, zamiast pójść schodami; wziął się w garść. Musi być spokojny, nie może się pocić.

Raz, rok temu, został przyłapano na kradzieży w Konsumie. Ochroniarz chciał zadzwonić do mamy, ale była w pracy, a Oskar oczywiście nie znał numeru telefonu. Przez tydzień cierpiał katusze za każdym razem, kiedy dzwonił telefon; po jakimś czasie przyszedł list, adresowany do mamy.

Idiotyzm. Na kopercie było napisane: „Policja, województwo sztokholmskie”, więc Oskar oczywiście ją otworzył, przeczytał o popełnionym przez siebie przestępstwie, sfalszował podpis mamy i odesłał pismo, potwierdzając, że zostało przeczytane. Może i był tchórzem, ale nie był głupi.

No właśnie. Czy to, co teraz robił, jest tchórzostwem? Wypchał kieszenie batonikami: Dajm, Japp, Coco i Bounty. Na koniec wsunął za pas spodni torebkę żelkowych samochodzików, podszedł do kasy i zapłacił za lizaka Dumle.

Wracał do domu lekkim krokiem i z podniesioną głową. Nie jest Prosiakiem, któremu każdy może dokopać, jest Mistrzem Złodziei, który rzucił wyzwanie niebezpieczeństwu i przeżył. Potrafił ich wszystkich oszukać.

Kiedy wszedł do bramy, prowadzącej na podwórze jego domu, poczuł się bezpieczny. Żaden z jego wrogów tu nie mieszkał. Podwórze w kształcie nieregularnego koła mieściło się wewnątrz większego koła na Ibsengatan. Podwójna twierdza. Tu czuł się bezpieczny. Na tym podwórzu nigdy nie spotkało go nic straszego. Z grubsza biorąc.

Tu dorastał i bawił się z kolegami, zanim poszedł do szkoły. Dopiero w piątej klasie poczuł się naprawdę odrażony. Pod koniec piątej klasy stał się kozłem ofiarnym. Nie tylko wśród szkolnych kolegów. Coraz rzadziej dzwonił z pytaniem, czy wyjdzie się pobawić.

To właśnie wtedy zaczął prowadzić zeszyt z wycinkami. Zeszyt, który wyciągnie zaraz po powrocie do domu i będzie się nim napawał.

- HIIINNN!

Usłyszał świdrujący dźwięk i coś uderzyło go w stopy. Ciemnoczerwony samochód, sterowany falami radiowymi, cofnął się, zawrócił i z ogromną prędkością ruszył pod górkę do jego klatki. Za ciernistymi krzakami po prawej stronie bramy stał Tommy z długą anteną i cicho rechotał.

- Zdziwiłeś się, co?

- Szybko jeździ.

- No. Chcesz go kupić?

- Za ile?

- Za trzysta.

- Nie mam tyle.

Tommy przywołał Oskara skinieniem palca, zawrócił samochód na górce, puścił go w dół z wyścigową prędkością, zatrzymał z poślizgiem tuż przed swoimi stopami, podniósł, poklepał i powiedział cicho:

- W sklepie kosztuje dziewięć stów.

- Aha.

Tommy spojrzął na samochód, a potem zlustrował Oskara od góry do dołu.

- Dwie stowy? To nówka.

- Jest super, ale...

- Ale co?

- Nie.

Tommy pokiwał głową, postawił samochód na ziemi, wjechał nim między krzaki, aż duże, chropowate opony zaczęły podskakiwać, zrobił rundkę wokół trzepaka, wyprowadził samochód na drogę i znów spuścił z górki.

- Mogę spróbować?

Tommy spojrzął na Oskara, jakby chciał się upewnić, czy jest tego go-
dzien, następnie wręczył mu pilota i pokazując na swoją górną wargę, spytał:

- Dołożyli ci? Masz krew. Tutaj.

Oskar przeciągnął palcem po wardze, na której zostało kilka brunatnych
kropli.

- Nie, ja tylko...

Nie, nie powie. To nic nie da. Tommy był o trzy lata starszy. To twarde.
Pewnie uznaliby, że powinien im oddać, a Oskar odpowiedziałby, że jasne,
i jeszcze bardziej pograżyłby się w jego oczach.

Oskar przez chwilę kierował samochodem, potem przyglądał się, jak Tom-
my nim kieruje. Chciałby mieć dwie stowy, żeby mogli ubić interes. Żeby coś
ich połączyło. Wsadził ręce do kieszeni kurtki i wymacał słodycze.

- Chcesz dajma?

- Nie, nie przepadam.

- A jappa?

Tommy spojrzął znad pilota, zaśmiał się.

- Masz oba?

- Tak.

- Podprowadziłeś?

- Tak.

- Okej.

Tommy wyciągnął rękę i Oskar położył mu na dłoni jappa, którego Tommy
wsunął do tylnej kieszeni dżinsów.

- Dzięki. Cześć.

- Cześć.

Oskar wszedł do mieszkania i położył słodycze na łóżku. Zacznie od daj-
ma, potem zje podwójnego coco i zakończy bountym, swoim ulubionym. Po-
tem jeszcze „przepłucze usta” żelkami.

Ułożył słodycze na podłodze wzdłuż łóżka, w kolejności jedzenia. W lo-
dówce znalazł pół butelki coca-coli, której otwór mama zakryła kawałkiem
folii. Idealnie. Lubił, żeby z coli uleciało nieco gazu, szczególnie do popicia
słodyczy.

Zdjął folię, postawił butelkę na podłodze; położył się na brzuchu na łóżku
i zaczął się przyglądać półce z książkami. Miał prawie całą serię *Dreszczow-
ców* i kilka tytułów z późniejszego, skróconego wydania.

Podstawę zbioru stanowiły dwie duże papierowe torby książek, które kupił
za dwieście koron z ogłoszenia na Żółtych Stronach. Pojechał metrem do stacji
Midsommarkransen, a potem szedł zgodnie z planem, aż znalazł podany adres.
Mężczyzna, który mu otworzył, był tłusty, rozlały i mówił lekko świszczą-
cym głosem. Na szczęście nie zaprosił Oskara do środka, tylko wyniósł torby
z książkami na klatkę, skinął głową, przyjął dwie stowy, powiedział: „Życzę
dużo przyjemności” i zamknął za sobą drzwi.

Wtedy Oskar się zaniepokoił. Miesiącami szukał brakujących starszych ty-
tułów w antykwariatach z czasopismami na Gótgatan. W rozmowie telefonicz-
nej mężczyzna twierdził, że je ma, ale wszystko poszło jakoś zbyt łatwo.

Gdy tylko Oskar oddalił się na tyle, że mężczyzna nie mógł go zobaczyć,
postawił torby i przejrzał ich zawartość. Nie, nie został oszukany. Czterdzieści
jeden tomów, od drugiego do czterdziestego szóstego.

Tych książek nie można już nigdzie kupić. Dwieście koron!

Nic dziwnego, że czuł pewien strach przed mężczyzną. Wyłudził od trolla
jego skarb!

Ale te książki i tak nie były w stanie przebić jego zeszytu z wycinkami.

Wyciągnął go z kryjówki, spod stosu pism. Zeszyt, duży szpicownik, ukradł
w domu towarowym Ahlens w Vallingby. Wyszedł z nim pod pachą tak po prostu.
Kto powiedział, że jest tchórzem? Zeszyt jak zeszyt, za to jego zawartość...

Odwinął dajma, ugryzł porządny kawałek i rozkoszując się trzeszczącym
dźwiękiem między zębami, otworzył zeszyt. Pierwszy wycinek pochodził z „Hem-
mets Journal”: historia morderczyni, trucicielki ze Stanów w latach czterdzie-
tych. Zdołała otruć arsenikiem czterestu starców; złapano ją skazano i stracono
na krześle elektrycznym. Prosiła, co dość zrozumiale, żeby podano jej truciznę, ale
w stanie, w którym ją sądono, używano krzesła, więc na krześle się skończyło.

To było jedno z marzeń Oskara: zobaczyć, jak ktoś zostaje stracony na
krześle elektrycznym. Czytał, że krew zaczyna wrzeć, że ciało skręca się pod
wszystkimi możliwymi kątami. Wyobrażał sobie też, jak palą się włosy, cho-
ciaż nie potwierdzały tego żadne źródła.

Mimo wszystko niesamowite.

Dalej przerzucał kartki. Inny wycinek był z „Aftonbladet” i dotyczył
szwedzkiego mordercy, który ćwiartował ofiary. Niewyraźne zdjęcie z pasz-
portu. Wyglądał jak każdy przeciętny człowiek. A jednak zamordował w swo-
jej saunie dwóch prostytuujących się gejów, pociął ich ciała na kawałki piłą
elektryczną i zakopał obok sauny. Oskar zjadł ostatni kawałek dajma i przy-
rzał się z bliska twarzy mężczyzny. To mógł być każdy.

To mógłbym być ja za dwadzieścia lat.

Håkan znalazł dobry punkt obserwacyjny z niezłym widokiem w obu kierun-
kach na leśną ścieżkę. Głębiej w lesie wyszukał mało widoczną nieckę, pośrodku
której rosło drzewo; tam zostawił torbę. Mały pojemnik z halotanem zawiesił na
pętelce, ukrytej pod płaszczem.

Teraz pozostawało mu tylko czekać.

„Też kiedyś dorosnę
i będę mądry jak mama i tata...”

Nie słyszał, żeby ktokolwiek śpiewał tę piosenkę od czasu, kiedy chodził
szkoły. Czy to Alice Tegner ją śpiewała? Pomyśleć, ile ładnych piosenek zni-
kło, nikt ich już nie śpiewa. W ogóle wszystko, co ładne, znika.

Żadnego szacunku dla piękna. To wyróżnia współczesne społeczeństwo. Dzieła wielkich mistrzów mogą co najwyżej zostać użyte jako ironiczne punkty odniesienia albo w reklamie. W *Stworzeniu Adama* Michała Anioła Bóg przekazuje Adamowi iskrę życia, którą w reklamie zastąpiła para dżinsów.

Cały sens obrazu, jak on go rozumiał, zawierał się w dwóch monumentalnych ciałach, wyciągających do siebie ręce, których palce wskazujące niemal się stykają. Jest między nimi milimetr przestrzeni. I w tej próżni jest życie. Monumentalność obrazu i bogactwo szczegółów stanowią jedynie ramę, otoczkę, która jeszcze bardziej ma podkreślić tę minimalną pustkę, ten pusty punkt, który mieści w sobie wszystko.

I właśnie tam wstawiono dżinsy.

Ktoś szedł ścieżką. Schylił się, czując w uszach, jak wali mu serce. Nie. Starszy mężczyzna z psem. Popełniłby podwójny błąd. Po pierwsze pies, którego najpierw musiały uczyć, po drugie kiepska jakość.

Dużo krzyku, mało wełny, jak powiedział chłop, strzygąc świnię.

Spojrzał na zegarek. Za niespełna dwie godziny zrobi się ciemno. Jeśli w ciągu godziny nie zjawi się nikt odpowiedni, musi się zdecydować na pierwszego lepszego. Musi wrócić do domu, zanim się ściemni.

Mężczyzna coś powiedział. Zobaczył go? Nie, rozmawiał z psem.

- Ale ci się chciało, staruszko. Jak wrócimy do domu, dostaniesz kawałek pasztetu. Tatuś ukroi ci gruby plaster.

Håkan oparł głowę na dłoniach i westchnął; poczuł na piersiach pojemnik z halotanem. Biedni ludzie. Biedni, samotni ludzie w świecie bez piękna.

Marzył. Po południu wiatr zrobił się zimny; zastanawiał się, czy nie przynieść peleryny z torby, żeby ochronić się przed wiatrem. Nie. W pelerynie jego ruchy staną się niezdarne, a on musi działać szybko. Poza tym mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

Dwie dziewczyny około dwudziestki przeszły obok. Nie. Z dwiema sobie nie poradzi. Wychwycił fragmenty ich rozmowy.

- ...tym razem powinna je zatrzymać.
- ...co za mała. Rozumie chyba, że...
- ...to jej wina... nie brała pigułek...
- Ale przecież on chyba musi...
- ...wyobrażasz sobie... on ojcem...

Jakaś koleżanka była w ciąży. Chłopak nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. Tak to wyglądało. Zawsze i wszędzie. Wszyscy myślą tylko o sobie. Moje szczęście, moja kariera, tylko to się słyszy. Miłość oznacza, że kładzie się swoje życie innemu człowiekowi u stóp; do tego jednak ludzie dzisiaj nie są zdolni.

Chłód przenikał jego członki, nie pójdzie mu łatwo, cokolwiek postanowi zrobić. Włożył rękę za pazuchę i nacisnął wyzwalacz pojemnika. Rozległ się syk. Działa. Puścił dźwięk.

Żeby się rozgrzać, zaczął machać rękami. Niech wreszcie ktoś przyjdzie. Niech będzie sam. Spojrzał na zegarek. Jeszcze pół godziny. Niech ktoś przyjdzie. Tu chodzi o życie, o miłość.

„W sercu pozostanę dzieckiem,
bo dzieci należą do Królestwa Bożego”.

Zaczął się zmierzchać, kiedy Oskar przejrzał cały zeszyt z wycinkami i zjadł wszystkie słodczyce. Jak zwykle po takiej dawce słodkiego czuł się ociężały i miał niejasne poczucie winy.

Mama miała wrócić dopiero za dwie godziny. Wtedy zjedzą kolację. Potem odrobi ćwiczenia z angielskiego i z matematyki. Potem być może poczyta jakąś książkę albo obejrzy coś w telewizji razem z mamą. Dzisiaj nie ma nic szczególnego. Potem wypiją czekoladę i zjedzą bułeczki, i porozmawiają chwilę. Potem położy się spać. Trudno będzie mu zasnąć, denerwował się przed jutrzejszym dniem.

Gdyby tylko mógł do kogoś zadzwonić. Właściwie może zadzwonić do Johana, jeśli Johan nie jest zajęty.

Johan chodził z nim do klasy i na ogół dobrze się dogadywali, ale jeśli Johan mógł wybierać, to Oskar nie miał u niego szans. To Johan dzwonił do Oskara, kiedy się nudził, nigdy odwrotnie.

W mieszkaniu było cicho. Nic się nie działo. Betonowe ściany zamykały się wokół niego. Siedział na łóżku z rękami na kolanach, słodczyce ciążyły mu w żołądku.

Miał wrażenie, że coś się wydarzy. Teraz.

Wstrzymał oddech, nasłuchiwał. Czuł, jak oblepia go strach. Coś się zbliżało. Bezbarwny gaz sączył się ze ścian, groził przybraniem konkretnego kształtu, połknięciem go. Oskar siedział sztywny, wstrzymywał oddech i nasłuchiwał. Czekał.

Chwila paniki minęła. Znow zaczął oddychać.

Poszedł do kuchni, wypił szklankę wody i zdjął z magnetycznej listwy największy z kuchennych noży. Wypróbował ostrze na paznokciu kciuka, jak uczył go ojciec. Tępy. Przejechał nożem kilka razy przez ostrzałkę i sprawdził ponownie. Odciął mikroskopijny kawałek paznokcia.

Dobrze.

Owinął nóż w popołudniową gazetę; zrobił z niej prowizoryczną pochwę, zakleił taśmą i wcisnął pakunek za pas po lewej stronie. Wystawała tylko rękojeść. Niewygodnie, ale trudno.

W przedpokoju włożył kurtkę. Wtedy przypomniał sobie o papierkach po słodczykach, rozrzuconych na podłodze w jego pokoju. Pozbierał je i wcisnął do kieszeni kurtki, na wypadek gdyby mama wróciła do domu przed nim. Położył je pod jakimś kamieniem w lesie.

Sprawdził jeszcze raz, czy nie zostawił po sobie śladów.

Zabawa się rozpoczęła. Był budzącym strach masowym mordercą. Swoim ostrym nożem zdążył już zabić czternaście osób, nie zostawiając żadnego śladu. Żadnego włosa, żadnego papierka po słodyczach. Policja się go bała.

Wyrusza do lasu na poszukiwanie kolejnej ofiary.

Dziwne, ale znał już jej imię, wiedział, jak wygląda. To długowłosa Jonny Forsberg, o dużych, złych oczach. Będzie go prosił, błagał o życie, będzie kwiczał jak świnia, ale na próżno. Ostatnie słowo będzie należało do noża i ziemia będzie piła jego krew.

Oskar przeczytał te słowa w jakiejś książce, spodobały mu się.

„Ziemia będzie piła jego krew”.

Zamykając drzwi na klucz i wychodząc z klatki z lewą ręką spoczywającą na rękojeści noża, powtarzał je jak mantrę.

„Ziemia będzie piła jego krew. Ziemia będzie piła jego krew”.

Brama, przez którą dzisiaj wszedł na podwórze, była po prawej, on jednak teraz skręcił w lewo, minął dwie inne bramy i wyszedł podjazdem dla samochodów. Opuścił wewnętrzną fortecę. Przeciął Ibsengatan i zaczął schodzić ze wzgórza. Opuścił zewnętrzną fortecę. Szedł dalej w kierunku lasu.

„Ziemia będzie piła jego krew”.

Po raz drugi tego dnia Oskar poczuł się niemal szczęśliwy.

Zostało zaledwie dziesięć minut do wyznaczonego przez Håkana czasu, kiedy na ścieżce pojawił się samotny chłopiec. Mógł mieć trzynaście, może czternaście lat. Idealny wiek. Håkan postanowił, że pobiegnie na drugi koniec ścieżki i ruszy swojemu wybrańcowi na spotkanie.

Okazało się jednak, że nogi jakby wrosły mu w ziemię. Chłopiec spokojnie szedł ścieżką, czas naglił. Każda mijająca sekunda zmniejszała szansę na bezbłędne wykonanie zadania. Ale nogi wciąż odmawiały posłuszeństwa. Stał jak sparaliżowany i rozglądał się wokół, podczas gdy jego wybrańiec, ten idealny, wkrótce miał się z nim zrównać. Za chwilę będzie za późno.

Musi. Musi. Musi.

Jeśli tego nie zrobi, odbierze sobie życie. Nie może wrócić do domu z niczym. To proste. Albo chłopiec, albo on. Musi wybierać.

Ruszył, ale za późno. Szedł chłopcu naprzeciw przez las, potykał się, zamiast spokojnie i naturalnie spotkać się z nim na ścieżce. Idiota. Błazen. Teraz chłopiec nabierze podejrzeń, będzie się miał na baczości.

- Halo! - zawołał. - Przepraszam!

Chłopiec stanął. Dobrze, że nie uciekł; dzięki chociaż za to. Musi coś powiedzieć, o coś spytać. Podeszedł do chłopca.

- Przepraszam, która godzina?

Chłopiec zerknął wymownie na zegarek Håkana.

- Stał.

Ciało chłopca było spięte, kiedy patrzył na swój zegarek. Håkan wsunął dłoń za pazuchę i czekając na odpowiedź, położył palec na wyzwalaczu pojemnika.

Oskar zszedł ze wzgórza ścieżką obok drukarni i skręcił w leśną dróżkę. Ciężar w żołądku zniknął, zastąpiło go uczucie oszołomienia i napięcia. Wyobraźnia wzięła nad nim górę i stała się rzeczywistością.

Widział świat oczami mordercy, a raczej oczami mordercy, jakiego może sobie wyobrazić trzynastolatek. To był piękny świat. Świat, w którym on sprawował kontrolę, gdzie wszyscy drżeli na myśl o jego czynach.

Szedł ścieżką, szukając Jonny'ego Forsberga.

„Ziemia będzie piła jego krew”.

Zaczynało się ściemniać, drzewa otaczały go niczym niemy tłum, czekały na najmniejszy ruch mordercy, bały się, że upatry sobie któreś z nich. Ale morderca mijał je, bo widział już swoją ofiarę.

Jonny Forsberg stał na wzgórzu jakieś pięćdziesiąt metrów od ścieżki. Ręce trzymał na biodrach, na twarzy miał przyklejony swój drwiący uśmiech. Myślał, że będzie jak zawsze. Że zmusi Oskara, żeby padł na ziemię, zatka mu nos i będzie wciskał igliwie i mech do ust, czy coś w tym rodzaju.

Ale się pomylił. To nie Oskar nadchodził, to nadchodził Morderca. Ręka Mordercy zaciska się z całej siły na rękojeści noża, przygotowuje się.

Morderca spokojnie i godnie podchodzi do Jonny'ego Forsberga, patrzy mu w oczy i mówi:

- Cześć, Jonny.

- Cześć, Prosiaczk. Pozwalają ci wychodzić tak późno?

Morderca wyciąga nóż. I zadaje cios.

- Jakiś kwadrans po piątej.

- Okej, dzięki.

Chłopiec nie odchodził. Po prostu stał i wpatrywał się w Håkana, który próbował zrobić krok do przodu. Chłopiec stał spokojnie, śledził go wzrokiem. Wszystko było nie tak. Jasne, że mały coś przeczuwał. Jakiś gość wyskakuje z lasu, żeby spytać o godzinę, a teraz stoi jak Napoleon z jedną ręką za pazuchą pałta.

- Co pan tam ma?

Chłopiec wskazał na miejsce blisko serca Håkana. Miał w głowie pustkę, nie wiedział, co robić. Wyjął spray i pokazał chłopcu.

- Co to jest, do licha?

- Halotan.

- Po co to panu?

- Żeby... - zaczął Håkan, dotykając palcami powleczonego gumą piankową ustnika i maski.

Zastanawiał się, co odpowiedzieć. Nie potrafił kłamać. To było jego przekleństwem.

- No, to... ma związek z moją pracą.

Chłopiec nieco się rozluźnił. Miał sportową torbę, przypominającą nieco tę, którą Håkan zostawił w niecce. Ręką, w której trzymał pojemnik, wykonał gest w kierunku tej torby.

- Idziesz na trening?

Chłopiec odruchowo spojrzał na torbę, a Håkan skorzystał z okazji. Rzucił się do przodu, wolną ręką odchylił głowę do tyłu, wetknął mu ustnik między wargi i nacisnął wyzwalacz. Rozległ się syk, jakby się obudziła rozjuszona żmija. Chłopiec próbował uwolnić głowę, ale Håkan mocno zakleszczył ją w dłoniach.

Chłopiec rzucił się do tyłu, Håkan za nim. Syk żmii zagłuszył wszystkie inne dźwięki, kiedy upadli na wysypaną wiórami ścieżkę. Håkan ścisnął kurtkowo głowę chłopca, przytrzymując ustnik, kotłowali się.

Po kilku głębszych wdechach chłopiec zaczął się robić bezwładny. Håkan nie puszczał ustnika i rozglądał się.

Żadnych świadków.

Syk wypełnił jego mózg jak paskudna migrena. Håkan zablokował wyzwalacz, uwolnił dłoń i założył chłopcu gumową taśmę mocującą maskę.

Wstał z obolałymi rękami i spojrzał na swoją zdobycz.

Chłopiec leżał z rozrzuconymi ramionami, na piersi miał pojemnik z halo-tanem. Håkan rozejrzał się ponownie, wziął torbę chłopca i położył mu ją na brzuchu. Potem podniósł go i ruszył w kierunku niecki.

Mały był cięższy niż przypuszczał. Dużo mięśni. Bezwładne ciało.

Dyszał z wysiłku, z trudem niósł chłopca przez podmokły teren; syk pojemnika brzmiał w jego uszach jak odgłos zębatego noża. Specjalnie dyszał głośniej, żeby zagłuszyć ten dźwięk.

Ręce mu zdrętwiały, pot spływał po plecach, kiedy w końcu dotarł do niecki. Położył chłopca, potem sam położył się tuż obok, odciał dopływ halotanu i zdjął mu maskę. Zrobiło się cicho. Piers chłopca unosiła się i opadała. Za najwyżej osiem minut powinien się obudzić. Ale się nie obudził.

Håkan leżał obok chłopca i obserwował jego twarz, wodząc po niej palcem wskazującym. Potem przysunął się bliżej, wziął bezwładne ciało w ramiona i przytulił. Pocałował chłopca czule w policzek, wyszeptał mu do ucha: „przepraszam” i wstał.

Czuł, jak łzy napływają mu do oczu, kiedy patrzył na leżące na ziemi bezbronne ciało.

Równoległe światy. Pocieszenie dla myśli.

Gdzieś istniał równoległy świat, w którym nie robił tego, co zaraz będzie musiał zrobić. Świat, w którym odchodził, zostawiał chłopca, żeby się obudził i zastanawiał, co się stało.

Ale w tym świecie nie. W tym świecie podszedł do torby i otworzył ją. Spieszyło mu się. Szybko wciągnął pelerynę i wyjął narzędzia: nóż, sznur, duży lejek i pięciolitrowy plastikowy kanister.

Położył wszystko na ziemi obok chłopca, spojrzął po raz ostatni na młode ciało, wziął sznur i zabrał się do roboty.

Zadawał cios za ciosem, cios za ciosem, cios za ciosem. Po pierwszym Jonny zrozumiał, że tym razem będzie inaczej niż zwykle. Krew tryskała z głębokiej rany na policzku, próbował uciekać, ale Morderca był szybszy. Kilkomą wprawnymi ruchami przeciął mu ścięgna, Jonny osunął się, leżał i wił się na mchu, błagał o litość.

Ale Morderca był nieubłagany. Jonny wrzeszczał jak... prosię, kiedy Morderca rzucił się na niego; a ziemia piła jego krew.

Jeden cios za to, co stało się dzisiaj w toalecie. Drugi za to, że podstępem wciągnąłeś mnie w bójkę. Za te wszystkie okropieństwa, które mi mówiłeś, odetnę ci wargi.

Jonny krwawił ze wszystkich otworów i nie mógł już ani powiedzieć, ani zrobić niczego złego. Od dawna nie żył. Na zakończenie Oskar dźgnął nożem wytrzeszczone gałki oczne - pach, pach! - wstał i przyglądał się swemu dziełu.

Wokół leżały płaty spróchniałego powalonego drzewa, które udawało Jonny'ego. Pień był podziurawiony od ciosów. Kawałki kory poniewierały się u stóp zdrowego drzewa, które udawało Jonny'ego na początku, kiedy jeszcze stał.

Prawa ręka, w której Oskar trzymał nóż, krwawiła. Lekkie zadraśnięcie przy nadgarstku, ostrze musiało się nieco przesunąć, kiedy zadawał ciosy. To nie jest nóż do mokrej roboty. Polizał dłoń, oczyścił ranę językiem. Pił krew Jonny'ego.

Wytrzeł krew z ostrza papierową pochwą schował nóż i ruszył w kierunku domu.

Las, który od lat wydawał mu się groźny, bo skrywał jego wrogów, stał się teraz jego domem i schronieniem. Drzewa z szacunkiem usuwały mu się z drogi, kiedy je mijał. Nie czuł strachu, mimo że ściemniało się na dobre. Żadnego niepokoju przed jutrzejszym dniem, niech przyniesie, co ma przynieść. Dzisiaj w nocy będzie dobrze spał.

Wszedł na podwórze i przysiadł na chwilę na brzegu piaskownicy, żeby ochłonać przed powrotem do domu. Jutro znajdzie lepszy nóż, nóż z gardą czy, jak to się nazywa, taki, który ochroni go przed skaleczeniem. Bo zamierzał to jeszcze powtórzyć.

To była dobra zabawa.

CZWARTEK

22 PAŹDZIERNIKA

MAMA MIAŁA ŁZY W OCZACH, kiedy nad stołem kuchennym sięgnęła po rękę Oskara i mocno ją ścisnęła.

- Absolutnie nie wolno ci chodzić do lasu, słyszysz?

Chłopiec w wieku Oskara został wczoraj zamordowany w Vällingby. Po południu pisały o tym gazety i mama po powrocie do domu nie mogła się uspokoić.

- To mogłeś być... nie chcę nawet o tym myśleć.

- Ale to było w Vällingby.

- Myślisz, że ktoś, kto napada na dziecko, nie potrafi pojechać metrem dwie stacje dalej? Albo się przejść? Przyjść do Blackebergu i zrobić to samo jeszcze raz? Chodzisz do lasu?

- Nie.

- Nie wychodź poza podwórko. Tak długo, dopóki go nie złapią.

- Mam nie chodzić do szkoły?

- Nie, do szkoły musisz chodzić. Ale po szkole masz wracać prosto do domu, a potem nie wolno ci się ruszać poza podwórze aż do mojego powrotu.

- A potem?

Smutek w oczach mamy mieszał się ze złością.

- Chcesz, żeby cię zamordowano? Tak? Chcesz pójść do lasu i dać się zamordować, a ja mam tu siedzieć i się denerwować, kiedy ty będziesz leżał w lesie... bestialsko poćwiartowany przez kogoś, kto...

Łzy znowu napłynęły jej do oczu. Oskar położył dłoń na jej dłoni.

- Nie będę chodził do lasu. Obiecuję.

Mama pogładziła go po policzku.

- Serce moje. Jesteś wszystkim, co mam. Nic nie może ci się stać. Inaczej ja też umrę.

- No. A jak to się odbyło?

- Co?

- No, to morderstwo.

- Nie wiem. Zamordował go jakiś szaleniec z nożem. Chłopiec nie żyje. Życie jego rodziców zostało na zawsze zniszczone.

- W gazetach nic nie piszą?

- Nie miałam siły o tym czytać.

Oskar wziął „Expressen” i zaczął ją przeglądać. Cztery strony były poświęcone morderstwu.

- Nie czytaj tego.

- Dobrze, tylko przejrzę. Mogę?

- Nie czytaj. Nic dobrego nie przyjdzie z tych wszystkich strasznych rzeczy, o których czytasz.

- Chcę tylko sprawdzić, co jest w telewizji.

Oskar wstał, żeby wyjść z gazetą do swojego pokoju. Mama objęła go niezdarnie, przyciskając miękki policzek do jego twarzy.

- Serce moje, chyba rozumiesz, że się niepokoję? Gdyby coś ci się stało...

- Wiem, mam. Wiem. Jestem ostrożny.

Odwzajemnił lekko uścisk, wyswobodził się z jej objęć i poszedł do swojego pokoju, wycierając łzy mamy z policzka.

Niesamowicie.

Jeśli dobrze zrozumiał, chłopak został zamordowany chyba w tym samym czasie, kiedy on bawił się w lesie. Niestety, ofiarą nie był Jonny Forsberg, tylko jakiś nieznaną chłopak z Vällingby.

Po południu w Vällingby panował grobowy nastrój. Widział plakaty, zanim jeszcze tam dotarł. Miał wrażenie, że ludzie mówią ciszej i chodzą wolniej niż zwykle.

W sklepie z artykułami metalowymi ukradł wyjątkowo ładny nóż myśliwski, wart trzy stowy. Miał gotowe wytłumaczenie na wypadek, gdyby został zatrzymany.

- Bardzo przepraszam, ale strasznie się boję mordercy.

W razie potrzeby z pewnością udałoby mu się wycisnąć kilka łez, gdyby okazało się to potrzebne. Puściliby go. Na bank. Ale nikt go nie złapał i nóż leżał teraz w schowku, obok zeszytu z wycinkami.

Musi się zastanowić.

Czy to możliwe, że jego zabawa w jakiś sposób doprowadziła do morderstwa? Nie wierzył w to, ale nie mógł tego wykluczyć. W książkach, które czytał, roiło się od takich rzeczy. Myśl, która gdzieś się pojawiła, mogła doprowadzić do czynu w innym miejscu.

Telekineza, voodoo.

Gdzie, kiedy, a przede wszystkim jak doszło do morderstwa? Jeśli zadano dużo ciosów leżącemu na ziemi ciału, musiałyby na serio się zastanowić, czy jednak nie posiada jakiejś strasznej mocy. Władzy, którą powinien nauczyć się kierować.

A może... drzewo było... pośrednikiem.

Spróchniałe drzewo, któremu zadawał ciosy. Może coś szczególnego sprawiło, że to, czego doświadcza drzewo, przechodzi na innych...

Szczegóły.

Oskar przeczytał wszystkie artykuły dotyczące morderstwa. Na zdjęciu był policjant, który w ich szkole mówił o prochach. Nie mógł się wypowiadać do prasy. Wezwani specjaliści z laboratorium techniki kryminalnej zabezpieczają ślady. Trzeba czekać. Zdjęcie zamordowanego chłopca ze szkolnego albumu.

Oskar nigdy wcześniej go nie widział. Był w typie Jonny'ego albo Mickego. Może w szkole w Vällingby jest jakiś Oskar, który teraz poczuł się wolny.

Chłopak szedł na trening piłki ręcznej w Vällingbyhallen, ale nigdy tam nie dotarł. Trening zaczynał się o wpół do szóstej. Chłopiec wyszedł z domu prawdopodobnie koło piątej. Mniej więcej w tym czasie... Oskarowi zakręciło się w głowie. Wszystko się zgadzało. No i został zamordowany w lesie.

Czy tak? Czy to ja jestem...

Szesnastoletnia dziewczyna znalazła ciało około ósmej wieczorem i zalarmowała policję w Vällingby. Była teraz w „ciężkim szoku” i udzielono jej pomocy lekarskiej. Ani słowa o wyglądzie zwłok. Ale skoro dziewczyna była w „ciężkim szoku”, ciało musiało być nieźle okaleczone. Inaczej napisaliby po prostu w „szoku”.

Co dziewczyna robiła po zmroku w lesie? To chyba nieważne. Zbierała szyszki, cokolwiek. Ale dlaczego nie piszą o tym, jak chłopiec został zamordowany? Zamieścili tylko zdjęcie miejsca zbrodni. Białe-czerwona plastikową taśmę policyjną rozciągnięto wokół jakiejś niecki w lesie, pośrodku której rosło duże drzewo.

Jutro albo pojutrze ukaże się zdjęcie tego samego miejsca, ale już z płonącymi zniczami i karteczkami: „Dlaczego? Brakuje nam Ciebie”. Oskar umiał to na pamięć: miał kilka podobnych przypadków udokumentowanych w swoim zeszyty z wycinkami.

Prawdopodobnie był to tylko zbieg okoliczności. Ale jeśli...

Nasłuchiwał przy drzwiach. Mama zmywała. Położył się na brzuchu na łóżku i wyciągnął nóż myśliwski. Rękojeść była dopasowana do dłoni, nóż ważył na pewno trzy razy więcej niż nóż kuchenny, który wczoraj miał ze sobą.

Podniósł się i stanął na środku pokoju z nożem w ręku. Nóż był ładny i dawał władzę ręce, która go trzymała.

Stukanie talerzy w kuchni. Zamachnął się kilka razy w powietrzu. Morderca. Kiedy nauczy się kontrolować swoją moc, Jonny, Micke czy Tomas nie będą już więcej dręczyć. Chciał się zamachnąć jeszcze raz, ale zrezygnował. Ktoś może go zobaczyć. Na zewnątrz było ciemno, a w pokoju paliło się światło. Rzucił okiem na podwórze, ale dostrzegł tylko swoje lustrzane odbicie w szybie.

Morderca.

Włożył z powrotem nóż do schowka. To tylko zabawa. Takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę. Ale musi poznać szczegóły. Musi je poznać teraz.

Tommy siedział w fotelu i kartkował jakiś magazyn motoryzacyjny, kiwał głową i pomrukiwał. Od czasu do czasu pokazywał coś siedzącym na kanapie Lassemu i Robbanowi, jakieś szczególnie interesujące zdjęcie, do którego dodawał komentarz o pojemności cylindrów i maksymalnej prędkości. Goła żarówka pod sufitem odbijała się w błyszczącym papierze, rzucając słabe refleksy na cementową ścianę.

Trzymał ich w napięciu.

Mama Tommy'ego spotykała się ze Staffanem, który był policjantem w Vällingby. Tommy nie przepadał za nim; wymachujący palcem, obleśny typ. Do tego jeszcze religijny. Ale przez matkę Tommy dowiadywał się tego i owego; o czym Staffan tak naprawdę nie powinien jej mówić, a ona nie powinna opowiadać o tym Tommy'emu, ale...

W ten sposób między innymi dowiedział się o dochodzeniu w sprawie włamania do sklepu ze sprzętem grającym przy Islandstorget, którego dokonał z Robbanem i Lasse.

Sprawcy nie zostawili śladów. Matka dokładnie tak powiedziała: „Sprawcy nie zostawili śladów”. To słowa Staffana. Nie znali nawet marki samochodu.

Tommy i Robban mieli po szesnastce lat i byli w pierwszej klasie liceum. Dziewiętnastoletni Lasse miał coś nie tak z głową i pracował przy sortowaniu blach w Ericssonie w Ulvsundzie. Ale miał prawo jazdy. I białego saaba, rocznik 74, któremu przed włamaniem przerobili flamastrem numery rejestracyjne. Zresztą niepotrzebnie, skoro nikt nie zauważył samochodu.

Łup złożyli w nieużywanym schronie naprzeciwko piwnicy, która była ich klubem. Przecięli łańcuch na drzwiach przecinakiem i założyli nową kłódkę. Nie bardzo wiedzieli, jak się pozbędą towaru, kręciło ich przede wszystkim samo włamanie. Lasse sprzedał jeden magnetowid kumplowi z pracy za dwie stowy, i to wszystko.

Najbezpieczniej było przez jakiś czas nie wychylać się z towarem. Szczególnie nie należało powierzyć sprzedaży Lassemu, bo - jak mówiła matka - miał kapuścianą głowę. Ale od włamania minęły już dwa tygodnie, a policja miała co innego do roboty.

Tommy przeglądał magazyn i uśmiechał się pod nosem. Tak, tak. Zupełnie co innego. Robban wystukał dłońmi na udach kilka taktów.

- Nie daj się prosić. Mów.

Tommy podsunął mu magazyn.

- Kawasaki. Pojemność trzysta centymetrów. Bezpośredni wtrysk...

- Przestań. Mów.

- O czym... o morderstwie?

- Tak!

Tommy przygryzł wargę; udawał, że się zastanawia.

- Jak to było...

Lasse pochylił długie ciało do przodu, złożył się jak scyzoryk.

- No! Mów!

Tommy odłożył magazyn i przygwoździł Lassego wzrokiem.

- Na pewno chcesz tego słuchać? To paskudna historia.

- E, tam!

Lasse nadrabiał miną, ale Tommy widział niepokój w jego oczach. Wystarczyło się skrzywić i odezwać zmienionym głosem, żeby Lasse zaczął się bać.

Kiedyś Tommy i Robban, udając zombie, pomalowali się kosmetykami mamy Tommy'ego, wykręcili żarówkę w suficie i czekali na Lassego. Skończyło się tym, że Lasse narobił w spodnie, a Robban miał podbite oko, dokładnie w miejscu, które pomalował granatowym cieniem do powiek. Potem byli już ostrożniejsi, jeśli chodzi o straszenie Lassego.

Lasse przestał się wiercić, skrzyżował ręce na piersi, jakby chciał pokazać, że jest gotowy na wszystko.

- No, więc... to nie było takie zwykłe morderstwo, że tak powiem. Chłopak... wisi na drzewie.

- Jak to? Został powieszony? - spytał Robban.

- Tak, powieszony. Ale sznur nie był na szyi, tylko zaciśnięty wokół stóp. Wisi na drzewie głową w dół.

- Jak to? Od tego się nie umiera.

Tommy patrzył długo na Robbana, jakby powiedział coś godnego uwagi, i mówił dalej:

- Nie. Nie umiera się. Ale gość miał poderżnięte gardło. A od tego się umiera. Całe, dookoła. Rozkrojone. Jak... melon.

Przeciagnął palcem wskazującym po szyi, żeby pokazać cięcie noża.

Ręka Lassego powędrowała do szyi, jakby chcąc ją chronić. Powoli pokręcił głową.

- Ale dlaczego tak wisi?

- A jak myślisz?

- Nie wiem.

Tommy uszczypnął się w dolną wargę i zrobił minę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Teraz powiem wam, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze. Kiedy podrzyna się komuś gardło i ten ktoś umiera, wtedy jest sporo krwi. Prawda?

Lasse i Robban przytaknęli. Tommy odczekał chwilę, trzymając ich w napięciu, po czym wypalił:

- A na ziemi pod nim... tam, gdzie wisi, prawie w ogóle nie było krwi. A musiało wylać się z niego kilka litrów. Gdyby tam wisi.

W piwnicy zrobiło się cicho. Lasse i Robban patrzyli przed siebie pustym wzrokiem, aż Robban wyprostował się i powiedział:

- Wiem. Został zamordowany gdzie indziej. A potem go tam powieszono.

- Mhm. Tylko w takim razie czemu morderca go powiesił? Jeśli ktoś kogoś morduje, zwykle chce się pozbyć ciała.

- Może ma... coś nie tak z głową?

- Może. Ale ja myślę, że chodzi o coś innego. Widzieliście kiedyś rzeźnię? Wiecie, co tam robią ze świniami? Zanim je poćwiartują, usuwają z nich całą krew. A wiecie, jak to robią? Wieszają je głową w dół. Na haku. I podrywają im gardło.

- Ale chyba nie myślisz... że chłopak... że morderca chciał go zaszlachtować?

- Co?

Lasse zerknął niepewnie na Tommy'ego i na Robbana, a potem znów na Tommy'ego, żeby sprawdzić, czy sobie z niego nie żartują. Nie zauważył niczego, co by na to wskazywało.

- Tak robią? Z tymi świniami?

- Tak, a co myślałeś?

- Że to robi jakaś... maszyna.

- A to coś zmienia?

- Nie, ale czy te świnie... żyją? Kiedy je... tak wieszają?

- Tak. Żyją. I wyrwają się. I kwiczą.

Tommy zaczął naśladować kwiczącą świnie, a Lasse opadł na kanapę i wbił wzrok w kolana. Robban wstał, zrobił kilka kroków i usiadł.

- Coś tu się nie zgadza. Jeśli morderca go zaszlachtował, to powinna być krew.

- To ty powiedziałaś, że go zaszlachtował. Ja w to nie wierzę.

- Nie? A co myślisz?

- Myślę, że mordercy zależało na krwi. I dlatego zamordował chłopaka. Żeby mieć krew. Zabrał ją ze sobą.

Robban wolno pokiwał głową, skubiąc strup po dużym pryszczu w kąciu ust.

- Ale po co? Żeby ją wypić, czy co?

- No. Na przykład.

Tommy i Robban pograżyli się w swoich wyobrazeniach o morderstwie i o tym, co potem nastąpiło. Po chwili Lasse uniósł głowę i spojrzał na nich pytająco. Miał łzy w oczach.

- Czy te świnie szybko umierają?

Tommy popatrzył na niego poważnie.

- Nie.

- Wychodzę na chwilę.

- Nie...

- Będę na podwórku.

- Nie chodź nigdzie dalej.

- Jasne.

- Zawołać cię, kiedy...

- Nie. Sam przyjdę. Mam zegarek. Nie wołaj mnie.

Oskar włożył kurtkę i czapkę. Zatrzymał się z jedną stopą do połowy w bucie. Poszedł po cichu do swojego pokoju, wyciągnął nóż i wsadził go za pazuchę. Zawiązał sznurowadła. Z dużego pokoju znów usłyszał głos mamy.

- Na dworze jest zimno.

- Mam czapkę.

- Na głowie?
- Nie, na nodze.
- To nie żarty. Wiesz, jak...
- Na razie.
- ...twoje uszy.

Wyszedł, spojrzął na zegarek. Kwadrans po siódmej. Trzy kwadransy do programu w telewizji. Tommy i reszta są prawdopodobnie w piwnicy, ale tam nie odważy się pójść. Tommy jest w porządku, ale inni... Kiedy się naćpali, przychodzili im do głowy dziwne pomysły.

Poszedł więc na plac zabaw na podwórzu: dwa potężne drzewa, czasami używane jako bramka do gry w piłkę, drabinki, zjeżdżalnia, piaskownica i huśtawki - trzy opony na łańcuchach. Usiadł na jednej z nich i zaczął się powoli huścić.

Lubił to miejsce o zmroku. Wokół niego błyszcząły setki rozświetlonych okien, a on siedział w ciemności. Bezpieczny i zarazem samotny. Wyciągnął nóż z pochwy. Ostrze błyszczało tak, że widział, jak odbijają się w nim okna. Księżyc.

Krwawy księżyc...

Wstał z huśtawki, zakradł się pod drzewo i zaczął do niego mówić.

- Co się tak gapisz, kretynie? Chcesz umrzeć?

Drzewo nie odpowiadało i Oskar wbił w nie nóż. Ostrożnie. Nie chciał uszkodzić błyszczącego ostrza.

- Tak to się kończy. Jak ktoś się na mnie gapi.

Obrócił nóż, odciął kawałek kory. Kawałek ciała.

Szepnął:

- Kwicz jak prosię!

Znieruchomiał. Zdawało mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Z nożem przy biodrze rozejrzał się. Podniósł nóż do oczu, przyglądał mu się. Czubek był równie błyszczący, jak przedtem. Użył ostrza jako lustro i skierował je w stronę drabinek. Ktoś tam stał. Ktoś, kogo przed chwilą tam nie było. Rozmazany zarys na czystej stali. Opuścił nóż i spojrzął na drabinki. To nie był morderca z Vallingby. To było dziecko.

Było dość światła, żeby zobaczyć, że to dziewczyna, której nigdy wcześniej nie widział na podwórzu. Zrobił krok w kierunku drabinek. Dziewczyna się nie poruszyła. Stała na górze i patrzyła na niego.

Zrobił następny krok i nagle zaczął się bać. Czego? Samego siebie. Trzymając nóż mocno w garści, ruszył do dziewczyny, żeby zadać jej cios. Nie, wcale nie. Ale przez chwilę miał wrażenie, że tak. Że też ona się nie boi.

Zatrzymał się, wsunął nóż do pochwy i schował pod kurtkę.

- Cześć.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Oskar był teraz na tyle blisko, że widział jej ciemne włosy, drobną twarz, duże, szeroko otwarte oczy, które patrzyły na niego spokojnie. Jej ręce spoczywały na poręczy drabinek.

- Powiedziałem „cześć”.
- Słyszałam.
- To dlaczego nie odpowiadasz?

Wzruszyła ramionami. Jej głos nie był tak jasny, jak myślał. Brzmiał jak głos kogoś w jego wieku.

Wyglądała dziwnie. Półdługie czarne włosy. Okrągła twarz, mały nos. Jak lalka-wycinanka na stronach dla dzieci w „Hemmetts Journal”. Bardzo... ładna. Ale coś było nie tak. Nie miała czapki ani kurtki, tylko cienki różowy golf, mimo że było zimno.

Wskazała głową w kierunku drzewa, któremu Oskar przed chwilą zadawał ciosy.

- Co robisz?

Oskar zaczerwienił się, ale tego chyba nie było widać w ciemności?

- Trenuję.

- Po co?

- Na wypadek gdyby zjawił się morderca.

- Jaki morderca?

- Z Vallingby. Ten, który zadłgał tego chłopaka.

Dziewczyna westchnęła, spojrzała na księżyc. Potem pochyliła się do przodu.

- Boisz się? - spytała.

- Nie, ale morderca to ktoś... Dobrze, jeśli człowiek potrafi się... obronić.

Mieszkasz tutaj?

- Tak.

- Gdzie?

- Tam - odpowiedziała, wskazując na drzwi wejściowe do klatki sąsiadującej z klatką Oskara. - Obok ciebie.

- Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

- Widziałam cię przez okno.

Oskarowi pałały policzki. Gdy próbował coś wymyślić w odpowiedzi, dziewczyna zeskoczyła z drabinek i wylądowała tuż przed nim. Skoczyła z ponad dwóch metrów.

Pewnie uprawia gimnastykę.

Była prawie jego wzrostu, ale o wiele szczuplejsza. Różowy golf opinał jej chudy tors bez załazków piersi. Drobną bladą twarz i wielkie czarne oczy. Podniosła rękę, jakby chciała powstrzymać coś, co nadchodzi. Palce miała długie i cienkie jak patyki.

- Nie mogę się z tobą zaprzyjaźnić. Musisz to wiedzieć.

Oskar skrzyżował ręce na piersi. Poczuł zarys rękojeści noża pod kurtką.

- Bo co?

Na ustach dziewczyny pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- Czy zawsze musi być jakiś powód? Po prostu mówię, jak jest. Żebyś wiedział.

- Dobrze.

Odwróciła się od Oskara i ruszyła w kierunku swojej klatki.

Kiedy zrobiła kilka kroków, Oskar powiedział:

- Myślisz, że chcę się z tobą przyjaźnić? Jesteś głupia.

Dziewczyna zatrzymała się. Przez chwilę stała w milczeniu. Splotła palce, opuściła ręce.

- Co powiedziałaś?

Oskar przycisnął mocniej dłoń do piersi, dotknął rękojeści noża i spojrzał w ziemię.

- Ty jesteś głupi... że tak mówisz.

- Naprawdę?

- Tak.

- No to przepraszam. Ale tak jest.

Stali bez ruchu pół metra od siebie. Oskar wciąż nie podnosił wzroku. Od dziewczyny dochodził dziwny zapach.

Rok temu jego pies, Bobby, dostał zakażenia łap i w końcu musieli go uśpić. Tego dnia Oskar nie poszedł do szkoły, został w domu i kilka godzin przeleżał obok chorego psa, żegnając się z nim. Bobby pachniał wtedy tak jak ta dziewczyna. Oskar zmarszczył nos.

- To ty tak dziwnie pachniesz?

- Pewnie tak.

Oskar podniósł wzrok. Żałował tego, co powiedział. Wyglądała tak... krucho w swoim cienkim golfiku. Opuścił ramiona i wykonał ruch w jej stronę.

- Nie marzniesz?

- Nie.

- Jak to?

Dziewczyna zmarszczyła brwi, ściągnęła twarz i przez chwilę wyglądała na dużo, dużo starszą niż była. Wyglądała jak staruszka, która zaraz się rozpłacze.

- Chyba zapomniałam, jak to się robi.

Dziewczyna szybko się odwróciła i ruszyła w kierunku klatki. Oskar patrzył za nią. Kiedy dotarła do ciężkich drzwi, sądził, że będzie musiała użyć obu rąk, żeby je otworzyć. Ale nie, chwyciła klamkę jedną dłonią i szarpnęła drzwi tak, że uderzyły o metalowy odbój, odskoczyły i zamknęły się za nią.

Wsadził ręce do kieszeni kurtki i poczuł smutek. Myślał o Bobbym. O tym, jak wyglądał w trumnie, którą zrobił tata, i o krzyżu, który on sam zrobił na zajęciach praktycznych, a który się złamał, kiedy go wbijali w zamarzną ziemię.

Powinien zrobić nowy.

PIĄTEK

23 PAŹDZIERNIKA

HÅKAN ZNÓW SIEDZIAŁ W WAGONIE METRA, jechał do centrum. W tylnej kieszeni spodni miał dziesięć zrolowanych banknotów tysiąckoronowych, okręconych recepturką. Przeznaczył je na coś dobrego. Uratuje czyjeś życie.

Dziesięć tysięcy to dużo pieniędzy. Pamiętał kampanię zorganizowaną przez Rädde Barnen: „Za jedno tysiąc koron cała rodzina wyżywi się przez rok” i tak dalej. Dziesięć tysięcy powinno starczyć, żeby uratować choć jedno życie w Szwecji.

Tylko czyje? Gdzie?

Nie mógł przecież dać pieniędzy pierwszemu lepszemu ćpunowi i mieć nadzieję, że... Nie. To musi być ktoś młody. Wiedział, że to śmieszne, ale ideałem byłoby płaczące dziecko, takie jak na plakatach. Dziecko, które ze łzami w oczach przyjąłoby pieniądze i... i co?

Nie bardzo wiedząc dlaczego, wysiadł przy Odenplan i skierował się do Biblioteki Miejskiej. W czasach, kiedy mieszkał w Karlstadzie, gdzie uczył w gimnazjum szwedzkiego i kiedy miał jeszcze dom, było powszechnie wiadomo, że Biblioteka Miejska w Sztokholmie to... dobre miejsce.

Dopiero gdy zobaczył duży okrągły budynek biblioteki, znany mu ze zdjęć w książkach i gazetach, zrozumiał, że wysiadł tutaj właśnie dlatego, że to dobre miejsce. Ktoś z kręgu znajomych, bodaj Gert, opowiadał, jak kupuje się tu seks.

On nigdy tego nie robił. Nie kupował seksu.

Kiedyś Gert, Torgny i Ove poznali chłopca, którego matka, znajoma Ovego, ściągnęła z Wietnamu. Chłopiec miał chyba z dwanaście lat i wiedział, czego się od niego oczekuje. Zresztą dobrze mu za to płacono. Mimo to Håkan nie był w stanie się przełamać. Popijając bacardi z colą, czerpał przyjemność z patrzenia na nagie ciało chłopca, który wił się i wyginał w pokoju, w którym się zebrali.

I na tym koniec.

Chłopak obciągał wszystkim po kolei, ale kiedy przyszła kolej na Håkana, odmówił. To wszystko było zbyt obrzydliwe. W pokoju pachniało seksem i alkoholem. Na policzku chłopca błyszczała kropla spermy Ovego. Håkan odtrącił jego głowę, kiedy mały pochylił się nad jego brzuchem.

Pozostali obrzucili go wyzwiskami, w końcu zaczęli mu nawet grozić. Skoro był świadkiem, musi zostać współnikiem. Drwili z jego skrupułów, ale to nie one stanowiły problem. To było po prostu obrzydliwe. Jedynek pokój garnsoniery Akego, cztery niepasujące do siebie fotele, ustawione specjalnie na tę okazję, muzyka stereo.

Zapłacił za udział w przyjemnościach i już nigdy więcej się z nimi nie spotkał. Miał gazety, zdjęcia i filmy. Musiały mu wystarczyć. Prawdopodobnie miał też skrupuły, które spowodowały ten wstręt.

Więc dlaczego idę do Biblioteki Miejskiej?

Może wypożyczy książkę. Trzy lata temu pożar pochłoniął całe jego życie, w tym także jego książki. Tak. Zanim zrobi dobry uczynek, wypożyczy *Klejnót królowej Almqvista*.

W bibliotece przed południem panował spokój. Byli tu głównie starsi panowie i studenci. Szybko znalazł książkę, której szukał, przeczytał pierwsze słowa - „Tintomara! Dwie rzeczy są białe. Niewinność - Arszenik” - i odsta- wił ją na półkę. Przykre uczucie. Przypominało mu się jego poprzednie życie.

Kochał tę książkę, wykorzystywał ją podczas lekcji. Lektura pierwszych słów sprawiła, że zatęsknił za fotelem do czytania. A fotel do czytania powinien stać w jego domu, w domu pełnym książek. W myślach powinien pracować, chciał tego. Ale znalazł miłość i teraz to ona dyktowała warunki. Nie fotel.

Pocierał dłonie, jakby chciał zetrzeć z nich ślad książki, którą trzymały. Wszedł do bocznej sali.

Długi stół, czytający ludzie. Słowa, słowa, słowa. W głębi siedział młody chłopak w skórzanej kurtce i kiwał się na krześle, przeglądając niedbale książkę z obrazkami. Håkan ruszył w jego stronę i udając, że przegląda półkę z książkami geograficznymi, zerkał na niego od czasu do czasu. W końcu chłopak podniósł wzrok i uniósł brwi, jakby chciał go spytać, czy chce.

Nie, nie chciał. Chłopak miał około piętnastu lat, wschodnioeuropejską twarz, przyszcze i głęboko osadzone oczy. Håkan wzruszył ramionami i wyszedł z sali.

Przed głównym wejściem chłopak dogonił go, wykonał gest kciukiem i spytał:

- *Fire?*

Håkan pokręcił przecząco głową.

- *Don't smoke.*

Chłopak wyciągnął plastikową zapalniczkę, zapalił papierosa i zerkał na niego przez dym.

- *What you like?*

- *No, I...*

- *Young? You like young?*

Uciekł od chłopaka i od głównego wejścia, gdzie ktoś mógł nagle się pojawić. Musi się zastanowić. Nie przypuszczał, że pójdzie mu tak łatwo. Traktował to przecież jak rodzaj zabawy, chciał sprawdzić, czy Gert mówił prawdę.

Chłopak dogonił go i zatrzymał się obok niego przy kamiennym murku.

- *How? Eight, nine? Is difficult, but...*

- *No!*

Czy wyglądał aż tak perwersyjnie? Głupia myśl. Ani Ove, ani Torgny nie wyglądali w najmniejszym stopniu... inaczej. Normalni mężczyźni, na normalnych posadach. Jedynie Gert, który żył ze spadku po ojcu i mógł pozwolić sobie na wszystko, po zagranicznych wojażach zaczął wyglądać naprawdę odrażająco. Obwisła skóra wokół ust, zamglone oczy.

Chłopak umilkł, kiedy Håkan podniósł głos, i lustrował go oczami jak szparki. Zaciągnął się, rzucił niedopałek na ziemię, przydeptał, rozłożył ręce.

- *What?*

- *No, I just...*

Chłopak zrobił pół kroku w jego stronę.

- *What?*

- *I... maybe... twelve?*

- *Twelve? You like twelve?*

- *I... yes.*

- *Boy.*

- *Yes.*

- *Okey. You wait. Number two.*

- *Excuse me?*

- *Number two. Toilet.*

- *Oh. Yes.*

- *Ten minutes.*

Chłopak zasunął zamek błyskawiczny skórzanej kurtki i zszedł po schodach.

Dwanaście lat. Druga kabina. Dziesięć minut.

To było naprawdę głupie. Mógł pojawić się policjant. Chyba wiedzą, co tu się dzieje od wielu lat. A wtedy koniec. Skojarzą go z przedwczorajszym morderstwem i będzie po wszystkim. Nie może zrobić tego tutaj.

Zajrzę do toalety, zobaczę, jak tam jest, tylko tyle.

W toalecie było pusto. Jeden pisuar i trzy kabiny. Numer dwa to pewnie ta środkowa. Włożył koronę do zamka w drzwiach, otworzył, wszedł, zatrzasnął za sobą drzwi i usiadł na sedesie.

Na ścianach kabiny było mnóstwo bazgrołów. Nie tego można się spodziewać w Bibliotece Miejskiej. Tu i ówdzie cytaty literackie: „*HARRY ME, MARRY ME, BURY ME, BITE ME*”, ale przeważnie obsceniczne rysunki i dowcipy: „Lepsza zimna dupa w zupie niż chuj zimny w dupie. Życie nie będzie cudne, gdy pożycie będzie nudne” i wyjątkowo dużo numerów telefonów, na które można zadzwonić w razie specjalnych życzeń. Kilka z nich wyglądało na autentyczne.

No tak. Już sprawdził. Teraz powinien wyjść. Nie miał pojęcia, co kombinuje chłopak w skórzanej kurtce. Wstał, wysikał się i znów usiadł. Dlaczego oddał moc? Nie odczuwał jakiegokolwiek nieprzeparanej potrzeby. Nie wiedział.

Na wypadek gdyby.

Ktoś wszedł. Wstrzymał oddech. Miał nadzieję, że to policjant. Rosły mężczyzna, który kopniakiem otworzył drzwi do kabiny i dołożył mu pałką, a potem aresztuje.

Szepty, miękkie kroki i lekkie pukanie do drzwi.

- Tak?

Znów pukanie. Przełknął ślinę i otworzył.

Na zewnątrz stał chłopiec w wieku jedenastu-dwunastu lat. Jasne włosy, cebulasta twarz. Wąskie usta i duże niebieskie oczy, zero wyrazu. Czerwony skafander, trochę za duży. Zaraz za nim stał starszy chłopak w skórzanej kurtce. Podniósł do góry pięć palców.

- *Five hundred.*

Wymawiał hundred jak szundred.

Håkan skinął głową; starszy chłopak delikatnie wepchnął młodszego do kabiny i zamknął drzwi. Czy pięćset to trochę nie za dużo? Nie żeby to miało jakieś znaczenie, ale...

Patrzył na chłopca, którego kupił. Wynajął. Jest na jakichś prochach? Pewnie tak. Miał rozbiegane oczy, nieobecne. Przywarł do drzwi, pół metra od niego. Był tak niski, że Håkan nie musiał podnosić głowy, żeby spojrzeć mu w oczy.

- *Hello.*

Chłopiec nie odpowiedział, tylko pokiwał głową pokazał na jego podbrzusze i wykonał gest palcem: Rozepnij rozporek. Håkan posłuchał. Chłopiec westchnął, wykonał kolejny gest: Wyciągnij członek.

Paliły go policzki, kiedy wykonywał polecenie chłopca. Więc tak to się odbywa. Nie było w tym jego woli. On nic nie robił. Nie miał wzrodu, jego krótki członek ledwo sięgał klapy sedesu. Kiedy żołądek musnęła zimną powierzchnię, poczuł lekkie łaskotanie.

Zmrużył oczy, próbując zmienić rysy chłopca tak, żeby bardziej przypominały jego miłość. Nie wychodziło mu to. Nie był piękny. Chłopiec, który uklęknął, przysuwając głowę do jego podbrzusza, nie był piękny.

Usta.

Coś było nie tak z ustami chłopca. Położył mu rękę na czole, zanim jego usta trafiły do celu.

- *Your mouth?*

Chłopiec pokręcił przecząco głową i przycisnął czoło do jego ręki, żeby dalej pracować. Ale Håkan nie chciał tego. Słyszał o takich przypadkach.

Podniósł kciukiem górną wargę chłopca i odciągnął ją. Dzieciak nie miał zębów. Ktoś mu je wybił albo wyrwał, żeby mógł lepiej wykonywać swoją pracę. Chłopiec wstał, szelest skafandra, kiedy mały skrzyżował ręce na piersi. Håkan schował członek, zapiął rozporek, wpatrywał się w podłogę.

Nie tak. Nigdy w ten sposób.

Coś ograniczyło jego pole widzenia. Rozcapierzona dłoń. Pięć palców. Pięć stów.

Håkan wyjął zwitek banknotów z kieszeni i podał go chłopcu, który zdjął recepturkę, przeciągnął palcem po dziesięciu banknotach, założył ponownie recepturkę i podniósł zwitek do góry.

- *Why?*

- *Because... your mouth. May be you can... get new teeth.*

Chłopiec uśmiechnął się. Nie był to promienny uśmiech, ale kąciki jego ust nieco się uniosły. Być może śmiał się z głupoty Håkana. Najwyraźniej nad czymś się zastanawiał. Po chwili wziął jeden banknot i włożył do zewnętrznej kieszeni skafandra. Zwitek schował do wewnętrznej, Håkan przytaknął.

Chłopiec otworzył drzwi, zawahał się. Potem odwrócił się do Håkana, pogładził go po policzku.

- *Sank you.*

Håkan położył dłoń na dłoni chłopca, przycisnął ją do policzka, zaniknął oczy. Gdyby mógł.

- *Forgive me.*

- *Yes.*

Chłopiec comął dłoń. Jej ciepło pozostało na policzku Håkana, nawet kiedy za chłopcem zamknęły się już drzwi. Wciąż siedział na sedesie, patrząc na to, co ktoś napisał na framudze.

„Kimkolwiek jesteś kocham cię”.

Pod spodem ktoś dopisał: „Włożyć ci?”

Ciepło dawno już uleciało z policzka, kiedy ruszył w kierunku metra i za ostatnie korony kupił popołudniową gazetę. Cztery strony poświęcone były morderstwu. Między innymi pokazano zdjęcie niecki, gdzie wszystko się zaczęło. Mnóstwo palących się zniczów, kwiatów. Patrzył na zdjęcie i niewiele czuł.

Gdybyście wiedzieli. Przepraszam, ale gdybyście wiedzieli.

Wracając ze szkoły do domu, Oskar zatrzymał się pod oknami jej mieszkania. Najbliższe było zaledwie dwa metry od okna jego pokoju. Żaluzje były opuszczone i jasnoszare prostokąty okien odcinały się na tle ciemnoszarego betonu. Wyglądały ponuro. To jakaś... dziwna rodzina.

Ćpuny.

Oskar rozejrzał się, potem wszedł do klatki i zaczął studiować listę lokatorów. Pięć nazwisk ułożonych z plastikowych liter. Jedno miejsce było puste. Nazwisko, które widniało tam wcześniej, HELLBERG, wciąż dawało się odczytać; zostawiło ciemniejsze ślady na wyblakłej tablicy. Ale żadnych nowych plastikowych liter. Nawet kartki.

Wbiegł na drugie piętro i zatrzymał się pod jej drzwiami. To samo. Nic. Śadu nazwiska. Jakby nikt tu nie mieszkał.

Może go okłamała? Ale przecież weszła do klatki. To prawda. Ale mogła wejść tak czy inaczej. Jeśli...

Otworzyły się drzwi na klatkę.

Odwrócił się i zaczął szybko schodzić po schodach. Żeby to tylko nie była ona. Mogłaby sobie pomyśleć, że... Ale to nie była ona.

W połowie drogi, na pierwszym piętrze, Oskar spotkał mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widział. Niski, dość postawny i półtłusty, szczyrzył zęby w nienormalnym uśmiechu.

Dostrzegł Oskara, podniósł wzrok i skinął głową, usta wciąż miał rozciągnięte w tym cyrkowym uśmiechu.

Na dole Oskar się zatrzymał, nasłuchiwał. Usłyszał, jak ktoś wyciąga klucze i jakieś drzwi się otwierają. Jej drzwi. Ten mężczyzna to pewnie jej ojciec. Co prawda Oskar nigdy nie widział tak starego ćpuna, ale ten wyglądał na szurniętego.

Nic dziwnego, że jest świrnięta.

Oskar poszedł na plac zabaw, usiadł na brzegu piaskownicy i obserwował jej okno, chcąc zobaczyć, czy podniosą się żaluzje. Nawet okno łazienkowe było chyba zasłonięte od wewnątrz; mrożone szkło wydawało się ciemniejsze niż w innych oknach łazienkowych.

Z kieszeni kurtki wyciągnął kostkę Rubika. Trzeszczała i chrzęściła, kiedy ją przekręcał. To kopia. Oryginał nie był taki toporny, ale kosztował pięć razy więcej i można go było kupić jedynie w dobrze strzeżonym sklepie z zabawkami w Vällingby.

Dwa boki udało mu się ułożyć, były w jednym kolorze, w trzecim brakowało jednego marnego kwadratu. Nie mógł go jednak przesunąć na właściwe miejsce, nie niszcząc dwóch ułożonych boków. Zachował stronę „Expressen” z opisem różnych systemów przekręcania - dzięki temu ułożył dwa boki, potem jednak robiło się znacznie trudniej.

Patrzył na kostkę, próbował wymyślić rozwiązanie, zamiast po prostu nią kręcić. Nic z tego. Mózg odmawiał współpracy. Przycisnął kostkę do czoła, usiłując przeniknąć do jej wnętrza. Żadnej odpowiedzi. Postawił ją na brzegu piaskownicy, pół metra od siebie i wpatrywał się w nią.

Przesuń się, przesuń się, przesuń się.

Telekineza, tak to się nazywa. W Stanach prowadzono badania nad tym zjawiskiem. Byli ludzie, którzy potrafili takie rzeczy. ESP. Extra Sensory Perception. Oskar dałby wszystko, żeby mieć taki dar.

No i... może go ma.

Dzień w szkole nie był najgorszy. Tomas Ahlstedt próbował odsunąć krzesło, na którym chciał usiąść w stołówce, ale w porę się zorientował. To wszystko. Pójdzie do lasu z nożem, do tego drzewa. Przeprowadzi poważniejszy eksperyment. Nie będzie się podniecał tak jak wczoraj.

Spokojnie i metodycznie będzie dźgał drzewo, zadawał kolejne ciosy, cały czas mając przed sobą twarz Tomasa Ahlstedta. Z drugiej strony... ta historia z mordercą. Z prawdziwym mordercą, który musiał tu gdzieś być.

Nie. Zaczeka, aż morderca zostanie złapany. Chociaż, jeśli to zwyczajny morderca, to eksperyment nie ma sensu. Oskar patrzył na kostkę Rubika i wyobraził sobie promień przenikający z jego oczu w jej kierunku.

Przesuń się, przesuń się, przesuń się.

Nic się nie wydarzyło. Wsunął kostkę do kieszeni, wstał, strzepał piasek ze spodni. Spojrzał w jej okno. Żaluzje wciąż były opuszczone.

Poszedł do domu, żeby popracować nad wycinkami; chciał powklejać artykuły o morderstwie w Vällingby. Z czasem będzie ich dużo, zwłaszcza jeśli dojdzie do kolejnego morderstwa. Miał nadzieję, że tak się stanie. Najlepiej w Blackebergu.

Widział, że policja przyjechała do szkoły, widział, że nauczyciele są poważni i zaniepokojeni, że zapanował jakiś szczególny nastrój. To mu się podobowało.

- Nigdy więcej. Nie prosź mnie.
- Håkan...
- Nie. Po prostu nie.
- Umrę.
- No to umrzyj.
- Mówisz serio?
- Nie. Nie mówię serio. Ale mogłabyś to zrobić... sama.
- Ciągle jestem słaba. Nie mam siły.
- Masz.
- Nie aż taką.
- No to nie wiem. Ale ja tego nie powtórzę. To... okropne...
- Wiem.
- Nie wiesz. Dla ciebie to co innego...
- Co ty możesz o tym wiedzieć?
- Nic. Ale ty przynajmniej...
- Myślisz, że... czerpię z tego przyjemność?
- Nie wiem. A czerpiesz?
- Nie.
- No dobrze, nie. W każdym razie... nie zrobię tego więcej. Może miałeś innych, którzy ci pomagali i byli... ode mnie lepsi.
- Miałeś?
- Tak.
- Aha.
- Håkan? Czy ty...?

- Kocham cię.
- Tak.
- A ty mnie kochasz? Chociaż trochę?
- Zrobisz to jeszcze raz, jeśli powiem, że cię kocham?
- Nie.
- I tak będę cię kochać, to chciałeś powiedzieć?
- Kochasz mnie tylko dlatego, że pomagam ci utrzymać się przy życiu.
- Tak. Czy to właśnie nie jest miłość?
- Gdybym wiedział, że naprawdę będziesz mnie kochać, nawet jeśli tego nie zrobię...
- Tak?
- To może bym to zrobił.
- Kocham cię.
- Nie wierzę ci.
- Håkan. Wytrzymam jeszcze kilka dni, ale potem...
- No to zacznij mnie kochać.

Piątkowy wieczór u Chińczyka. Za kwadrans ósma, cała paczka jest na miejscu. Z wyjątkiem Karlssona, który siedzi w domu i ogląda teleturniej w telewizji. I dobrze. I tak nie ma z niego wiele pożytku. Pewnie zajrzy tu później, kiedy program się skończy, i będzie się przechwalał, na ile pytań znał odpowiedź.

Przy narożnikowym stoliku na sześć osób najbliżej drzwi siedzą Lacke, Morgan, Larry i Jocke. Jocke i Lacke rozmawiają o tym, jakie ryby czują się dobrze w wodach słodkich i słonych. Larry czyta popołudniówkę, a Morgan siedzi i macha nogą w takt zupełnie innej melodii niż ta chińska, płynąca z ukrytych głośników.

Na stoliku przed nimi stoją kufle piwa, mniej lub bardziej pełne. Na ścianie za barem wiszą ich portrety.

Właściciel restauracji, karykaturzysta, musiał uciekać z Chin podczas rewolucji kulturalnej właśnie z powodu swoich karykatur. Teraz wykorzystuje talent, portretując stałych klientów. Na ścianie wisi dwanaście karykatur, wykonanych tuszem i z dużą czułością.

Sami faceci. I Virginia. Portrety facetów to zbliżenia, podkreślają nieregularności ich fizjonomii.

Larry z pooraną zmarszczkami, pełną bruzd twarzą i z ogromnymi, odstającymi uszami, wygląda jak sympatyczny, wygłodzony słoń.

Gęste, zrosnięte brwi Jockego przybrały kształt krzewów róż, na których siedzi jakiś ptak - może słowik - i śpiewa.

Morgan stylizuje się na późnego Elvisa. Ma gęste bokobrody i spojrzenie, jakby śpiewał *lav-ju-bejby*. Głowa osadzona na małym korpusie; w rękach gitara, poza Elvisa. Morganowi portret podoba się bardziej, niż chciałby się przyznać.

Lacke wygląda na zmartwionego. Powiększone oczy wyrażają przesadnie cierpienie. W ustach ma papierosa i dym z niego wisi mu nad głową jak deszczowa chmura.

Virginia jako jedyna została sportretowana w całości. W wieczorowej sukni, mieniającej się cekinami, błyszczą niczym gwiazda. Stoi z rozłożonymi rękami, otoczona stadkiem prosiąt, które patrzą na nią, niczego nie rozumiejąc. Na prośbę Virginii autor zrobił drugi, identyczny portret, który Virginia powiesiła u siebie w domu.

Poza tym są też inni. Tacy, którzy nie należą do paczki. Tacy, którzy przestali już przychodzić. Tacy, którzy umarli.

Charlie zwał się ze schodów na swojej klatce, kiedy któregoś wieczoru wracał z restauracji do domu. Roztrzaskał sobie głowę o beton. Ogóras miał marskość wątroby, ale umarł na krwotok z krtani. Kilka tygodni przed śmiercią podciągnął koszulę, pokazując wszystkim pajęczynę czerwonych żyłek, rozchodzących się z jego pępka. „Diabelsko drogi tatuaz” - powiedział i wkrótce potem umarł. Uczcili jego pamięć, stawiając jego portret na stoliku, i cały wieczór do niego przepijali.

Karlsson nie miał portretu.

W ten piątkowy wieczór po raz ostatni są w tym składzie. Jutro jeden z nich zniknie na zawsze. Pozostanie kolejny portret - wspomnienie. I nic już nie będzie jak dawniej.

Larry opuścił gazetę, położył okulary do czytania na stole i wypił łyk piwa.

- Cholera, co taki człowiek ma pod sufitem?

Pokazał gazetę, gdzie pod zdjęciem szkoły z Vällingby był napis: „Dzieci są w szoku”. Było też mniejsze zdjęcie mężczyzny w średnim wieku. Morgan rzucił wzrokiem na gazetę, pokazał palcem.

- To morderca?

- Nie, dyrektor szkoły.

- Według mnie wygląda jak morderca. Jak typowy morderca.

Jocke wyciągnął rękę po gazetę.

- Niech zobaczę...

Larry podał mu gazetę. Jocke trzymał ją na odległość wyciągniętej ręki i przyglądał się zdjęciu.

- A mnie się wydaje, że wygląda jak polityk jakiejś prawicowej partii.

Morgan pokiwał głową.

- Właśnie to powiedziałem.

Jocke przysunął gazetę tak, żeby Lacke też mógł zobaczyć zdjęcie.

- Co o tym sądzisz?

Lacke spojrział na zdjęcie z niechęcią.

- Czyja wiem. Strasznie mnie to wkurza, takie coś.

Larry pochuchał na okulary i wyczyścił je rąbkiem koszuli.

- Złapią go. Nie umknie im po tym, co zrobił.
- Morgan stuka palcem wskazującym w stół. Sięga po gazetę.
- Jak poszło Arsenalowi?

Larry i Morgan zaczęli roztrząsać niski poziom angielskiej piłki nożnej. Jocke i Lacke milczeli; popijali piwo, palili. Jocke poruszył sprawę dorsza: pewnie wkrótce w ogóle zniknie z Bałtyku. I tak mijał wieczór.

Karlsson nie zjawiał się, ale około dziesiątej do restauracji wszedł mężczyzna, którego wcześniej nie widzieli. Rozmowa rozkręcała się na dobre; żaden z nich go nie zauważył, dopóki nie usiadł przy stoliku po przeciwnej stronie lokalu.

Jocke nachylił się do Larry'ego.

- Co to za gość?

Larry zerknął dyskretnie i pokręcił przecząco głową.

- Nie wiem.

Nowy zamówił dużą whisky, szybko ją wypił, zamówił kolejną. Morgan wypuścił powietrze z gwizdem.

- Nieźle tempo.

Mężczyzna zdawał się nieświadomy tego, że jest obserwowany. Siedział przy stoliku i patrzył na swoje dłonie; wyglądał tak, jakby ktoś włożył mu na ramiona plecak ze wszystkimi nieszczęściami świata. Szybko wychylił drugą whisky i zamówił następną.

Kelner pochylił się nad nim i coś powiedział. Mężczyzna włożył rękę do kieszeni i pokazał kilka banknotów. Kelner wykonał gest, jakby wcale nie o to mu chodziło, mimo że zapewne chodziło właśnie o to, i poszedł zrealizować zamówienie.

Nic dziwnego, że nie budził zaufania. Miał pogniecione i poplamione ubranie, jakby spał w nim gdzieś, gdzie źle się sypia. Włosy, okalające łysinę, były nieostrzyżone i zwisały do połowy uszu. W jego twarzy dominował spory różowy nos i wystająca broda. Od czasu do czasu poruszał małymi, pełnymi wargami, jakby mówił sam do siebie. Nawet nie drgnął, kiedy kelner postawił przed nim whisky.

Wrócili do przerwanej dyskusji, czy Ulf Adelsohn będzie gorszy niż Gösta Bohman. Jedynie Lacke zerkał na samotnego mężczyznę. Po chwili, kiedy nieznamy zdażył zamówić kolejną whisky, powiedział:

- Może powinniśmy spytać, czy nie chciałby się przysiąc?

Morgan spojrział przez ramię na mężczyznę, który jeszcze bardziej skulił się na krześle.

- Nie, po co? Żonka go rzuciła, kot zdechł, a życie to piekło. Wszystko to już słyszałem.

- Może postawi nam po jednym?

- A, to co innego. W takim razie może mieć nawet raka.

Morgan wzruszył ramionami.

- Mnie to nie przeszkadza.

Lacke spojrział na Larry'ego i na Jockego, a oni wykonali jakieś gesty świadczące o tym, że w porządku.

Lacke wstał i podszedł do drugiego stolika.

- Cześć.

Mężczyzna spojrział na niego. Wzrok miał już zamglony, szklaneczka była niemal pusta. Lacke oparł się o krzesło i pochylił nad nim.

- Pomyśleliśmy, że może... przysiądzie się pan do nas?

Mężczyzna pokręcił spokojnie głową i wykonał bardzo trzeźwy gest odmowny.

- Nie, dzięki. Ale proszę, niech pan siada ze mną.

Lacke odsunął krzesło i usiadł. Mężczyzna wlał w siebie to, co zostało w szklaneczce, i przywołał kelnera.

- Napije się pan czegoś? Ja stawiam.

- Jeśli tak, to proszę to samo.

Lacke nie chciał użyć słowa „whisky”. Byłoby niegrzecznie prosić kogoś o postawienie czegoś tak drogiego. Mężczyzna skinął głową, a kiedy podszedł kelner, podniósł dwa palce i wskazał na Lackego. Lacke odchylił się na krześle. Ile czasu minęło, kiedy ostatnio pił w lokalu whisky? Trzy lata? Co najmniej.

Mężczyzna nie zdradzał żadnych oznak, że chciałby rozpocząć rozmowę, więc Lacke chrząknął i powiedział:

- Zimno się zrobiło.

- Tak.

- Niedługo pewnie spadnie śnieg.

- Mhm.

Whisky pojawiła się na stole i rozmowa na jakiś czas stała się zbędna. Lacke, który też dostał szklaneczkę, czuł, jak spojrzenia kumpli palą go w plecy. Po kilku małych łykach podniósł szklanekę.

- No to na zdrowie. I dzięki.

- Zdrowie.

- Mieszka pan gdzieś w pobliżu?

Mężczyzna patrzył przed siebie, rozważając pytanie, jakby dotyczyło czegoś, nad czym nigdy się nie zastanawiał. Lacke nie potrafił rozstrzygnąć, czy jego kiwnięcie głową było odpowiedzią, czy też częścią jakiegoś wewnętrznego dialogu.

Wypił łyk i zdecydował, że jeśli mężczyzna nie odpowie na kolejne pytanie, będzie to znaczyło, że chce być sam, że nie ma ochoty z nikim rozmawiać. Wtedy weźmie swoją szklaneczkę i wróci do kumpli. Zrobił to, czego wymagała grzeczność w sytuacji, gdy ktoś częstuje człowieka drinkiem. Miał nadzieję, że mężczyzna nie odpowie.

- Tak... Czym się pan zajmuje?

- Ja...

Mężczyzna zmarszczył brwi. Kąciki ust uniosły się w spazmatycznym grymasie uśmiechu i opadły.

- ..trochę pomagam.

- Tak? A w czym?

W oczach mężczyzny pojawił się błysk zrozumienia. Lacke poczuł lekki dreszcz wzdłuż krzyża, jakby w kość ogonową ugryzła go czarna mrówka.

Mężczyzna przetarł oczy, z kieszeni spodni wyłowił kilka stów, położył je na stoliku i wstał.

- Przepraszam, muszę...

- Jasne. Dzięki za whisky.

Lacke uniósł szklankę w jego stronę, ale on ruszył już do wieszaka, ściągnął płaszcz i wyszedł. Lacke siedział dalej odwrócony plecami do kumpli, wpatrywał się w kupkę banknotów. Pięć stów. Szklaneczka whisky kosztowała sześćdziesiąt, a mężczyzna zamówił pięć, może sześć.

Rozejrzał się na boki. Kelner był zajęty przyjmowaniem pieniędzy od jakichś starszych państwa, jedynych gości, którzy coś jedli. Lacke wstał, zmiął szybko stówę w dłoni, włożył rękę do kieszeni i ruszył do kumpli.

W połowie drogi o czymś sobie przypomniał, wrócił do stolika i wlał to, co zostało w szklaneczce mężczyzny, do swojej.

Zdecydowanie udany wieczór.

- Dzisiaj jest przecież teleturniej!

- Wrócę.

- Zaczyna się za pół godziny.

- Wiem.

- Po co chcesz wyjść?

- Przejdę się trochę.

- Nie musisz go oglądać... Mogę obejrzeć sama, skoro musisz wyjść.

- Przecież wrócę.

- No dobrze, zaczekam z odgrzaniem naleśników.

- Nie, nie czekaj... będę później.

Oskar był rozdarty. Teleturniej należał do ich ulubionych programów. Mama robiła naleśniki z nadzieniem z krewetek, żeby mogli je zjeść przed telewizorem. Wiedział, że sprawia jej zawód, wychodząc właśnie teraz, zamiast siedzieć i przeżywać program razem z nią.

Wyglądał przez okno od czasu, kiedy zrobiło się ciemno. Przed chwilą zauważył, że dziewczyna wyszła z sąsiedniej klatki i skierowała się w stronę placu zabaw. Natychmiast cofnął się od okna. Nie chciał, żeby pomyślała, że...

Odczekał pięć minut, ubrał się i wyszedł. Nie wzięął czapki.

Dziewczyny nie było widać na placu zabaw, prawdopodobnie siedziała skulona na drabinkach, jak wczoraj. Żaluzje w jej oknie nadal były opuszczone, ale w mieszkaniu paliło się światło. Z wyjątkiem łazienki: czarna szyba.

Oskar usiadł na brzegu piaskownicy i czekał. Jakby czaił się na zwierzę, które ma wyjść ze swojej nory. Postanowił zostać tylko chwilę. Jeśli dziewczyna się nie pokaże, wróci jakby nigdy nic.

Wyjął kostkę Rubika, żeby się czymś zająć. Znudziło go pilnowanie jednego sześcianika i wymieszał wszystkie, żeby zacząć od początku.

Dźwięk przesuwanych sześcianików niósł się w zimnym powietrzu, przypominał odgłos jakiejś maszyny. Kątem oka zobaczył, że dziewczyna wstaje. Dalej przekręcał kostkę, żeby ułożyć bok w jednym kolorze. Dziewczyna milczała. Czuł lekki niepokój w żołądku, ale nie zwracał na nią uwagi.

- Ty znów tutaj?

Oskar podniósł głowę, udając zdziwienie. Odezwał się po kilku sekundach.

- Ty znów tutaj?

Dziewczyna nie odpowiedziała, Oskar przekręcał kostkę. Palce mu zeszywniały. W ciemności ledwie rozróżniał kolory, zajął się więc tylko białym bokiem, który był lepiej widoczny.

- Po co tu siedzisz?

- Po co tu stoisz?

- Chcę mieć spokój.

- Ja też.

- To idź do domu.

- Sama idź do domu. Mieszkam tu dłużej od ciebie.

Dostała za swoje. Biały bok był skończony, ale dalej znowu było trudno. Pozostałe kolory zlewały się w ciemnoszarą masę. Przekręcał kostką na chybił trafił.

Kiedy następnym razem podniósł wzrok, dziewczyna stała na poręczy. Po chwili zeskoczyła. Coś ścisnęło go w żołądku, kiedy uderzyła o ziemię; gdyby on wykonał taki skok, na pewno by sobie coś zrobił. Ale dziewczyna wylądowała miękko jak kot i podeszła do niego. Skupił się na kostce.

- Co to jest? - spytała.

Spojrzał na dziewczynę, potem na kostkę i znów na dziewczynę.

- To?

- Tak.

- Nie wiesz?

- Nie.

- To kostka Rubika.

- Co?

Oskar wymówił nazwę przesadnie dokładnie.

- Kostka Ru-bi-ka.

- Co to takiego?

Wzruszył ramionami.

- Zabawka.
- Układanka?
- Tak.

Podał kostkę dziewczynie.

- Chcesz spróbować?

Wzięła kostkę z jego dłoni, odwróciła ją, przyglądała się ze wszystkich stron. Oskar roześmiał się. Przypominała małą badającą owoc.

- Nigdy nie widziałas takiej kostki?
- Nie. Co się z nią robi?
- Patrz...

Oskar wziął kostkę, dziewczyna usiadła obok niego. Pokazał, jak należy kręcić płaszczyznami, i wytłumaczył, że wszystkie boki powinny być w tym samym kolorze. Dziewczyna odebrała mu kostkę i zaczęła przekręcać.

- Widzisz kolory?
- Oczywiście.

Zerkał na nią, kiedy była zajęta kostką. Miała na sobie ten sam różowy golf co wczoraj, nie potrafił zrozumieć tego, że nie jest jej zimno. On zaczynał już marznąć od samego siedzenia, a przecież miał na sobie kurtkę.

Oczywiście.

Dziwnie mówiła. Jak dorosły. Może mimo drobnej budowy jest od niego starsza? Chuda, biała szyja, wyraźnie zarysowana szczęka. Jak u manekina.

Wiatr powiał w kierunku Oskara. Przełknął ślinę, zaczął oddychać nosem. Manekin cuchnął.

Czy ona nigdy się nie myje?

Ale to było coś gorszego niż odór starego potu. Tak śmierdzi zainfekowana rana, kiedy odwinie się bandaż. A jej włosy...

Odważył się przyrzeć jej dokładniej, bo wciąż była pochłonięta kostką. I zobaczył, że jej włosy są lepkie, splątane, brudne. Jakby upadła je klejem, albo... gliną.

Patrząc na nią, przez przypadek wciągnął powietrze nosem i zebrało mu się na wymioty. Wstał, podszedł do huśtawek, usiadł. Nie dało się wytrzymać obok niej. Dziewczyna chyba się tym nie przejmowała.

Po chwili podniósł się i wrócił do niej. Wciąż była pochłonięta kostką.

- Wiesz, muszę iść do domu.
- Uhm.
- Ale kostka...

Dziewczyna zamarła. Chwilę się wahała, po czym bez słowa zwróciła mu zabawkę. Oskar spojrział na nią, chciał zwrócić jej kostkę.

- Mogę ci ją pożyczyć. Do jutra.
- Nie wzięła.
- Nie.
- Dlaczego?

- Jutro może mnie tu nie być.
- No to oddasz mi pojutrze.

Zastanowiła się. I wzięła kostkę.

- Dziękuję. Pewnie jednak będę tu jutro.
- Tutaj?
- Tak.
- No to cześć.
- Cześć.

Kiedy się odwrócił, znów usłyszał łagodne trzaski kostki. Najwyraźniej zamierzała tu zostać, w tym swoim cienkim golfiku. Jej mama i tata muszą chyba być... dziwni, skoro pozwalają jej tak chodzić. Może dostać zapalenia pęcherza.

- Gdzie byłeś?
- Wyszedłem.
- Jesteś pijany.
- Tak.
- Umawialiśmy się, że z tym skończysz.
- My? Ty to powiedziałaś. Co to jest?
- Układanka. Niedobrze, że...
- Skąd ją masz?
- Pożyczyłam. Håkan, musisz...
- Od kogo?
- Håkan. Nie rób tak.
- To mnie uszczęśliwi.
- Co mam zrobić?
- Pozwól, żebym cię dotknął.
- Dobrze. Pod jednym warunkiem.
- Nie. Nie chcę warunków.
- Jutro. Musisz.
- Nie. Wykluczone. Jak to, „pożyczyłaś”? Nigdy niczego nie pożyczasz.

Co to jest?

- Układanka.
- Nie masz dość układanek? Bardziej zależy ci na układankach niż na mnie. Od kogo ją dostałaś? Od kogo ją dostałaś?!
- Håkan, przestań.

- Jestem taki nieszczęśliwy.
- Pomóż mi. Jeszcze jeden raz. Wzmocnię się i nie będę potrzebowała twojej pomocy.
- No właśnie.
- Przecież nie chcesz tego.

- Do czego jestem ci potrzebny?
- Kocham cię.
- Wcale nie.
- Ależ tak. Na swój sposób.
- Nie. Albo się kogoś kocha, albo się nie kocha.
- Naprawdę?
- Tak.
- No to nie wiem.

SOBOTA

24 PAŹDZIERNIKA

Tajemnica przedmieść polega na braku tajemnicy

Johan Eriksson

W SOBOTNI PORANEK POD DRZWIAMI MIESZKANIA OSKARA leżały trzy paki ulotek reklamowych. Mama jak zwykle pomogła mu je poskładać. Trzy różne ulotki w zestawie, razem czterysta osiemdziesiąt zestawów. Za każdy dostawał średnio osiemnaście öre. Najgorzej płacili za pojedyncze, siedem öre, najlepiej, dwadzieścia pięć öre, za pięć, ale to wymagało żmudnego składania.

Nie musiał iść daleko, bo na jego terenie stały wysokie bloki. Zostawiał tam sto pięćdziesiąt ulotek na godzinę. Cała tura zabierała mu około czterech godzin, łącznie z powrotem do domu po nową partię. Jeśli zdarzała się tura, gdzie miał po pięć ulotek w zestawie, musiał obracać dwa razy.

Ulotki trzeba było roznieść najpóźniej do wtorku wieczorem, ale zwykle załatwiał to w sobotę. Żeby mieć z głowy.

Składał ulotki na podłodze w kuchni i pakował, mama pracowała przy stole. Nie było to szczególnie zabawne zajęcie, ale lubił chaos, jaki przy tej okazji powstawał w kuchni. Wielki bałagan, który z czasem zamieniał się w porządek, w dwa, trzy, cztery pełne papierowe torby porządnie złożonych ulotek.

Mama włożyła jeszcze jedną kupkę ulotek do torby, pokręciła głową.

- Właściwie wcale mi się to nie podoba.
- Co?
- No bo gdyby na przykład ktoś otworzył drzwi albo... nie wolno ci...

- Jasne, dlaczego miałbym wchodzić?
- Jest tylu dziwnych ludzi.
- Tak.

Ta rozmowa odbywała się, w takiej czy innej formie, co sobotę. W ten piątek wieczorem mama uznała, że nie powinien w ogóle roznosić ulotek z powodu mordercy. Ale Oskar przysiągł na wszystko, że będzie wrzeszczał, jeśli tylko ktoś się do niego odezwie, i mama ustąpiła.

Nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś chciał go zaprosić do środka. Kiedyś jakiś facet wybiegł za nim i skrzyczał go za to, że „zasypuje go takim gównem”. Od tego czasu przestał wrzucać ulotki do jego skrzynki. Facet nigdy się nie dowie, że mógł się ostrzyc za jedne dwieście koron w damskim salonie fryzjerskim.

O wpół do dwunastej wszystkie ulotki były poskładane i ruszył w drogę. Nie mógł wyrzucić ich do śmietnika, bo dzwonili i wyrykowo sprawdzali. Wpojono mu to, kiedy zgłosił się do pracy jakieś pół roku temu. Może był to tylko bluff, ale wolał nie ryzykować. Zresztą nie miał właściwie nic przeciwko tej pracy. W każdym razie nie podczas pierwszych dwóch godzin.

Wtedy na przykład udawał, że jest agentem, któremu zlecono specjalną misję, miał szerzyć propagandę skierowaną przeciwko wrogowi, który podbił kraj. Biegał między klatkami, zachowując czujność, bo żołnierze wroga mogli się przecież przebrać za dobroduszne pańcie z pieskami.

Albo wyobrażał sobie, że każdy dom to głodne zwierzę, sześcioogłowy smok, którego jedynym pożywieniem są dziewice przebrane za ulotki reklamowe. Ulotki krzyczały w jego rękach, kiedy je wtykał w paszczę potwora.

Podczas ostatnich dwóch godzin - dzisiaj było to już w trakcie drugiej tury - wyciszał się. Nogi i ręce mechanicznie robiły swoje. Postawić torbę, wsunąć sześć zestawów pod pachę, wejść na klatkę, odchylić klapę skrzynki lewą ręką, prawą włożyć ulotkę, drugie drzwi... i tak dalej.

Kiedy wreszcie doszedł do własnej klatki, do drzwi dziewczyny, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Cicho grało radio. To wszystko. Włożył ulotkę i czekał. Nikt po nią nie przyszedł.

Zwykle kończył na własnych drzwiach, wkładał ulotkę, otwierał drzwi, podnosił ulotkę i wrzucał ją do kosza na śmieci.

Koniec na dzisiaj. Był bogatszy o sześćdziesiąt siedem koron.

Mama pojechała do Vällingby na zakupy. Oskar miał mieszkanie dla siebie. Nie bardzo wiedział, co robić.

Otworzył szuflady w szafce pod zlewem, zajrzał do środka. Sztućce, ubijaczki i termometr do piekarnika. W innej szufladzie długopisy i papier, przepisy kulinarne, które mama kiedyś zaczęła prenumerować, ale zrezygnowała, bo składniki potraw były bardzo drogie.

Przeszedł do dużego pokoju, otworzył szafkę.

Mamy szydełka - a może druty. Teczka z rachunkami i kwitami. Album ze zdjęciami, które oglądał mnóstwo razy. Stare tygodniki z ciągle

nierozwiązanymi krzyżówkami. Okulary do czytania w futerale. Kasetka z przyborami do szycia. Drewniana szkatułka z paszportami mamy i Oskara, ich nieśmiertelniki (chciał nosić swój na szyi, ale mama powiedziała, że to tylko na wypadek wojny), zdjęcie i obrączka.

Przeglądał szuflady i szafki w poszukiwaniu czegoś... Nie bardzo wiedział czego. Tajemnicy. Czegoś, co mogłoby coś zmienić. Żeby tak nagle, gdzieś w głębi jakiejś szafy znaleźć kawałek gnijącego mięsa. Albo nadmuchany balon. Cokolwiek. Coś obcego.

Wyjął zdjęcie i zaczął mu się przyglądać.

Z jego chrczin. Mama trzyma go na ręku, patrzy w obiektyw. Była wtedy taka szczupła. Oskar ma na sobie chrzcielną szatkę z długimi niebieskimi wstążkami. Obok mamy tata, wbity w niewygodny garnitur. Wygląda tak, jakby nie wiedział, co zrobić z rękami, ramiona trzyma przy sobie, jakby stał na baczność. Patrzy prosto na niemowlaka na ręku mamy. Słońce świeci na całą trójkę.

Oskar zbliżył zdjęcie do oczu, przyglądał się twarzy ojca. Wygląda dumnie. Patrzy dumnie i... z góry. Jak mężczyzna, który cieszy się, że został ojcem, ale nie wie, jak się zachować. Jak to się robi. Można było odnieść wrażenie, że po raz pierwszy widzi syna, mimo że Oskar miał już pół roku.

Mama natomiast trzyma Oskara pewnie, spokojnie. Patrzy w obiektyw nie tyle z dumą, ile... podejrzliwie. Nie zbliżaj się, mówi jej wzrok. Bo odgryzę ci nos.

Tata lekko się pochyła, jakby chciał podejść bliżej, ale nie ma odwagi. Zdjęcie nie przedstawiało rodziny. Przedstawiało chłopca i jego mamę. A obok nich był mężczyzna, prawdopodobnie ojciec. Sądząc po wyrazie twarzy.

Jednak Oskar kochał ojca, mama też go kochała. W pewnym sensie. Mimo tego... jak było. Tego, co zaszło.

Oskar wyjął obrączkę i przeczytał, co było wygrawerowane na jej wewnętrznej stronie: „Erik 22/4 1967”.

Rozwiedli się, kiedy Oskar miał dwa latka. Żadne nie znalazło dotąd nikogo innego. „Nie zdarzyło się”. Oboje używali tego wyrażenia.

Odłożył obrączkę na miejsce, zamknął drewnianą szkatułkę i schował do szafy. Zastanawiał się, czy mama kiedykolwiek oglądała obrączkę; dlaczego ją zachowała. W końcu to złoto. Na pewno z dziesięć gramów. Warto jakieś czterysta koron.

Oskar włożył kurtkę, wyszedł na podwórze. Zaczynało się ściemniać, chociaż była dopiero czwarta. Wykluczone, żeby teraz poszedł do lasu.

Obok klatki przechodził Tommy, zatrzymał się, kiedy zobaczył Oskara.

- Cze...

- Cze...

- Co robisz?

- Roznosiłem ulotki, a teraz... nie wiem.

- Da się na tym zarobić?

- Tak sobie. Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt koron.

Tommy skinął głową.

- Chcesz kupić walkmana?

- Nie wiem. Jakiej marki?

- Sony. Za pięć dych.

- Nowy?

- Tak, w opakowaniu. Ze słuchawkami. Pięć dych.

- Nie mam tyle forsy.

- Powiedziałeś, że zarabiasz siedemdziesiąt, osiemdziesiąt koron.

- Zgadza się, ale płacą mi raz w miesiącu. Dostanę za tydzień.

- Okej. Możesz wziąć go teraz. Dasz mi forszę, kiedy będziesz miał.

- Dobrze...

- Okej. Zaczekaj tam, pójdę i przyniosę.

Tommy zrobił ruch głową w kierunku placu zabaw. Oskar usiadł na ławce. Zaraz jednak wstał, podszedł do drabinek, rozejrzał się. Ani śladu dziewczyny. Szybko wrócił do ławki i usiadł, jakby zrobił coś zabronionego.

Po chwili przyszedł Tommy i podał mu pudełko.

- Pięć dych za tydzień, tak?

- Mhm.

- Czego słuchasz?

- Kiss.

- A co masz?

- *Alive*.

- Nie masz *Destroyer*? Mogę ci pożyczyć, jeśli chcesz. Przegrasz sobie.

- Fajnie.

Oskar miał dwupłytowe wydanie *Alive Kiss*, kupił je kilka miesięcy temu, ale nigdy go nie słuchał. Głównie oglądał zdjęcia z koncertu. Wyglądali super z tymi pomalowanymi twarzami. Żywe potwory. Podobała mu się *Beth*, którą śpiewał Peter Criss, ale pozostałe kawałki były zbyt... jakby nie było w nich melodii. Może *Destroyer* jest lepszy.

Tommy wstał. Oskar ścisnął pudełko.

- Tommy?

- Tak? '

- Ten chłopak. Ten zamordowany. Wiesz może... jak został zamordowany?

- Wiem. Ktoś go powiesił na drzewie i poderznął mu gardło.

- Nie został pchnięty... nożem? Nie zadźgał go?

- Nie, poderznął mu gardło. Ciach.

- Okej.

- Coś jeszcze?

- Nie.

- Na razie.
- Cześć.

Oskar siedział jeszcze jakiś czas na ławce, rozmyślając. Niebo było ciemnofioletowe, pierwsza gwiazda - może to Wenus? - była już wyraźnie widoczna. Wstał, musi schować walkmana, zanim mama wróci do domu.

Wieczorem spotka się z dziewczyną, odbierze swoją kostkę. Żaluzje wciąż były opuszczone. Czy ona naprawdę tam mieszka? Co oni robią tam całymi dniami? Czy ona ma jakichś znajomych?

Pewnie nie.

- Dzisiaj wieczorem...
- Co ty zrobiłaś?
- Umyłam się.
- Zwykle tego nie robisz.
- Håkan, dzisiaj wieczorem musisz...
- Powiedziałem: nie.

- Proszę?
- Nie chodzi o... Wszystko, byle nie to. Tylko powiedz. Zrobię to. Weź ode mnie, na litość boską. Tu jest nóż. Nie? Dobrze, więc ja...

- Przestań!
- Dlaczego? Już wolę tak. Dlaczego się umyłaś? Pachniesz... mydłem.
- Co mam zrobić?
- Nie mogę!
- Nie.
- Co zamierzasz?
- Sama pójdę.
- Ta kąpiel była konieczna?
- Håkan...
- Pomogę ci we wszystkim, ale nie w tym. Co chcesz, żebym...
- Dobrze, już dobrze.
- Wybacz.
- Tak.
- Bądź ostrożna.

Kuala Lumpur, Phnom Penh, Mekong, Rangoon, Chung-king...

Oskar patrzył na kartkę, którą właśnie wypełnił, praca domowa na weekend. Nazwy nic mu nie mówiły, były jedynie zlepkiem liter. Znajdował pewne zadowolenie w szukaniu ich w atlasie; dowiadywał się, że rzeczywiście istnieją takie miasta i rzeki w miejscach zaznaczonych na kartce, ale...

Tak, miał się nauczyć ich na pamięć, a mama miała go potem odpytać. Powinien wskazywać na kropki, wypowiadając obce słowa. Chung-king, Phnom

Penh. Mama będzie pod wrażeniem. To nawet dość zabawne, te dziwne nazwy tych odległych miejsc, ale...

Poco?

W czwartej klasie dostawali arkusze z geografii Szwecji. Wtedy też uczył się wszystkiego na pamięć. Był w tym dobry. Był. A teraz?

Próbował przypomnieć sobie nazwę choćby jednej szwedzkiej rzeki.

Askan, Vaskan, Piskan...

Coś w tym rodzaju. Atran, może. Tak. Ale gdzie ona leży? Nie miał pojęcia. Tak samo będzie z Chung-kingiem i Rangoonem za kilka lat.

Wszystko jest bez sensu.

Te miejsca w ogóle nie istnieją. A gdyby istniały... to on i tak nigdy tam nie pojedzie. Chung-king? Co miałyby tam robić? To tylko duża biała plama z małą kropką.

Przyglądał się prostym liniom, na których balansowało jego dziecinne pismo. Na tym polegała szkoła. Nic dodać, nic ująć. Szkoła. Kazali im robić mnóstwo rzeczy, a oni je robili. Te miejsca powstały po to, żeby nauczyciele mogli zadawać im prace domowe. Nic nie znaczą. Równie dobrze mógłby napisać „Tjippiflax, Bubbelibang i Spitt”. To było bez znaczenia.

Jedyna różnica polegałaby na tym, że pani powiedziała, że źle napisał. Że nie tak się nazywają. Wskazałaby na mapę i powiedziała: „Spójrz, to jest Chung-king, nie Tjippiflax”.

Słaby dowód. Ktoś po prostu wymyślił wszystko to, co było w atlasie. Może ziemia jest płaska, tylko z jakiejś przyczyny utrzymuje się to w tajemnicy.

Statki, które spadają. Smoki.

Oskar wstał od stołu. Arkusz był gotów, wypełniony literami, które pani uzna. To wszystko.

Było po siódmej, może dziewczyna już wyszła? Przynął twarz do szyby, złożył ręce, żeby móc patrzeć w mrok. Coś chyba się rusza na placu zabaw?

Poszedł do przedpokoju. Mama siedziała w dużym pokoju i robiła na drutach albo szydełkowała.

- Wychodzę na chwilę.
- Znów? Miałam cię przepytac.
- Dobrze. Później.
- Z Azji?
- Co?
- Ten arkusz. To była Azja.
- Chyba tak. Chung-king.
- Gdzie to jest? W Chinach?
- Nie wiem.
- Nie wiesz? Przecież...
- Niedługo wrócę.
- Dobrze. Uważaj na siebie. Masz czapkę?

- Tak.

Oskar wepchnął czapkę do kieszeni kurtki i wyszedł. W połowie drogi na plac zabaw jego oczy przyzwyczały się do ciemności i zobaczył, że dziewczyna siedzi na drabinkach. Stał przed nią z rękami w kieszeniach.

Dzisiaj wyglądała inaczej. Wciąż miała na sobie różowy golf- czyżby nie miała nic innego? - ale włosy nie były już tak poczochrane. Były gładkie, czarne, układały się wokół głowy.

- Cze....
- Cześć.
- Cześć.

Nigdy w życiu nie powie już nikomu „cze...” Brzmiało to niewiarygodnie głupio. Dziewczyna wstała.

- Wejdz tu.
- Okej.

Oskar wdrapał się na drabinki, stanął obok niej, dyskretnie wciągnął powietrze nosem. Już nie śmierdziała.

- Ładniej pachnę?

Oskar się zarumienił. Dziewczyna zaśmiała się i coś mu podała. Jego kostka.

- Dzięki za pożyczenie.

Oskar spojrzał na kostkę. Spojrzał jeszcze raz. Podniósł ją do światła, odwrócił, obejrzał ze wszystkich stron. Ułożona. Wszystkie boki były jednobarwne.

- Rozebrałaś ją?
- Jak to?
- No... rozłożyłaś na części... i ułożyłaś tak, jak trzeba.
- A można tak?

Oskar obmacał kostkę, chcąc się upewnić, czy sześcianiki nie obluzowały się po rozłożeniu. Sam też raz tak zrobił i zdziwił się, jak niewiele ruchów wystarczy, żeby się pogubić i nie ułożyć boków kolorami. Nie, nie były obluzowane, ale przecież chyba jej nie ułożyła?

- Na pewno ją rozebrałaś.
- Nie.
- Mówiłaś, że wcześniej jej nie widziałaś.
- To prawda. Fajna zabawa. Dziękuję.

Oskar trzymał kostkę przed oczami, jakby oczekiwał, że opowie mu, jak to się stało. To dziwne, ale nie wątpił, że dziewczyna nie kłamie.

- Ile czasu ci to zajęło?
- Kilka godzin. Teraz poszłoby mi szybciej.
- Niewiarygodne.
- Nie było takie trudne.

Odwróciła się do niego. Jej źrenice były tak duże, że wypełniały prawie całe oczy, światło z bramy odbijało się w ich czarnej tafli; jakby gdzieś daleko w jej głowie było miasto.

Golf, podciągnięty wysoko na szyję, dodatkowo podkreślał jej łagodne rysy; wyglądała jak... postać z komiksu. Jej twarz była jakby wycięta drewnianym nożem do smarowania masła, szlifowanym papierem ściernym tak długo, aż drewno stawało się gładkie jak jedwab.

Oskar chrząknął.

- Ile masz lat?
- A jak myślisz?
- Czternaście, piętnaście.
- Na tyle wyglądam?
- Tak. To znaczy nie, ale...
- Mam dwanaście.
- Dwanaście!

Bicie dzwonów, radość. Prawdopodobnie jest młodsza od Oskara, który za miesiąc kończy trzynaście lat.

- Kiedy masz urodziny?
- Nie wiem.
- Nie wiesz? Ale... przecież masz urodziny?
- Nie obchodzę ich.
- Twoja mama i tata chyba wiedzą!
- Nie, moja mama nie żyje.
- Ojej. Na co umarła?
- Nie wiem.
- A twój tata... nie wie?
- Nie.
- Więc... nie dostajesz żadnych prezentów i w ogóle?

Zrobiła krok w jego stronę. Para z jej ust zasłoniła mu twarz; światła miasta w jej oczach znikły, kiedy weszła w cień Oskara. Źrenice - dwa ogromne węgielki w jej twarzy.

Jest smutna. Bardzo, bardzo smutna.

- Nie, nie dostaję prezentów. Nigdy.

Oskar pokiwał wolno głową. Świat wokół przestał istnieć. Były tylko dwie czarne dziury na odległość oddechu. Para z ich ust mieszała się, unosiła, rozpląwała.

- Chciałbyś dać mi prezent?
- Tak.

Jego głos nie był nawet szeptem. Jedynie oddechem. Twarz dziewczyny była blisko. Jego wzrok przyciągał jej policzek, jedwabisty jak drewniany nóż do smarowania chleba.

Dlatego nie zauważył, jak nagle zmieniły się jej oczy, zwięzły, nabrały innego wyrazu. Jak górna warga uniosła się, odsłaniając drobne, brudnobiałe kły.

Widział tylko jej policzek; kiedy jej zęby zbliżały się do jego szyi, podniósł rękę i pogładził ją po policzku.

Dziewczyna znieruchomiła, zadrżała i się cofnęła. Jej oczy odzyskały swój dawny wygląd, wróciły światła miasta.

- Co ty zrobisz?
- Przepraszam... ja...
- Co? Co zrobisz?
- Ja...

Oskar popatrzył na swoją dłoń, w której trzymał kostkę, rozluźnił chwyt. Ścisnął ją tak mocno, że jej brzegi zostawiły ciemne ślady na jego palcach. Wyciągnął dłoń w stronę dziewczyny.

- Chcesz? Mogę ci ją dać.
- Wolno pokręciła głową.
- Nie. Jest twoja.
- Jak... masz na imię?
- Eli.
- A ja Oskar. Jak powiedziałaś? Eli?
- ...tak.

Dziewczyna nagle stała się niespokojna. Spojrzenie miała rozbiegane, jakby szukała czegoś w pamięci, czegoś, czego nie mogła znaleźć.

- Ja... muszę już iść.

Oskar skinął głową. Dziewczyna przez kilka sekund patrzyła mu prosto w oczy, potem odwróciła się i zaczęła iść. Dotarła do górnej platformy zjeżdżalni i się zawahała. Po chwili zjechała i ruszyła w kierunku swojej klatki. Oskar ścisnął kostkę w dłoni.

- Przyjdiesz jutro?

Dziewczyna zatrzymała się, nie odwracając się, powiedziała cicho: „tak” - poszła dalej. Oskar śledził ją wzrokiem. Nie weszła do swojej klatki. Zniknęła w bramie.

Oskar spojrzął na kostkę w swojej dłoni. Niewiarygodne.

Przekręcił jeden kwadrat, żeby złamać jednolitość. Potem przekręcił go z powrotem. Niech tak zostanie. Przez jakiś czas.

Jocke Bengtsson chichotał sam do siebie, wracając z kina do domu. Cholernie śmieszny film, *Podróż towarzyska*. A zwłaszcza tych dwóch koleśków, którzy szukają Pepego Bodegi. I jak jeden przewozi drugiego, nawalonego jak stodoła, na wózku inwalidzkim przez „Invalido”. Cholernie zabawne.

Może powinien się wybrać w taką podróż z którymś z kumpli? Tylko z którym? Karlsson był tak nudny, że zęby bolały; zwariowałby po dwóch dniach. Morgan bywał niemiły, kiedy za dużo wypił, a tam na pewno by chlał, bo jest tanio. Larry był w porządku, ale cholernie kruchy. Pod koniec chyba rzeczywiście musiałyby go wozić na wózku inwalidzkim, „Invalido”.

Tylko Lacke wchodził w grę.

Mogliby spędzić fajny tydzień. Tyle że Lacke był biedny jak mysz kościelna, nigdy nie będzie go na to stać. Co wieczór siedział i napraszał się o piwo i fajki. W porządku, Jockemu to nie przeszkadzało, ale forsę na taką wyprawę na Kanary na pewno nie ma.

Musiał spojrzeć prawdzie w oczy, żaden z chłopaków od Chińczyka nie może mu towarzyszyć w podróży.

Może pojedzie sam?

Tak, Stig-Helmer tak właśnie zrobił. Najpierw czuł się zagubiony. A potem spotkał Olego. Zaczął kręcić z jakąś laską i w ogóle. Wcale nie taki głupi pomysł. Minęło osiem lat, kiedy Maria od niego odeszła, zabierając ze sobą psa; od tego czasu nie był z nikim ani razu w biblijnym znaczeniu tego słowa.

Ale czy jest ktoś, kto by go jeszcze chciał? Może. Nie wyglądała aż tak paskudnie jak Larry, to zawsze coś. Chociaż alkohol na pewno zostawił swój ślad na twarzy i ciele, mimo że starał się to jakoś kontrolować. Dzisiaj na przykład nie wypił ani kropli, choć była prawie dziewiąta. Ale jak tylko wróci do domu, wychyli kilka dzinów z tonikiem, zanim pójdzie do Chińczyka.

A nad podróżą jeszcze się zastanowi. Pewnie skończy się tak jak wszystkie inne rzeczy, które zamierzał zrobić, albo o których myślał w ostatnich latach: nic, zero. Ale pomarzyć można.

Szedł parkową alejką między Holbergsgatan a szkołą. Było dość ciemno, lampy stały w odległości jakichś trzydziestu metrów od siebie, ale restauracja Chińczyka świeciła jak latarnia morska na wzgórzu po lewej.

A może by tak dzisiaj zaszaleć? Od razu pójdzie do Chińczyka i... Nie. Za drogo. Jeszcze pomyślał, że wygrał na loterii albo co i wezmą go za cholernego sknerę, jak im nie postawi kolejki. Lepiej najpierw iść do domu i coś wypić.

Minął pralnię; komin z samotnym czerwonym okiem, wewnątrz głuchy łoskot.

Pewnej nocy, kiedy wracał do domu nieźle napity, miał jakieś zwidy; zobaczył, jak komin odrywa się od budynku i sunie zboczem w jego stronę, warcząc i sycząc. Położył się na ziemi, skulił, zasłonił głowę rękami i czekał na uderzenie. Kiedy w końcu opuścił ramiona, komin stał tam, gdzie zawsze, okazały i nieruchomy.

Latarnia przy Björnsonsgatan nie paliła się, przejście pod mostkiem tonęło w ciemnościach. Gdyby był pijany, pewnie wybrałyby schody, mimo że nadłożyłyby drogi. Po pijaku zdarzało mu się widzieć różne niesamowite rzeczy. Dlatego zawsze spał przy zapalanej lampce. Ale teraz był trzeźwy.

Mimo to cholernie korciło go, żeby pójść schodami. Pijackie majaki przenikały do jego świata, nawet kiedy był trzeźwy. Zatrzymał się na ścieżce i próbował ocenić sytuację.

Zachowuję się jak jakiś paranoik...

„Bo, widzisz, Jocke, sprawa wygląda tak, że jeśli nie weźmiesz się w garść i nie pokonasz tego małego kawałka pod mostem, to nigdy nie pojedziesz na Kanary.

Jak to?

Zawsze się wycofujesz, wystarczy, że pojawi się najmniejszy problem. W każdej sytuacji idziesz po linii najmniejszego oporu. Myślisz, że zadzwonisz do biura podróży, załatwisz nowy paszport, kupisz rzeczy na podróż i w ogóle; że ruszysz w nieznaną, jeśli nie zdobędziesz się na przejście tego kawałka?

Coś w tym jest. Tylko co z tego? Jeśli przejdę pod mostem, czy to znaczy, że polecę na Wyspy Kanaryjskie, że coś z tego wyjdzie?

Przypuszczam, że jutro zadzwonisz i zamówisz bilet. Teneryfa, Jocke, Teneryfa”.

Jocke znów zaczął iść, głowę miał pełną słonecznych plaż i drinków z papierowymi parasolkami. Jasne, że pojedzie. Nie pójdzie dzisiaj do Chińczyka, nie. Zostanie w domu i przejrzy ogłoszenia. Osiem lat. Pora wziąć się w garść.

Myślał o palmach. Zastanawiał się, czy na Wyspach Kanaryjskich rosną palmy, czy widział je na filmie, kiedy usłyszał jakiś dźwięk. Czyjś głos. Stał pod sklepieniem mostu, nasłuchiwał. Od ściany łuku dobiegł jęk.

- Pomocy...

Jego oczy zaczynały się przyzwyczajać do ciemności, ale mógł jedynie rozróżnić kontury liści, które wiatr przywiał pod most, gdzie teraz leżały w wysokich stertach. Miał wrażenie, że słyszy głos dziecka.

- Halo? Jest tam ktoś?

- Pomocy...

Rozejrzał się dookoła. Żywej duszy w pobliżu. W ciemnościach coś zaszeleściło, dostrzegł jakiś ruch wśród liści.

- Proszę mi pomóc.

Miał wielką ochotę odejść. Ale to oczywiście niemożliwe. Coś stało się dziecku, może ktoś je napadł...

Morderca!

Morderca z Vällingby dotarł do Blackebergu, ale tym razem ofiara przeżyła.

A niech to!

Nie chciał zostać w to wciągnięty. Przecież wybiera się na Teneryfę i w ogóle. Ale nie miał wyjścia. Zrobił kilka kroków w kierunku, skąd dochodził głos. Liście szeleściły pod stopami, teraz widział już ciało. Leżało w pozycji embrionalnej wśród suchego listowia.

Do diabła, do diabła.

- Co się stało?

- Pomocy...

Oczy Jockego przywykły już do ciemności; widział jak dziecko wyciąga do niego białą rączkę. Było nagie, prawdopodobnie ktoś je zgwałcił. Kiedy

podszedł bardzo blisko, zobaczył, że jednak nie jest nagie, że ma na sobie jasnoróżowy golf. Wiek? Dziesięć, dwanaście lat. Może pobili go „koledzy”. Albo ją. Jeśli to dziewczynka, pobicie było mniej prawdopodobne.

Ukucnął obok dziecka, wziął jego rękę.

- Co ci się stało?

- Pomocy. Proszę mnie podnieść.

- Jesteś ranny?

- Tak.

- Co się stało?

- Proszę mnie podnieść...

- Chyba nic z plecami, co?

W wojsku był pielęgniarzem i wiedział, że nie wolno podnosić ludzi, którzy doznali urazu pleców czy karku, dopóki nie usztynni się głowy.

- Z plecami wszystko w porządku?

- Tak. Proszę mnie podnieść.

Co, u licha, ma zrobić? Jeśli weźmie dzieciaka do siebie do domu, policja gotowa pomyśleć, że...

Zabierze go albo ją do Chińczyka i stamtąd zadzwoni po karetkę. Tak. Tak robi. Dziecko było drobne i szczupłe, to pewnie dziewczynka; mimo że nie był w najlepszej formie, przypuszczalnie da radę ją zanieść.

- Okej. Zaniosę cię tam, skąd będzie można zadzwonić, okej?

- Dobrze... dziękuję.

To „dziękuję” ukłuło go w serce. Jak mógł się wahać? Co za drań z niego. No, ale poszedł po rozum do głowy i pomoże małej. Wsunął lewą rękę pod jej kolana, prawą włożył pod szyję.

- W porządku. Już cię podnoszę.

- Mhm.

Prawie nic nie ważyła. Góra dwadzieścia pięć kilogramów. Dźwignął ją z łatwością. Może jest niedożywiona. Podłe warunki w domu, głodówka. Może ktoś się nad nią znęcał, ojczym albo ktoś inny. Cholera.

Dziewczynka zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła policzek do jego ramienia. Już on się wszystkim zajmie.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

Uśmiechnął się. Przeszło go ciepło. Jest dobrym człowiekiem. Mimo wszystko. Wyobrażał sobie miny kumpli, kiedy wejdzie z dziewczynką do restauracji. Najpierw będą się zastanawiać, co narozrabiał, a potem powiedzą z uznaniem: „Dobrze się spisałeś, Jocke” - i tak dalej.

Odwracał się, żeby ruszyć do Chińczyka, pochłonięty fantazjami o nowym życiu, o odbijaniu się od dna, kiedy nagle poczuł ból na szyi. Co u licha? Jakby użądliła go osa. Chciał unieść lewą rękę, odgonić ją, dotknąć tego miejsca. Ale Przecież nie mógł upuścić dziecka.

Głupio próbował schylić głowę, żeby zobaczyć, co to było, chociaż pod tym kątem nic by nie zobaczył. Poza tym nie mógł schylić głowy, bo dziewczynka wpiła się w jego szyję. Objęła go mocniej, ból się nasilił. Teraz zrozumiał.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Czuł, jak usta dziewczynki otwierają się i zamykają na jego szyi, a ból narasta. Po piersi spłynęła ciepła strużka.

- Przestań!

Puścić dziewczynkę. Nie była to jakaś przemyślana reakcja, tylko odruch: musi się pozbyć tego ścierwa.

Ale dziewczynka nie spała. Mocniej objęła go za szyję i trzymała w żelaznym uścisku. Boże, ile siły było w tym małym ciałku! Nogami opasała jego biodra, jakby ktoś złapał go dłonią i trzymał jak lalkę; jej szczęki wciąż się poruszały.

Jocke chciał odepchnąć jej głowę, ale równie dobrze mógł próbować gołymi rękami zrywać świeżą hubę z brzozy. Jakby się do niego przykleiła. Jej chwyt był tak silny, że zaczynało mu brakować powietrza w płucach; nie mógł oddychać.

Zachwiał się i odchylił do tyłu, z trudem łapał oddech.

Szczęki dziewczynki przestały się poruszać, teraz słychać było tylko ciche siorbanie. Ani na chwilę nie zwolniła uścisku, przeciwnie, kiedy zaczęła ssać, ścisnęła go jeszcze mocniej. Cichy trzask i jego pierś przeszył ból. Pękło kilka żeber.

Nie miał dość powietrza, żeby krzyczeć. Bezsilnie okładał głowę dziewczyny pięściami, zataczając się wśród suchych liści. Świat zawirował. Dalekie latarnie parkowe tańczyły mu przed oczami jak świetliki.

Stracił równowagę i upadł na plecy. Ostatni dźwięk, jaki usłyszał, to szelest miażdżonych liści. Ułamek sekundy później jego głowa dotknęła bruku i świat zniknął.

Oskar nie spał, leżał w łóżku i przyglądał się tapecie.

Razem z mamą oglądali *Muppety*, ale nie mógł skupić się na akcji. Miss Piggy wpadła w złość, Kermit szukał Gonzo. Któryś ze zgredów zleciał z balkonu. Oskarowi umknęło dlaczego. Myślami był gdzie indziej.

Potem on i mama pili gorącą czekoladę i jedli maślane bułeczki. Oskar pamiętał, że rozmawiali, ale o czym? Chyba o pomalowaniu ławy w kuchni na niebiesko.

Wpatrywał się w tapetę. Ściana, przy której stało jego łóżko, była wyklejona fototapetą: polana w dużym lesie, grube pnie drzew i zielone liście. Zwykle wyobrażał sobie różne stworzenia wśród listowia tuż obok jego głowy. Dwa pojawiały się natychmiast, ledwie spojrzeł. Inne - dopiero kiedy się postarał.

Teraz ściana nabrała innego znaczenia. Po drugiej stronie, za lasem, była... Eli. Oskar przycisnął dłoń do zielonej powierzchni i usiłował sobie wyobrazić, co jest po drugiej stronie. Czy właśnie tam jest jej sypialnia? Czy leży

teraz w łóżku? Głaskał ścianę - policzek Eli, głaskał zielone liście, głaskał jej miękką skórę.

Głosy za ścianą.

Przestał głaskać tapetę i zaczął nasłuchiwać. Jeden głos wysoki, drugi niski. Eli i jej ojciec. Jakby się kłócili. Przyłożył ucho do ściany, żeby lepiej słyszeć. Do diabła. Przydałaby się szklanka. Wolał jednak po nią nie iść; rozmowa mogłaby się skończyć.

Co oni mówią?

Ojciec Eli był zły. Głosu Eli prawie nie słyszał. Oskar starał się zrozumieć słowa. Usłyszał tylko pojedyncze przekleństwa i „... .potwornie okrutne”, potem jakiś huk, jakby ktoś się przewrócił. Uderzył ją? Może widział, jak Oskar pogłaskał ją po policzku...?

Teraz mówiła tylko Eli. Oskar nie zrozumiał ani jednego słowa; słyszał jedynie łagodny ton jej głosu, który podnosił się i opadał. Czy mówiłaby tak, gdyby ojciec ją uderzył? Nie wolno mu jej bić. Jeśli ją uderzy, Oskar go zabije.

Pragnąłby przeniknąć przez ścianę jak Piorun, jego bohater. Zniknąć za ścianą, wejść w las i wyjść po drugiej stronie, zobaczyć, co tam się dzieje; sprawdzić, czy Eli potrzebuje pomocy, pocieszenia, czegokolwiek.

Teraz było cicho. Tylko serce waliło mu tak, że słyszał w uszach pulsowanie krwi.

Wstał z łóżka, podszedł do stołu, opróżnił z gumek plastikowy kubek, przytknął go do ściany i przywarł uchem do denka.

Usłyszał jedynie daleki hurkot, ale chyba nie z pokoju obok. Co oni robią? Wstrzymał oddech. Nagle rozległ się głośny trzask.

Strzał z pistoletu?

Wyciągnął pistolet i...

Nie, to trzasnęły drzwi wejściowe, aż ściany zadrżały.

Wyskoczył z łóżka i dopadł okna. Po kilku sekundach pojawił się mężczyzna. Ojciec Eli. Niósł w rękę torbę i szybkimi krokami, zagniewany, wszedł do bramy i zniknął.

Co mam robić? Iść za nim? Po co?

Wrócił do łóżka. Poniosła go wyobraźnia. Eli i jej ojciec się pokłócili. Oskar i jego mama też się niekiedy kłócili i mama też potrafiła wyjść w ten sposób, jak była naprawdę zła.

Ale nie w środku nocy.

Mama groziła czasem Oskarowi, że się wyprowadzi, jeśli będzie niedobry. Oskar wiedział jednak, że nigdy tego nie robi, a mama wiedziała, że Oskar to wie. Ojciec Eli posunął się chyba o krok dalej w tej grze. Wyniósł się w środku "nocy, z torbą i w ogóle.

Oskar leżał w łóżku, przyciskając dłonie i czoło do ściany.

Eli. Eli. Jesteś tam? Czy on cię skrzywdził? Jesteś smutna? Eli...

Usłyszał pukanie do drzwi i się wzdrygnął. Przez jedną szaloną chwilę przeleciało mu przez głowę, że może przyszedł ojciec Eli, żeby rozprawić się także z nim.

Ale to była mama. Weszła na palcach do pokoju Oskara.

- Oskar? Śpisz?
- Mhm.
- Chciałam tylko powiedzieć, że... mamy fajnych sąsiadów. Słyszałeś?
- Nie.

- Musiałaś słyszeć. Wrzeszczał, a potem trzasnął drzwiami jak jakiś szaleniec. Boże drogi. Może powinnam się cieszyć, że nie mam męża. Biedna kobieta. Widziałaś ją?

- Nie.
- Ja też nie. Ani jej, ani jego. Cały dzień mają opuszczone żaluzje. Pewno alkoholicy.
- Mamo.
- Tak?
- Chcę spać.
- Przepraszam, synku. Po prostu... Dobranoc. Śpij dobrze.
- Mhm.

Mama wyszła i cicho zamknęła drzwi. Alkoholik? Tak, to całkiem prawdopodobne.

Ojciec Oskara pił od czasu do czasu, dlatego on i mama nie byli razem. Ojciec też miewał podobne napady złości, kiedy był pijany. Co prawda nigdy nikogo nie bił, ale zdarzało się, że krzyczał, aż ochrypł, trzaskał drzwiami i niszczył rzeczy.

W jakiś sposób ta myśl go cieszyła. Niezbyt ładnie z jego strony, ale tak było. Jeśli ojciec Eli jest alkoholikiem, to coś ich łączy.

Przywarł czołem i dłońmi do ściany.

Eli, Eli. Wiem, jak się czujesz. Pomogę ci. Uratuję cię.

Eli...

Oczy były szeroko otwarte, wpatrywały się ślepo w sklepienie łuku. Håkan odgarnął suche liście, odsłaniając cienki, różowy golf Eli, który leżał na piersi mężczyzny. Wziął go, chciał powąchać, ale powstrzymał się, kiedy spostrzegł, że jest lepki.

Upuścił golf na pierś mężczyzny, wyjął piersiówkę i pociągnął trzy solidne łyki. Wódka musnęła mu gardło ognistymi językami, lizała żołądek. Liście zaszeleściły pod tyłkiem, kiedy usiadł na zimnym bruku, żeby przyjrzeć się zmarłemu.

Coś było nie tak z głową.

Zaczął grzebać w swojej torbie, znalazł latarkę. Sprawdził, czy nikt nie idzie parkową alejką zapalił latarkę i poświecił na mężczyznę. Błada, żółto-biała twarz, usta na wpół otwarte, jakby chciały coś powiedzieć.

Håkan przełknął ślinę. Sama myśl, że ten mężczyzna bardziej zbliżył się do jego ukochanej niż on sam, przepełniła go odrazą. Ręka znów zaczęła szukać piersiówki, chciał wypalić ten nagły strach, ale się powstrzymał.

Szyja.

Dookoła szyi mężczyzny biegła szeroka czerwona pręga. Håkan pochylił się i zobaczył ranę, którą Eli zrobiła, żebyssać krew.

Wargi na skórze. Ale to nie tłumaczyło pręgi... na szyi.

Håkan zgasił latarkę, wziął głęboki oddech, mimowolnie odchylił się do tyłu w ciasnej przestrzeni pod mostem i otarł się błyszczącą łysiną o cementowy łuk. Poczul piekący ból, zagryzł wargi.

Skóra na szyi mężczyzny pękła, bo... bo głowa została przekręcona. O trzysta sześćdziesiąt stopni. Kark był przetrącony.

Håkan zamknął oczy, oddychał powoli, żeby się uspokoić i stłumić chęć ucieczki, jak najdalej od... tego tutaj. Sklepienie uciskało mu głowę, pod sobą miał bruk. Po lewej i prawej stronie była parkowa alejka, na której mogli zjawić się ludzie, którzy zadzwonią na policję. A przed nim...

To jest tylko martwy człowiek.

Tak. Tylko ta... głowa.

Trudno było mu pogodzić się z faktem, że głowa była przekręcona. Odchylił się lub wręcz odpadnie, kiedy podniesie ciało. Skulił się i oparł czoło o kolana. Jego ukochana to zrobiła. Gołymi rękami.

Poczul, jak żołądek podchodzi mu do gardła, kiedy wyobraził sobie ten dźwięk. Trzask przekręcanej głowy. Nie chciał więcej dotykać tego ciała. Będzie tu siedział. Jak Belaqua u stóp czyścica, czekając na brzask, czekając na...

Kilka osób szło od stacji metra. Położył się wśród liści, tuż obok martwego mężczyzny, przycisnął czoło do zimnych kamieni.

Dlaczego? Dlaczego tak... z tą głową?

Zaraza. Nie może dotrzeć do systemu nerwowego. Ciało trzeba uprzętać. Tyle się dowiedział. Nie rozumiał. Teraz już rozumiał.

Kroki stały się szybsze, głosy słabły. Wchodzili po schodach. Håkan usiadł, patrzył na rysy martwej, pozbawionej wyrazu twarzy. Czy mężczyzna podniósłby się i otrzepał z liści, gdyby nie... ukręcona głowa?

Wydarł mu się z gardła mimowolny piskliwy śmiech, zabrzmiał jak ptasi trzel pod sklepieniem. Przycisnął dłoń do ust tak mocno, że poczul ból. Obraz. Ciało, które się podnosi i sennymi ruchami otrzepuje suche liście z kurtki.

Co zrobić z ciałem?

Trzeba się pozbyć około osiemdziesięciu kilogramów mięśni, tłuszczu, kości. Zemleć. Poćwiartować. Zakopać. Spalić.

Krematorium.

Jasne. Zanieś tam ciało, włamie się i potajemnie spali. Albo po prostu zostawi je przed bramą jak podrzutka, mając nadzieję, że ich żądza palenia jest tak duża, że machną ręką i nie zadzwonią na policję.

Nie. Było tylko jedno wyjście. Parkowa aleja prowadziła przez las, do szpitala. Nad wodę.

Wcisnął zakrwawiony golf pod kurtkę trupa, powiesił torbę na ramieniu i podłożył ręce pod kolana i plecy zmarłego. Podniósł się, zachwiał, utrzymał równowagę. Tak jak przypuszczał, głowa opadła do tyłu pod nienaturalnym kątem, szczęki zamknęły się ze stukiem.

Jak daleko było stąd do wody? Może kilkaset metrów. A jeśli ktoś nadejdzie? Będzie, co ma być. Będzie po wszystkim. W pewnym sensie tego chciał.

Ale nikt nie nadszedł. Pełzał po pniu wierzby pochylonej prawie równoległe do lustra wody, pocąc się tak, że jego ciało parowało. Dwa duże kamienie, które znalazł na brzegu, przywiązał sznurem do stóp trupa.

Z dłuższego kawałka sznura zrobił pętlę, którą założył na klatkę piersiową; odciągnął ciało jak najdalej od brzegu, po czym poluzował sznur i zwinął go.

Siedział jeszcze chwilę na pniu ze stopami zwisającymi nad wodą, patrzył w jej czarne lustro, coraz rzadziej marszczone bąbelkami.

Zrobił to.

Mimo zimna krople potu spływały mu do oczu; oczy piekły go, bolało całe ciało, nadwreżył mięśnie, ale zrobił to. Tuż pod jego stopami leżały zwłoki, ukryte przed światem. Nie istniały. Bąbelki przestały pokazywać się i nie było nic... nic, co wskazywałoby na to, że tam jest ciało.

W lustrze wody odbijało się kilka gwiazd.

CZEŚĆ DRUGA

ZNIEWAGA

*...i kierowały się ku miejscom, gdzie Martin nigdy nie był,
daleko za Tyska Botten i Blackeberg
- tam przebiegała granica znanego świata.*

Hjalmar Söderberg *Młodość Martina Bricka*
(tłum. Paweł Pollak)

*Kto dla leśnej driady serce swoje stracił,
ten stracił je na zawsze.
Do niej dusza jego tęsknić będzie
i innej miłości nigdy już nie zazna...*

Viktor Rydberg *Driada*

W NIEDZIELĘ GAZETY OPUBLIKOWAŁY WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW o morderstwie w Vällingby. Tytuł głosił:

Czy padł ofiarą rytualnego mordercy?

Zdjęcia chłopca, niecki w lesie. Drzewa.

Morderca z Vällingby nie był już na ustach wszystkich. Kwiaty w leśnej niecce zdążyły zwiędnąć, znicze zgasły. Biało-czerwone policyjne taśmy zostały zdjęte; zabezpieczono wszystkie ślady.

Niedzielny artykuł sprawił jednak, że dyskusja znów ożyła. Określenie „rytualny morderca” wskazywało, że może dojść do kolejnego takiego czynu, czyż nie? Rytuał to przecież coś, co się powtarza.

Wszyscy, którzy kiedyś tędy szli czy tylko byli w pobliżu, mieli coś do powiedzenia. Jak nieprzyjemnie jest w tej części lasu. Albo jak spokojnie i pięknie i kto by pomyślał.

Ludzie, którzy znali chłopca, choćby przelotnie, mówili, jakim był miłym młodym człowiekiem i jakim złym człowiekiem był morderca. Chętnie podawano morderstwo jako przykład zbrodni, w przypadku której kara śmierci wydaje się uzasadniona, nawet jeśli w zasadzie było się przeciwko niej.

Jednej rzeczy brakowało. Fotografii mordercy. Ludzie oglądali nic niemówiące zdjęcia leśnej niecki i uśmiechniętej twarzy chłopca. Brakowało zdjęcia tego, kto to zrobił, dlatego pisano po prostu o... zdarzeniu.

To nie było zadowalające.

W poniedziałek, dwudziestego szóstego października, policja przez radio i za pośrednictwem porannych gazet poinformowała, że zarekwirowano największą dotąd partię narkotyków w Szwecji. Ujęto pięciu Libańczyków.

Libańczyków.

To przynajmniej można było zrozumieć. Pięć kilogramów heroiny. I pięciu Libańczyków. Po jednym kilogramie na Libańczyka.

Na domiar złego, przemycając narkotyki, korzystali ze szwedzkiego systemu ubezpieczeń społecznych. Co prawda zdjęć Libańczyków też nie było, ale nie istniała taka potrzeba. Wiadomo przecież, jak wyglądają Libańczycy. Arabowie. I już.

Spekulowano, czy rytualnym mordercą nie jest cudzoziemiec. Wydawało się to prawdopodobne. Czy w krajach arabskich nie ma jakichś krwawych rytów? Islam. Wieszali dzieciom plastikowe krzyże na szyjach czy może coś innego. Wykorzystywali do usuwania min. Słyszało się o tym. Okrutni ludzie. Irańczycy, Irakijczycy. Libańczycy.

Jednak w poniedziałek policja przekazała portret pamięciowy mordercy, który zdążył się ukazać w popołudniówkach. Jakaś dziewczyna widziała mordercę. Nie spieszono się, pracując nad portretem, dołożono wszelkich starań.

Zwykły Szwed. Przypominał ducha. Pusty wzrok. Wszyscy byli zgodni, że tak właśnie wygląda morderca. Łatwo można było wyobrazić sobie, jak człowiek ten, z twarzą przypominającą maskę, skrada się lasem...

Wszyscy w zachodniej części miasta podobni do mężczyzny na portrecie musieli znosić długie, badawcze spojrzenia. Wracali do domów, przyglądali się sobie w lustrze i nie znajdowali żadnego podobieństwa. Ale leżąc wieczorem w łóżku, zastanawiali się, czy nie powinni zmienić swojego wyglądu. A może właśnie to wyda się podejrzane?

Niepotrzebnie się martwili. Już wkrótce będą myśleć o czym innym. Szwecja stanie się innym krajem. Znieważonym narodem. Tego właśnie słowa używano cały czas: zniewaga.

Podczas gdy ludzie, przypominający wyglądem postać z portretu pamięciowego, leżą w swoich łóżkach i zastanawiają się nad zmianą fryzury, sowiecki okręt podwodny osiada na mieliźnie tuż koło Karlskrony. Kiedy próbuje się uwolnić, silniki wyją, aż echo niesie się po wszystkich szkiełkach. Nikt nie wypływa, by to sprawdzić.

Okręt zostanie zauważony przez przypadek w środowy ranek.

ŚRODA

28 PAŹDZIERNIKA

PODCZAS LUNCHU W SZKOLE HUCZAŁO OD PLOTOK. Na krótkiej przerwie któryś z nauczycieli słuchał radia, powiedział o tym swojej klasie i na przerwie śniadaniowej wszyscy już wiedzieli.

Przyszli Rosjanie.

Głównym tematem rozmów dzieci w ostatnim tygodniu był morderca z Vällingby. Wielu go widziało, ktoś twierdził nawet, że został przez niego zaatakowany.

Widziano mordercę w każdym podejrzanym typie, który przechodził obok szkoły. Kiedy starszy mężczyzna w brudnym ubraniu przemknął przez szkolny dziedziniec, dzieci z krzykiem uciekły do szkoły. Kilku bardziej odważnych chłopców uzbroiło się w kije hokejowe i było gotowych go pobić. Na szczęście ktoś rozpoznał w mężczyźnie jednego z pijaczków z rynku. Pozwolono mu odejść.

A teraz zjawili się Rosjanie. Niewiele było o nich wiadomo. Wiedziano, że istnieli, podobnie jak Niemcy czy Bellman. Byli najlepsi w hokeju. Nazywali się Związek Radziecki. Oni i Amerykanie latali w kosmos. Amerykanie zbudowali bombę neutronową, żeby bronić się przed Rosjanami.

Oskar rozmawiał o tym z Johanem podczas przerwy śniadaniowej.

- Myślisz, że Rosjanie też mają bombę neutronową?

Johan wzruszył ramionami.

- Na mur. Może nawet jedna jest na tym okręcie podwodnym.

- Chyba trzeba mieć samolot, żeby zrzucić bomby?

- Nie, umieszczają je w raketach; można je odpalić gdziekolwiek.

Oskar spojrział w niebo.

- Na łodzi podwodnej też?

- Przecież mówię. Wszędzie.

- Ludzie umierają, a domy zostają.

- Dokładnie.

- Ciekawe, co ze zwierzętami.

Johan się zastanawiał.

- Pewnie też umierają. W każdym razie te większe.

Siedzieli na ławce przy piaskownicy, gdzie w tej chwili nie bawiły się żadne małe dzieci. Johan podniósł duży kamień i rzucił, aż piasek zawirował w powietrzu.

- Pach! Wszyscy umierają!

Oskar podniósł mniejszy kamień.

- Nie! Jeden przeżył! Pszzzz! Pocisk w plecy!

Rzucali kamieniami i żwirem, równali z ziemią wszystkie miasta, dopóki nie usłyszeli za sobą czyjś głos.

- Co wy, do diabła, robicie?

Odwrócili się. Jonny i Micke. To Jonny się odezwał. Johan puścił kamień, który trzymał w ręku.

- Nic, my tylko...

- Nie ciebie pytałem. Prosiak? Co robicie?

- Rzucamy kamieniami.

- Po co?

Johan zrobił krok do tyłu, zajął się wiązaniem sznurowadeł.

- Po... po nic.

Jonny spojrzął na piasek i wyciągnął rękę tak, że Oskar podskoczył.

- Tutaj bawią się szczeniaki. Nie dociera? Niszczysz im piaskownicę.

Micke pokiwał głową ze smutkiem.

- Mogą upaść i zranić się na tych kamieniach.

- Pozbieraj je, Prosiaku.

Johan nadal był zajęty sznurowadłami.

- Słyszysz, co mówię? Pozbieraj je.

Oskar stał nieruchomo, nie mógł się zdecydować, co zrobić. Jonny'emu oczywiście nie chodziło o piaskownicę. Tylko o to, co zawsze. Usunięcie wszystkich kamieni, które tam wrzucili, zajmie minimum dziesięć minut. Johan na pewno mu nie pomoże. Za chwilę skończy się przerwa.

Nie.

Słowo dotarło do Oskara jak objawienie. Podobnie jak po raz pierwszy wyowiada się słowo „bóg”, naprawdę myśląc o... Bogu.

Wyobraził sobie, jak zbiera kamienie, kiedy wszyscy są już w klasach, tylko dlatego, że Jonny mu kazał. Ale i coś jeszcze. Obok piaskownicy były drabinki, podobne do tych, które stały na podwórku Oskara.

Oskar pokręcił głową.

- Co jest?

- Nie.

- Jak to: nie? Czegoś chyba nie zrozumiałeś. Jak mówię, że masz je pozbierać, to masz to zrobić!

- Nie.

Rozległ się dzwonek. Jonny stał i patrzył na Oskara.

- Wiesz, czym to się skończy? Micke.

- Tak?

- Zajmiemy się nim po lekcjach.

Micke przytaknął.

- Na razie, Prosiaku.

Jonny i Micke weszli do szkoły. Johan wstał, skończył sznurować buty.

- Cholernie głupio postępujesz.

- Wiem.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo... - Oskar rzucił wzrokiem na drabinki. - Bo tak, po prostu.

- Idiota.

- Wiem.

Po lekcjach Oskar został w klasie. Położył dwie puste kartki na ławce, przyniósł encyklopedię, stojącą na regale, i zaczął kartkować.

Mamut... Medici... Mongoł... Morfeusz... Morse.

Właśnie. Tego szukał. Kropki i kreski alfabetu Morse'a zajmowały jedną czwartą strony. Dużymi, wyraźnymi literami zaczął zapisywać kod na kartce:

A = . -

B = - - ...

C = - - . - .

I tak dalej. Kiedy skończył, napisał to samo na drugiej kartce. Nie był zadowolony. Wyrzucił kartki i zaczął od początku, starał się dokładnie przepisać wszystkie znaki i litery.

Ważne było co prawda, żeby tylko jedna kartka była ładna, ta, którą dostanie Eli. Ale praca sprawiała mu przyjemność i dawała pretekst do pozostania dłużej w klasie.

Od tygodnia Eli i on spotykali się co wieczór. Wczoraj Oskar przed wyjściem z domu zapukał w ścianę i Eli mu odpowiedziała. Potem wyszli jednocześnie. Wtedy Oskar wpadł na pomysł, że powinni mieć jakiś sposób komunikowania się przez ścianę, a skoro alfabet Morse'a został już wynaleziony...

Przyglądał się zapisanym kartkom. Dobrze. Eli to się spodoba. Podobnie jak on lubiła układanki, systemy. Złożył kartki, schował do tornistra, oparł ręce o ławkę. Ssało go w żołądku. Zegar w klasie wskazywał dwadzieścia po trzeciej. Wyjął z ławki *Podpalaczką* Stephena Kinga i czytał do czwartej.

Chyba nie czekali na niego dwie godziny?

Gdyby pozbierał kamienie, jak kazał mu Jonny, byłby już teraz w domu. I nie musiałby się martwić. Pozbierać kilka kamieni to nie było najgorsze, co mogli kazać mu zrobić i co przecież wiele razy robił. Żałował.

A jeśli zrobię to teraz?

Może kara będzie łagodniejsza, jeśli jutro powie im, że został po lekcjach i...

Tak, tak robi.

Zebrał swoje rzeczy i ruszył do piaskownicy. Dziesięć minut i będzie po wszystkim. Kiedy jutro im o tym opowie, Jonny się roześmieje, poklepie go po głowie i powie „zuch świnka” albo coś w tym stylu. Ale to przecież nic takiego.

Zerknął na drabinki, postawił tornister i zaczął zbierać kamienie. Najpierw te duże. Londyn, Paryż. Wyobrażał sobie, że ratuje świat. Oczyszcza go z tych okropnych bomb neutronowych. Podnosił kamień, i ludzie, którzy przeżyli, wypełzali spod zrujnowanych domów jak mrówki z mrowiska. Ale bomby neutronowe nie uszkadzają domów. No to powiedzmy, że zrzucano też kilka bomb atomowych.

Kiedy szedł, żeby wyrzucić kolejny ładunek, zobaczył, że stoją. Nie słyssał, kiedy się zjawili, był zbyt zajęty zabawą. Jonny, Micke. I Tomas. Wszyscy trzymali w rękach długie, cienkie gałązki leszczyny. Jak pejcze. Jonny wskazał na jeden z kamieni.

- Ten.

Oskar puścił kamienie, które trzymał w rękach, i podniósł ten, który wskazał mu Jonny.

Jonny skinął głową.

- Dobrze. Czekaliśmy na ciebie, Prosiaku. Długo czekaliśmy.
- Aż przyszedł Tomas i powiedział, że tu jesteś - odezwał się Micke.

Oczy Tomasa były bez wyrazu. W szkole podstawowej Oskar i Tomas się przyjaźnili; często bawili się razem na podwórku Tomasa, ale po wakacjach między czwartą a piątą klasą Tomas się zmienił. Zaczął inaczej mówić, dorosłej. Oskar wiedział, że nauczyciele uważają Tomasa za najinteligentniejszego chłopca w klasie. Było to widać po sposobie, w jaki z nim rozmawiali. Tomas miał komputer. Chciał zostać lekarzem.

Oskar miał ochotę rzucić kamieniem, który trzymał w ręce, prosto w twarz Tomasa. W usta, które właśnie się otworzyły i zaczęły mówić.

- Nie uciekasz? No, rusz się, uciekaj.

Świsnęło, kiedy Jonny zamachnął się witką w powietrze. Oskar mocniej ścisnął kamień.

Dlaczego nie uciekam.

Już czuł piekący ból po uderzeniu w nogi. Gdyby tylko udało mu się dotrzeć do parkowej alejki; może będą tam jacyś dorośli, wtedy nie odważą się go bić.

Dlaczego nie uciekam?

Dlatego, że nie miałby szansy. Położyliby go na łopatki, zanim zdążyłby zrobić krok.

- Dajcie mi spokój.

Jonny odwrócił głowę, udawał, że nie usłyszał.

- Co powiedziałaś, Prosiaku?
- Dajcie mi spokój.

Jonny zwrócił się do Mickego.

- Chce, żebyśmy dali mu spokój.

Micke pokręcił głową.

- A przyszykowaliśmy takie ładne... - zaczął i zamachnął się witką. - Co o tym myślisz, Tomas?

Tomas patrzył na Oskara, jakby był szcurem, który miota się w pułapce.

- Myślę, że Prosiakowi przyda się małe lanie.

Było ich trzech. Mieli leszczynowe witki. Mieli przewagę. Mógłby rzucić kamieniem w twarz Tomasa. Albo pobić go, jeśli podejdzie bliżej. Potem musiałby się stawić na rozmowę u dyrektora i tak dalej. Ale na pewno spotkałby się ze zrozumieniem. Trzech z pejcami.

„Byłem... zdesperowany”.

Wcale nie był zdesperowany. Wręcz przeciwnie; kiedy podjął decyzję, poczuł spokój, mimo strachu. Niech go spiorą, byle tylko miał pretekst walnąć Tomasa kamieniem w tę jego obrzydliwą gębę.

Jonny i Micke ruszyli w jego kierunku. Jonny smagnął go po udzie; Oskar zgiął się wpół od piekącego bólu. Micke zaszedł go od tyłu i chwycił za rękę.

Nie.

Teraz nie będzie mógł rzucić kamieniem. Jonny smagnął go po nogach, okręcił się jak Robin Hood na filmie, znów uderzył.

Nogi piekły go z bólu. Szarpał się, ale nie mógł się uwolnić z uchwytu Mickiego. Łzy napłynęły mu do oczu. Krzyczał. Jonny po raz ostatni smagnął go z całych sił po nogach, witka dotknęła niechcący nogi Mickiego. Micke krzyknął: „Uważaj, do diabła!”, ale nie rozluźnił chwytu.

Łza spłynęła po policzku Oskara. To niesprawiedliwe! Przecież pozbiierał kamienie, ugiął się, więc dlaczego robią mu krzywdę?

Kamień, który cały czas ścisnął, wypadł mu z dłoni. Oskar rozpłakał się na dobre.

Jonny odezwał się współczująco:

- Prosiak się mazgai.

Jonny wydawał się zadowolony. Koniec. Dał znak Mickemu, żeby go puścił. Oskar cały się trząsał od płaczu i z bólu. Kiedy podniósł głowę i spojrzał na nich, miał oczy pełne łez. Wtedy usłyszał głos Tomasa:

- Aja?

Micke znów chwycił rękę Oskara, który jak przez mgłę widział zbliżającego się Tomasa. Pociągając nosem, powiedział:

- Nie rób tego. Proszę.

Tomas zamachnął się i uderzył. Jeden raz. Twarz Oskara eksplodowała; szarpnął tak mocno, że Micke poluzował chwyt, puścił go i powiedział:

- Tomas, do cholery. To było...

Jonny był zły.

- Teraz ty będziesz rozmawiał z jego starą.

Oskar nie usłyszał, co Tomas odpowiedział. Jeśli w ogóle coś odpowiedział.

Ich głosy znikły w oddali, zostawili go w piasku. Piekł go lewy policzek. Piasek był zimny, chłodził jego nogi. Chciał przyłożyć policzek do piasku, wiedział jednak, że nie powinien tego robić.

Leżał tak długo, że zaczął marznąć. Wtedy usiadł, dotknął ostrożnie policzka. Na palcach miał krew.

Poszedł do toalety na szkolnym boisku, spojrzał w lustro. Policzek był spuchnięty, pokryty nie do końca zakrzepłą krwią. Tomas musiał uderzyć go z całej siły. Umył policzek i znów spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Rana przestała krwawić, nie była głęboka. Ale szła prawie przez cały policzek.

Mama. Co ja jej powiem...

Prawdę. Potrzebował pocieszenia. Za godzinę mama wróci do domu. Wtedy powie, co mu zrobili, a ona wyjdzie z siebie ze złości i będzie go tulić i tulić; on utonie w jej objęciach i w jej łzach; razem będą płakać.

Potem mama zadzwoni do mamy Tomasa.

Potem mama zadzwoni do mamy Tomasa, pokłóci się z nią, a potem się rozpłacze, opowiadając, jaka niemiła była mama Tomasa, a potem...

Roboty ręczne.

Na zajęciach zdarzył się wypadek. Nie. Mama może przecież zadzwonić do nauczyciela.

Oskar studiował ranę w lustrze. Jak to się mogło stać? Spadł z drabinek. Mało prawdopodobne, ale mama pewnie uwierzyłaby. Będzie mu współczuła, pocieszała, ale nie podejmie żadnych dalszych kroków. Drabinki.

Poczuł zimno w spodniach. Rozpiął je, spojrzął w dół. Slipy były mokre. Wyjął siuszkę i opłukał. Zamierzał ją włożyć, ale powstrzymał się i znów spojrzął w lustro.

Oskar. To jest... Oooskar.

Założył wypłukaną siuszkę na nos. Nos kłowna. Żółta piłeczka i czerwona rana na policzku. Oskar. Wytrzeszczył oczy, chciał wyglądać na szalonego. Tak. Wyglądał naprawdę paskudnie.

Odezwał się do kłowna w lustrze:

- Koniec. Dość tego. Słyszysz? Już wystarczy.

Kłown milczał.

- Nie chcę, żeby to się powtórzyło. Już nigdy więcej, słyszysz?

Głos Oskara odbijał się echem w pustej toalecie.

- Co mam zrobić? Co mam zrobić, jak myślisz?

Twarz wykrzywił mu grymas, poczuł ból; zmienił głos, mówił teraz chropowato i tak nisko, jak tylko potrafił. Teraz przemawiał kłown:

- ..zabij ich... zabij ich... zabij ich...

Oskar się wzdrygnął. To nie było miłe. Jakby naprawdę ktoś inny mówił, a twarz w lustrze nie była jego twarzą. Zdjął siuszkę z nosa, włożył do slipów.

Drzewo.

Nie żeby naprawdę w to wierzył, ale... zada cios drzewu. Może. Może. Jeśli się skoncentruje, to...

Może.

Oskar wziął tornister i pospieszył do domu z głową pełną miłych wizji.

Tomas siedzi przy komputerze, kiedy czuje pierwsze pchnięcie. Nie rozumie, co się dzieje. Chwiejnym krokiem idzie do kuchni, z brzucha leci mu krew. „Mamo, mamo, ktoś pchnął mnie nożem”.

Mama Tomasa stoi w kuchni. Mama Tomasa, która zawsze broni swojego synka, cokolwiek ten robi. Teraz stoi tam. Przerażona. A ciosy wciąż trafiają w Tomasa.

Upada na podłogę w kuchni w kałuży krwi. „...mamo... mamo...” Niewidzialny nóż rozcina mu brzuch, wnętrzności wylewają się na korkową wykładzinę.

Nie wierzył, żeby tak mogło się stać.

Ale mimo wszystko.

Mieszkanie cuchnęło kocimi szczynami.

Giselle leżała na jego kolanach i mruzczała. Bibi i Beatrice kotłowały się na podłodze. Manfred siedział jak zwykle z nosem przyklejonym do szyby, podczas gdy Gustaf próbował zwrócić na siebie uwagę Manfreda, trącając go łebkiem w bok.

Mały, Kłaczek i Kleopatra wylegiwały się w fotelu; Kłaczek bawił się luźnymi nitkami. Karl-Oskar usiłował wskoczyć na parapet, ale nie trafił i spadł na podłogę. Był ślepy na jedno oko.

Puchatek leżał w przedpokoju i czał się przy szparze na listy, gotowy capnąć ulotkę reklamową, gdyby ktoś ją wrzucił. Vendella leżała na półce na kapelusze i patrzyła na Puchatka; jej zdeformowana przednia łapka zwisała między listewkami, drgając od czasu do czasu.

Kilka kotów było w kuchni; jadły albo zalegały na stole i na krzesłach. Pięć leżało na łóżku w sypialni. Kilka miało swoje ulubione miejsca w szafach albo w szafkach, które nauczyły się otwierać.

Od kiedy Gösta, po naciskach sąsiadów, przestał wypuszczać koty na dwór, zabrakło nowego materiału genetycznego. Większość kociąt rodziło się martwych albo tak zdeformowanych, że umierały po kilku dniach. Ponad połowa z dwudziestu ośmiu kotów Gösty miała jakieś defekty. Były ślepe albo głuche, nie miały zębów albo miały problemy z poruszaniem się.

Kochał wszystkie.

Gösta podrapał Giselle za uchem.

- Tak... maleńka... co my teraz zrobimy? Nie wiesz? Ja też nie wiem. Ale coś przecież musimy zrobić, prawda? Nie wolno tak postępować. To był przecież Jocke. Znałem go. A teraz nie żyje. Tylko nikt o tym nie wie. Bo nikt nie widział tego, co ja widziałem. A ty widziałas?

Gösta schylił głowę, szeptał.

- To było dziecko. Widziałem, jak szło alejką. Czekają na Jockego. Pod mostem. On tam wszedł... i już nie wyszedł. A rano zniknął. Ale on nie żyje. Ja to wiem. Co? Nie, nie mogę pójść na policję. Zaczynam pytać. Będzie tam mnóstwo ludzi i zaczął pytać... dlaczego nic nie powiedziałem. Będą świecić lampą w twarz. To było trzy dni temu. Albo cztery. Nie wiem. Jaki dzisiaj dzień? Będą pytać. Nie mogę tego zrobić. Ale coś musimy zrobić. Co mamy zrobić?

Giselle spojrzała na niego. Potem zaczęła lizać jego dłoń.

Kiedy Oskar wrócił z lasu, nóż był brudny od zbutwiałych wiórów. Umył go pod kuchennym kranem, wytarł ręcznikiem, który potem zmoczył w zimnej wodzie, wyjął i przyłożył do policzka.

Mama zaraz wróci do domu. Musi wyjść, potrzebuje jeszcze trochę czasu r płacz nadal ścisnął mu gardło, nogi piekły. Wziął klucz z szafki w kuchni, napisał na kartce: „Zaraz wracam, Oskar”. Odłożył nóż na miejsce i szedł do piwnicy. Otworzył drzwi, wśliznął się do środka.

Piwniczny zapach. Lubił go. Bezpieczny zapach drewna, starych rzeczy i stęchlizny. Nieco światła sączyło się przez okno, półmrok pozwalał się domyślać piwnicznych tajemnic, ukrytych skarbów.

Po jego lewej stronie były cztery piwniczne boksy. Ściany i drzwi z drewna, drzwi pozamykane na większe bądź mniejsze kłódki. Jedne drzwi miały wzmocniony zamek, pewnie było włamanie.

Na najdalszej, drewnianej ścianie ktoś napisał flamastrem „Kiss”. „S” wyglądało jak rozciągnięte, odwrócone „Z”.

Przy przeciwległej ścianie korytarza stał kontener na niepotrzebne rzeczy. Tam Oskar znalazł sprawny podświetlany globus, który teraz stał na jego biurku, i kilka starych numerów „Hulkena”. I inne rzeczy.

Dzisiaj jednak nie było tam prawie nic. Pewnie niedawno go opróżniono. Trochę gazet, jakieś skoroszyty, na których napisane było „Angielski” i „Szwedzki”. Skoroszytów Oskar miał dość. Jakiś rok temu wyniósł ich całe mnóstwo z kontenera przed drukarnią.

Przeszedł piwnicą do następnej klatki. Do klatki Tommy’ego. I dalej do następnych piwnicznych drzwi, otworzył je, wszedł. W tej piwnicy pachniało inaczej; unosił się tu lekki zapach farby malarskiej albo rozpuszczalnika.

Tu też mieścił się schron. Był w nim raz, trzy lata temu, kiedy kilku starszych chłopaków urządziło tam klub bokserski. Któregoś popołudnia Tommy zabrał go, żeby sobie popatrzeć. Chłopcy walczyli w bokserskich rękawicach i Oskar trochę się przestraszył. Pojękiwania i pot, spięte ciała, odgłosy ciosów tłumione przez grube betonowe mury. Potem ktoś doznał jakichś obrażeń, coś się wydarzyło i koła, które trzeba było przekreślić, żeby otworzyć drzwi, zablokowano łańcuchem i kłódką. Koniec z boksem.

Oskar zapalił światło i podszedł do schronu. Jeśli przyjdą Rosjanie, to chyba go otworzą.

Jeśli nie zgubili klucza.

Oskar stał przed masywnymi żelaznymi drzwiami i nagle przyszło mu na myśl, że ktoś... że coś tam jest. Stąd ten łańcuch i kłódka. Jakiś potwór.

Nasłuchiwał. Dalekie odgłosy ulicy, dźwięki dobiegające z mieszkań na górze, w których ludzie zajmowali się różnymi rzeczami. Naprawdę lubił tę piwnicę. Jakby znalazł się w innym świecie; jednocześnie jednak wiedział, że ten drugi świat jest tam na zewnątrz, na górze, na wypadek gdyby był potrzebny. Tutaj na dole panowała cisza, nikt tu nie przychodził, nikt nic nie mówił, nie robił nikomu krzywdy. Nie trzeba było nic robić.

Naprzeciwko schronu był lokal Klubu Piwnicznego. Teren zakazany.

Nie było co prawda żadnego zamka, ale to nie znaczyło, że każdy mógł tam wejść. Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi.

Było tu wiele rzeczy. Zniszczona kanapa i równie zniszczony fotel. Na podłodze dywan. Komoda z łuszczącą się farbą. Od lampy w korytarzu prowa-

dził dodatkowy kabel, podłączony na czarno do gołej żarówki, która zwisała na sznurze z sufitu. Nie paliła się.

Zaglądał tu już kilka razy i wiedział, że wystarczy ją po prostu dokręcić. Ale się nie odważył. Światło, które sączyło się przez szpary w drewnianej ścianie, całkowicie wystarczało. Serce waliło mu coraz szybciej. Jeśli go tu nakryją, to...

To co? Nie wiem. To jest najgorsze. Nie samo bicie, tylko...

Uklęknął na dywanie, uniósł jedną z poduszek leżących na kanapie. Pod nią były dwie tubki kleju, zwój plastikowych torebek i pojemnik z gazem do zapalniczek. Pod poduszką w drugim rogu kanapy leżały pisma pornograficzne. Kilka zacytanych egzemplarzy „Lektyr” i „Fib Aktuell”.

Wziął numer „Lektyr” i przesunął się bliżej drzwi, gdzie było jaśniej. Wciąż klęcząc, położył pismo przed sobą i zaczął przeglądać. Zaszło mu w ustach. Kobieta na zdjęciu leżała na leżaku, mając na nogach tylko szpilki. Ścisnęła swoje piersi, usta złożyła w dzióbek. Nogi miała rozrzucone, a pośrodku kępki włosów między udami widać było szparę różowego ciała.

Jak można się tam dostać?

Znał słowa z rozmów, które czasem słyszał, z napisów na ścianach, które czytał. Cipka. Dziura. Wargi sromowe. Ale tam nie było żadnej dziury. Tylko taka kreska. W szkole mieli wychowanie seksualne i wiedział, że powinien być tam taki... tunel, prowadzący od cipki. Ale w którą stronę? Prosto czy w górę, czy... nic nie było widać.

Kartkował dalej. Własne opowieści czytelników. Na basenie. W damskiej przebieralni. „Brodawki zrobiły się sztywne pod kostiumem kąpielowym. Członek pulsował w kąpielówkach jak młot. Chwyliła się wieszaka i odwróciła się do mnie swoim małym tyłeczkiem, skamlać: »Weź mnie, weź mnie teraz«”.

Czy to zawsze dzieje się za zamkniętymi drzwiami; w miejscach, gdzie nie można nic zobaczyć?

Zaczął czytać nową historię, o zjeździe rodzinnym, który przybrał nieoczekiwany obrót, kiedy usłyszał, że drzwi do piwnicy się otwierają. Wsunął pismo pod poduszkę i nie wiedział, co zrobić. Gardło miał ściśnięte, nie miał odwagi oddychać. Kroki w korytarzu.

Dobry Boże, nie pozwól, żeby tu przyszli. Nie pozwól, żeby tu przyszli.

Kurczowo ścisnął rękami kolana, zagryzł zęby, aż zaboląły go szczęki. Drzwi się otworzyły. Stał w nich Tommy, mrugał oczami.

- Co u licha?

Oskar chciał coś powiedzieć, ale miał ściśnięte szczęki. Klęczał na dywanie w snopie światła, które wpadało przez drzwi, wdychał powietrze nosem.

- Co ty tu, do diabła, robisz? Co się stało?

Prawie nie poruszając wargami, udało się Oskarowi wydukać:

- ...nic.

Tommy zrobił krok do przodu, teraz nad nim górował.

- Miałem na myśli policzek. Co ci się stało?

- Mnie... nic.

Tommy pokiwał głową, dokręcił żarówkę, zapalając światło, zamknął drzwi. Oskar się podniósł, stanął pośrodku pomieszczenia z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, nie bardzo wiedział, co ma robić. Ruszył w kierunku drzwi. Tommy opadł z westchnieniem na fotel, wskazał na kanapę.

- Siadaj.

Oskar usiadł na środkowej poduszce kanapy, tej, pod którą nic nie było. Tommy siedział jakiś czas cicho i przyglądał mu się. Potem powiedział:

- No, dobrze. Mów.

- Co?

- Co ci się stało w policzek?

- ...ja... ja tylko...

- Ktoś cię pobił, tak? Tak?

- ...tak...

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Jak to? Oberwałeś bez powodu?

- Tak.

Tommy pokiwał głową, wyciągnął kilka luźnych nitek z fotela. Wziął pudełko z tytoniem, wsunął jedną prymkę pod górną wargę i podał pudełko Oskarowi.

- Chcesz?

Oskar pokręcił głową. Tommy schował pudełko, językiem wsunął prymkę na miejsce, odchylił się w fotelu i skrzyżował ręce na brzuchu.

- No, dobrze. Co tu robisz?

- Ja chciałem tylko...

- Popatrzeć na laski? Tak? Bo chyba nie wachasz? Podejdź no.

Oskar wstał i podszedł do Tommy'ego.

- Bliżej. Chuchnij.

Oskar chuchnął. Tommy skinął głową, wskazał na kanapę. Oskar usiadł.

- Trzymaj się od tego z daleka, słyszysz?

- Ja nie...

- Wiem, że nie. Pamiętaj, że masz się trzymać od tego z daleka. To nic dobrego. Tytoń jest w porządku. Możesz go żuć. - Zrobił przerwę. - I co, zamierzasz tak siedzieć i gapić się na mnie cały wieczór? - Wskazał poduszkę obok Oskara. - Nie chcesz jeszcze poczytać?

Oskar pokręcił głową.

- No dobrze, to wracaj do domu. Zaraz przyjdą chłopaki i raczej nie będą zachwyceni, jeśli ciebie tu zobaczą. Idź do domu.

Oskar się podniósł.

- Jeszcze jedno... - Tommy popatrzył na niego, pokręcił głową, westchnął. - Nie, nic. Idź do domu. I wiesz, co? Nie przychodź tu więcej.

Oskar skinął głową, otworzył drzwi. Zatrzymał się na progu.

- Przepraszam.

- W porządku. Tylko nie przychodź tu więcej. A co z forsa?

- Będzie jutro.

- Okej. Może być. Załatwiłem ci *Destroyera* i *Unmasked*. Wpadnij do mnie któregoś dnia.

Oskar skinął głową. Czuł, jak coś rośnie mu w gardle. Jeśli zostanie tu dłużej, rozplącze się. Wyszeptał: „Dziękuję” i wyszedł.

Tommy siedział w fotelu, żuł tytoń i przyglądał się kłakom kurzu, kłębiącym się pod kanapą.

Dno.

Oskar będzie obrywał do końca dziewiątej klasy. To ten typ. Tommy chciałby mu pomóc, ale jeśli coś takiego już się zaczęło, to koniec. Nie da się nic zrobić.

Wygrzebał z kieszeni zapalniczkę, przytknął do ust i wpuścił trochę gazu. Kiedy poczuł zimno, odsunął ją, zapalił i wypuścił powietrze.

Podmuch ognia przy twarzy. Nie podnieciło go to jakoś szczególnie. Był niespokojny, wstał, zrobił kilka kroków. Kłęby kurzu zawirowały.

Co, do diabła, robić?

Spacerował po dywanie, wyobrażając sobie, że to więzienie, z którego nie ma wyjścia. Jeśli już raz się tam trafiło, bla, bla, bla. Blackeberg. Musi się stąd wydostać, zostanie... marynarzem albo kimś takim. Kimkolwiek.

„Szoruj pokład, dalej Kuba, hej ho...”

Prawie nigdy nieużywana szczotka do zamywania stała oparta o ścianę. Chwycił ją, zaczął zamywać. Kurz dostał mu się do nosa. Po chwili zorientował się, że nie ma szufelki. Zmiotł kupkę kurzu pod kanapę.

Lepszy brud w kącie niż czyste piekło.

Zaczął przeglądać pismo pornograficzne, odłożył je. Owinął szalik wokół szyi, zacisnął, aż poczuł, że zaraz pęknie mu głowa; puścił. Wstał, przeszedł kilka kroków. Ukłęknął i zaczął się modlić do Boga.

O wpół do szóstej przyszli Robban i Lasse. Tommy siedział odchylony w fotelu i wyglądał tak, jakby na świecie nie było żadnych problemów. Lasse ssał wargi, sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Robban, szczerząc zęby, uderzył go w plecy.

- Lasse potrzebuje jeszcze jeden magnetowid.

Tommy uniósł brwi.

- Po co?

- Powiedz mu, Lasse.

Lasse prychnął, nie miał śmiałości spojrzeć Tommy'emu w oczy.

- No więc... jest u nas w pracy taki chłopak...

- Który chce go kupić?

- Mhm.

Tommy wzruszył ramionami, wstał z fotela i wyciągnął z tapicerki klucz do schronu. Robban wyglądał na zawiedzionego, pewnie oczekiwał jakiegoś zabawnego przekleństwa, ale Tommy'emu było wszystko jedno. Niech Lasse ogłasza w robocie przez głośniki: „Kradziony towar na sprzedaż”, jeśli ma ochotę. Nieważne.

Tommy odsunął Robbana na bok i wyszedł na korytarz, otworzył kłódkę i wyciągnął łańcuch. Rzucił go Robbanowi, ale łańcuch wyśliznął mu się z rąk i upadł na podłogę.

- Co się z tobą dzieje? Naćpałeś się, czy co?

Tommy pokręcił głową, przekręcił koło i pchnął drzwi. Neonówka w schronie była zepsuta, ale światło z korytarza wystarczało, żeby zobaczyć stopy kartonów pod dłuższą ścianą. Tommy wziął karton z magnetowidem i podał Lassemu.

- Dobrej zabawy.

Lasse popatrzył niepewnie na Robbana, jakby chciał, żeby pomógł mu zrozumieć zachowanie Tommy'ego. Robban wykrzywił się, grymas mógł znaczyć cokolwiek, i odwrócił się do Tommy'ego, który zamykał schron:

- Dowiedziałeś się czegoś więcej od Staffana?

- Nie. - Tommy zamknął kłódkę, westchnął. - Jutro idziemy do niego na kolację. Może czegoś się dowiem.

- Na kolację?

- Tak, bo co?

- Nic. Myślałem, że gliny nie jedzą, tylko sana... benzynie albo na czymś takim.

Lasse parsknął, zadowolony, że ponury nastrój prysł.

- Na benzynie...

Okłamał mamę. Uwierzyła mu. Teraz leżał na łóżku i było mu niedobrze.

Oskar. Ten w lustrze. Kim on jest? Przydarza mu się mnóstwo rzeczy. Złych rzeczy. Dobrych rzeczy. Dziwnych rzeczy. Ale kim on jest? Jonny patrzy na niego i widzi Prosiaka, któremu można dołożyć. Mama patrzy i widzi swoje Serduszko, któremu nic złego nie może się stać.

Eli patrzy i widzi... co?

Oskar odwrócił się do ściany, do Eli. Dwie postaci wyłoniły się z listowia. Policzek wciąż był obolały i spuchnięty, na ranie zaczął się tworzyć strup. Co on powie Eli, jeśli Eli przyjdzie dzisiaj wieczorem.

Wszystko było ze sobą powiązane. To, co jej powie, zależy od tego, kim dla niej jest. Eli była dla niego kimś nowym, miał więc szansę stać się kimś innym, powiedzieć coś innego, niż mówił innym.

Jak to się robi? Jak sprawić, żeby ktoś nas polubił?

Zegar na biurku wskazywał kwadrans po siódmej. Oskar wpatrywał się w listowie, próbując znaleźć tam nowe postaci; znalazł krasnoludka w spiczastej czapce i stojącego na głowie trolla i wtedy usłyszał stukanie w ścianę.

Puk-puk-puk.

Ostrożne stukanie. Odstukał.

Puk-puk-puk.

Czekał. Po kilku sekundach ponowne stukanie.

Puk-pukpukpuk-puk.

I jeszcze dwa stuknięcia: puk-puk.

Czekał. Cisza.

Wziął kartkę z alfabetem Morse'a, włożył kurtkę, powiedział mamie „cześć”, i zszedł na plac zabaw. Zrobił zaledwie kilka kroków, kiedy otworzyły się drzwi od jej klatki i wyszła Eli. Miała na sobie tenisówki, niebieskie džinsy i czarną bluzę ze srebrnym nadrukiem „Star Wars”.

Najpierw pomyślał, że to jego bluza, miał dokładnie taką samą. Miał ją na sobie przedwczoraj, teraz była w praniu. Eli kupiła dokładnie taką samą, dlatego że on taką nosił?

- Cze...

Oskar otworzył usta, żeby powiedzieć „cześć”, które miał przygotowane; zamknął usta. Otworzył je znów, żeby powiedzieć „cze...”, zmienił zdanie i jednak powiedział „cześć”.

Między brwiami Eli pojawiła się zmarszczka.

- Co ci się stało w policzek?

- Ja... przewróciłem się.

Oskar ruszył na plac zabaw. Eli poszła za nim. Minał drabinki, usiadł na huśtawce. Eli usiadła na huśtawce obok. Przez chwilę huśtali się w ciszy.

- Ktoś ci to zrobił, prawda?

Oskar dalej się huśtał.

- Tak.

- Kto?

- Tacy jedni... kumple.

- Kumple?

- Z klasy.

Oskar huśtał się coraz wyżej, sięgał drzew.

- Gdzie ty właściwie chodzisz do szkoły?

- Oskarze.

- Tak?

- Zatrzymaj się.

Wyhamował nogami, patrzył na ziemię przed sobą.

- O co chodzi?

- Posłuchaj...

Wyciągnęła rękę, wzięła jego dłoń. Oskar zatrzymał się, patrzył na Eli. Jej twarz była niemal profilem na tle rozświetlonych okien. To było oczywiście przywidzenie, ale wydawało mu się, że jej oczy świecą. W każdym razie z jej twarzy tylko je widział wyraźnie.

Drugą ręką Eli dotknęła jego rany i wtedy stało się coś dziwnego. Jakby ktoś inny, jakaś znacznie starsza, twardsza osoba napierała od środka na jej skórę. Ciarki przeszły Oskarowi po plecach, jakby ugryzł kawałek lodu.

- Oskarze, nie pozwól im. Słyszysz? Nie pozwól im.
- ...tak.
- Musisz im oddać. Nigdy jeszcze im nie oddałeś, prawda?
- Nie.
- Więc zrób to. Oddaj. Mocno.
- Ich jest trzech.
- To musisz uderzyć mocniej. Użyj broni.
- Tak.
- Kamieni. Kija. Uderz bardziej, niż masz odwagę. Wtedy przestaną.
- A jeśli mi oddadzą?
- Masz nóż.

Oskar przełknął ślinę. W tej chwili, kiedy Eli trzymała jego dłoń w swojej, kiedy miał przed sobą jej twarz, wszystko wydawało się oczywiste. Ale jeśli zaczną robić jeszcze gorsze rzeczy, kiedy im się przeciwstawi, jeśli...

- Tak. Ale jeśli oni...
- Wtedy ci pomogę.
- Ty? Przecież ty jesteś...
- Potrafię, Oskarze. To... potrafię.

Eli ścisnęła dłoń Oskara. Odwzajemnił uścisk, skinął głową. Uścisk Eli stał się mocniejszy. Tak mocny, że aż go trochę zabolalo.

Jaka ona jest silna.

Eli zwolniła uchwyt i Oskar wyciągnął kartkę, którą napisał w szkole, wyglądał zagięta i dał jej. Eli zmarszczyła brwi.

- Co to jest?
- Pójdźmy do światła.
- Nie, widzę. Tylko co to jest?
- Alfabet Morse'a.
- Aha. Jasne. Fajnie.

Oskar zachichotał. Powiedziała to tak... jak to określić... nienaturalnie. Słowo „fajnie” jakby do niej nie pasowało.

- Pomyślałem... że moglibyśmy... częściej rozmawiać przez ścianę.

Eli skinęła głową. Sprawiała wrażenie, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. Po chwili się odezwała:

- W porządku.
- Super?

- Tak. Super! Super.
- Jesteś trochę świrnięta, wiesz o tym?
- Naprawdę?
- Tak. Ale nie szkodzi.
- Będziesz musiał mi powiedzieć, co mam zrobić, żeby nie być świrniętą.
- Dobrze. Chcesz coś zobaczyć?

Eli skinęła głową.

Oskar wykonał swój specjalny numer. Usiadł na huśtawce, nabrał prędkości. Z każdym wymachem nóg, im wyżej się unosił, tym bardziej jego pierś rozpięrało uczucie wolności.

Rozświetlone okna mieszkań migały mu przed oczami niczym wielobarwne, świecące kreski, huśtał się coraz wyżej. Ten specjalny numer nie zawsze mu wychodził; tym razem jednak musi się udać; był lekki jak piórko i prawie fruwał.

Kiedy huśtawka była tak wysoko, że łańcuchy zaczęły się załamywać, napiął ciało. Huśtawka jeszcze raz wychyliła się do tyłu; kiedy osiągnęła najwyższy punkt, puścił łańcuchy; wyrzucił nogi do góry, zrobił w powietrzu koziołka i wylądował na stopach; schylił się tak nisko, jak potrafił, żeby nie dostać huśtawką w głowę; kiedy przeleciała na nim, wyprostował się i rozłożył ramiona. Idealnie.

Eli klaskała, krzyczała: „Brawo!”

Oskar złapał huśtawkę, usiadł. Kolejny raz był wdzięczny za ciemność, skrywającą uśmiech triumfu, którego nie mógł powstrzymać, mimo że rana na policzku go ciągnęła. Eli przestała bić brawo, ale uśmiech pozostał.

Teraz wszystko będzie inaczej. Jasne, że nie można zabić człowieka, dżgając nożem w drzewo. Dobrze to rozumiał.

CZWARTEK

29 PAŹDZIERNIKA

HÅKAN SIEDZIAŁ NA PODŁODZE W WĄSKIM PRZEDPOKOJU, słuchając pluskania dochodzącego z łazienki. Kuczał tak, że dotykał piętami pośladków, brodę oparł o kolana. Zazdrość była jak tłusty, kredowobiały robak w jego piersi. Drażyła powoli, niewinnie czysta i dziecinnie wyrazista.

Nie był niezastąpiony. Nie był... niezastąpiony.

Wczoraj wieczorem leżał w łóżku przy uchylonym oknie. Słyszał, kiedy Eli rozstawała się z tym Oskarem. Ich jasne głosy, śmiech. Pewna... lekkość,

której on nigdy nie posiadał. On, ze swoją powagą ciężącą jak ołów, oczekiwaniami, pożądaniem.

Myślał, że jego ukochana jest taka sama. Patrzył Eli w oczy i widział w nich mądrość i obojętność prastarego człowieka. Początkowo był przerażony; oczy Samuela Becketta w twarzy Audrey Hepburn. Potem dawało mu to poczucie bezpieczeństwa.

To było najlepsze, co mogło mu się przytrafić. Młode ładne ciało, które wносиło do jego życia piękno, jednocześnie zdejmując z niego część odpowiedzialności. To nie on decydował. Nie musiał też czuć się winny z powodu swojego pożądania; jego ukochana była starsza od niego. Nie była dzieckiem. Tak wtedy myślał.

Ale odkąd zaczęła się ta historia z Oskarem, coś się stało. Pewien... regres. Eli coraz częściej zachowywała się jak dziecko, na które wyglądała; szła, kołyszając się, zaczęła używać dziecięcych odzywek, słów. Chciała się bawić. W chowanie klucza. Któregoś wieczoru się w to bawili. Eli wpadła w złość, bo Håkan nie wykazywał entuzjazmu, którego zabawa wymagała; potem łaskotała go pod pachami, żeby się roześmiał. Jej dotyk przynosił mu rozkosz.

To było pociągające, oczywiście. Ta radość, to... życie. A jednocześnie przerażające, bo tak mu obce. Teraz czuł większą żądzę i większy strach niż wtedy, kiedy się poznali.

Wczoraj wieczorem jego ukochana zamknęła się w pokoju i pół godziny leżała na łóżku i stuknęła w ścianę. Kiedy w końcu pozwoliła mu tam wejść, Håkan zauważył przyklejoną nad łóżkiem kartkę z jakimiś znakami. Alfabet Morse'a.

Kiedy przed zaśnięciem leżał w łóżku, poczuł pokusę, żeby wystukać jakąś informację do Oskara. O tym, kim naprawdę jest Eli. Nie zrobił tego; przepisał tylko alfabet, żeby wiedzieć, o czym ci dwoje będą ze sobą rozmawiać.

Håkan schylił głowę, oparł czoło o kolana. Pluskanie dochodzące z łazienki ustało. To nie może tak dłużej trwać. Był bliski wybuchu. Z pożądania, z zazdrości.

Usłyszał przekręcanie zamka w łazience, drzwi się otworzyły. Eli stanęła przed nim zupełnie naga. Czysta.

- Siedzisz tu?
- Tak. Jesteś piękna.
- Dziękuję.
- Możesz się odwrócić?
- Dlaczego?
- Bo... ja tak chcę.
- A ja nie. Przesuń się trochę.
- Może coś powiem... jeśli to zrobisz.

Eli spojrzała na Håkana pytająco. Zrobiła pół obrotu, stanęła do niego plecami.

Hakanowi ślina napłynęła do ust, przełknął. Patrzył. Fizycznie doświadczał, jak pożera oczami to, co było przed nim. Coś najpiękniejszego na świecie. Na wyciągnięcie ręki. Nieskończenie dalekie.

- Jesteś... głodna?
- Eli odwróciła się.
- Tak.
- Zrobię to, ale chcę coś w zamian.
- Mów.
- Noc. Jedną noc.
- Dobrze.
- Zgadzasz się?
- Tak.
- Będę mógł leżeć obok ciebie? Dotykać cię?
- Tak.
- Będę mógł...
- Nie. Nic więcej. Tylko tyle.
- Więc zrobię to. Dzisiaj wieczorem.

Eli przykucnęła obok niego. Dłonie parzyły Håkana. Chciał ją pieścić. Nie mógł. Dzisiaj wieczorem.

Ze wzrokiem wbitym w sufit Eli powiedziała:

- Dziękuję. Ale jeśli ktoś... ten portret w gazecie... są ludzie, którzy wiedzą, że tu mieszkasz.
- Pomyślałem o tym.
- Jeśli ktoś zjawi się tu w ciągu dnia... kiedy odpoczywam...
- Pomyślałem o tym.
- I co?

Håkan wziął Eli za rękę, wstał i wyszedł do kuchni, otworzył drzwiczki spiżarki i wyjął szklany stoik po dżemie z pokrywką. Przezroczysty płyn wypełniał go do połowy. Wytłumaczył jej, co i jak. Eli gwałtownie pokręciła głową.

- Nie możesz.
- Mogę. Rozumiesz teraz, jak bardzo mi na tobie... zależy?

Håkan zaczął szykować się do wyjścia, oprócz stałego wyposażenia włożył do torby stoik. Tymczasem Eli się ubrała. Stała teraz w przedpokoju i kiedy Håkan wychodził, nachyliła się i pocałowała go lekko w policzek. Håkan zamrugał, długo przyglądał się jej twarzy.

Jestem zgubiony.
Potem ruszył spełnić swój obowiązek.

Morgan pałaszował cztery małe dania jedno po drugim, nie spojrzawszy nawet na ryż, który stał obok w miseczce.

Lacke pochylił się i spytał cicho:

- Słuchaj, mogę wziąć ryż?
- Jasne. Chcesz trochę sosu?
- Nie. Wystarczy mi soja.

Lany spojrzał znad „Expressen”, skrzywił się, kiedy Lacke wziął miseczkę z ryżem, polał ryż soją. Bul-bul-bul. Zaczął jeść, jakby w życiu nie widział jedzenia. Lany wskazał ręką smażone krewetki, które piętrzyły się na talerzu Morgana.

- Nie poczęstujesz?
- Jasne. Sorry. Chcesz krewetkę?
- To nie na mój żołądek. Ale może Lacke.
- Chcesz krewetkę, Lacke?

Lacke skinął głową i podsunął miseczkę z ryżem. Morgan wspaniałomyślnym gestem włożył do niej dwie krewetki. Lacke podziękował i wbił w nie zęby.

Morgan chrząknął i pokręcił głową. Od zaginięcia Jockego Lacke nie był sobą. Już wcześniej było z nim kiepsko, ale teraz pił jeszcze więcej i nie wystarczyło mu pieniędzy najedzenie. Dziwna sprawa z tym Jockem, ale żeby aż tak się przejmować? Nie było go już cztery dni, ale co z tego? Mógł spotkać jakąś donnę i pojechać z nią na Tahiti, dokądkolwiek. Za jakiś czas się zjawi.

Lany odłożył gazetę, przesunął okulary na czoło i zaczął trzeć oczy.

- Wiecie, gdzie tutaj są schrony?

Morgan wyszczerzył zęby.

- A co? Zamierzasz zapaść w sen zimowy, czy co?

- Nie, myślę o tej łodzi podwodnej. Założmy, czysto teoretycznie, że doszłoby do inwazji...

- Będziesz mógł przyjść do nas. Wszystko sprawdziłem, kiedy kilka lat temu zjawił się jakiś gość z jakiejś tam obrony, żeby zrobić inwentaryzację. Maski gazowe, konserwy, stół do ping-ponga, wszystko jest. Stoi i czeka.

- Stół do ping-ponga?

- Żebyś wiedział. Kiedy Ruscy wyjdą na ląd, to my do nich: „Spokojnie, chłopaki, odłóżcie swoje kałasze, tę sprawę da się załatwić partią ping-ponga. Niech generałowie staną naprzeciwko siebie”.

- Ruscy grają w pingla?

- Nie. I o to właśnie chodzi. Może uda nam się odzyskać wszystkie kraje nadbałtyckie.

Lacke wytarł usta serwetką z przesadną dokładnością.

- Tak czy inaczej, to dziwne.

Morgan zapalił Johna Silvera.

- Co jest dziwne? - spytał.

- Ta historia z Jockem. Zawsze mówił, jeśli zamierzał gdzieś wyjechać. Sami wiecie. Jeśli jechał do brata na Vaddö, to było wielkie halo. Już tydzień wcześniej o tym opowiadał. Co ze sobą weźmie, co będą robić.

Lany położył rękę na ramieniu Lackego.

- Mówisz o nim w czasie przeszłym.
- Co? Tak. Bo naprawdę myślę, że coś mu się stało. Tak myślę. Morgan wypił potężny łyk piwa. Beknął.
- Myślisz, że nie żyje.

Lacke wzruszył ramionami i spojrzał na Larry'ego, który studiował wzór na serwetkach. Jakby to mogło pomóc. Morgan pokręcił głową.

- No way. Wiedzielibyśmy. Ci gliniarze, którzy przyszli otworzyć drzwi, powiedzieli, że dzwonią, jeśli czegoś się dowiedzą. Nie żebym ufał glinom, ale... na pewno byśmy coś usłyszeli.

- Powinien zadzwonić.

- Na litość boską, jesteście małżeństwem, czy co? Nie martw się. Niedługo się pojawi. Z różami i pudełkiem czekoladek i obieca, że nigdy więcej już tego nie zrobi.

Lacke pokiwał głową zrezygnowany, upił trochę piwa, które dostał od Larry'ego w zamian za obietnicę, że mu się odwzajemni, kiedy nadejdą lepsze czasy. Jeszcze dwa dni, góra. Potem sam zacznie go szukać. Obdzwoni szpitale, kostnice, zrobi wszystko, co się da. Nie zawiedzie swojego najlepszego przyjaciela. Obojętne, czy jest chory, czy nie żyje, czy cokolwiek. Nie może go zawieść.

Było wpół do ósmej i Håkan zaczynał się niepokoić. Wałęsał się bez celu w pobliżu liceum Nya Elementar i Vällingbyhallen. Odbwały się zajęcia sportowe, basen był czynny, nie brakowało potencjalnych ofiar. Problem polegał na tym, że młodzi ludzie najczęściej chodzili w grupach. Dotarli do niego słowa jednej z trzech dziewcząt, że jej mama „wciąż świruje na punkcie tego mordercy”.

Oczywiście mógł pojechać gdzieś dalej, gdzie nie było o nim tak głośno, ale wtedy ryzykował, że podczas drogi powrotnej krew się zepsuje. Skoro już się zdecydował, chciał dać swojej ukochanej to, co najlepsze. A im krew świeższa, tym lepiej. Tego już się dowiedział.

Wczoraj w nocy chwycił mróz, zrobiło się naprawdę zimno, poniżej zera. Dlatego też nie zwracał szczególnej uwagi kominiarką z dziurami na oczy i usta, która skrywała jego twarz.

Ale nie mógł się tak czaić tu w nieskończoność. W końcu ktoś nabierze podejrzeń.

A jeśli nikogo nie znajdzie? Jeśli wróci do domu bez niczego? Nie może pozwolić, żeby jego ukochana umarła, to wiedział na pewno. Poza tym teraz czekało go coś więcej, coś cudownego. Cała noc. Cała noc z ukochaną obok. Drobne, miękkie członki, płaski brzuch, po którym będzie powoli wodził ręką. Zapalone światło w sypialni; poświata, padająca na jedwabistą skórę; ciało, które przez jedną noc będzie jego.

Potarł członek, który pulsował i krzyczał z tęsknoty.

Musi się uspokoić, musi...

Wiedział, co ma robić. To było szaleństwo, ale robi to.

Pójdzie na basen w Vällingby i tam poszuka ofiary. O tej porze na basenie powinno być stosunkowo pusto; teraz, kiedy już podjął decyzję, wiedział dokładnie, co ma robić. Oczywiście było to niebezpieczne. Ale możliwe do zrealizowania.

Jeśli coś pójdzie nie tak, sięgnie po ostateczne rozwiązanie. Ale uda mu się. Wyobraził sobie wszystko w szczegółach i przyspieszył kroku, kierując się do wejścia. Był jak pijany. Oddychał tak gwałtownie, że kominiarka pod nosem była mokra.

W nocy będzie miał o czym opowiadać swojej ukochanej, gdy drżącą ręką będzie pieścił jej jędrny, okrągły tyłeczek, zachowując wszystko w pamięci po wsze czasy.

Wszedł do holu, poczuł łagodny, znajomy zapach chloru. Te wszystkie godziny, które spędzał na basenie. Razem z innymi albo sam. Młode ciała, które błyszczały od potu i wody, były na wyciągnięcie ręki, ale poza jego zasięgiem. Obrazy do zapamiętania, które będzie mógł przywoływać, leżąc w łóżku i trzymając w ręku papier toaletowy. Zapach chloru sprawił, że poczuł się bezpiecznie, tu czuł się u siebie. Podeszedł do kasy.

- Jeden poproszę.

Kobieta w kasie spojrzała na niego znad jakiegoś tygodnika. Jej oczy lekko się rozszerzyły. Wykonał ruch ręką w stronę twarzy.

- Zimno.

Niepewnie skinęła głową. Powinien zdjąć czapkę? Nie. Wiedział, co robi, żeby nie nabrała podejrzeń.

- Szafka?

- Kabinę poproszę.

Podała mu klucz, zapłacił. Odwracając się od kasy, ściągnął czapkę. Wiedział więc, że ją zdjął, ale nie zobaczyła jego twarzy. Jest genialny. Szybkim krokiem ruszył do przebieralni, ze wzrokiem wbitym w podłogę, na wypadek gdyby kogoś spotkał.

- Wejdźcie. Zapraszam w moje skromne progi.

Tommy minął Staffana w przedpokoju, usłyszał za sobą mlaszczący dźwięk, kiedy mama i Staffan się pocałowali.

Staffan odezwał się cicho:

- Czy...?

- Nie. Pomyślałam, że...

- Dobrze. Później...

Znów to mlaskanie. Tommy rozejrzał się. Nigdy jeszcze nie był w domu gliniarza i wbrew swojej woli był ciekaw, jak też taki mieszka.

Jednak już w przedpokoju zrozumiał, że Staffan nie jest chyba typowym przedstawicielem tego zawodu. Wyobrażał sobie, że będzie tu... jak w krymi-

nałach. Dość biednie i surowo. Miejsce, gdzie przychodzi się spać, kiedy nie łapie się bandytów.

Na przykład takich jak ja.

A mieszkanie Staffana było... przytulne. Przedpokój wyglądał tak, jakby urządził go ktoś, kto kupuje rzeczy z katalogów, wrzucanych do skrzynki pocztowej.

Tu wisiał obraz przedstawiający zachód słońca, tam stał mały alpejski domek - z babcia na patyku, który wystawał z drzwiczek. Na stoliku telefonicznym leżał koronkowy bieźnik, obok aparatu stała gipsowa figurka psa i dziecka. Na cokoliку przeczytał: „Nie potrafisz mówić?”

Staffan podniósł figurkę.

- Zabawna, prawda? Zmienia kolor w zależności od pogody.

Tommy przytaknął. Albo Staffan specjalnie na tę wizytę wypożyczył mieszkanie od swojej starej matki, albo naprawdę ma coś nie tak z głową.

Staffan ostrożnie odstawił figurkę na miejsce.

- Zbieram takie rzeczy, które pokazują pogodę. Jak na przykład ta.

Dotknął staruszkę, która wyglądała z alpejskiego domku; schowała się i po chwili w drzwiczkach pojawił się staruszek.

- Kiedy babcia jest na dworze, będzie zła pogoda, a kiedy dziadek jest na dworze...

- Pogoda będzie jeszcze gorsza.

Staffan się roześmiał; nieco sztucznie, uznał Tommy.

- Nie bardzo się sprawdza.

Tommy rzucił okiem na matkę i prawie się przestraszył. Nie zdjęła płaszcz, ręce miała ściśnięte, a na twarzy uśmiech, który każdego by przeraził. Pannika. Tommy postanowił zdobyć się na wysiłek.

- To taki barometr, tak?

- Właśnie. Od tego zacząłem. Od barometrów. To znaczy od kolekcjonowania ich.

Tommy wskazał na mały drewniany krzyżyk z Jezusem ze srebra, który wisiał na ścianie.

- To też barometr?

Staffan spojrzał na Tommy'ego, na krzyżyk i znów na Tommy'ego. Nagle spowaźniał.

- Nie, to nie jest barometr. To jest Chrystus.

- Ten z Biblii.

- Właśnie.

Tommy włożył ręce do kieszeni i wszedł do dużego pokoju. No tak, tutaj były barometry. Około dwudziestu sztuk; miały różne kształty i wisiały nad szarą skórzaną kanapą, przed którą stał szklany stolik.

Każdy wskazywał co innego. Wskazówki pokazywały różne rzeczy jak zegary pokazujące czas w różnych częściach świata. Stuknął w szybkę jednego

i wskazówka nieco się przesunęła. Nie wiedział, co to znaczy, ale z jakiegoś powodu ludzie zawsze pukali w barometr.

W narożnej szafce ze szklanymi drzwiami stało mnóstwo małych pucharów. Cztery większe stały w rzędzie na pianinie obok szafki. Na ścianie nad pianinem wisiał duży obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus na ręku. Kar-miła je z nieobecny-m spojrze-niem, które zdawało się mówić: „Czym ja sobie na to zasłużyłam?”

Staffan chrząknął, wchodząc do pokoju.

- No, Tommy, nad czym się zastanawiasz?

Tommy wiedział, czego od niego oczekiwano.

- Co to za puchary? - spytał.

Staffan wskazał ręką na stojące na pianinie przedmioty.

- Te?

Nie, kretynie. Te z klubu piłkarskiego, oczywiście:

- Tak.

Staffan wskazał na dwudziestocentymetrową srebrną figurkę na kamiennym postumencie, stojącą pomiędzy pucharami. Tommy sądził, że to rzeźba, ale i to była nagroda. Przedstawiała postać mężczyzny. Stał w rozkroku, w wyciągniętych przed siebie rękach trzymał pistolet, mierzył do celu.

- Strzelanie z pistoletu. Pierwsza nagroda w mistrzostwach okręgu; a to za trzecie miejsce w zawodach krajowych, kaliber 45, strzelanie w pozycji stojącej... i tak dalej.

Weszła mama Tommy'ego i stanęła tuż obok.

- Staffan jest jednym z pięciu najlepszych strzelców w Szwecji.

- To się przydaje?

- Jak to?

- No, czy strzelasz do ludzi?

Staffan przeciągnął palcem po postumencie jednego z pucharów i spojrzał na palec.

- Praca policjanta polega na tym, żeby nie trzeba było strzelać do ludzi.

- A zdarzyło ci się to kiedyś?

- Nie.

- Ale chciałybyś, co?

Staffan demonstracyjnie zaczerpnął powietrza, wypuścił je i westchnął głęboko.

- Sprawdzę, co... zjedzeniem.

Benzyna. Musi sprawdzić, czy się pali.

Staffan wyszedł do kuchni. Mama Tommy'ego złapała syna za łokieć i wyszeptała:

- Dlaczego mówisz takie rzeczy?

- Tak tylko się zastanawiałem.

- To dobry człowiek.

- Tak. Pewnie. Nagrody za strzelanie i Matka Boska z Dzieciątkiem. Czy może być lepiej?

Idąc przez hol, Håkan nie spotkał nikogo. Tak, jak przypuszczał, o tej porze na basenie nie było dużo ludzi. W przebieralni ubierało się dwóch mężczyzn w jego wieku. Otyłe, nieforemne ciała. Skurczone członki pod obwisłymi brzuchami. Uosobienie brzydoty.

Znalazł swoją kabinę, wszedł, zamknął drzwi. No. Przygotowania miał już za sobą. Na wszelki wypadek włożył kominiarkę. Odbezpieczył pojemnik z halotanem, powiesił płaszcz na haku. Otworzył torbę i wyjął narzędzia. Nóż, sznur, lejek, kanister. Zapomniał o pelerynie. Cholera. Będzie musiał się rozebrać. Ryzyko ochlapania było duże; kiedy skończy, ukryje plamy pod ubraniem. Tak. Przecież jest na basenie. Ludzie są tu rozebrani. Nikt nie będzie się dziwił.

Wyprobował drugi hak, chwytając go obiema rękami i podciągając nogi. Wytrzymał. Powinien z łatwością utrzymać ciało o jakieś trzydzieści kilogramów lżejsze. Problemem był wzrost. Głowa musi zwisać swobodnie nad podłogą. Spróbuj podciągnąć kolana; między hakiem a górną krawędzią ścianki kabiny jest dość miejsca, stopy nie powinny wystawać. To wzbudziłoby podziwienie.

Dwaj mężczyźni chyba wychodzili. Słyszał ich głosy.

- Co w pracy?

- Jak zwykle. Prosty chłopak z Malmberg nie ma na co liczyć.

- Znasz to: Nie chodzi o to, gdzie jest ropa, tylko o to, gdzie ona jest?

- Facet potrafi się przystosować.

- Wazeliniarz.

Zachichotał, coś się działo w jego głowie. Był zbyt podniecony, za głośno oddychał. Miał wrażenie, jakby jego ciało było rojem motyli, które zaraz się rozproszą na różne strony.

Spokojnie. Spokojnie. Spokojnie.

Oddychał głęboko, aż zaczęło mu się kręcić w głowie, potem się rozebrał. Złożył ubranie i schował do torby. Dwaj mężczyźni wyszli z przebieralni. Zrobiło się cicho. Stał na ławce. Tak, miał oczy tuż nad krawędzią ścianki. Weszło trzech chłopców w wieku trzynastu, czternastu lat. Jeden uderzył drugiego w pośladek skręconym ręcznikiem.

- Odwal się, do cholery!

Håkan pochylił głowę. Czuł, jak jego twardy członek wciska się w róg, jak pomiędzy dwa jędrne pośladki.

Spokojnie. Spokojnie.

Znów wyrzął. Dwaj chłopcy zdjęli kąpielówki; pochyleni szukali ubrań w szafkach. Silny skurcz targnął jego przeponą, trysnęła sperma, plamiąc ławkę, na której stał.

Spokojnie.

Tak. Teraz poczuł się lepiej. Ale niedobrze, że miał wytrysk. Zostanie ślad.

Wyjął z torby skarpety, wytarł ławkę najdokładniej, jak potrafił. Włożył skarpety do torby, naciągnął kominiarkę, przysłuchiwał się rozmowie chłopców.

- .. nowe Atari. Enduro. Może przyjdiesz i je wypróbujemy?

- Nie, mam parę rzeczy do zrobienia...

- Aty?

- Okej. Masz dwa joysticki?

- Nie, ale...

- To najpierw pójdziemy do mnie. Wezmę swój. Będziemy mogli grać razem.

- Okej. Na razie, Matte.

- Nara.

Dwóch chłopców chyba wychodziło. Idealna sytuacja. Został jeden, na którego tamci nie będą czekać. Zdobył się na odwagę i znów zerknął ponad drzwiami kabiny. Dwóch chłopców było już ubranych, zbierali się do wyjścia. Trzeci wkładał skarpety. Håkan się schylił; przypomniał sobie, że ma na głowie kominiarkę. Na szczęście nie zauważyli go.

Sięgnął po halotan: palce na wyzwalaczu. Ma zostać w kominiarce? Gdyby chłopak uciekł. Gdyby ktoś wszedł do przebieralni. Gdyby...

Cholera. Popełnił błąd, rozbiegając się. Gdyby musiał szybko uciekać... Nie miał czasu się zastanawiać. Słyszał, jak chłopak zamyka szafkę i zmierza do wyjścia. Za pięć sekund minie drzwi jego kabiny. Za późno na zastanawianie się.

W szparze między drzwiami a ścianą zobaczył cień. Zablokował wszelkie myśli, otworzył zamek i szarpnął drzwi. Wypadł na zewnątrz. Mattias odwrócił się i zobaczył duże, białe nagie ciało z kominiarką na twarzy, pędzące w jego kierunku. Jedna myśl, jedno słowo pojawiło się w jego świadomości, zanim instynktownie odskoczył: śmierć.

Śmierć przyszła po niego. W jednej ręce trzymała coś czarnego. To czarne pojawiło się przy jego twarzy. Zacerpnął powietrza, żeby krzyknąć. Ale zanim zdążył wydać głos, to czarne było już nad nim, zamknęło mu usta, zatkało nos. Jakaś ręka chwyciła go z tyłu, wcisnęła mu twarz w miękką czerni. Chciał krzyknąć, ale wydał jedynie zduszony jęk; usłyszał syk, jak z maszyny do robienia dymu.

Znów próbował krzyknąć, ale gdy zacerpnął powietrza, coś stało się z jego ciałem. Jakieś odrętwienie ogarnęło wszystkie jego członki i krzyk stał się zaledwie piskiem. Wziął kolejny wdech i nogi się pod nim ugięły, wielobarwne płachty łopotały mu przed oczyma.

Nie chciał już krzyczeć. Nie miał siły. Płachty zasłoniły mu pole widzenia. Nie miał już ciała. Kolory tańczyły.

Upadł do tyłu, w tęczę.

Oskar w jednej ręce trzymał kartkę z alfabetem Morse'a, drugą wystukiwał litery. Uderzenie knykiem to kropka, uderzenie dłonią- kreska, tak jak ustalili.

Knykieć. Pauza. Knykieć, dłoń, knykieć, knykieć. Pauza. Knykieć, knykieć. (E.L.I.)

WY.C.H.O.D.Z.E.

Po kilku sekundach przyszła odpowiedź.

J.A.T.E.Ż.

Spotkali się przed jej klatką. W ciągu zaledwie jednego dnia... zmieniła się. Jakiś miesiąc temu ich szkołę odwiedziła pewna Żydówka, która opowiadała im o zagładzie, pokazywała przezrocza. Eli wyglądała teraz trochę jak ludzie na tych zdjęciach.

Ostre światło nad drzwiami klatki podkreślało cienie na jej twarzy, jakby kości policzkowe chciały się przebić przez skórę, jakby skóra stała się cieńsza. I...

- Co zrobiłaś z włosami?

Myślał, że to światło sprawiło, że tak wyglądały, ale kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że wśród jej czarnych włosów są białe pasma. Jak u starych ludzi. Eli przeciągnęła ręką po włosach, uśmiechnęła się do niego.

- To zniknie. Co będziemy robić?

Oskar brzdąknął kilkoma jednokoronówkami w kieszeni.

- Budka?

- Co?

- Kiosk?

- Mhm. Kto ostatni ten frajer.

W głowie Oskara pojawił się obrazek.

Czarno-białe dzieci.

Eli zaczęła biec, Oskar za nią. Mimo że wyglądała na bardzo chorą, była o wiele szybsza od niego, frunęła nad kamieniami na ścieżce, pokonała ulicę w dwóch krokach. Oskar biegł tak szybko, jak potrafił, nie mogąc się skoncentrować z powodu tego obrazka.

Czarno-białe dzieci?

Tak. Zbiegał ze wzgórza obok fabryki żelków, kiedy sobie przypomniał. Stare filmy pokazywane w niedzielę w telewizji. *Kalle pani Andersson* i takie tam. „Kto ostatni ten frajer”. Tak mówili w tych filmach.

Eli czekała na niego przy drodze, dwadzieścia metrów od kiosku. Oskar podbiegł do niej, starając się nie dyszeć. Nigdy wcześniej nie był z Eli przy kiosku. Ma jej powiedzieć? Tak.

- Wiesz, że nazywają to „Kiosk Kochanka”?

- Dlaczego?

- Bo... słyszałem, że na jakimś zebraniu rodziców... ktoś powiedział, że... to znaczy nie do mnie, ja tylko to... słyszałem, że właściciel kiosku....

Żałował, że w ogóle zaczął. Brzmiało kretyńsko. Głupio. Eli rozłożyła ręce.

- Że co?
- No, że ten właściciel... że odwiedzają go tu kobiety. No, wiesz... kiedy kiosk jest zamknięty...
- Naprawdę? - Eli spojrzała na kiosk. - Jak oni się tam mieszczą?
- Obrzydliwe, no nie?
- Tak.

Oskar zaczął schodzić do kiosku. Eli zrobiła kilka kroków, zrównała się z nim i wyszeptała:

- Muszą być chude.

Oboje zachichotali. Weszli w krąg światła padającego z kiosku. Eli demonstracyjnie przewróciła oczami, kiwając głową w stronę kioskarza, który stał w środku i wpatrywał się w mały telewizor.

- To on?

Oskar przytaknął.

- Wygląda jak małpa.

Oskar zwinął dłoń przy uchu Eli i szepnął:

- Pięć lat temu uciekł z ogrodu zoologicznego, wciąż go szukają.

Eli zachichotała i zwinęła dłoń przy uchu Oskara. Poczował jej ciepły oddech przy swojej głowie.

- Wcale go nie szukają. Oni po prostu go tu zamknęli.

Oboje spojrzeli na właściciela kiosku, parsknęli śmiechem; wyobrazili go sobie jako małpę w klatce, a wokół niego pełno słodczy. Słyszac ich śmiech, kioskarz odwrócił się i zmarszczył krzaczaste brwi, co jeszcze bardziej upodobniło go do goryla. Oskar i Eli pokładali się ze śmiechu, przyciskali ręce do ust, usiłując zachować powagę.

Właściciel kiosku wychylił się do nich.

- Coś podać?

Eli przestała chichotać, odjęła rękę od ust i podeszła bliżej.

- Poproszę banana.

Oskar parsknął i jeszcze mocniej przycisnął dłoń do ust. Eli odwróciła się i, kładąc palec na ustach, syknęła z udawaną srogością.

Kioskarz się nie ruszył.

- Nie mam bananów.

Eli udała, że nie rozumie.

- Nie ma pan banaaanów?
- Nie. Coś jeszcze?

Oskar dostał szczękocisku od tłumionego śmiechu. Zataczając się, odszedł od kiosku, podbiegł kilka kroków do skrzynki pocztowej, oparł się o nią i trząsł się od śmiechu. Eli podeszła do niego, kręcąc głową.

- Nie ma bananów.

Oskar wykrztusił:

- Pewnie... sam... wszystkie zjadł.

Wziął się w garść, zacisnął usta, wyjął cztery jednokoronówki i podszedł do kiosku.

- Mieszankę.

Kioskarz zmierzył go wzrokiem i zaczął wybierać szczypcami słodczy z plastikowych pojemników na wystawie. Wkładał je do papierowej torebki.

Oskar zerknął w bok, żeby się upewnić, że Eli go słyszy, i powiedział:

- Proszę nie zapomnieć o bananach.
- Nie mam bananów.

Oskar wskazał na jeden z pojemników.

- Miałem na myśli te z pianki.

Słyszał, jak Eli chichocze, i zrobił teraz to, co ona wcześniej; położył palec na ustach i syknął. Kioskarz prychnął, włożył dwa piankowe banany do torebki i podał ją Oskarowi.

Wrócili na podwórze. Zanim Oskar sam sięgnął po słodczy, podsunął torebkę Eli. Pokręciła głową.

- Nie, dzięki.
- Nie jesz słodczy?
- Nie mogę.
- Żadnych słodczy?
- Żadnych.
- To okropne.
- Tak. Nie. Nawet nie wiem, jak smakują.
- Nigdy nie próbowałeś?
- Nie.
- To skąd wiesz, że...
- Po prostu wiem.

Tak czasem było. O czymś rozmawiali. Oskar o coś pytał i słyszał: „Bo tak po prostu jest”, „po prostu wiem”. Żadnego wytłumaczenia. To była jedna z tych rzeczy, które go w Eli bardzo dziwiły.

Szkoda, że nie mógł jej poczęstować. Tak to sobie zaplanował. Że poczęstuje ją. Będzie mogła wziąć, ile tylko zechce. A ona nie je słodczy. Wpakował piankowego banana do ust i zerknął na nią.

Rzeczywiście nie wyglądała zdrowo. I te pasma siwych włosów... W jakiejś książce Oskar przeczytał kiedyś, że ktoś osiwił ze strachu. Ale Eli niczego chyba się nie przestraszyła?

Rozglądała się na boki, objęła się rękami i wyglądała na bardzo małą. Oskar miał ochotę ją przytulić, ale nie miał odwagi.

W bramie prowadzącej na podwórze Eli się zatrzymała i spojrzała w górę na swoje okno. Światło było zgaszone. Stała nieruchomo, obejmując się rękami, i patrzyła na ziemię.

- Posłuchaj, Oskarze...

Zrobił to. Całe jej ciało o to prosiło; zdobył się na odwagę. Objął ją. Przez jedną straszną chwilę pomyślał, że źle postąpił; była sztywna, spięta. Już chciał ją puścić, kiedy się rozluźniła. Supeł puścił, rozłożyła ręce, objęła go i drżąc, przycisnęła do siebie.

Oparła głowę na jego ramieniu i tak stali. Jej oddech na jego szyi. Obejmowali się w milczeniu. Oskar zamknął oczy; wiedział, że jest to coś wielkiego. Światło latarni wdzierało się pod jego zamknięte powieki, przesłoniło oczy czerwonałoną. Coś wielkiego.

Eli przysunęła głowę bliżej jego szyi. Jej oddech stawał się coraz szybszy. Znow napięła rozluźnione mięśnie. Wargami musnęła jego szyję; dreszcz przeżył jego ciało.

Nagle się szarpnęła, wyrwała z jego objęć, zrobiła krok do tyłu. Oskar opuścił ręce. Eli potrząsnęła głową, jakby chciała się uwolnić od przykrego snu, odwróciła się i ruszyła w stronę swojej klatki. Oskar stał nieruchomo. Kiedy otworzyła drzwi, krzyknął za nią:

- Eli?

Odwróciła się.

- Gdzie jest twój ojciec?

- Poszedł... po coś do jedzenia.

Ona nie dostaje nic do jedzenia. Ot co.

- Możesz zjeść u nas.

Eli puściła drzwi, podeszła do niego. Oskar już zaczął się zastanawiać, jak przedstawi to wszystko mamie. Nie chciał, żeby mama zobaczyła Eli. Ani Eli mamę. Zrobi kilka kanapek i jej przyniesie. Tak, tak będzie najlepiej.

Eli stanęła przed nim, popatrzyła mu poważnie w oczy.

- Oskarze, lubisz mnie?

- Tak. Bardzo.

- Gdybym nie była dziewczyną... też byś mnie lubił?

- Jak to?

- No tak. Lubiłbyś mnie, gdybym nie była dziewczyną?

- Chyba... tak.

- Na pewno?

- Tak. Czemu pytasz?

Ktoś szarpnął klamkę okna, otworzyło się z trudem. Nad głową Eli Oskar zobaczył, że mama wychyla się z okna jego pokoju.

- Ooooooskar!

Eli szybko się odsunęła, cofnęła pod ścianę. Oskar zacisnął ręce, wbiegł na górkę i stanął pod oknem. Jak dzieciak.

- O co chodzi?

- O! Tu jesteś. Myślałam, że...

- Co się stało?

- Już się zaczyna.

- Wiem.

Mama chciała powiedzieć coś więcej, ale zamknęła usta i przyglądała mu się, kiedy tak stał pod oknem, z zacisniętymi rękami, spięty.

- Co robisz?

- Ja... zaraz przyjdę.

- Dobrze, bo...

Oczy aż powilgotniały mu ze złości.

- Zamknij okno! - wysyczał. - Zamknij okno!

Mama patrzyła na niego jeszcze przez chwilę. Potem na jej twarzy pojawił się grymas, zatrzasnęła okno i odeszła. Oskar chciał... nie, nie chciał jej przywołać, tylko... przesłać jakąś myśl, spokojnie wytłumaczyć, o co chodzi. Że nie może się tak się zachowywać, że on ma...

Zbiegł z górki.

- Eli?

Nie było jej. Nie weszła do swojej klatki, zauważyłby to. Pewnie poszła do metra, żeby pojechać do miasta, do tej swojej ciotki, do której jeździła po szkole. Pewnie tak.

Oskar stał w ciemnym kącie, gdzie się schowała, kiedy mama go zawołała. Odwrócił się twarzą do ściany. Stał tak chwilę. Potem wszedł do domu.

Håkan zaciągnął chłopca do kabiny i zamknął drzwi. Chłopak nie wydał żadnego dźwięku. Jedyne, co mogłoby wzbudzić podejrzenie, to syk halotanu. Musi działać szybko.

O wiele prościej byłoby zaatakować go nożem. Ale krew musi pochodzić od żywego człowieka. Tego też już się nauczył. Krew osoby martwej jest bezwartościowa, wręcz szkodliwa.

Dobrze. Chłopak żył. Klatka piersiowa unosiła się i opadała, wdychał gaz usypiający.

Mocno owinał sznur wokół nóg chłopca, tuż nad kolanami; końce zaczepił o hak i zaczął ciągnąć. Nogi chłopca się uniosły.

Ktoś otworzył drzwi, usłyszał głosy.

Trzymał sznur w jednej ręce, drugą zamknął pojemnik z gazem, wyjął ustnik. Znieczulenie powinno działać jeszcze przez kilka minut, musi się wziąć do pracy, niezależnie od tego, czy w pobliżu są ludzie, czy nie; musi działać tak bezgłośnie, jak tylko potrafi.

Kilku mężczyzn stało na zewnątrz kabiny. Dwóch, trzech, czterech? Rozmawiali o Szwecji i Danii. O jakimś meczu. Piłki ręcznej. W trakcie ich rozmowy zaczął podciągać chłopca. Hak zatrzeszczał, obciążony pod innym kątem, niż kiedy on sam na nim zawisł. Mężczyźni ucichli. Czyżby coś usłyszeli? Stał cicho, niemal nie oddychał. Utrzymywał ciało w niezmienionej pozycji; głowa przed chwilą zawisła nad podłogą.

Nie. To była tylko przerwa w rozmowie. Mówili dalej.

Rozmawiajcie, rozmawiajcie.

- Karny Sjögrena był...
- Jak się nie ma w rękach, trzeba mieć w głowie.
- Ma świetne zagrywki.
- Nie pojmuję, jak on to robi...

Głowa chłopca zwisała swobodnie kilka centymetrów nad podłogą. Teraz...

Gdzie ma umocować końce sznura? Szpary między szczebelkami ławki były za wąskie, żeby przeciągnąć przez nie sznur. Nie mógł pracować jedną ręką, trzymając sznur w drugiej. Nie da rady. Stał nieruchomo, mocno ściskając końce sznura, pocił się. W kominiarce było mu gorąco, powinien ją zdjąć.

Później. Kiedy będzie po wszystkim.

Teraz drugi hak. Tylko najpierw musi zrobić pętelkę. Pot zalewał mu oczy, kiedy opuścił ciało chłopca, żeby poluzować sznur i zawiązać pętelkę. Podciągnął chłopca, próbował założyć pętelkę na hak. Sznur był za krótki. Opuścił chłopca. Mężczyźni umilkli.

Idźcie stąd! Idźcie!

W ciszy zawiązał nową pętelkę, bliżej końca sznura, czekał. Znów zaczęli rozmawiać. Kręgle. Sukcesy szwedzkiej drużyny kobiecej w Nowym Jorku. Pociągnąć i zablokować. Pot zaczął szczypać go w oczy.

Gorąco. Dlaczego jest tak gorąco?

Zahaczył pętelkę i odetchnął.

Nie mogą sobie pójść?

Ciało chłopca wisiało we właściwej pozycji, teraz trzeba było szybko przystąpić do pracy, zanim chłopak się ocknie. Żeby wreszcie sobie poszli. Rozmawiali o kręglach, o tym, jak kiedyś grano i jak raz komuś kciuk uwiązał w kuli, i musiał jechać do szpitala, żeby mu go wyjęli.

Nie mógł dłużej czekać. Włożył lejek do kanistra, podstawił pod szyję chłopca. Wyjął nóż. Kiedy odwrócił się, żeby zadać cios, mężczyźni umilkli. Oczy chłopca były otwarte. Szeroko otwarte; wisiał do góry nogami, oczy szukały punktu zaczepienia, chciały zrozumieć. Zatrzymały się na Hakanie, który stał nagi, z nożem w ręku. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy.

Potem chłopiec otworzył usta i wrzasnął.

Håkan odskoczył, uderzył lekko w ściankę kabiny. Spoczone plecy ślizgały się na ściance, mało brakowało, by stracił równowagę. Chłopiec krzyczał i krzyczał. Głos wypełniał przebieralnię, odbijał się echem od ścian, świdrował w uszach. Håkan mocniej zacisnął dłoń na rękojeści noża; myślał tylko o tym, co zrobić, żeby chłopak przestał wrzeszczeć. Odetnie mu głowę, żeby wreszcie przestała krzyczeć. Nachylił się nad chłopcem.

Usłyszał walenie do drzwi.

- Halo! Otwierac!

Puścił nóż. Odgłos uderzenia o podłogę dał się słyszeć mimo walenia do drzwi i wrzasków chłopca. Drzwi zatrzeszczały.

- Otwierac! Bo wywalę drzwi!

Koniec. To jest koniec. Teraz zostało mu tylko jedno. Dźwięki wokół niego zniknęły, pole widzenia zwięzło się, kiedy Håkan spojrział na torbę. Jakby w tunelu zobaczył własną rękę, która wyjmuje z torby słoik po dzemie.

Upadł na tyłek, trzymając słoik w dłoniach, odkręcił pokrywkę. Czekał.

Zanim otworzą drzwi. Zanim ściagną mu z głowy kominiarkę. Twarz.

Wśród krzyków i odgłosów walenia w drzwi myślał o ukochanej. O czasie, który razem spędzili. Miał przed oczyma jej obraz; widział anioła. Anielskiego chłopca, który opuszcza się z nieba z rozpostartymi skrzydłami, żeby go zabrać. Unieść ze sobą. Gdzieś, gdzie zawsze będą razem. Zawsze.

Drzwi otworzyły się, uderzając o ścianę. Chłopiec nie przestawał krzyczeć. Na zewnątrz stało trzech mężczyzn, mniej lub bardziej ubranych. Nie rozumiejąc, przyglądali się scenie, która ukazała się ich oczom.

Håkan kiwał głową, pogodzony.

Potem krzyknął:

- Eli! Eli!

I oblał twarz kwasem solnym.

„Radujcie się! Radujcie się!

Radujcie się, bo przybył Pan nasz!

Radujcie się!

Chwalcie Króla, Pana naszego!"

Staffan akompaniował sobie i mamie Tommy'ego na pianinie. Od czasu do czasu patrzyli sobie w oczy, uśmiechali się, promienieli. Tommy siedział na skórzanej kanapie i cierpiał. Znalazł małą dziurkę w jednym podłokietniku i gdy Staffan i mama śpiewali, pracowicie ją powiększał. Palcem wskazującym wiercił dziurę, zastanawiając się, czy Staffan i mama kiedyś spali na tej kanapie. Pod barometrami.

Kolacja była w porządku, marynowany kurczak z ryżem. Po kolacji Staffan pokazał Tommy'emu pancerny sejf, w którym przechowywał swoje pistolety. Sejf był pod łóżkiem w sypialni i Tommy pomyślał o tym samym. Czy oni spali ze sobą w tym łóżku? Czy mama myślała o tacie, kiedy Staffan ją pieścił? Czy Staffana podniecała myśl o pistoletach pod materacem? Aja?

Staffan uderzył końcowy akord, pozwolił mu wybrzmieć. Tommy wyciągnął palec z całkiem już sporej dziury w kanapie. Mama skinęła Staffanowi, wzięła jego dłoń i usiadła obok na stołku. Z miejsca, gdzie siedział Tommy, widać było Matkę Boską dokładnie nad ich głowami, jakby specjalnie zaplanowali ten efekt, jakby już wcześniej wszystko przygotowali.

Mama spojrzała na Staffana, uśmiechnęła się i odwróciła do Tommy'ego.

- Tommy, chcemy ci o czymś powiedzieć.

- Pobieracie się?

Mama się zawahała. Jeśli wszystko wcześniej przygotowali, całą scenografię i w ogóle, to tej repliki najwyraźniej nie przewidzieli.

- Tak. Co ty na to?

Tommy wzruszył ramionami.

- Okej. Proszę bardzo.

- Pomyśleliśmy, że może... latem.

Mama patrzyła na niego, jakby pytając, czy może ma jakąś lepszą propozycję.

- Tak. Jasne.

Znow wsadził palec w dziurę. Staffan pochylił się w jego stronę.

- Wiem, że nie mogę... zastąpić ci twojego taty. W żaden sposób. Ale mam nadzieję, że ty i ja będziemy potrafili... że uda nam się lepiej poznać... tak. Że zostaniemy kumplami.

- Gdzie będziecie mieszkać?

Mama nagle posmutniała.

- My będziemy, Tommy. Ciebie to też dotyczy. Jeszcze nie wiemy. Może kupimy dom w Ängby. Jeśli damy radę.

- W Ängby.

- Tak. Co ty na to?

Tommy przyglądał się szklanemu blatowi stolika, w którym odbijała się mama i Staffan, na wpół przejrzyści jak duchy. Grzebał palcem w dziurze, wydobył z niej kawałek gąbki.

- Drogo.

- Co takiego?

- Dom w Ängby. To kosztuje. Potrzeba dużo pieniędzy. Macie tyle?

Staffan wstał, żeby podejść do telefonu, który właśnie zadzwonił. Pogłodził mamę Tommy'ego po policzku i podszedł do aparatu w przedpokoju. Mama usiadła na kanapie obok Tommy'ego.

- Nie jesteś tym zachwycony?

- Jestem wniebowzięty.

Z przedpokoju dochodził głos Staffana. Był podekscytowany.

- Coś takiego... tak, zaraz będę. Czy... nie, od razu tam jadę. Dobrze. Cześć.

Wrócił do dużego pokoju.

- Morderca jest w Vallingbyhallen. Brakuje ludzi na komisariacie, więc muszę...

Zniknął w sypialni i Tommy usłyszał, jak otwiera, a potem zamyka sejf. Staffan przebrał się i po chwili wyszedł w policyjnym mundurze. W oczach miał lekkie szaleństwo. Pocałował mamę Tommy'ego w usta, Tommy'ego poklepał po kolanie.

- Muszę natychmiast jechać. Nie wiem, kiedy wrócę. Porozmawiamy później.

Pospieszył do przedpokoju, mama Tommy'ego poszła za nim.

Tommy usłyszał „bądź ostrożny” i „kocham cię”, i „zostaniesz?”. Podszedł do pianina i nie wiedząc dlaczego, wyciągnął rękę i chwycił figurkę strzelca. Była ciężka, ważyła co najmniej dwa kilogramy. Kiedy mama i Staffan się zegnali (One to lubią; mężczyzna, który wyrusza na wojnę, tęskniąc kobiecie...), wyszedł na balkon. Jego płuca wdychały zimne wieczorne powietrze, po raz pierwszy od kilku godzin znów mógł oddychać.

Wychylił się przez barierkę, zobaczył gęste krzaki na dole. Wysunął figurkę za balustradę i puścił. Spadła w krzaki z szelestem.

Po chwili na balkonie pojawiła się mama, stanęła obok niego. Po kilku sekundach drzwi na dole się otworzyły, wyszedł Staffan i truchtem ruszył na parking. Mama pomachała mu, ale Staffan nie spojrzał w górę. Kiedy był pod balkonem, Tommy zachichotał.

- Co się stało? - spytała mama.

- Nic.

Tylko tyle, że mały facecik z pistoletem stoi w krzakach i celuje w Staffana. Tylko tyle.

Mimo wszystko Tommy czuł się niezłe.

Paczka powiększyła się o Karlssona; jedyne, który miał „prawdziwą pracę”, jak sam mówił. Larry był na wcześniejszej emeryturze, Morgan od czasu do czasu pracował na złomowisku samochodów, a z czego żył Lacke, tego nikt nie wiedział. Czasem miewał po prostu trochę kasy.

Karlsson pracował na etacie w sklepie z zabawkami w Vällingby. Kiedyś był jego właścicielem, ale potem musiał sprzedać sklep z powodu „kłopotów finansowych”. Po jakimś czasie nowy właściciel zatrudnił go, bo -jak mawiał Karlsson - nie można zaprzeczyć, że „po trzydziestu latach w branży ma się pewne doświadczenie”.

Morgan odchylił się na krześle, rozsunął nogi, założył ręce za głowę i patrzył na Karlssona. Lacke i Larry wymienili spojrzenia. Teraz się zacznie.

- No, Karlsson. Co nowego w branży zabawkarskiej? Znaleźliście jakieś nowe sposoby, żeby wyciągnąć od dzieciaków kieszonkowe?

Karlsson parsknął.

- Nie wiesz, o czym mówisz. Jeśli ktoś tu jest ofiarą, to ja. Nie masz pojęcia, jakie rozmiary przybierają drobne kradzieże. Dzieciaki...

- Dobrze, dobrze. Wystarczy kupić plastikowy gadżet z Korei za dwie korony i sprzedać go za stówę, i już wychodzicie na swoje.

- Nie sprzedajemy takich rzeczy.

- Akurat. A co ja ostatnio widziałem na wystawie? Smerfy. Co to jest? Może rękodzieło wysokiej jakości z Bengtsfors, co?

- Dziwię się, że taka uwaga pada z ust kogoś, kto sprzedaje samochody, które jadą tylko wtedy, kiedy zapręgnie się do nich konia.

I tak sobie gawędzili. Larry i Lacke słuchali, czasem się roześmiali, rzucili jakiś komentarz. Gdyby była z nimi Virginia, koguty jeszcze bardziej nastroszyłyby swoje piórka, a Morgan dałby za wygraną dopiero wtedy, kiedy Karlsson naprawdę by się wściekł.

Ale Virginii nie było. Ani Jockego. Brakowało odpowiedniej atmosfery, dlatego kiedy koło wpół do dziewiątej drzwi wolno się otworzyły, dyskusja dobiegała już końca.

Larry podniósł wzrok i zobaczył osobę, której nigdy nie spodziewał się tu ujrzeć: Göstę. Śmierdziela, jak mawiał Morgan. Larry rozmawiał z nim kilka razy na ławce przed blokiem, ale nigdy się nie zdarzyło, żeby Gösta przyszedł tutaj.

Wyglądał na roztrzęsionego. Jakby składał się ze źle sklejonych części, które mogły się rozlecieć, gdyby się zaczął zbyt gwałtownie poruszać. Zmrużył oczy, drżał. Albo był w sztok pijany, albo chory.

Larry pomachał do niego.

- Gösta! Chodź, usiądź!

Morgan odwrócił głowę, zobaczył Göstę i powiedział:

- Niech to szlag.

Gösta torował sobie drogę do ich stolika, jakby szedł po polu minowym. Larry odsunął sąsiednie krzesło i wykonał zapraszający gest.

- Witaj w klubie.

Gösta zdawał się go nie słyszeć; doczłapał do krzesła. Miał na sobie zniszczony garnitur, kamizelkę i muchę, włosy zaczesał na mokro. I cuchnął. Szczykami. I jeszcze raz szczykami. Jeśli siedziało się z nim na dworze, smród był co prawda wyraźnie wyczuwalny, ale do wytrzymania. W ciepłym pomieszczeniu zalatywało od niego starym moczem, tak że trzeba było oddychać ustami. Trudno było wytrzymać.

Wszyscy, nawet Morgan, starali się, żeby ich twarze nie zdradziły tego, co czuły ich nosy. Kelner podszedł do stolika, ale stanął, kiedy poczuł smród.

- Coś... podać?

Gösta pokręcił głową, nie patrząc na kelnera. Ten zmarszczył brwi, ale Larry wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: „Spokojnie, załatwimy to”. Kelner się oddalił.

Larry położył rękę na ramieniu Gösty.

- Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

Gösta odchrząknął i ze wzrokiem wbitym w podłogę, powiedział:

- Jocke.

- Co z nim?

- Nie żyje.

Larry usłyszał, jak za jego plecami Lacke głośno wciąga powietrze. Wciąż trzymał rękę na ramieniu Gösty, jakby zachęcająco. Czuł, że tego potrzebuje.

- Skąd wiesz?

- Widziałem, jak to się stało. Jak został zabity.

- Kiedy?

- W sobotę. Wieczorem.

Larry cofnął rękę.

- W sobotę? Czy... rozmawiałeś o tym z policją?

Gösta pokręcił głową.

- Nie miałem siły. Ja... tego nie widziałem. Ale wiem.

Lacke podniósł ręce do twarzy.

- Wiedziałem, wiedziałem - wyszeptał.

Gösta zaczął opowiadać. Jakieś dziecko zbiło kamieniem latarnię tuż obok mostku i czekało. Jocke wszedł i już nie wyszedł. Niewyraźny odcisk, zarys ciała w stercie suchych liści następnego ranka.

Skończył opowiadać. Zdenerwowany kelner już od jakiegoś czasu dawał Larry'emu znaki, pokazywał to na Göstę, to na drzwi. Larry położył dłoń na ramieniu Gösty.

- Coś takiego. Pójdziemy tam i sprawdzimy, dobrze?

Gösta skinął głową. Wstali od stolika. Morgan dopił resztkę swojego piwa, uśmiechnął się szyderczo do Karlssona, który jak zwykle wziął gazetę i schował ją do kieszeni, cholerny sknera.

Tylko Lacke nadal siedział przy stoliku i bawił się kilkoma złamanymi wykałaczkami, które leżały przed nim na stole.

Larry pochylił się nad nim.

- Nie idziesz z nami?

- Wiedziałem. Czułem to.

- No dobrze. Idziesz czy nie?

- Tak. Zaraz przyjdę. Idźcie.

Kiedy wyszli na chłodne wieczorne powietrze, Gösta nieco się uspokoił. Ruszył tak szybko, że Larry musiał go poprosić, żeby trochę zwolnił; serce nie nadażało. Karlsson i Morgan szli za nimi obok siebie; Morgan czekał, aż Karlsson powie coś głupiego, żeby mógł na niego naskoczyć. Dobrze by mu to zrobiło. Ale nawet Karlsson wydawał się zajęty własnymi myślami.

Rozbity klosz latarni został wymieniony, więc pod mostem było dość jasno. Stali w zwartej grupie i słuchali, jak Gösta opowiada, pokazując na sterty liści i tupiąc nogami, żeby się rozgrzać. Kiepskie krążenie. Jego tupanie odbijało się głuchym echem; można było odnieść wrażenie, że maszeruje cała armia.

Kiedy Gösta skończył, Karlsson powiedział:

- Nie ma żadnych bezpośrednich dowodów.

Na taką odzywkę czekał Morgan.

- Do diabła, słyszysz chyba, co on mówi. Myślisz, że kłamie?

- Nie - odpowiedział Karlsson, jakby miał do czynienia z dzieckiem - ale myślę, że policja może nie być równie skora uwierzyć w jego opowieść, jeśli nie ma dowodów.

- Przecież jest świadkiem.

- Myślisz, że to wystarczy?

Larry rozłożył ręce nad stertami liści.

- Pytanie, gdzie się podział. Jeśli rzeczywiście to prawda.

Lacke zbliżał się parkową alejką; podszedł do Gösty i pokazał na ziemię.

- Tam?

Gösta skinął głową. Lacke wsunął ręce do kieszeni i długą chwilę przyglądał się nieregularnym wzorom na liściach, jakby układał gigantyczne puzzle.

Zagryzł wargi, otworzył usta, znów zagryzł usta.

- I co wy na to?

Larry zrobił kilka kroków w jego stronę.

- Przykro mi, Lacke.

Lacke powstrzymał go gestem ręki, nie chciał, żeby się zbliżył.

- Co wy na to? Złapiemy sukinsyna, który to zrobił, czy nie?

Patrzyli na wszystkie możliwe strony, tylko nie na Lackego. Larry zamierzał powiedzieć, że to będzie trudne, pewnie w ogóle niemożliwe, ale zrezygnował.

W końcu Morgan odchrząknął, podszedł do Lackego i objął go ramieniem.

- Dostaniemy go, Lacke. Na pewno.

Tommy wyjrzał przez balustradę; miał wrażenie, że widzi połyskujące w dole srebro. Z podobną figurką drużyna Gröngölingarna wracała zwykle po wygranych zawodach.

- O czym myślisz? - spytała mama.

- O Kaczorze Donaldzie.

- Nie przepadasz za Staffanem, prawda?

- Może być.

- Tak?

Tommy popatrzył w kierunku centrum. Widział duże czerwone „V”, które obracało się powoli. Vällingby. *Victory*.

- Pokazał ci pistolety?

- Dlaczego o to pytasz?

- Tak mi przyszło do głowy. Pokazał ci je?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Czego nie rozumiesz? Pytam, czy otworzył sejf, wyjął pistolety i pokazał ci je.

- Tak. I co z tego?

- Kiedy?

Mama strzepnęła coś z bluzki, potarła ramiona.

- Zmarłam trochę.

- Myślisz o tacie?

- Tak. Cały czas.

- Cały czas?

Mama westchnęła, schyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Do czego zmierzasz?

- Do czego ty zmierzasz?

Ręka Tommy'ego spoczywała na balustradzie; mama położyła na niej swoją dłoń.

- Pojedziesz ze mną jutro do taty?

- Jutro?

- Tak. Jest Wszystkich Świętych.

- To pojutrze. Tak, pojedę.

- Tommy...

Chwyliła jego dłonie, odwróciła się do niego. Objęła go. Tommy zeszywniał. Potem wyswobodził się i wszedł do środka.

Ubierając się, pomyślał, że musi odciągnąć mamę z balkonu, jeśli chce zejść na dół i odszukać figurkę. Zawołał ją szybko weszła do pokoju, spragniona jego słów.

- To... pozdrów Staffana.

Mama się rozpromieniła.

- Pozdrowię. Nie zostaniesz?

- Nie, to może potrwać całą noc.

- Tak. Trochę się niepokoję.

- Nie ma powodu. Przecież potrafi strzelać. Cześć.

- Cześć...

Drzwi się zamknęły.

- ...skarbie.

Głuchy trzask doszedł z volvo, kiedy Staffan z dużą prędkością wjechał na krawężnik. Zęby Staffana zaszczękały, aż zadzwęczało mu w głowie, na chwilę oślepił i o mały włos nie przejechał starszego mężczyzny, który spieszył dołączyć do grupy gapiów zebranych wokół radiowozu przed głównym wejściem.

Aspirant Larsson siedział w samochodzie i rozmawiał przez radio. Pewnie wzywał posiłki albo karetkę. Staffan zatrzymał się za nim, żeby zostawić miejsce dla ewentualnych posiłków, wyskoczył z wozu i zniknął go. Zawsze zamykał samochód, nawet jeśli oddalał się od niego tylko na minutę. Nie sądził, że ktoś mu go ukradnie, ale chciał, by weszło mu to w nawyk, żeby nigdy nie zapomniał zamknąć służbowego samochodu.

Ruszył do głównego wejścia, starając się wyglądać tak, by wzbudzić respekt u gapiów; wiedział, że już sama jego obecność często dawała ludziom poczucie bezpieczeństwa. Wielu z tych, którzy stali tu i patrzyli, pomyślało zapewne: Aha, idzie ktoś, kto wszystkim się zajmie.

Tuż za drzwiami stało czterech mężczyzn w kąpielówkach z ręcznikami na ramionach. Staffan minął ich, kierując się do przebieralni, kiedy jeden z nich zawołał: „Halo, przepraszam!” i podszedł do niego na bosaka.

- Przepraszam, ale... nasze ubrania.
- Co z nimi?
- Kiedy będziemy mogli je zabrać?
- Wasze ubrania?
- Tak, są w przebieralni, a nie możemy tam wejść.

Staffan otworzył usta, żeby rzucić kąśliwą uwagę, że ich ubrania są obecnie najwyższej na liście priorytetów, ale w tym momencie jakaś kobieta w białym T-shircie przyniosła mężczyznom płaszcze kąpielowe.

Staffan ruszył do przebieralni. Po drodze spotkał jeszcze jedną kobietę w białym T-shircie. Prowadziła do wyjścia chłopca w wieku dwunastu, trzynastu lat. Twarz chłopca wydawała się purpurowa na tle białego płaszcza kąpielowego, w który był owinięty, w oczach miał pustkę. Kobieta wlepiła wzrok w Staffana, jakby go oskarżała.

- Mama po niego przyjedzie i zabierze go.

Staffan skinął głową. Czy to ten chłopiec jest... ofiarą? Chciał o to spytać, ale w pośpiechu nie potrafił sensownie sformułować pytania. Założył, że Holmberg spisał jego nazwisko i inne dane i uznał, że najlepiej będzie, jeśli matka się nim zajmie, zaprowadzi do karetki, zgłosi się do grupy kryzysowej, zadba o terapię.

Chroń naszych najmniejszych.

Staffan szedł korytarzem, po czym wbiegł po schodach, dziękując w duchu za dotychczasową łaskę i prosząc o siłę w związku z czekającą go próbą.

Czy morderca rzeczywiście jest w budynku?

Przed przebieralnią, pod tabliczką „Panowie”, stało trzech panów, którzy rozmawiali z Holmbergiem. Tylko jeden z nich był kompletnie ubrany. Drugi był bez spodni, trzeci miał goły tors.

- Dobrze, że tak szybko przyjechałeś - odezwał się Holmberg.
- Wciąż tam jest?

Holmberg wskazał na drzwi do przebieralni.

- Tak, jest w środku.

Staffan wskazał gestem trójkę mężczyzn.

- Czy oni...

Zanim Holmberg zdążył cokolwiek powiedzieć, mężczyzna bez spodni zrobił pół kroku do przodu i nie bez dumy powiedział:

- Jesteśmy świadkami.

Staffan skinął głową i spojrzał pytająco na Holmberga.

- Czy oni nie powinni...

- Owszem, ale czekałem, aż się zjawisz. Najwyraźniej nie jest agresywny.

- Holmberg odwrócił się do mężczyzn. - Odezwiemy się. Najlepiej będzie, jeśli panowie wrócą do domu. I jeszcze jedno. Rozumiem, że nie będzie to łatwe, ale proszę nie rozmawiać o tym ze sobą.

Mężczyzna bez spodni uśmiechnął się znacząco, ze zrozumieniem.

- Ktoś mógłby usłyszeć, o to chodzi?

- Nie, ale mogłoby się panom zacząć wydawać, że widzieliście rzeczy, których naprawdę nie widzieliście wy, tylko ktoś inny.

- Widziałem, co widziałem, i był to najohydniejszy...

- Wierzcie mi. Najlepszym to się zdarza. A teraz proszę nam wybaczyć.

Dziękuję za pomoc.

Mężczyźni cofnęli się w głąb korytarza, coś mamrocząc. Holmberg potrafił rozmawiać z ludźmi. Na ogół właśnie tym się zajmował. Jeździł po szkołach, mówił o narkotykach i pracy policji. Niezbyt często zdarzało mu się uczestniczyć w czymś takim.

W przebieralni rozległ się metaliczny trzask, jakby przewróciło się coś błaszanego. Staffan się wzdrygnął; zaczął nasłuchiwać.

- Nie jest agresywny?
- Na pewno jest ciężko ranny. Oblał sobie twarz jakimś kwasem.

- Dlaczego?

Na twarzy Holmberga malowała się pustka, odwrócił się do drzwi.

- Chodźmy, spytamy go.

- Jest uzbrojony?

- Najprawdopodobniej nie.

Holmberg wskazał na wnękę okienną; na marmurowym parapecie leżał duży kuchenny nóż z drewnianą rączką.

- Nie miałem żadnej torebki. Poza tym zanim przyszedłem, ten bez spodni zdążył wziąć go do ręki i bawił się nim dłużej chwilę. Później go zabierzemy.

- Tak go tu zostawimy?

- Masz lepszą propozycję?

Staffan pokręcił głową i teraz, w ciszy, zwrócił uwagę na dwie rzeczy. Jedna to słaby, nieregularny, świszczący dźwięk w przebieralni. Jak wiatr w kominie. Pęknięty flet. Druga - to zapach. Najpierw sądził, że to chlor, którym przesycony był cały basen. Ale to było coś jeszcze. Ostry, kłujący zapach, łaskoczący nozdrza. Staffan zmarszczył nos.

- Może byśmy...?

Holmberg skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Miał żonę i dzieci. Jasne. Staffan wyciągnął służbową broń z kabury, położył drugą rękę na klamce. Trzeci raz w ciągu dwunastu lat służby wchodził do pomieszczenia z wyciągniętą bronią. Nie wiedział, czy postępuje słusznie, ale nikt nie będzie miał mu tego za złe. Morderca dzieci. Osaczony, może zdesperowany, mimo że ciężko ranny.

Dał znak Holmbergowi i otworzył drzwi.

Uderzył go odór.

Kłutł w nozdrza tak, że zaczęły łzawić mu oczy. Zakasłał. Wyjął z kieszeni chustkę, przyłożył do ust i do nosa. Kilka razy pomagał strażakom, wtedy czuł

się podobnie. Ale tutaj nie było dymu, w pomieszczeniu unosiła się jedynie lekka mgiełka.

Dobry Boże, co to takiego?

Monotonny, rwący się dźwięk dochodził cały czas z szafek przed nimi. Staffan dał znak Holmbergowi, żeby poszedł z drugiej strony, tak by mogli zejść go z dwóch stron jednocześnie. Staffan podszedł do szafki i wyjrzał zza rogu, z pistoletem u boku.

Zobaczył przewrócony blaszany kosz na śmieci i leżące obok nagie ciało.

Holmberg wynurzył się z drugiej strony, sygnalizując Staffanowi, żeby się rozluźnił, bo nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Staffan lekko się zirytował, że Holmberg usiłuje przejąć dowodzenie, kiedy okazało się, że nie ma żadnego zagrożenia. Oddychał przez chusteczkę, teraz odjął ją od ust i powiedział:

- Halo. Policja. Słyszysz mnie pan?

Mężczyzna na podłodze nie dawał niczego po sobie poznać. Leżał z twarzą na podłodze i wydawał monotony dźwięk. Staffan zrobił parę kroków w jego stronę.

- Ręce wyciągnięte przed siebie, tak żebym je widział.

Mężczyzna się nie poruszył. Kiedy Staffan podszedł bliżej, zobaczył, że mężczyzna drży. Polecenie, żeby wyciągnął ręce, było niepotrzebne. Jedna ręka leżała na koszu na śmieci, druga tuż obok na podłodze. Dłoń była spuchnięta i popękana.

Kwas... jak on wygląda...

Staffan, z chusteczką przy nosie, podszedł do mężczyzny. Schował pistolet do kabury; ufał, że Holmberg go ubezpiecza.

Mężczyzna drgał spazmatycznie; naga skóra wydawała dziwny, kłaskający dźwięk, kiedy odklejała się od kafelków, a po chwili znów do nich przywierała. Ręka leżąca na podłodze podskakiwała jak ryba, wyrzucona na brzeg. I cały czas dźwięk, wydobywający się z ust:

- ...eeiiiiiii...

Staffan dał znak Holmbergowi, żeby trzymał się na odległość dwóch kroków, i kucnął obok mężczyzny.

- Słyszysz mnie pan?

Mężczyzna ucichł. Wykonał konwulsyjny obrót i się odwrócił.

Twarz.

Staffan odskoczył, stracił grunt pod nogami i wylądował na kości ogonowej. Zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć, kiedy dreszcz bólu przeszył jego ciało. Zamknął oczy. Znowu je otworzył.

Mężczyzna nie miał twarzy.

Staffan widział narkomana, który podczas halucynacji wielokrotnie uderzał głową w ścianę. Widział mężczyznę, który spawał kanister na benzynę, nie opróżniwszy go wcześniej. Ekspłodował mu prosto w twarz.

Nic jednak nie mogło się równać z tym widokiem.

Nos został wyżarty, na jego miejscu były teraz tylko dwie dziury. Wargi stopiły się, została jedynie mała szparka w jednym kąciuku. Jedno oko wypłynęło na to, co kiedyś było policzkiem, a drugie... drugie było szeroko otwarte.

Staffan patrzył w to oko, jedyne, co można byłoby uznać za coś ludzkiego w tej bezkształtnej masie. Było czerwone, a kiedy mężczyzna próbował mrugnąć, oko przesłaniał mały strzęp ciała: opadał i się unosił.

W miejscu, w którym powinna być reszta twarzy, były tylko kawałki chrząstek i kości, wystające pomiędzy strzępów mięsa i czarnych skrawków materiału. Nagie, błyszczące kawałki mięśni naprężyły się i rozluźniały; podskakiwały, jakby głowa zmieniała się w kłębowisko świeżo zabitych, posiekanych węgory.

Twarz, to, co było twarzą, żyło własnym życiem.

Ten widok przyprawił Staffana o mdłości i pewno by zwymiotował, gdyby nie to, że bardziej dokuczał mu ból kręgosłupa. Powoli podciągnął nogi, wstał, wspierając się o szafki. Czerwone oko cały czas mu się przyglądało.

- Co za okropność...

Holmberg stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i patrzył na zniekształcone ciało na podłodze. Kwas spłynął też na tors. Z jednej strony brakowało skóry na obojczyku i wystawał kawałek kości, bielił się niczym kawałek kredy w duszonym mięsie.

Holmberg pokręcił głową, podniósł i opuścił rękę, podniósł, opuścił, góra, dół. Zakasłał.

- Co za okropność...

Była jedenasta i Oskar leżał w łóżku. Ostrożnie wystukiwał litery.

E.L.I.

E.L.I.

Żadnej odpowiedzi.

PIĄTEK

30 PAŹDZIERNIKA

CHŁOPCY Z 6B STALI W SZEREGU POD SZKOŁĄ, czekając na znak pana Avili. Wszyscy trzymali w ręku worki gimnastyczne albo torby, bo biada temu, kto zapomniaby stroju albo nie miał wystarczająco dobrych powodów usprawiedliwienia nieobecności na lekcji gimnastyki.

Stali obok siebie na odległość ręki, jak nakazał im Avila już pierwszego dnia w czwartej klasie, kiedy przejął lekcje wychowania fizycznego od ich wychowawczynie.

- W równym szeregu! Na odległość ręki!

Avila był podczas wojny pilotem. Kilka razy zabawiał chłopców opowieściami o walkach w powietrzu i przymusowych lądowaniach na polu pszenicy. Byli pod wrażeniem. Darzyli go szacunkiem.

Klasa, która zwykle rozrabiała, ustawiła się karnie w rozciągniętym szeregu, mimo że nauczyciela nie było jeszcze widać. Jeśli szereg nie wyglądał tak, jak sobie tego życzył, kazał im czekać dodatkowych dziesięć minut albo zamiast obiecanej gry w siatkówkę robili pompki i brzuszki.

Oskar, podobnie jak inni, bał się nauczyciela. Avila miał krótko przycięte siwe włosy i orli nos, utrzymywał dobrą kondycję i był silny. Nie był z tych, którzy mogliby pokochać lub zrozumieć słabego, lekko otyłego, dręczonego chłopca. Ale na jego lekcjach panował porządek. Jonny, Micke czy Tomas nie odważyli się na cokolwiek, dopóki nauczyciel był w pobliżu.

Johan wystąpił z szeregu i spojrzał na budynek szkoły. Podniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu i powiedział:

- Równaj! Dzisiaj ćwiczenia pożarowe! Ze sznurrem!

Niektórzy zaśmiali się nerwowo. Avila miał pewną słabość do tego rodzaju ćwiczeń. Raz w semestrze uczniowie musieli ćwiczyć ewakuację przez okno na linie, podczas gdy on mierzył czas stoperem. Jeśli udało im się pobić poprzedni rekord, na kolejnej lekcji mogli się bawić w „Sztorm na morzu”. Jeśli na to zasłużyli.

Johan szybko wrócił do szeregu. I całe szczęście, bo zaledwie kilka sekund później Avila wyszedł ze szkoły i rażnym krokiem pomaszerował do sali gimnastycznej. Patrzył przed siebie, nie obdarzył grupy choćby jednym spojrzeniem. W połowie drogi wykonał ręką gest - „chodźcie!” Nawet nie odwrócił głowy.

Szereg ruszył; chłopcy próbowali zachować należyta odległość. Tomas nadepnął Oskarowi na piętę, tak że zsunął mu się but. Oskar szedł dalej.

Od przedwczorajszych razów miał spokój. Nie przeprosili go, nic z tych rzeczy, ale miał szramę na policzku i najwyraźniej uznali, że to wystarczy. Na jakiś czas.

Eli.

Oskar zgął palce, żeby nie zgubić buta, maszerował dalej do sali gimnastycznej. Gdzie jest Eli? Wczoraj wieczorem stał przed oknem, żeby zobaczyć, czy ojciec Eli wróci do domu. Tymczasem zobaczył, że to Eli wychodzi z domu około dziesiątej. Potem jadł z mamą drożdżówki i pił czekoladę; mógł nie zauważyć jej powrotu. Ale nie odpowiedziała na jego stukanie.

Chłopcy zgromadzili się w przebieralni, szereg się rozpadł. Avila stał i czekał z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- No dobrze. Dzisiaj ćwiczenia gimnastyczne. Bom, skrzynia i skakanka.

Jęk. Avila pokiwał głową.

- Jeśli dobrze się spisiecie, następnym razem zagramy w zbijanego. Ale dzisiaj ćwiczenia. Pośpieszcie się!

Żadnych dyskusji. Trzeba było się cieszyć z obietnicy zbijanego; chłopcy szybko się przebiali. Oskar jak zwykle odwrócił się plecami do kolegów, kiedy zdejmował spodnie. Siuśka sprawiała, że ślipy dziwnie się układały.

W sali gimnastycznej część uczniów ustawiała już skrzynie i spuszczała bomby. Johan i Oskar wynosili maty. Kiedy wszystko było gotowe, nauczyciel dmuchnął w gwizdek. Było pięć przyrządów, więc podzielił ich na pięć dwuosobowych grup.

Oskar był ze Staffem; na szczęście, bo Staffe jako jedyny w klasie był z gimnastyki gorszy od Oskara. Dobrze zbudowany, ale niezdarny. I grubszy od Oskara. A jednak jego nikt nie dręczył. Coś w jego postawie dawało jasno do zrozumienia, że z nim nie ma żartów.

Rozległ się gwizdek i zaczęli.

Podciąganie się na bomie. Broda nad bomem, w dół i do góry. Oskar podciągnął się dwa razy. Staffe pięć, potem się poddał. Gwizdek. Brzuski. Staffe położył się na macie i gapił w sufit. Oskar udawał, że robi brzuszki. Gwizdek. Skakanka. W tym Oskar był dobry. On skakał, podczas gdy Staffe się zaplątał. Potem pompki. Staffe mógł je robić w nieskończoność. Wreszcie skrzynia, przekłeta skrzynia.

Właśnie podczas tego ćwiczenia dobrze było być w parze ze Staffem. Oskar zerkał na Mickego, Jonny'ego i Olafa; widział, jak odbijają się od odskoczni i przelatują nad skrzynią. Staffe wziął rozbieg, odbił się, aż odskocznią jęknęła, i nawet nie dosięgnął skrzyni. Zawrócił. Nauczyciel podszedł do niego.

- Na skrzynię!

- Nic z tego.

- Szoruj.

- Co?

- Szoruj. Szoruj. Skacz.

Staffe dźwignął się na skrzynię i zsunął się z niej jak lunatyk. Avila dał znak ręką i Oskar ruszył.

Biegając, podjął decyzję. Spróbuje.

Avila powiedział mu kiedyś, żeby nie bał się skrzyni, że na tym to polega. Zwykle za słabo się odbijał, bojąc się, że straci równowagę albo się uderzy. Teraz jednak postanowił pójść na całość: będzie udawał, że potrafi. Nauczyciel przyglądał mu się. Oskar ruszył pędem w stronę odskoczni.

Prawie nie myślał o odbiciu, skoncentrował się na tym, by przeskoczyć. Po raz pierwszy uderzył z całej siły stopami w deskę, nie zwolnił i wyleciał w górę, ręce wyciągnęły się do odbicia i przerzucenia ciała. Przeskoczył przez skrzynię z taką szybkością, że, lądując, stracił równowagę i przewrócił się. Ale przeskoczył!

Odwrócił się i spojrzał na nauczyciela, który bynajmniej się nie śmiał, tylko zachęcająco kiwał głową.

- Dobrze, Oskar, ale pamiętaj o równowadze.

Nauczyciel dmuchnął w gwizdek i mogli odetchnąć minutę przed następną kolejką. Tym razem Oskarowi udało się przeskoczyć przez skrzynię i utrzymać równowagę podczas lądowania.

Nauczyciel odgwizdał zakończenie lekcji i poszedł do swojego pokoju, a oni odstawiali przyrządy na miejsce. Oskar opuścił kółka skrzyni i tocząc ją do magazynu, poklepywał, jak klepie się dobrego konia, który wreszcie pozwolił się okiełznać. Ustawił skrzynię i poszedł do przebieralni. Chciał porozmawiać z nauczycielem o pewnej sprawie.

W połowie drogi do drzwi został zatrzymany. Pętla ze skakanki przeszła mu przez głowę i wylądowała na brzuchu. Ktoś go trzymał. Usłyszał za sobą głos Jonny'ego:

- Hopla, Prosiaczku!

Odrzucił się i zobaczył, że pętla osunęła mu się na brzuch i teraz oplatała mu plecy. Jonny stał przed nim, trzymając w dłoniach rączki skakanki. Podnosił je do góry, opuszczając, cmokał.

- Hopla! Hopla!

Oskar chwycił skakankę obiema rękami i wyrwał ją z rąk Jonny'ego. Skakanka upadła za hałasem na podłogę. Jonny wskazał na nią palcem.

- Podnieś!

Oskar chwycił skakankę pośrodku jedną ręką i zakręcił nad głową tak, że rączki uderzały o siebie, zawołał: „Łap!” - i puścił. Skakanka wyleciała w powietrze, a Jonny instynktownie podniósł ręce, żeby ochronić twarz. Skakanka przeleciała nad jego głową i uderzyła w drabinkę za jego plecami.

Oskar wyszedł z sali gimnastycznej i zbiegł po schodach. Serce waliło mu w piersi. Zaczęło się. Zbiegał po trzy stopnie, wylądował na obu stopach na podeście i wszedł do pokoju nauczyciela.

Avila siedział w dresie i rozmawiał przez telefon w jakimś obcym języku, prawdopodobnie po hiszpańsku. Jedyne słowo, jakie Oskar potrafił zrozumieć, to „perro”; wiedział, że to znaczy „pies”. Avila pokazał mu, żeby usiadł. W pokoju stało jeszcze jedno krzesło. Nauczyciel rozmawiał dalej, padały kolejne „perro”. Oskar usłyszał, jak Jonny wszedł do przebieralni i zaczął coś głośno mówić.

Przebiegająca opustoszała, zanim nauczyciel skończył opowiadać o swoim psie.

- No, Oskar. Czego sobie życzysz?

- Zastanawiam się... chodzi o te treningi w czwartki.

- Tak?

- Mógłbym dołączyć?

- Masz na myśli trening siłowy na basenie?

- Właśnie. Można się zapisać, czy...

- Nie musisz się zapisywać. Po prostu przyjdź. W czwartek o siódmej. Chcesz?

- Tak... chcę.

- To dobrze. Potrenujesz. A potem podciągniesz się na bomie... pięćdziesiąt razy!

Avila pokazał, jak powinien się podciągać. Oskar pokręcił głową.

- No, to... przyjdę.

- Do czwartku. Dobrze.

Oskar skinął głową, już chciał odejść, ale jeszcze spytał:

- Jak się czuje pies?

- Pies?

- Słyszałem, że mówił pan „perro”. To chyba znaczy „pies”?

Nauczyciel chwilę się zastanawiał.

- Ach tak. Nie „perro”. Pero. To znaczy „ale”. Na przykład: „ale nie ja”. *Pero yo no. Rozumiesz? Zamierzasz chodzić na kurs hiszpańskiego?*

Oskar uśmiechnął się i pokręcił głową. Powiedział, że wystarczy mu trening siłowy.

W przebieralni nie było nikogo. Ściągnął spodnie gimnastyczne i zastygł. Jego spodnie zniknęły. Oczywiście. Że też o tym nie pomyślał. Sprawdził w przebieralni, w toalecie. Spodni nie było.

Zimno szczypało Oskara w nogi, kiedy wracał do domu w spodniach gimnastycznych. W czasie lekcji wuefu zaczął sypać śnieg. Płatki śniegu padały na jego gołe nogi i się topiły. Na podwórku zatrzymał się pod oknem Eli. Żaluzje były spuszczone. Żadnego ruchu. Duże płatki śniegu muskały mu twarz. Złapał kilka na język. Były smaczne.

- Spójrz na Ragnara.

Holmberg pokazał na rynek w Vällingby, gdzie padający śnieg pokrył już białą warstwą ułożony kolisty bruk. Jakiś pijaczek tkwił nieruchomo na ławce, otulony obszernym płaszczem, podczas gdy śnieg zamieniał go w kiepsko ulepionego bałwana.

Holmberg westchnął.

- Trzeba będzie podejść do niego, jeśli zaraz się nie ruszy. Jak się czujesz?

- Tak sobie.

Staffan położył dodatkową poduszkę na krześle przy biurku, żeby złagodzić ból w krzyżu. Wolałby stać, a najchętniej leżeć w łóżku, ale raport z wczorajszych wieczornych wydarzeń musiał trafić do Wydziału Zabójstw przed weekendem.

Holmberg zajrzał do notesu i postukał w niego długopisem.

- Ci trzej, którzy byli w przebieralni, twierdzili, że morderca, zanim oblał się kwasem solnym, zawołał „Eli, Eli!”, zastanawiam się...

Serce podeszło Staffanowi do gardła, pochylił się nad biurkiem.

- Tak powiedział?
- Tak? Wiesz, co to...
- Tak.

Staffan odchylił się gwałtownie i ból niczym strzała przeszył go aż do nasady włosów. Chwycił za krawędź biurka, poprawił się na krześle i przeciągnął dłonią po twarzy.

Holmberg spojrzał na niego.

- Cholera, byłeś u lekarza?
- Nie, to tylko... to przejdzie. Eli. Eli.
- To imię?

Staffan wolno skinął głową.

- Tak... to znaczy... Bóg.
 - Więc wzywał Boga. Myślisz, że go usłyszał?
 - Co?
 - Myślisz, że Bóg go usłyszał? Biorąc pod uwagę okoliczności, wydaje się to dość mało... prawdopodobne. Ale w tych sprawach to ty jesteś ekspertem. Tak, tak.

- To ostatnie słowa, które Chrystus powiedział na krzyżu. Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił? *Eli, Eli, lema sabachtanil*

Holmberg zamrugał i spojrzał na swoje notatki.

- Właśnie.
 - Według Mateusza, Marka i Łukasza.
- Holmberg skinął głową, ssał długopis.
- Uwzględnimy to w raporcie?

Oskar wrócił ze szkoły do domu, włożył spodnie i poszedł do Kiosku Kochanka kupić gazetę. Rozeszła się plotka, że morderca został schwytany, więc chciał się wszystkiego dowiedzieć. Wyciąć i zachować.

Szedł, mając dziwne uczucie, że coś jest inaczej niż zwykle, poza tym że pada śnieg.

Kiedy wracał z gazetą, zrozumiał, co to było. Nie rozglądał się. Po prostu szedł. Pokonał całą drogę do kiosku, nie wypatrując kogoś, kto mógłby mu zrobić krzywdę.

Zaczął biec. Biegł całą drogę do domu z gazetą w ręku, a płatki muskały mu twarz. Zamknął za sobą drzwi, podszedł do łóżka, położył się na brzuchu, zastukał w ścianę. Żadnej odpowiedzi. Chciał porozmawiać z Eli.

Otworzył gazetę. Vallingbyhallen. Radiowozy. Karetka. Usiłowanie zabójstwa. Obrażenia mężczyzny utrudniają ustalenie jego tożsamości. Zdjęcie szpitala w Danderydzie, gdzie przebywa mężczyzna. Przypomnienie poprzedniego morderstwa. Żadnych komentarzy.

Potem okręt podwodny, okręt podwodny, okręt podwodny. Podwyższony stan gotowości.

Dzwonek do drzwi.

Oskar wyskoczył z łóżka, poszedł szybko do przedpokoju.

Eli, Eli, Eli.

Kiedy położył rękę na pokrętle zamka, zawahał się. A jeśli to Jonny i reszta? Nie, nie przyszliby do niego do domu. Otworzył. Za drzwiami stał Johan.

- Cze...
- No... cze...
- Wyskoczmy gdzieś?
- Dobrze... gdzie?
- Nie wiem. Gdzieś.
- Okej.

Oskar włożył buty i kurtkę, podczas gdy Johan czekał za drzwiami.

- Jonny zachował się jak kretyn. Na wuefie...
- Zwinął moje spodnie, prawda?
- Tak, wiem, gdzie są.
- Gdzie?
- Za pływalnią. Pokażę ci.

Oskar pomyślał, ale nie powiedział tego, że Johan mógł przynieść mu te spodnie, skoro do niego przyszedł. Tak daleko jego dobra wola jednak nie sięgała. Oskar pokiwał głową i powiedział:

- Dobrze.

Poszli za pływalnię i wzięli spodnie; wisiały na krzaku. Potem pokręcili się trochę po okolicy. Porzucali śnieżkami w drzewo. W jakimś kontenerze znaleźli przewód elektryczny, który można było pociąć na kawałki i zrobić z nich петельki do skobli. Rozmawiali o mordercy, o okręcie podwodnym, o Jonnym, Micke'u i Tomasiu, którzy według Johana mieli nie po kolei w głowie.

- Są świnięci.
- Ciebie chyba nie dręcą.
- Nie. Ale mimo wszystko.

Poszli do budki z kiełbaskami obok stacji metra i kupili po dwie bułki. Po koronie każda; ciepła bułka z musztardą, keczupem, dressingiem i cebulą. Zaczęło się ściemniać. Johan rozmawiał z dziewczyną z budki. Oskar przyglądał się podjeżdżającym i odjeżdżającym wagonikom metra, myślał o przewodach elektrycznych rozciągniętych tuż nad torami.

Ziejąc cebulą, ruszyli w kierunku szkoły, gdzie ich drogi miały się rozejść.

Oskar powiedział:

- Myślisz, że ludzie odbierają sobie życie, skacząc na te przewody nad torami?
- Nie wiem. Chyba tak. Mój brat zna kogoś, kto tam zszedł i na nie nasikał.
- I co się stało?
- Umarł. Prąd przeszedł przez mocz do jego ciała.
- Jak to? Chciał umrzeć?

- Nie. Był pijany. Do licha, pomyśl sobie...

Johan odstawił pantomimę: pokazał, jak wyjął siusiaka, odlał się i zaczął się trząść. Oskar się śmiał.

Przed szkołą się rozdzielili, pomachali do siebie. Oskar szedł do domu z odnalezionymi spodniami zawiązanymi wokół bioder i gwizdał lejtmotyw z *Dallas*. Przestało padać, wszystko pokrywał biały dywan. W dużych oszronionych oknach małej pływalni paliło się światło. Pójdzie tam w czwartek wieczorem. Zacznie ćwiczyć. Nabierze sił.

Piątkowy wieczór u Chińczyka. Na okrągłym zegarze w stalowej ramce na dłuższej ścianie, zupełnie nie na miejscu wśród lamp z papieru ryżowego i złotych smoków, jest za pięć dziewięta. Paczka siedzi nad piwem, wpatrując się w krajobrazy na podstawkach pod talerze. Na dworze nadal pada śnieg.

Virginia miesza swojego drinka, San Francisco, i ssie plastikowy patyczek, z figurką Johnny'ego Walkera.

Kim był Johnny Walker? Dokąd tak szedł?

Uderza o szklankę.

Morgan podnosi wzrok.

- Będziesz przemawiać?

- Ktoś musi.

Powiedzieli jej o wszystkim, co Gösta mówił o Jockem, moście, dziecku. Potem pograżyli się w milczeniu. Virginia poruszyła szklanką, kostki lodu zastukały. Patrzyła, jak przytłumione górne światło odbija się w na wpół roztopionym lodzie.

- Jednego nie rozumiem. Jeśli było tak, jak mówi Gösta, to gdzie jest Jocke?

Karlsson rozpromienił się, jakby właśnie na to czekał.

- Właśnie to próbowałem im powiedzieć. Gdzie są zwłoki? Jeśli...

Morgan uniósł palec w ostrzegającym geście.

- Nie nazywaj Jockego zwłokami.

- To jak mam go nazywać? Zmarły?

- W ogóle go nie nazywaj, dopóki się nie dowiemy co i jak.

- Właśnie to próbuję powiedzieć. Dopóki nie mamy zwłok... dopóki oni...

go nie znaleźli, nie możemy...

- Co za oni?

- A jak myślisz? Eskadra śmigłowców z Bergi? Policja, ma się rozumieć.

Larry pocierał oko i cicho chichotał.

- To jest problem. Dopóki go nie znajdą, nie zainteresują się sprawą, a jeśli się nie zainteresują, nie zaczną go szukać.

Virginia pokiwała głową.

- Musicie iść na policję i wszystko powiedzieć.

- Tak? A niby co mielibyśmy powiedzieć? - spytał Morgan, Techocząc.

- Cześć, dajcie sobie spokój z tym mordercą dzieci, z okrętem podwodnym

i takimi bzdetami. Jesteśmy trójką wesołych pijaczków i nasz kumpel od kieliszka zaginął, a drugi kumpel od kieliszka powiedział, że pewnego wieczoru, kiedy był porządnie naprany, zobaczył... co?

- A Gösta? Przecież on to widział, to on...

- Tak, tak. Jasne. Tylko że on jest walnięty. Wystarczy, że zobaczy kogoś w mundurze, i koniec, nadaje się do czubków. To nie dla niego. Przesłuchania i takie tam. - Morgan wrzucił ramionami. - Trudno.

- Chcecie to tak zostawić?

- A co u licha możemy zrobić?

Lacke, który w trakcie rozmowy zdążył wyłopać swoje piwo, powiedział coś, ale zbyt cicho, żeby mogli go usłyszeć. Virginia pochyliła się w jego stronę, położyła głowę na jego ramieniu.

- Co powiedziałeś?

Lacke wpatrywał się w zasnuty mgłą krajobraz narysowany tuszem na podstawie.

- Przecież mówiłeś, że go dopadniemy - wyszeptał.

Morgan uderzył w stół, aż kufle podskoczyły, i wyciągnął rękę przed siebie niczym pazur.

- Jasne, tylko musimy mieć punkt zaczepienia.

Lacke pokiwał głową jak lunatyk i zaczął wstawać.

- Muszę...

Nogi się pod nim ugięły i upadł na stół; łoskot przewracającego się szkła sprawił, że jedzący przy stolikach goście odwrócili się i zaczęli się im przyglądać. Virginia chwyciła Lackego za ramiona i posadziła na krześle. Jego wzrok błędził gdzieś daleko.

- Przepraszam, ja...

Kelner pospieszył do ich stolika, wycierając nerwowo ręce w fartuch. Nachylił się nad Lackem i Virginią i wyszeptał ze złością:

- To jest restauracja, nie chlew.

Virginia uśmiechnęła się do niego najładniej, jak potrafiła, i pomogła Lackemu wstać.

- Chodź, Lacke. Pójdziemy do mnie.

Obrzuciwszy pozostałych mężczyzn oskarżającym spojrzeniem, kelner szybko podszedł do Virginii i Lackego; podtrzymał go z drugiej strony, chcąc pokazać innym gościom, że tak jak oni jest zainteresowany w pozbyciu się ty-pa, zakłócającego ich spokój.

Virginia pomogła Lackemu włożyć ciężkie, staromodnie eleganckie palto - spadek po ojcu, który zmarł kilka lat temu - i pchnęła go w kierunku drzwi.

Usłyszała za sobą znaczące gwizdy Morgana i Karlssona. Z ręką Lackego na swoim ramieniu odwróciła się do nich, miała łzy w oczach. Otworzyła drzwi i wyszła.

Padał śnieg; duże, powoli opadające płatki tworzyły wokół tych dwojga otoczkę zimna i milczenia. Policzki Virginii płonęły, kiedy prowadziła Lackego w kierunku parkowej alejki. Tu było im lepiej.

- Cześć. Miałam się spotkać z tatą, ale nie przyszedł i... czy mogę wejść i skorzystać z telefonu?

- Oczywiście.
- Mogę wejść?
- Telefon jest tam.

Kobieta wskazała w głąb przedpokoju; na małym stoliku stał szary aparat. Eli zatrzymała się przed progiem, nie zaproszono jej do środka. Tuż przy drzwiach stał żeliwny jeź z kolcami. Wytarła w niego buty, próbując dać do zrozumienia, że czeka na zaproszenie, żeby móc wejść do środka.

- Na pewno mogę?
- Tak. Wejdz, wejdz.

Kobieta gestem zaprosiła Eli do środka. Po chwili straciła nią zainteresowanie i poszła do dużego pokoju, skąd dochodziło monotonne zawodzenie telewizora. Długa, żółta jedwabna wstążka zwisała z przyprószonych siwizną włosów kobiety; wiła się jej na plecach jak oswojony wąż.

Eli weszła do przedpokoju, zdjęła buty i kurtkę, podniosła słuchawkę. Wykręciła na chybił trafił jakiś numer; udawała, że z kimś rozmawia, odłożyła słuchawkę.

Wciągnęła powietrze przez nos. Zapach smażeniny, środków czystości, pasty do butów, zimowych jabłek, wilgotnego materiału, kurzu, potu, kleju do tapet i... kocich szczyn.

Tak. Czarny kot stał w drzwiach do kuchni i mruczał. Uszy miał położone, sierść nastroszona, wygięty grzbiet. Na szyi miał czerwoną obrózkę z małym metalowym pojemnikiem, w którym prawdopodobnie można było umieścić kartkę z adresem właściciela.

Eli zrobiła krok w kierunku kota, a ten wyszczerzył zęby, zasyczał. Był spięty, gotowy do skoku. Jeszcze jeden krok.

Kot się poddał; zaczął się cofać, cały czas sycząc i nie spuszczać wzroku z Eli. Nienawisć wstrząsała jego ciałem, powodując, że metalowy pojemnik drgał. Mierzyl się wzrokiem. Eli posuwała się powoli do przodu, zmusiła kota do cofnięcia się do kuchni i zamknęła drzwi.

Kot nadal mruczał i miauczał wściekle. Eli weszła do dużego pokoju.

Kobieta siedziała na skórzanej kanapie, tak wybluszczonej, że odbijała refleksy z telewizora. Siedziała wyprostowana, tępo wpatrzona w migoczący niebieskim światłem ekran. Z jednej strony miała we włosach żółtą kokardę; kokarda z drugiej się rozwiązała. Na stoliku przed nią stała miska z herbatnikami i tacka z trzema różnymi serami. Nieotwarta butelka wina i dwa kiełiszki.

Kobieta zdawała się nie zauważać obecności Eli, zajęta tym, co się działo na ekranie. Program przyrodniczy. Pingwiny na biegunie południowym.

„Samiec nosi jajo na swoich stopach, żeby nie dotykało lodu”.

Karawana pingwinów sunęła kołyszącym się krokiem przez lodową pustynię. Eli usiadła na kanapie obok kobiety. Kobieta siedziała prosto, jakby telewizor był wymagającym nauczycielem, który właśnie ją beształ.

„Kiedy po trzech miesiącach samica wraca, zapas tłuszczu samca jest niemal wyczerpany”.

Dwa pingwiny pocierały się dziobami, pozdrawiając się.

- Spodziewa się pani gości?

Kobieta wzdrygnęła się i przez kilka sekund patrzyła, nic nie rozumiejąc, prosto w oczy Eli. Żółta kokarda podkreślała rysy jej zniszczonej twarzy. Pokręciła szybko głową.

- Nie, częstuj się.

Eli się nie poruszyła. Obraz w telewizorze zmienił się w panoramę południowej Gruzji, z muzyką. W kuchni miauczenie kota przeszło w... błagalny lament. W pokoju pachniało jakąś chemią. Kobieta pociła się i wydzielała szpitalny zapach.

- Ktoś ma przyjść?

Kobieta ponownie się wzdrygnęła, jakby została obudzona; odwróciła się do Eli. Tym razem sprawiała wrażenie poirytowanej; głęboka zmarszczka między brwiami.

- Nie. Nikt nie przyjdzie. Jedz, jeśli chcesz. - Sztynnym palcem wskazała po kolei na sery. - Camembert, gorgonzola, roquefort. Jedz. Jedz.

Patrzyła na nią, jakby jej rozkazywała. Eli wzięła herbatnika, włożyła do ust i żuła powoli. Kobieta pokiwała głową i odwróciła wzrok do telewizora. Eli wypluła lepką papkę do ręki i upuściła na podłogę za podłokietnikiem kanapy.

- Kiedy sobie pójdziesz? - spytała kobieta.

- Wkrótce.

- Możesz zostać, jak długo chcesz. Mnie nie przeszkadzasz.

Eli przysunęła się bliżej, żeby móc lepiej widzieć telewizor, aż ich ramiona otarły się o siebie. Z kobietą coś się stało. Zadrżała i zapadła się, jak przedziurawiona paczka kawy. Kiedy znów spojrzała na Eli, jej wzrok był łagodny, rozmarzony.

- Kim jesteś?

Oczy Eli były niecały metr od niej. Szpitalny zapach wydobywał się z ust kobiety.

- Nie wiem.

Kobieta sknęła głową, sięgnęła po pilota leżącego na stoliku i wyłączyła głos.

„Wiosną południowa Gruzja rozkwita surowym pięknem...”

Błagalne zawodzenie kota było teraz wyraźne, ale kobiety to nie obchodziło. Wskazała na uda Eli.

- Mogę...?
- Pewnie.

Eli odsunęła się trochę od kobiety, która podwinęła nogi i oparła głowę na jej udach. Eli gładziła ją powolnym ruchem po włosach. Siedziały tak przez chwilę. Błyszczące grzbiety wielorybów przełamywały powierzchnię oceanu, wyrzuciły fontannę wody, znikają.

- Opowiedz mi coś - poprosiła kobieta.
- Co mam opowiedzieć?
- Coś pięknego.

Eli odsunęła pukiel włosów kobiety za ucho. Kobieta oddychała teraz spokojnie, była rozluźniona. Eli mówiła cichym głosem.

- Pewnego razu... bardzo dawno temu, był sobie biedny chłop i jego żona. Mieli trójkę dzieci. Chłopiec i dziewczynka byli na tyle duzi, że mogli pracować razem z dorosłymi. Mały chłopiec miał zaledwie jedenaście lat. Wszyscy, którzy go widzieli, mówili że to najładniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek spotkali. Ojciec był chłopem pańszczyźnianym i musiał odrabiać wiele dniówek u obszarnika, do którego należała ziemia. Dlatego matka i dzieci często zajmowali się domem i ogrodem. Z najmłodszego chłopca nie mieli wiele pożytku. Pewnego dnia obszarnik rozpiął konkurs, w którym wszystkie rodziny mieszkające na jego ziemiach musiały wziąć udział. Wszystkie, które miały synów w wieku od ośmiu do dwunastu lat. Nie wyznaczono żadnej nagrody ani wyróżnienia. Ale i tak nazywało się to konkursem. W dniu konkursu matka zabrała młodszego syna do pałacu obszarnika. Nie byli sami. Na dziedzińcu czekało siedmioro innych dzieci z jednym rodzicem bądź z obojgiem. Dołączyło jeszcze troje. Biedni krewni dzieci mieli na sobie swoje najlepsze ubrania. Cały dzień czekali na dziedzińcu. Kiedy zaczęło się zmierzchać, z pałacu wyszedł mężczyzna i powiedział, że mogą wejść.

Eli wsłuchiwała się w oddech kobiety, głęboki i powolny. Spała. Czuła jej ciepły oddech na swoim kolanie. Eli widziała, jak tuż pod uchem, pod zwiotczałą, pomarszczoną skórą, pulsuje krew.

Kot ucichł.

W telewizorze leciały końcowe napisy do programu przyrodniczego. Eli położyła palec wskazujący na tętnicy szyjnej kobiety, czuła pikające serce ptaszka pod opuszką palca.

Oparła się o poduszkę kanapy i przesunęła delikatnie głowę kobiety, tak że spoczywała teraz na jej kolanach. Ostry zapach roquefortu zdominował inne zapachy. Eli ściągnęła koc z oparcia kanapy i przykryła nim sery.

Ciche popiskiwanie, oddech kobiety. Eli pochyliła się, miała nos blisko tętnicy kobiety. Mydło, pot, zapach starej skóry... ten szpitalny zapach... i coś jeszcze, co było własnym zapachem kobiety. A pod tym wszystkim - krew.

Kobieta zamruczała, kiedy czubek nosa Eli musnął jej szyję; próbowała odwrócić głowę, ale Eli silnym chwytem jednej ręki przytrzymała dłonie kobiety, drugą zaś odchyliła jej głowę. Otworzyła usta najszerzej, jak potrafiła, zbliżyła je do szyi kobiety, wyczuła językiem tętnicę, i ugryzła. Zacisnęła szczęki.

Kobieta podskoczyła, jakby przeszył ją prąd. Ciało się wyprostowało, stopy z hałasem uderzyły o bok kanapy, kobietę wyrzuciło do góry i Eli miała teraz na kolanach jej plecy.

Krew trysknęła strumieniem z otwartej tętnicy, ochlapała brązową skórę kanapy. Kobieta krzyczała i machała rękami, zerwała koc ze stolika. Zapach pleśniowego sera wypełnił nozdrza Eli, kiedy rzuciła się na kobietę, przycisnęła wargi do jej szyi i piła dużymi haustami. Krzyk kobiety świdrował jej w uszach; Eli puściła jej dłonie, żeby ręką zakryć kobiecie usta.

Krzyk został zduszony, ale wolną ręką kobieta wymacała na stoliku pilota, chwyciła go i uderzyła Eli w głowę. Plastik rozpadł się równocześnie z tym, jak w telewizorze włączył się głos.

Lejtmotyw z *Dallas* wypełnił pokój; Eli oderwała usta od szyi kobiety.

Krew smakowała lekarstwem. Morfina.

Kobieta patrzyła na Eli szeroko otwartymi oczami. Eli poczuła teraz jeszcze jeden smak. Zgnięty smak, który połączył się z zapachem pleśniowego sera.

Rak. Kobieta miała raka.

Żołądek skręcił się jej z obrzydzenia; musiała puścić kobietę i usiąść prosto na kanapie, żeby nie zwymiotować.

Kamera szybowała nad Southfork, podczas gdy muzyka potężniała crescendo. Kobieta już nie krzyczała, leżała na plecach; krew tryskała coraz mniejszym strumieniem, ściekała strumyczkami na poduszki kanapy. Jej oczy były wilgotne, nieobecne, kiedy, szukając wzroku Eli, powiedziała:

- Proszę... proszę...

Eli pokonała odruch wymiotny i pochyliła się nad kobietą.

- Słucham?

- Proszę...

- Tak. Co mam zrobić?

- ...proszę... proszę...

Po chwili oczy kobiety zmieniły się, zastygły. Stały się niewidzące. Eli zamknęła jej powieki. Oczy znów się otworzyły. Eli podniosła koc z podłogi i położyła jej na twarzy, usiadła wyprostowana na kanapie.

Krew nadawała się na pożywienie, mimo że nie była smaczna, ale morfina...

Na ekranie telewizora widać było lustrzany wieżowiec. Mężczyzna w garniturze i kowbojskim kapeluszu wysiadł z samochodu i skierował się do wieżowca. Eli spróbowała wstać z kanapy. Nie była w stanie. Wieżowiec zaczął się pochylać, przekręcać. W lustrach odbijały się chmury płynące po niebie w zwolnionym tempie, przybierały kształty zwierząt, roślin.

Eli roześmiała się, kiedy mężczyzna w kowbojskim kapeluszu usiadł za biurkiem i zaczął mówić po angielsku. Rozumiała, co mówi, ale nie było w tym żadnego sensu. Rozejrzała się. Cały pokój zaczął się przechylać, aż dziwne, że telewizor się nie przesunął. Słowa kowboja odbijały się echem w jej głowie. Eli rozejrzała się za pilotem; leżała w kawałkach na stole i na podłodze.

Musi uciszyć kowboja.

Zesliznęła się na podłogę, na czworakach podpełzła do odbiornika; morfina buzowała w jej ciele, a ona śmiała się z postaci, które rozpływały się, zostawiając tylko kolory, kolory. Nie miała siły. Położyła się płasko na brzuchu przed telewizorem, a kolory kłuły ją w oczy.

Kilkoro dzieci wciąż zjeżdżało na nartosankach ze wzgórza między Björnsgatan a małą polanką obok parkowej alejki. Wzgórze Śmierci. Nie wiedzieć czemu, tak je kiedyś nazwano. Trzy cienie ruszyły jednocześnie ze szczytu; dało się słyszeć głośne przekleństwo, kiedy jednego z nich zarzuciło w stronę lasu, i śmiech pozostałych, którzy zjeżdżali ze wzgórza; sanki podskoczyły na wybrzuszeniu i nagle dzieci z głuchym uderzeniem i hałasem wylądowały w śniegu.

Lacke się zatrzymał, patrzył w ziemię. Virginia próbowała ostrożnie pociągnąć go z sobą.

- Chodź, Lacke.
- To cholernie trudne.
- Nie dam rady cię nieść, chyba wiesz.

Prychnięcie, które pewnie miało być śmiechem, przeszło w kaszel. Lacke puścił jej ramiona, stał z opuszczonymi rękami i odwrócił głowę w stronę góry.

- Do diabła, tu dzieciaki zjeżdżają na sankach, a tam... - Zrobił niewyraźny gest w kierunku mostku na końcu wzniesienia. - ... A tam zamordowano Jockego.

- Nie myśl już o tym.
- Jak mam przestać? Może zrobiło to któreś z tych dzieciaków.
- Nie sądzę.

Wzięła jego rękę, żeby znów położyć ją sobie na karku, ale Lacke ją odsunął.

- Nie, pójdę sam.

Ruszył niepewnie parkową alejką. Śnieg chrzęścił mu pod nogami. Virginia stała nieruchomo i patrzyła na niego. Oto mężczyzna, którego kochała, ale z którym nie może żyć.

Próbowała.

Przez jakiś czas, osiem lat temu, tuż po tym, jak córka Virginii wyprowadziła się z domu, Lacke mieszkał u niej. Virginia wtedy, tak jak teraz, pracowała w sklepie sieci ICA przy Arvid Mörnes Väg, po drugiej stronie Chinaparken.

Miała dwupokojowe mieszkanie z kuchnią przy Arvid Mörnes Vag, zaledwie trzy minuty drogi od pracy.

Podczas czterech miesięcy, kiedy mieszkali razem, Virginii nie udało się dojść do tego, co Lacke tak naprawdę robi. Znał się trochę na elektryczności, zamontował dimmer w lampie w dużym pokoju. Znał się trochę na gotowaniu; kilka razy zaskoczył ją fantastycznymi rybnymi daniami. Ale co robił?

Siedział w domu, chodził na spacer, rozmawiał z ludźmi, czytał książki, gazety. I to wszystko. Dla Virginii, która pracowała, odkąd skończyła szkołę, był to niepojęty sposób na życie. Spytała:

- Posłuchaj Lacke, o nic mi nie chodzi... ale co ty właściwie robisz? Skąd masz pieniądze?
- Nie mam pieniędzy.
- Jakież pieniądze chyba masz.
- To jest Szwecja. Weź krzesło, postaw na chodniku. Usiądź i czekaj. Jeśli będziesz czekać dostatecznie długo, ktoś przyjdzie i da ci pieniądze. Albo zajmie się tobą.
- Mnie też tak traktujesz?
- Virginio, jeśli powiesz: „Lacke, idź stąd”, to pójdę.

Minał miesiąc, zanim to powiedziała. Wtedy wpakował swoje ubrania do jednej torby, książki do drugiej i odszedł. Nie widziała go pół roku. W tym okresie zaczęła więcej pić, w samotności.

Kiedy znów go spotkała, był odmieniony. Bardziej smutny. Przez pół roku mieszkał z ojcem, który umierał na raka gdzieś w Smalandii. Po śmierci ojca Lacke i jego siostra odziedziczyli dom, sprzedali go i podzielili się pieniędzmi. Jego część wystarczyła mu na własnościowe mieszkanie z niskim czynszem w Blackebergu. Więc wrócił i został.

W kolejnych latach spotykali się coraz częściej u Chińczyka, gdzie Virginia przychodziła prawie co wieczór. Czasami wracali razem do domu, kochali się bez pośpiechu, a następnego dnia, na mocy cichego porozumienia, kiedy ona wracała z pracy, Lackego już nie było. Mieszkali osobno, bo tak chcieli - czasem mijały dwa, trzy miesiące, kiedy nie dzielili łóżka, i obojgu to odpowiadało.

Mijali sklep ICA z reklamą taniego mięsa mielonego i plakatem: „Jedz, pij i raduj się”. Lacke zatrzymał się, czekał na nią. Kiedy się z nim zrównała, wyciągnął do niej rękę. Virginia wzięła ją.

- Jak praca?
- Jak zwykle.

Virginia zatrzymała się i pokazała rękę.

- Ja to zrobiłam.

Plakat z napisem: „Krojone pomidory, trzy puszki 5,-”

- Ładny.
- Tak uważasz?

- Tak. Aż człowieka bierze chęćka na krojone pomidory. Szturchnęła go w bok, delikatnie. Poczowała jego żebra.
- Czy ty w ogóle pamiętasz jeszcze smak jedzenia?
- Nie musisz...
- I tak coś przygotuję.

- Eeeeli... Eeeeliii...

Głos dochodzący z ekranu telewizora brzmiał znajomo. Eli usiłowała odalić się od niego, ale ciało nie chciało jej słuchać. Tylko ręce ślizgały się w niezwykle szybkim tempie po podłodze, szukając czegoś, czego mogłaby się złapać. Znalazła przewód. Chwyciła go mocno, jakby to była lina ratownicza wystająca z tunelu, na którego końcu stał telewizor i mówił do Eli.

- Eli... gdzie jesteś?

Głowa była zbyt ciężka, żeby mogła podnieść ją z podłogi, jedyne, co była w stanie zrobić, to skierować wzrok w stronę telewizora, a tam oczywiście był... On.

Na jedwabną suknię spływały jasne pukle peruki, zrobionej z ludzkich włosów w kolorze blond, co sprawiało, że twarz o kobiecych rysach zdawała się jeszcze drobniejsza, niż była. Wąskie wargi były zaciśnięte, zastygłe w uśmiechu, a czerwona szminka powodowała, że lśniły niczym krwawa rana w bladej, przypudrowanej twarzy.

Eli udało się unieść nieco głowę i zobaczyć całą Jego twarz. Niebieskie, dzieciennie duże oczy, a nad oczami... Powietrze zaczęło uchodzić z jej płuc... Głowa opadła bezwładnie na podłogę, dał się słyszeć trzask. Nos. Zabawne. ON miał na głowie kowbojski kapelusz.

- Eeeliii...

Inne głosy. Głosy dzieci. Eli znów uniosła głowę, drżała jak niemowlę. Krople chorej krwi leciały jej z nosa, spływały do ust. Mężczyzna rozpostarł ramiona w geście powitania, ukazując czerwoną podszewkę płaszcza. Podszewka falowała, zamieniając się w usta. Setki dziecięcych ust, wyi krzywiąjących się w grymasie, szepczących każde swoją historię, historię Eli.

- Eli... wróć do domu...

Eli pociągnęła nosem, zamknęła oczy. Czekała na zimny chwyt wokół karku. Nic się nie wydarzyło. Otworzyła oczy. Obraz się zmienił. Teraz biednie ubrane dzieci szły w długim szeregu przez śnieżny krajobraz, kołysząc się, marszerowały w kierunku lodowego pałacu, mającego gdzieś daleko na horyzoncie.

To się nie dzieje naprawdę.

Eli plunęła krwią z ust na telewizor. Czerwone plamki podziurawiły biały śnieg, zalały lodowy pałac.

Tego nie ma.

Pociągnęła za linę ratowniczą, próbując się wydostać z tunelu. Usłyszała trzask, kiedy wtyczka została wyrwana z gniazdka i telewizor zgasł. Po ciemnym ekranie spływały strużki lepkiej śliny wymieszanej z krwią, skapywały na podłogę. Eli oparła głowę na rękach, zniknęła w ciemnoczerwonym wirze.

Virginia przygotowała szybkie danie z mięsa, cebuli i pomidorów, podczas gdy Lacke brał prysznic. Długo. Kiedy danie było gotowe, poszła do niego do łazienki. Siedział w wannie ze zwieszoną głową, słuchawkę prysznic miał luźno przewieszoną przez kark. Jego kręgosłup - piłeczki pingpongowe obciążone skórą.

- Lacke? Jedzenie jest gotowe.

- Dobrze, dobrze. Długo tu siedzę?

- Nie. Ale dzwoniли właśnie z Wodociągów i powiedzieli, że podobno wody gruntowe wysychają.

- Co?

- Chodź już.

Virginia zdjęła swój płaszcz kąpielowy z haczyka, podała mu go. Lacke wstał, wspierając się obiema rękami o brzegi wanny. Virginia wzdrygnęła się na widok jego wychudzonego ciała.

Lacke zauważył to.

- I wynurzył się z wody, piękny jak młody bóg... - powiedział.

Potem zjedli, wypili butelkę wina. Lacke nie mógł dużo w siebie wmusić; coś jednak zjadł. Wypili kolejną butelkę w dużym pokoju i poszli do łóżka. Przez chwilę leżeli obok siebie, patrząc sobie w oczy.

- Odstawiłam pigułki.

- Tak. Nie musimy...

- Nie są mi już potrzebne. Nie mam okresu.

Lacke pokiwał głową. Zastanawiał się. Pogłaskał ją po policzku.

- Smutno ci?

Virginia się uśmiechnęła.

- Jesteś jedynym mężczyzną, który mógłby zadać to pytanie. Tak. Trochę. Jakby zniknęło to... co sprawiało, że jestem kobietą. Tego już nie ma.

- Mnie to odpowiada.

- Tak?

- Tak.

- To chodź.

Posłuchał jej.

Gunnar Holmberg szurał nogami po śniegu, żeby nie zostawiać śladów, które mogłyby utrudnić pracę policyjnym technikom; przystanął i spojrział na ślady, prowadzące z domu. Bijąca od ognia łuna sprawiała, że śnieg zdawał się żarzyć na żółtoczerwono. Było tak gorąco, że u nasady czoła perlił się pot.

Holmberg musiał znosić docinki z powodu swojej być może zbyt naiwnej wiary w to, że w gruncie rzeczy młodzież jest dobra. Podtrzymywał ją, jeżdżąc po szkołach, prowadząc długie rozmowy z młodymi ludźmi, którzy nie potrafili znaleźć swojego miejsca w społeczeństwie; dlatego tak mocno dotknęło go to, co widział przed sobą.

Na śniegu były ślady małych butów. Nawet nie tak zwanych młodzieżowych; nie, to były ślady dziecięcych butów. Małe, ładnie odcisnięte ślady. Długie kroki. Ktoś biegł. Szybko.

Kątem oka dojrzał zbliżającego się aspiranta Larssona.

- Szuraj nogami, do diabła!
- Sorry.

Larsson przebrnął przez śnieg; zatrzymał się obok Holmberga. Aspirant miał duże, wytrzeszczone oczy, w których stałe malowało się zdziwienie; teraz przyglądał się śladom na śniegu.

- Do diabła.
- Sam bym tego lepiej nie wyraził. To dziecko.
- Ale... to przecież... - Larsson wodził wzrokiem po śladach. - To trójskok.
- Tak, jest duża odległość między śladami.
- Duża to mało powiedziane, to... niewiarygodne. Jaka to odległość?
- O co ci chodzi?
- Sam trochę biegam. Nie potrafiłbym tak skakać. To więcej... niż dwa kroki. I tu jest więcej takich śladów.

Staffan przebiegł między willami, wcisnął się między ciekawskich, zebranych wokół posesji, podszedł do środka grupy; ludzie przyglądali się, jak personel karetki wsuwa na noszach do ambulansu przykryte niebieską folią zwłoki kobiety.

- Jak poszło? - spytał Holmberg.
- No więc... wyszliśmy... na Ballstavagen, a potem... potem już nie byliśmy w stanie nic zrobić... samochody... trzeba spuścić psy.

Holmberg pokiwał głową przysłuchiwał się toczącej się tuż obok rozmowie. Sąsiad, który był świadkiem części zdarzenia, opowiadał o swoich obserwacjach komuś z Wydziału Kryminalnego.

- Najpierw myślałem, że to fajerwerki albo coś w tym stylu. Potem zobaczyłem ręce... ktoś machał rękoma. Wyszła tędy... przez okno... wyszła tu...
- Czyli okno było otwarte?
- Tak, otwarte. Wyszła przez nie... i cały dom zaczął się palić. Widziałem. Paliło się za nią... wyszła i... a niech to. Ona się paliła, cała się paliła. Odeszła od domu...
- Przepraszam. Odeszła? Nie biegła?
- Tak. Właśnie to było takie cholernie dziwne... szła. Machała rękami, jakby... sam nie wiem co. I się zatrzymała. Rozumie pan? Zatrzymała się.

Cała się paliła, naprawdę. I zatrzymała się. I rozejrzała dookoła. Tak zupełnie... spokojnie. A potem znów zaczęła iść. I zaraz potem... jakby już było po wszystkim, rozumie pan? Żadnej paniki, nic, ona... cholera... ona nie krzyczała. Nie wydała żadnego dźwięku. Tylko... się osunęła. Upadła na kolana. I... puf. Osunęła się na śnieg. I wtedy... sam nie wiem... to wszystko było takie dziwne. Wtedy... pobiegłem do domu po koc, wziąłem dwa koce i... ugasilem ogień. Cholera... ona... leżała tam tak, to było... do diabła.

Mężczyzna podniósł ubrudzone sadzą ręce do twarzy, zaczął szlochać. Funkcjonariusz położył mu rękę na ramieniu.

- Może spisujemy bardziej formalne zeznanie jutro. Na pewno nie widział pan nikogo innego opuszczającego dom?

Mężczyzna pokręcił głową i funkcjonariusz zanotował coś w swoim bloczku.

- Jak powiedziałem, odezwę się jutro. Chce pan, żeby pielęgniarz dał panu coś uspokajającego, coś na sen?

Mężczyzna otarł łzy. Jego ręce zostały czarne, wilgotne ślady na policzkach.

- Nie. Mam... coś w domu.

Gunnar Holmberg zwrócił wzrok w kierunku spalonego domu. Wysiłki straży pożarnej przyniosły rezultat; już nie było widać płomieni. Jedynie ogromna chmura dymu unosiła się na tle nocnego nieba.

Gdy Virginia otwierała ramiona dla Lackego, a technicy kryminalni zdemolowali odciski śladów na śniegu, Oskar wyglądał przez okno. Śnieg pokrył krzaki pod domem, tworząc białą rynnę tak twardą i gładką, że miało się wrażenie, że można po niej jeździć.

Wieczorem Eli się nie pojawiła.

Oskar stał, chodził, huśtał się, marzył na placu zabaw między wpół do ósmej a dziewiątą. Ani śladu Eli. Około dziewiątej zobaczył, że mama stoi w oknie, więc wrócił pełen złych przeczuc. Dallas, gorąca czekolada, drożdżówki i zdziwiona mama, niewiele brakowało, a wyjawilyby jej wszystko, ale nie.

Teraz było trochę po dwunastej; stał przy oknie i czuł dziwną pustkę. Uchylił okno, wdychał zimne nocne powietrze. Czy naprawdę tylko ze względu na nią postanowił stawić im opór? Czy nie chodziło tu o niego samego?

Tak.

Ale ze względu na nią.

Niestety. Tak było. Jeśli napadną go w poniedziałek, nie będzie mu się chciało, nie będzie miał siły ani ochoty im się przeciwstawić. Wiedział to. Nie pójdzie na trening w czwartek. Nie ma powodu.

Zostawił uchylone okno, mając cię nadziei, że Eli wróci w nocy. I zawoła go. Skoro mogła wyjść w środku nocy, to może wróci w środku nocy.

Oskar rozebrał się i położył. Zastukał w ścianę. Żadnej odpowiedzi. Naciągnął kołdrę na głowę i uklęknął na łóżku. Złożył dłonie, przycisnął do nich czoło i szeptał:

- Kochany, dobry Boże, spraw, żeby wróciła. Dam Ci, co tylko zechcesz. Wszystkie moje czasopisma, wszystkie moje książki, wszystkie moje rzeczy. Co zechcesz. Tylko spraw, żeby wróciła. Do mnie. Proszę, dobry Boże.

Leżał pod kołdrą, aż zrobiło mu się ciepło i zaczął się pocić. Odkrył głowę, położył na poduszce. Zwinął się w pozycji embrionalnej. Zamknął oczy. Miał przed sobą obraz Eli. Był też Jonny i Micke, Tomas. Mama. Tata. Długą chwilę przywoływał te obrazy, które chciał. Gdy zapadł w sen, zaczęły żyć własnym życiem.

Eli i on siedzieli na huśtawce; huścili się coraz wyżej. Wyżej i wyżej, aż łańcuchy puściły i huścawka poleciała do nieba. Trzymali się mocno, przywarli do siebie kolanami, Eli wyszeptwała:

- Oskar. Oskar...

Otworzył oczy. Globus był zgaszony, w świetle księżycy wszystko wydawało się niebieskie. Gene Simmons patrzył na niego ze ściany, wystawiał swój długi język. Oskar zwinął się w kłębek, zamknął oczy. Wtedy znów usłyszał szept.

- Oskar...

Dochodził od okna. Otworzył oczy, spojrział tam. Za oknem dostrzegł zarys małej główki. Ściągnął z siebie kołdrę, ale zanim zdążył wyjść z łóżka, Eli wyszeptwała:

- Zaczekaj. Leż. Wpuścisz mnie?

Oskar odpowiedział szeptem:

- Tak...

- Powiedz, że mnie wpuścisz.

- Wpuszczę cię.

- Zamknij oczy.

Oskar mocno zacisnął powieki. Okno się odchyliło, zimny powiew przeszedł przez pokój. Po chwili ostrożnie się zaniękęło. Słyszał, jak Eli oddycha. Szepnął:

- Mogę już spojrzeć?

- Zaczekaj.

W pokoju obok zaskrzypiała rozkładana kanapa. Mama wstała. Oskar wciąż miał zamknięte oczy, kiedy poczuł, że Eli ściga z niego kołdrę; zimne, nagie ciało wśliznęło się do łóżka, naciągnęło kołdrę na nich oboje i zwinęło się w kłębek za jego plecami.

Drzwi do pokoju się otworzyły.

- Oskar?

- Mhm?

- To ty coś mówisz?

- Nie.

Mama stała w drzwiach, nasłuchiwała. Eli leżała zupełnie nieruchomo za jego plecami, wcisnęła czoło między jego łopatki. Ciepły oddech muskał mu krzyż.

Mama pokręciła głową.

- To pewnie ci sąsiedzi. - Nasłuchiwała jeszcze chwilę. - Dobranoc, skarbie.

I zamknęła drzwi.

Oskar został sam z Eli. Zza pleców usłyszał szept.

- Ci sąsiedzi?

- Ciiii.

Zatrzeszczało, kiedy mama położyła się na kanapie. Spojrział na okno. Zamknięte.

Zimna ręka dotknęła jego talii, spoczęła na jego piersi, na sercu. Objął jej dłoń swoimi dłońmi, ogrzał. Druga dłoń wcisnęła mu się pod pachę, powiodła po klatce piersiowej i też wcisnęła się między jego dłonie. Eli odwróciła głowę i przytuliła policzek do jego pleców.

W pokoju pojawił się nowy zapach. Słaby zapach świeżo zatankowanego motoroweru ojca. Benzyna. Oskar schylił głowę, powąchał jej dłonie. Tak. To one pachniały.

Leżeli tak dłuższą chwilę. Kiedy z pokoju obok Oskar usłyszał głęboki, spokojny oddech mamy, kiedy ich splecione dłonie się ogrzały, tak że Oskar poczuł, jak zaczynają się pocić na jego sercu, wyszeptał:

- Gdzie byłaś?

- Zdobyłam jedzenie.

Jej wargi łaskotały go w bark. Uwolniła ręce z jego dłoni, przekręciła się na plecy. Oskar leżał, wpatrując się w oczy Gene Simmons. Po chwili obrócił się na brzuch. Wyobrażał sobie, jak za jej głową małe figurki na tapecie przyglądają się jej z ciekawością. Jej oczy były szeroko otwarte, czarne w świetle księżycy. Oskar poczuł na ramionach gęsią skórę.

- A twój tata?

- Nie ma go.

- Nie ma go? - powtórzył Oskar, mimo woli podnosząc głos.

- Cicho. To nieważne.

- Ale... jak to... czy on...

- Nieważne.

Oskar kiwnął głową na znak, że nie będzie więcej pytał; Eli włożyła obie ręce pod głowę, patrzyła w sufit.

- Czułam się samotna. Więc przyszłam tu. Dobrze zrobiłam?

- Tak. Tylko... nie masz na sobie ubrania.

- Przepraszam. Uważasz, że to obrzydliwe?

- Nie. Ale nie jest ci zimno?

- Nie. Nie.

Siwe pasemka w jej włosach zniknęły. W ogóle wyglądała zdrowiej niż wczoraj. Policzki miała bardziej okrągłe, zrobiły się w nich dołeczki, kiedy Oskar spytał dla żartu:

- Chyba nie przeszłaś tak obok Kiosku Kochanka?

Eli się roześmiała, potem zrobiła poważną minę i powiedziała jak duch:

- Przeszłam. I wiesz, co? Kioskarz wychylił głowę i powiedział: „Choooodź... chooodź, mam słoooodyczne i banaaaany...”.

Oskar wcisnął twarz w poduszkę, a Eli zaczęła szeptać mu do ucha:

- Chodź... mam... pyyyyszne szczurrry...

Oskar krzyknął w poduszkę: „Nie!” Rozmawiali tak chwilę. Potem Eli zaczęła przyglądać się książkom na półce, a Oskar opowiedział jej w skrócie treść swojej ulubionej powieści, *Mgły* Jamesa Herberta. Plecy Eli jaśniały w ciemności jak arkusz papieru, gdy leżała na brzuchu, wpatrzona w półkę z książkami.

Trzymał dłoń tak blisko jej skóry, że czuł jej ciepło. Potem zgął palce i powiódł nimi po jej kręgosłupie, szepcząc:

- Sim-sala-bim-górka-dół-sim-sala-bim, który krag...

- Mhm. Ósmy?

- Ósmy, zgadza się, sim-sala-bim...

Potem Eli zrobiła to samo jemu, tyle że on okazał się znacznie mniej wrażliwy; potem rysowali sobie na plecach różne rzeczy, w tym Oskar był lepszy. Eli nawet trochę się zirytowała.

- Wiesz, co chcę narysować?

- Tak.

- Jak to?

- Po prostu wiem. Tak to jest. Jakby to widzę.

- Jeszcze raz. Nie będę się zastanawiała, tylko od razu narysuję.

- Spróbuj.

Powtórzyli całą zabawę. Oskar znów wygrał. Eli udawała złość, odwróciła się do ściany.

- Nie bawię się z tobą. Oszukujesz.

Oskar przyglądał się jej białym plecami. Odważy się? Tak, teraz, kiedy na niego nie patrzy, może jej to powiedzieć.

- Eli? Mam u ciebie jakąś szansę?

Odwróciła się, podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Co to znaczy?

Oskar wbił wzrok w grzbiety książek na półce; wzruszył ramionami.

- No... czy chciałaś chodzić ze mną, rozumiesz.

- Jak to z tobą?

Zabrzmiało to ostro, jakby podejrzliwie. Oskar odpowiedział pospiesznie:

- A może masz już chłopaka w szkole.

- Nie, ale... Oskar, ja nie mogę... Nie jestem dziewczyną.

Oskar parsknął:

- Jak to? Może jesteś chłopakiem, co?

- Nie. Nie.

- To kim jesteś?

- Nikim.

- Jak to nikim?

- Jestem nikim. Nie jestem dzieckiem. Nie jestem stara. Nie jestem chłopakiem. Nie jestem dziewczyną. Jestem nikim.

Oskar przeciągnął palcem po jej kręgosłupie, zagryzł wargi, potrząsnął głową:

- Mam u ciebie jakąś szansę?

- Bardzo bym chciała, ale... nie może być tak jak do tej pory?

- ...jasne.

- Jest ci smutno? Możemy się pocałować, jeśli chcesz.

- Nie!

- Nie chcesz?

- Nie, nie chcę.

Eli zmarszczyła brwi.

- Robi się coś szczególnego, jak się ma szansę?

- Nie.

- Czyli jest... jak zwykle?

- Tak.

Eli się rozpromieniła, spłótła dłonie na brzuchu i spojrzała na Oskara.

- No to masz u mnie szansę. Możemy być razem.

- Naprawdę?

- Tak.

- Dobrze.

Z poczuciem błogiej radości Oskar dalej studiował grzbiety książek. Eli leżała spokojnie; czekała. Po chwili powiedziała:

- I to wszystko?

- Tak.

- Czy możemy leżeć tak, jak leżeliśmy przed chwilą?

Oskar przekręcił się, odwrócił się do niej plecami. Objęła go rękami, a on chwycił jej dłonie. Leżeli tak, aż Oskar zrobił się senny. Czuł piasek w oczach, powieki same się zamykały. Zanim zapadł w sen, powiedział:

- Eli?

- Mhm?

- Dobrze, że przysłaś.

- Tak.

- Dlaczego... pachniesz benzyną?

Dłonie Eli chwyciły mocniej jego dłonie, przycisnęły do jego serca. Potem go objęły. Pokój się powiększył, ściany i sufit rozsunęły się, podłoga odpadła, a kiedy Oskar poczuł, że łóżko unosi się w powietrzu, zrozumiał, że zasnął.

SOBOTA

31 PAŹDZIERNIKA

*Pochodnie nocy już się wypaliły
I dzień się wspina raźnie na gór szczyty
Chcąc żyć, iść muszę, lub zostając - umrzeć.*

William Szekspir, *Romeo i Julia*, III :5 (tłum. Józef Paszkowski)

SZAROŚĆ. Wszystko było zamazane, szare. Nie mógł na niczym skupić wzroku, jakby leżał w deszczowej chmurze. Leżał? Tak, leżał. Ucisk na plecy, pośladki, pięty. Syk dobiegający z lewej strony. Gaz. Palił się gaz. Nie. Teraz ktoś go wyłączył. I ponownie włączył. Coś działo się z jego klatką piersiową, to miało związek z tym dźwiękiem. Jego pierś napełniała się i opróżniała w takt syku.

Wciąż był na pływalni? Gaz był podłączony do niego? Więc jak to możliwe, że był rozbudzony? Był rozbudzony?

Håkan spróbował zamrugać. I - nic. Prawie nic. Coś zadrgało przed jedynym okiem, jeszcze bardziej pogarszając jego widzenie. Drugiego oka nie było. Spróbował otworzyć usta. Ust nie było. Przywołał obraz swoich ust, takich, jakie widział w lustrach, próbował... ale ich nie było. Nic nie reagowało na jego polecenia. Jakby przekazywał swoją wolę kamieniowi, nakazując mu, żeby się poruszył. Żadnego kontaktu.

Uczucie silnego gorąca na całej twarzy. Strzała strachu przeszła jego brzuch. Głowa była otoczona czymś bardzo ciepłym, jakby w czymś zastygła. Stearyna. Jakaś maszyna troszczyła się o jego oddech, ponieważ na twarzy miał stearynę.

Pomyślał o prawej ręce. Tak. Była na miejscu. Otworzył dłoń, zamknął; czubki palców dotykają powierzchni dłoni. Czuł. Odetchnął z ulgą, to znaczy, wyobraził sobie westchnienie ulgi, bo jego pierś unosiła się w rytm maszyny, a nie zgodnie z jego wolą.

Uniósł rękę, powoli. Uczucie ciągnięcia na piersi, na ramieniu. Dłoń znalazła się w polu widzenia, postrzępiony kikut. Zbliżył ją do twarzy, zatrzymał. Cichy pisk z prawej strony. Powoli odwrócił głowę w kierunku, skąd dochodził dźwięk, i poczuł, jak coś twardego wrzyna mu się w brodę. Uniósł rękę.

Metalowa łuska. Na jego szyi. Od niej biegł wąż. Powiódł za nim wzrokiem na tyle, na ile mógł, aż do pofalowanej metalowej części, gdzie się kończył. Teraz zrozumiał. Będzie musiał go wyciągnąć, kiedy zapragnie umrzeć. Tak to zostało urządzone. Położył palce na uchwycie gumowego węża.

Eli. Pływalnia. Chłópiec. Kwas solny.

Wspomnienia kończyły się, kiedy odkręcał pokrywkę słoika po dżemie. Oblał się kwasem. Zgodnie z planem. Nie zgadzało się tylko to, że wciąż żyje. Widział zdjęcia. Twarze kobiet oblanych kwasem przez zazdrosnych mężów. Nie chciał dotykać swojej twarzy, tym bardziej nie chciał jej oglądać.

Szarpnął mocniej gumowy wąż. Ani drgnął. Gwint. Spróbował przekreślić białą metalową część; zaczęła się obracać. Kręcił dalej. Szukał swojej drugiej ręki, ale poczuł jedynie bołą kragłość w miejscu, gdzie powinna być dłoń. Czubki palców natrafiły na lekki, drżący opór. Zaczęło uchodzić powietrze; szycący dźwięk się zmienił, stał się słabszy.

Szare światło mieszało się z migającym czerwonym. Próbował zamknąć oko. Pomyślał o Sokratesie i kielichu z trucizną. Za to, że uwiódł Atenę. Nie zapomnij podarować koguta... Komu? Jak on się nazywał? Hermes? Nie...

Usłyszał zasysający dźwięk; drzwi się uchyliły, w jego stronę szła biała postać. Poczuł palce, które prostowały jego palce, odciągały je od węża. I głos kobiety:

- Co pan robi?

Asklepios. Ofiaruj koguta Asklepiosowi.

- Proszę puścić!

Koguta. Asklepiosowi. Bogu sztuki lekarskiej.

Świst i szelest, kiedy odciągnęła jego palce i ponownie umocowała wężyk.

- Musimy posadzić kogoś, żeby pana pilnował.

Ofiaruj go jemu. Nie zapomnij.

Kiedy Oskar się obudził, Eli nie było. Leżał twarzą do ściany, wiało mu chłodem po plecach. Uniósł się na łokciu i rozejrzył po pokoju. Okno było uchylone. Musiała przez nie wyjść.

Naga.

Przekreślił się na łóżku, wcisnął twarz tam, gdzie leżała, wachał. Nic. Wodził nosem po prześcieradle, próbując wyczuć najmniejszy ślad jej obecności. I nic. Ulotnił się nawet zapach benzyny.

Czy to naprawdę miało miejsce? Położył się na brzuchu.

Tak.

Były tam. Jej palce na jego plecach. Wspomnienie jej palców na jego plecach. Sim-sala-bim. Mama tak się z nim bawiła, kiedy był mały. Ale to działa się teraz. Przed chwilą. Czuł, jak jeżą mu się włoski na rękach i na karku.

Wstał z łóżka, zaczął się ubierać. Kiedy włożył spodnie, podszedł do okna. Śnieg nie padał. Minus cztery stopnie. Dobrze. Gdyby śnieg zaczął topnieć, zrobiliby się błoto i nie mógłby stawiać papierowych toreb z ulotkami reklamowymi przed drzwiami. Zastanawiał się, jakie to uczucie wyjść nago przez okno przy czterech stopniach mrozu i zeskoczyć na ośnieżone krzaki, na...

Nie.

Wychylił się, zamrugał.

Śnieg na krzakach był nietknięty.

Wczoraj wieczorem patrzył na białą wstęgę śniegu, która biegła aż do drogi. Wyglądała dokładnie tak samo. Szerzej uchylił okno, wystawił głowę na zewnątrz. Krzaki ciągnęły się do drogi; tuż pod oknem były pokryte śniegiem. Żadnych śladów.

Oskar popatrzył w prawo, na chropowatą ścianę. Trzy metry dalej było jej okno.

Zimne powietrze owiało jego pierś. W nocy musiał spać śnieg, już po jej wyjściu. To jedyne wytłumaczenie. Chociaż... Zaczął się zastanawiać, jak dostała się do okna. Przeszła po krzakach?

Jeśli tak, na śniegu powinny chyba zostać ślady. Kiedy szedł spać, śnieg nie padał. A kiedy przyszła, nie była mokra, nie miała też mokrych włosów, więc nie padało. Kiedy wyszła?

Od jej wyjścia do chwili obecnej musiało napadać tyle śniegu, żeby zniknęły wszystkie ślady...

Oskar zamknął okno i dalej się ubierał. To niepojęte. Znów zaczął skłaniać się do myśli, że to jednak był sen. I nagle zobaczył kartkę. Leżała złożona pod zegarkiem na biurku. Wziął ją i rozłożył.

„O okno, wpuśćże dzień, a wypuść życie”.

Serce i jeszcze:

„Do zobaczenia wieczorem. Eli”.

Czytał kartkę pięć razy. Potem wyobraził sobie, jak Eli stoi przy biurku i to pisze. Na ścianie, pół metra za nim, była twarz Gene Simmons'a z wywalonym językiem.

Pochylił się nad biurkiem, zerwał plakat ze ściany, zmiął go i wyrzucił do kosza.

Potem jeszcze trzy razy przeczytał kartkę, złożył ją i wsadził do kieszeni. Dalej się ubierał. Dzisiaj w zestawie mogło być nawet po pięć ulotek. Pójdzie mu śpiewająco.

W pokoju pachniało dymem, drobinki kurzu tańczyły w promieniach słońca, które wdzierały się przez żaluzje. Lacke właśnie się obudził, leżał na wznak w łóż-

ku i kaszał. Drobinki kurzu tańczyły zabawnie przed jego oczami. Kaszel palacza. Odwrócił się, sięgnął po zapalniczkę i paczkę papierosów na nocnym stoliku, obok pełnej popielniczki.

Wziął papierosa. Camel lights. Na stare lata Virginia zaczęła się troszczyć o zdrowie. Zapalił, położył się na plecach z ręką pod głową; palił i rozmyślał.

Virginia wyszła do pracy kilka godzin temu, prawdopodobnie dość zmęczona. Kochali się, a potem jeszcze długo rozmawiali i palili. Dochodziła druga, kiedy Virginia zgasila ostatniego papierosa i powiedziała, że pora spać. Lacke wstał, dopił wino z butelki i wypalił kilka papierosów, zanim też się położył. Być może przede wszystkim dlatego, że pragnął się przytulić do ciepłego ciała.

Szkoda, że nie zadbał o to, żeby zawsze mieć kogoś obok siebie. Gdyby tak było, gdyby to była Virginia... Poza tym... a niech to, słyszał różne plotki o tym, jak jej się teraz wiodło. Miała okresy, kiedy upijała się do nieprzytomności w knajpach i ściagała do domu Bóg wie kogo. Nie chciała o tym rozmawiać, ale w ostatnich latach postarzała się bardziej, niż powinna.

Gdyby on i Virginia mogli - no dobrze, i co z tego? Wszystko sprzedać, kupić dom na wsi, uprawiać ziemniaki. Jasne, tyle że to by się nie udało. Po miesiącu graliby sobie na nerwach, poza tym ona ma tu matkę, swoją pracę, a on... on... ma swoje znaczki.

Nikt o tym nie wiedział, nawet jego siostra; miał w związku z tym wyrzuty sumienia.

Kolekcja znaczków ojca, która nie weszła do masy spadkowej, okazała się warta całkiem pokaźną sumę. Naruszał ją, wyjmując po kilka znaczków, kiedy odczuwał brak gotówki.

Obecnie rynek był kiepski, poza tym niewiele znaczków mu zostało. Tak czy inaczej, niedługo znów będzie musiał sprzedać kilka. Może któryś z rarytasów, Norwegia Numer Jeden, żeby się zrewanżować za te wszystkie kolejki wyproszonego piwa. Powinien to zrobić.

Dwa domy na wsi. Siedliska. Blisko siebie. Siedlisko kosztuje tyle co nic. No i jest jeszcze matka Virginii. Trzy siedliska. No i jeszcze córka Lena. Cztery. Jasne. Najlepiej kupić od razu całą wieś.

Virginia czuła się szczęśliwa, kiedy była z Lackem, sama to powiedziała. Lacke nie wiedział, czy on jeszcze potrafi być szczęśliwy, ale Virginia była jedyną osobą w której towarzystwie czuł się naprawdę dobrze. Dlaczego nie mogliby ułożyć sobie życia w taki czy inny sposób?

Lacke postawił popielniczkę na brzuchu, strząsnął popiół z papierosa, zaciągnął się.

Jedyna osoba, z którą mu teraz było dobrze. Po tym, jak Jocke... zaginął. Jocke był w porządku. Jedyne kumpel, z którym się spotykał, którego mógł nazwać przyjacielem. To okropne, że zniknął. Nienaturalne. Powinien się odbyć pogrzeb. Powinno być ciało, na które można byłoby spojrzeć i powiedzieć: „Tak, tak, leżysz tu sobie teraz, przyjacielu. I nie żyjesz”.

Łzy napłynęły mu do oczu.

Ludzie mieli tak cholernie dużo „przyjaciół”, szastali tym słowem. On miał jednego, jedynego i właśnie mu go odebrał jakiś zimnokrwisty drań. Po jakie licho ten dzieciak zabił Jockego?

W głębi duszy wiedział, że Gösta nie kłamał ani nie zmyślał; Jocke rzeczywiście zniknął, ale to było tak cholernie bez sensu. Jedyne możliwe powody to narkotyki. Jocke musiał wplątać się w jakieś gówno, pewnie wydymał niewłaściwą osobę. Ale dlaczego nic mu o tym nie powiedział?

Zanim opuścił mieszkanie, opróżnił popielniczkę, postawił puste butelki w szafce kuchennej. Musiał powtykać je pomiędzy już tam stojące, żeby się zmieściły.

Tak, do diabła. Dwa siedliska. Kawałek pola pod ziemniaki. Ziemia pod nogami i śpiew skowronka wiosną. I tak dalej. Kiedyś.

Wciągnął kurtkę i wyszedł. Mijając sklep ICA, posłał pocałunek Virginii, która siedziała w kasie. Uśmiechnęła się, ale minę miała żalną.

W drodze do domu na Ibsengatan spotkał dzieciaka targającego dwie papierowe torby. Mieszkał w pobliżu, ale Lacke nie wiedział, jak się nazywał. Skinął mu głową.

- Wygląda na ciężkie, to, co targasz.
- Spoko.

Lacke patrzył za dziecakiem, który taszczył swoje torby w kierunku bloków. Mimo wszystko wyglądał na cholernie zadowolonego. Takim powinno się być. Akceptować swój ciężar i nieść go z radością.

Takim powinno się być.

Na podwórzu spodziewał się spotkać gościa, który stawiał whisky u Chińczyka. Zwykle wychodził o tej porze. Czasem spacerował w kółko po podwórzu. Od kilku dni się jednak nie pokazywał. Lacke zerknął na zasłonięte okna mieszkania, w którym, jak sądził, mężczyzna mieszka.

Pewnie siedzi i chła, jasne. Może zadzwonić do drzwi?
Innym razem.

Kiedy zapadł zmierzch, Tommy i mama poszli na cmentarz. Grób ojca był tuż przy łące, graniczącej z bagnistymi terenami w Räcksta, więc wybrali drogę przez las. Mama milczała do samej Kanaanvagen. Tommy sądził, że było jej smutno, ale kiedy skręcili w małą uliczkę, biegnącą wzdłuż bagna, zakasłała i powiedziała:

- Widzisz, Tommy...
- Tak?
- Staffan twierdzi, że coś zniknęło z jego mieszkania. Po naszej wizycie.
- Ach, tak.
- Wiesz coś o tym?

Tommy zgarnął trochę śniegu, zrobił śnieżkę i wycelował w drzewo. Trafił.

- Tak. To coś leży pod jego balkonem.
- To chyba coś, co jest dla niego ważne, skoro...
- Leży w krzakach pod jego balkonem, powiedziałem przecież.
- Jak się tam znalazło?

Przed nimi rozciągała się pokryta śniegiem łąka, okalająca cmentarz. Słaba czerwona poświata podświetlała od dołu korony sosen. Znicze, które mama niosła w ręku, zastukały.

Tommy spytał:

- Masz ogień?
- Ogień? Tak. Mam zapalniczkę. Jak to się tam znalazło...
- Upuściłem.

Tommy zatrzymał się przed cmentarną furtką; spojrzął na mapę; różne sektory zaznaczone były różnymi literami. Tata leżał w sektorze D.

Właściwie to chore, to wszystko. Że też to się tak odbywa. Spala się człowiek, bierze proch, zakopuje w ziemi, a potem nazywa się to miejsce: „Grób 104, sektor D”.

Niedługo miną trzy lata. Tommy pamiętał pogrzeb, czy jak to nazwać, jak przez mgłę. Całe to zamieszanie z trumną i masa ludzi, którzy na zmianę płakali i śpiewali.

Pamiętał, że miał na sobie za duże buty, buty ojca; że spadały mu z nóg, kiedy... szedł. Że bał się urny; siedział i wpatrywał się w nią podczas całej ceremonii, przekonany, że ojciec zaraz z niej wyjdzie, żywy, chociaż... zmieniony.

Przez dwa tygodnie po pogrzebie chodził w ciągłym strachu przed zombie. Szczególnie kiedy robiło się ciemno, zdawało mu się, że wśród cieni widzi skurczoną istotę ze szpitalnego łóżka, która nie jest już jego ojcem, zmierzającą ku niemu z wyciągniętymi rękami, tak jak na filmach.

Strach minął po spuszczeniu urny do grobu. Był przy tym tylko on, mama, ksiądz i urzędnik cmentarny. To on niósł przed sobą urnę, kroczył z godnością; a ksiądz pocieszał mamę. Wszystko było idiotycznie śmieszne. Mała drewniana skrzynka z pokrywką, którą niósł jakiś facet w garniturze, miała mieć cokolwiek wspólnego z jego tatą. To jakiś jeden wielki błąd.

Ale strach zniknął i stosunek Tommy'ego do pogrzebu i grobu z czasem się zmienił. Zdarzało się, że przychodził tu sam, siedział chwilę i przesuwał palcami po wyrytych w kamieniu literach, składających się na imię jego ojca. Dlatego tu przychodził. Nie obchodziła go skrzynka w ziemi, natomiast imię tak.

Skurczony człowiek na szpitalnym łóżku, prochy w skrzynce, to nie miało nic wspólnego z jego ojcem; natomiast imię oznaczało człowieka, którego pamięta, i dlatego siadywał tu i przeciągał palcami po wyżłobieniach w kamieniu tworzących napis: „Martin Samuelsson”.

- Ach, jak ładnie - odezwała się mama.

Tommy spojrzął na cmentarz.

Wszędzie paliły się znicze. Cmentarz jak miasto widziane z samolotu. Między nagrobkami przesuwały się pojedyncze ciemne cienie. Mama ruszyła do grobu ojca ze zniczem w ręku. Tommy przyglądał się jej wąskim plecocom i nagle zrobiło mu się żal. Nie siebie, nie mamy, tylko wszystkiego. Tych wszystkich ludzi, którzy wędrowali tu wśród lampek migoczących na śniegu albo stali jak cienie przy nagrobkach, patrzyli na kamienie, dotykali kamieni. To było takie... głupie.

Martwy to martwy. Nie ma go.

Mimo to Tommy podszedł do matki; ukucnął przy grobie ojca, kiedy zapalała znicz. Jak był tu z mamą nie dotykał liter.

Trwali tak chwilę, patrząc, jak w słabym świetle płomienia marmur zmienia kolor, a cienie się poruszają. Tommy nie czuł nic poza lekkim skrępowaniem. Że godzi się na to udawanie. Po krótkiej chwili wstał i ruszył do domu.

Matka podażyła za nim. Trochę za szybko, pomyślał. Powinna wypłakiwać sobie oczy, siedzieć tam całą noc. Mama dogoniła go, wzięła ostrożnie pod rękę. Pozwolił jej na to. Szli tak obok siebie, patrząc na mokradła Räcksta; miejscami widać już było lód. Jeśli mróz się utrzyma, za kilka dni będzie można tam jeździć na łyżwach.

Jedna myśl nie dawała mu spokoju, powracała jak uparta melodia...

Martwy to martwy. Martwy to martwy. Martwy to martwy.

Matka wzdrygnęła się, przytuliła do niego.

- Nieprzyjemnie tu.

- Tak uważasz?

- Tak, Staffan opowiedział mi straszną historię.

Staffan. Nawet teraz nie mogła przestać mówić o...

- Ach, tak.

- Słyszałeś o tej willi w Ängby, która spłonęła? O kobiecie, która...

- Tak.

- Staffan mówił, że zrobili obdukcję. To okropne. Że też muszą to robić.

- Tak. Rzeczywiście.

Po kruchej tafli lodu maszerowała kaczka, szła do przerębła u wylotu rury ściekowej. Małe rybki, które latem łowiło się w jeziorze, cuchnęły ściekami.

- Skąd są te ścieki? - spytał Tommy. - Z krematorium?

- Nie wiem. Nie chcesz posłuchać? Przeraza cię to?

- Nie, nie.

Matka mówiła całą drogę. Po chwili Tommy zainteresował się jej opowieścią, zaczął zadawać pytania, na które jednak nie potrafiła odpowiedzieć; wiedziała tylko tyle, ile powiedział jej Staffan. Tommy zadawał tyle pytań, był taki zainteresowany, że Yvonne zaczęła żałować, że w ogóle mu o tym wspominała.

Wieczorem Tommy siedział na skrzyni w schronie, obracając w ręku figurkę strzelca. Postawił ją na trzech kartonach z magnetowidami jak trofeum. Korona wieńcząca dzieło.

Zwędził ją... policjantowi!

Starannie zamknął schron, założył łańcuch i kłódkę, schował klucz w skrytce, usiadł i zaczął się zastanawiać nad tym, co opowiedziała mu matka. Po chwili usłyszał odgłos ostrożnych kroków, zbliżających się od strony piwnic. Jakiś głos wyszeptał:

- Tommy...?

Podniósł się z fotela, podszedł do drzwi i szybko je otworzył. Zobaczył Oskara, który sprawiał wrażenie zdenerwowanego; podał mu jakiś zwitek.

- Masz. Twoja forsa.

Tommy wziął pięćdziesięciokoronowy banknot i wsadził go do kieszeni; uśmiechnął się do Oskara.

- Zamierzasz się tu zadomowić, tak? Wejdz.

- Nie, muszę...

- No wejdz, mówię. Chcę cię o coś spytać.

Oskar usiadł na kanapie, zacisnął dłonie. Tommy rozsiadł się w fotelu, przyglądał mu się.

- Jesteś łebski gość.

Oskar wzruszył skromnie ramionami.

- Słyszałeś o tej willi, która spłonęła w Ängby, o tej facetce, co to wyszła przed dom i też spłonęła?

- Coś czytałem.

- Tak myślałem. Pisali o obdukcji?

- Nie zauważyłem.

- No właśnie, a była, to znaczy sekcja zwłok. I wiesz, co? Nie znaleźli dymu w płucach. Wiesz, co to znaczy?

Oskar się zastanawiał.

- Że nie oddychała.

- Tak. A kiedy człowiek przestaje oddychać? Kiedy umiera. No?

- Tak. - Oskar się podniecił. - Czytałem o tym. Tak, właśnie dlatego robi się sekcję zwłok, kiedy ktoś ginie w pożarze. Żeby sprawdzić, czy nie... czy ktoś nie podłożył ognia, żeby ukryć, że na przykład zamordował kogoś, kto był w środku. W płonąącym domu. Czytałem w... „Hemmetts Journal” o takim facecie w Anglii, który zabił swoją żonę, a potem podpalił dom, ale ponieważ to wiedział, więc zanim podłożył ogień, włożył jej do gardła gumowy wąż i...

- Okej, okej. Wiesz to. I dobrze. W tym przypadku nie było jednak dymu w płucach, a baba mimo wszystko wybiegła przed dom i minęła dobra chwila, zanim umarła. Jak to możliwe?

- Pewnie wstrzymała oddech. Chyba jednak nie. To niemożliwe, też o tym czytałem. To dlatego ludzie zawsze...

- Okej, Okej. Wy tłumacz mi to.

Oskar oparł głowę na dłoniach, zastanawiał się. Po chwili powiedział:

- Albo popełnili jakiś błąd, albo wyskoczyła i biegała po ogrodzie, chociaż była martwa.

Tommy skinął głową.

- Właśnie. I wiesz, co? Jakoś nie wierzę, że ci faceci popełniają takie błędy. A ty?

- Nie, ale...

- Trup to trup.

- Tak.

Tommy wyciągnął nitkę z fotela, zwinął ją w kulkę i pstryknął.

- Tak. Można by tak pomyśleć.

CZĘŚC TRZECIA

ŚNIEG TOPNIEJĄCY NA SKÓRZE

*Dłoń mi na dłoni położył i lice
Ukazał jasne, duchem natchnął śmiałem,
Po czym wprowadził w głębin tajemnice.*

Dante Alighieri *Boska Komedia*
(tłum. Edward Porębowicz)

*- Nie jestem prześcieradłem. Jestem PRAWDZIWYM DUCHEM.
BU... BUU... Masz się mnie bać!
- Ale ja się ciebie nie boję.*

Teatr Narodowy *Gołąbki i kalesony*

CZWARTEK

5 LISTOPADA

MORGANOWI MARZŁY NOGI. Mróz, który chwycił mniej więcej wtedy, kiedy okręt podwodny osiadł na mieliźnie, podczas minionego tygodnia zrobił się jeszcze większy. Morgan uwielbiał swoje stare kowbojki, ale nie mieściły się w nich wełniane skarpety. Poza tym buty miały dziurawe podeszwy. Oczywiście mógł kupić jakieś chińskie badziewie za stówę, ale wołał marznąć.

Było wpół do dziesiątej przed południem. Wracał do domu ze stacji metra. Był na złomowisku w Ulvsundzie. Chciał sprawdzić, czy nie wzięliby klamki, która mogła być warta nawet kilka stów, ale interes szedł kiepsko. W tym roku nie miał co liczyć na zimowe buty. Wypił kawę z chłopakami w kantorku, zawalonym katalogami części zamiennych i kalendarzami z gołymi laskami, i wrócił do domu metrem.

Larry wyszedł z bloku; miał minę, jakby wisiał nad nim wyrok śmierci.

- Witaj, staruszkule! - zawołał Morgan.

Larry pokiwał głową niezbyt zaskoczony; można by sądzić, że już rano, kiedy się obudził, wiedział, że Morgan będzie tu stał. Podszedł do niego.

- Cześć. Co słychać?

- Odmroziłem sobie palce, samochód oddałem na złom, nie mam roboty, a w domu czeka na mnie talerz zupy z proszku. A co u ciebie?

Larry szedł parkową alejką w kierunku Björnsonsgatan.

- Pomyślałem, że odwiedzę Herberta w szpitalu. Może pójdziesz ze mną?

- Oprzytomniał już trochę?

- Nie, chyba nic się nie zmieniło.

- Dam sobie spokój. Dołuje mnie to jego bredzenie. Ostatnio uznał, że jestem jego matką, i chciał, żebym opowiedział mu bajkę.

- I opowiedziałeś mu?

- Jasne. O Złotowłosej i trzech niedźwiadkach. Ale dzisiaj nie jestem w nastroju.

Szli dalej. Morgan zauważył, że Larry ma na rękach grube rękawice, i uświadomił sobie, że marzną mu ręce; z pewnym trudem wcisnął je do ciasnych kieszeni dzinsów. Nagle wyrósł przed nimi mostek, gdzie zniknął Jocke.

Żeby odwrócić uwagę od tego, co się tu stało, Larry powiedział:

- Czytałeś dzisiejszą gazetę? Falldin twierdzi, że Rosjanie mają broń atomową na pokładzie tej łodzi podwodnej.

- A wcześniej myślał, że co tam mają? Proce?

- Nie, ale... chodzi o to, że leży tam już tydzień. A gdyby wybuchła?

- Nie martw się. Rosjanie znają się na takich rzeczach.

- Nie jestem komunistą...

- Ani ja.

- No właśnie. Na kogo ostatnio głosowałeś? Na ludowców?

- Nie jestem za Moskwą.

To był ich stały rytuał. Uczępili się go, żeby nie myśleć wiadomo o czym, gdy zbliżali się do mostku. Jednak kiedy się pod nim znaleźli, zamilkli i się zatrzymali. Obaj uznali, że to ten drugi zatrzymał się pierwszy. Patrzyli na kupki liści, które teraz zamieniły się w kupki śniegu; na ich widok obojgu robiło się niedobrze. Larry pokręcił głową.

- Co można, kurde, zrobić?

Morgan wcisnął ręce głębiej do kieszeni, przytupywał, żeby się rozgrzać.

- Tylko Gösta coś może.

Obaj spojrzeli w kierunku mieszkania, w którym mieszkał Gösta. Żadnych firanek w oknach, brudne szyby.

Larry wyciągnął paczkę papierosów. Morgan wziął jednego, Larry też, i zapalił oba. Stali i palili, przyglądając się kupkom śniegu. Po chwili ich rozmyślanie zakłóciły młode głosy.

Od strony szkoły zbliżała się grupa dzieci z łyżwami i kaskami; prowadził ich mężczyzna o wojskowym wyglądzie. Dzieci szły w odległości mniej więcej metra od siebie, prawie równym tempem. Minęły Morgana i Larry'ego, którzy nadal stali pod mostkiem. Morgan skinął głową dzieciakowi, którego znał z podwórka.

- Idziecie na wojnę, czy co?

Dziecko pokręciło głową, chciało coś odpowiedzieć, ale powędrowało dalej, bojąc się wypaść z szeregu. Szli w kierunku szpitala. Pewno jakiś dzień sportu albo coś takiego. Morgan zgasił nogą papierosa, złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

- Nalot! Kryć się!

Larry zarechotał i też zgasił papierosa.

- Boże drogi. Że tacy wciąż istnieją. Pewnie sprawdza, czy kurtki w szatni równo wiszą. Może jednak pójdziesz ze mną?

- Nie. Nie dam rady. Ale pospiesz się, może zdążysz dołączyć do szeregu.

- Spotkamy się później.

- Jasne.

Rozdzielili się pod mostkiem. Larry podążył wolnym krokiem w tym samym kierunku, co dzieci; Morgan ruszył w górę po schodach. Teraz już naprawdę marzył. Zupa z proszku nie jest taka zła, jeśli doda się do niej trochę mleka.

Oskar szedł obok pani. Potrzebował z kimś porozmawiać, a pani była jedyną osobą, która przyszła mu na myśl. Jednak gdyby mógł, to zmieniłby grupę. Jonny i Micke zwykle nie wybierali spaceru w dzień sportu; dzisiaj jednak to zrobili. Cały ranek o czymś szeptali i przyglądali się mu.

Więc Oskar szedł razem z panią. Sam nie wiedział, czy dla bezpieczeństwa, czy po to, żeby móc porozmawiać z kimś dorosłym.

Ostatnich pięć dni spędził z Eli. Spotykali się co wieczór, na dworze. Mamie Oskar mówił, że wychodzi z Johanem.

Wczoraj w nocy Eli znów weszła do jego pokoju przez okno. Długo leżeli obok siebie, nie spali; opowiadali sobie historie, jedno kończyło, drugie ciągnęło opowieść dalej. Potem usnęli w swoich objęciach, a rano Eli już nie było.

W kieszeni spodni, obok wymiętej zaczytanej kartki była też nowa, którą znalazł na swoim biurku dzisiaj rano, kiedy szykował się do szkoły.

„Chcąc żyć, iść muszę, lub zostając - umrzeć. Twoja - Eli”

Wiedział, że to cytat z *Romea i Julii*. Eli powiedziała mu, że to, co napisała na pierwszej kartce, też było cytatem z tej sztuki; Oskar wypożyczył książkę ze szkolnej biblioteki. Nawet mu się podobała, mimo że były tam słowa, których nie rozumiał. „Z tych ust, co pełne westfalskiej skromności...” Czy Eli je rozumiała?

Jonny, Micke i dziewczyny szli dwadzieścia metrów za Oskarem i panią. Minęli Chinaparken, gdzie przedszkolaki zjeżdżały na sankach, krzycząc, aż powietrze drżało. Oskar kopnął grudkę śniegu i powiedział cicho:

- Proszę pani?

- Tak?

- Skąd wiadomo, że się kogoś kocha?

- Ojej...

Pani wsunęła ręce do kieszeni kurtki i popatrzyła w niebo. Oskar zastanawiał się, czy myślała o mężczyźnie, który kilka razy przychodził po nią pod szkołę. Oskarowi nie podobał się jego wygląd. Jakiś podejrzany typ.

- To jest różnie, ale... jest chyba tak, że kiedy się wie, że... a przynajmniej, kiedy nam się wydaje, że jest to ktoś, z kim chciałoby się zostać już na zawsze.

- I nie można bez niego żyć.

- Właśnie. Jeśli dwoje ludzi nie może bez siebie żyć... to jest to miłość.

- Jak Romeo i Julia.
- Tak, i im większe przeszkody... Byłeś w kinie na *Romeo i Julii*!
- Czytałem sztukę.

Pani spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Oskar uwielbiał jej uśmiech, teraz jednak nie był zachwycony. Dodał szybko:

- A jeśli to jest dwóch chłopców?

- Wtedy nazywa się to przyjaźń. To też rodzaj miłości. Chyba że chodzi ci o to, czy... chłopcy też mogą się kochać.

- Jak to robią?

Pani zniżyła nieco głos.

- Nie ma w tym nic złego... ale jeśli chcesz o tym porozmawiać, to może innym razem.

Szli kilka metrów w milczeniu; dotarli do wzgórza i zaczęli schodzić do zatoki, do Kvarnviiken. Wzgórze nazywano Wzgórzem Duchów. Pani wzięta głęboki oddech; poczuła zapach sosnowego lasu. Po chwili powiedziała:

- Zawiera się rodzaj paktu. Nieważne, czy to chłopak, czy dziewczyna, zawiera się pakt, że teraz jest się... razem. To się po prostu wie.

Oskar pokiwał głową. Głosy dziewczyn brzmiały coraz bliżej. Zaraz pewnie zaanektują panią, zwykle tak bywało. Podszedł jeszcze bliżej pani, ich kurtki niemal się dotknęły, i spytał:

- Można być i chłopakiem, i dziewczyną... jednocześnie? Albo ani chłopakiem, ani dziewczyną?

- Nie. Wśród ludzi to się nie zdarza. Są jednak zwierzęta, które...

Podbiegła do nich Michelle i zawołała piskliwym głosem:

- Proszę pani! Jonny wsypał mi śnieg za kołnierz!

Byli w połowie wzgórza. Po chwili już wszystkie dziewczyny otoczyły nauczycielkę, zdając relację z tego, co zrobili Jonny i Micke.

Oskar zwolnił, został kilka kroków z tyłu. Odwrócił się. Jonny i Micke byli na szczycie wzgórza. Pomachali Oskarowi ręką. Nie odpowiedział im. Chwytał natomiast grubą gałąź leżącą z boku drogi i zaczął obrywać z niej mniejsze gałązki.

Minał Dom Duchów, od którego wzięta się nazwa wzgórza. Był to ogromny magazyn ze skorodowanymi stalowymi ścianami, który wśród tych niewielkich drzewek wyglądał po prostu idiotycznie. Na ścianie od strony wzgórza ktoś napisał sprayem dużymi literami:

„Dasz nam?”

Dziewczyny i pani bawiły się w berka, biegały wzdłuż drogi nad wodą. Nie zamierzała ich gonić. Jonny i Micke szli za nim. Oskar chwycił mocniej kij i szedł dalej.

Była ładna pogoda. Lód był już na tyle mocny, że pozwolono dzieciom jeździć na nim na łyżwach pod opieką pana od wuefu. Kiedy Jonny i Micke oświadczyli, że wybierają wycieczkę, Oskar pomyślał, że pobiegnie do domu

po łyżwy i zmieni grupę. Ale miał tylko stare łyżwy, sprzed dwóch lat; pewnie będą na niego za małe.

Poza tym bał się lodu.

Kiedyś, kiedy był mały, pojechał do taty, do Sódersvik, i tata wybrał się z nim opróżnić sieci. Oskar został na pomoście; nagle zobaczył, jak pod ojcem załamuje się lód i głowa ojca na jedną straszłą chwilę znika pod lodem. Oskar zaczął krzyczeć wniebogłoso; był sam na pomoście. Na szczęście ojciec miał w kieszeni jakieś haki i użył ich, żeby wydostać się z wody. Jednak od tamtego czasu Oskar niechętnie wychodził na lód.

Ktoś chwycił go za ramiona.

Oskar odwrócił głowę i zobaczył, że pani i dziewczyny zniknęły za zakretem. Usłyszał głos Jonny'ego:

- Teraz Prosiak się wykapie.

Oskar wciąż miał kij. To była jego jedyna szansa. Zaczęli go szarpać, ciągnąc w stronę lodu.

- Prosiak cuchnie, musi się wykapać.

- Puśćcie mnie.

- Później. Spokojnie. Potem cię puścimy.

Byli już na lodzie. Nawet nie miał się o co zaprzeć nogami. Wlekli go za sobą po lodzie do przerębła, gdzie ludzie przychodzili się zanurzyć po pobycie w saunie. Pięty Oskara zostawiały na śniegu podwójny ślad. Kij, który trzymał między nogami, też zostawiał ślad, ale płytszy.

Daleko na lodzie widział poruszające się małe figurki. Zaczął krzyczeć. Wołał o pomoc.

- Krzycz. Może zdążą cię wyciągnąć.

Kilka kroków dalej ziajał czernią przerębł. Oskar napiął mięśnie, wił się i rzucał na boki. Micke poluzował chwyt. Oskar, wisząc w objęciach Jonny'ego, zamachnął się kijem, celując w łydki swojego oprawcy. Kij niemal wyleciał mu z rąk, kiedy drewno trafiło w kość.

- Auu!

Jonny puścił go, Oskar upadł na lód. Wstał tuż przy krawędzi przerębła, trzymając kij obiema rękami. Jonny złapał się za gołeń.

- Cholerny kretyń! Do diabła...

Jonny ruszył wolno w jego stronę; pewnie bał się biec, żeby, kiedy pchnie Oskara, samemu nie wylądować w wodzie. Wskazał ręką na kij.

- Odłóż go albo cię zabiję! Rozumiesz?

Oskar zagryzł wargi. Kiedy Jonny zbliżył się do niego na odległość ręki, zamachnął się, celował w ramię. Jonny kucnął i Oskar poczuł tępe szarpnięcie, kiedy cięższy koniec kija uderzył Jonny'ego tuż nad uchem. Chłopak poleciał po lodzie niczym kula bowlingowa, upadł jak długi i zaczął wrzeszczeć.

Micke, który stał parę kroków za nim, zaczął się wycofywać, wyciągnął ręce przed siebie:

- No coś ty, my tylko tak... żartowaliśmy.

Oskar ruszył w jego stronę, wymachując kijem, aż powietrze świszczało. Micke odwrócił się i zaczął biec w stronę brzegu. Oskar zatrzymał się, opuścił kij.

Jonny leżał zwinięty w kłębek i trzymał się ręką za ucho. Przez palce ciekła mu krew. Oskar chciał go przeprosić. Nie leżało w jego zamiarach aż tak go skrzywdzić. Pochylił się nad nim, wspierając się na drągu; zamierzał powiedzieć „przepraszam”, ale zanim zdążył to zrobić, nagle zobaczył go.

Jonny leżał na lodzie, mały, skulony, w pozycji embrionalnej, i jęczał „ajjjj...”; strużka krwi spływała mu za kołnierz kurtki. Cały czas wolno przekręcał głowę z boku na bok.

Oskar patrzył na niego zdziwiony.

Ta leżąca na śniegu zakrwawiona kukła miałaby mu coś zrobić? Nie był w stanie ani mu dokuczyć, ani go uderzyć; nie był w stanie nawet się bronić.

Wystarczy, że uderzy jeszcze kilka razy, i zapanuje całkowita cisza.

Oskar wstał, wsparł się na kiju. Podniecenie opadło, teraz czuł wzbierające młodości. Co on zrobił? Jonny musiał być poważnie ranny, skoro tak krwawił. A jeśli wykrwawi się na śmierć? Oskar usiadł na lodzie; zdjął jeden but, ściągnął wełnianą skarpetę. Podszedł na kolanach do Jonny'ego, uniósł nieco rękę, którą Jonny trzymał się za ucho, i włożył mu w dłoń skarpetę.

- Masz.

Jonny chwycił ją i przytknął do ucha. Oskar rozejrzał się po lodzie. Zobaczył, że ktoś się do nich zbliża. Ktoś dorosły.

Z dała dochodziły piski. Dziecięce krzyki. Pełne przerażenia. Najpierw jeden, potem po kilku sekundach dołączyły inne. Osoba, która się do nich zbliżała, zatrzymała się. Chwilę stała bez ruchu. Potem się odwróciła i odjechała.

Oskar klęczał obok Jonny'ego; czuł, jak śnieg się topi i przemiekają mu spodnie na kolanach. Jonny miał zamknięte oczy, zaciskał zęby. Oskar nachylił się jeszcze bardziej.

- Możesz iść?

Jonny otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i wtedy z jego ust trysnęła na śnieg fontanna czegoś żółtego wymieszanego z czymś białym. Trochę wylądowało też na dłoni Oskara. Chłopak spojrzał na wymiociny, które pobrudziły mu rękę, i dopiero teraz naprawdę się przeraził. Puścił kij i ruszył do brzegu wezwać pomoc.

Dziecięce krzyki nadchodzące od strony szpitala stawały się coraz głośniejsze. Skierował się w ich stronę.

Nauczyciel wueru Fernando Cristóbal de Reyes y Avila lubił jeździć na łyżwach. Jedną z rzeczy, którą cenił sobie w Szwecji, to długie zimy. Od dziecięciu lat brał udział w Biegu Wazów, a w latach, kiedy zamarzały przybrzeżne wody, jeździł co weekend samochodem do Graddó, żeby mknąć na łyżwach aż do Söderarm, jak najdalej się dało.

Ostatnio wody przybrzeżne wokół szkieców zamarzły trzy lata temu, ale w tym roku zima zaczęła się wcześniej i wszystko mogło się jeszcze zdarzyć. Jeśli wody zamarzną, lód oczywiście zaroi się od łyżwiarzy, ale łyżwiarze jeździli za dnia. Zaś Fernando Avila najbardziej lubił jeździć nocą.

Uczestnicząc w Biegu Wazów, miał wrażenie, że jest jedną z wielu tysięcy mrówek, które nagle zdecydowały się emigrować. Co innego, kiedy był na lodzie sam, w księżycową noc, na otwartej przestrzeni. Fernando Avila nie był zagorzałym katolikiem, ale w takich chwilach czuł bliskość Boga.

Rytmiczne uderzenia łyżew o lodową taflę, światło księżyca, które nadało jej ołowiany połysk, nieskończona ilość piętrzących się nad nim gwiazd, zimny wiatr, omiatający jego twarz; wieczność, głębia, przestrzeń dookoła niego. Życie nie mogło być wspanialsze.

Mały chłopiec ciągnął go za nogawkę.

- Proszę pana, chce mi się siusiu.

Avila otrząsnął się ze swoich marzeń i rozejrzał dookoła; wskazał ręką kępkę drzew, których gałęzie sięgały wody, tworząc rodzaj opadającej na lód kurtyny.

- Tam możesz zrobić siku.

Chłopiec spojrzał w kierunku drzew.

- Na lodzie?

- Tak. A co się stanie? Powstanie nowy lód. Żółty.

Chłopiec popatrzył na niego jak na wariata, ale ruszył w kierunku przybrzeżnej kępy drzew.

Avila rozejrzał się, sprawdził, czy któreś ze starszych dzieci nie odjechało zbyt daleko. Ruszył do przodu, zaczął liczyć dzieciaki. Wszystko się zgadzało. Dziewięcioro. Plus ten, który sikał. Dziesięcioro.

Zrobił obrót i spojrzał w odwrotnym kierunku, w stronę Kvarnviken. Zatrzymał się.

Coś tam się działo. Grupka dzieci zmierzała w stronę czegoś, co wyglądało jak przeręb. Niedaleko widać było pojedyncze drzewka. Przyglądał się dzieciom, które najwyraźniej zaczęły się już rozpraszać; nagle Avila dostrzegł, że jedno z nich ma w ręku kij.

Zobaczył, jak go unosi i jak jeden z chłopców pada na lód. Usłyszał wołanie. Odwrócił się, jeszcze raz rzucił okiem na swoją grupę, i pomknął w stronę przerębła. Jakieś dziecko biegło w stronę brzegu.

I wtedy usłyszał krzyk.

Przeraźliwy wrzask dziecka z jego grupy. Zahamował tak nagle, że śnieg prysnął spod łyżew. Przy przerębli była grupka młodzieży. Możliwe, że był tam też Oskar. Poradzą sobie. W jego grupie były młodsze dzieci. Krzyk przybiegał na sile; kiedy ruszał w stronę, skąd dochodził, słyszał, że krzyczało coraz więcej dzieci.

Ze też akurat kiedy go tam nie było, coś musiało się wydarzyć. Boże, żeby tylko łód się nie załamał. Jechał tak szybko, jak tylko potrafił; łyżwy ciąły łód, kiedy pędził w stronę, skąd dochodził krzyk. Dzieci przybywało, stały i wrzeszczały, coraz więcej maluchów zmierzało w tym kierunku. Zauważył, że także ktoś z dorosłych ze szpitala biegł w stronę brzegu.

Jeszcze kawałek i był na miejscu; wyhamował tak gwałtownie, że śnieg spod łyżew sypnął na dzieci. Nic nie rozumiał. Dzieci stały wokół kurtyny, która tworzyły zwisające gałęzie, patrzyły na coś w lodzie i krzyczały.

Podjechał bliżej.

- Co się stało?

Jedno z dzieci wskazało ręką na łód, na coś, co najwyraźniej w nim tkwiło. Wyglądało na brązową, zamrożoną kępę trawy z czerwoną pręgą po jednej stronie. Jak przejechany jeź. Nachylił się i zobaczył, że jest to głowa. Głowa człowieka, która utkwiała i zamarzała w lodzie tak, że wystawał jedynie jej czubek i kawałek czoła.

Chłopiec, któremu chciało się sikać, siedział kilka metrów dalej i popłakiwał.

- Ja... po... tym... przejechałem...

Avila się wyprostował.

- Rozejść się! Wszyscy wracają na brzeg! Już!

Ale dzieci jakby przymarzły do lodu; najmłodsze nadal krzyczały. Avila wziął gwizdek i z całej siły dwa razy zagwizdał. Krzyki ucichły. Podjechał tak, że znalazł się za dziećmi; mógł dopilnować, żeby wróciły do brzegu. Dzieci posłusznie zawróciły. Tylko jeden chłopak z piątej klasy został i zaciekawiony przyglądał się bryle lodu.

- Ty też.

Avila przywołał go ręką. Na brzegu zwrócił się do kobiety, która nadbiegła od strony szpitala.

- Proszę zadzwonić po policję. I wezwać karetkę. Pod lodem są zamrożone zwłoki człowieka.

Kobieta wróciła biegiem do szpitala. Nauczyciel policzył zebrane na brzegu dzieci; jednego brakowało. Chłopiec, który najechał za zamrożoną głowę, nadal siedział na lodzie, zasłaniając twarz rękami. Avila podjechał do niego, chwycił go pod ramiona. Chłopiec odwrócił się i zarzucił mu ręce na szyję. Nauczyciel podniósł go delikatnie, jakby dźwigał kruchą paczkę, i ruszył z nim do brzegu.

- Da się z nim rozmawiać?
- Mówić to on nie mówi...
- Ale rozumie, co się do niego mówi?
- Pewnie tak, ale...
- Tylko chwilę.

Przez mgłę, która zasłaniała mu oko, Håkan widział, jak mężczyzna w ciemnym ubraniu odsunął krzesło i usiadł obok jego łóżka. Nie mógł dojrzeć jego twarzy, ale wyobrażał sobie neutralny grymas, który miał przyklejony do ust.

W ostatnich dniach Håkan miał wrażenie, że unosi się na czerwonej chmurze, pociętej wąziutkimi liniami grubości włosa. Po raz pierwszy był naprawdę przytomny, chociaż nadal nie miał pojęcia, ile dni minęło od chwili, kiedy tu się znalazł.

Przed południem próbował macać twarz palcami ręki, w której zachował czucie. Cała skóra była pokryta jakiegoś rodzaju gumowym opatrunkiem; to, co udało mu się mimo bólu wymacać, uświadomiło mu, że tak naprawdę nie miał już twarzy.

Håkan Bengtsson przestał istnieć. Istniało jedynie niezidentyfikowane ciało na szpitalnym łóżku. Z pewnością zaczął kojarzyć go z innymi morderstwami, ale nie z jego poprzednim czy obecnym życiem. Ani z Eli.

- Jak pan się czuje?

Dziękuję, dobrze, panie policjancie. Prima. Moją twarz parzy warstwa na palmu, ale poza tym wszystko jest w porządku.

- Wiem, że nie jest pan w stanie mówić, ale mógłby pan skinać głową na znak, że pan mnie słyszy? Może pan?

Mogę, ale nie chcę.

Mężczyzna siedzący obok łóżka westchnął.

- Próbował pan popełnić samobójstwo, więc najwyraźniej jest pan w jakimś stopniu świadomy... Trudno panu poruszyć głowę? Może pan unieść rękę na znak, że pan mnie słyszy? Jest pan w stanie unieść rękę?

Håkan przestał słuchać policjanta i zaczął się zastanawiać nad miejscem w dantejskim piekle, gdzie po śmierci spotykają się duchy wszystkich wielkich tego świata, którzy żyli przed narodzeniem Chrystusa. Limbus. Próbował wyobrazić je sobie w szczegółach.

- Rozumie pan zapewne, że chcemy się dowiedzieć, kim pan jest?

W którym kręgu, czy w jakiej niebiańskiej sferze, znalazł się Dante po śmierci...

Policjant przysunął krzesło kilka centymetrów bliżej.

- Dowiemy się tego. Prędzej czy później. Zaoszczędzi nam pan pracy, jeśli spróbuje pan się z nami porozumieć.

Nikt mnie nie szuka. Nikt mnie nie zna. Próbuje.

Weszła pielęgniarka.

- Telefon do pana.

Policjant wstał i podszedł do drzwi. Zanim wyszedł, odwrócił się.

- Zaraz wracam.

Håkan skupił się teraz na tym, co naprawdę było ważne. W jakim kręgu on się znajdzie? Morderca dzieci. Siódmy krąg. Może raczej pierwszy. Tam, gdzie

trafiają ci, którzy grzeszyli w imię miłości. Sodomici mieli własny krąg. Rozsądnie byłoby, gdy ludzie byli sądzeni za swoje najgorsze przewinienia.

Znaczyłyby to, że jeśli ktoś dopuściłby się naprawdę ciężkiej zbrodni, to potem mógłby już właściwie grzeszyć do woli, jeśli ograniczyłby się do czynów, które karane były łagodniej. I tak przecież nie mogłoby spotkać go już nic gorszego. Podobna zasada odnosiła się chyba do morderców w Stanach, których skazywano nawet na trzysta lat więzienia.

Poszczególne kręgi wirowały mu w głowie. Jak diabelski młyn. Cerber ze swoim ogonem. Håkan przywoływał w pamięci przestępców, zgorzkniałe kobiety, ludzi, którzy dopuścili się grzechu pychy i teraz gotowali się w kotłach; przechadzał się wśród nich w piekielnym deszczu, poszukując swojego miejsca.

Jednego był całkowicie pewien. Na pewno nie trafi do najniższego z kręgów. Tego, gdzie Lucyfer pastwił się nad zamarniętymi w lodzie Judaszem i Brutusem. Kręgu zdrajców.

Drzwi znów się otworzyły, wydając charakterystyczny dziwny, ssący dźwięk. Policjant usiadł obok łóżka.

- No więc wygląda na to, że znaleźli jeszcze jednego, w wodzie przy brzegu, w Blackebegu. W każdym razie użyto tego samego rodzaju sznura.

Nie!

Håkan mimowolnie się poruszył, kiedy policjant wypowiedział słowo „Blackeberg”. Policjant pokiwał głową.

- Najwyraźniej słyszysz, co mówię. To dobrze. Możemy domniemywać, że mieszkałeś gdzieś w zachodniej części miasta. Gdzie? Räcksta? Vällingby? Blackeberg?

Przypomniał sobie, jak rozprawił się z mężczyzną w pobliżu szpitala. Zrobił to niechlujnie. Niedokładnie.

- W porządku. Zostawię cię teraz w spokoju. Zastanów się, czy chcesz z nami współpracować. Byłoby łatwiej. Prawda?

Policjant wstał i wyszedł. Wszła natomiast pielęgniarka, usiadła na krześle; miała go pilnować..

Håkan zaczął rzucać głową, to w jedną stronę, to w drugą. Jakby w proście. Wyciągnął rękę, usiłując wyrwać wąż respiratora. Pielęgniarka szybko podbiegła i chwyciła jego dłoń.

- Będziemy musieli cię przywiązać. Jeszcze raz, a cię przywiążemy. Rozumiesz? Nie chcesz żyć, twoja sprawa, ale dopóki tu jesteś, naszym zadaniem jest utrzymać cię przy życiu. Niezależnie od tego, czy coś zrobiłeś, czy nie. Rozumiesz? I wywiążemy się z naszego zadania, nawet jeśli będziemy musieli wsadzić cię w kaftan bezpieczeństwa. Słyszysz, co mówię? Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli będziesz współpracował.

Współpracował. Współpracował. Nagle wszyscy chcą współpracować. Ja nie jestem już człowiekiem. Jestem projektem. Boże. Eli. Eli, pomóż mi.

Oskar już na schodach usłyszał głos mamy. Rozmawiała z kimś przez telefon i była zła. Z mamą Jonny'ego? Zatrzymał się przed drzwiami i nasłuchiwał.

- Będą dzwonić do mnie i pytać, jaki błąd popełniłam... Tak będzie. I co mam odpowiedzieć? Że przykro mi, ale mój syn nie ma ojca... To choć raz to okaż... Nie, nie robisz tego... Uważam, że powinieneś z nim porozmawiać.

Oskar otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju. Mama powiedziała: „Właśnie przyszedł” i odwróciła się do Oskara.

- Dzwonili ze szkoły i... Zresztą porozmawiaj o tym z ojcem, bo ja... - Znów mówiła do słuchawki: - Daję ci go... Jestem spokojna... Łatwo ci mówić, kiedy siedzisz sobie gdzieś tam, daleko...

Oskar poszedł do swojego pokoju, położył się na łóżku i rękoma zasłonił sobie uszy.

Kiedy dotarł do szpitala, pomyślał najpierw, że ludzie, którzy biegali w tę i z powrotem, zachowywali się tak w związku z tym, co zrobił Jonny'emu. Ale okazało się, że nie. Dzisiaj po raz pierwszy w życiu zobaczył nieboszczyka.

Mama otworzyła drzwi do jego pokoju. Oskar odstłonił uszy.

- Tata chce z tobą rozmawiać.

Przyłożył słuchawkę do ucha i doszedł go daleki głos, który wymieniał nazwy latarni morskich, podając siłę i kierunek wiatru. Oskar czekał ze słuchawką przyciśniętą do ucha i nic nie mówił. Mama zmarszczyła brwi. Oskar zakrył słuchawkę dłonią i powiedział:

- Morski komunikat pogodowy.

Mama otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko westchnęła. Opuściła ręce i wyszła do kuchni. Oskar siedział na krześle w przedpokoju i razem z tatą słuchał prognozy.

Wiedział, że gdyby teraz się odezwał, przerwałby ojcu, a prognoza pogody była świętością. Zawsze kiedy odwiedzał ojca, o szesnastej czterdzieści pięć w domu zamierała wszelka działalność; ojciec siadał przy odbiorniku i patrzył przez okno, jakby chciał sprawdzić, czy to, co mówią w radiu, jest prawdą.

Od dawna nie wypływał już w morze, ale przyzwyczajenie pozostało.

„Obszar wokół Alma, wiatr zachodnio-północny, w ciągu nocy przechodzący w zachodni. Widoczność dobra; wody wokół Olandii wiatr północno-zachodni, w nocy przechodzący w szkwiał. Widoczność dobra”.

No, najważniejsze minęło.

- Cześć, tato.

- A, jesteś. W nocy może silnie wiać.

- Tak, słyszałem.

- Hm. Co u ciebie?

- Dobrze.

- Mama powiedziała mi o tej historii z Jonnym. Niedobrze.

- Tak. Wymiotował.

- To się zdarza. Harry, poznałeś go u mnie, dostał kiedyś w głowę ołowianym odważnikiem i wtedy... rzygał jak prosie.
- Wyzdrowiał?
- Tak... Umarł teraz, wiosną. Ale to nie miało nic wspólnego z tamtą historią. Wtedy bardzo szybko doszedł do siebie.
- Tak.
- Miejmy nadzieję, że ten chłopiec też szybko wyzdrowieje.
- Tak.

W radiu dalej opowiadano o pogodzie w innych rejonach kraju, w okolicach Bottenviken. Podczas pobytu u ojca siadywał czasem z atlasem na kolanach i wskazywał palcem wymieniane latarnie morskie. Był nawet taki moment, kiedy potrafił recytować z pamięci ich nazwy, ale teraz wszystko zapomniał. Ojciec odchrząknął.

- No więc rozmawialiśmy z mamą o tym, że... może przyjedziesz do mnie w weekend?
 - Mhm.
 - Pogadamy trochę o tej sprawie. ..i w ogóle.
 - W ten weekend?
 - Tak. Jeśli masz ochotę.
 - Dobrze. Tylko że jestem trochę... mogę przyjechać w sobotę?
 - Albo w piątek wieczorem.
 - Nie... w sobotę. Rano.
 - Dobrze. Wyjmę kaczkę z zamrażalnika.
- Oskar zbliżył usta do słuchawki i wyszeptał:

- Bez śrutu.

Tata się roześmiał.

Kiedy Oskar był u taty ubiegłej jesieni, złamał sobie ząb na śrucie, który utkwiał w mięsie jakiegoś ptaka. Mamie powiedział, że w ziemniakach był kamyk. Oskar uwielbiał dzikie ptactwo, ale mama uważała, że to „potwornie okrutne” strzelać do bezbronnych ptaków. Fakt, że złamał ząb na narzędziu zbrodni, mógł doprowadzić do zakazu spożywania dzikiego ptactwa.

- Dokładnie wszystko sprawdzę - powiedział tata.
- Motorower działa?
- Tak. A bo co?
- Nic. Tak tylko spytałem.
- Jest co prawda dużo śniegu, ale zrobimy sobie rundkę.
- Dobrze.
- Więc do soboty. Przyjedziesz autobusem o dziesiątej?
- Tak.
- Wyjadę po ciebie. Motorowerem. Samochód nie jest na chodzie.
- Jasne. Chcesz rozmawiać z mamą?
- Tak... nie... Powiedz jej, jak się umówiliśmy.

- No to na razie.
- Tak jest. Cześć.

Oskar odłożył słuchawkę. Siedział chwilę, próbując sobie wyobrazić, jak to będzie. Zrobią rundkę. Fajnie. Oskar przypnie mininarty i przywiąże do motoroweru sznur, taki z rączką z jednej strony. Będzie jeździć po miasteczku, prawie jak na nartach wodnych. I straci tylko jeden wieczór z Eli.

Poszedł do swojego pokoju, spakował dres i nóż, ponieważ przed spotkaniem z Eli nie zamierzał wracać do domu. Miał pewien plan. Stał w przedpokoju i wkładał kurtkę, kiedy mama wyszła z kuchni. Wytarła ubrudzone mąką ręce w fartuch i spytała:

- I co powiedział?
- Mam przyjechać w sobotę.
- Dobrze. A o tej sprawie?
- Spieszę się na trening.
- Nic nie powiedział?
- Powiedział, ale muszę już iść.
- Dokąd?
- Na basen.
- Na który basen?
- Ten przy szkole. Ten mały.
- Co będziesz tam robił?
- Trenował. Wrócę koło wpół do dziewiątej. Umówiłem się jeszcze

z Johanem.

Mama wyglądała na zmartwioną; nie wiedziała, co zrobić z ubrudzonymi mąką rękami, włożyła je do dużej kieszeni z przodu fartucha.

- Ach tak. Tylko uważaj. Nie poślizgnij się na brzegu basenu. Wzięłeś czapkę?

- Tak, tak.
- Włóż ją. Po kąpieli zawsze jest zimno, szczególnie jeśli ma się mokre włosy...

Oskar zrobił krok do przodu, pocałował mamę lekko w policzek, powiedział „no to cześć” i wyszedł. Kiedy wybiegł z klatki, zerknął na swoje okno. Mama nadal tam stała, trzymając ręce w dużej kieszeni fartucha. Oskar pomachał do niej. Mama powoli uniosła rękę i też pomachała.

Szedł i przez połowę drogi płakał.

Cała paczka zebrała się w klatce przed drzwiami Gösty. Lacke, Virginia, Morgan, Larry, Karlsson. Nikt nie miał odwagi zadzwonić, ponieważ wtedy na niego spadłoby przedłożenie całej sprawy. Już na schodach poczuli odór, który Gösta zawsze wokół siebie roztaczał. Uryna. Morgan dźgnął Karlssona w bok, mamrocząc coś niezrozumiałego. Karlsson odsunął nauszники, które nosił zamiast czapki, i spytał:

- Co?
- Może byś je zdjął? Wyglądasz jak krety.
- To ty tak uważasz.

Ale zdjął nauszniaki; schował je do kieszeni palta i powiedział:

- Ty to zrób, Larry. Ty go widziałeś.

Larry westchnął i nacisnął dzwonek. Wściekłe dzwonicie rozległo się po drugiej stronie drzwi; po chwili usłyszeli, jak coś miękkiego upada na podłogę. Larry odchrząknął. Nie podobało mu się to. Czuł się jak gliniarz, mając ich wszystkich za plecami; brakowało tylko wyciągniętych pistoletów. Zza drzwi doszło ich szuranie nogami; po chwili usłyszeli głos:

- No, staruszko, poradziłaś sobie?

Drzwi się otworzyły. Woń uryny uderzyła Larry'ego w twarz; musiał zaczerpnąć powietrza. Gösta stał w przedpokoju; miał na sobie zniszczoną koszulę, kamizelkę i muszkę. Na jego ręku siedział skulony kot.

- Tak?
- Witaj, Gösta, jak leci?

Mężczyzna patrzył na nich spłoszony. Był pijany.

- Jakoś leci.
- Przyszliśmy tu, bo... wiesz, co się stało?
- Nie.
- Znaleźli Jockego. Dzisiaj.
- No tak...
- No i teraz... wiesz...

Larry odwrócił głowę, szukając wsparcia wśród swojej delegacji. Jedyne Morgan zrobił zachęcający gest. Larry nie miał ochoty stać tu, jakby przyszedł przedłożyć ultimatum w imieniu jakiejś władzy. Mógł zrobić tylko jedno; wzdragał się przed tym, ale wreszcie spytał:

- Możemy wejść?

Spodziewał się protestu. Gösta nie przywykł do tego, że pięć osób przychodzi do niego w odwiedziny. Ale pokiwał tylko głową i cofnął się w głąb korytarza, żeby zrobić im miejsce.

Larry wahał się chwilę; zaduch w mieszkaniu był wręcz niewiarygodny; unosił się w powietrzu niczym lepka chmura. Kiedy tak stał i się zastanawiał, Lacke zdążył już wejść do mieszkania, a za nim Virginia. Lacke podrapał za uszami kota, którego Gösta trzymał na ręku.

- Ładny kotek. Jak się wabi?
- To ona. Tyzbe.
- Ładne imię. Masz może też Pirama?
- Nie.

Wchodzili po kolei przez drzwi, starając się oddychać ustami.

Po kilku minutach wszyscy zrezygnowali; powoli zaczęli się przyzwyczajać do panującego w mieszkaniu zaduchu. Koty zostały przepędzone z kana-

py i z foteli; z kuchni przyniesiono kilka krzeseł, wódkę, tonik i szklanki i po chwili rozmowy o niczym, o kotach i pogodzie, Gösta powiedział:

- Więc znaleźli Jockego.

Larry dopił grog. Z wódką w żołądku wszystko wydawało się nieco łatwiejsze. Nalał sobie jeszcze trochę i powiedział:

- Tak. Przy szpitalu. Zamarzył na lód.
- Na lód?

- Tak; istny cyrk tam dzisiaj urządzili. Poszedłem odwiedzić Herberta, nie wiem, czy go znasz, no i... Kiedy stamtąd wychodziłem, było pełno glin, stała karetka i w ogóle, a po chwili nadjechała straż pożarna...

- Paliło się?

- Nie, ale musieli wykuć go z tego lodu. To znaczy, wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to jest on, ale kiedy wyciągnęli ciało na brzeg, rozpoznałem go po ubraniu, bo jego twarz... była cała w lodzie, więc... ale ubranie...

Gösta zamachał ręką w powietrzu, jakby chciał poklepać jakiegoś dużego niewidzialnego psa.

- Zaraz, chwileczkę... on się utopił? Nic nie rozumiem.

Larry wziął kolejny łyk, otarł usta.

- Nie, chociaż gliny też tak myślały na początku. O ile dobrze zrozumiałem. Stali nad nim z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a ratownicy z karetki zajmowali się jakimś kolesiem, któremu z głowy leciała krew, więc...

Morgan zdjął kota, który siedział mu na kolanach, i otrzepał spodnie.

- To nie ma z tym nic wspólnego. Mów dalej, Larry.

- No więc wyciągnęli go na brzeg. I wtedy zobaczyłem, że to on. No i że ma przywiązane sznurki, tak. I jakieś kamienie. I wtedy gliny dostały przyspieszenia. Zaczęli gadać przez radio, wygradzać wszystko taką taśmą i odganiać ludzi. Nagle mieli wszystkim za złe. Powiedzieli, że został wrzucony do wody.

Gösta odchylił się do tyłu na kanapie, zakrył oczy dłonią. Virginia, która siedziała między nim a Lackem, pogładziła go po kolanie. Morgan dołał mu i powiedział:

- Najważniejsze, że go znaleźli, no nie? Chcesz toniku? Masz. Znaleźli go i teraz wiedzą, że został zamordowany. Więc sprawa robi się poważna.

Karlsson odchrząknął, po czym odezwał się władczym tonem:

- W szwedzkim prawie jest coś, co się nazywa...
- Zaniknij się - przerwał mu Morgan. - Można tu palić?

Gösta pokiwał potulnie głową. Morgan wyciągnął papierosy i zapalniczkę, a Lacke nachylił się do przodu i spojrzał mu w oczy.

- Gösta. Widziałeś, co się stało. Powinieneś się ujawnić.
- Ujawnić? Jak to?
- Pójść na policję i powiedzieć im, co widziałeś; po prostu.

- Nie... nie.

W pokoju zrobiło się cicho.

Lacke westchnął, nalał sobie pół szklaneczki wódki, dodał trochę toniku; wypił duży łyk i zamknął oczy. Piekąca chmura wypełniła mu żołądek. Nie zamierzał nikogo zmuszać.

Karlsson jeszcze u Chińczyka wspominał coś o obowiązku zeznawania i odpowiedzialności za dowody, ale chociaż Lacke bardzo pragnął, żeby ten, kto to zrobił, trafił za kratki, nie zamierzał nasyłać gliniarzy na kumpla jak jakiś donosiciel.

Szarobury kot ocierał się łebkiem o jego goleń. Wziął go na kolana i zaczął głaskać po grzbiecie. Co to ma za znaczenie? Jocke nie żył; teraz wiedział to już na pewno. Wszystko inne było nieważne.

Morgan wstał i ze szklaneczką w ręku podszedł do okna.

- Tutaj stałeś? Kiedy to zobaczyłeś?

- ...tak...

Morgan pokiwał głową, popijał grog.

- Tak, rozumiem. Wszystko widać. Świetnie mieszkasz. Świetny widok. No może tylko ten... Naprawdę świetny widok.

Po policzku Lackego spłynęła łza. Virginia chwyciła jego rękę i uściśnęła. Lacke wziął kolejny łyk, żeby wypalić ból rozrywający mu pierś.

Larry, który przez jakiś czas siedział i przyglądał się kotom, które przechadzały się po pokoju, zaczął bębnić palcami w szklanke.

- A gdyby tak podrzucić im informację? - spytał. - Podać miejsce zbrodni. Może znajdą jakieś odciski palców czy... co tam można znaleźć.

Karlsson się roześmiał.

- A jak wytłumaczymy, skąd mamy tę informację? Że niby po prostu wiemy i już? Na pewno będą ciekawi, skąd my o tym wiemy.

- Można zadzwonić anonimowo. Chodzi o to, żeby im powiedzieć.

Gösta wymamrotał coś; nadal siedział na kanapie. Virginia nachyliła się do niego.

- Co powiedziałaś?

Gösta mówił bardzo, bardzo cicho; patrzył na szklanke.

- Wybaczcie mi. Ale za bardzo się boję. Nie jestem w stanie.

Morgan odwrócił się do okna, podniósł rękę.

- No to trudno. Nie ma o czym mówić - powiedział i spojrzął surowo na Karlssona. - Będziemy musieli coś wymyślić. Załatwić to inaczej. Narysować, zadzwonić, nie wiem. Coś wymyślimy.

Podszedł do Gösty, dotknął swoją stopą jego stopy.

- Wiesz co, nie martw się. Jakoś sobie poradzimy. Spokojnie. Słyszysz, co mówię? Załatwimy to. Zdrówko!

Uniósł szklanke, stuknął się z Göstą i znów wypił łyk.

- Jakoś to załatwimy, prawda?

Po wyjściu z basenu oddzielił się od reszty i ruszył w stronę domu. Nagle usłyszał jej głos, dochodzący od strony szkoły.

- Pssst! Oskar!

Kroki na schodach i Eli wyszła z cienia. Siedziała i czekała na niego. Pewnie usłyszała, że powiedział im cześć, a oni mu odpowiedzieli, jakby był kimś zupełnie normalnym.

Trening był udany. Wcale nie był taki słaby, jak mu się zdawało, nawet był stanie wytrzymać więcej niż chłopcy, którzy przychodzili tu już od jakiegoś czasu. Niesłusznie też bał się, że nauczyciel zacznie wypytywać go o to, co wczoraj zdarzyło się na lodzie. Spytał tylko: „Chcesz o tym porozmawiać?”, a kiedy Oskar pokręcił głową, więcej do tego nie wracał.

Basen to był inny świat, całkowicie oddzielony od szkoły. Nauczyciel nie był tak surowy, a pozostali chłopcy zostawili go w spokoju. Co prawda nie był to Mickego. Czyżby Micke teraz się go bał? - zaświtało mu nagle w głowie.

Wyszedł Eli na spotkanie.

- Cześć.

- Cze...

Nawet chyba nie zauważyli, że ona przejęła jego, a on jej pozdrowienie. Eli miała na sobie zdecydowanie za dużą koszulę w kratę i znów wyglądała, jakby... się skurczyła. Miała suchą skórę, wychudzoną twarz. Oskar już wczoraj wieczorem zauważył u niej siwe pasma włosów, teraz było ich jeszcze więcej.

Kiedy była zdrowa, wydawała się Oskarowi najfajniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział... a teraz nie wiedział, z kim mógłby ją porównać. Nikt tak nie wyglądał. Krasnoludki. Ale krasnoludki nie były takie chude, więc... nie było żadnego porównania. Był jej wdzięczny, że nie pojawiła się, kiedy był z resztą chłopaków.

- Jak leci? - spytał.

- Tak sobie.

- Pójdziemy gdzieś?

- Jasne.

Ruszyli w stronę podwórka; szli obok siebie. Oskar miał plan. Zawrą pakt. Wtedy Eli wyzdrowieje. To był taki magiczny pomysł, który przyszedł mu do głowy pod wpływem przeczytanych książek. Magia... Oczywiście, że magia istniała. Nawet jeśli tylko w niewielkim stopniu. Ci, którzy jej się wypierali, źle na tym wychodzili.

Weszli na podwórze. Eli dotknęła jego ramienia.

- Sprawdzimy śmietniki?

- Okej.

Weszli do klatki Eli i Oskar otworzył drzwi do piwnicy.

- Masz klucz do piwnicy? - spytał.

- Chyba nie.

W piwnicznym korytarzu było ciemno. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z hałasem. Stali cicho obok siebie, oddychali. Oskar wyszeptał:

- Eli, wiesz, że... Jonny i Micke próbowali wrzucić mnie do wody. Do przerębla.

- Nonie! A ty...

- Zaczekaj; wiesz, co zrobiłem? Wziąłem gałąź, taki gruby kij. Uderzyłem nim Jonny'ego w głowę, aż zaczęła mu lecieć krew. Ma wstrząśnienie mózgu, zabrali go do szpitala. Nie dałem się im... uderzyłem go.

Przez kilka sekund panowało milczenie. Potem odezwała się Eli.

- Oskarze.

- Tak?

- Hura!

Oskar sięgnął do włącznika, chciał zobaczyć jej twarz. Włączył światło. Eli patrzyła mu prosto w oczy; widział jej źrenice. Przez kilka sekund, zanim się przyzwyczaiły do światła, wyglądały jak te kryształki, które oglądali na fizyce. Podobnie jak one miały kształt elipsy.

Jak u jaszczurek. Nie. U kotów. U kotów.

Eli zamrugała. Jej źrenice znów wyglądały normalnie.

- Co się stało?

- Nic. Chodź...

Oskar poszedł do pomieszczenia, gdzie stały kontenery, i otworzył drzwi. Worek był prawie pełen, kontener najwyraźniej nie był od jakiegoś czasu opróżniany. Eli precyzyjnie się obok niego; zaczęli szperać w śmieciach. Oskar znalazł torbę z pustymi butelkami, które można było oddać w sklepie, Eli plastikowy miecz. Zamachnęła się nim i powiedziała:

- Przeszukamy pozostałe?

- Nie, Tommy i jego kumple mogą tu gdzieś być.

- Co to za jedni?

- Kilku starszych chłopaków, którzy urządzili sobie jedną z piwnic i... przesiadują tam wieczorami.

- Dużo ich jest?

- Nie, trzech. Najczęściej przychodzi sam Tommy.

- Są niebezpieczni?

Oskar wzruszył ramionami.

- Chodź, sprawdzimy.

Wyszli razem klatką Oskara, weszli do kolejnego piwnicznego korytarza i przeszli do klatki Tommy'ego. Oskar trzymał klucze w ręku; szykował się otworzyć ostatnie drzwi. Nagle się zawahał.. A jeśli oni tam są? Jeśli zobaczą Eli? Jeśli... jeśli znajdzie się w sytuacji, w której nie będzie sobie potrafił poradzić? Eli podniosła plastikowy miecz.

- O co chodzi?

- O nic.

Otworzył. Weszli do korytarza i od razu usłyszał muzykę dochodzącą ze składowiska. Odwrócił się do Eli i wyszeptał:

- Są tam.

Eli się zatrzymała i zaczęła... węszyć.

- Co tu tak pachnie?

Oskar sprawdził, że w korytarzu nikt nie stoi; wciągnął powietrze. Nie czuł nic, zwykły zapach piwnicy.

- Farby. Klej - rzuciła Eli.

Oskar znów pociągnął nosem. Nic nie czuł, chociaż wiedział, co tam się działo. Kiedy odwrócił się do niej, żeby ją stąd wyprowadzić, zobaczył, że Eli stoi i majstruje przy zamku.

- Chodź. Co ty robisz?

- Ja tylko...

Kiedy Oskar otworzył drzwi do następnego korytarza, poprzednie zatrzasnęły się za nimi. Ale jakoś dziwnie. Nie słychać było stuknięcia, tylko metaliczny dźwięk. W drodze powrotnej do swojej piwnicy opowiedział Eli o kleju i o tym, jak chłopcy dziwnie się zachowywali, kiedy już się nawąchali.

U siebie w piwnicy czuł się bezpieczny. Ukłękł i zaczął liczyć butelki w plastikowej reklamówce. Czternaście po piwie i jedna po wódce, bez kaucji.

Kiedy odwrócił się, żeby powiedzieć o tym Eli, zobaczył, że stoi przed nim z uniesionym mieczem. Przywykł do spadających na niego nieoczekiwanych razów, cofnął się nieco. Eli coś wymamrotała i opuściła miecz na jego ramię, po czym odezwała się najgłębszym głosem, jaki potrafiła z siebie wydobyć:

- Pasuję cię, pogromco Jonny'ego, na rycerza z Blackebergu i okolic, takich jak Vällingby... mhm...

- Räcksta.

- Räcksta.

- Może też Ängby?

- Być Może Ängby.

Przy każdej nowej nazwie Eli uderzała go lekko mieczem w ramię. Oskar wyjął z torby nóż, uniósł do góry i oświadczył, że jest rycerzem Być Może Ängby. Ch

Lecz Eli była strasznym potworem; pożerała dziewice na śniadanie i to z nią przyszło mu walczyć. Podczas potyczki Oskar nie wyjął noża z pochwy; walczyli ze sobą wręcz, krzyczeli, biegali. W trakcie zabawy usłyszeli, że ktoś przekręca klucz w zamku.

Szybko schowali się w jednym z boksów; ledwie się zmieścili, dotykali się biodrami; oddychali głęboko. Cicho. Usłyszeli męski głos.

- Co wy tu robicie?

Oskar siedział przytulony do Eli. Serce waliło mu w piersi. Mężczyzna zrobił kilka kroków.

- Gdzie jesteście?

Oskar i Eli wstrzymali oddech, kiedy nieznajomy się zatrzymał i zaczął nasłuchiwać.

- Cholerne dzieciaki - rzucił i odszedł.

Oskar i Eli zostali w boksie. Wyszli dopiero, kiedy się upewnili, że mężczyzna zniknął. Oparli się o drewnianą ścianę i zaczęli chichotać. Po chwili Eli położyła się na cementowej podłodze. Patrzyła w sufit. Oskar dotknął jej stopy.

- Jesteś zmęczona?

- Tak.

Oskar wyciągnął nóż z pochwy i zaczął mu się przyglądać. Był ciężki, ładny. Ostrożnie dotknął palcem ostrza. Cofnął palec. Została na nim mała czerwona kropka. Znow dotknął ostrza, mocniej. Kiedy cofnął palec, pokazał się na nim czerwony koralik krwi. To robiło się jakoś inaczej.

- Eli? Zrobisz coś?

Eli nadal patrzyła w sufit.

- Co?

- Zawrzesz ze mną... pakt?

- Tak.

Gdyby spytała „Jak to?”, może by się zastanowił, jak to sobie wyobrażał. Ale ona powiedziała po prostu „tak”. Zgodziła się, cokolwiek to znaczyło. Oskar przełknął ślinę, chwycił ostrze, położył nóż na dłoni, zamknął oczy i pociągnął. Ostry, piekący ból. Aż zabrakło mu powietrza.

Zdobyłem się na to?

Otworzył oczy, otworzył dłoń. Tak. Na jego dłoni widniało cienkie cięcie. Powoli zaczęła pokazywać się krew, nie strużka krwi, jak się spodziewał, tylko drobne koraliki krwi, które zlewały się, tworząc grubszy, nierówny strumień. Oskar przyglądał się temu zafascynowany.

Eli uniosła głowę.

- Co ty robisz?

Oskar nadal trzymał dłoń przy twarzy, przyglądał się jej i powiedział:

- To takie proste. Eli, to wcale nie było...

Wyciągnął do niej zakrwawioną dłoń. Jej oczy zrobiły się duże. Zaczęła gwałtownie kręcić głową i cofać się, byle dalej od jego dłoni.

- Nie, Oskarze...

- Co się stało?

- Oskarze, nie.

- To prawie w ogóle nie boli.

Eli przestała się cofać, patrzyła na jego dłoń. Nadal kręciła głową. W drugiej ręce Oskar trzymał nóż; wyciągnął go w jej stronę, tak żeby mogła chwycić rekojeść.

- Wystarczy, że ukłujesz się w palec. Zmieszamy krew. Zawrzesz pakt.

Eli nie wzięła noża. Oskar położył go na podłodze między nimi, żeby zdrową ręką złapać kroplę krwi, która skapnęła z rany.

- No chodź. Nie chcesz?

- To... niemożliwe. Zarazisz się...

- To w ogóle nie boli, to...

Twarzą Eli jakby zawładnął duch; zniekształcił ją tak, że nie przypominała już twarzy dziewczynki, którą znał. Oskar zapomniał, że miał złapać kroplę krwi, która teraz skapnęła na podłogę. Eli wyglądała jak potwór, w którego przed chwilą się bawili. Oskar wzdrygnął się, ręka bolała go coraz bardziej.

- Eli, co...

Eli usiadła i podwinęła nogi. Po chwili stanęła na czworakach i, wpatrzona w jego krwawiącą rękę, zrobiła krok do przodu. Zatrzymała się, zagryzła zęby i wyszczała:

- Odejdź stąd!

Łzy strachu pojawiły się w oczach Oskara.

- Eli, przestań. Już się nie bawimy. Przestań.

Eli podpełzła bliżej i znow się zatrzymała. Zmusiła swoje ciało, żeby się wygięło tak, że opuściła głowę.

- Idź! Inaczej umrzesz! - krzyknęła.

Oskar wstał, cofnął się kilka kroków. Wszedł w torbę z butelkami, które upadły i narobiły hałasu. Przywarł do ściany. Eli zaczęła pełzać, powoli zbliżała się do maleńkiej kropli krwi, która skapnęła z jego dłoni.

Kolejna butelka się przewróciła i rozbiła, uderzając o cementową podłogę. Oskar stał wciśnięty w ścianę, patrząc, jak Eli wyciąga język i liże brudny cement w miejscu, gdzie spadła kropla jego krwi.

Jakaś butelka się zachwiała, ale się nie przewróciła. Eli nie przestawała lizać podłogi. Kiedy uniosła głowę, na jej policzku był szary ślad brudu.

- Idź... proszę... idź...

Potem duch znow zawładnął jej twarzą, ale wtedy Oskar biegł już korytarzem; po chwili otworzył drzwi do swojej klatki i zniknął.

Zaciskał skaleczoną rękę. Znow pojawiła się na niej krew. Otworzył dłoń, spojrzał na ranę. Była głębsza, niż sądził, ale niegroźna. Krew już zaczynała krzepnąć.

Spojrzał na jasną plamę na podłodze. Z pewnym wahaniem zaczął lizać krew na swojej dłoni, wypłuł ją.

Nocne światło.

Jutro rano zoperują mu usta i szyję. Pewnie mają nadzieję, że im się uda. Język był na swoim miejscu, mógł nim poruszać w zamkniętej jamie ustnej, nawet dotykał nim górnego podniebienia. Być może będzie znow mógł mówić, nawet jeśli nie miał warg. Tyle że nie zamierzał mówić.

Kobieta, nie wiedział, czy to była policjantka, czy pielęgniarka, siedziała w rogu, kilka metrów od niego, i czytała książkę. Pilnowała go.

Angażują takie siły w przypadku pierwszego lepszego, kto uzna swoje życie za skończone?

Zrozumiał, że jest dla nich cenny, że wiele po nim oczekiwali. Pewnie siedzieli teraz, wertując dokumenty dawnych spraw, które mieli nadzieję rozwiązać przy jego pomocy. Po południu był u niego policjant, wziął jego odciski palców. A on nie stawiał oporu. To nie miało żadnego znaczenia.

Odciski palców pozwolą im zapewne powiązać go z morderstwami zarówno w Vaxjö, jak i w Norrköpingu. Próbował sobie przypomnieć, jaki przebieg miały tamtejsze zdarzenia, czy zostawił tam odciski palców, czy jakieś inne ślady. Zapewne tak.

Jedynie, co go niepokoiło, to że w ten sposób ludzie będą mogli dotrzeć do Eli.

Ludzie...

Wrzucali mu kartki do skrzynki, grozili.

Ktoś, kto pracował na poczcie i mieszkał w dzielnicy domków jednorodzinnych, poinformował pozostałych sąsiadów o przychodzącej do niego poczcie, o tym, jakie filmy odbierał.

Po niespełna miesiącu dostał wypowiedzenie ze szkoły. Nie można pozwolić, żeby ktoś taki zajmował się dziećmi. Odszedł bez sprzeciwu, chociaż pewnie mógłby zaskarżyć tę decyzję do związków.

Przecież w szkole nic nie robił; tak głupi nie był.

Później kampania przeciwko niemu przybrała na sile, aż pewnej nocy ktoś wrzucił mu przez okno do dużego pokoju butelkę z benzyną. Uciekł w samych kałesonach, stał w ogródku i patrzył, jak płonie całe jego życie.

Dochodzenie się przeciągało, z tego powodu towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaciło mu odszkodowania. Podjął więc swoje oszczędności i wyjechał, wynajął pokój w Vaxjö. I tam zaczął pracować nad swoją śmiercią.

Zaczął pić, do tego stopnia, że gotów był pić wszystko. Rozpuszczalnik, denaturat. Kradł tanie wino, drożdże; wypijał, zanim napój zdążył sfermentować.

Starał się jak najwięcej przebywać poza domem; w pewnym sensie chciał chyba, żeby ludzie widzieli, jak dzień po dniu umiera.

Kiedy był pijany, robił się nieostrożny; zaczepiał młodych chłopców, raz nawet został pobity i wyładował na policji. Trzy dni spędził w areszcie, wypływając z siebie flaki. Puszczono go. Dalej pił.

Pewnego wieczoru, kiedy Håkan siedział na ławce w parku obok placu zabaw z flaszką taniego wina w reklamówce, nadeszła Eli i usiadła obok niego. Pijany, niemal odruchowo położył rękę na jej udzie. Eli pozwoliła mu na to; wzięła jego głowę w swoje ręce, odwróciła do siebie i powiedziała:

- Będziesz ze mną.

Håkan wymamrotał, że obecnie nie stać go na taką piękność, ale gdy tylko finanse mu pozwolą...

Eli zdjęła jego dłoń ze swojego uda, schyliła się i sięgnęła po flaszkę w reklamówce. Wylała wino i powiedziała:

- Nic nie rozumiesz. Posłuchaj. Musisz przestać pić. Masz być ze mną. Musisz mi pomóc. Jesteś mi potrzebny. Pomogę ci.

Potem wyciągnęła do niego rękę, a Håkan ją wziął i odeszli razem.

Przestał pić i przyjął służbę u Eli.

Eli dała mu pieniądze, żeby kupił sobie coś do ubrania i wynajął inne mieszkanie. Wykonał jej polecenia, nie zastanawiając się, czy Eli jest „zła”, czy „dobra”, czy jeszcze jakaś inna. Eli była piękna i Eli zwróciła Hakanowi godność. Czasami dawała mu też... czułość.

Zaszeleściły kartki książki, którą czytała jego strażniczka. Pewnie jakiś romans. W państwie Platona „strażnikami” mieli być ci, którzy byli najlepiej wykształceni. Ale to była Szwecja 1981 roku, a autorem powieści był zapewne Jan Guillou.

Mężczyzna w wodzie; wrzucił go do wody. Zrobił to oczywiście niezdarnie. Powinien był postąpić tak, jak radziła mu Eli. Zakopać go. Nic nie powinno ich naprowadzić na ślad Eli. Szrama na szyi może wydać się dziwna, ale pewnie uznają, że krew wymieszała się z wodą. Ubranie mężczyzny było...

Sweter!

Golf Eli, który Håkan znalazł na ciele mężczyzny. Powinien wziąć go do domu i spalić.

A on włożył go za połę kurtki mężczyzny.

Jak to wytłumaczyć? Dziecięcy golfik, poplamiony krwią. Czy istniało ryzyko, że ktoś widział w nim Eli? I teraz go rozpozna? Jeśli na przykład zamieszczą zdjęcie swetra w gazecie? Ktoś, kogo Eli wcześniej spotkała, ktoś, kto...

Oskar. Chłopiec z podwórka.

Ciało Håkana zaczęło się niespokojnie poruszać. Strażniczka odłożyła książkę, spojrzała na niego.

- Żadnych głupstw.

Eli przeszła przez Björnsonsgatan i weszła na podwórko między dwoma dziewięciopiętrowymi blokami, monolitycznymi wieżami, górującymi nad pobliskimi trzypiętrowymi domami. Na podwórku było pusto, ale z okna salki gimnastycznej padało światło, Eli wspięła się po schodach pożarowych i zająrzała do środka.

Ktoś włączył mały magnetofon, grała muzyka. Kobiety w średnim wieku podskakiwały w jej takt, aż podłoga się trzęsła. Eli skuliła się pod metalową balustradą schodów, oparła brodę o kolana i przyglądała się im.

Wiele kobiet miało nadwagę, ich potężne piersi podskakiwały pod koszulkami jak kule bowlingowe. Kobiety skakały, podrygiwały, podnosiły nogi, aż trzęsły się im uda w zbyt obcisłych trykotach. Ustawiły się w kółku i chwyciły za ręce; znów zaczęły podskakiwać. Muzyka grała dalej. Gorąca, nasycona tlenem krew krążyła w ich mięśniach.

Tyle że było ich za dużo.

Eli zeskoczyła ze schodów, wylądowała miękko na zmarzniętej ziemi, obezła salę gimnastyczną i zatrzymała się przed basenem.

Kapać się. Chłapać się. Bawić się.

Eli kiwała się jak czarne wahadło. Patrzyła na piłki, widziała, jak fruwać w powietrzu; słyszała śmiechy, krzyki i plusk rozbryzgującej się wody. Spuściła się z dachu; upadła, specjalnie tak mocno, żeby poczuła ból. Przeszła przez szkolne boisko, kierując się w stronę parkowej alejki; zatrzymała się obok dużego drzewa przy drodze. Było ciemno. Żadnych ludzi. Zerknęła na koronę drzewa. Pięć, sześć metrów gładkiego pnia. Zdjęła buty. Wyobraziła sobie inne dłonie, inne stopy.

Nawet nie czuła bólu, jedynie dreszcz, jakby jej palce przeszył prąd, kiedy zrobiły się mniejsze i zaczęły się przekształcać. Kości nieco trzeszczały; zaczęły rosnać, przebijając skórę palców i zamieniając się w długie zagięte szpony na dłoniach i na stopach.

Eli szybko wdrapywała się coraz wyżej, dotarła do grubej gałęzi, wiszącej nad ścieżką. Zawisała na niej, chwytając się jej nogami. Zastygła bez ruchu.

Pomyślała, że powinna mieć ostrzejsze kły, i jej zęby przeszył ból. Korony jej zębów lekko się wybrzuszyły; zrobiły się ostre, jakby ktoś przeciągnął po nich pilnikiem. Eli ostrożnie ugryzła się w dolną wargę; poczuła, jak szereg igiełek nakłuwają jej usta, zostawiając na nich ślad w kształcie półksiężyca.

Pozostawało jej tylko czekać.

Zbliżała się dziesiąta i temperatura w pokoju stawała się nie do wytrzymania. Opróżnili już dwie butelki gorzałki, kolejna została wyjęta; wszyscy byli zgodni, że Gösta to swój chłop; zasłużył sobie na to.

Tylko Virginia piła ostrożnie. Następnego dnia szła do pracy i musiała wcześniej wstać. I chyba też jej jednej dokuczał zaduch w mieszkaniu. Wcześniejsza woń kocich sików i zatęchłego powietrza wymieszała się teraz z dymem papierosowym, odorem spirytusu i wonią sześciu spoconych ciał.

Lacke i Gösta siedzieli obok niej na kanapie i pokładali się ze śmiechu. Gösta bawił się z kotem, którego trzymał na kolanach; zwierzę miało zeza i doprowadzało Morgana do paroksyzmów śmiechu, aż uderzył głową o stół i znów musiał się napić, żeby uśmierzyć ból.

Lacke prawie się nie odzywał. Siedział i głównie patrzył przed siebie; oczy zaszyły mu mgłą, a potem pojawiło się na nich coś w rodzaju błony. Od czasu do czasu poruszał ustami, nie wydając jednak żadnego dźwięku, jakby rozmawiał z duchem.

Virginia wstała, podeszła do okna.

- Mogę otworzyć?

Gösta pokręcił głową.

- Koty... mogłyby... wyskoczyć.

- Będę tu stała i pilnowała.

Gösta nadal kręcił głową, automatycznie. Virginia otworzyła okno. Powietrze! Chciwie wciągnęła do płuc czyste powietrze i natychmiast poczuła się lepiej. Lacke, któremu zabrakło wsparcia Virginii, zaczął się coraz bardziej osuwać na kanapę; nagle jednak się wyprostował i powiedział:

- Przyjacieli! Prawdziwy... przyjaciel!

Rozległy się zgodne głosy. Wszyscy rozumieli, że myśli o Jockem. Lacke przyglądał się pustej szklance w swojej dłoni. Po chwili znów powiedział:

- Mieć przyjaciela... który nigdy nie zawiedzie. To warte jest wszystkiego. Słyszycie? Wszystkiego! Chyba rozumiecie, że ja i Jocke... że z nami było właśnie... tak!

Ścisnął mocno rękę, potrząsnął nią przed swoją twarzą.

- Tego nic nie zastąpi. Nic! Więc nie mówcie mi o stracie, nie mówcie mi o...

Virginia stała przy oknie i słuchała. Podeszła do niego, chcąc przypomnieć mu o swoim istnieniu. Ukucnęła obok jego kolan, próbowała złapać jego wzrok. Wreszcie powiedziała:

- Lacke...

- Nie! Nie zaczynaj, nie chcę tego słuchać... Lacke, Lacke... tak to jest! Ty tego nie rozumiesz. Jesteś... zimna. Jedziesz do miasta, podrywasz kierownicę tira czy tam kogo, zabierasz go do domu i dajesz mu się bzyknąć, kiedy jest ci trudno. Ale przyjaciel... przyjaciel...

Virginia podniosła się, miała łzy w oczach; dała mu w twarz i wybiegła z mieszkania. Lacke upadł na kanapę, uderzył Göstę w ramię. Ten wymamrotał tylko:

- Okno, okno...

Morgan zaniknął okno.

- Tak jest, Lacke - powiedział. - Dobrze zrobiłeś. Pewnie więcej jej już nie zobaczysz.

Lacke podniósł się i na chwiejnych nogach ruszył do Morgana, który stał i wyglądał przez okno.

- Do diabła, ja przecież nie chciałem...

- Jej to powiedz. Nie mnie.

Morgan skinął głową; Virginia właśnie wychodziła z klatki; szybkim krokiem, ze spuszczoneym wzrokiem ruszyła do parku. Lacke pamiętał, co jej powiedział. Ostatnie słowa dudniły mu w głowie niczym echo. Tak powiedziałem? Odwrócił się i podszedł do drzwi.

- Muszę tylko...

Morgan pokiwał głową.

- Nie marudź. Pozdrów ją ode mnie.

Lacke biegł po schodach tak szybko, jak tylko był w stanie na chwiejnych nogach. Stopnie z nakrapianego betonu tańczyły mu przed oczami, a poręcz aż piekła go w dłoń, tak tarł o nią rękami. Na którymś podeście pośliznął się i zbił sobie łokieć. Poczł gorąco w całym ręku; chwilę stał jak sparalizowany. Pozbierał się i znów ruszył w dół. Biegł na pomoc, ratować życie. Swoje własne.

Virginia zostawiła w tyle wieżowce, weszła do parku; nawet się nie odwróciła.

Wstrząsał ją szloch; biegła, jakby chciała uciec od swoich łez. Ale one nie przestawały lecieć, wciskały się jej do oczu, spływały po policzkach. Obcaso rozbryzgiwały śnieg, uderzając o asfaltową nawierzchnię ścieżki; objęła się rękami. Mocno.

W zasięgu wzroku nie było żywej duszy, pozwoliła łzom płynąć. Szła do domu. Przycisnęła ręce do brzucha; ból był niczym złośliwy pług.

Dopusz do siebie człowieka, a na pewno cię skrzywdzi.

Nie bez powodu jej związki były krótkotrwałe. Nikogo do siebie nie dopuszczaj. Wtedy nikt cię nie zrani. Sama się pocieszaj. Ze strachem można żyć, dopóki dotyczy wyłącznie ciebie. Tak długo jak nie ma nadziei.

Jeśli chodzi o Lackego, to miała nadzieję. Że powoli coś zacznie się rozwijać. I w końcu. Pewnego dnia. Co? Przyjmował jej jedzenie, jej ciepło, ale tak naprawdę nic dla niego nie znaczyła.

Szła skulona parkową alejką, pogrążona w smutku. Zgarbiona. Miała wrażenie, że był w niej jakiś demon, który szeptał jej do ucha okropne rzeczy.

Nigdy więcej. Nic.

Zaczęła sobie wyobrażać, jak on mógł wyglądać, i wtedy coś na nią spadło.

Coś bardzo ciężkiego wylądowało jej na plecach i upadła na bok. Dotknęła policzkiem śniegu, a łyzy w jej oczach zamieniły się w łód. Ciężar nadal ją przygniatał.

Przez chwilę myślała, że demon smutku naprawdę się ucieleśnił i rzucił się na nią. Potem poczuła straszliwy ból na szyi; ostre zęby przecięły skórę. Udało się jej stanąć na nogi; odwróciła się, próbując pozbyć się tego, co uczepliło się jej pleców.

Miała wrażenie, że ktoś gryzie ją w kark, na piersiach poczuła strużkę krwi. Wzrasnęła, usiłując zrzucić z pleców to zwierzę. Cały czas krzyczała. Upadła.

Wtedy coś ciężkiego zaległo jej na ustach. Dłoni.

Czuła na policzku pazur, który wbijał się w jej miękką skórę... głęboko, aż do samej kości policzkowej.

Coś przestało ją gryźć i usłyszała dźwięk, jakby ktoś wysysał przez słomkę ostatnie resztki płynu. Jakaś ciecz zalała jej oczy, nie wiedziała, czy były to łzy, czy krew.

Kiedy Lacke wyszedł z wieżowca, Virginia była jedynie ciemnym kształtem, sunącym parkową alejką w stronę Arvid Mórnes Vag. Zbiegł po schodach i teraz czuł w piersi ból, a łokieć rwał go aż do ramienia. A mimo to biegł. Tak szybko, jak potrafił. W chłodnym powietrzu zaczął trzeźwiej myśleć; strach przed stratą pchał go do przodu.

Kiedy dotarł do miejsca, gdzie alejka skręcała, w którym „droga Jockego”, jak ją nazwał, krzyżowała się z „drogą Virginii”, zatrzymał się. Nabrał powietrza do płuc, najwięcej, ile mógł, żeby zawołać jej imię. Szła alejką zaledwie pięćdziesiąt metrów przed nim, pod drzewami.

Właśnie miał krzyknąć, kiedy zobaczył, jak z drzewa nad Virginią osuwa się jakiś cień; spada na nią i ją przewraca. Krzyk zamienił się w szept, ruszył biegiem w jej stronę. Chciał ją zawołać, ale nie starczyło mu tchu, żeby i biec, i krzyżeć.

Biegł.

Na jego oczach Virginia wstała z pakunkiem na plecach. Zaczęła się obracać jak jakiś szalony garbus i znów upadła.

Nie miał żadnego planu, żadnego pomysłu. Nic poza jednym: dobiec do Virginii i zdjąć jej to coś z pleców. Leżała w śniegu tuż obok alejki z tą ciemną masą pełzającą po jej ciele.

Podbiegł do niej i z całej siły zamierzył się, żeby kopnąć to coś ciemnego na jej plecach. Jego stopa dotknęła czegoś twardego; usłyszał trzask, jakby pękł lód. Czarne odpadło z pleców Virginii, wylądowało w śniegu obok niej.

Virginia leżała cicho, na śniegu były ciemne plamy. Ciemne usiadło.

Dziecko.

Lacke stał i patrzył na przepiękną twarz małego dziecka, okoloną welonem czarnych włosów. Ogromne ciemne oczy przyglądały się mu.

Dziecko stało na czworakach, jak kot gotowy do skoku. Nagle jego twarz się zmieniła; wargi się uniosły i Lacke zobaczył dwa rzędy ostrych zębów świecących w mroku.

Słyszał jego szybki oddech. Dziecko nadal stało na czworakach; Lacke zauważył, że zamiast palców ma szpony, które wyraźnie odcinały się na śniegu.

Twarc dziecka przeszył grymas bólu; wstało i długimi, szybkimi krokami zaczęło biec w stronę szkoły. Po kilku sekundach skrył je cień i zniknęło.

Lacke stał i mrugał, broniąc się przed potem, który spływał mu z czoła. Potem rzucił się na ziemię, do Virginii. Zobaczył ranę. Cały kark miała rozorany, czarne strugi spływały jej po plecach, po włosach. Zdarł z siebie kurtkę, zdjął sweter, który miał pod spodem, zwinął rękaw w kulę i zatkał nią ranę.

- Virginia! Virginia! Moja kochana...

Wreszcie potrafił wyrzucić z siebie te słowa.

SOBOTA

7 LISTOPADA

W DRODZE DO TATY. Zna każdy zakręt drogi; jechał tędy już... ile razy? Sam może z dziesięć albo dwanaście; razem z mamą trzydzieści, co najmniej. Mama i tata rozwiedli się, kiedy skończył cztery latka, ale mama i Oskar nadal odwiedzali ojca w święta i podczas ferii.

Od trzech lat wolno mu było podróżować autobusem samemu. Tym razem mama nawet nie odprowadziła go do budynku Politechniki, skąd odjeżdżały autobusy. Był już dużym chłopcem; w portfelu miał bilet do metra.

Portfel służył mu właściwie głównie do przechowywania biletów; tym razem miał w nim jednak także dwadzieścia koron na słodycze i inne drobiazgi; i karteczki, które dostał od Eli.

Oskar zaczął skubać plaster na dłoni. Nie chciał jej już więcej widzieć. Była obrzydliwa. To, co się wydarzyło w piwnicy, było...

Pokazała swoją prawdziwą twarz.

Było w niej coś... przerażającego. Coś, na co należało uważać. Jak na stro-
me zbocze, ogień, kawałki szkła w trawie, węże. Mama powinna to wyczuć, powinna zabronić mu przebywać w jej pobliżu. W pobliżu Eli.

Autobus zjechał z autostrady i skręcił w kierunku Spillerbody. To jedyny autobus, który docierał do Rädmansö, dlatego musiał jechać okrężną drogą, żeby zahaczyć o jak najwięcej miasteczek. Autobus minął górski krajobraz z poukładanych w sterty desek przy tartaku Spillerboda, wykonał nagły skręt i niemal stoczył się do pomostu.

Nie czekał na Eli w piątek wieczorem.

Wziął nartosanki i sam poszedł na Wzgórze Duchów. Mama protestowała, bo tego dnia nie był w szkole, został w domu z powodu przeziębienia; powiedział jednak, że już czuje się lepiej.

Szedł przez Chinaparken z nartosankami na plecach. Wzgórze zaczynało się sto metrów za ostatnimi parkowymi latarniami; sto metrów ciemnego lasu. Śnieg skrzypiał pod stopami. Szum lasu jak zimny powiew, oddech. Przez gałęzie sączyło się światło księżyca; ziemia między drzewami wydawała się płataniną cieni, gdzie postaci bez twarzy stały i czekały, kiwając się na różne strony.

Dotarł do miejsca, gdzie droga zaczynała schodzić ostro do zatoki, do Kvarnviken; wsiadł na sanki. Dom Duchów był niczym czarna ściana obok wzgórza, jak ostrzeżenie: „Nie wolno tu przebywać po zmroku. Teraz to miejsce należy do nas. Chcesz się tu bawić, to musisz się bawić z nami”.

Na końcu zbocza widać było pojedyncze światła dochodzące z klubu żeglarskiego Kvarnviken. Oskar wychylił się trochę do przodu, stracił równowagę i nartosanki zaczęły się ślizgać. Chwytał mocno kierownicę, chciał zamknąć oczy, ale nie odważył się, bo wtedy mógłby zjechać z drogi i wpaść w stromą przepaść obok Domu Duchów.

Pędził z górki; kłębek nerwów i napiętych mięśni. Szybciej, szybciej. Bezkształtne, dymiące śniegiem ręce wychodziły ze ścian Domu Duchów, chwyciły jego czapkę, muskały jego policzek.

Być może sprawił to nagły podmuch wiatru, ale na samym dole wjechał w grubą, przezroczystą folię; była rozpięta w poprzek drogi i miała go zatrzymać. Ale był zbyt rozpędzony.

Wjechał w folię, która oblepiła jego ciało i twarz; naddała się, napięła, aż pękła i Oskar pojechał dalej.

W Kvarnviken migotały światła. Siedział na nartosankach i wpatrywał się w miejsce, gdzie poprzedniego ranka powalił kijem Jonny'ego. Odwrócił się. Dom Duchów był brzydkim blaszanym barakiem.

Wciągnął nartosanki na górę. Zjechał. Znow je wciągnął. Znow zjechał. Nie mógł przestać. Jeździł na okrągło. Aż jego twarz zamieniła się w maskę z lodu.

W nocy spał zaledwie cztery, może pięć godzin; bał się, że przyjdzie Eli. Bał się tego, co będzie zmuszony jej powiedzieć, co będzie musiał zrobić, jeśli się tu zjawi. Odtrącić ją. Dlatego zasnął w autobusie, jadącym do Norrtälje. Obudził się dopiero, kiedy byli już na miejscu. W lokalnym autobusie do Rädmansö udało mu się nie zasnąć; bawił się, usiłując przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów drogi.

Zaraz pokaże się żółty dom z miniaturką młyna na trawniku.

Żółty dom z zaśnieżoną miniaturką młyna na trawniku mignął za oknem. I tak dalej. W Spillerbodzie do autobusu wsiadła dziewczyna. Oskar chwycił się oparcia fotela przed sobą. Wyglądała trochę jak Eli. Oczywiście to nie była ona. Dziewczynka usiadła kilka rzędów przed Oskarem. Przyglądał się jej karkowi.

Co z nią jest?

Już tego wieczoru w piwnicy, kiedy zbierał butelki, a potem szmatką wycierał krew z dłoni, zaczął się zastanawiać, czy Eli jest wampirem. To wiele by tłumaczyło. To, że nigdy nie pokazywała się za dnia.

Że widziała w ciemnościach; o czym sam się przekonał.

I jeszcze inne rzeczy; sposób, w jaki rozmawiała, jak sobie poradziła z kostką, jej gibkość, wszystko to mogło oczywiście mieć jakieś naturalne wytłumaczenie... ale sposób, w jaki zlizywała jego krew z podłogi, sprawił, że na samą myśl przechodził go chłód...

„Wpuścisz mnie? Powiedz, że mnie wpuścisz”.

To, że potrzebowała zaproszenia, żeby wejść do jego pokoju, wejść do niego do łóżka. A on ją zaprosił. Wampira. Stworzenie, które żywiło się ludzką krwią. Eli. Nie było nikogo, komu mógłby o tym powiedzieć. Nikt by mu nie uwierzył. A gdyby ktoś mu uwierzył, to co by się stało?

Oskar wyobraził sobie korowód mężczyzn, trzymających w rękach ostre kołki, wchodzących przez bramę w Blackebergu; bramę, w której on i Eli się obejmowali. Teraz się jej bał; nie chciał jej więcej widzieć, ale nie chciał też, żeby to się stało.

Trzy kwadranse po tym, jak wszedł do autobusu w Norrtälje, był już na miejscu w Södervik. Pociągnął za sznurek i z przodu u kierowcy zabrzączał dzwonek. Autobus zatrzymał się tuż przed sklepem, musiał poczekać chwilę, aż wysiadzie starsza pani, którą znał, chociaż nie pamiętał jej nazwiska.

Tata stał przy stopniach autobusu, kiwał głową i mówił coś do starszej pani. Oskar wysiadł i chwilę stał, milcząc, przez ojcem. W ostatnim tygodniu wydarzyły się rzeczy, które sprawiły, że Oskar poczuł, że jest już duży. Nie dorosły. Ale na pewno starszy. To jednak minęło, kiedy teraz stał przed tatą.

Mama twierdziła, że tata jest dziecinny, w złym znaczeniu tego słowa. Nie dojrzały, nie potrafił brać na siebie odpowiedzialności. Ach, mówiła o nim także miłe rzeczy, ale to było coś, co zawsze powracało. Nie dojrzałość.

Dla Oskara ojciec był uosobieniem dorosłego. Teraz stał obok autobusu z rozpostartymi rękami i Oskar padł mu w ramiona.

Tata pachniał inaczej niż wszyscy w mieście. Jego zniszczona, pozszywana szpagatem kamizelka Helly Hansen była zawsze przesiąknięta mieszaniną różnych zapachów: drewna, farby, metalu, a przede wszystkim oleju, ale Oskar nie myślał o nich w ten sposób. Dla niego był to po prostu „zapach taty”. Kochał ten zapach; wciągnął go nosem, kiedy przyciskał swoją twarz do piersi ojca.

- Cześć.
- Cześć, tato.
- Podróż w porządku?
- Nie, zderzyliśmy się z łośiem.
- No proszę. To niedobrze.
- Żartowałem.
- Ach tak. A wiesz, pamiętam, jak kiedyś...

Ruszyli w stronę sklepu, a tata zaczął opowiadać, jak kiedyś, jadąc ciężarówką, potrafił łośia. Oskar słyszał już tę historię, więc teraz rozglądał się dookoła, potakując od czasu do czasu.

Sklep w Södervik wyglądał równie nieporządnie jak zwykle. Szyldy i plakaty, którym pozwolono tkwić na wystawie w oczekiwaniu na kolejne lato, sprawiały, że przypominał ogromną budkę z lodami. Wielki namiot za sklepem, w którym sprzedawano narzędzia ogrodnicze, ziemię i meble ogrodowe, był zamknięty na zimę.

Latem liczba mieszkańców Södervik zwiększała się czterokrotnie. W okolicy aż do zatoki Norrtäljeviken, i do Lagarö, było mnóstwo letnich domków i ogródków działkowych. Skrzynki na pocztę wisiały w podwójnym rzędzie po trzydzieści w każdym, ale o tej porze roku listonosz właściwie tam nie zaglądał. Nie było ludzi, nie było poczty.

Kiedy podeszli do motoroweru, tata zakończył swoją opowieść o łośiu.

- ...musałem dobić go łomem, którego używałem do otwierania skrzyń. Prosto między oczy. Aż podskoczył, o tak... Nic przyjemnego.

- Pewnie, jasne.

Oskar wskoczył na siodełko, podkulił nogi. Tata sięgnął do kieszeni kamizelki, wyciągnął wełnianą czapkę.

- Masz. Wieje trochę w uszy.

- Dzięki, mam.

Oskar wyjął wełnianą czapkę i naciągnął na głowę. Tę drugą tata schował do kieszeni.

- A ty? Wieje trochę w uszy.

Tata się roześmiał.

- Przywykłem.

Jasne, Oskar to wiedział. Chciał się tylko trochę podroczyć. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział tatę w wełnianej czapce. Jeśli robiło się naprawdę lodowato i wiał wiatr, wtedy tata wkładał czapę z niedźwiedziej skóry z nausznikami, którą, jak twierdził, dostał „w spadku”.

Tata uruchomił motorower, który hałasował jak piła elektryczna. Krzyknął coś o pustym przebiegu i wrzucił jedynekę. Motorower szarpnął, Oskar poleciał do tyłu, tata krzyknął „sprzęgło” i ruszyli.

Dwójka, trójka. Nabierali prędkości. Oskar siedział zgarbiony na zdezelowanym siodełku i czuł się królem całego świata. Mógłby tak jechać całą wieczność.

Lekarz mu to wytłumaczył. Opary, które dostały się do płuc, wypaliły mu struny głosowe i prawdopodobnie nigdy już nie będzie normalnie mówić. Kolejna operacja pozwoli mu odzyskać podstawową zdolność wymawiania samogłosek, ale ponieważ zarówno język, jak i wargi było poważnie uszkodzone, konieczne były kolejne operacje, żeby odzyskał umiejętność wymawiania spółgłosek.

Jako byłego nauczyciela języka szwedzkiego, Håkana podświadomie fascynował pomysł chirurgicznego odtworzenia umiejętności mówienia.

Sporo wiedział o fonemach i najmniejszych częściach składowych języka, wspólnych dla wielu kultur. Nigdy jednak nie zastanawiał się nad samymi organami mowy - podniebienie, wargi, język, struny głosowe - nie w ten sposób. Żeby skalpelem wyrzeźbić język z bezkształtnego surowca, tak jak rzeźby Rodina powstawały z nieobrobionego marmuru.

Ale i tak wszystko na nic. Nie zamierzał mówić. Poza tym podejrzewał, że lekarz rozmawiał z nim o tym w ten sposób z określonego powodu. Håkan miał, jak to się mówiło, skłonności samobójcze. Dlatego trzeba było mu wpoić pewnego rodzaju linearne poczucie czasu. By zaczął postrzegać życie jak rodzaj projektu, marzenie o przyszłych zdobyczach.

Nie kupował tego.

Jeśli Eli by go potrzebowała, to mógł dalej żyć. Ale tylko wtedy. Nic jednak nie wskazywało, że Eli go potrzebuje.

Z drugiej strony jak mogła się skontaktować z nim w tym miejscu?

Sądząc po wierzchołkach drzew za oknem, domyślał się, że znajdował się wysoko. Poza tym był dobrze chroniony. Poza lekarzami i pielęgniarkami zawsze w pobliżu był przynajmniej jeden policjant. Eli nie mogła do niego dotrzeć, a on nie mógł dotrzeć do niej. Zaświtał mu w głowie pomysł, żeby uciec; żeby jeszcze ostatni raz spotkać się z Eli. Tylko jak?

Operacja szyi przywróciła mu zdolność oddychania, nie musiał już być podłączony do respiratora. Jednak nie mógł jeść (w tym kierunku też zostaną podjęte kroki, zapewniał go lekarz). Rurka kroplówki cały czas była gdzieś w jego polu widzenia. Gdyby próbował ją wyciągnąć, pewnie gdzieś coś zaczęłoby pisać, poza tym rzeczywiście bardzo słabo widział. Ucieczka granicyła z cudem.

Chirurg plastyczny wziął kawałek skóry z jego pleców i zrobił z niego powiekę, mógł więc zamykać oczy.

Zamknął oczy.

Drzwi do pokoju się otworzyły. Znow nadeszła pora. Rozpoznał głos. Ten sam, co poprzednim razem.

- No dobrze - odezwał się mężczyzna. - Podobno mówienie na razie jeszcze nie wchodzi w grę. Szkoda. Jestem jednak przekonany, że potrafilibyśmy się porozumieć, ty i ja, gdybyś tylko chciał coś z siebie dać.

Håkan próbował przypomnieć sobie, co Platon mówił w *Państwie* o mordercach i przestępcach, jak należało z nimi postępować.

- No, widzę, że możesz już zamykać oczy. To dobrze. Wiesz, co? Chyba powinniśmy przejść do konkretów. Przyszło mi na myśl, że być może nie wierzysz, że cię zidentyfikujemy. Ale zrobimy to. Jak pewnie sobie przypominasz, miałeś na ręku zegarek. Na szczęście był to zegarek starego typu, z inicjałami zegarmistrza, numerem seryjnym, wszystkim. Za kilka dni dotrzemy do zegarmistrza w ten czy w inny sposób. Może za tydzień. Mamy też inne rzeczy. Znajdziemy cię, to jest pewne. Więc... Max. Nie wiem, dlaczego postanowiłem nazwać cię Max, ale to tylko tymczasowe. Max? Możesz nam trochę pomóc? Inaczej będziemy musieli zrobić ci zdjęcie i być może opublikować je w gazetach... rozumiesz, prawda? To będzie wymagać sporo... zachodu. Łatwiej będzie, jeśli zaczniesz mówić... porozumiewać się... ze mną, teraz. Mia-

łeś w kieszeni kartkę z alfabetem Morse'a. Znasz alfabet Morse'a? Jeśli tak, to możemy rozmawiać, stukając.

Håkan otworzył oko, patrzył w kierunku dwóch ciemnych plam w białym niewyraźnym owalu, który był twarzą mężczyzny. On najwyraźniej potraktował to jako zaproszenie. Więc kontynuował.

- Ten mężczyzna w wodzie, zostawmy go na później. Przecież nie ty go zabiłeś, prawda? Patologowie twierdzą, że ślady po ugryzieniu na szyi są prawdopodobnie śladami zębów dziecka. Ostatnio otrzymaliśmy informację, o której niestety nie mogę nic więcej powiedzieć, ale mam wrażenie... że ty kogoś chronisz. Tak jest? Unieś rękę, jeśli to prawda.

Håkan zamknął oko. Policjant westchnął.

- No dobrze. Puszczamy w ruch całą maszynę. Nie chciałbyś mi o czymś powiedzieć, zanim pójde?

Policjant zaczął wstawać, kiedy Håkan uniół rękę. Mężczyzna ponownie usiadł. Håkan uniół rękę jeszcze wyżej. Pomachał mu.

Na razie.

Policjantowi wyrwało się z gardła coś na kształt warknięcia, wstał i wyszedł.

Obrażenia, jakie odniosła Virginia, nie zagrażały jej życiu. W piątek po południu opuściła już szpital, z czternastoma szwami i dużym plastrem na szyi, i nieco mniejszym na policzku. Odrzuciła propozycję Lackego, który chciał z nią zostać, zamieszkać u niej do czasu, aż poczuje się lepiej.

W piątek wieczorem położyła się spać, przekonana, że w sobotę rano pójdzie do pracy. Nie mogła pozwolić sobie na zostanie w domu.

Okazało się, że trudno jest jej zasnąć. Gnębiło ją wspomnienie napadu, nie mogła się uspokoić. Miała wrażenie, że widzi czarne grudki, które odrywają się od cieni na suficie sypialni i spadają na nią, kiedy tak leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami. Swędziało ją pod dużym plastrem. Około drugiej zgłodziła, poszła do kuchni i otworzyła lodówkę.

Czuła, że ma pusty żołądek, ale kiedy zaczęła się przyglądać produktom w lodówce, uznała, że właściwie nie ma na nic ochoty. Z przyzwyczajenia wyjęła chleb, masło, ser i mleko i postawiła na stole kuchennym.

Zrobiła sobie kanapkę z serem, nalała mleko do szklanki. Potem siedziała przy stole, przyglądając się białemu płynowi w szklance i kawałkowi ciemnego chleba z żółtą błonką. Wyglądało to obrzydliwie. Nie chciała tego. Wyrzuciła kanapkę, mleko wylała do zlewu. W lodówce była otwarta, na wpół opróżniona butelka białego wina. Nalała sobie kieliszek, podniosła do ust. Poczula zapach wina i straciła na nie ochotę.

Z poczuciem porażki nalała sobie szklankę wody z kranu. Kiedy podniosła szklankę do ust, zawahała się. Wodę chyba zawsze można...? Tak, wodę mogła

wypić. Tyle że smakowała... stęchlizną. Jakby wszystko to, co było w wodzie dobre, gdzieś zniknęło i został tylko osad na dnie.

Wróciła do sypialni i znów się położyła; leżała i przewracała się jeszcze kilka godzin, w końcu zasnęła.

Kiedy się obudziła, zegar wskazywał wpół do jedenastej. Wskoczyła z łóżka, w mroku sypialni wciągnęła na siebie ubranie. Boże. Miała być w sklepie koło ósmej. Dlaczego nikt nie zadzwonił?

Zaraz. Przecież obudził ją dźwięk telefonu. W jej ostatnim śnie przed przebudzeniem dzwonił telefon; potem przestał. Gdyby nie zadzwonili, spałaby nadal. Zapięła bluzkę i podeszła do okna, podniosła żaluzje.

Światło uderzyło ją w twarz. Zachwiała się, odeszła od okna i puściła linkę. Żaluzje opadły z hałasem, zatrzymały się ukośnie na oknie. Usiadła na łóżku. Promyk słońca wpadł przez okno, igrał na jej gołej stopie.

Tysiące igiełek.

Jakby ktoś ciągnął jej skórę jednocześnie w przeciwne strony; dojmujący ból obnażonej skóry.

Co to jest?

Cofnęła stopę, włożyła rajstopy. Znów wystawiła stopę na słońce. Lepiej. Tylko sto igiełek. Wstała, żeby pójść do pracy, ponownie usiadła.

Jakiś rodzaj... szoku.

Uczucie, jakiego doznała, podciągając żaluzje, było nieprzyjemne. Jakby światło było ciężką materią, która trafiła jej ciało; odpychało ją od siebie. Najgorzej było z oczami. Dwa silne kciuki uciskały jej gałki, grożąc, że wypchną je z oczodołów. Wciąż czuła pieczenie.

Zaczęła trzeć oczy dłońmi; wzięła okulary przeciwsłoneczne z szafki w łazience i włożyła je.

Głód szarpał jej wnętrzności, ale wystarczyło, że pomyślała o zawartości lodówki czy spizarki, żeby wszystkie myśli o śniadaniu zniknęły. Poza tym i tak nie zdąży. Była już prawie trzy godziny spóźniona.

Wyszła, zamknęła drzwi i zeszła po schodach tak szybko, jak potrafiła. Była słaba. Może jednak popełniła błąd, gdy postanowiła iść do pracy. Trudno. Sklep i tak był otwarty jeszcze tylko cztery godziny, a w soboty klienci zaczęli się schodzić właśnie o tej porze.

Zajęta tymi kwestiami, bezmyślnie otworzyła drzwi.

Znów światło.

Oczy bolały ją mimo okularów; miała wrażenie, że wrzątek lał się na jej ręce. Krzyknęła. Schowała dłonie w rękawy płaszcza, schyliła głowę i ruszyła biegiem do sklepu. Karku i nasady włosów nie była w stanie chronić; paliły ją jak ogień. Na szczęście do sklepu nie było daleko.

Kiedy weszła, pieczenie i ból szybko ustąpiły. Większość okien oklejona była plakatami reklamowymi i folią, żeby słońce nie szkodziło towarom. Zdję-

ła okulary przeciwsłoneczne. Nadal czuła lekki ból, pewnie dlatego, że przez szpary pomiędzy plakatami dostawało się jednak nieco słońca. Schowała okulary do kieszeni i poszła do biura.

Lennart, kierownik sklepu i jej szef, wypełniał formularze, ale podniósł wzrok, kiedy weszła. Spodziewała się jakichś uwag, ale on powiedział tylko:

- Cześć. Jak się czujesz?
- Ja... dobrze.
- Nie powinnaś zostać w domu i trochę odpocząć?
- Nie, pomyślałam, że...
- Nie musiałaś przychodzić. Lotten obsługuje dzisiaj kasę. Dzwoniłem, ale nie odbierałaś, więc...
- Nie macie dla mnie żadnego zajęcia?
- Spytaj Berit, w dziale z wędlinami. Posłuchaj...
- Tak?
- To przykre, co się wydarzyło. Nie wiem, co powiedzieć, ale... współczuję ci. Rozumiem, że przez jakiś czas nie powinnaś się forsować.

Virginia niczego nie rozumiała. Lennart nie należał do tych, którzy patrzyli łaskawym okiem na zwolnienia i raczej nie interesował się problemami innych ludzi. Okazywanie współczucia to było coś nowego. Pewnie wyglądała okropnie ze spuchniętym policzkiem i tymi plastrami.

Virginia powiedziała:

- Dziękuję. Zobaczymy, jak sobie poradzę - i podeszła do lady z wędlinami.

Przeszła obok kasy, żeby przywitać się z Lotten; pomyślała, że mimo wszystko powinna otworzyć drugą kasę. Pytanie tylko, czy Lennart w ogóle chciał, żeby siedziała w kasie, kiedy tak wyglądała.

Weszła na oświetloną słońcem przestrzeń za kasami i wszystko wróciło. Twarz ją piekła, oczy bolały. Nie tak bardzo, jak kiedy stała bezpośrednio w słońcu na ulicy, ale i tak było źle. Nie mogłaby tu siedzieć.

Lotten zauważyła ją; pomachała jej.

- Cześć, czytałam... Jak się czujesz?

Virginia podniosła rękę, pokiwała nią; tak sobie.

Czytała?

Chwyciła „Svenska Dagbladet” i „Dagens Nyheter”, podeszła z nimi do lady; szybko przebiegła wzrokiem pierwsze strony. Nic nie znalazła; poszuka później.

Dział z wędlinami znajdował się na końcu sklepu, obok produktów mleczarskich; wszystko zostało zaplanowane strategicznie, żeby klient, idąc kupić wędliny, musiał przejść przez cały sklep. Virginia zatrzymała się przy półkach z konserwami. Aż drżała z głodu. Przyjrzała się dokładnie wszystkim puszkom.

Krojone pomidory, pieczarki, małże, tuńczyk, ravioli. Parówki, zupa z groszku... nic. Czuła tylko odrzę.

Berit dostrzegła ją zza lady. Pomachała jej. Jak tylko Virginia weszła za ladę, Berit ją uściskała, dotknęła delikatnie plastra na jej policzku.

- Biedaczko.

- Nie, teraz jest...

Dobrze?

Wycofała się do małego składziku za ladą z wędlinami. Jeśli pozwoli, żeby Berit się rozkręciła, usłyszy wykład o ludzkim cierpieniu w ogóle, a w szczególności o złu panoszącym się we współczesnym społeczeństwie.

Virginia usiadła na krześle między wagą a drzwiami do chłodni. Całe pomieszczenie miało zaledwie kilka metrów kwadratowych, ale było to najprzyjemniejsze miejsce w całym sklepie. Światło słoneczne tu nie docierało. Przekartkowała gazety i w notatce na stronie z wiadomościami krajowymi przeczytała:

„Napad na kobietę w Blackebiegu

Pięćdziesięcioletnia kobieta została w nocy z czwartku na piątek napadnięta i pobita na sztokholmskim przedmieściu, Blackebieg. Interweniował przypadkowy przechodzień; sprawca, młoda kobieta, natychmiast uciekła z miejsca zdarzenia. Motyw napaści pozostaje nieznany. Policja bada ewentualne powiązania z innymi brutalnymi napaściami w zachodniej części miasta w ostatnich paru tygodniach. Obrażenia pięćdziesięcioletniej kobiety określa się jako łagodne”.

Virginia opuściła gazetę. Dziwne tak czytać o sobie. „Pięćdziesięcioletnia kobieta”, „przypadkowy przechodzień”, „łagodne”. I to wszystko, co się za tymi słowami kryło.

„Ewentualne powiązania”. Tak, Lacke był przekonany, że została zaatakowana przez to samo dziecko, które zamordowało Jockego. W szpitalu musiał gryźć się w język, żeby nie zdradzić się z tym, kiedy policjantka i lekarz po raz kolejny w piątek przed południem oglądali jej obrażenia.

Zamierzał im powiedzieć, ale najpierw chciał poinformować o tym Göstę; podejrzewał, że Gösta spojrzy na to nieco inaczej, teraz kiedy także Virginia została napadnięta.

Usłyszała jakiś szelest i się rozejrzała. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, że to ona trzęsła się tak, że gazeta szeleściła w jej rękach. Odłożyła dzienniki na półkę nad hakami na wędliny i wyszła do Berit.

- Mogę coś zrobić?

- Skarbie, naprawdę chcesz?

- Tak, będzie lepiej, jeśli się czymś zajmę.

- Rozumiem. To rozważ krewetki. W półkilogramowe torebki. Na pewno nie powinnaś jednak...?

Virginia pokręciła głową i wróciła do składziku. Włożyła biały fartuch i czapkę, przyniosła z chłodni karton krewetek, naciągnęła na rękę plasti-

kową torebkę i zaczęła rozważać krewetki. Siegała ręką w plastikowej torebce do kartonu, przekładała krewetki do papierowych torebek, kładła na wagę. Nudne, mechaniczne zajęcie; już przy czwartej torebce czuła, że prawa ręka jej zamarza. Ale miała jakieś zajęcie, mogła chwilę pomyśleć.

W nocy, w szpitalu, Lacke powiedział coś bardzo dziwnego: że dziecko, które ją napadło, nie było człowiekiem. Że miało kły i szpony.

Virginia uznała to za pijackie gadanie albo halucynacje.

Niewiele pamiętała z samego napadu. Z jednym jednak mogła się zgodzić: ten, kto na nią skoczył, był o wiele za lekki, żeby być dorosłym człowiekiem, niemal za lekki nawet jak na dziecko. Jeśli już, to było to bardzo małe dziecko. Pięcio-, może sześcioletnie. Pamiętała, że podniosła się, mając je wciąż na plecach. Po tym już wszystko było czarne; aż obudziła się w swoim mieszkaniu, a wokół niej stali wszyscy faceci, z wyjątkiem Gösty.

Zamknęła klamerką gotową torebkę, wzięła następną, wsypała kilka garści. Czteryście trzydzieści gramów. Jeszcze siedem krewetek. Pięćset dziesięć.

Sklep stawia.

Spojrzała na swoje ręce, które pracowały niezależnie od jej mózgu. Ręce. Z długimi paznokciami. Ostre zęby. Co to mogło być? Lacke powiedział to wprost. Wampir. Virginia się wtedy roześmiała; ostrożnie, żeby szwy na policzku się nie rozeszły. Lacke nawet się nie uśmiechnął.

- Ty go nie widziałaś.

- Ależ Lacke... one nie istnieją.

- No to co to było?

- Dziecko. O chorej wyobraźni.

- Zapuściło sobie paznokcie? Zaostryło zęby? Chciałbym zobaczyć tego dentystę, który...

- Lacke, było ciemno. Byłeś pijany, to...

- Było ciemno. Byłem pijany. I wiem, co widziałem.

Miejsce na szyi pod plastrem ciągnęło i piekło. Zdjęta plastikową torebkę z prawej ręki, położyła dłoń na plastrze. Dłoń była lodowata, co za wspaniałe uczucie. Była bardzo zmęczona, miała wrażenie, że jeszcze trochę i nogi się pod nią ugną.

Skończy ten karton i pójdzie do domu. Nie dawała rady; odpocznie przez weekend i w poniedziałek na pewno poczuje się lepiej. Naciągnęła plastikową torebkę i z pewną złością zabrała się do roboty. Nienawidziła być chora.

Poczuła ostry ból palca wskazującego. Diabli nadali. Tak to się kończy, kiedy człowiek nie jest skupiony. Zamrożone krewetki były ostre, ukłuła się. Ściągnęła torebkę, spojrzała na swój palec. Mała ranka zaczęła krwawić.

Odruchowo włożyła palec do ust, żeby wysać krew.

Błogie, łagodne uczucie zaczęło rozchodzić się po jej ciele od punktu, w którym czubek palca dotknął języka. Coraz silniej ssała palec. Jakby

wszystkie dobre smaki nagle wypełniły jej usta. Błogi dreszcz przeszedł jej ciało. Nie przestawała ssać palca, delektując się smakiem krwi, aż zdała sobie sprawę z tego, co robi.

Wyjęła palec z ust, zaczęła mu się przyglądać. Był miękki, zaśliniony; niewielka ilość krwi, która teraz z niego kapała, natychmiast rozpuszczała się w ślinie; jak rozcieńczona w wodzie farba. Patrzyła na leżące w kartonie krewetki. Setki małych różowych organizmów pokrytych szronem. I oczy. Czarne łebki od szpilek, rozrzucone wśród bieli i różu; odwrócone niebo pełne gwiazd. Wzory, konstelacje zaczęły tańczyć jej przed oczyma.

Świat obrócił się wokół własnej osi i ktoś uderzył ją w głowę. Przed jej oczyma ukazała się biała powierzchnia z pajęczyną na brzegach. Zrozumiała, że leży na podłodze, ale nie miała siły, żeby cokolwiek zrobić.

Z daleka usłyszała głos Berit:

- Boże... Virginia...

Jonny lubił spędzać czas ze swoim starszym bratem. Ale tylko, kiedy nie było z nimi żadnego z jego obrzydliwych kumpli. Jimmy znał paru chłopaków z Räcksta, których Jonny się bał. Pewnego wieczoru, mniej więcej rok temu, przyszli na podwórko porozmawiać z Jimmym, ale nie chcieli wchodzić na górę i dzwonić do drzwi. Kiedy Jonny powiedział im, że Jimmy'ego nie ma w domu, kazali mu przekazać bratu wiadomość.

- Powiedz, że jeśli nie przyniesie forsę do poniedziałku, to ktoś może włożyć mu łeb w imadło... Wiesz, co to takiego? ... Okej... i zacznij ją kręcić tak, że szmal będzie mu wylatywać uszami. Powtórzysz mu to? W porzo. Jesteś Jonny, tak? To nara, Jonny...

Jonny przekazał wiadomość, ale Jimmy tylko pokiwał głową i powiedział, że wie. Potem z mamy portmonetki zniknęły pieniądze i zrobiło się cholernie nieprzyjemnie.

Jimmy nie bywał teraz często w domu. Właściwie to nie było tam dla niego miejsca, po tym jak urodziła im się kolejna siostrzyczka. Jonny miał już dwójkę młodszego rodzeństwa i właściwie nikt nie planował kolejnego dziecka. Ale potem mama spotkała jakiegoś faceta i... właśnie... tak to się stało.

Jonny i Jimmy mieli przynajmniej tego samego ojca. Obecnie pracował na platformie wiertniczej w Norwegii i nie tylko regularnie przysyłał alimenty, ale od czasu do czasu parę groszy więcej. Mama błogosławiła go, a kiedy sobie popiła, to kilka razy nawet płakała, mówiąc, że takiego drugiego już nigdy potem nie spotkała. Pierwszy raz, odkąd sięgał pamięcią, brak pieniędzy nie był stałym tematem rozmów w domu.

Siedzieli w pizzerii na rynku w Blackebergu. Przed południem Jimmy wpadł na moment do domu, pokłócił się z mamą a potem wyszedł z Jonnym. Jimmy posypał sałatą swoją pizzę, zwinął ją, wziął w ręce i zaczął jeść. Jonny

jadł swoją pizzę normalnie; pomyślał, że następnym razem, kiedy zamówi pizzę, zrobi tak samo jak Jimmy.

Jimmy przeżuwał, wskazał głową na bandaż Jonny'ego nad uchem:

- Wygląda paskudnie.

- Tak.

- Boli?

- Jest w porządku.

- Matka twierdzi, że kiepsko. Nie będziesz na nie słyszał.

- Eee. Nie wiadomo. Może będzie dobrze.

- Hm. Jakoś to do mnie nie dotarło. Koleś chwycił drag i przyładował ci w głowę?

- Mhm.

- Kurna. I co? Zamierzasz mu to puścić płazem?

- Nie wiem.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nieee.

- Jak to? Zwołam paru kumpli i załatwimy go.

Jonny oderwał duży kawałek pizzy z krewetkami, to był jego ulubiony kawałek, wsadził do ust i zaczął jeść. Nie. Jeśli wciągnie w to kumpli Jimmy'ego, zrobi się zadyma. Ale mimo to uśmiechnął się na myśl, wyobrażając sobie przerażoną minę Oskara, gdyby Jonny zjawił się na podwórzu z Jimmym i jego kumplami z Räcksty. Pokręcił głową.

Jimmy odłożył zwiniętą w rulon pizzę i spojrzał bratu poważnie w oczy.

- Okej, ale żebyś wiedział, że jeszcze jedna taka historia i...

Pstryknął palcami, zacisnął pięść.

- Jesteś moim bratem; nie pozwolę, żeby jakiś dupek... Jeszcze jedna taka historia i nawet nie będę cię pytał. Załatwię go. Okej?

Jimmy wyciągnął nad stołem zacisniętą pięść. Jonny też, i stuknęli się pięściami. Świetnie uczucie. Był ktoś, komu na nim zależało. Jimmy pokiwał głową.

- Dobrze. Mam coś dla ciebie.

Schylił się pod stół, sięgnął po plastikową torbę, którą nosił ze sobą całe przedpołudnie. Wyjął z niej cienki album ze zdjęciami.

- Ojciec wpadł tu w zeszłym tygodniu. Zapuścił brodę, prawie go nie poznałem. Miał ze sobą to.

Podał mu nad stołem album. Jonny wytarł palce w serwetkę, otworzył.

Zdjęcia dzieci. Mamy. Pewnie dziesięć lat młodszego niż dzisiaj. I mężczyzny, w którym rozpoznał swojego ojca. Mężczyzna bujał siedzące na huśtawkach dzieci. Na jednym zdjęciu miała na sobie wyraźnie za mały kowbojski kapelusz. Jimmy, który miał wtedy może dziewięć lat, stał obok niego z groźną miną i plastikową strzelbą w ręku. Mały chłopiec - to musiał być Jonny - siedział obok na ziemi i patrzył na nich szeroko otwartymi oczami.

- Pożyczył mi. Oddam mu, kiedy przyjedzie następnym razem. Chce go mieć, powiedział, że to... do diabła, powiedział, że to... „najdroższe, co ma”, tak mi się wydaje. Pomyślałem, że może chciałbyś obejrzeć.

Jonny przytaknął, nie podnosząc głowy znad albumu. Widział się z ojcem zaledwie dwa razy, od czasu kiedy dał nogę, jak Jonny miał cztery latka. W domu było jedno jego zdjęcie, dość kiepskie, siedział razem z innymi ludźmi. To było coś zupełnie innego. Nareszcie mógł sobie wyrobić o nim jakieś wyobrażenie.

- Jeszcze jedno. Nie pokazuj go matce. Coś mi się wydaje, że ojciec go jej rąbnął, kiedy wyjeżdżał; jeśli ona go teraz zobaczy... mówiłem ci, że on chce go mieć. Obiecuj. Że nie pokażesz go matce.

Z nosem nadal w albumie Jonny zacisnął pięść i unióśł nad stołem. Jimmy roześmiał się i po chwili ich pięści znów się spotkały. *Promiss*.

- Posłuchaj, obejrzysz sobie później. Weź też torbę.

Jimmy podał mu jaj Jonny niechętnie zamknął album i włożył do torby. Jimmy skończył jeść pizzę, odchylił się do tyłu na krześle i poklepał po brzuchu.

- A jak u ciebie z laskami, co?

Miasto przelatywało mu przed oczami. Śnieg spod kół motoroweru leciał do tyłu i bombardował policzki Oskara. Chłopak obiema rękami trzymał się mocno uchwytu, odchylił się na bok, żeby uniknąć śnieżnej chmury. Ostry dźwięk, kiedy narty przecięły śnieżny puch. Jedna narta dotknęła pomarańczowego słupka na skraju drogi. Oskar zachwiał się, ale odzyskał równowagę.

Droga prowadząca w dół do Lagarö i kolonii letnich domków nie była odśnieżona. Motorower zostawiał trzy głębokie ślady w nienaruszonym śniegu; pięć metrów dalej jechał Oskar na nartach, zostawiając dwa ślady. Jechał zyg-zakiem po śladach motoroweru; jechał na jednej nartcie jak wyczynowiec, skulił się i poddał prędkości.

Kiedy tata zaczął hamować, pędząc ze wzgórze w kierunku starego pomostu, gdzie kiedyś zawijały parowce, Oskar jechał z większą prędkością niż motorower i musiał ostrożnie wyhamować, żeby nie dopuścić do poluzowania liny, a potem do nagłego szarpnięcia, gdyby motorower znów przyspieszył.

Dotarli do pomostu; tata wrzucił na luz. Oskar nadał jechał z dużą prędkością, przez moment zastanawiał się, czy nie puścić rączki i nie pojechać dalej... Przejechać przez pomost i wylądować w czarnej wodzie. Ustawił szeroko narty i wyhamował kilka metrów przed krawędzią.

Stał i oddychał chwilę, patrzył na wodę. Zaczynała zamarzać. Cienkie tafle lodu kołysały się na niewielkich falach przy brzegu. Może w tym roku będzie porządny lód? Wtedy można by przejść na drugą stronę, do Vató. Chociaż może utrzymywano wolny od lodu przesmyk do Norrtälje? Tego Oskar nie pamiętał; taki lód był wiele lat temu.

Kiedy Oskar przyjeżdżał tu latem, często przychodził na pomost łowić śledzie. Mocował haczyki do linek, na końcu dawał przynętę. Jeśli trafiła się porządna ławica, mógł - gdy był cierpliwy - złowić nawet kilogram; najczęściej kończyło się jednak na dziesięciu, piętnastu sztukach. Wystarczało na obiad dla niego i ojca, a te, które były za małe, żeby je smażyć, dostawał kot.

Ojciec podszedł i stanął obok niego.

- Dobrze sobie poradziłeś.

- Mhm. Kilka razy trochę mnie zniosło.

- Tak, jest sporo puchu. Powinno się go ubić. Można by... na przykład wziąć płytę izolacyjną i czymś ją obciążyć. Gdybyś usiadł na niej i ją dociążył, to...

- Zrobimy tak?

- Nie, może jutro. Zaraz będzie ciemno. Ruszajmy z powrotem; trzeba zabrać się do kaczki, jeśli chcemy coś zjeść.

- Okej.

Tata patrzył na wodę; stał tak chwilę i milczał.

- Tak sobie myślę...

- Tak?

Teraz to nastąpi. Mama powiedziała Oskarowi, że przykazała ojcu surowo, żeby porozmawiał z nim o historii z Jonnym. Właściwie Oskar nawet chciałby o tym porozmawiać. Tata był bezpiecznie daleko od wszystkiego, nie mógł w żaden sposób ingerować. Ojciec odchrząknął i zaczął. Wziął głęboki oddech. Spojrzał na wodę i powiedział:

- Pomyślałem sobie... czy ty masz jakieś łyżwy?

- Nie. Takich, co pasują, nie mam.

- No tak, tak. Bo jeśli w tym roku chwyci mróz, a na to wygląda... to dobrze byłoby mieć łyżwy. Ja mam.

- Pewnie nie będą na mnie dobre.

Tata parsknął, roześmiał się.

- Pewnie nie, ale., chłopak Ostena ma jakieś, z których wyrósł. Trzydzieści dziewięć. Jaki rozmiar nosisz?

- Trzydzieści osiem.

- Włożysz wełniane skarpety i... Dobrze, poproszę, żeby mi je zostawili.

- Super.

- Ruszamy z powrotem?

Oskar przytaknął. Może później. Dobrze się złożyło z tymi łyżwami. Jeśli ojciec załatwiłby to jutro, mógłby wziąć je ze sobą do miasta.

Podszedł na swoich mininartach i chwycił drążek; cofnął się, aż lina się napięła, dał znać tacie, który uruchomił motorower. Pod górkę musieli jechać na jedyńce. Pojazd hałasował tak, że przerażone wrony uciekały na wierzchołki sosen.

Oskar piął się powolj, pod górę, jak na orczyku; stał na ugiętych kolanach. O niczym nie myślał, pilnował jedynie, żeby jechać po swoich śladach, nie przecinając ich. W zapadającym zmierzchu jechali w stronę domu.

Lacke schodził po schodach obok rynku z pudełkiem czekoladek Aladdin, wciśniętym za pas spodni. Nie lubił kraść, ale nie miał pieniędzy, a chciał Virginii coś dać. Pewnie powinien dać jej też różę, ale jak tu ukraść coś w kwiatarni.

Było już ciemno; kiedy zszedł ze wzgórza obok szkoły, zawahał się. Rozejrzał się, poskrobał nogą w śniegu; znalazł kamień wielkości pięści, podniósł go i włożył do kieszeni. Zacisnął na nim dłoń. Nie żeby wierzył, że pomoże mu się obronić przed tym czymś, ale jego ciężar i chłód dawały mu poczucie bezpieczeństwa.

Rozpytywanie po podwórkach nie dało żadnych rezultatów; rodzice, zajęci budowaniem bałwanów ze swoimi dziećmi, obrzucali go czujnymi, podejrzliwymi spojrzzeniami. Dziad.

Dopiero, kiedy otworzył usta, żeby zapytać kobietę, która trzepała dywany, zrozumiał, jak dziwne musiało się wydawać jego zachowanie. Kobieta przestała trzepać, odwróciła się do niego, trzymając w ręku trzepaczkę niczym broń.

- Przepraszam - zaczął Lacke - ja... szukam dziecka.
- Tak?

No tak. Sam słyszał, jak to brzmiało. Poczul się jeszcze bardziej niepewnie.

- Ona... zaginęła. Zastanawiam się, czy może ktoś ją widział?
- To twoje dziecko?
- Nie, ale...

Rozmawiał z nastolatkami, poza tym zrezygnował z rozmawiania z ludźmi, których nie znał, albo przynajmniej nie rozpoznawał. Spotkał kilku znajomych, ale oni niczego nie widzieli. Szukaj, a znajdziesz, jasne. Tyle że powinien się wiedzieć, czego dokładnie się szuka.

Skręcił w parkową alejkę, prowadzącą do szkoły, rzucił okiem na most Jockego.

Wczorajsze gazety bardzo wyeksponowały wiadomość, przede wszystkim z powodu dość makabrycznych okoliczności, w jakich ciało zostało odnalezione. Zamordowany alkoholik nie zwróciłby aż tak dużej uwagi, ale rozpisywano się o dzieciach, które wszystko widziały, o strażakach, którzy musieli ciąć lód. Obok artykułu zamieszczono paszportowe zdjęcie Jockego, na którym wyglądał jak morderca, w najlepszym razie.

Lacke minął ponurą ceglana fasadą szkoły w Blackebergu; wysokie, szerokie schody, jak wejście do Pałacu Sprawiedliwości albo do Piekła. Na ścianie,

tuż obok schodów, ktoś napisał sprayem „Iron Maiden”, cokolwiek to znaczyło. Może był to jakiś zespół.

Lacke minął parking, wyszedł na Bjömsonsgatan. Normalnie poszedłby skrótem za szkołą, ale tam było... ciemno. Z łatwością potrafił sobie wyobrazić tę dziwną istotę, skuloną w ciemności. Zerknął na korony wysokich sosen, które rosły wzdłuż drogi. Ciemne grudki wśród gałęzi. Prawdopodobnie gniazda srok.

Nie chodziło tylko o wygląd, ale i o sposób, w jaki stworzenie atakowało. Może mógłby uznać, że istnieje jakieś naturalne wytłumaczenie, jeśli chodzi o zęby i szpony, gdyby nie skok z drzewa. Zanim zanieśli Virginie do domu, zerknął na drzewo. Gałąź, z której stworzenie musiało zeskoczyć, znajdowała się jakieś pięć metrów nad ziemią.

Spaść z wysokości pięciu metrów na czyjeś plecy; jeśli do kłów i szponów dodać jeszcze „artystę cyrkowego”, to może dałoby się to wytłumaczyć w jakiś „naturalny” sposób. Jednak wszystko wydawało się dość niewiarygodne, jak powiedział Virginii, czego zresztą teraz żałował.

Do diabła...

Wyciągnął pudełko czekoladek ze spodni. Może zdążyły się rozpuścić pod wpływem ciepła? Potrząsnął pudełkiem. Nie. Sześciły w środku. Czekoladki się nie pozlepiały. Szedł dalej Bjömsonsgatan, minął sklep ICA, z pudełkiem czekoladek w ręku.

„Krojone pomidory, trzy puszki 5; -”

Sześć dni temu.

Lacke nadal trzymał kamień w ręku. Spojrzał na szyld, widział rękę Virginii, wyczarowującą równe, proste litery. Pewnie została dzisiaj w domu, żeby odpocząć. Chociaż to do niej podobne, żeby zwlec się do pracy, ledwie krew zdążyła zakrzepnąć.

Tuż przy klatce zatrzymał się i spojrzał w jej okno. Ciemno. Może była u swojej córki? Nie. Jeśli nie zostanie jej w domu, to przynajmniej zostawi czekoladki na kłamec. Na klatce było ciemno. Czuł, jak jeża mu się włosy.

Dziecko było tutaj.

Stał nieruchomo kilka sekund, po czym rzucił się w stronę świecącego na czerwono światła włącznika. Drugą ręką mocno ścisnął kamień.

Kiedy zapaliło się światło, z piwnicy dał się słyszeć lekki trzask, coś zaiskrzyło na desce rozdzielczej. To nic. Klatka Virginii. Żółte betonowe schody w rzucik. Drewniane drzwi. Zaczepnął kilka razy powietrza i zaczął wchodzić po schodach.

Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Virginia mieszkała na samej górze, na trzecim piętrze, z trudem ciągnął za sobą nogi, jakby to były dwie deski przyłączone do bioder. Miał nadzieję, że Virginia będzie w domu, że będzie się dobrze czuła, a on będzie mógł się zapaść w jej miękkim fotelu i odpocząć; bardzo pragnął teraz się tam znaleźć. Puścił kamień i nacisnął dzwonek. Odczekał chwilę. Znów zadzwonił.

Próbował ustawić pudełko z Czekoladkami na klamce, kiedy wewnątrz mieszkania usłyszał skradające się kroki. Szybko cofnął się sprzed drzwi. Kroki się zatrzymały. Stała za drzwiami, po drugiej stronie.

- Kto tam?

Nigdy, nigdy się nie zdarzyło, żeby tak spytała. Dzwoniło się; stuk, stuk, stuk, rozlegało się, kiedy podchodziła, i drzwi się otwierały. „Wejdz, wejdz”. Odchrząknął.

- To ja.

Pauza. Słyszał jej oddech czy może mu się zdawało?

- Czego chcesz?

- Dowiedzieć się, jak się czujesz.

Znów pauza.

- Nie czuję się dobrze.

- Mogę wejść?

Czekał. W obu rękach trzymał pudełko czekoladek, jak głupi. Coś stuknęło, kiedy otwierała zamek, brzęk kluczy, przekręciła pokrętło. I kolejny brzęk, kiedy zdjęła łańcuch. Klamka została naciśnięta, drzwi się otworzyły.

Mimo woli zrobił pół kroku do tyłu i uderzył krzyżem w zakończenie poręczy. Virginia stała w otwartych drzwiach. Wyglądała na umierającą.

Miała spuchnięty policzek, a do tego na całej twarzy drobną wysypkę; oczy wyglądały, jakby miała kaca stulecia. Białka pokrywała czerwona siateczka; źrenice niemal zniknęły. Pokiwała głową.

- Wyglądam okropnie.

- Nie. Ja tylko... pomyślałem, że... mogę wejść?

- Nie. Nie mam siły.

- Byłaś u lekarza?

- Pójdę. Jutro.

Podał jej pudełko czekoladek, które cały czas trzymał przed sobą jak tarczę. Virginia wzięła je.

- Dziękuję.

- Posłuchaj, może mógłbym coś...

- Nie, wszystko w porządku. Muszę odpocząć, to wszystko. Nie mam siły tu stać. Na razie.

- Tak. Przyjdę...

Virginia zamknęła drzwi.

- ...jutro.

Skrzypienie łańcucha, zamka. Stał przed jej drzwiami z opuszczonymi rękami. Podeszedł i przyłożył do nich ucho. Słyszał, jak otworzyła jakąś szafę, powolne kroki wewnątrz mieszkania.

Co mam robić?

Nie było jego sprawą zmuszać ją do czegoś, czego nie chciała, ale najchętniej zawiózłby ją do szpitala, natychmiast. Cóż, przyjdzie tu jutro przed połu-

dnem. Jeśli będzie w takim samym stanie, zabierze ją do szpitala, czy będzie tego chciała, czy nie.

Lacke schodził po schodach, stopień po stopniu. Był bardzo zmęczony. Kiedy dotarł do ostatniego podestu, usiadł na najwyższym stopniu i oparł głowę o rękę.

Ja... za to odpowiadam.

Światło zgasło. Naprężył się, zacerpnął gwałtownie powietrza. To tylko wyłącznik. Siedział w ciemności na schodach, ostrożnie wyjął z kieszeni kamień; wziął go w dłoń, patrzył się w ciemność.

No, chodź, pomyślał. No, chodź.

Virginia nie uległa prośącemu wzrokowi Lackego; zamknęła drzwi, założyła łańcuch. Nie chciała, żeby na nią patrzył. Żeby ktokolwiek na nią patrzył. Wiele ją kosztowało powiedzenie tych kilku słów i próba, żeby zachować się w miarę normalnie.

Gdy wróciła ze sklepu, jej stan szybko się pogarszał. Lotten odprowadziła ją do domu; ledwie przytomna nie reagowała nawet na ból, jaki sprawiało jej światło. Kiedy w domu spojrzała w lustro, zobaczyła setki małych bąbli na twarzy, na wierzchu dłoni. Poparzenia.

Spała kilka godzin, obudziła się, kiedy było już ciemno. Głód zmienił swój charakter, zamienił się w niepokój. Ławica histerycznie trzepoczących się cierników wypełniła jej krwiobieg. Nie mogła leżeć, siedzieć, stać. Chodziła w kółko po mieszkaniu, drapała się po całym ciele, wzięła zimny prysznic, żeby złagodzić drażniące ją swędzenie. Nic nie pomagało.

To nie dawało się opisać. Przypomniała sobie, jak, kiedy miała dwadzieścia dwa lata, dowiedziała się, że jej ojciec spadł z dachu letniego domku i złał kark. Wtedy też tak chodziła dookoła, jakby na całej kuli ziemskiej nie było miejsca, w którym nie czułaby bólu.

Teraz było podobnie, tylko gorzej. Niepokój, strach nie opuszczały jej nawet na chwilę. Gnały ją po mieszkaniu, aż opadła z sił; usiadła na krześle i uderzyła głową w stół kuchenny. Zdesperowana wzięła dwie tabletki rophynolu, popiła je łykiem białego wina, które smakowało jak pomyje.

Normalnie to by wystarczyło, żeby zasnęła; czułaby się, jakby dostała obuchem w głowę. A teraz zrobiło się jej tylko niedobrze i po pięciu minutach zwymiotowała zieloną śliną, zwróciła obie na wół strawione tabletki.

Spacerowała dalej, podarła gazetę na małe kawałki, pełzała po podłodze, szalejąc ze strachu. Wpełzła do kuchni, zrzuciła stojącą na stole butelkę wina, która upadła na podłogę i roztrzaskała się na jej oczach.

Wzięła jeden z ostrych odłamków.

Nawet się nie zastanowiła. Pociągnęła kawałkiem po dłoni, ból sprawił jej przyjemność, wydawał się na miejscu. Ławica cierników ruszyła w stronę źródła bólu. Pokazała się krew. Przycisnęła dłoń do ust i zaczęła lizać; ssała

i niepokój ustąpił. Poczwała taką ulgę, że aż się rozpłakała; przecięła dłoń w innym miejscu i ssała dalej. Smak krwi mieszał się ze smakiem łez.

Zwinięta w kłębek na podłodze, z dłonią przyciśniętą do ust, ssąc chciwie jak nowo narodzone dziecko, które pierwszy raz zostało przystawione do matki piersi, po raz drugi tego dnia poczuła się spokojna.

Pół godziny po tym, jak wstała, sprzątnęła odłamki szkła z podłogi i nakleiła plastry na ranę, niepokój znów zaczął narastać. Wtedy właśnie do drzwi zadzwonił Lacke.

Kiedy go odpawiła i zamknęła za nim drzwi, wyszła do kuchni i schowała czekoladki do spiżarni. Usiadła na kuchennym krześle; próbowała coś z tego wszystkiego zrozumieć. Niepokój nie pozwalał jej na to. Wkrótce musiała znów wstać. Wiedziała tylko, że nikt nie może tu z nią być. A na pewno nie Lacke. Mogłaby go skrzywdzić. Niepokój wymógłby to na niej.

Zaraziła się jakąś chorobą. Choroby można było leczyć.

Jutro pójdzie do lekarza; do lekarza, który ją zbada i powie: Jest to atak tego i tego. Proszę przez kilka tygodni zażywać to i to. I wszystko będzie dobrze.

Chodziła w tę i z powrotem po mieszkaniu. To było nie do wytrzymania.

Biła się po rękach, po nogach, ale małe rybki znów się obudziły i nic nie pomagało. Wiedziała, co musi zrobić. Załkała ze strachu przed bólem. Lecz ból trwał krótko, a ulga była wielka.

Weszła do kuchni, wzięła mały, ostry nóż do owoców; usiadła na kanapie w dużym pokoju, oparła ostrze o wewnętrzną stronę ręki.

Żeby tylko przetrzymać noc. Jutro poszuka pomocy. Zdawała sobie sprawę z tego, że to nie mogło tak trwać. Nie mogła pić własnej krwi. To rozumiało się samo przez się. To musiało się zmienić. Ale teraz, na razie...

Ślina napłynęła jej do ust w błogim przecuciu tego, co zaraz się stanie. Nacięła rękę. Głęboko.

SOBOTA

7 LISTOPADA (WIECZÓR)

OSKAR SPRZĄTAŁ ZE STOŁU, A TATA ZMYWAŁ. Kaczka była oczywiście pyszna. Żadnego śrutu. Nie było wiele do zmywania. Zjedli kaczkę i prawie wszystkie ziemniaki, a potem jeszcze wyczyścili talerze pszenną bułką. To było najlepsze ze wszystkiego. Polać talerz sosem, pozwolić, żeby kawałki miękkiej bułki nim nasiąkły, a potem rozpuszczały się w ustach.

Tata nie gotował dobrze, ale trzy dania: gulasz, smażone śledzie i kaczkę, robił tak często, że w końcu się nauczył. Jutro będzie gulasz z resztek kaczki i ziemniaków.

Godzinę przed kolacją Oskar spędził w swoim pokoju. Miał u taty własny pokój, bardzo skromny w porównaniu z jego pokojem w mieście, ale lubił go. W pokoju w mieście miał różne plansze, zdjęcia, mnóstwo różnych rzeczy, co i rusz coś się zmieniało.

Ten pokój w ogóle się nie zmieniał. I właśnie to podobało mu się w nim najbardziej.

Wyglądał tak samo, jak kiedy Oskar miał siedem lat. Kiedy do niego wszedł, poczuł swojski zapach wilgoci, tuż przed jego przyjazdem włączono ogrzewanie, ale poza tym nic tu się nie zmieniło... od dawna.

Nadal były tu egzemplarze *Kaczora Donalda* i *Bamsen*, kupowane podczas wielu letnich wakacji. W mieście już ich nie czytał, ale tutaj tak. Znał te historie na pamięć, ale i tak do nich wracał.

Z kuchni zaczęły dochodzić smakowite zapachy, a on leżał na łóżku i czytał stary numer *Kaczora Donalda*. Donald, siostrzeńcy i wuj Joachim udali się w podróż do dalekiego kraju, gdzie nie znano pieniędzy i gdzie kapsle od butelek z uspokajającym środkiem wuja Joachima stały się twardą walutą.

Kiedy doczytał do końca, zajął się swoimi haczykami, błyskami i ciężarkami do sieci, które przechowywał w starej szkatułce po przyborach do szycia, którą dostał od taty. Zawiązał na lince pięć nowych haczyków i dodał błyskę, na letni połów śledzi.

Potem jedli, a kiedy tata pozmywał, zaczęli grać w kółko i krzyżyk. Oskar lubił tak siedzieć razem z tatą, papier w kratkę na wąskim stoliku, ich pochylone głowy, jedna przy drugiej. Ogień trzaskający w kominku.

Oskar wybrał krzyżyki, tata kółka, jak zwykle. Tata nigdy nie dawał Oskarowi specjalnych forów; jeszcze rok temu był od niego wyraźnie lepszy, nawet jeśli Oskar od czasu do czasu wygrywał jakąś partyjkę. Teraz gra była równiejsza. Może wynikało to z tego, że Oskar ostatnio wiele czasu poświęcał kostce Rubika.

Partie zajmowały czasem połowę kartki papieru, co sprzyjało Oskarowi. Zapamiętywał puste miejsca; wiedział, jak należy je wypełnić, jeśli tata postawi kółko w takim czy w innym miejscu; co robić, żeby atak wyglądał na obronę.

Dzisiaj wygrał Oskar.

Trzy partie zostały zakończone; i oznaczone literką „O”. Tylko jedna, bo wtedy akurat Oskar się zamyślił, została oznaczona literką „T”. Oskar postawił krzyżyk i otworzył cztery kolejne rzędy, z których tata mógł zablokować tylko jeden. Tata westchnął i pokręcił głową.

- Wygląda na to, że trafiłem na lepszego od siebie.

- Na to wygląda.

Dla porządku tata postawił kółko, blokując jeden rząd, Oskar postawił krzyżyk. Tacie udało się zapełnić jeden rząd, Oskarowi przypadła reszta; postawił kolejną, piątą już literkę „O”. Tata darł sobie włosy z brody, przygotował kolejną kartkę; zaczął wygrażać ołówkiem:

- Tym razem już na pewno...

- Pomarzyć zawsze można. Ty zaczynasz.

Po postawieniu czterech krzyżyków i trzech kółek rozległo się pukanie. Zaraz potem drzwi się otworzyły i usłyszeli tupanie, ktoś otrząpywał buty ze śniegu.

- Halo tam!

Tata zerknął znad kartki, odchylił się do tyłu na krzesło i wyjrzał do korytarza. Oskar zagryzł usta.

Nie.

Tata skinął przybyszowi głową.

- Wejść, proszę.

- Dzięki.

Człapanie, jak kiedy stąpa się w wełnianych skarpetach po podłodze. Chwilę potem Janne wszedł do kuchni i powiedział:

- Aha. Tu sobie siedzicie i jest wam dobrze.

Tata wskazał gestem Oskara.

- Znasz mojego chłopaka.

- Jasne - powiedział Janne. - Witaj, Oskar. Co u ciebie?

- Dobrze.

Było dotąd. Idź stąd.

Janne poczłapał do stołu kuchennego, skarpety zsunęły mu się z pięt, zwiślały z przodu jak zdeformowane płetwy do nurkowania. Wysunął krzesło i usiadł.

- Widzę, że gracie w kółko i krzyżyk.

- Tak, chociaż chłopak jest prawdziwym mistrzem. Nie damę mu już rady.

- No proszę. Pewnie ćwiczył w mieście. Odważysz się zagrać partyjkę ze mną?

Oskar pokręcił głową. Nie chciał nawet spojrzeć mu w twarz; wiedział, co zobaczy. Zamglone oczy, usta rozciągnięte w głupim uśmiechu, Janne wyglądał jak stara owca; jasne, kręcone włosy jedynie wzmacniały to wrażenie. Jeden z „kumpli” taty, którzy byli wrogami Oskara.

Janne już zacierał ręce, wydał z siebie dźwięk, szorstki jak papier ścierny; w padającym z przedpokoju świetle Oskar widział, jak opadają z niego drobiniki skóry. Janne cierpiał na jakąś chorobę skóry, która sprawiała, że szczególnie latem jego twarz wyglądała jak zgniła czerwona pomarańcza.

- Dobrze tu wam, ciepłutko.

Zawsze to mówisz. Idź stąd z tą swoją wstrętną twarzą i swoimi starymi słowami.

- Nie dokończymy, tato?

- Skoro mamy gości...

- Grajcie dalej.

Janne przechylił się do tyłu na krzesło; sprawiał wrażenie, że ma nieograniczenie dużo czasu. Oskar wiedział jednak, że przegrał bitwę. To koniec. Teraz już będzie tak sobie.

Miał ochotę krzyżeć, stłuc coś, najchętniej uderzyłby Jannego, kiedy ojciec poszedł do spiżarni po butelkę; wyjął dwa kieliszki do wódki i postawił na stole. Janne zacierał ręce, a kawałki skóry leciały na wszystkie strony.

- No, proszę. Coś się jednak znalazło...

Oskar patrzył na kartkę z niedokończoną partią.

Tam postawiłby następny krzyżyk.

Ale dzisiaj wieczorem nie postawi już żadnego krzyżyka. Żadnego kółka. Niczego.

Rozległo się lekkie chlupotanie; tata rozlewał wódkę. Odwrócony stożek z cienkiego szkła napełnił się przezroczystym płynem. Wyglądał tak krucho w dużych rękach taty. Niemal w nich zniknął.

Mimo to zniszczył wszystko. Wszystko.

Oskar zmiął kartkę z niedokończoną partią i wrzucił do ognia. Tata nie protestował. On i Janne wdali się w rozmowę o jakimś wspólnym znajomym, który złamał nogę. Potem zaczęli omawiać inne złamania, których sami doświadczyli czy też o nich tylko słyszeli; znów napełnili kieliszki.

Oskar siedział nadal przed kominkiem i patrzył, jak kartka papieru zaczyna płonąć, czernieje. Potem zebrał pozostałe kartki i też wrzucił do ognia.

Ojciec i Janne wzięli kieliszki i butelkę i przeszli do dziennego pokoju, tata rzucił do Oskara, żeby „przyszedł i trochę z nimi porozmawiał”, a Oskar powiedział, że „może później”. Wciąż siedział przed kominkiem i patrzył w ogień. Ciepło pieściło mu twarz. Wstał, wziął ze stołu notes z kartkami w kratkę, wyrwał niezapisane kartki i rzucił w ogień. Kiedy cały notes, łącznie z okładkami, się zwęglił, wziął ołówki i też wrzucił je w płomień.

Szpital o tej porze dnia, późnym wieczorem, miał w sobie coś szczególnego. Maud Carlberg siedziała w recepcji i patrzyła na niemal pusty hol. Kawiarnia i kiosk były zamknięte; tylko pojedyncze osoby poruszały się niczym duchy w tym wysokim pomieszczeniu.

O tej porze lubiła sobie wyobrażać, że ona, tylko ona sama pilnowała tego ogromnego budynku, jakim był szpital w Danderydzie. Oczywiście była to nieprawda. W razie jakiegokolwiek problemu mogła nacisnąć guzik i w ciągu zaledwie trzech minut zjawiał się strażnik.

To był rodzaj gry pozwalającej jej przetrwać późne wieczorne godziny. Wymyślała jakiś zawód, miejsce zamieszkania i pochodzenia. Może jakąś chorobę. Potem przypisywała to wszystko pierwszej osobie, która do niej podeszła. Rezultat często bywał... zabawny.

Wymyśliła sobie na przykład pilota, kobietę albo mężczyznę, który/a mieszkał/ła na Götgatan, miał/ła dwa psy, którymi, gdy wyjeżdżał/ła, zajmował/ła się sąsiad/ka. Sąsiad/ka kochał/ła się mianowicie potajemnie w pilocie, kobiecie albo mężczyźnie. Ogromnym problemem było to, że pilotowi zdawało się, że widzi małe zielone ludziki z czerwonymi czapeczkami, unoszące się wśród chmur, kiedy on/ona siedział/ła za sterami samolotu.

Dobrze. Teraz pozostawało tylko czekać.

Możliwe, że za moment zjawi się starsza kobieta, wyglądająca na steranażyciem. Kobieta pilot. Piła w tajemnicy przed wszystkimi; wychylała małe buteleczki z alkoholem, rozdawane na pokładzie samolotów; zaczęła widzieć zielone ludziki, zwolniono ją. Teraz całe dnie spędzała w domu, z psami. Sąsiad nadal w niej się kochał, mimo wszystko.

I tak Maud ciągnęła swoją grę.

Czasem przeklinała siebie, bo gra uniemożliwiała jej poważne traktowanie ludzi. Ale nie potrafiła przestać. W tym momencie czekała na pastora, którego pasją były głośne sportowe samochody, i który uwielbiał zabierać autostopowiczów, żeby próbować ich zbawić.

Mężczyzna czy kobieta? Ktoś starszy czy młodszy? Jak będzie wyglądał?

Maud oparła brodę na dłoniach i wpatrywała się w drzwi wejściowe. Dzisiaj wieczorem nie było wielu ludzi. Odwiedziny chorych już się skończyły, a nowi pacjenci, z sobotnimi obrażeniami, często pod wpływem alkoholu, trafiali na ostry dyżur.

Ktoś wprawił w ruch obrotowe drzwi. Może to właśnie zafascynowany sportowymi samochodami pastor?

Jednak nie. To był jeden z tych przypadków, gdzie musiała się poddać. Bo było to dziecko. Drobna, mała... dziewczynka, dziesięć, może dwanaście lat. Maud zaczęła wyobrażać sobie cały łańcuszek zdarzeń, który w końcu mógłby doprowadzić do tego, że dziewczynka zostałaby pastorem, ale szybko przerwała zabawę. Dziewczynka wyglądała na bardzo nieszczęśliwą.

Podeszła do dużego planu szpitala, gdzie różnego koloru kreski oznaczały drogę, którą należało iść, chcąc dotrzeć do poszczególnych miejsc w szpitalu. Niewielu dorosłych potrafiło coś z tego zrozumieć, a co dopiero dziecko?

Maud wychyliła się i zawołała cicho:

- Mogę ci pomóc?

Dziewczynka odwróciła się do niej, uśmiechnęła się nieśmiało i podeszła do recepcji. Miała mokre włosy, pojedyncze płatki śniegu skrzyły bielą na czarnym tle. Nie patrzyła w podłogę, co często zdarza się dzieciom w obcym miejscu; nie, kiedy ruszyła w stronę recepcji, jej ciemne oczy patrzyły prosto w oczy Maud.

Muszę ci coś dać. Co mogę ci dać?

Głupio zaczęła szukać w myślach jakiejś rzeczy z szuflady swojego biurka. Ołówek? Balon?

Dziecko stanęło przed ladą recepcji. Jedynie szyja i głowa wystawały ponad blat.

- Przepraszam, ale... szukam mojego taty.

- Ach tak. Leży tutaj?

- Nie jestem pewna...

Maud spojrzała w stronę drzwi, powiodła wzrokiem po holu i zatrzymała się na dziecku, które stało przed nią i które nawet nie miało na sobie kurtki. Tylko czarna, wełniana koszulka polo; krople wody i płatki śniegu połyskiwały na niej w padającym z recepcji świetle.

- Przyszłaś tu sama, kochanie? O tak później porze?

- Tak, ja... chciałam się tylko dowiedzieć, czy on tu jest.

- Zaraz sprawdzimy. Jak się nazywa?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

Dziecko schyliło głowę, zdawało się szukać czegoś na podłodze. Kiedy znów ją podniosło, duże czarne oczy błyszczały, dolna warga drżała.

- Nie... Ale on tu jest.

- Kochanie...

Maud miała wrażenie, że zaraz serce jej pęknie, postanowiła więc czymś się zająć; schyliła się, sięgnęła po papierowy ręcznik, który trzymała w ostatniej szufladzie biurka, urwała kawałek i podała dziewczynce. Nareszcie mogła coś jej dać, choćby tylko kawałek papieru.

Dziewczyna wysmarkała nos i wytarła oczy w bardzo... dorosły sposób.

- Dziękuję.

- Ale ja nawet nie wiem... A co mu dolega?

- On... Policja go schwyciła.

- Więc chyba lepiej będzie, jeśli udasz się do nich.

- Tak, ale oni trzymają go tutaj. Bo on jest chory.

- Na co jest chory?

- On... wiem tylko, że policja go tu przywiozła. Gdzie on jest?

- Zapewne na najwyższym piętrze, ale tam nie można wejść bez wcześniejszego... uzgodnienia.

- Chciałam tylko się dowiedzieć, które jest jego okno, żebym mogła... sama nie wiem.

Dziewczynka znów zaczęła płakać. Maud poczuła, jak wzruszenie ścisła ją za gardło, aż ją zablokował. Dziewczynka wypytywała ją, bo chciała stać przed szpitalem... w śniegu... i móc spojrzeć w okno swojego taty. Maud przełknęła ślinę.

- Jeśli chcesz, to mogę zadzwonić. Jestem pewna, że będziesz mogła...

- Nie, dziękuję. Teraz już wiem. Teraz będę mogła... Dziękuję. Dziękuję.

Dziewczynka odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi obrotowych.

Boże drogi, te wszystkie skrzywdzone rodziny.

Dziewczynka wyszła, a Maud siedziała i wpatrywała się w punkt, gdzie znikła za drzwiami.

Coś się nie zgadzało.

Maud starała się przypomnieć sobie, jak dziewczynka wyglądała, jak się poruszała. Coś jej nie pasowało, coś... Pół minuty trwało, zanim Maud na to wpadła. Dziewczynka nie miała butów.

Maud wypadła z recepcji i podbiegła do drzwi. Wolno jej było zostawić recepcję bez opieki jedynie w wyjątkowych wypadkach. Uznała, że to właśnie jeden z nich. Poirytowana dreptała przez obracające się drzwi, szybciej, szybciej, wyszła na parking. Dziewczynki nie było nigdzie widać. Co miała zrobić? Powinno się zawiadomić opiekę społeczną; nikt najwyraźniej nie sprawdził, czy dziewczynka miała zapewnioną opiekę; tylko tak potrafiła to sobie wytłumaczyć. Kim był jej ojciec?

Maud rozglądała się po parkingu, ale nie mogła dojrzeć dziewczynki. Pobiegła kawałek wzdłuż budynku szpitala, w stronę metra. Dziewczynki nie było. W drodze powrotnej do recepcji zastanawiała się, kogo powinna powiadomić, co powinna zrobić.

Oskar leżał w łóżku i czekał na wilkołaka. Wszystko się w nim gotowało ze złości, z rozpacz. Z pokoju dziennego dochodziły go podniesione głosy ojca i Jannego, wymieszane z muzyką z kasetowego magnetofonu. Bracia Djup, Oskar nie potrafił rozróżnić słów, ale piosenkę znał na pamięć.

„Na wsi mieszkamy,
w mieście bywamy.

Gdy serwis sprzedamy,
kupimy proszę...”

Po czym cała kapela zaczynała naśladować głosy różnych zwierząt w gospodarstwie. Zazwyczaj uważał, że Bracia Djup byli zabawni. Teraz ich nienawdził. Bo brali w tym udział. Śpiewali tę swoją idiotyczną piosenkę dla taty i dla Jannego, którzy byli coraz bardziej pijani.

Dokładnie wiedział, co będzie dalej.

Za jakąś godzinę butelka zostanie opróżniona i Janne pójdzie do domu. Tata pokreśli się chwilę po kuchni, zacznie się zataczać, aż w końcu wpadnie na pomysł, że powinien porozmawiać z Oskarem.

Przyjdzie do niego do pokoju, ale nie będzie już tatą. Tylko cuchnącym alkoholem, bezkształtnym „czymś”, sentymentalnym i potrzebującym czułości. Będzie chciał, żeby Oskar wstał z łóżka. Żeby z nim porozmawiał. Będzie

opowiadał, jak bardzo nadal kocha mamę, jak bardzo kocha Oskara, i pytał, czy Oskar go kocha? Będzie opowiadał o wszystkich niesprawiedliwościach, jakich doznał; w najgorszym razie wpadnie w złość.

Nigdy go nie bił, co to, to nie!

Człowiek, którym ojciec stawał się, kiedy za dużo wypił, nie miał nic wspólnego z tym, którym był, kiedy był trzeźwy. Oskar pocieszał się, myśląc o tacie, jak o wilkołaku. W jego ciele naprawdę było całkiem inne stworzenie. Tak jak księżyc budził w wilku wilkołaka, tak alkohol budził w tacie to inne stworzenie.

Oskar wziął komiks, próbował czytać, ale nie potrafił się skoncentrować. Czuł się... porzucony. Za godzinę, albo coś koło tego, zostanie sam z Potworem. Jedyne, co mógł robić, to czekać.

Rzucił pisemkiem o ścianę i wstał z łóżka, wziął swój portfel. Bilety na autobus i karteczki od Eli. Położył je obok siebie na łóżku.

„O okno, wpuśćże dzień, a wypuść życie”.

Serce.

„Widzimy się wieczorem. Eli”.

I druga.

„Chcąc żyć, iść muszę, lub zostając - umrzeć”.

Wampiry nie istnieją.

Noc jak czarna błona za oknem. Oskar zamknął oczy i myślał o drodze powrotnej do Sztokholmu, mijał w zawrotnym tempie domy, gospodarstwa, pola. Wleciał na podwórko w Blackebergu, przez jej okno, a ona tam była.

Otworzył oczy, patrzył na czarny prostokąt okna. Tam, na zewnątrz.

Bracia Djup zaczęli śpiewać piosenkę o rowerzyście, który złapał gumę. Tata i Janne zaczęli się śmiać, zdecydowanie za głośno. Coś się przewróciło.

Którego potwora wybierasz?

Oskar schował karteczki od Eli z powrotem do portfela i się ubrał. Po cichu wyszedł do przedpokoju, włożył buty, kurtkę, czapkę. Stał cicho kilka sekund, nasłuchiwał odgłosów z pokoju dziennego.

Odwrócił się, żeby wyjść, spostrzegł coś, zatrzymał się.

Na półce na buty stały jego stare kalosze, które nosił, kiedy miał może cztery, pięć latek. Stały tam od zawsze, jak daleko sięgał pamięcią mimo że nie było nikogo, kto mógłby ich używać. Obok nich stały ogromne kalosze taty marki Treton, jeden miał łataną piętę taką łąką, której używa się do naprawiania dętek.

Dlaczego je zachował?

Oskar to rozumiał. Dwoje ludzi, którzy wyrosli ze swoich butów, obok siebie. Szerokie plecy ojca, a obok wąskie Oskara. Wyciągnięta ręka Oskara; jego dłoń w dłoni taty. Szli w swoich kaloszach po skałach, może szli na małą, może...

Pociągnął nosem. Czuł, że zbiera mu się na płacz. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć małych kaloszy. Z pokoju dziennego doszła salwa śmiechu. Głos Janego, zniekształcony. Pewnie kogoś naśladował, był w tym dobry.

Palce Oskara zacisnęły się na cholewce. Tak. Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że postępuje słusznie. Ostrożnie otworzył drzwi wyjściowe, zamknął je za sobą. Noc była lodowata, śnieg skrzył się jak morze diamentów w świetle księżyca.

Ściskając kalosze mocno w rękę, zaczął iść w stronę szosy.

Strażnik spał. Był to młody policjant, który po protestach personelu został przydzielony do pilnowania Håkana. Drzwi były zamknięte na zamek otwierany kodem. Pewnie dlatego pozwilił sobie na drzemkę.

Paliła się tylko nocna lampka; Håkan leżał i przyglądał się niewyraźnym ceniom na suficie; jakby był zdrowym człowiekiem, leżał na trawie i przyglądał się chmurom. Wpatrywał różnych kształtów, postaci. Nie wiedział, czy będzie mógł czytać, ale tęsknił za lekturą.

Eli znikła i teraz wracało to, co było istotne w jego dawnym życiu. Zostanie skazany na wiele lat więzienia; będzie mógł spożytkować ten czas na czytanie tego wszystkiego, czego jeszcze nie zdążył przeczytać, i czytanie o tym wszystkim, o czym kiedyś obiecywał sobie przeczytać.

Zaczął przepowiadać sobie tytuły wszystkich dzieł Selmy Lagerlof, kiedy jakieś szuranie przerwało jego rozmyślenia. Zaczął nasłuchiwać. Znow szuranie. Dochodziło od okna.

Odwrocił głowę na tyle, na ile mógł, zerknął w tamtym kierunku. Na tle czarnego nieba widniał jakiś jaśniejszy zarys, na którego padało światło lampki nocnej. Jasna mała grudka jakby się oderwała od większej całości. Ręka. Machała. Wędrowała wzdłuż okna i znow dało się słyszeć szuranie.

Eli.

Dzięki Bogu, Håkan nie był podłączony do żadnego monitora EKG, bo w tym momencie jego serce zaczęło walić, trzepotać jak ptak złapany w sieci. Widział, jak serce wyskakuje mu z piersi, pełźnie po podłodze do okna.

Wejdz, moja ukochana. Wejdz.

Lecz okno było zamknięte, a nawet jeśli byłoby otwarte, to jego usta nie były w stanie wymówić słów, które dałyby Eli wstęp do pokoju. Może mógł wykonać gest, który znaczyłby to samo; nigdy do końca nie zrozumiał, o co tu chodziło.

Potrafia?

Spróbował opuścić jedną nogę, potem drugą. Postawił stopy na podłodze, spróbował się podnieść. Po dziesięciu dniach spędzonych w łóżku nogi nie chciały dźwigać jego ciężaru. Oparł się o łóżko, niemal się przewrócił.

Węzyk od kroplówki napiął się tak, że bolała go skóra w miejscu, gdzie był przymocowany. Do wężyka zamontowany był rodzaj alarmu, cieniutki elek-

tryczny kabelek. Gdyby mocniej pociągnął węzyk, włączyłby się alarm. Uniósł rękę w stronę stelaża, żeby poluzować węzyk, odwrócił się do okna. Jasny zarys wciąż tam tkwił, czekał na niego.

Muszę..

Stelaż był na kółkach, bateria od alarmu była przytwierdzona tuż pod plastikowym woreczkiem. Chwycił stelaż. Wykorzystując go jako wsparcie, zaczął wstawać, powoli, bardzo powoli. Zrobił pierwszy krok i swoim jednym okiem zobaczył, że pokój płynie; stanął. Nasłuchiwał. Oddech strażnika był nadal spokojny.

Robiąc drobne kroczki, sunął po podłodze jak mrówka. Coś mówiło mu, że widzi Eli ostatni raz i pomyślał, że nie wolno mu... nawalić.

Ciało było wyczerpane, jak po maratonie, kiedy w końcu dotarł do okna i przykleił twarz do szyby, tak że błona przypominająca żelatynę, która pokrywała jego skórę, rozmazała się, sprawiając, że twarz znow zaczęła go piec.

Jedynie kilka centymetrów podwójnej szyby dzieliło go od jego ukochanej. Eli przyłożyła rękę do szyby, jakby chciała pogłodzić jego zniekształconą twarz. Håkan przybliżył swoje oko na tyle, na ile mógł, wzrok go zawodził. Czarne oczy Eli rozlewały się, zrobiły się niewyraźne.

Założył, że kanaliki łzo we zostały wypalone, jak wszystko inne, ale nieprawda. Do oka napłynęły mu łzy, zaślepiły go. Jego prowizoryczna powieka nie dawała rady mrugać tak szybko; ręką wytarł delikatnie oko; jego ciałem wstrząsnęło głucho łkanie.

Poszukał ręką mechanizmu otwierającego okno. Przekręcił klamkę. Z dziury, która była jego nosem, ciekły smarki, katar kapał na parapet, kiedy w końcu udało mu się otworzyć okno.

Zimne powietrze wdarło się do pokoju. Było tylko kwestią czasu, kiedy strażnik się obudzi. Håkan wyciągnął rękę, wysunął przez okno swoją zdrową dłoń, sięgnął do Eli. Eli podciągnęła się, chwyciła jego rękę w swoje dłonie i ucałowała ją. Wyszepiała:

- Witaj, przyjacielu.

Håkan kiwał powoli głową na znak, że słyszy. Uwolnił dłoń z rąk Eli, pogłaskał ją po policzku. Jej skóra była jak zamrznięty jedwab.

Wszystko wróciło.

Nie zamierzał gnić w jakiejś więziennej celi, otoczony bezsensownymi literami. Znosić docinki innych więźniów; w ich oczach popełnił najstraszliwszą ze wszystkich zbrodni. Chciał być z Eli. Chciał...

Eli nachyliła się do niego, siedząc skulona na parapecie.

- Co chcesz, żebym zrobiła?

Håkan zabrał rękę z policzka Eli i pokazał na swoją szyję.

Eli pokręciła głową.

- Wtedy musiałabym cię... zabić. Potem.

Håkan zabrał rękę z szyi, położył ją na twarzy Eli. Palcem wskazującym dotykał jej powiek, jej ust. Potem znów cofnął palec.

Ponownie wskazał na swoją szyję.

Jego oddech zamieniał się w białą chmurę, ale Oskar nie czuł zimna. Po dziesięciu minutach był już przy sklepie. Księżyc towarzyszył mu od domu taty, bawił się z nim w chowanego między wierzchołkami świerków. Oskar spojrział na zegarek. Wpół do jedenastej. Na rozkładzie jazdy w holu sprawdził, że ostatni autobus z Norrtälje odchodził o wpół do pierwszej.

Przeszedł przez pusty plac przed sklepem, oświetlony latarniami stacji benzynowej, i ruszył w kierunku Kapellskarvagen. Nigdy dotąd nie jechał autostopem, mama byłaby wściekła, gdyby się o tym dowiedziała. Wsiadać do samochodów obcych ludzi...

Przyspieszył kroku, minął kilka rozświetlonych willi. Wewnątrz siedzieli ludzie i było im dobrze. Dzieci spały w swoich łóżkach, nie martwiąc się, że ich rodzice przyjdą, obudzą je i zaczną im opowiadać bzdury.

To taty wina, nie moja.

Spojrzał na kalosze, które wciąż trzymał w rękę, wrzucił je do rowu, zatrzymał się. Leżały tam, dwie ciemne grudki na śniegu w świetle księżyca.

Mama już nigdy nie pozwoli mi tu przyjechać.

Tata zorientuje się, że go nie ma, może za... godzinę. Wyjdzie i zacznie go szukać. Potem pewnie zadzwoni do mamy. Zadzwoni? Prawdopodobnie. Żeby się dowiedzieć, czy Oskar dzwonił. Mama domyśli się, że tata jest pijany, jak tylko zacznie jej o tym opowiadać i...

Zaraz. Zrobi tak.

Kiedy przyjedzie do Norrtälje, zadzwoni do taty z budki telefonicznej i powie, że wraca do Sztokholmu, że przenocuje u kolegi, a rano przyjdzie do mamy jak gdyby nigdy nic.

Tata dostanie nauczkę, ale nie dojdzie do katastrofy.

Dobrze. A teraz...

Oskar zszedł do rowu, podniósł kalosze i wepchnął je do kieszeni kurtki; zaczął iść szosą. Teraz było dobrze. Teraz Oskar zdecydował o tym, dokąd ma iść; księżyc mrugał do niego przyjaźnie, oświetlał mu drogę. Podniósł rękę w geście pozdrowienia i zaczął śpiewać.

„Oto idzie Fritiof Andersson w zaśniewanym kapeluszu...”

Dalej nie pamiętał już słów, więc tylko nucił.

Po kilkuset metrach nadjechał samochód. Usłyszał go z daleka, zatrzymał się, wyciągnął rękę. Samochód minął go, stanął, cofnął się. Drzwi od strony pasażera się otworzyły; wewnątrz siedziała kobieta, nieco młodsza od mamy. Nie miał się czego bać.

- Cześć. Dokąd idziesz?

- Do Sztokholmu. To znaczy do Norrtälje.

- Też jadę do Norrtälje, więc...

Oskar wsadził głowę do samochodu.

- Ojej. Tвої rodzice wiedzą, że tu jesteś?

- Tak. Taty samochód się zepsuł i...

Kobieta patrzyła na niego, wyraźnie się zastanawiała.

- Dobrze, wskazuj.

- Dziękuję.

Oskar usiadł wygodnie, rozkoszował się ciepłem, które czuł teraz w całym ciele, a szczególnie na plecach. To pewnie takie elektryczne oparcie. Że też to było takie proste. Rozświetlone wille migały mu przed oczami.

Usiądźcie.

„Z piosenką na ustach ruszamy w drogę do Hiszpanii...” - i jeszcze gdzieś.

- Mieszkasz w Sztokholmie?

- Tak. W Blackebergu.

- Blackeberg... To w zachodniej części?

- Chyba tak. Tak to się nawet nazywa. Zachodnie dzielnice.

- No tak. Coś szczególnego czeka cię w domu?

- Tak.

- Na pewno, skoro wyruszyłeś w taką drogę.

- To prawda.

W pokoju było zimno. Miał szytwe wszystkie członki, spędziwszy tyle czasu w tak niewygodnej pozycji. Strażnik przeciągnął się, coś zatrzeszczało, rzucił okiem na szpitalne łóżko, nagle oprzytomniał.

Puste... zimno... cholera!

Chwiejąc się, wstał z krzesła. Dzięki Bogu. Facet nie uciekł. Ale jak do diabła udało mu się dotrzeć do okna? I...

Co to takiego?

Morderca stał pochylony w stronę okna; na ramieniu miał jakąś grudkę. Spod szpitalnej koszuli wystawał mu goły tyłek. Strażnik zrobił krok w stronę okna, zatrzymał się, zaczął dyszeć.

Grudka okazała się głową. Czarne oczy spotkały jego.

Próbował namacać broń, przypomniał sobie, że nie ma jej przy sobie. Ze względów bezpieczeństwa. Broń leżała w kasie pancernej w korytarzu. Poza tym to było tylko dziecko, teraz to widział.

- Halo! Nie ruszaj się!

Podbiegł trzy kroki do okna i głowa dziecka uniosła się nad szyją mężczyzny. W chwili kiedy strażnik dotarł do okna, dziecko skoczyło z parapetu i znikło gdzieś w górze. Jego nogi zwisały jeszcze chwilę z górnej framugi i zniknęły.

Stopy były bose.

Strażnik wysunął głowę przez okno, zdążył zobaczyć, jak jakaś postać znikła na dachu, znika z zasięgu jego wzroku. Mężczyzna obok niego zaczął charcząć.

Rany boskie, niech to szlag.

W bladym świetle widać było, że ramiona i tył koszuli były całe w czarnych plamach. Głowa mężczyzny zwisała, a na szyi błyszczała świeża rana. Z dachu dobiegało lekkie tupanie, jakby ktoś szedł po blasze. Strażnik stał jak sparaliżowany.

Priorytety. Jakie priorytety?

Nie pamiętał. Najpierw ratuj życie. Tak. Ale byli inni, którzy też mogli... Podbiegł do drzwi, wystukał kod, wybiegł na korytarz i zawołał:

- Siostrzo! Siostrzo! Proszę przyjść! Nagły wypadek!

Pobiegł w stronę schodów pożarowych; dyżurna pielęgniarka wyszła ze swojego gabinetu i zaczęła biec w stronę pokoju, z którego przed chwilą wyszedł. Kiedy się mijali, spytała:

- Co się stało?

- Nagły przypadek. To... pilne. Proszę zawołać lekarza, to... morderstwo.

Słowa przychodziły mu z trudem. Nigdy jeszcze nie widział niczego podobnego. Został oddelegowany do tego nudnego zajęcia właśnie dlatego, że nie miał doświadczenia. Mogli się bez niego obyć. Biegając w stronę schodów, wyciągnął radio i zaalarmował centralę, wezwał posiłki.

Pielęgniarka próbowała przygotować się na najgorsze: ciało leżące na podłodze w kałuży krwi. Zwisające na prześcieradle na rurze z ciepłą wodą. Takie przypadki już widywała.

Kiedy weszła do pokoju, zobaczyła jedynie puste łóżko. I coś przy oknie. Najpierw uznała, że to sterta ubrań, które ktoś położył na parapecie. Potem zauważyła, że sterta się rusza.

Ruszyła do okna, żeby zapobiec temu, co za chwilę miało się wydarzyć, ale mężczyzna był za daleko. Stał na parapecie, wychylał się przez okno; zaczęła biec. Zdążyła jeszcze chwycić go za skrawek szpitalnej koszuli, zanim wypadł, wyrывая wężyk od kropłówki. Rozległ się trzask i w rękę został jej kawałek materiału. Po kilku sekundach usłyszała dalekie, głucho uderzenie, kiedy spadł na ziemię. I piszczenie alarmu podłączonego do kropłówki.

Kierowca taksówki podjechał pod wejście do izby przyjęć. Starszy mężczyzna na tylnym siedzeniu, który podczas całej drogi z Jakobsbergu zabawiał go opowieściami o swoich sercowych przygodach, otworzył drzwi i nadal siedział, wyczekująco.

Okej, okej.

Kierowca otworzył swoje drzwi, poszedł do tyłu i wyciągnął rękę, żeby starszy pan mógł się o nią weprzeć. Śnieg padał mu na kark. Staruszek sięgał po jego rękę, kiedy coś przykuło jego wzrok, coś wysoko, w chmurach.

- Może pan wysiąść. Trzymam pana.

Staruszek pokazał w górę.

- Co to jest?

Kierowca podążył wzrokiem za jego ręką.

Na dachu szpitala stał człowiek. Mały człowiek. Z gołym torsem i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Alarm.

Powinien wszcząć alarm przez radio. A on stał, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Jeśli się poruszy, zaburzy równowagę i mały człowieczek spadnie.

Poczuł ból, kiedy starszy pan chwycił jego rękę palcami jak szpony, długie paznokcie wbiły się w jego dłoń. Ale się nie poruszył.

Śnieg wpadał mu do oczu. Zamrugał. Człowiek na dachu rozpostarł ręce, uniósł je nad głowę. Coś rozciągało się między jego rękami a ciałem, błona... membrana. Staruszek pociągnął go za rękę, wysiadł z samochodu, stanął obok niego.

Kiedy ramię staruszka dotknęło jego ramienia, mały człowiek... dziecko... rzuciło się w dół. Kierowca wstrzymał oddech, a palce staruszka wpijały się coraz głębiej w jego dłoń. Dziecko leciało prosto na nich.

Obaj instynktownie się uchylili, podnieśli ręce do twarzy.

Nic się nie wydarzyło.

Kiedy znów spojrzeli do góry, dziecko zniknęło. Kierowca rozejrzał się, ale w powietrzu widać było jedynie wirujące w świetle latarni płatki śniegu. Staruszek zaczął rzeźić.

- Anioł śmierci. To był anioł śmierci. Już stąd nie wyjdę.

SOBOTA

7 LISTOPADA (NOC)

HABBA-HABBA Soud-soud!

Banda rozwrzeszczanych chłopaków i dziewczyn wsiadła do metra na H6-torget. Byli pewnie w wieku Tommy'ego. Pijani. Od czasu do czasu chłopcy wydawali jakieś okrzyki, przewracali się na dziewczyny, a dziewczyny się śmiały i usiłowały ich bić. Potem znów zaczęli śpiewać. Tę samą piosenkę, na okragło. Oskar przyglądał się im spod oka.

Nigdy taki nie będę.

Niestety. Bo chciałby. Wydawało się, że dobrze się bawią. Oskar jednak nigdy nie zachowałby się tak jak ci chłopcy. Jeden z nich stanął na ławce i zaczął głośno śpiewać „A Huleba-Huleba, A-ha-Huleba...”

Jakiś facet, który siedział i drzemał na miejscu dla niepełnosprawnych na końcu wagonu, zawołał:

- Możecie się uciszyć! Próbuję spać.

Jedna z dziewczyn pokazała mu wyprostowany palec.

- Śpi się w domu.

Cała banda zaczęła się śmiać; śpiewy stały się jeszcze głośniejsze. Kilka miejsc dalej siedział mężczyzna i czytał książkę. Oskar schylił głowę, żeby dojrzeć tytuł, ale zobaczył tylko imię i nazwisko autora: Goran Tunström. Nie było mu znane.

W kwadracie ławek obok Oskara siedziała starsza kobieta z torebką na kolanach. Mówiła coś cicho sama do siebie, gestykulowała z jakimś niewidzialnym rozmówcą.

Nigdy jeszcze nie podróżował metrem po dziesiątej wieczorem. Czy to byli ci sami ludzie, którzy w ciągu dnia siedzieli cicho, patrzyli przed siebie i czytali gazety? Czy może była to jakaś szczególna grupa ludzi, która wychodziła tylko nocą?

Mężczyzna z książką przewrócił kartkę. To dziwne, ale Oskar nie miał ze sobą żadnej książki. Szkoda. Chciałby być podobny do tego mężczyzny; chciałby siedzieć i czytać książkę, zapominając o wszystkim dookoła. Miał jednak tylko walkmana i kostkę Rubika. Zamierzał posłuchać kasety z Kiss, którą dostał od Tommy'ego; próbował słuchać jej w autobusie, ale znudził się już po kilku kawałkach.

Wyjął kostkę z torby. Trzy boki były ułożone, w czwartym brakowało mu jednego nędznego kwadracika. Któregoś wieczoru on i Eli rozmawiali o kostce Rubika, o tym, jak należy ją układać, i potem Oskar już radził sobie lepiej. Przyglądał się wszystkim bokom, starając się wymyślić jakąś strategię, ale widział przed sobą tylko twarz Eli.

Jaka będzie?

Nie bał się. Ogarnęło go poczucie, że... to niemożliwe... że nie mógł być tu, o tej porze; nie mógł robić tego, co właśnie robił. Tego nie było. To nie był on.

Nie istnieje, więc nikt nie może mi nic zrobić.

Z Norrtälje zadzwonił do taty, tata płakał do telefonu. Powiedział, że zadzwoni do kogoś, kto po niego przyjedzie. Oskar drugi raz w życiu słyszał, jak tata płacze. Przez moment się wahał. Kiedy jednak tata zaczął się nakręcać i krzyczeć, że przecież musi też mieć swoje życie, że wolno mu chyba robić, co chce, we własnym domu, Oskar odłożył słuchawkę.

Wtedy po raz pierwszy pojawiło się uczucie, że on nie istnieje.

Banda dziewczyn i chłopaków wysiadła przy Angbyplan. Jeden z chłopaków odwrócił się i krzyknął:

- Spijcie dobrze, drodzy... drodzy...

Nie znalazł właściwego słowa i jedna z dziewczyn pociągnęła go ze sobą. Zanim jednak zamknęły się drzwi, wyrwał się jej; podbiegł do nich, chwycił jednego z nich i zawołał:

- ...współpasażerowie. Śpijcie dobrze, współpasażerowie!

Puścił drzwi i metro ruszyło. Pograżony w lekturze mężczyzna opuścił książkę i przyglądał się młodym ludziom na peronie. Potem odwrócił się do Oskara, spojrzął mu w oczy. I się uśmiechnął. Oskar nieśmiało odwzajemnił uśmiech; udawał, że cała jego uwaga jest skupiona na kostce Rubika.

W głębi duszy czuł jednak, że... został zaakceptowany. Mężczyzna spojrzął na niego i przesłał mu myśl: W porządku. To, co robisz, jest okej.

Mimo to nie śmiał spojrzeć na niego ponownie. Miał wrażenie, że mężczyzna wie. Oskar przekręcił jeden z kwadracików kostki, potem przekręcił go ponownie.

Oprócz niego w Blackebergu wysiadły jeszcze dwie osoby, z innych wagoników. Starszy mężczyzna, którego nie znał, i jakiś *raggare*, dorosły facet, sprawiający wrażenie bardzo pijanego. Nachylił się nad starszym mężczyzną i zawołał:

- Słuchaj, odpalisz jedną fajkę, koleś?

- Sorry, nie palę.

Facet najwyraźniej usłyszał tylko przeczenie, bo wyciągnął z kieszeni dychę i zaczął nią machać:

- Dychę! Za jedną fajkę.

Mężczyzna pokręcił głową i ruszył dalej. Facet stał i się zataczał. Kiedy Oskar przechodził obok niego, podniósł głowę.

- Ty! - powiedział. Oczy mu się zwięzły, utkwiał wzrok w Oskarze i pokręcił głową - W porzo. Idź w pokoju, bracie.

Oskar dotarł schodami do hali dworcowej. Zastanawiał się, czy facet zamierzał może odlać się na kabel na torach. Starszy mężczyzna znikł w wyjściu. Na stacji zostali teraz tylko Oskar i kontroler.

W nocy wszystko było zupełnie inne. Punkt fotograficzny, kwaciarnia i sklep z odzieżą, które mieściły się na stacji, miały pogaszone światła. Kontroler siedział w swoim boksie z nogami na blacie, czytał coś. Było cicho. Zegar na ścianie pokazywał parę minut po drugiej. Powinien teraz leżeć w swoim łóżku. Spać. Powinien przynajmniej być senny. Ale nie. Był tak zmęczony, że miał wrażenie, że jego ciało było puste; ale pustka ta była naładowana elektrycznością. Nie sennością.

Drzwi od wyjścia na peron otworzyły się z trzaskiem; usłyszał dobiegający z dołu głos *raggare* śpiewającego *Marsz Paradny* Fritiofa Anderssona.

Też go sobie czasem podśpiewywał. Roześmiał się i zaczął biec. Wybiegł przez drzwi, zbiegł ze wzgórza obok szkoły, przebiegł przez parking. Znow sypało, duże płatki śniegu topniały na jego twarzy. Biegnąc, spojrzał w górę. Księżyc podążał za nim, bawił się z nim w chowanego między wysokimi blokami.

Na podwórzu zatrzymał się, odetchnął. Niemal we wszystkich oknach światła były zgaszone, ale czy zza żaluzji w mieszkaniu Eli nie dochodziło jakieś blade światło?

Jaką zrobi minę?

Wszedł na górkę, rzucił okiem na własne wygaszone okno. Tam leżał ten zwykły Oskar i spał. Oskar... z czasów, zanim spotkał Eli. Z siuszką w kalesonach. On już z nią skończył; nie była mu potrzebna.

Otworzył drzwi do swojej klatki, przeszedł piwnicznym korytarzem do jej klatki, nie zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy na podłodze jest jakaś plama. Po prostu przeszedł obok. Nic nie istniało. Nie miał mamy, nie miał taty, żadnego wcześniejszego życia, po prostu był... tutaj. Wszedł do klatki, ruszył schodami na górę.

Stojąc na podeście, zaczął się przyglądać zniszczonym drewnianym drzwiom; wizytówce bez nazwiska. Za tymi drzwiami...

Wyobrażał sobie, że wbiegnie po schodach, zadzwoni. A teraz usiadł na przedostatnim stopniu, tuż obok drzwi.

A jeśli ona nie będzie chciała, żeby wszedł?

Przecież to ona od niego uciekła. Może powie mu, że ma odejść, że chce, żeby zostawił ją w spokoju, że...

Piwniczny składzik. Tommy i reszta.

Mógł się tam przespać, na kanapie. W nocy chyba tam nie przesiadywali? A jutro wieczorem spotka się z Eli, jak zwykle.

Nic nie będzie już jak zwykle.

Wpatrywał się dzwonek. Nic nie będzie już jak zwykle. Musi dokonać czegoś wielkiego. Na przykład uciec, pojechać autostopem, wrócić nocą do domu, żeby pokazać, że to... ważne. Nie bał się, że Eli może się okazać istotą, która żywi się ludzką krwią. Bał się, że może go odtrącić.

Zadzwonił.

Z głębi mieszkania dał się słyszeć warkot, który ustał, kiedy puścił przycisk dzwonek. Stał, czekał. Znow zadzwonił, dłużej. Nic. Ani jednego dźwięku.

Nie było jej w domu.

Oskar siedział w milczeniu na stopniu, zawód ciążył mu w żołądku jak kamień. Nagle poczuł się zmęczony, straszliwie zmęczony. Podniósł się powoli, zaczął schodzić. W połowie drogi przyszedł mu do głowy pomysł. Głupi, ale co tam. Wrócił do jej drzwi i za pomocą dzwonek, używając długich i krótkich sygnałów, przeliterował jej imię alfabetem Morse'a.

Krótki. Pauza. Krótki, długi, krótki, krótki. Pauza, Krótki, krótki. E.L.I.

Czekał. Żadnego dźwięku po drugiej stronie. Odwrócił się; chciał odejść, kiedy usłyszał jej głos.

- Oskarże? To ty?

I wtedy mimo wszystko radość jak rakietą wypaliła mu w piersi i eksplodowała w jego ustach zdecydowanie zbyt głośnym:

- Tak!

Żeby się czymś zająć, Maud Carlberg przyniosła sobie filiżankę kawy z pokoju za recepcją; usiadła w ciemnym boksie. Powinna skończyć zmianę już godzinę temu, ale policjant prosił, żeby zaczekała.

Kilku mężczyzn, którzy nie byli ubrani jak policjanci, rozsypywali jakiś proszek na podłodze w miejscach, gdzie mała dziewczynka stąpała bosymi stopkami.

Policjant, który wypytywał ją, co dziewczynka mówiła, co robiła, jak wyglądała, nie był zbyt uprzejmy. W jego głosie Maud cały czas słyszała cień oskarżenia: coś zrobiła źle. Ale skąd mogła wiedzieć?

Henrik, jeden ze strażników, który często razem z nią miał nocny dyżur, podszedł do recepcji i pokazał na filiżankę z kawą.

- Dla mnie?

- Jeśli chcesz.

Henrik wziął filiżankę, wypił łyk i rozejrzał się po holu. Poza mężczyznami, którzy rozsypywali na podłodze proszek, był tam jeszcze umundurowany policjant, który stał i rozmawiał z kierowcą taksówki.

- Dużo ludzi o tej porze.

- Niczego nie rozumiem. Jak ona się dostała na górę?

- Nie wiem. Pracują nad tym. Wygląda na to, że wdrapała się po murze.

- To niemożliwe.

- Chyba nie.

Henrik wyjął z kieszeni torebkę lukrecjowych łądeczek i poczęstował ją. Maud pokręciła głową. Henrik wziął trzy łądeczki, włożył do ust i wzruszył przepraszająco ramionami.

- Rzuciłem palenie. Przytyłem cztery kilogramy w ciągu dwóch tygodni - powiedział i się skrzywił: - Rany boskie. Gdybyś go widziała.

- Kogo... mordercę?

- Tak. Ochlapał... całą ścianę. A jego twarz... nie. Jeśli kiedyś będę chciał odebrać sobie życie, to łyknę prochy. Nie zazdroścę patologom. Muszą...

- Henrik.

- Tak?

- Przestań.

Eli stała w otwartych drzwiach. Oskar siedział na stopniu. W ręce ścisnął rączkę torby, gotowy odejść w każdej chwili. Eli zaczesła kosmyk włosów za ucho.

Wyglądała na zupełnie zdrową. Mała dziewczynka, niepewna siebie. Spojrzała na swoje ręce, odezwała się cicho:

- Wejdiesz?
- Tak.

Eli skinęła głową ledwie zauważalnie, bawiła się palcami. Oskar nadal siedział na stopniu.

- Mogę... wejść?
- Tak.

W Oskara wstąpił Diabeł.

- Powiedz, że mogę wejść - zażądał.

Eli podniosła głowę, zamierzała coś powiedzieć, ale nie zrobiła tego. Przyknęła drzwi, tylko odrobinę, i się zatrzymała. Zatupała bosymi nogami i po chwili powiedziała:

- Możesz wejść.

Odwróciła się i weszła do mieszkania. Oskar poszedł za nią, zaniknął za sobą drzwi. Postawił torbę w korytarzu, zdjął kurtkę; powiesił ją na wieszaku na kapelusze, na których i tak nic nie wisiało.

Eli stała w drzwiach do pokoju dziennego, ręce miała opuszczone wzdłuż tułowia. Miała na sobie tylko majtki i czerwoną koszulkę z nadrukiem „Iron Maiden” na tle szkieletu potwora, który był na okładkach wszystkich ich płyt. Oskar miał wrażenie, że rozpoznaje koszulkę. Widział ją chyba kiedyś w śmietniku. Czy to była właśnie ta?

Eli przyglądała się swoim brudnym stopom.

- Dlaczego to powiedziałaś?
- Ty tak mówisz.
- Tak. Oskarze...

Zawahała się. Oskar nadal stał w tym samym miejscu, trzymając rękę na kurtce, którą przed chwilą powiesił. Patrząc na kurtkę, spytał:

- Jesteś wampirem?

Eli objęła się rękami, pokręciła lekko głową.

- Ja... żywię się krwią, ale nie jestem... tym.
- Jest jakaś różnica?

Spojrzała mu w oczy i powiedziała już bardziej stanowczo:

- Jest bardzo duża różnica.

Oskar obserwował, jak podkurczyła palce u nóg, po chwili wyprostowała je i znów podkurczyła. Jej gołe nogi były bardzo chude, w miejscu, w którym kończyła się jej koszulka, widać było skrawek białych majtek. Wykonał ruch ręką w jej stronę.

- Jesteś... nieżywa, jak gdyby?

Roześmiała się, pierwszy raz od chwili, kiedy wszedł do mieszkania.

- Nie. Nie widać tego?
- Chodzi mi o to, czy... kiedyś... umarłaś?

- Nie. Ale żyję już bardzo długo.

- Jesteś stara?

- Nie. Mam dwanaście lat. Ale już od bardzo dawna.

- Więc jesteś stara. Tak w środku. W głowie.

- Nie. Nie jestem. To jedyna rzecz, która mnie samą też dziwi. Nie rozumiem tego. Dlaczego nigdy... w żaden sposób... nie mogę mieć więcej niż dwanaście lat.

Oskar zaczął się zastanawiać, przeciągnął dłonią po swojej kurtce.

- Może właśnie dlatego.

- Co?

- No... nie możesz zrozumieć, dlaczego masz dwanaście lat, właśnie dlatego, że masz dwanaście lat.

Eli zmarszczyła brwi.

- Chcesz powiedzieć, że jestem głupia?

- Nie. Tylko rozumiesz powoli. Tak jak małe dzieci.

- Aha. Jak ci idzie z kostką Rubika?

Oskar parsknął, spojrzał jej w oczy i przypomniało mu się, jak niekiedy wyglądały jej źrenice. Teraz były normalne, ale niekiedy robiły się dziwne, prawda? Chociaż... to było za dużo. Nie mógł w to uwierzyć.

- Eli. Ty to wszystko zmyśliłaś, prawda?

Eli pogadziła szkielet potwora na swoim brzuchu, zatrzymała rękę na jego otwartej paszczy.

- Nadal chcesz zawrzeć ze mną pakt?

Oskar cofnął się pół kroku.

- Nie.

Spojrzała na niego. Smutno, niemal z wyrzutem.

- Nie taki. Chyba rozumiesz, że... - przerwała.

Oskar ciągnął dalej.

- Jeśli chciałybyś mnie zabić, zrobiłabyś to już dawno temu.

Eli przytaknęła. Oskar cofnął się o kolejne pół kroku. Jak szybko będzie w stanie wyjść? Ma zostawić torbę? Eli zdawała się nie zauważać jego niepokoju, jego chęci ucieczki. Oskar zatrzymał się, mięśnie miał napięte.

- Czy ja się... zarażę?

Eli pokręciła głową wzrok miała nadal wbity w potwora na swoim brzuchu.

- Nie chcę nikogo zarazić. A już szczególnie nie chcę zarazić ciebie.

- Na czym miałyby to polegać? Ten pakt?

Podniosła głowę. Wpatrywała się w miejsce, w którym sądziła, że Oskar stoi; odkryła, że go tam nie ma. Zawahała się. Podeszła do niego. Wzięła jego głowę w swoje dłonie. Oskar pozwolił jej. Eli wyglądała, jakby była... pusta. Nieobecna. Ani śladu podobieństwa do twarzy, którą widział w piwnicy. Opuszki jej palców dotknęły jego uszu. Oskara powoli zaczął wypełniać spokój.

Niech się stanie.

Niech się stanie to, co ma się stać.

Twarz Eli znajdowała się dwadzieścia centymetrów od jego twarzy. Jej oddech miał dziwny zapach, przypominał ten w szopie, gdzie tata przechowywał stare żelastwo. Pachniała... rdzą. Opuszka palca musnęła jego ucho. Eli wyszeptwała:

- Jestem sama. Nikt nie wie. Chcesz?

- Tak.

Szybko przysunęła swoją twarz do jego twarzy, chwyciła ustami jego górną wargę; trzymała ją, lekko, leciutko. Jej usta były ciepłe i suche. Ślina napłynęła mu do ust; a kiedy zacisnął usta na jej dolnej wardze, stała się ona wilgotna, miękka. Ostrożnie smakowali swoje wargi, pozwalając im się wzajemnie dotykać; Oskar czuł, że znika w ciepłym mroku, który stopniowo stawał się coraz jaśniejszy, aż przeobraził się w wielką salę w pałacu, gdzie na środku stał długi stół pełen jedzenia; Oskar...

...podbiega do leżących na nim smakołyków, zaczyna jeść je rękami. Wokół niego są inne dzieci, i duże, i małe. Wszyscy sięgają po jedzenie. Przy krótszym końcu stołu siedzi... mężczyzna?... kobieta...

człowiek, w czymś, co chyba jest peruką. Bujna czupryna pokrywa mu głowę. Człowiek trzyma w ręku szklankę, napełnioną ciemnoczerwonym płynem; siedzi wygodnie na krześle, odchylony do tyłu; macza usta w płynie, zerkając zachęcająco na Oskara.

Jedzą i jedzą. W głębi sali, przy ścianie, Oskar dostrzega ludzi w nędznych ubraniach, którzy z niepokojem śledzą to, co się dzieje przy stole. Kobieta z brązową chustą na głowie stoi z rękami zacisniętymi na brzuchu i Oskarowi przychodzi na myśl: „Mama”.

Potem rozlega się stukanie w kieliszek i uwaga wszystkich skupia się na mężczyźnie przy krótkim końcu stołu. Mężczyzna wstaje. Oskar boi się go. Mężczyzna jest niski, szczupły, nienaturalnie czerwony. Twarz ma białą jak kreda. Oskar czuje, jak sok z mięsa zaczyna wyciekać mu z ust; w ustach ma mały kawałek mięsa; przesuwa go językiem dalej, w głąb.

Mężczyzna wyjmuje mały skórzany woreczek. Delikatnie rozluźnia palce, które ścisną brzegi woreczka, i na stół wypadają dwie duże białe kostki. Toczą się po stole, dźwięk odbija się echem w dużej sali; zatrzymują się. Mężczyzna bierze kostki do ręki, pokazuje je Oskarowi i pozostałym dzieciom.

Mężczyzna otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i w tym momencie małeńki kawałek mięsa wypada z ust Oskara i...

Usta Eli odsuwają się; jej dłonie puszczają jego głowę, cofa się o krok. Mimo że obraz sali balowej go przestraszył, Oskar próbuje do niego powrócić, ale obraz już zniknął. Eli przygląda mu się badawczo. Oskar trze oczy, kiwa głową.

- Więc to prawda.

- Tak.

Chwilę stoją w milczeniu. Potem Eli pyta:

- Chcesz wejść?

Oskar nie odpowiada. Eli obciąga koszulkę; podnosi ręce, pozwala im opaść.

- Nigdy cię nie skrzywdzę.

- Przecież wiem.

- O czym myślisz?

- Ta koszulka. Wzięłaś ją ze śmietnika?

- ...tak.

- Wyprałaś ją?

Eli nie odpowiada.

- Jesteś dość obrzydliwa, wiesz o tym?

- Mogę się przebrać, jeśli chcesz.

- Dobrze. Przebierz się.

Czytał o mężczyźnie leżącym na wózku, pod prześcieradłem. Rytualnym mordery.

Benke Edwards wioził wiele różnych typów korytarzami prowadzącymi do chłodni. Mężczyzn i kobiet, w każdym wieku i wszystkich gabarytów. Dzieci. Nie było specjalnego wózka dla dzieci. I nie było bardziej przykrego widoku od tej pustej przestrzeni ma wózku, kiedy wioził na nim dziecko; małeńką postać pod prześcieradłem, przyciśniętą do wezgowia. Pusta powierzchnia w nogach; gładkie prześcieradło. Ta powierzchnia to była śmierć.

Ale ten, którego teraz wioził, był dorosłym mężczyzną, mało tego: był znany.

Benke pchał wózek pustymi korytarzami. Jedyne dźwięki, jakie było słychać, to tarcie gumowych kółek o linoleum. Tutaj nie było żadnych kolorowych kresiek na podłodze. Jeśli zjawiał się tu obcy, zawsze towarzyszył mu ktoś z personelu szpitala.

Benke czekał na zewnątrz budynku, kiedy policja fotografowała ciało zmarłego. Kilku fotoreporterów stało poza wygrodzonym terenem; robili zdjęcia szpitala, używając silnych fleszy. Jutro pojawią się w gazetach, uzupełnione przerywaną kreską pokazującą, jak mężczyzna spadał.

Osobistość.

Strzęp pod prześcieradłem; kto by pomyślał. Wiedział, że mężczyzna wyglądał jak potwór, że jego ciało pękło jak balon napełniony wodą, uderzając o zamarniętą ziemię, i był wdzięczny, że leżał nakryty prześcieradłem. Pod prześcieradłem wszyscy wyglądali tak samo.

Z pewnością jednak wielu ludzi poczułoby ulgę na widok tego strzępu ludzkiego ciała, które teraz jechało do chłodni, gdzie patologowie mieli

wykonać swoją pracę, żeby potem mógł pochłonać je ogień. Mężczyzna miał na szyi ranę, która szczególnie interesowała policyjnego fotografa; chciał mieć ją na zdjęciu.

Jakie to miało teraz znaczenie?

Benke miał się w pewnym sensie za filozofa. Chyba miało to coś wspólnego z jego zawodem. Tyle razy widział, czym naprawdę był człowiek, kiedy przychodziło co do czego, że stworzył własną teorię, całkiem prostą.

- Wszystko jest w mózgu.

Jego głos odbił się echem w pustym korytarzu, kiedy zatrzymał wózek przed drzwiami chłodni, wystukał kod i otworzył drzwi.

Tak. Wszystko jest w mózgu. Od samego początku. Ciało jest jedynie rodzajem jednostki usługowej, którą mózg musi żywić, chcąc utrzymać się przy życiu. Jednak od samego początku wszystko jest tam, w mózgu. Jedyny sposób, w jaki można zmienić takiego jak ten tutaj, pod prześcieradłem, to zoperować mu mózg.

Odłączyć go.

Zamek, który miał sprawiać, żeby drzwi były otwarte jeszcze dziesięć sekund po wystukaniu kodu, wciąż nie został naprawiony. Benke musiał trzymać drzwi jedną ręką podczas gdy drugą chwycił wózek u węzłowia i skierował go do chłodni. Wózek uderzył o framugę i Benke zaklął.

Gdyby to zamek na chirurgii się zepsuł, naprawiliby go w pięć sekund.

Wtedy spostrzegł coś dziwnego.

Nieco niżej, po lewej stronie od wzgórka, który był głową mężczyzny, na prześcieradle pokazała się brunatna plama. Kiedy Benke się schylił, żeby lepiej jej się przyjrzeć, drzwi za nimi się zamknęły. Plama zaczęła się powoli powiększać.

On krwawi.

Benke nie należał do bojaźliwych. Poza tym takie rzeczy zdarzały się już wcześniej. Prawdopodobnie pod czaszką zebrało się trochę krwi, która wypłynęła, kiedy wózek uderzył o framugę.

Plama na prześcieradle się powiększała.

Benke podszedł do szafki z materiałami opatrunkowymi, wziął taśmę chirurgiczną i gazę. Zawsze bawiło go, że szafka znajdowała się w takim miejscu jak to, ale przecież jej zawartość przeznaczona była na wypadek, gdyby ktoś żywy się tu skaleczył, przyciął sobie palec przy zdejmowaniu noszy czy coś podobnego.

Położył rękę na prześcieradle, tam, gdzie była plama, i wziął się w garść. Oczywiście nie bał się trupów, ale ten prezentował się cholernie kiepsko. A teraz Benke musiał przykleić mu plaster. Jeśli pobrudzi chłodnię krwią, dostanie burę.

Przełknął ślinę i odciągnął prześcieradło.

Twarzy mężczyzny nie dało się opisać. To cud, że z taką twarzą żył jeszcze tydzień. Nic nie przypominało niczego co ludzkie, poza jednym uchem i... okiem.

Czy nie mogli... je zalepić?

Oko było otwarte. Jasne. Nie było powieki, którą dałoby się na nie naciągnąć. Było tak uszkodzone, że nawet białko wydawało się całe w bliznach.

Benke oderwał wzrok od martwego i kupił się na tym, co miał zrobić. Źródłem plamy wydawała się rana na szyi.

Rozległo się łagodne bulgotanie; Benke szybko rozejrzał się dookoła. Cholelery. Nerwy go jednak zawodziły. Znow to bulgotanie. Dochodziło od strony jego stóp. Spojrzał w dół. Kropla wody skapnęła z wózka i wylądowała najego butach. Chlup.

Woda?

Sprawdził ranę na szyi mężczyzny. Pod nią utworzyła się kałuża, z której teraz coś się przelewało poza wózek.

Chlup.

Przesunął stopę. Kolejna kropla spadła na ceramiczną podłogę.

Chlup.

Dotknął płynu w kałuży, potarł palec o kciuk. To nie była woda. To był jakiś gęsty, ciągnący się, przezroczysty płyn. Powąchał palce, nie rozpoznawał zapachu.

Kiedy spojrział na białą podłogę, dostrzegł, że zaczynała się na niej tworzyć kolejna kałuża. Płyn nie był przezroczysty, był jasnorożowy. Wyglądał jak krew, która rozwarstwiała się w woreczkach transfuzyjnych. Jak to, co zostało po tym, kiedy czerwone ciałka krwi opadły na dno.

Plazma.

Mężczyzna krwawił plazmą.

Jak to możliwe, tym zajmą się jutro specjaliści, a raczej dzisiaj. Jego zadaniem było zatrzymać krwawienie, żeby nie dopuścić do pobrudzenia pomieszczenia. Chciał wrócić do domu. Wśliznąć się do łóżka obok swojej śpiącej żony, przeczytać kilka stron *Bestii z Säffle*, a potem zasnąć.

Benke złożył gazę, robiąc z niej gruby kompres, i przycisnął do rany. Jak przytwierdzi go taśmą? Pozostała część szyi mężczyzny była tak uszkodzona, że trudno było znaleźć kawałek całej skóry. Wszystko jedno. Chciał wracać do domu. Wziął długie kawałki taśmy, poprzyklejał je na krzyż na szyi, pewnie będzie się później musiał tłumaczyć, ale do diabła z tym.

Jestem dozorcą nie chirurgiem.

Kiedy kompres został założony, wytarł wózek i startł podłogę. Potem wjechał wózkami do boksu numer 4, wytarł o siebie ręce. Wszystko się zgadzało, gotowe. Dobrze wykonane zadanie; w przyszłości będzie miał o czym opowiadać. Sprawdził jeszcze ostatni raz; gasząc światło, zaczynał się zastanawiać, jak opowie tę historię.

„Słyszeliście o tym mordercy, który spadł z ostatniego piętra? Musiałem się potem nim zająć; kiedy zjechałem z nim do chłodni, zobaczyłem coś dziwnego...”

Pojechał windą na górę, do swojego pokoju, umył dokładnie ręce, przebrał się, wychodząc, rzucił fartuch do prania. Zszedł na parking i zanim uruchomił silnik, wypalił jeszcze w spokoju papierosa. Zgasił go w popielniczkę, która zdecydowanie wymagała już opróżnienia, i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Samochód stawiał opór, jak zawsze, kiedy było zimno albo wilgotno. W końcu jednak zawsze zapalał. Musiał tylko najpierw trochę pomarudzić. Kiedy przy trzeciej próbie warkot przeszedł w łagodne mruczenie, zrozumiał, co było nie tak.

Nie koagulowała.

Właśnie. To, co wyciekało z szyi mężczyzny, nie koagulowało pod kompresem. Gaza przemięknie i płyn będzie ciekł na podłogę... a kiedy za kilka dni otworzą drzwi...

Cholera!

Wyciągnął kluczyk ze stacyjki, wcisnął go zły do kieszeni, wysiadł z samochodu i ruszył w stronę szpitala.

Duży pokój nie był tak pusty jak korytarz i kuchnia. Stały tu kanapa, fotele i czarny stolik z mnóstwem drobiazgów. Trzy kartony ustawiono jeden na drugim obok kanapy. Lampa stojąca dawała słabe, żółte światło, które padało na stolik. I to wszystko. Żadnych dywanów, żadnych obrazów, żadnego telewizora. Grube koce zasłaniały okna.

Wygląda jak więzienie. Duże więzienie.

Oskar zagwizdał, na próbę. Tak. Było echo, ale niezbyt silne. Pewnie z powodu koców. Postawił torbę obok fotela. Rozległ się stuk, kiedy metalowy bolec dotknął twardej korkowej podłogi; pojedynczy dźwięk.

Zaczął się przyglądać leżącym na stoliku rzeczom; z pokoju obok wyszła Eli; teraz miała na sobie zbyt obszerną koszulę w kratkę. Oskar wskazał ręką na pokój.

- Wy się wyprowadzacie?
- Nie. Czemu pytasz?
- Tak tylko pomyślałem.
- Wy?

Że też od razu o tym nie pomyślał. Oskar powiódł wzrokiem po rzeczach na stoliku. Wyglądały na zabawki, wszystkie. Stare zabawki.

- Ten facet, który tu wcześniej mieszkał. To nie był twój ojciec, prawda?
- Nie.
- On też był...?
- Nie.

Oskar pokiwał głową, znów rozejrzał się po pokoju. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś mógłby tak mieszkać. Chyba że...

- Ty nie jesteś przypadkiem... biedna?

Eli podeszła do stolika, wzięła coś, co wyglądało jak czarne jajko i podała mu je. Oskar nachylił się, przysunął je do lampy, żeby lepiej widzieć.

Powierzchnia jajka była chropowata, a kiedy Oskar dokładniej się jej przyjrzał, zobaczył, że jest pokryta tysiącem wijących się złotych nici. Jajko było ciężkie, jakby całe zrobione z jakiegoś metalu. Obracając je w rękę, zauważył, że złote nitki były lekko zagłębione w powierzchni jajka. Eli stanęła obok Oskara, znów poczuł ten zapach... zapach rdzy.

- Ile to może być warte, jak sądzisz?
- Nie wiem. Dużo?
- Są tylko takie dwa. Gdyby mieć je oba, można byłoby je sprzedać i kupić za nie... może elektrownię atomową.
- Co ty mówisz...?
- Dokładnie nie wiem. Ile kosztuje taka elektrownia? Pięćdziesiąt milionów?

- Chyba parę... miliardów.
- Ach tak. No to elektrownia nie wchodzi w grę.
- A po co ci elektrownia atomowa?

Eli się roześmiała.

- Weź je w ręce. Zrób z dłoni miseczki. Obracaj je w rękę.

Oskar zrobił tak, jak pokazała mu Eli. Zaczął ostrożnie obracać jajko w dłoniach i poczuł, jak... pęka, rozsypuje mu się w rękach. Zamarł i uniośł dłoń, którą je przykrywał. Jajko zamieniło się w stertę setek... tysięcy kawałków skorupki w jego rękę.

- Przepraszam! Byłem ostrożny, ja...
- Ciiii. To tak ma być. Uważaj, żebyś nie zgubił jakiegoś kawałka. Wyłóż je tutaj.

Eli wskazała na kawałek białego papieru, który leżał na stoliku obok kanapy. Oskar wstrzymał oddech, kiedy zaczął wysypywać błyszczące kawałki skorupki. Pojedyncze kawałki były niniejsze niż kropla wody; palcami drugiej ręki musiał zetrzeć je z dłoni, żeby nie pominąć żadnego kawałka skorupki.

- Zbiło się.
- Tu, spójrz.

Eli przysunęła lampę bliżej stołu, skupiła jej słabe światło nad stosem metalowych kawałków. Oskar pochylił się i patrzył. Kawałek, nie większy od kleszcza, leżał tuż obok kupki; a kiedy przyjrzał mu się naprawdę dokładnie, zobaczył, że z jednej strony ma wcięcia, a z drugiej niemal mikroskopijne wybrzuszenia. Zrozumiał.

- To jest układanka.

- Tak.
- Ale... będziesz potrafiła ją ułożyć?
- Myślę, że tak.
- To zajmie wieczność.
- Tak.

Oskar zaczął się przyglądać innym kawałkom, które leżały rozsypane obok kupki. Wydawały się dokładnie takie same jak ten pierwszy, ale kiedy przyjrzał się im jeszcze dokładniej, zobaczył, że są drobne różnice. Wycięcia nie były dokładnie w tych samych miejscach, podobnie jak wypukłości. Dojrzał też kawałek, który miał jedną stronę gładką, zakończoną cienką jak włos złotą nitką. Leciutko wystającą.

Opadł na jeden z foteli.

- Ja bym zwariował.
- Pomyśl o tym, który to zrobił.

Eli wzniosła oczy do nieba, wystawiła język, tak że prawie wyglądała jak pies Toker. Oskar zaczął się śmiać. Ha, ha. Dźwięk jakby zastygł, drgał w ścianach. Pojedynczy dźwięk. Eli usiadła na kanapie ze skrzyżowanymi nogami i patrzyła na niego... wyczekując. Unikał jej wzroku, patrzył ponad blatem, krajobraz zabawek w ruinie.

Posępny obraz.

Nagle znów poczuł się zmęczony. Nie była Jego dziewczyną", nie mogła nią być. Była... czymś innym. Między nimi był dystans, którego nie można było... Zaniknął oczy, oparł się w fotelu, to czarne pod jego powieką to była ta przestrzeń, która ich dzieliła.

Zdrzemnął się, zapadł w trwający zaledwie chwilę sen.

Przeźrenie między nimi wypełniła się brzydkimi, lepkimi owadami, które leciały w jego stronę; kiedy się zbliżyły, zobaczył, że mają zęby. Pomachał ręką, żeby się od nich odgonić, i się obudził. Eli siedziała na kanapie i przyglądała mu się.

- Oskarze. Jestem człowiekiem, tak samo jak ty. Przyjmij po prostu, że mam... bardzo rzadką chorobę.

Oskar przytaknął.

Przyszła mu do głowy pewna myśl. Coś. Pewien kontekst. Nie mógł jej uchwycić. Opuścił. Ale wtedy pojawiła się ta druga myśl, ta niedobra. Że Eli tylko udawała. Że w jej wnętrzu tkwił prastary człowiek, który teraz mu się przyglądał, wiedział wszystko i drwił sobie z niego w ukryciu.

Tak nie może być.

Żeby czymś się zająć, zaczął szukać w torbie swojego walkmana, wyjął kasety, przeczytał tytuł: Kiss: *Unmasked*; odwrócił: Kiss: *Destroyer*, włożył ją z powrotem.

Powinienem iść do domu.

Eli nachyliła się na kanapie.

- Co to jest?
- To? Walkman.
- Służy do... słuchania muzyki?
- Tak.

Ona nic nie wie. Jest superinteligentna i nic nie wie. Co ona robi całymi dniami? Śpi, oczywiście. Gdzie trzyma trumnę? Właśnie. Kiedy była u niego, nigdy nie spała. Leżała tylko w jego łóżku i czekała, aż zrobi się widno. „Chcąc żyć, iść muszę...”

- Mogę spróbować?

Oskar podał jej walkmana. Wzięła go, ale sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co ma z nim zrobić; założyła słuchawki na uszy i spojrzała na niego pytająco. Oskar wskazał na przyciski.

- Wciśnij ten, na którym jest napisane „play”.

Eli przebiegła wzrokiem przyciski, nacisnęła „play”. Oskar poczuł spokój. To było coś normalnego; puszczał swoją muzykę znajomej osobie. Był ciekaw, czy Eli spodoba się zespół.

Oskar nawet ze swojego fotela usłyszał drażniący, jazgotliwy szept gitary, bębny i głos. Włączyła w samym środku jednego z cięższych kawałków.

Oczy Eli się otworzyły, krzyknęła z bólu; Oskar tak się przestraszył, że opadł do tyłu. Fotel się zachwiał, przechylił. Oskar widział, jak Eli zdarła słuchawki tak gwałtownie, że wyrwała kabelki; odrzuciła je, przycisnęła ręce do uszu, zaczęła zawodzić.

Oskar siedział z otwartymi ustami; widział, jak słuchawki lecą przez pokój i uderzają o ścianę. Wstał, podniósł je. Były całkowicie zniszczone. Oba kabelki się poluzowały. Położył je na stole i znów opadł na fotel.

Eli oderwała ręce od uszu.

- Przepraszam... To bardzo bolało.
- Nie szkodzi.
- Był drogi?
- Nie.

Eli zdjęła najwyżej stojący karton i sięgnęła do niego ręką. Wyjęła kilka banknotów, podała Oskarowi.

- Masz.

Wziął banknoty, przeliczył. Trzy banknoty po tysiąc koron i dwa po sto koron. Poczuł coś w rodzaju strachu; patrzył na kartony, z których wzięła pieniądze, potem na Eli, i znów na banknoty.

- Ja... dałem za niego pięćdziesiąt koron.
- Mimo to weź je.
- Ale... tylko słuchawki się zniszczyły, a one...
- Daję ci je. Proszę.

Oskar wahał się; po chwili wsunął banknoty do kieszeni spodni; przeliczył je na ulotki reklamowe. Mniej więcej rok pracy, wszystkie soboty, może...

dwadzieścia pięć tysięcy rozdanych ulotek. Sto pięćdziesiąt godzin. Więcej. Majątek. Banknoty trochę go uwierały.

- Dziękuję.

Eli pokiwała głową, wzięła ze stołu coś, co wyglądało na motek splątanych supełków, ale prawdopodobnie było układanką. Oskar przyglądał się, kiedy zaczęła je rozvikływać. Pochyliła kark; długimi, szczupłymi palcami przebiegała po supełkach. Przypomniał sobie wszystko, co mu opowiadała. O ojcu, ciotce, mieście, szkole, do której chodziła. Kłamstwa, wszystko to kłamstwa.

Skąd miała te pieniądze? Zwinęła komuś?

Uczucie było tak dziwne, że najpierw w ogóle nie rozumiał, co się dzieje. Zaczęła drętwieć mu skóra, potem poczuł to w mięśniach; zimny, ostry łuk biegnący od żołądka do głowy. Był... zły. Nie zrozpaczony czy przerażony. Zły.

Bo okłamała go, a potem... komu ukradła te pieniądze? Komuś, kogo...? Skrzyżował ręce na brzuchu, odchylił się do tyłu.

- Zabijasz ludzi.

- Oskarże...

- Jeśli to prawda, to musisz zabijać ludzi. I okradać ich.

- Ja te pieniądze dostałam.

- Tylko kłamiesz. Cały czas.

- To prawda.

- Co? Że kłamiesz?

Eli położyła motek z supełkami na stole; patrzyła na niego udreńczonymi oczami; rozłożyła ręce:

- Co chcesz, żebym zrobiła?

- Daj mi jakiś dowód.

- Na co?

- Że jesteś taka... jak twierdzisz, że jesteś.

Długo mu się przypatrywała. Potem pokręciła głową.

- Nie chcę.

- Dlaczego?

- Zgadnij.

Oskar zapadł się głębiej w fotelu. Pod ręką czuł zwitek banknotów w kieszeni spodni. Przed oczami miał sterty ulotek. Te, które wczoraj nadeszły. Te, które musiał roznieść do wtorku. Szare zmęczenie w całym ciele. Szarość w głowie. Złość. „Zgadnij”. Kolejna gra. Kolejne kłamstwa. Chciał odejść. Spać.

Pieniądze. Dała mu pieniądze, żeby został.

Wstał z fotela, wyjął zmięty zwitek banknotów z kieszeni, położył na stole, z wyjątkiem stu koron. Banknot stukoronowy włożył do kieszeni i powiedział:

- Muszę iść do domu.

Pochyliła się do przodu, chwyciła jego dłoń.

- Zostań. Proszę.

- Po co? Ty tylko kłamiesz.

Próbował od niej odejść, ale chwyt wokół jego dłoni stał się mocniejszy.

- Puść mnie!

- Nie jestem potworem do pokazywania w cyrku!

Oskar zagryzł zęby, powtórzył spokojnie:

- Puść mnie!

Nie puszczała. Zimny łuk złości w piersi Oskara zaczął wibrować, śpiewać. Oskar rzucił się na nią. Natarł na ją, zmusił, żeby usiadła na kanapie. Nie odważyła mu się przeciwstawić; przyparł ją do podłokietnika kanapy, usiadł okrakiem na klatce piersiowej, a łuk zgiął się, drżał, wybuchł czarnymi kropkami w jego oczach, kiedy podniósł rękę i z całej siły uderzył ją w twarz.

Głośne klaśnięcie odbiło się od ściany; jej głowa poleciała na bok; z ust pociekła jej ślina; ręka zaczęła go piec, kiedy łuk w jego piersi się złamał, rozsypał na kawałki i złość się rozpląnęła.

Siedział jej na piersi; patrzył zdezorientowany na jej małą główkę, której profil odcinał się od czarnej skóry kanapy, podczas gdy duży rumiany kwiat pojawił się na policzku. Leżała cicho, z otwartymi oczami. Zakrył twarz dłońmi.

- Przepraszam. Przepraszam. Ja...

Nagle się odwróciła; zrzuciła go z piersi, wcisnęła w oparcie kanapy. Oskar próbował chwycić ją za ramiona, ale nie trafił; złapał ją za biodra i wyładowała z brzuchem na jego twarzy. Odrzucił ją, wykonał obrót; oboje próbowali się chwycić.

Kotłowali się na kanapie; walczyli ze sobą. Mięśnie mieli spięte, byli poważni. Ale i ostrożni; uważali, żeby nie zrobić drugiemu krzywdy. Wili się, uderzyli o stół.

Kawałki czarnego jajka spadły na podłogę, jakby lekki deszcz uderzał o blaszany dach.

Nie chciało mu się iść po fartuch. Skończył już zmianę.

To jest mój wolny czas i to, co robię, robię wyłącznie dla przyjemności.

Weźmie jeden z dodatkowych fartuchów, które wisały w chłodni, jeśli się okaże, że jest tam... brudno. Nadjechała winda, wsiadł, wcisnął dwójkę, poziom piwnicy. Co robi, jeśli to się okaże prawdą? Zadzwoni i poprosi kogoś z ostrego dyżuru, żeby przyszedł i zszyl trupa? W takich przypadkach nie istniały żadne procedury.

Prawdopodobnie krwawienie, czy jak to nazwać, już ustało, ale musi sprawdzić. Inaczej nie zaśnie. Będzie leżał i słyszał to kapanie.

Wysiadając z windy, uśmiechnął się sam do siebie. Ilu normalnych ludzi odważyłoby się zrobić coś takiego bez strachu? Niewielu. Był

zadowolony z siebie, bo... wykonał swój obowiązek. Wziął na siebie odpowiedzialność.

Chyba po prostu nie jestem zupełnie normalny.

Nie mógł zaprzeczyć, że coś w nim miało nadzieję, że... że krwawienie nie ustało, że będzie musiał zadzwonić na ostry dyżur, że zrobi się mały cyrk. Mimo że naprawdę chciał wrócić do domu i iść spać. Wtedy opowieść byłaby jeszcze lepsza.

Tak, chyba jednak nie był normalny. Z trupami nie miał żadnych problemów; maszyny z wygaszonymi mózgami. Natomiast korytarze na dole sprawiały, że stawał się nerwowo.

Już na samą myśl o labiryncie tuneli dziesięć metrów pod ziemią; o tych pustych salach i pomieszczeniach, funkcjonujących jak jednostka administracyjna w Piekło. Takie duże. Takie ciche. Takie puste.

W porównaniu z tym ciała były pestką.

Wystukał kod, z przyzwyczajenia nacisnął klamkę, która wydała cichy bezradny pisk. Pchnął drzwi ręką i wszedł do chłodu; naciągnął gumowe rękawiczki.

A to co?

Mężczyzna, którego zostawił okrytego prześcieradłem, leżał teraz nagi. Jego członek był w stanie erekcji, sterczał pionowo. Prześcieradło leżało na podłodze. Zniszczona papierosami krtań Benkego wydała z siebie pisk, kiedy gwałtownie wciągnął powietrze.

Mężczyzna nie był martwy. Nie. Nie był martwy... bo się ruszał.

Powoli, jakby śpiąc, obrócił się na wózek. Macał rękami w powietrzu i Benke mimo woli zrobił krok do tyłu, kiedy coś - trudno było powiedzieć, czy to była ręka - musnęło jego twarz. Mężczyzna próbował się podnieść, upadł na stalowy wózek. Oko patrzyło prosto przed siebie, nie mrugało.

Jakiś dźwięk. Mężczyzna wydał jakiś dźwięk.

- Eeeeeeeee . . .

Benke przeciągnął dłonią po twarzy. Coś stało się z jego skórą. Jego dłoń... spojrzał na nią. Gumowe rękawiczki.

Za dłoni widział, że mężczyzna ponownie próbuje się podnieść.

Co, do cholery, ma robić?

Mężczyzna znów opadł na wózek, miękkie uderzenie. Kilka kropli tej cieczy opryskało twarz Benkego. Próbował zetrzeć je gumową rękawiczką, ale tylko jeszcze bardziej je rozmazał.

Dziesięć pięt. Spadł z dziesięciu pięt.

Okej. Okej. To jest konkretna sytuacja. Musisz działać.

Jeśli mężczyzna nie był martwy, musiał być przynajmniej umiarkowany. Wymagał opieki.

- Eeeee...

- Jestem tutaj. Pomogę ci. Zawiozę cię na ostry dyżur. Spróbuj leżeć spokojnie. Ja...

Benke podszedł i położył ręce na przęcającym się ciele mężczyzny. Niezdeformowana ręka mężczyzny uniosła się i chwyciła Benkego za nadgarstek. Cholera, ale był mocny. Benke musiał użyć obu rąk, żeby wyzwolić się z jego chwytu.

Jedyne, czym mógł przykryć mężczyznę, żeby go ogrzać, było prześcieradło, które leżało na noszach. Wziął trzy sztuki i przykrył nimi ciało, które cały czas się przęcało i wiło jak robak na haczyku, i wydawało ten dźwięk. Nachylił się nad mężczyznę, który nieco się uspokoił po tym, jak Benke okrył go prześcieradłami.

- Jak najszybciej postaram się zawieźć cię na ostry dyżur, dobrze? Spróbuj leżeć spokojnie.

Pchnął wózek w kierunku drzwi i mimo tych okoliczności, przypomniał sobie, że zamek nie funkcjonował. Podszedł do wezłowania wózka, otworzył drzwi i spojrzał w dół na głowę mężczyzny. Pożałował, że to zrobił.

Usta, które nie były ustami, otwierały się.

Na wpeł zablizniona rana otworzyła się, wydając dźwięk jak przy zdzieraniu skóry z ryby; pojedyncze pasemka jasnoróżowej skóry nie chciały się jednak poddać, tylko naciągnęły się jeszcze bardziej, kiedy otwór w dole twarzy zaczął się powiększać.

- Aaaaaa!

Wrzask odbił się echem w pustych korytarzach i serce Benkego zaczęło szybko bić.

Leż spokojnie! Bądź cicho!

Gdyby miał w ręku młotek, istniało spore ryzyko, że uderzyłby prosto w tę wstrętą, drżącą masę z tym gapiącym się okiem; pasemka skóry na ustach zaczęły pękać, jak zbyt mocno naciągnięte gumki; Benke widział białe zęby mężczyzny, świecące bielą wśród czerwono-brunatnej mazi, która była jego twarzą.

Podszedł do wózka od strony nóg; zaczął pchać wózek korytarzem do windy. Właściwie to biegł, przerażony, że mężczyzna przekreśli się na wózek i spadnie.

Korytarze wydawały mu się nieskończenie długie, jak w jakimś koszmarze. Właśnie. To było koszmar. Wszystkie rozmyślenia o „dobrej historii”, którą potem będzie opowiadać, zniknęły. Walczył, żeby dostać się do jakiegoś miejsca, gdzie będą ludzie, żywi ludzie, którzy uwolnią go od potwora leżącego i wrzeszczącego na wózek.

Dotarł do windy i wcisnął guzik, żeby ściągnąć ją na dół; wyobraził sobie drogę do izby przyjęć. Pięć minut i będzie na miejscu.

Już na poziomie parteru na pewno znajdzie się ktoś, kto mu pomoże. Jeszcze dwie minuty i wróci do rzeczywistego świata.

No, przyjeźdź, przeklęta windo!

Zdrowa ręka mężczyzny zaczęła machać.

Benke spojrział na nią i zamknął oczy, otworzył je. Mężczyzna próbował coś powiedzieć. Usiłował go przywołać. Więc był przytomny.

Benke stanął obok wózka, pochylił się nad nim.

- Tak? O co chodzi?

Nagle ręka chwyciła go za kark; musiał pochylić głowę, stracił równowagę, upadł na mężczyznę. Ręka trzymała go w żelaznym uchwycie, jego głowa pochylała się coraz bardziej w stronę... dziury.

Benke próbował chwycić się stalowych rurek u węzłowia wózka i się uwolnić, ale ręka odkręciła jego głowę na bok; jego oczy znalazły się zaledwie kilka centymetrów od przemoczonego kompresu na szyi mężczyzny.

- Puść mnie, do...

Palec wbił mu się w ucho, słyszał, jak pękają mu kości w przewodzie słuchowym, palec wwiercał się coraz głębiej. Zaczął wierzgać nogami, trafił w stalową rurkę pod wózkiem i zaczął krzyczeć.

Potem poczuł, jak zęby wbijają się w jego policzek, a palec utkwiał w jego uchu tak głęboko, że coś zgasło, coś zgasło... i się poddał.

Ostatnie, co zobaczył, to przemoczony kompres, który na jego oczach zaczął zmieniać kolor: zrobił się jasnoczerwony.

Mężczyzna zjadał jego twarz.

Ostami dźwięk, jaki usłyszał to

pling

kiedy przyjechała winda.

Leżeli obok siebie na kanapie, spoceni. Z trudem łapali oddech. Ciało Oskara było obolałe, był wykończony. Ziewnął, aż zatrzeszczała mu szczęka. Eli też ziewnęła. Oskar odwrócił głowę w jej stronę.

- Przestań.

- Przepraszam.

- Ty przecież nie jesteś śpiącą, prawda?

- Nie.

Oskar starał się nie zamykać oczu, mówił, niemal nie poruszając wargami. Twarz Eli stawała się rozmazana, nierzeczywista.

- Co robisz? Żeby zdobyć krew?

Eli popatrzyła na niego. Długo. Potem najwyraźniej podjęła decyzję, bo Oskar zobaczył, jak coś zaczęło się ruszać wewnątrz jej policzków, wyduła wargi, jakby obracała wewnątrz językiem. Potem otworzyła usta, szeroko.

I wtedy zobaczył jej zęby. Znowu zaniknęła usta.

Oskar odwrócił głowę; patrzył w sufit, gdzie nie pajączyny oplatała nieużywaną lampę. Nawet nie potrafił się zdziwić. Ach tak. Była wampirem. Ale to przecież już wiedział.

- Jest was dużo?

- Was?

- Dobrze wiesz.

- Nie, nie wiem.

Oskar wodził wzrokiem po suficie; próbował znaleźć więcej pajęczyn. Znalazł dwie. Miał wrażenie, że na jednej widzi pająka. Zamrugał. Znowu zamrugał. W oczach miał piasek. Pająka nie było.

- Jak chcesz, żebym cię nazywał? Skoro jesteś tym, kim jesteś.

- Eli.

- Tak masz na imię?

- Prawie.

- Więc jak się nazywałeś?

Paauza. Eli odsunęła się od niego, przesunęła w stronę oparcia kanapy, usiadła bokiem do niego.

- Elias.

- Ale to jest... imię chłopca.

- Tak.

Oskar zamknął oczy. Nie miał już siły. Powieki mu się kleiły. Jakaś czarna plama zaczęła się nagle rozrastać i po chwili pochłonięła jego ciało. Z tyłu głowy kołatała mu słaba myśl, że powinien coś powiedzieć, coś zrobić. Ale nie miał siły.

Czarna plama wessała go w ekspresowym tempie. Zasyssała go, wchłaniała; jakby zrobił koziołka w przestrzeń, w sen.

Gdzieś w oddali czuł, że ktoś gładzi jakiś policzek. Nie zdążył nawet pomyśleć, że skoro on to czuje, to musi to być jego policzek. Gdzieś, na odległej planecie, ktoś ostrożnie gładził kogoś po policzku.

To dobrze.

A potem były już tylko gwiazdy.

CZĘŚĆ CZWARTA

NADCIĄGA DRUŻYNA TROLLA!

*Nadciąga drużyna trolla
Nikommu nie przepuści.*

Misiek w lesie trolli

NIEDZIELA

8 LISTOPADA

MOST TRANEBERG. Kiedy w 1934 roku został oddany do użytku, stał się obiektem dumy narodowej. Największy na świecie most betonowy o jednym przęsle. Wielki łuk, przerzucony między Kungsholmen a zachodnimi dzielnicami, na które wtedy składały się małe skupiska domków z ogródkami na Brommie i w Appelviken. I domki z gotowych prefabrykowanych elementów, należące do stowarzyszenia właścicieli siedlisk w Ängby.

Ale nowoczesność była już w drodze. Pierwsze prawdziwe przedmieścia z trzypiętrowymi blokami były już gotowe w Tranebergu i Abrahamsbergu, a państwo skupowało duże tereny na zachodzie, żeby za kilka lat ruszyć tam z budową kolejnych dzielnic: Vällingby, Hasselby i Bläckeberg.

Dla nich wszystkich most Traneberg stał się przeprawą. Niemal wszyscy przybywający z zachodu bądź zmierzający na zachód musieli przejechać przez most.

Już w latach sześćdziesiątych pojawiły się alarmujące wieści, że most niszczy się w wyniku dużego ruchu, który nadmiernie go obciąża. Zaczęto go etapami naprawiać i wzmacniać, ale wielka przebudowa, o której od czasu do czasu wspomiano, należała wciąż do przyszłości.

Tak więc ósmego listopada 1981 roku most wyglądał na zmęczony. Jak starzec, który przeżył już swoje życie i teraz ze smutkiem wspomina czasy, kiedy niebo wydawało się jaśniejsze, chmury lżejsze i kiedy był największym betonowym łukiem na świecie.

O świecie mróz zelżał, topniejący śnieg wdzierał się w szpary mostu. Nikt nie odważył się posypywać go solą, bo mogłoby to jeszcze bardziej nadwerężyć starzejący się beton.

O tej porze ruch jest niewielki; szczególnie w niedzielę. Metro skończyło nocne kursy, a przejeżdżający mostem kierowcy marzyli, by dotrzeć do swoich łóżek bądź, by móc do nich powrócić.

Benny Melin był wyjątkiem. Oczywiście też tęsknił za swoim łóżkiem, ale przede wszystkim cieszył się, że będzie mógł spokojnie zasnąć.

Osiem razy spotykał się z różnymi kobietami, poznanymi przez ogłoszenia w prasie, jednak Betty, z którą umówił się na spotkanie w sobotni wieczór, była pierwszą... przy której poczuł, że coś zaiskrzyło, kiedy się spotkali.

Coś z tego będzie. Oboje byli tego pewni.

Nawet żartowali, jak to śmiesznie brzmi: Benny i Betty. Jak para komików, ale co można było poradzić. A jeśli będą mieli dzieci, to jak dadzą im na imię? Lenny i Netty?

Naprawdę dobrze się bawili. Siedzieli w jej mieszkaniu na Kungsholmen i opowiadali o swoich światach, próbując złożyć je w całość, zresztą z dość miernym skutkiem. Nad ranem mieli do wyboru dwa rozwiązania. Benny, mimo pewnych oporów, postąpił, jak uznał za stosowne. Powiedział „do widzenia” i obiecał wpaść w niedzielę wieczorem; wsiadł do samochodu i ruszył w stronę Brommaplan, wyśpiewując głośno „I can't help falling in love with you”.

Tak więc Benny nie miał siły narzekać czy nawet zauważyć, w jak kiepskim stanie znajdował się tego niedzielnego poranka most Traneberg. Dla niego był to most do rajów, do miłości.

Właśnie dotarł do jego końca, po stronie Tranebergu, i po raz dziesiąty zaczął powtarzać refren piosenki, kiedy w świetle reflektorów, na środku jezdni pojawiła się ta niebieska postać.

Zdażył pomyśleć: Nie hamuj. Zanim zdjął nogę z gazu i skręcił w bok kierownicę, zniosło go na lewą stronę; odległość między nim a człowiekiem na jezdni wynosiła jakieś pięć metrów. Mignęła mu przed oczami niebieska koszula i białe nogi, zanim bok samochodu uderzył w betonową barierkę między pasmami ruchu.

Huk był taki, że ogłuchł, kiedy samochód przywarł do bariery. Boczne lustro urwało się i odpadło; drzwi od strony kierowcy zatrzymały się na jego biodrze; po chwili samochód odbił i wyrzuciło go na jezdnię.

Usiłował opanować poślizg, ale wóz przeleciał na drugą stronę i uderzył w barierkę obok chodnika dla pieszych. Drugie lustro się oderwało; przeleciało przez poręcz mostu, odbijając w niebo światła reflektorów oświetlających most. Ostrożnie wyhamował; kolejny poślizg był już łagodniejszy; samochód ledwie się otarł o betonową barierkę.

Po jakichś stu metrach udało mu się zatrzymać auto. Odetchnął, siedział spokojnie z rękami na kolanach; silnik nadal pracował. Poczul w ustach smak krwi, pewnie ugryzł się w wargę.

Co to za szaleniec?

Spojrzał w tylne lustro; w żółtej poświacie latarni widział, jak człowiek się podnosi i idzie dalej środkiem jezdni, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło. Zezłościł się. Szaleniec czy nie, ale jakieś granice chyba istniały.

Spróbował otworzyć drzwi od strony kierowcy, ale nie dał rady. Zamek był wgięty. Odpiął pas i przeczołgał się na siedzenie pasażera. Zanim udało mu się wydostać z samochodu, włączył światła awaryjne. Stał obok samochodu ze skrzyżowanymi rękami, czekał.

Widział, że mężczyzna, który szedł mostem, miał na sobie rodzaj szpitalnej koszuli i nic poza tym. Gołe nogi, stopy. Postanowił spróbować przemówić mężczyźnie do rozumu.

Mężczyźnie?

Postać się zbliżała. Stopy rozbryzgiwały błoto; szedł, jakby miał do piersi przytroczonej nić, która nieubłaganie ciągnęła go do przodu. Benny zrobił krok w jego stronę i się zatrzymał. Człowiek był teraz jakieś dziesięć metrów od niego i Benny widział wyraźnie jego... twarz.

Zaczerpnął powietrza, oparł się o samochód. Potem szybko wczołgał się do środka przez siedzenie pasażera, wrzucił jedynkę i odjechał z piskiem opon; błoto tryskało spod kół, ochlapując pewnie też... to coś na drodze.

Kiedy wrócił do swojego mieszkania, nalał sobie whisky, wypił pół szklanki. Potem zadzwonił na policję. Opowiedział, co się wydarzyło. Wypił resztę whisky i zaczął się zastanawiać, czy mimo wszystko nie powinien iść spać. Wtedy akcja była już w toku.

Przeczesano cały las Judarnskogen. Pięć psów, dwudziestu policjantów. Nawet śmigłowiec, co było dość niezwykle przy tego rodzaju poszukiwaniach.

Ranny, zabłąkany mężczyzna. Jeden policjant z psem powinien go znaleźć.

Sprawa była jednak wysoce medialna (dwóch funkcjonariuszy oddelegowano do zajęcia się dziennikarzami, tłoczącymi się wokół szklarni Weibulla, przy stacji metra Åkeshov); chciano pokazać, że policja nie próżnuje nawet w niedzielny poranek.

Poza tym znaleziono Bengta Edwardsa.

To znaczy, zakładano, że jest to Bengt Edwards, bo to coś, co znaleziono, miało na sobie obrączkę z wygrawerowanym imieniem: Gunilla.

Koledzy Benkego wiedzieli, że Gunilla to imię jego żony. Nikt jednak nie potrafił się zdobyć na to, żeby do niej zadzwonić. Powiedzieć, że nie żył, chociaż właściwie wcale nie byli pewni, czy to był on. Spytać, czy wie, czy może miał jakieś charakterystyczne znaki na... dolnej części ciała?

Patolog, który przyszedł o siódmej rano, żeby zająć się ciałem rytualnego mordercy, otrzymał nowe zadanie. Gdyby pokazano mu resztki tego, co, jak sądzono, było pozostałością ciała Bengta Edwardsa, i gdyby nie znał okoliczności zdarzenia, uznałby pewnie, że ciało wiele dni przeleżało na zewnątrz, na silnym mrozie.

W tym czasie zostało zbezczeszczone przez szczury, lisy, może nawet rosomaka czy niedźwiedzia, jeśli słowo „zbezczeszczone” było tu odpowiednie,

bo przecież chodziło o zwierzęta. Większe drapieżniki były w stanie oderwać mięso od kości w ten właśnie sposób; mniejsze gryzonie zajęły się zapewne odstającymi częściami, takimi jak nos, uszy, palce.

Pospieszny, wstępny raport patologa, który został przekazany policji, stanowił drugi powód, dla którego akcja została zakrojona na tak szeroką skalę. Mężczyzna został w urzędowym języku określony jako „skrajnie gwałtowny”.

Kompletnie zboczony, mówiąc potocznie.

Już to, że wciąż jeszcze żył, było cudem. Watykan pewnie by się oburzył, ale jednak był to cud. Przed upadkiem z dziesiątego piętra był po prostu przypadkiem chorobowym, teraz jednak ożył i to było straszne.

Nie mógł się dobrze czuć. Mróz co prawda nieco złagodniał, ale nadal było najwyżej kilka stopni powyżej zera, a on miał na sobie tylko szpitalną koszulę. Nie miał żadnych pomocników, o ile wiadomo było policji. Nie będzie w stanie ukrywać się w lesie dłużej niż kilka godzin, góra.

Benny Melin zadzwonił prawie godzinę po tym, jak zobaczył mężczyznę na moście Traneberg. Zaledwie kilka minut później odebrano telefon od starszej kobiety.

Wyszła na poranny spacer z psem i zobaczyła mężczyznę w szpitalnej koszuli w pobliżu stajni Åkeshov, gdzie zimą trzymano stado królewskich owiec. Natychmiast wróciła do domu i zawiadomiła policję; pomyślała, że owcom może grozić niebezpieczeństwo.

Dziesięć minut później pierwszy patrol był już na miejscu; policjanci weszli do stajni i ją przeszukali; mieli odbezpieczoną broń, byli zdenerwowani.

Owce też były zdenerwowane; zanim policja zdążyła wszystko sprawdzić, w stajni bulgotało już niczym w kotle z gotującą się zupą; pokryte wełną zwierzęta były niespokojne, głośno beczały, wydawały niemal ludzkie głosy, które przyciągnęły jeszcze więcej policjantów do stajni.

Podczas przeszukania część zwierząt wydostała się do przejścia między zagrodami. Kiedy wreszcie policjanci stwierdzili, że mężczyzny nie ma w stajni i zawstydzeni opuścili budynek, jednemu trykowi udało się prześliznąć przez otwarte drzwi na zewnątrz. Któryś ze starszych policjantów, mający rodzinę na wsi, rzucił się na niego, chwycił za rogi i zaciągnął z powrotem do stajni.

Dopiero kiedy udało mu się odholować zwierzę do zagrody, zrozumiał, że światło, które raziło go w oczy podczas całej akcji, to były flesze aparatów. Błędnie założył, że sprawa jest zbyt poważna, żeby zdjęcie tak błahego zdarzenia mogło zainteresować prasę. Wkrótce potem pod lasem zorganizowano stanowisko dla dziennikarzy.

Było już wpół do ósmej rano, powoli nadchodził świt; z drzew kapała woda. Polowanie na szaleńca trwało, było dobrze zorganizowane. Panowało przekonanie, że do lunchu zostanie złapany.

Dopiero po wielu godzinach, kiedy także poszukiwania prowadzone ze śmigłowca kamerą na podczerwień nie dały żadnych rezultatów, a psy, szkolenie do tropienia, nie podjęły żadnego śladu, zaczęto poważnie się zastanawiać, że być może mężczyzna nie żyje. Że trzeba zacząć szukać ciała.

Kiedy blade światło poranka zaczęło przedzierać się przez szpary w żaluzjach i promień trafił Virginie w rękę jak dotknięcie rozżarzoną żarówką, zapragnęła jednego: umrzeć. Mimo to cofnęła instynktownie rękę i zrobiła kilka kroków w głąb pokoju.

Na ciele miała co najmniej trzydzieści otwartych ran. Wszędzie w mieszkaniu była krew.

Wiele razy w nocy otwierała tętnicę, żeby pić krew. Nie nadażała ssać i sporo krwi wyciekło, ochlapując podłogę, stół, krzesła. Leżący w pokoju duży szmaciany dywan wyglądał, jakby ktoś zarzynał na nim sarnę.

Za każdym razem, kiedy otwierała nową żyłę, czuła mniejsze zadowolenie; wypijała kolejny łyk swojej coraz bardziej rozrzedzonej krwi, ale nie przynosiło jej to już ulgi. Kiedy zaczęło świtać, przypominała jęczącą babę, cierpiącą z powodu abstynencji i strachu. Strachu przed tym, co wiedziała, że musi zrobić, jeśli nadal chce żyć.

Stopniowo przychodziło zrozumienie, które wkrótce przerodziło się w pewność. Krew innego człowieka mogła sprawić, że... wyzdrowieje. Nie potrafiła odebrać sobie życia. Prawdopodobnie nie było to w ogóle możliwe. Rany, które zadała sobie nożem do owoców, goiły się nienaturalnie szybko. Obojętnie jak głębokie były cięcia, już po minucie krew przestawała lecieć. Po godzinie rana się zablizniała.

Poza tym...

Coś poczuła.

Zbliżał się świt, siedziała na krześle kuchennym i ssała krew z rany w zagłębieniu łokcia, już drugiej w tym samym miejscu, kiedy nagle zyskała wgląd we własne ciało i zauważyła to.

Zarazę.

Oczywiście nie widziała jej; uświadomiła sobie jedynie, czym ona jest. Trochę jak, kiedy w ciąży ogląda się swój brzuch na monitorze ultrasonografu, tyle że w jej brzuchu nie było dziecka, tylko duży, wijący się robak. To właśnie w sobie nosiła.

Zrozumiała też, że zaraza ma swoje własne życie, swoją własną energię, całkowicie niezależną od jej ciała. Że będzie żyła, nawet jeśli ona umrze. Matka umrze w wyniku szoku spowodowanego badaniem ultrasonograficznym, ale nikt niczego nie zauważy, bo jej organizm przejmie robak.

Dlatego samobójstwo nie miało sensu.

Jedyne, czego zaraza najwyraźniej się bała, to światło słoneczne. Błdy promień, który musnął jej dłoń, sprawił jej większy ból niż najgłębsze rany.

Długo siedziała skulona w kącie dużego pokoju, patrząc, jak wpadające przez żaluzję światło poranka tworzy kratę na jej poplamionym dywanie. Myślała o swoim wnuku Tedzie. O tym, jak podczołgiwał się do miejsca, gdzie popołudniowe słońce padało na podłogę i, ssąc palec, układał się do snu na słonecznej plamie.

Naga, miękka skóra, cienka skóra, wystarczyłoby...

O czym ja myślę!

Virginia wzdrygnęła się, patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Wyobraziła sobie Teda i wyobraziła sobie, jak ona...

Nie!

Zaczęła się bić po głowie. Uderzała i uderzała, aż obraz zniknął. Nie może go już nigdy zobaczyć. Nie może już nigdy zobaczyć nikogo, kogo kocha.

Nigdy już nie zobaczą nikogo z moich ukochanych.

Zmusiła swoje ciało, żeby się wyprostowało; podpełzła powoli do miejsca, gdzie powstała słoneczna krata. *Zaraza* zaprotestowała, chciała ją zatrzymać, lecz ona była silniejsza. Nadal jeszcze miała kontrolę nad swoim ciałem. Światło piekło ją w oczy, brzegi kraty paliły jej rogówkę niczym rozżarzony stalowy pręt.

Wypal! Wypal!

Jej prawa ręka pokryta była bliznami, zaschniętą krwią. Wyciągnęła ją do światła.

Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

To, co czuła, kiedy w sobotę wystawiała się na światło, było jak pieszczoła. Teraz pojawił się płomień, jakby ktoś spawał coś na jej dłoni. Po sekundzie skóra zrobiła się biała jak kreda. Po dwóch poczuła swąd. Po trzech na dłoni zrobił się pęcherz, szerniał i pękł z sykiem. Po czterech sekundach cofnęła rękę i, szlochając, poszła do sypialni.

Swąd palonego mięsa zatruwał powietrze. Kiedy wślizgiwała się do łóżka, nie miała odwagi spojrzeć na swoją rękę.

Odpocząć.

Ale łóżko...

Mimo opuszczonych żaluzji w sypialni było za dużo światła. Nawet kiedy nacierała na głowę kołdrę, nie czuła się dostatecznie chroniona. Jej uszy wyłapywały każdy najmniejszy dźwięk poranka, a każdy stanowił potencjalne zagrożenie. Ktoś chodził po podłodze w mieszkaniu nad nią. Wzdrygnęła się, przekreśliła głowę w kierunku dźwięku, stała się czujna. Ktoś wyciągnął szulfladę; brzęk metalu w mieszkaniu na górze.

Łyżeczki do kawy.

Wiedziała, że ten niepozorny dźwięk wydawały... łyżeczki do kawy. Miała przed oczyma wyłożone aksamitem pudełko ze srebrnymi łyżeczkami, które należały do jej babci, a które dostała od swojej matki, kiedy ta przeniosła się do

domu starców. Czasem je otwierała i przyglądała się łyżeczkom; stwierdziła, że nigdy nie zostały użyte.

Pomyślała o tym, kiedy wysliznęła się z łóżka; wzięła ze sobą kołdrę, poszła do ściennej szafy z podwójnymi drzwiami, otworzyła je. W szafie na dnie leżała dodatkowa kołdra i kilka koców.

Przyglądając się łyżeczkom, czuła smutek. Przeleżały w pudełku sześćdziesiąt lat i nikt nigdy nie wziął ich do ręki, nie użył ich.

Coraz więcej dźwięków wokół niej: dom się budził. Przestała je słyszeć, kiedy wzięła kołdrę i koce, owinęła się nimi, weszła do szafy i się w niej zamknęła. W środku panowała całkowita ciemność. Naciągnęła kołdrę i koce na głowę; poczuła się jak larwa w podwójnym kokonie.

Nigdy więcej.

W szeregu, na baczność na swoim aksamitnym posterunku. Delikatne srebrne łyżeczki do kawy. Zakryła twarz kocami.

Kto je teraz dostanie?

Jej córka. Tak. Da je Lenie, niech chociaż karmi nimi Teda. Łyżeczki na pewno się ucieszą. Ted będzie jadł nimi swoje ziemniaczane puree. To dobrze.

Leżała nieruchomo jak kamień i spokój powoli ogarniał jej ciało. Wcześniej jednak zdążyła jeszcze pomyśleć: Dlaczego nie jest mi ciepło?

Z kołdrą zaciągniętą na twarz, owinięta grubymi kocami, właściwie powinna się pocić. Pytanie to krążyło sennie po dużym, czarnym pokoju i w końcu przyniosło prostą odpowiedź.

Bo od wielu minut nie oddycham.

Teraz też nie; nawet kiedy sobie to uświadomiła, nie czuła takiej potrzeby. Żadnych mdłości, braku tlenu. Nie musiała już oddychać, po prostu.

Msza zaczynała się o godzinie jedenastej, ale już dziesięć po dziesiątej Tommy i Yvonne stali na peronie w Blackebiegu, czekając na metro.

Staffan, który śpiewał w chórze kościelnym, powiedział Yvonne, o czym będzie dzisiejsze kazanie. Yvonne przekazała informację Tommy'emu. Ostrożnie spytała, czy ma ochotę z nimi iść, a on, ku jej zdziwieniu, się zgodził.

Tematem kazania miała być dzisiejsza młodzież.

Za punkt wyjścia wybrano fragment Starego Testamentu, gdzie jest mowa o wyjściu ludu Izraela z Egiptu. Ksiądz poprosił Staffana o pomoc w napisaniu kazania, które miało traktować o problemie przewodnictwa. Czym młody człowiek w dzisiejszym społeczeństwie ma się kierować i jakie ma stawiać sobie cele w swojej wędrówce przez pustynię i tak dalej.

Tommy przeczytał odpowiedni fragment Biblii i stwierdził, że pójdzie.

Kiedy więc metro w ten niedzielny poranek wypadło z łomotem z tunelu na Islandstorget, pchając przed sobą słup powietrza, który rozwiewał włosy Yvonne, kobieta poczuła się bardzo szczęśliwa. Patrzyła na syna, który stał obok niej z rękami w kieszeniach.

Wszystko będzie dobrze.

Tak. Już to, że zgodził się pójść z nią na niedzielną mszę, było dużo. Poza tym świadczyło chyba o tym, że zaakceptował Staffana.

Weszli do wagoniku metra i usiedli naprzeciwko siebie, obok starszego mężczyzny. Zanim nadjechał pociąg, rozmawiali o informacjach, które rano oboje usłyszeli w radiu; o polowaniu na mordercę w Judarnskogen. Yvonne nachyliła się do Tommy'ego.

- Myślisz, że go złapią?

Tommy wzruszył ramionami.

- Pewnie tak. Ale to duży las... spytamy Staffana.

- To okropne. A jeśli on przyjdzie tutaj?

- A czego miałyby tu szukać? Chociaż, może. Czego szukał w lesie? Równie dobrze może przyjść tutaj.

- Uff.

Starszy pan się przeciągnął; zrobił ruch, jakby strząsał coś z ramion.

- Można zadać pytanie, czy to w ogóle jest człowiek - powiedział.

Tommy spojrział na mamę. Yvonne odpowiedziała: „Hm” i uśmiechnęła się, zachęcając mężczyznę do dalszych wynurzeń.

- No bo najpierw... te okropne... czyny... a potem, w takim stanie... Co za historia! Powtarzam, to nie człowiek. Mam nadzieję, że policja zastrzeli go na miejscu.

Tommy kiwał głową, udając, że się zgadza.

- Powinni powiesić go na najbliższym drzewie.

Mężczyzna się podniecił.

- Tak jest. Od początku to mówię. Już w tym szpitalu powinni wstrzyknąć mu jakąś truciznę, tak się postępuje ze wściekłymi psami. Wtedy nie musielibyśmy żyć w ciągłym strachu, obserwując ten paniczny pościg za pieniędzami podatników. Śmigłowiec. Sam widziałem, bo właśnie przejeżdżałem przez Åkeshov. Posłali za nim śmigłowiec. Na to są pieniądze. Ale na to, żeby dać ludziom emerytury, z których mogliby godnie żyć po tym, jak całe życie poświęcili służbie społeczeństwu, to nie ma. Wysyłali śmigłowiec, który hałasuje i tylko straszy zwierzyne...

Monolog trwał dalej, aż do Vällingby, gdzie Yvonne i Tommy wysiedli; mężczyzna został. Pociąg zawracał; więc pewnie zamierzał wrócić tam w nadziei, że znów zobaczy śmigłowiec, i być może powtórzy swój monolog przed innymi słuchaczami.

Staffan czekał na nich przed murowanym kościołem św. Tomasza.

Miał na sobie garnitur i jasny krawat w żółto-niebieskie paski; Tommy przypomniał sobie zdjęcie z czasów wojny: „Szwedzki tygrys”. Staffan rozpromienił się na ich widok i ruszył im na spotkanie. Uściskał Yvonne i wyciągnął rękę do Tommy'ego; ucisnęli sobie dłonie.

- Bardzo się cieszę, że przyszlście. A szczególnie ty, Tommy. Co sprawiło, że...?

- Jest ciekaw, jak to wygląda.

- Mhm. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony. I że będziemy cię tu częściej widywać.

Yvonne przeciągnęła ręką po ramieniu Tommy'ego.

- Przeczytał w Biblii... o czym będziecie mówić.

- Aż tak. No proszę, to rzeczywiście... A właśnie, Tommy, nie znalazłem tej statuetki. Ale... proponuję, żebyśmy o tym zapomnieli, co ty na to?

- Mhm.

Staffan czekał, aż Tommy powie coś jeszcze, a kiedy to nie nastąpiło, zwrócił się do Yvonne.

- Powiniennem być teraz w Akeshov, ale... nie chciałem opuścić mszy. Jednak jak tylko się skończy, będę musiał lecieć, więc...

Tommy wszedł do kościoła.

W ławkach siedziało kilka starszych osób, odwróconych do niego plecami. Sądząc po kapeluszach, były to starsze panie.

Kościół był oświetlony lampami, umieszczonymi wzdłuż ścian; dawały żółte światło. Między ławkami leżał czerwony dywan z geometrycznym wzorem; prowadził do samego ołtarza, do kamiennej ławy, na której ustawiono wazon z kwiatami. Nad wszystkim wisiał duży drewniany krzyż z modernistyczną figurą Jezusa. Wyraz jego twarzy można było określić jako drwiący.

Z tyłu, tuż przy wejściu, gdzie stał Tommy, była półka z broszurkami, skarbonka, do której można było wrzucać pieniądze, i duża chrzcielnica. Tommy podszedł i zajrzał do niej.

Idealnie.

Kiedy tylko ją spostrzegł, pomyślał, że wszystko układa się aż za dobrze. Podejrzewał, że może być w niej woda, ale nie było. Cała chrzcielnica była wykuta z jednego kawałka kamienia i sięgała Tommy'emu do pasa. Sama cza-sza była ciemnoszara, chropowata, a w środku nie było ani kropli wody.

No to do dzieła.

Z kieszeni kurtki wyjął dwulitrową plastikową torebkę, wypełnioną białym proszkiem; rozejrzał się dookoła. Nikt na niego nie patrzył. Zrobił w torebce dziurę palcem i wsypał jej zawartość do chrzcielnicy.

Potem schował pustą torebkę do kieszeni i wyszedł, usiłując znaleźć jakieś dobre usprawiedliwienie, żeby nie musieć siedzieć obok mamy; chciał usiąść z tyłu, blisko chrzcielnicy.

Może powie, że chce móc wyjść, nie przeszkadzając, gdyby zrobiło się zbyt nudno. To brzmiało rozsądnie. To brzmiało...

Idealnie.

Oskar otworzył oczy i obleciał go strach. Nie wiedział, gdzie się znajduje. W pomieszczeniu wokół niego panował mrok; nie rozpoznawał zimnych ścian.

Leżał na kanapie. Był przykryty kocem, który nie pachniał najlepiej.

Ściany zlewały mu się w oczach, jakby swobodnie pływały w powietrzu, a on usiłował znaleźć dla nich odpowiednie miejsce; ustawić je tak, żeby utworzyły pokój, który znał. Nie udawało mu się.

Podciągnął kołdrę pod nos. Zapach stęchlizny wypełnił mu nozdrza; próbował się uspokoić; zamiast zmieniać pokój, starał się sobie coś przypomnieć.

Tak. Teraz już pamiętał.

Tata. Janne. Autostop. Eli. Kanapa. Pajęczyna.

Spojrzał w górę, na sufit. Nadal były tam zakurzone pajęczyny, trudne do rozróżnienia w półmroku. Zasnął na kanapie, u boku Eli. Ile czasu minęło? Był już ranek?

Okna były zakryte kocami, ale przy brzegach mógł dojrzeć delikatne szare prześwity. Odrzucił kołdrę i podszedł do okna balkonowego; odchylił koc. Żaluzje były opuszczone. Podciągnął je i - tak, był już ranek.

Bolała go głowa, światło kłuło go w oczy. Wstrzymał oddech, puścił koc i zaczął macać rękami szyję, kark. Nie, oczywiście nie. Przecież powiedziała, że nigdy...

Ale gdzie ona była?

Rozejrzał się po pokoju; zatrzymał wzrok na zamkniętych drzwiach, prowadzących do pokoju, w którym Eli się przebierała. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi, zatrzymał się. Drzwi były w cieniu. Zaciśnął pięść, zaczął ssać knykić.

A jeśli ona... leży tam w trumnie.

Bzdura. Dlaczego miałaby? A dlaczego w ogóle wampiry to robią? Bo są martwe. A Eli powiedziała, że ona nie...

A jeśli...

Dalej ssał knykić, lizał go. Jej pocałunek. Stół pełen jedzenia. Już samo to, że ona potrafiła coś takiego zrobić... I... zęby. Zęby drapieżnika.

Gdyby tylko było trochę jaśniej.

Obok drzwi był włącznik lampy. Wcisnął przycisk, nie wierząc, że coś się stanie. Ale, nie. Lampa się zapaliła. Zmrużył oczy w ostrym świetle, pozwolił, żeby wzrok się przyzwyczaił, zanim odwrócił się do drzwi i położył rękę na klamce.

Światło nic nie pomogło. Zrobiło się wręcz jeszcze bardziej nieprzyjemnie. Drzwi okazały się tylko zwykłymi drzwiami. Takimi jak drzwi do jego pokoju. Były dokładnie takie same. Klamka tak samo układała się w rękę. Czy ona tam naprawdę leży? Może z rękami skrzyżowanymi na piersi?

Muszę zobaczyć.

Spróbował nacisnąć klamkę, poczuł lekki opór. A więc drzwi nie były zamknięte; wtedy klamka by się poddała. Nacisnął klamkę mocniej, drzwi się otworzyły i powstała szpara. Pokój za drzwiami był ciemny.

Czekaj!

Jeśli otworzy drzwi, to czy światło jej nie zaszkodzi?

Nie. Wczoraj siedziała obok lampy i nie przeszkadzało jej to. Ta lampa świeciła jednak mocniej, poza tym może... lampa stojąca była jakąś szczególną lampą, taką, którą tolerowały... wampiry.

Co za bzdury. „Specjalny sklep z lampami dla wampirów”.

Chyba nie zostawiłaby lampy na suficie, gdyby... jej szkodziła.

Mimo to otwierał drzwi ostrożnie, pozwalając, by snop światła powoli rozświetlił pokój. Był równie pusty, jak duży pokój. Łóżko, sterta ubrań, nic więcej. Na łóżku leżało jedynie prześcieradło i poduszka. Kołdra, którą był przykryty, była pewnie śład. Na ścianie obok łóżka dostrzegł przyklejoną kartkę.

Kod Morse'a.

Więc to tu leżała, kiedy...

Wziął głęboki oddech. Udało mu się o tym zapomnieć.

Po drugiej stronie tej ściany jest mój pokój.

Tak. Znajdował się dwa metry od swojego łóżka, od swojego normalnego życia.

Położył się i nagle poczuł chęć wystukania jakiejś wiadomości. Dla Oskara. Po drugiej stronie. Co ma mu powiedzieć?

G.D.Z.I.E.J.E.S.T.E.Ś.

Znów zaczął ssać knykić. On był tutaj. To Eli zniknęła.

Zakręciło mu się w głowie, poczuł się zagubiony. Pozwolił głowie opaść na poduszkę, odwrócił twarz w stronę pokoju. Poduszka dziwnie pachniała. Podobnie jak kołdra, chociaż mocniej. Zapach stęchlizny, tłuszczu. Spojrzał na stertę ubrań, leżących zaledwie kilka metrów od łóżka.

To obrzydliwe.

Nie chciał tu dłużej przebywać; w mieszkaniu było cicho i pusto; wszystko było takie... nienormalne. Powiódł wzrokiem po stercie ubrań; zatrzymał się na szafach, które ciągnęły się wzdłuż całej przeciwległej ściany, aż do drzwi. Dwie podwójne, jedna pojedyncza.

Tam.

Podciągnął nogi pod brzuch, wpatrywał się w zamknięte drzwi szaf. Nie chciał. Bolał go brzuch. Czuł w żołądku kłujący, piekący ból.

Chciało mu się sikać.

Wstał z łóżka, podszedł do drzwi, nie spuszczać z oczu szaf. W swoim pokoju miał podobne, doskonale wiedział, że mogła się tam zmieścić. Tam właśnie była, ale nie chciał jej już oglądać.

Lampa w przedpokoju też działała. Zapalił ją i przeszedł krótkim korytarem do łazienki. Drzwi były zamknięte. Nad zamkiem było czerwone pole. Zapukał.

- Eli?

Żadnego dźwięku. Zapukał jeszcze raz.

- Eli, jesteś tam?

Nic. Kiedy wypowiadał głośno jej imię, przypomniał sobie, że nie tak powinno brzmieć. To ostatnie, co mu powiedziała, kiedy leżeli na kanapie. Że tak naprawdę miała na imię... Elias. Chłopięce imię. Czy Eli była chłopcem? Przecież... całowali się i spali w jednym łóżku.

Oskar przywarł rękami do drzwi łazienki, oparł czoło o dłonie. Zastanawiał się. Z całej siły. I nie rozumiał. Mógł zaakceptować fakt, że była wampirem, ale że mogła być chłopakiem, to było... trudniejsze.

Znał to słowo. Pedał. Cholerny pedał. Jonny tak mówił. Gorzej było być pedałem niż...

Znów zastukał do drzwi.

- Elias?

Wypowiadając te słowa, czuł ssanie w żołądku. Nie. Nie przyzwyczai się. Ona... on miał na imię Eli. Tego było już za dużo. Nieważne, kim Eli była. Nie był już w stanie. Nic w niej nie było normalne.

Uniósł głowę, ścisnął nogi, chciał mu się sikać.

Kroki na klatce i zaraz potem odgłos podnoszonej klapki od skrzynki na listy. Odszedł od drzwi do łazienki, sprawdził, co to było. Reklama.

„Wołowe mielone, 14,90/kg”

Krzyczące, czerwone litery i cyfry. Wziął ulotkę reklamową do ręki i zrozumiał; przywarł okiem do dziurki w zamku, słyszał odgłos kroków na klatce, trzask kłapek od skrzynek, otwieranych i zamykanych.

Po chwili zobaczył mamę, właśnie wychodziła. Widział jedynie włosy i kołnierz płaszcza, ale wiedział, że to była ona. Kto inny mógłby to być?

Kto inny mógł roznosić jego ulotki, kiedy go nie było?

Ścisnąc ulotkę mocno w garści, Oskar osunął się na podłogę przy drzwiach, oparł czoło o kolana. Nie płakał. Dokuczała mu potrzeba oddania moczu; miał wrażenie, jakby miał w podbrzuszu mrowisko.

I na okrągło powtarzał sobie:

Nie istnieję. Nie istnieję.

Lacke spędził noc na zamartwianiu się. Od chwili, kiedy opuścił Virginie, niepokój wiercił mu dziurę w brzuchu. W sobotę wieczorem spędził godzinę z kumplami u Chińczyka, próbując podzielić się z nimi swoim niepokojem, ale nikt nie chciał go słuchać. Lacke czuł, że jeszcze chwila, a straci nad sobą panowanie i naprawę się wścieknie, więc wyszedł. Do cholery z nimi.

Cóż, niby nic nowego, ale jednak myślał... no właśnie, co takiego myślał?

Że nie tylko on jeden się martwił.

Że nie tylko on jeden czuł, że dzieje się coś złego. Tyle gadali, padały wielkie słowa, szczególnie Morgan w tym przodował, ale kiedy przyszło co do czego, nikomu nie chciało się nawet palcem kiwnąć, żeby cokolwiek zrobić.

Nie żeby Lacke wiedział, co należało zrobić, ale on przynajmniej był zaniepokojony. Cokolwiek to dawało. Większą część nocy przeleżał, nie śpiąc; od czasu do czasu próbował czytać *Biesy* Dostojewskiego, ale zapominał, co czytał, nawet w poprzednim zdaniu, więc się poddał.

Chociaż noc przyniosła też coś dobrego; podjął decyzję.

W niedzielę przed południem był u Virginii, pukał do drzwi. Nikt mu nie otworzył; założył... miał nadzieję, że pojechała do szpitala. Po drodze minął dwie kobiety, które stały i rozmawiały; wychwytił coś o jakimś mordercy, którego ściagała policja w lesie Judarnskogen.

Boże, za każdym krzakiem krył się morderca. Gazety znów będą miały się o czym rozpisywać.

Minęło właśnie dziesięć dni od ujęcia mordercy z Vällingby i gazety znudziły się już spekulacjami, kim właściwie jest morderca i dlaczego zrobił to, co zrobił.

W artykułach, w których o nim pisano, dawało się wyczuć rodzaj pewnego... zadowolenia. Aż do bólu opisywano jego obecny stan zdrowia, podobno przez co najmniej pół roku nie opuści szpitalnego łóżka. W oddzielnej ramce opisano dokładnie działanie kwasu solnego, żeby ludzie naprawdę mogli się napawać bólem, który on musiał czuć.

Nie, Lacke nie czerpał żadnej przyjemności z takich rzeczy. Uważał, że to okropne, że ludzie potrafili aż tak się nakręcić tym, że ktoś „dostał swoją karę”. Był zdecydowanie przeciwny karze śmierci. Nie dlatego, że opowiadał się za „nowoczesnym” poczuciem sprawiedliwości; nie. Prędzej za tym odwiecznym.

Jeśli ktoś zabije mojego dzieciaka, to ja mam prawo tę osobę zabić. Dostojewski pisał dużo o przebaczeniu, o łasce. Oczywiście. Ze strony społeczeństwa, jak najbardziej. Jednakowoż ja, będąc rodzicem zamordowanego dziecka, mam pełne moralne prawo pozbawić życia tego, kto to zrobił. To, że później społeczeństwo wsadzi mnie na osiem czy więcej lat za kratki, to już inna sprawa.

Nie to Dostojewski miał na myśli i Lacke to wiedział. Po prostu on i Fiodor mieli różne zdania i tyle.

Lacke zastanawiał się nad tym wszystkim w drodze na Ibsengatan. Już w domu zdał sobie sprawę, że jest głodny; ugotował więc porcję błyskawicznego makaronu i zjadł go łyżką prosto z garnka, z keczupem. Kiedy nalewał wodę do garnka, żeby łatwiej było go potem umyć, coś wpadło przez szparę na listy.

Reklama. Nie zawracał sobie tym głowy, i tak nie miał pieniędzy.

Tak było i trudno.

Starł szmatką stół kuchenny, wyjął z kredensu album ze znaczkami ojca; kredens też był spadkiem po ojcu, miał cholerny problem z przewiezieniem go tutaj, do Blackebergu. Ostrożnie położył album na stole, otworzył go.

Były na swoim miejscu. Cztery nieostemplowane egzemplarze pierwszego znaczka, wydanego w Norwegii. Pochylił się nad albumem, zerknął na lwa, który stał na tylnych łapach na jasnoniebieskim tle.

Niepojęte.

Kiedy się ukazały w 1855 roku, kosztowały cztery szylingi. Teraz były warte... więcej. A fakt, że były to dwie pary po dwa znaczki, dodatkowo podnosi ich wartość.

Właśnie to postanowił dzisiaj w nocy, kiedy leżał, przewracając się między przesiąkniętymi dymem prześcieradłami. Nadeszła pora. Ostatni wypadek Virginii przepełnił miarkę. Do tego jeszcze niezdolność jego kumpli do zrozumienia czegokolwiek; świadomość, że... Nie, to nie byli ludzie, z którymi chciał być.

Wyjedzie stąd, Virginia też.

Trudny rynek, nieważne, na pewno dostanie z trzy tysiące za znaczki, do tego dwieście tysięcy za mieszkanie. Kupi za to dom na wsi. No dobrze: dwa domy. Małe gospodarstwo. Wystarczy mu pieniędzy; wszystko się uda. Jak tylko Virginia wyzdrowieje, przedstawi jej swój plan, a ona - jak sądził... był tego niemal pewien - się zgodzi; będzie wręcz zachwycona.

Tak będzie.

Lacke poczuł się spokojniejszy. Wszystko było jasne. Wiedział, co ma zrobić dzisiaj, w przyszłości. Wszystko się ułoży.

Snując przyjemne myśli, wszedł do sypialni, położył się na łóżku, żeby odpocząć pięć minut, i usnął.

- Widzimy ich na ulicach i placach i jesteśmy bezradni; zadajemy sobie pytanie: co możemy zrobić?

Tommy w życiu tak się nie nudził. Msza zaczęła się zaledwie pół godziny temu. Miał wrażenie, że nawet gdyby po prostu siedział na krześle i gapił się w ścianę, to byłoby to ciekawsze.

„Bądź błogosławiony” i „Radosna pieśń”, „Radość Pana”, dlaczego więc wszyscy siedzieli z minami, jakby oglądali mecz kwalifikacyjny między Bułgarią a Rumunią? Dla nich nie miało to żadnego znaczenia: to, o czym czytali w Biblii, o czym śpiewali. Miał zresztą wrażenie, że dla księdza też nie. Robił po prostu coś, co musiał zrobić, żeby dostać pensję.

Wreszcie zaczęło się kazanie.

Jeśli ksiądz odwoła się dokładnie do tego miejsca w Biblii, które Tommy czytał, wtedy to zrobi. Inaczej nie.

Zdecyduje klecha.

Tommy sprawdził w kieszeni. Rzeczy były na swoim miejscu, a chrzcielnica stała zaledwie trzy metry od niego; siedział w ostatnim rzędzie. Jego mama siedziała na samym przodzie, pewnie dlatego, żeby mogła mrugać do Staffana, kiedy śpiewał te bezsensowne pieśni z rękami skrzyżowanymi nad swoim policyjnym kutasem.

Tommy zagryzł wargi. Miał nadzieję, że ksiądz to powie.

- Widzimy zagubienie w ich oczach, zagubienie kogoś, kto zbłądził i nie może odnaleźć drogi do domu. Kiedy widzę takiego młodego człowieka, zawsze przypomina mi się wyjście Izraelitów z Egiptu.

Tommy zastygł. Być może ksiądz jednak nie zacytuje akurat tego fragmentu. Może zacznie mówić coś o Morzu Czerwonym. Mimo to wyjął rzeczy z kieszeni: zapalniczkę i podpałkę. Ręce mu drżały.

- Bo tak musimy patrzeć na tych młodych ludzi, którzy niekiedy bezrozumnie nas opuszczają. Wędrują przez pustynię pytań bez odpowiedzi, bez jasnych perspektyw na przyszłość. Jest jednak duża różnica między ludem Izraela a dzisiejszą młodzieżą...

Powiedz to teraz...

- Lud Izraela miał kogoś, kto go prowadził. Pamiętacie, co mówi Pismo? „A Pan szedł przed nimi podczas dnia jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić”. To właśnie tego słupa obłoku, tego słupa ognia brakuje dzisiejszej młodzieży...

Ksiądz zerknął w swoje notatki.

Tommy zapalił już podpałkę, trzymał ją między kciukiem a palcem wskaźującym. Jej wierzchołek palił się czystym niebieskim płomieniem, który zaczynał schodzić do jego palców. Kiedy ksiądz zerkał w swoje papiery, Tommy postanowił wykorzystać okazję.

Przykucnął, zrobił duży krok, oddalając się od ławki, wyciągnął rękę najdalej, jak mógł, i wrzucił podpałkę do chrzcielnicy; szybko cofnął się i wrócił do swojej ławki. Nikt niczego nie zauważył.

Ksiądz znów podniósł głowę.

- ...obowiązkiem dorosłych jest być tym słupem obłoku, gwiazdą przewodnią dla młodzieży. Jak inaczej mają się dowiedzieć? A siłę do tego możemy czerpać z uczynków Pana...

Biała para uniosła się znad chrzcielnicy. Tommy poczuł znajomy słodki zapach.

Robił to mnóstwo razy, podpalał saletrę i cukier. Rzadko jednak w takich ilościach i nigdy dotąd wewnątrz. Sam był ciekaw, jaki będzie efekt, tym bardziej że nie było wiatru, który rozwiałby dym. Splótł palce, zacisnął mocno dłoń.

Brat Ardelius, ksiądz przydzielony do parafii w Vällingby, pierwszy zobaczył dym. Uznał, że widzi to, co widzi: dym unoszący się z chrzcielnicy. Całe

życie czekał na znak od Boga, więc kiedy zobaczył dymną spiralę, w pierwszym momencie pomyślał: „Ach, Boże. Nareszcie”.

Szybko jednak porzucił tę myśl. Fakt, że wiara w to, że zdarzył się cud, opuściła go tak szybko, przyjął jako dowód na to, że jednak to nie był cud czy jakiś znak. To był po prostu dym unoszący się z chrzcielnicy. Tylko dlaczego?

Dozorca, z którym nie był w najlepszych stosunkach, pozwolił sobie zażartować? Woda w misie zaczęła się... gotować...?

Problem tkwił w tym, że był w trakcie kazania i nie mógł poświęcić uwagi na zastanawianie się nad takimi kwestiami. Brat Ardelius postąpił więc tak, jak większość ludzi postąpiłaby w podobnej sytuacji: kontynuował kazanie, jakby nic się nie wydarzyło, mając nadzieję, że problem sam się rozwiąże, jeśli nie będzie się poświęcało mu zbyt dużo uwagi. Odchrząknął, próbując przypomnieć sobie swoje ostatnie słowa.

Czyny Pana. Coś o szukaniu siły w czynach Pana. Przykład.

Zerknął na pulpit, na swoje notatki. Było w nich napisane: „Boso”.

Boso? Co chciałem przez to powiedzieć? Że lud Izraela szedł boso czy że Jezus... jakaś długa droga...

Podniósł głowę, zobaczył, że dym zaczął gęstnieć; powstał słup, który już niemal sięgał sklepienia. Co mówił? Tak. Przypomniał sobie. Słowa wciąż jeszcze wisiały w powietrzu.

- Siłę możemy czerpać z uczynków Pana.

To było rozsądne zakończenie. Niezbyt dobre, nie takie, o jakim myślał, ale przyzwoite. Uśmiechnął się zmieszany do zgromadzonych i skinął głową Birgit, która prowadziła chór.

Chór, osiem osób, wstał i wszyscy jak jeden mąż weszli na podium. Kiedy odwrócili się do zgromadzonych, zobaczył w ich twarzach, że też zauważyli ogień. Bogu niech będą dzięki; już zaczął się zastanawiać, że może tylko on go widzi.

Birgitta spojrzała na niego pytająco; dał im znak ręką: zaczynajcie, zaczynajcie.

Chór zaczął śpiewać.

„Prowadź mnie Panie, prowadź ku sprawiedliwemu światu,

Spraw, by oczy moje dostrzegły drogę...”

Jeden z piękniejszych utworów Wesleya. Brat Ardelius żałował, że nie może się rozkoszować pięknym śpiewem; opary zaczęły go naprawdę niepokoić. Gęsty, biały dym buchał z chrzcielnicy, w misie paliło się coś, sycząc i trzeszcząc. Słodkawa woń dotarła do jego nozdrzy, a zgromadzeni ludzie zaczęli się rozglądać, usiłując dociec, skąd dochodziło syczenie.

„Bo tylko Ty, Panie, tylko Ty
przynosisz duszy spokój i ukojenie...”

Jedna z kobiet z chóru zaczęła kasłać. Parafianie odwracali głowy od dymiącej chrzcielnicy i patrzyli na duchownego, szukając u niego wskazówek, jak powinni się zachować. A może to było częścią mszy?

Kilka osób zaczęło kasłać, zasłaniaли usta i nosy chusteczkami albo rękawami. Wnętrze kościoła zaczęła zasnuwać lekka mgła; przez nią brat Ardelius zobaczył, że ktoś w tylnym rzędzie wstaje i wybiega przez drzwi.

Tak. To było jedyne rozsądne wyjście.

Nachylił się do mikrofonu.

- Wydarzyła się drobna... awaria i chyba najlepiej będzie, jeśli... opuścimy kościół.

Już przy słowie awaria Staffan zszedł z podium i szybkim, ale opanowanym krokiem ruszył w kierunku wyjścia. Zrozumiał, co się stało. To sprawa tego beznadziejnego dzieciaka Yvonne, tego złodzieja. Starał się nad sobą zapanować, podejrzewał bowiem, że jeśli Tommy wpadnie mu w ręce, to istniało ryzyko, że mu przyłoży.

Łobuz sobie co prawda na to zasłużył; brakowało mu właśnie przykładu.

Słupie obłoku, przybądź mi z pomocą. Porządny policzek, ot co przydałoby się smarkaczowi.

Ale Yvonne na pewno by tego nie zaakceptowała. Kiedy już się pobiorą, sytuacja się zmieni. Wtedy zajmie się wychowaniem Tommy'ego. Teraz jednak przede wszystkim musi go złapać. Potrząsnąć nim, chociaż tyle.

Daleko nie dotarł. Słowa duchownego podziały jak sygnał startowy na parafian, którzy tylko czekali na pozwolenie, żeby opuścić kościół. Przejście zostało zablokowane przez ludzi, głównie drobne staruszki, które zdeterminowane zmierzały do drzwi.

Jego prawa ręka powędrowała na biodro, ale powstrzymał się, tylko zacisnął pięść. Nawet jeśli miałby pałkę, nie była to właściwa okoliczność, żeby jej użyć.

Dymu przestało przybywać, jednak w całym kościele unosiła się pachnąca słodyczami i chemikaliami mgła. Otwarto szeroko drzwi; przez mgłę widać zostało ostro zaznaczony prostokąt wpadającego z zewnątrz porannego światła.

Parafianie, kaszłąc, podążali do światła.

W kuchni było jedno jedyne krzesło i nic poza tym. Oskar przysunął je do szafki zlewozmywakowej, stanął na nim i odlał się do zlewu. Potem splukał go wodą z kranu. Skończył i odstawił krzesło na swoje miejsce. Dziwnie wyglądało w tej poza tym pustej kuchni. Jak jakaś rzecz w muzeum.

Po co jej ono?

Rozejrzał się dookoła. Nad lodówką wisiał rząd szafek, do których można było dosięgnąć jedynie, jeśli weszło się na krzesło. Wyciągnął je, przysunął i położył rękę na uchwycie lodówki. Ssało go w żołądku. Był głodny.

Niewiele myśląc, otworzył lodówkę, żeby zobaczyć, co w niej jest. Było niewiele. Otwarty karton mleka, pół paczki chleba. Masło i ser. Oskar sięgnął po mleko.

Ale... Eli...

Stał, trzymając w ręku karton mleka; zamrugał. Coś tu się nie zgadzało. Czy ona jadła też zwykłe jedzenie? Tak. Pewnie tak. Wyjął karton mleka z lodówki, postawił na blacie. W górnej szafce nie było prawie niczego. Dwa talerzyki, dwie szklanki. Wziął jedną, nalał sobie mleka.

Wtedy na to wpadł. Trzymał w ręku szklankę z zimnym mlekiem, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

Ona pije krew.

Wczoraj w nocy, w tym zamieszaniu, w półśnie i oderwaniu od świata, w ciemnościach, wszystko wydawało się możliwe. Jednak teraz, w kuchni, gdzie w oknie nie wisały żadne koce, a żaluzje przepuszczały blade poranne światło, kiedy tak stał ze szklanką mleka w ręku, wszystko to wydało mu się takie... dalekie.

Przecież, jeśli ktoś ma w lodówce chleb i mleko, to chyba jest człowiekiem?

Wypił łyk mleka i natychmiast wypluł. Mleko było skwaśniałe. Powąchał to, które nalał do szklanki. Tak. Było kwaśne. Wylał je do zlewu i wziął łyk wody, żeby przepłukać smak w ustach; spojrzął na datę ważności.

„Najlepiej spożyć przed 28 paź.”

Mleko miało dziesięć dni. Oskar zrozumiał.

Należało do faceta.

Lodówka wciąż była otwarta. To były rzeczy faceta.

Obrzydliwe. Obrzydliwe.

Oskar trzasnął drzwiami od lodówki. Co ten facet tu w ogóle robi? Co on i Eli... Oskara przeszedł dreszcz.

Ona go zabiła.

Tak. Eli trzymała go tu, żeby móc... jeść. Był chodzącym bankiem krwi. Tak było. Ale dlaczego na to przystał? A poza tym jeśli go zabiła, to gdzie jest ciało?

Zerknął w stronę wysoko zawieszonych szafek. Nagle nie chciał już dłużej być w kuchni. W ogóle nie chciał być w tym mieszkaniu. Wyszedł z kuchni do korytarza. Zamknął drzwi od łazienki.

To tam ona leży.

Pospieszył do dużego pokoju, wziął torbę. Walkman leżał na stole. Musiał tylko kupić nowe słuchawki. Kiedy sięgnął po niego, żeby schować go do torby, zauważył kartkę. Leżała na stole obok kanapy na wysokości, na której wcześniej była głowa.

„Cześć. Mam nadzieję, że dobrze spałeś. Ja teraz też będę spać. Jestem w łazience. Nie próbuj tam wchodzić, proszę. Ufam ci. Nie wiem, co napisać. Mam nadzieję, że nadal będziesz mnie lubił, mimo że wiesz już, kim jestem. Ja cię lubię. Bardzo. Leżysz teraz na kanapie i chrapiesz. Mój drogi, nie bój się mnie.

Proszę, proszę, proszę, nie bój się mnie.

Spotkasz się ze mną dzisiaj wieczorem? Napisz na kartce, jeśli tego chcesz.

Jeśli napiszesz »nie«, to dzisiaj się wyprowadzę. Pewnie i tak wkrótce będę musiała to zrobić. Jeśli jednak napiszesz »tak«, to jeszcze chwilę zostanę. Nie wiem, co napisać. Jestem samotna. Bardziej niż potrafisz to sobie wyobrazić. A może potrafisz.

Przepraszam, że zepsułam twój aparat muzyczny. Jeśli chcesz, weź pieniądze. Mam ich dużo. Nie bój się mnie. Naprawdę nie musisz się mnie bać. Możliwe, że to wiesz. Mam nadzieję, że to wiesz. Tak bardzo cię lubię.

Twoja

Eli

PS Możesz zostać. Jednak jeśli wyjdiesz, zatrzaśnij za sobą drzwi. D.S.”

Oskar przeczytał kartkę kilka razy. Potem wziął leżący obok ołówek. Rozejrzał się po pustym pokoju, po życiu Eli. Na stole nadal leżały banknoty, które mu dała. Były zmięte. Wziął tysiąc koron, wsadził do kieszeni.

Długo patrzył na pustą powierzchnię pod imieniem Eli. Opuścił ołówek na papier i napisał dużymi literami: „TAK”

Położył ołówek na kartce i schował walkmana do torby. Ostatni raz się odwrócił i spojrzął na litery, odwrócone teraz do góry nogami: „TAK”

Pokręcił głową, wygrzebał z kieszeni banknot i położył go na stole. Kiedy wyszedł na klatkę, dokładnie sprawdził, czy drzwi się zamknęły. Pociągnął kilka razy za klamkę.

Z „DAGENS EKO”, 16.45, NIEDZIELA, 8 LISTOPADA 1981 ROKU

Policyjne poszukiwania mężczyzny, który w nocy z soboty na niedzielę uciekł ze szpitala w Danderydzie, po tym jak wcześniej zabił jedną osobę, nie przyniosły rezultatu.

W niedzielę policja przeczesywała las Judarnskogen w zachodniej części Sztokholmu. Nadal poszukuje się mężczyzny, który prawdopodobnie jest mordercą rytualnym. W chwili ucieczki mężczyzna był ciężko ranny; policja podejrzewa, że miał pomocników.

Arnold Lehrman, policja sztokholmska:

- To jedyne wytłumaczenie. Jest fizyczną niemożliwością, żeby mógł tak długo się ukrywać, będąc w takim... stanie. Mamy trzydziestu ludzi w terenie, psy, śmigłowiec. To po prostu niemożliwe.

- Czy policja nadal zamierza przeszukiwać Judarnskogen?

- Tak. Nie możemy wykluczyć, że mężczyzna wciąż tam jest. Ograniczymy jednak nasze poszukiwania, koncentrując się na śledztwie, które pomoże nam odpowiedzieć na pytanie, jak udało mu się zbiec ze szpitala.

Mężczyzna ma istotnie zniekształconą twarz, w momencie ucieczki miał na sobie jasnoniebieską koszulę szpitalną. Policja będzie wdzięczna za wszelkie informacje ze strony społeczeństwa...

NIEDZIELA

8 LISTOPADA (WIECZÓR)

ZAINTERESOWANIE OGÓLU POSZUKIWANIAM I W JUDARNSKOGEN SIĘGNĘŁO SZCZYTU. Popołudniówki uznały, że nie opublikują ponownie sporządzonego portretu pamięciowego mordercy, liczone na zdjęcia, na których policja zatrzymuje sprawcę; z braku takowych obie popołudniówki zamieściły zdjęcia owiec.

„Expressen” nawet na pierwszej stronie.

Cokolwiek powiedziec, zdjęcie zawierało przynajmniej element dramatyizmu. Widać było wysiłek na twarzy policjanta, wierzgające nogi owcy, jej otwarty pysk. Niemal słychać było, jak zwierzę charczało i pobekiwało.

Jedna z gazet poprosiła dwór o komentarz. W końcu to królewskie owce zostały tak potraktowane przez władze policyjne. Jednak dwa dni wcześniej król i królowa wydali oświadczenie, że spodziewają się swojego trzeciego dziecka i uznali, że to powinno wystarczyć. Tak więc dwór nie skomentował sprawy.

Oczywiście poświęcono też wiele stron na opublikowanie map zarówno lasu, jak i w ogóle zachodnich dzielnic miasta. Pokazywano, gdzie widziano mężczyznę i gdzie policja prowadziła poszukiwania. Dokładnie jak poprzednio, w podobnych przypadkach. Zdjęcie owiec było czymś nowym i to głównie ono pozostało na siatkówce oka czytelnika.

„Expressen” odważył się nawet na mały żart. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Wilk w owczej skórze?”

Śmiech też był potrzebny. Bano się. Człowiek, który zamordował już przynajmniej dwie osoby, prawie trzy, znów był na wolności; dzieciom ponownie zakazano wychodzić na dwór; w poniedziałek odwołano szkolną wycieczkę do Judarnskoggen.

A nad tym wszystkim górowała złość; ktoś, jedna osoba, potrafił do tego stopnia zdominować życie innych ludzi; powodowany złem i swoją... nieśmiertelnością.

Tak. Eksperci i profesorowie, zawezwani, żeby wypowiadać się w prasie i w telewizji, byli zgodni: Niemożliwością było, żeby mężczyzna nadal żył. I - odpowiadając na kolejne pytanie - stwierdzano, że ucieczka mężczyzny była równie niemożliwa.

Pewien docent ze szpitala w Danderydzie wywarł bardzo złe wrażenie w „Aktuell”, kiedy agresywnym tonem oświadczył:

- Jeszcze do niedawna był podłączony do respiratora. Wie pan, co to znaczy? To znaczy, że nie mógł samodzielnie oddychać. Proszę dodać do tego upadek z trzydziestu metrów... - Pan docent najwyraźniej dawał do zrozumienia, że reporter jest kretynem i cała historia była tak naprawdę wymysłem mediów.

Wszystko tonęło w morzu domysłów, przypuszczeń, plotek i - oczywiście - strachu. Nic dziwnego, że w końcu zdecydowano się zamieścić zdjęcie owcy. To było przynajmniej coś konkretnego. Poszło w kraj, znajdując drogę do oczu ludzi.

Lacke zobaczył je, kiedy za ostatnie korony kupował paczkę czerwonych prince'ów w Kiosku Kochanka, po drodze do Gösty. Przespał całe popołudnie i teraz czuł się jak Raskolnikow: świat wydawał mu się dziwnie nierzeczywisty. Rzucił okiem na zdjęcie owcy i pokiwał głową. W stanie, w jakim się znajdował, nie uznał za dziwne, że policja zajmowała się łapaniem owiec.

Dopiero w po chwili dotarło do niego, co zobaczył, i pomyślał: Co to jest, do diabła? - nie miał jednak siły się nad tym zastanawiać. Zapalił papierosa i ruszył dalej.

Oskar zobaczył je po popołudniu spędzonym na wążęsanu się po Vallingby. Wychodząc ze stacji metra, minął się z Tommym. Tommy spojrzał na niego podniecony, rzucił, że „zrobił coś bardzo zabawnego”, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo drzwi wagonu metra się zamknęły. W domu na stole kuchennym leżała kartka; mama wybierała się wieczorem na kolację z chórem. „Jedzenie jest w lodówce, ulotki rozniesione, całusy”.

Na ławie w kuchni leżała popołudniowa gazeta. Oskar spojrzał na zdjęcie owcy i przeczytał wszystko, co napisano o poszukiwaniach. Potem zajął się tym, co ostatnio zaniedbał: zaczął wycinać artykuły o mordercy z gazet z ostatnich kilku dni. Wyjął stare numery z szafy, wziął swój zeszyt, nożyczki, klej i zabrał się do pracy.

Staffan zobaczył je około dwustu metrów od miejsca, w którym zostało zrobione. Dorwał Tommy'ego i po paru krótkich słowach, rzuconych zrozpaczonej Yvonne, ruszył do Åkeshov. Tam ktoś skierował go do kolegi, którego nie znał, mówiąc o nim „Owczarz”. Dopiero kilka godzin później, kiedy zobaczył popołudniową gazetę, zrozumiał, w czym rzecz.

Szefostwo policji było wściekłe. Prasa wykazała się niesłychanym brakiem taktu. Większość policjantów uznała jednak zdjęcie za zabawne, z wyjątkiem samego „Owczarza”, oczywiście. Jeszcze kilka tygodni musiał wysłuchiwać „beeeee” i znosić docinki w stylu: Ładny sweter, to owcza wełna?

Jonny zobaczył je, kiedy jego czteroletni młodszy braciszek, to znaczy przyrodni braciszek, Kalle przyszedł do niego z prezentem. Przyniósł mu klocek, zawinięty w pierwszą stronę dzisiejszej gazety. Jonny wyrzucił malca z pokoju; powiedział, że nie ma czasu, i zaniknął drzwi. Ponownie wyjął album ze zdjęciami i zaczął się przyglądać zdjęciom ojca, swojego prawdziwego ojca, który nie był ojcem Kallego.

Chwilę potem usłyszał, jak ojczym grzmi na Kallego, bo zniszczył gazetę. Wtedy Jonny odpakował prezent; trzymając w ręku klocek, spojrzął na zdjęcie owcy. Roześmiał się; poczuł ból nad uchem. Włożył album ze zdjęciami do torby ze strojem gimnastycznym; najpewniej będzie przechować go w szkole, i zaczął się zastanawiać, co, do diabła, ma zrobić z Oskarem.

Zdjęcie owcy wywołało wręcz debatę dotyczącą etyki mediów, ale też znalazło się w noworocznym przeglądzie najlepszych zdjęć prasowych roku. Tryk, który wtedy został złapany, został przeniesiony na letnie pastwisko w pobliżu pałacu w Drottningholmie i na zawsze pozostał nieświadomy, że na jeden dzień znalazł się w świetle jupiterów.

Virginia odpoczywała otulona kocami. Miała zamknięte oczy, leżała nieruchomo. Za chwilę się obudzi. Leżała tak już jedenaście godzin. Temperatura jej ciała spadła do dwudziestu siedmiu stopni, co odpowiadało temperaturze wewnątrz szafy. Serce biło jej w tempie czterech uderzeń na minutę.

Podczas tych jedenastu godzin w jej organizmie zaszły nieodwracalne zmiany. Żołądek i płuca przystosowały się do nowego trybu życia. Najciekawszą zmianą z medycznego punktu widzenia była ciągle jeszcze rosnąca cysta w węzle zatokowo-przedsionkowym w ścianie prawej komory serca. Cysta zdążyła już dwukrotnie zwiększyć swoją wielkość. Rakopodobna narośl, składająca się z obcych komórek, rozwijająca się w niczym nieograniczony sposób.

Gdyby pobrano próbkę komórek i umieszczono je pod mikroskopem, można by zauważyć coś, na widok czego każdy kardiolog oznajmiłby, że doszło do wymieszania próbek. Niesmaczny żart.

Narośl w ścianie przedsionka była mianowicie zbudowana z komórek mózgowych.

Tak. Wewnątrz serca Virginii rozwijał się mały, niezależny od niej mózg. Wcześniej, w trakcie procesu tworzenia się, zależny był od dużego mózgu; teraz stał się samowystarczalny i - co Virginia też już zdążyła odkryć - był w stanie żyć, nawet jeśli jej ciało by umarło.

Virginia otworzyła oczy i wiedziała, że już nie śpi. Chociaż uniesienie powiek niczego nie zmieniło. Było tak samo ciemno jak wcześniej. Ale zbudziła się w niej świadomość. Właśnie. To jej świadomość mrugała do życia; jednocześnie było też coś, co natychmiast się wycofywało.

Jak... Jak kiedy przyjeżdżało się do domku letniego, który całą zimę stał pusty. Otwierało się drzwi, sięgało do włącznika i w momencie, kiedy się zapalało światło, dawało się słyszeć drapanie i szuranie małych pazurków po podłodze; czasem można nawet było dojrzeć szczura, chowającego się pod zlew.

Dyskomfort. Wiadomo było, że tu mieszkał podczas naszej nieobecności. Że uznał dom za swój. I że wróci tu, jak tylko zgasimy światło.

Nie jestem sama.

Usta były jak papier. Język był bez czucia. Nadal leżała i wspominała domek, który ona i Per, ojciec Leny, wynajmowali na lato, kiedy Lena była mała.

Pamiętała norę szczura, którą znaleźli pod zlewem. Szczury pogryzły na drobne kawałki puste kartony po mleku i opakowanie po płatkach kukurydzianych i zbudowały domek; przemyślną konstrukcję z różnokolorowych kawałków papieru.

Virginia miała wręcz wyrzuty sumienia, kiedy wciągała odkurzaczem ich piękną konstrukcję, a nawet więcej: jakieś zabobonne uczucie przekroczenia pewnej granicy. Kiedy zimną metalową rurą odkurzaczka naruszyła ten śliczny, kruchy domek, na którego budowę szczur poświęcił całą zimę, miała uczucie, jakby przeganiała z domu dobrego duszka.

I tak było. Kiedy się okazało, że szczur nie dawał się złapać w pułapkę, tylko nadal zjadał ich produkty, mimo że przecież było lato, Per wyłożył trutkę. Pokłócili się o to. Kłócili się też o inne rzeczy. O wszystko. W lipcu szczur padł, gdzieś w swojej norce w ścianie.

W miarę jak odór rozkładającego się ciała szczura stawał się coraz bardziej wyczuwalny w całym domu, rozpadało się też ich małżeństwo. Wrócili z wakacji tydzień wcześniej, niż planowali, bo nie mogli już znieść ani siebie, ani odoru. Dobry duszek ich opuścił.

Co się stało z domkiem? Czy ktoś inny tam teraz mieszka?

Usłyszała jakiś pisk, syczenie.

Jest szczur! Pomiędzy kocami!

Wpadła w panikę.

Okutana kocami rzuciła się w bok i uderzyła o drzwi szafy, które nagle się otworzyły; wypadła na podłogę. Zaczęła wierzgać nogami, machać rękami, w końcu udało jej się uwolnić od koców. Pełna obrzydzenia wdrapała się na łóżko, wcisnęła się w kąt, podciągnęła kolana pod brodę, patrzyła na stertę koców i kołder, czekając na jakiś ruch. Wtedy zacznie krzyżeć. Krzyżeć tak, że cały dom się zbiegnie z młotkami, siekierami, i zacznie tłuc stertę koców, aż szczur padnie martwy.

Koc na samym wierzchu był zielony w niebieskie kropki. Czy coś tam się ruszało? Wstrzymała oddech, chciała krzyknąć; znów usłyszała pischczenie, i ten syk.

Ja... oddycham.

Właśnie. Zanim zasnęła, doszła do wniosku, że nie oddycha. A teraz znów oddychała. Spróbowała zaczerpnąć powietrza i rozległ się pisk, syczenie. Dochodził z jej dróg oddechowych. Zaszły, kiedy spała, i stąd te dźwięki. Odchrząknęła, poczuła w ustach zgniły smak.

Przypomniała sobie. Wszystko.

Spojrzała na swoje ręce. Pokryte były strużkami zaschniętej krwi, ale nie było na nich żadnych ran czy blizn. Skupiła wzrok na jednym miejscu na przedramieniu; pamiętała, że w tym miejscu cięła się co najmniej dwa razy. Widać było pasemko może nieco bardziej jasnorożowej skóry. Tak. Być może. Poza tym wszystko się zabiłiżniło.

Przetarła oczy i spojrzała na zegarek. Kwadrans po szóstej. Był wieczór. Ciemno. Spojrzała na zielony koc, na niebieskie kropki.

Skąd dochodziło światło?

Lampa na suficie była zgaszona; żaluzje opuszczone. Jak to możliwe, że tak wyraźnie widziała wszystkie kontury i odcienie barw? W szafie było zupełnie ciemno. Kiedy siedziała tam w środku, nic nie widziała. Ale teraz... jakby był środek dnia.

Trochę światła zawsze wpada.

Oddychała?

Nie mogła tego kontrolować. Kiedy zaczynała myśleć o oddychaniu, zaczynała nim kierować. Może oddychała tylko, kiedy o tym myślała?

Jednak przy pierwszym oddechu, który pomyliła z odgłosami szczura... wtedy o tym nie myślała. A może to było coś... coś, co...

Zamknęła oczy.

Ted.

Była przy jego narodzinach. Z mężczyzną, który był ojcem Teda, Lena nie spotkała się już nigdy po tej jednej nocy, kiedy Ted został poczęty. Jakiś fiński biznesmen na konferencji w Sztokholmie i tak dalej. Więc przy porodzie była Virginia. Uprosiła, żeby jej pozwolono.

I teraz właśnie o tym pomyślała. O pierwszym oddechu Teda.

O tym, jak przyszedł na świat. Drobne ciało, lepkie, fioletowe, mało podobne do człowieka. Wybuch radości w piersi, który zamienił się w chmurę niepokoju, bo nie oddychał. Położna wzięła spokojnie małą istotkę na ręce. Virginia myślała, że odwróci go głową w dół i da klapsa w pupę, jednak w momencie, kiedy położna go chwyciła, na ustach maleństwa pojawiła się bańka śliny. Bańka która rosła, rosła... aż pękła. I wtedy usłyszała krzyk, pierwszy krzyk. Oddychał.

I co?

Czy tak samo było z pierwszym piszczącym oddechem Virginii? Czy to był... krzyk narodzin?

Wyprostowała się i położyła się na wznak na łóżku. Dalej odtwarzała swój film z porodu. Pozwolono jej wykapać Teda, bo Lena była zbyt słaba, straciła

mnóstwo krwi. Właśnie. Kiedy Ted już wyszedł, poleciało z niej tyle krwi, że przelała się na podłogę. Zaraz podbiegły pielęgniarki z dużą ilością papieru, a po jakimś czasie krwawienie ustało.

Sterta zakrwawionego papieru; ciemnoczerwone ręce położnej. Spokój, fachowość i mimo wszystko... krew. Tyle krwi.

Pragnienie.

Zaszło jej w ustach, cofnęła kadry filmu, skupiając się obrazku, na którym wszystko było we krwi; ręce położnej, gdyby tak mogła przeciągnąć językiem po tych rękach; przesiąknięte krwią majtki na podłodze, gdyby tak mogła włożyć je do ust issać. Łono Leny, z którego krew wyciekała cienką strużką, gdyby tak...

Nagle usiadła, wstała i, szlochając, pobiegła do łazienki, podniosła deskę, pochyliła głowę nad miską klozetową. Nic. Tylko spazmatycznie skurcze. Oparła głowę o brzeg miski. Obrazki z porodu powróciły.

Niechcieniechcieniechcienie

Waliła głową w porcelanową miskę; gejzer lodowatego bólu trysnął w jej głowie. Przed oczami zrobiło się jej niebiesko. Roześmiała się i osunęła na podłogę, na łazienkowy dywanik, który...

Kosztował 14,90, ale dostałam go za dychę, bo kiedy kasjerka zdarta nalepką z ceną odszedł też kawałek materiału, a kiedy wyszłam z nim na płac przed domem towarowym Ahlens, to był tam gołąb, który dziobał papierowe pudełko, w którym zostało kilka frytek i ten gołąb był szary... i... niebieski... padało... światło...

Nie miała pojęcia, jak długo jej nie było. Minutę, godzinę? Może tylko kilka sekund. Coś jednak się zmieniło. Uspokoila się.

Puchaty dywanik łazienkowy pod jej policzkiem był przyjemny; leżała, przyglądając się rurze z plamami rdzy, prowadzącej od odpływu umywalki do podłogi. Uznała, że rura ma ładny kształt.

Silny zapach moczu. To nie ona się zsiakała, nie, bo to był... moczu Lackego, rozpoznała zapach. Wygięła tułów, przywarła twarzą do podłogi pod klozetem, wachała. Lacke... i Morgan. Nie rozumiała, skąd to wie, ale wiedziała na pewno: Morgan nasikał obok miski.

Ale Morgana tu nie było.

Chociaż, zaraz. Tego wieczoru, tej nocy, kiedy przyprowadzili ją do domu. Kiedy została napadnięta. Pogryziona. Tak. Oczywiście. Wszystko się zgadzało. Morgan tu był. Morgan poszedł sikać, a ona leżała tam, na kanapie; została pogryziona, a teraz widziała w ciemnościach, nie tolerowała światła, potrzebowała krwi i...

Wampir.

Właśnie. Zapadła na jakąś rzadką i nieprzyjemną chorobę, z której wyleczą ją w szpitalu, może na psychiatrii, może...

Terapia świetlna!

Roześmiała się, zakasłała, położyła się na plecach na podłodze, patrzyła w sufit i rozmyślała. Szybko gojące się rany, reakcja jej skóry na słońce, krew. Powiedziała na głos:

- Jestem wampirem.

Niemożliwe. Wampiry nie istniały. Ale poczuła ulgę. Jakby odpuścił ucisk, który miała w głowie. Jakby przestało ciążyć jej poczucie winy. To nie była jej wina. Te okropne fantazje, te straszne rzeczy, które wyczyniała w nocy. Nie mogła nic na to poradzić.

To było... zupełnie naturalne.

Kłęknęła, zaczęła napełniać wodę do wanny; usiadła na klozecie i przypatrywała się lecącej wodzie; wanna napełniała się powoli. Zadzwonił telefon. Obojętny sygnał, mechaniczny dźwięk. Bez żadnego znaczenia. I tak nie mogła z nikim rozmawiać. Nikt nie mógł rozmawiać z nią.

Oskar nie czytał sobotniej gazety. Teraz leżała przed nim na stole kuchennym. Już od dłuższej chwili przyglądał się jednej stronie; po raz kolejny czytał napis pod zdjęciem. Nie mógł się uwolnić od tego obrazka. Artykuł był o mężczyźnie, którego zamrożone ciało znaleziono w pobliżu szpitala w Blackebergu. Pisano, jak został znaleziony, jak wydobyto go z lodu. Było nawet małe zdjęcie pana od wufu. Stał i wskazywał coś w oddali, pokazywał dziurę w lodzie. Cytując wypowiedź nauczyciela, dziennikarz wygładził chropowatości językowe Avili.

Wszystko to było ciekawe i na pewno warto było wyciąć artykuł i go zachować, ale jednak nie temu się teraz przyglądał, nie od tego nie mógł oderwać oczu.

Na zdjęciu widać było sweter, golf.

Wciśnięty za poły kurtki martwego mężczyzny, poplamiony krwią golf w dziecięcym rozmiarze. Zamieszczono jego zdjęcie. Był rozłożony na neutralnym tle. Oskar rozpoznał go.

Nie marzniesz?

W artykule podano, że martwego mężczyznę, Joakima Bengtssona, widziano ostatni raz żywego w sobotę, dwudziestego czwartego października. Dwa tygodnie temu. Oskar pamiętał tamten wieczór. Wtedy Eli rozwiązała zagadkę kostki. Pogładził ją po policzku, a w nocy gdzieś wyszła. W nocy ona i jej... facet... kłócili się i facet wyszedł.

Czy właśnie tego wieczoru Eli to zrobiła?

Tak. Najprawdopodobniej. Następnego dnia wyglądała o wiele zdrowiej.

Spojrzał na zdjęcie. Było czarne-białe, ale w artykule napisane było, że golfik był jasnoróżowy. Autor artykułu zastanawiał się, czy morderca miał jeszcze jedno młode życie na sumieniu?

Chwileczką.

Morderca z Vällingby. W artykule było napisane, że policja miała mocne poszlaki, pozwalające sądzić, że zamrożony mężczyzna został zamordowany

przez rytualnego mordercę, który tydzień wcześniej został zatrzymany w Vällingbyhallen, a teraz znów był na wolności.

Czy to był on... ten facet? A ten gość w lesie... dlaczego?

Oskar przypomniał sobie Tommy'ego; jego gest, kiedy siedział na ławce obok piaskownicy.

Powieszony na drzewie... poderżnięte gardło... ciaaach.

Zrozumiał. Wszystko już rozumiał. Te wszystkie artykuły, które wycinał i zachowywał, radio, telewizja, całe to gadanie, ten strach...

Eli.

Oskar nie wiedział, co robić. Co powinien zrobić? Podeszedł do lodówki i wyjął lasagne, którą zostawiła mu mama. Zjadł ją na zimno, nie przerywając czytania. Kiedy skończył, usłyszał pukanie w ścianę. Zamknął oczy, żeby lepiej słyszeć. Kod znał już na pamięć.

J.A.WY.C.H.O.D.Z.E.

Szybko wstał od stołu, poszedł do swojego pokoju, położył się na brzuchu na łóżku i wystukał odpowiedź.

P.R.Z.Y.J.D.Ż.D.O.M.N.I.E.

Pauza. A potem:

T.W.O.J.A.M.A.M.A.

Oskar odpowiedział.

W.Y.S.Z.Ł.A.

Mama miała wrócić dopiero koło dziesiątej. Mieli przynajmniej trzy godziny dla siebie. Kiedy Oskar skończył stukać, położył głowę na poduszce. Skoncentrował się na słowach, o których zdążył już zapomnieć.

Golf... gazeta...

Wzdrygnął się, chciał sprzątnąć leżące na wierzchu gazety. Ona zobaczy... domyśli się, że on wie...

Po chwili jednak znów położył głowę na poduszce, było mu wszystko jedno.

Cichy gwizd za oknem. Wstał z łóżka, podeszedł do okna i wyjrzał. Stała na dole z twarzą zwróconą do światła. Miała na sobie swoją za dużą koszulę w kratę. Gestem pokazał: „Podejdz do drzwi”.

- Nie powiesz mu, że tam jestem?

Na twarzy Yvonne pojawił się grymas; wydymała dym ustami przez na wpół otwarte okno w kuchni; nie odezwała się.

Tommy prychnął.

- Dlaczego tak palisz, przez okno?

Słupek popiołu na jej papierosie był tak długi, że zaczynał się załamywać. Tommy pokazał palcem, żeby go strzepała. Ignorowała go.

- Bo Staffan tego nie lubi? Nie lubi zapachu dymu.

Tommy odchylił się na krzesło kuchennym, spojrzął na popiół i zaczął się zastanawiać, jak to się dzieje, że popiół tak długo się utrzymywał, że nie spadał. Zamachał jej ręką przed twarzą.

- Ja też nie lubię dymu. Kiedy byłem mały, też nie lubiłem. Ale wtedy nie otwierałaś okna. A teraz...

Popiół spadł i wylądował na udach Yvonne. Strzepnęła go, ale na spodniach została szara smuga. Pogroziła mu palcem.

- Jasne, że otwierałam. Bardzo często otwierałam. Może czasem, kiedy mieliśmy gości, może wtedy... Poza tym akurat ty nie powinienes się wypowiadać na ten temat.

Tommy wyszczerzył zęby.

- Trochę zabawy było, no nie?

- Nie, nie było. A gdyby wybuchła panika? Gdyby ludzie... a ta misa...

- Chrzcielnica.

- Tak, chrzcielnica. Książd był zrozpaczony, była cała... pokryła się czarną skorupą... Staffan musiał...

- Staffan, Staffan...

- Tak, Staffan. Nie powiedział, że ty to zrobiłeś. Mówił mi, że było mu bardzo trudno, z jego przekonaniami... stać tam i kłamać księdzu w oczy, ale że... chciał cię chronić...

- Nie rozumiesz?

- Czego nie rozumiem?

- On chroni siebie.

- Przecież on...

- Zastanów się.

Yvonne zaciągnęła się papierosem po raz ostatni, zgasiła go w popielniczce i natychmiast zapaliła drugiego.

- To był... antyk. Muszą poddać ją renowacji.

- I to zrobił właśnie pasierb Staffana. Jak by to wyglądało?

- Nie jesteś jego pasierbem.

- Nie, ale co z tego. Gdybym powiedział Staffanowi, że zamierzam iść do klechy i powiedzieć, że ja to zrobiłem, i że nazywam się Tommy, a Staffan jest moim... przyszywanym ojczymem, to myślisz, że byłby zachwycony?

- Musisz z nim porozmawiać.

- Nie. Na pewno nie dzisiaj.

- Boisz się.

- Mówisz jak dzieciak.

- A ty się zachowujesz jak dzieciak.

- Trochę zabawy było, no nie?

- Nie, Tommy. Nie.

Tommy westchnął. Nie był tak głupi, żeby nie wiedzieć, że mama będzie zła, miał jednak nadzieję, że mimo wszystko będzie w stanie dostrzec w tym

coś komicznego. Ale ona była teraz po stronie Staffana. Musiał się z tym pogodzić.

Prawdziwym problemem było znalezienie miejsca, gdzie mógłby zamieszkać. Po ich ślubie, oczywiście. Do tego czasu mógł się dekować w piwnicy w takie wieczory jak ten, kiedy przychodził Staffan. O ósmej kończył dyżur w Åkeshov i bezpośrednio stamtąd miał tu przyjechać. A Tommy nie zamierzał siedzieć i wysłuchiwać jego umoralniającego kazania. Na pewno nie.

Więc Tommy poszedł do swojego pokoju, wziął z łóżka kołdrę i poduszkę; Yvonne nadal paliła, wychylając się przez okno. Kiedy już miał wszystko, stanął w drzwiach z poduszką pod jedną ręką i zwiniętą kołdrą pod drugą.

- No to idę. Nie mów mu, że tam jestem, dobrze?

Yvonne odwróciła się do niego. Miała łzy w oczach. Uśmiechnęła się blado.

- Wyglądasz, jak wtedy, kiedy... kiedy przyszedłeś i miałeś...

Słowa stanęły jej w gardle. Tommy stał, nie ruszał się. Yvonne przełknęła, zakasłała; spojrzała na niego, już bez łez w oczach, i cicho spytała:

- Tommy. Co ja mam robić?

- Nie wiem.

- Mam...

- Nie. Na pewno nie z mojego powodu. Jest jak jest.

Yvonne przytaknęła. Tommy czuł, że jemu też zaczyna się robić smutno i że powinien już iść.

- Posłuchaj, nie powiesz, że...

- Nie. Nie powiem.

- Dobrze. Dzięki.

Yvonne wstała i podeszła do Tommy'ego. Uściskała go. Pachniała silnie dymem papierosowym. Jeśli Tommy miałby wolne ręce, odwzajemniłby jej uścisk. Ale ponieważ nie miał, to tylko położył głowę na jej ramieniu i stali tak chwilę.

Potem Tommy poszedł.

Nie ufam jej. Staffan może jej wcisnąć cokolwiek i...

W piwnicy rzucił kołdrę i poduszkę na kanapę. Wciął prymkę tytoniu, zaczął żuć i się zastanawiać.

Najlepiej byłoby, gdyby został zastrzelony.

Ale Staffan pewnie nie należy do tych, co to... nie. To raczej on trafiłby bez pudła w czoło mordercy. I dostał pudełko czekoladek od swoich kumpi policjantów. Bohater. Pewnie przyjdzie tu i zacznie go szukać. To możliwe.

Wyłowił klucz, wyszedł na korytarz, otworzył drzwi do schronu i zabrał ze sobą łańcuch. Używając zapalniczki zamiast lampy, wszedł do krótkiego korytarza. W boksach, po obu jego stronach był suchy prowiant, konserwy,

stare gry towarzyskie, kuchenka gazowa i inne rzeczy, potrzebne do przetrwania obłączenia.

Otworzył jakieś drzwi, wrzucił łańcuch do boks.

W porządku. Przygotował sobie wyjście awaryjne.

Zanim opuścił schron, zdjął z kartonu figurkę strzelca, ważył ją w dłoni. Co najmniej dwa kilogramy. Może dałoby się ją sprzedać? Sam metal być coś wart. Mogliby ją przetopić.

Studiował jego twarz. Czy strzelec nie przypominał Staffana? Powinno się go przetopić.

Kremacja. Ostateczność.

Roześmiał się.

Najlepiej byłoby przetopić wszystko oprócz głowy i oddać Staffanowi. Kałuża zastygłego metalu i tylko ta mała, wystająca z niej głowa. Pewnie nie da rady. Niestety.

Odstawił figurkę na miejsce, wyszedł, zamknął drzwi, ale nie dokręcił koła. Będzie mógł się tam ukryć, jeśli okaże się to konieczne. Nie sądził jednak, żeby tak się stało.

Zrobił to tak na wszelki wypadek.

Lacke wyczekał dziesięć dzwonek, zanim odłożył słuchawkę. Gösta siedział na kanapie i głaskał po łebku kotka w pomarańczowe prążki; podniósł głowę i spytał:

- Nie ma nikogo?

Lacke przeciągnął ręką po twarzy.

- No coś ty. Nie słyszałeś, że rozmawialiśmy? - odpowiedział poirytowany. - Jeszcze jednego?

Lacke złagodniał, spróbował się uśmiechnąć.

- Sorry, nie chciałem... Poproszę, do diabła. Dzięki.

Gösta wychylił się w stronę stołu, ostrożnie, żeby nie ścisnąć kota, który siedział mu na kolanach. Kot zasyczał i zeskoczył na podłogę; usiadł i obrażony przyglądał się, jak Gösta nalewa trochę toniku i porządną porcję dżinu do szklanki Lackego, a potem mu ją podaje.

- Proszę. Nie martw się, ona pewnie... no...

- Jest w szpitalu. Dzięki. Pojechała do szpitala i ją zatrzymali.

- Tak... właśnie.

- Powiedz to.

- Co?

- Nic. Zdrowie.

- Zdrowie.

Obaj wypili. Po chwili Gösta zaczął dłubać w nosie; Lacke spojrzął na niego i Gösta cofnął palec; uśmiechnął się przepaszająco. Nie przywykł do ludzi.

Thusty szarobiały kot leżał rozplaszczony na podłodze; wyglądał, jakby nie miał siły podnieść łebka. Gösta wskazał na niego głową.

- Miriam będzie niedługo miała dzieci.

Lacke wziął duży łyk, skrzywił się, ale każda kropla coraz bardziej go znieczulała i coraz lżej było mu znosić panujący w mieszkaniu smród.

- Co z nimi będzie?

- Jak to?

- Z małymi. Co z nimi robisz? Zostawisz je przy życiu?

- Tak. Chociaż na ogół rodzą się martwe. Teraz.

- Że co... takiego? Ta gruba, Miriam, tak? Jej brzuch jest... pełen martwych kociąt?

- Tak.

Lacke wypił wszystko i odstawił szklanke na stół. Gösta spojrzął pytająco na butelkę dżinu. Lacke pokręcił głową.

- Nie. Trochę spauzuję.

Spuścił głowę. Pomarańczowy dywan był pełen kocich kłaków; wyglądał, jakby był z nich zrobiony. Wszędzie były koty. Ile ich tu było? Zaczął liczyć. Doszedł do osiemnastu. Tylko w tym pokoju.

- Nigdy nie myślałeś, żeby... coś z nimi zrobić? To znaczy wykastrować czy jak to się nazywa... wy sterylizować? Wystarczyłoby jedną płeć.

Gösta patrzył na niego i nic nie rozumiał.

- Jak to miałyby wyglądać?

- Czyja wiem...

Lacke wyobraził sobie, jak Gösta siedzi w wagoniku metra z może nawet dwudziestoma pięcioma kotami. W kartonie. Nie, w torbie, w worku. Jak wchodzi do weterynarza, wysypuje je i mówi:

- Wykastrować, poproszę.

Zarechotał. Gösta przechylił głowę.

- Co się stało?

- Nic, tylko pomyślałem, że... pewnie dostałbyś rabat.

Gösta nie docenił dowcipu; Lacke zamachał rękami.

- Sorry. Ja... jestem całkiem... ta historia z Virginią, ja... - próbował coś powiedzieć. Nagle wyprostował się i uderzył pięścią w stół.

- Nie zostanę tu dłużej.

Gösta podskoczył na kanapie. Kot uskoczył spod nóg Lackego, uciekł pod fotel. Gdzieś w pokoju rozległo się syczenie. Gösta się wyprostował; zaczął bawić się kieliszkiem.

- Nie musisz. Nie ze względu na mnie...

- Źle mnie zrozumiałeś. Chodzi mi o to miejsce. Całe to gównno. To wszystko. Te domy, drogi, po których chodzimy, place, ludzie, wszystko to jest... chore, rozumiesz? Coś jest nie tak. Wymyślili to miejsce; wszystko zaplanowali, żeby było... idealnie. A jakoś tak się porobiło, że wszystko wyszło nie tak. Gównno.

Jakby - nie potrafię tego wytłumaczyć - jakby mieli jakiś pomysł na kąty, sam nie wiem, jakby ważne było, pod jakim kątem domy stoją; żeby wszystko było harmonijnie czy co. Może mieli jakieś złe miarki, czego oni tam, cholera, używają; bo od początku było nie tak, a potem już tylko coraz gorzej. Człowiek chodzi między tymi domami i ma wrażenie, że... nie. Nie, nie i jeszcze raz nie. Tutaj nie da się żyć.

Tu coś jest nie tak, rozumiesz?

Chociaż pewnie nie kąty, tylko coś innego, coś, co... jest jak choroba, która siedzi w tych... ścianach, i ja... nie chcę tu już dłużej być.

Chlupot; Gösta nieproszony dolał Lackemu grogu do szklanki. Lacke przyjął to z wdzięcznością. Gdy się wyładował, ogarnął go błogi spokój, który alkohol zamieniał teraz w ciepło. Odchylił się w fotelu, odetchnął.

Siedzieli tak, milcząc, aż nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Lacke spytał:

- Spodziewasz się kogoś?

Gösta pokręcił głową i z trudem zaczął podnosić się z kanapy.

- Nie. Jakiś cholerny ruch dzisiaj.

Lacke wyszczerzył zęby i podniósł szklankę w chwili, kiedy Gösta go mijął. Czuł się nieco lepiej. Właściwie to już całkiem dobrze.

Drzwi się otworzyły. Ktoś się odezwał, a Gösta odpowiedział:

- Proszę, wejść.

Leżąc w wannie, w ciepłej wodzie, która zabarwiła się na różowo, kiedy zmyła ze skóry zaschniętą krew, Virginia podjęła decyzję.

Gösta.

Jej nowa świadomość podpowiadała jej, że to jest ktoś, kto ją wpuści. Jej stara świadomość: że nie może to być ktoś, kogo kocha. Czy nawet tylko lubi. Gösta spełniał te kryteria.

Wyszła, wytarła się, włożyła spodnie i bluzkę. Dopiero na ulicy zauważyła, że nie ma na sobie płaszcza. Mimo to nie marzyła.

Nowe odkrycia, cały czas.

Na dole pod blokiem stanęła i popatrzyła w okno Gösty. Był w domu. Zawsze był w domu.

A jeśli będzie stawiał opór?

O tym nie pomyślała. Wyobraziła sobie, że po prostu pójdzie i weźmie to, czego potrzebuje. Ale może Gösta będzie chciał żyć?

Jasne, że będzie chciał żyć. Jest człowiekiem, ma swoje przyjemności, te wszystkie koty, które...

Nagle myśli się rozproszyły, znikły. Położyła rękę na sercu. Pięć uderzeń na minutę; wiedziała, że musi chronić swoje serce. Chodzi o jakieś, co to było...? Kołki.

Pojechała windą na najwyższe piętro, zadzwoniła. Kiedy Gösta otworzył drzwi i zobaczył Yirginię, otworzył szeroko oczy, jakby przerażony.

On wie? To widać?

Gösta powiedział:

- To... ty?

- Tak. Mogę...

Zrobiła ruch rękaw kierunku mieszkania. Nic nie rozumiała. Intuicja podpowiadała jej, że potrzebuje zaproszenia, inaczej... inaczej... coś...

Gösta pokiwał głową. Cofnął się o krok.

- Proszę, wejść.

Weszła do korytarza, Gösta zamknął drzwi. Patrzył na nią swoimi wodnistymi oczami. Był nieogolony; sflaczała skóra na szyi była brudna, pokryta drobnym, szarym zarostem. Smród w mieszkaniu był jeszcze gorszy, niż pamiętała.

Chcę wejść.

Stary mózg został wyłączony. Głód wziął górę. Położyła ręce na jego ramionach. Niech się stanie. Dawna Virginia siedziała teraz skulona gdzieś z tyłu głowy, poza kontrolą.

Usta powiedziały:

- Pomożesz w mi w pewnej sprawie? Stój spokojnie.

Usłyszała coś, czyjś głos.

- Virginia! Cześć! Tak się cieszę, że...

Lacke cofnął się, kiedy Virginia odwróciła się do niego.

Jej oczy były puste. Jakby ktoś wbił w nie szpilki i wyssał z nich to, co było Virginią, zostawiając ten nic niemówiący wzrok anatomicznego modelu. „Rysunek 8: Oczy”.

Virginia wpatrywała się w niego przez sekundę, puściła Göstę i odwróciła się do drzwi, nacisnęła klamkę; drzwi były zamknięte. Przekręciła klucz w zamku, ale Lacke chwycił ją i odciągnął od drzwi.

- Nigdzie nie pójdziesz, zanim...

Virginia zaczęła z nim walczyć; trafiła go łokciem w usta, rozcięła mu wargę. Lacke chwycił jej rękę, przywarł policzkiem do jej pleców.

- Ginja, do diabła. Musimy porozmawiać. Cholernie się martwiłem. Uspokój się, o co chodzi?

Szarpnęła się, zrobiła krok w stronę drzwi, ale Lacke trzymał ją mocno i ciągnął w stronę pokoju. Starał się mówić spokojnie, nie podnosząc głosu, jak do wystraszonego zwierzęcia; cały czas popychał ją przed sobą.

- Zaraz Gösta ci coś należy, a potem usiądziemy i spokojnie o wszystkim porozmawiamy, a ja... ja ci pomogę. Cokolwiek to jest, pomogę ci, dobrze?

- Nie, Lacke, nie.

- Tak, Ginja.

Gösta przecisnął się obok nich, nalał grogu do szklanek, dla Virginii i dla Lackego. Lackemu udało się zaciągnąć Yirginię do pokoju, puścić ją

i stanął w drzwiach z rękami na framudze, jak strażnik. Zlizał krew z dolnej wargi.

Virginia stała na środku pokoju, spięta. Rozglądała się dookoła, jakby szukając drogi ucieczki. Jej oczy zatrzymały się na oknie.

- Nie, Ginja.

Lacke gotów był do niej doskoczyć, chwycić ją, gdyby przyszedł jej do głowy jakiś głupi pomysł.

Co się z nią dzieje? Czyżby w pokoju były jakieś duchy?

Usłyszał dźwięk, jakby ktoś rozbijał jajko o brzeg gorącej patelni.

Znów to samo.

I znów.

Pokój wypełniał się coraz głośniejszym syczeniem, parskaniem.

Wszystkie koty w pokoju stanęły na nogi; wygięły grzbiety, uniosły ogony i przyglądały się Virginii. Nawet Miriam podniosła się niezdarnie, ciągnąc brzuch po podłodze; położyła uszy, wyszczerzyła zęby.

Z sypialni, z kuchni zaczęły się schodzić koty.

Gösta przestał nalewać, stał z butelką w ręku i wielkimi oczami patrzył na swoje zwierzęta. Syczenie było jak naładowana elektrycznością chmura i cały czas przybierało na sile. Lacke podniósł głos, żeby przekrzyknąć koci harmider.

- Gösta, co one robią?

Gösta kręcił głową; wykonał zamaszty gest ręką; z butelki wylało się trochę dżinu.

- Nie wiem... ja nigdy...

Mały kotek doskoczył do uda Virginii, wpił się w nie pazurami i ugryzł. Gösta z hałasem postawił butelkę na stole i powiedział:

- Fuj, Titanio, fuj!

Virginia schyliła się i chwyciła kota za kark, chciała go odciągnąć. Wtedy dwa inne skorzystały z okazji i wskoczyły jej na plecy i na kark. Virginia krzyknęła; zdjęła kota z nogi, odrzuciła go. Przeleciał przez pokój, uderzył o brzeg stołu i upadł u stóp Gösty. Jeden z kotów przeszedł z pleców Virginii na jej głowę, przywarł do niej pazurami i chciał ugryźć ją w czoło.

Zanim Lacke zdążył podbiec, wskoczyły na nią kolejne trzy koty. Wrzeszczały, a Virginia okładała je pięściami. Mimo to trzymały się mocno, gryząc ją swoimi małymi zębami.

Lacke włożył ręce w tę pełzającą, pulsującą masę na piersiach Virginii, chwycił za sierść, pokrywającą napięte mięśnie; odrywał drobne ciątka; rozerał bluzkę Virginii; Virginia zaczęła krzyczeć i...

„Ona płacze”.

Nie, po jej policzku spływała krew. Lacke chwycił kota, który siedział jej na głowie, ale kot tylko jeszcze głębiej wbił swoje pazury; był jak przyklejony. Lacke chwycił ręką jego łebek, zaczął targać nim na wszystkie strony, aż nagle

usłyszał „trach”. Puścił kotka, a ten opadł bezwładnie na czubek głowy Virginii. Na jego nozdrzach pokazała się kropla krwi.

- Ojej! Mój maleńki...

Gösta ze łzami w oczach zaczął głaskać kotka, który nawet po śmierci nie chciał puścić głowy Virginii.

- Mój maleńki, kochany...

Lacke spuścił wzrok i jego oczy spotkały oczy Virginii.

Znów była sobą.

Virginią.

Pozwól mi odejść.

Przez podwójny tunel, który był jej oczami, Virginia przypatrywała się temu, co się działo z jej ciałem, i Lackemu, który próbował ją ratować.

Zostaw.

To nie ona walczyła, wrywała się. To było to coś w niej, co chciało żyć, chciało, żeby jego... gospodarz żył. Ona poddała się, kiedy zobaczyła szyję Gösty, poczuła smród mieszkania. Tak miało być. Nie zamierzała w tym uczestniczyć.

Ból. Czuła ból. Zadrapania. Ale to wkrótce minie.

Więc... zostaw to...

Lacke wszystko widział. Ale nie akceptował tego.

Gospodarstwo... dwa siedliska... ogród...

W panice próbował odciągać koty od Virginii. Nie puszczały, były jak pokryte futrem kłębki mięśni. Pojedyncze, które udało mu się od niej oderwać, ciągnęły za sobą strzępy jej ubrania, zostawiały głębokie szramy na jej skórze; większość jednak trzymała się jej jak pijawki. Bił je; słyszał, jak łamał im kości, ale kiedy jeden odpadał, zjawiał się następny; koty wdrapywały się po sobie podniecone...

Czerń.

Poczuł uderzenie w twarz, zachwiał się, cofnął o metr, niemal upadł, chwycił się ściany, zamrugał. Gösta stał obok Virginii z zaciśniętymi pięściami, patrzył na niego ze łzami w oczach, a w jego wzroku była wściekłość.

- Robisz im krzywdę! Robisz im krzywdę!

Obok niego stała Virginia jak wrząca masa jęczącego, syczącego futra. Miriam czołgała się po podłodze, podniosła się na tylnych łapach i ugryzła Virginie w łydkę. Widząc to, Gösta się schylił i pogroził kocicy palcem.

- Tak nie wolno, maleńka. To boli.

Rozsądek opuścił Lackego. Zrobił dwa kroki do przodu i wymierzył Miriam kopniaka. Jego stopa trafiła w rozdęty brzuch kocicy. Zobaczył rozbryzujące się wnętrzności, ale nie czuł obrzydzenia, tylko zadowolenie. Chwycił rękę Virginii:

- Uciekajmy stąd, uciekajmy... - Pociągnął ją w stronę drzwi.

Virginia próbowała stawiać opór. Jednak siła Lackego była równa sile łączy i razem były silniejsze od niej. Przez tunele w głowie widziała, jak Gösta pada na kolana, słyszała krzyk bólu, kiedy wziął martwego kotka na rękę i zaczął gładzić go po grzbiecie.

Wybacz mi wybacz mi

Potem Lacke pociągnął ją za sobą i zniknął widok kota, chodzącego jej po twarzy, gryzącego ją w głowę; pozostał ból, żywe igły, wbijające się w jej skórę; jakby znajdowała się wewnątrz organicznego pasa dziewiczego. Straciła równowagę i upadła; poczuła, że ktoś ciągnie ją po podłodze.

Zostaw mnie.

Kot przed jej oczami zmienił pozycję, zobaczyła, jak otwierają się drzwi od mieszkania, i rękę Lackego, ciemnoczerwoną która ciągnęła ją za sobą; zobaczyła klatkę, schody, znów stała na nogach, walczyła; odzyskała świadomość, przejęła kontrolę i...

Virginia wyrwała dłoń z jego ręki.

Lacke odwrócił się w stronę pełzającej masy futra, która była jej ciałem, żeby znów ją chwycić, żeby...

Co? Żeby co?

Wyjść. Żeby wyjść.

Ale Virginia precyzyjnie się obok niego i w jednej sekundzie drżący koci grzbiet przywarł do jego twarzy. Po chwili była już na klatce, gdzie miauczenie kotów roznosiło się niczym jęki rozkoszy, podczas gdy ona zbiegała po schodach i...

Nienienie

Lacke próbował podbiec, powstrzymać ją, ale Virginia, jakby przekonana, że wylądjuje miękko bądź może było jej wszystko jedno, rzuciła się bezwładnie w dół ze schodów.

Kiedy zaczęła się toczyć po betonowych schodach, koty podniosły wrzask. Ich drobne kostki zaczęły się łamać, zostawiały wilgotne ślady; słysząc było tępy odgłos uderzeń, Lacke aż się wzdrygnął, kiedy głowa Virginii...

Coś przeleciało przez jego stopę.

Mały szary kotek, z chorymi tylnymi łapkami pełzał po podeście, usiadł na początku schodów i zaczął żałośnie zawodzić.

Na podeście na dole leżała Virginia, nie ruszała się. Koty, które przeżyły upadek, odeszły od niej i wracały teraz na górę po schodach. Weszły do korytarza i zaczęły się myć.

Tylko mały szary kotek został, smutny, że nie może być razem z innymi.

Policja zorganizowała konferencję prasową w niedzielę wieczorem.

Wybrano salę konferencyjną w budynku komendy, mieszczącą czterdzieści osób, ale okazała się za mała. Przyszło wielu dziennikarzy z redakcji róż-

nych europejskich gazet i stacji telewizyjnych. Fakt, że nie udało się złapać mężczyzny w ciągu dnia, na pewno przydał sytuacji powagi. Brytyjski dziennikarz chyba najlepiej wytłumaczył powód takiego zainteresowania sprawą:

- To jest polowanie na Potwora. Jego wygląd, czyny. To Potwór, taki jak z bajek. Zawsze, kiedy takiego łapiemy, udajemy, że to już na zawsze.

Kwadrans przed wyznaczonym czasem powietrze w słabo wentylowanym pomieszczeniu zrobiło się gorące i wilgotne; jedynie ekipa włoskiej telewizji nie narzekała, przywykła do gorszych warunków.

Przeniesiono się do większej sali; punkt ósma zjawił się komendant wojewódzki w towarzystwie odpowiedzialnego za śledztwo komisarza policji, który rozmawiał z mordercą w szpitalu, oraz szefa patrolu, który kierował dzisiejszą operacją w lesie Judarnskogem.

Nie obawiali się, że dziennikarze rozerwą ich na strzępy, ponieważ postanowiono rzucić mediom kość.

Policja miała zdjęcie mężczyzny.

Pójście tropem zegarka dało wreszcie rezultaty. Zegarmistrz w Karlskodze poświęcił w sobotę trochę czasu na przejrzanie kartoteki nieważnych już kart gwarancyjnych i znalazł numer, o który - w specjalnym liście - policja pytała jego i innych zegarmistrzów.

Zadzwoił na policję, podał nazwisko, adres i numer telefonu do mężczyzny, który był wpisany jako kupujący. Policja w Sztokholmie sprawdziła dane w swojej kartotece i poprosiła policję w Karlskodze o udanie się pod wskazany adres i ustalenie, co tam się znajduje.

W komendzie zapanowało podniecenie. Okazało się, że mężczyzna siedem lat wcześniej został skazany za usiłowanie gwałtu na dziewięcioletnim dziecku. Trzy lata spędził w zakładzie, uznano go za psychicznie chorego. Następnie został uznany za zdrowego i wypuszczony.

Policja w Karlskodze zastała mężczyznę w domu i w dobrym zdrowiu.

Tak, miał kiedyś taki zegarek. Nie, nie pamiętał, co się z nim stało. Dopiero po kilkugodzinnym przesłuchaniu na komendzie w Karlskodze, gdzie przypomniano mu, że oświadczenie o stanie zdrowia psychicznego może podlegać weryfikacji, mężczyzna przypomniał sobie, komu sprzedał zegarek.

Håkan Bengtsson, Karlstad. Spotkali się kiedyś, coś razem robili, nie pamiętał co, w każdym razie sprzedał mu zegarek; nie miał jego adresu; potrafił podać jedynie mało dokładny rysopis i czy mógł już wracać do domu?

Håkan Bengtsson, brak informacji w rejestrze. Znalezione dwudziestu czterech Håkanów Bengtssonów w okolicach Karlstadu. Połowę można było od razu wykluczyć; wiek się nie zgadzał. Zaczęto dzwonić. Poszukiwania znacznie ułatwił fakt, że jeśli ktoś mógł mówić, dyskwalifikowało go to jako kandydata.

Około dziewiątej wieczorem udało się zredukować listę do jednej osoby. Do niejakiego Håkana Bengtssona, który pracował jako nauczyciel języka szwedzkiego w liceum i wyprowadził się z Karlstadu, kiedy w niewyjaśnionych okolicznościach spłonął jego dom.

Zatelefonowano do dyrektora szkoły, który potwierdził, że owszem chodziły plotki, jakoby Håkan Bengtsson... lubił dzieci w niewłaściwy sposób. Przekonano dyrektora, żeby w sobotni wieczór poszedł do szkoły i wyciągnął z archiwum stare zdjęcie Håkana Bengtssona, zrobione do rocznika szkolnego w 1976 roku.

Policjant z Karlstadu, który i tak w niedzielę miał do załatwienia sprawę służbową w Sztokholmie, przesłał najpierw kopię zdjęcia faksem, a potem w sobotę w nocy dostarczył oryginał. Zdjęcie dotarło do komendy w Sztokholmie o pierwszej, czyli dobre pół godziny po tym, jak mężczyzna, który na nim był, wypadł z okna szpitala i został uznany za martwego.

W niedzielny poranek próbowano ustalić - korzystając z danych stomatologicznych i medycznych ze szpitala w Karlstadzie - czy mężczyzna na zdjęciu jest tą samą osobą, która poprzedniej nocy leżała przywiązana do szpitalnego łóżka, i okazało się, że tak.

W niedzielę po południu odbyło się zebranie w komendzie. Liczono, że uda się dojść do tego, co mężczyzna robił po tym, jak opuścił Karlstad; stwierdzić, czyjego działania dawały się umieścić w jakimś szerszym kontekście, czy miał na swoim koncie także inne ofiary.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła.

Mężczyzna żył, był na wolności; tak więc najważniejszą rzeczą w chwili obecnej było ustalenie, gdzie mieszkał, ponieważ istniała pewna szansa, że będzie próbował tam wrócić. Fakt, że był w drodze na zachód, mógł właśnie o tym świadczyć.

Postanowiono, że jeśli nie uda się zatrzymać mężczyzny przed konferencją prasową, to należy się posłużyć - co prawda nie zawsze do końca godnym zaufania - psem tropicielem o wielu głowach, jakim był Ogół Społeczeństwa.

Istniała możliwość, że ktoś widział mężczyznę w czasie, kiedy jeszcze wyglądał tak jak na zdjęciu, i może choćby domyślał się, w jakim rejonie mieszkał. Poza tym, to była oczywiście sprawa drugorzędna, ale potrzebowano też czegoś, co można by rzucić mediom.

Tak więc trzech policjantów siedzi teraz przy długim stole na podium; przez salę, w której zgromadzili się dziennikarze, przechodzi szum, kiedy komisarz prostym gestem, wiedząc, że właśnie w ten sposób osiągnie najbardziej dramatyczny efekt, okazuje powiększone zdjęcie Håkana Bengtssona ze szkolnego rocznika i mówi:

- Mężczyzna, którego szukamy, nazywa się Håkan Bengtsson. Zanim jego twarz została zniekształcona, wyglądał właśnie... tak.

Komisarz robi przerwę, kamery pracują, a flesze aparatów fotograficznych zamieniają na chwilę salę w stroboskop.

Oczywiście są też kopie ziarnistego zdjęcia, które potem zostaną rozdane dziennikarzom, ale - i to przede wszystkim zagraniczne gazety - wolą bardziej przemawiające do ludzkich uczuć zdjęcie komisarza trzymającego w ręku mordercę - jeśli można to tak określić.

Kiedy wszyscy zrobili już swoje zdjęcia, a prowadzący śledztwo przedstawił posiadane informacje, nadchodzi czas na pytania. Pierwszy zabiera głos dziennikarz „Dagens Nyheter”.

- Kiedy policja spodziewa się go schwytać?

Komisarz bierze głęboki oddech; postanawia postawić swoją opinię na szalę, pochyla się do mikrofonu i mówi:

- Najpóźniej jutro.

- Cze...

- Cześć.

Oskar wchodzi do pokoju przed Eli; chce wziąć płytę, którą już wcześniej sobie wybrał. Przeszukał niewielki zbiór mamy i znalazł Wikingów. Zespół siedzi na czymś, co wygląda jak szkielet wikińskiego okrętu. W błyszczących garniturach wyglądają zupełnie nie na miejscu.

Eli nie wchodzi. Z płytą w ręku Oskar wraca do korytarza. Eli nadal stoi na zewnątrz, przed drzwiami.

- Oskarze. Musisz mnie zaprosić.

- Ale... okno. Przecież już...

- To jest nowe wejście.

- No dobrze. Możesz... - zaczyna Oskar i przerywa; oblizuje wargi. Myśli o płycie. Zdjęcie na obwolucie zostało zrobione w ciemnościach, aparatem z fleszem; Wikingowie, grupa świętych wysiadających na ląd. Robi krok w stronę Eli, pokazuje jej płytę.

- Patrz. Wyglądają, jakby byli w brzuchu wieloryba albo coś takiego.

- Oskarze...

- Tak?

Eli stoi nieruchomo z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia. Patrzy na Oskara, który szczerząc zęby, pokazuje ręką w powietrzu odległość od parapetu do progu.

- I co? Jest tu coś czy co?

- Nie zaczynaj.

- Ale serio. Co się stanie, jeśli tego nie zrobię?

- Nie zaczynaj - mówi Eli, uśmiechając się blade. - Chcesz zobaczyć? Co się stanie? Tak? Chcesz?

Eli mówi to w sposób, który ma sprawić, że Oskar powie: „nie”. Pobrzmiewa w nim groźba. Oskar jednak przełyka ślinę i mówi:

- Tak, chcę! Chcę zobaczyć.

- Napisałeś na kartce, że...

- Owszem, napisałem. Ale chcę zobaczyć. Co się stanie?

Eli zagryza wargi, chwilę się zastanawia, robi krok i przechodzi przez próg. Oskar jest cały spięty, czeka na jakiś niebieski błysk, na trzaśnięcie drzwi; może Eli przejdzie przez nie, trzaśnię nimi albo coś takiego. Ale nic się nie dzieje. Eli wchodzi do korytarza, zamyka za sobą drzwi. Oskar wzrusza ramionami.

- To wszystko?

- Niezupełnie.

Eli stoi teraz w takiej samej pozycji jak wcześniej, przed drzwiami. Nieruchoma, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, z oczami wlepionymi w Oskara. Oskar kręci głową.

- O co chodzi? To przecież...

Przerzywa, widząc łzę w oku Eli; nie, w obu jej oczach. Choć to nie są łzy, bo są ciemne. Skóra na twarzy Eli oblewa się rumieńcem, robi się różowa, jasnoróżowa, ciemnoczerwona. Eli zaciska pięści, pory na jej twarzy się otwierają i drobne koraliki krwi, niczym kropki, zaczynają się pokazywać na jej skórze. Na twarzy i na szyi.

Wargi Eli wykrzywia grymas bólu, kropla krwi cieknie z jej ust, łączy się z koralikami, które nadal wychodzą na wierzch na jej brodzie, stają się coraz większe, spływają, łącząc się z kroplami na szyi.

Oskar czuje, że jego ręce robią się bezwładne, opuszcza je; płyta wypada z obwoluty, odbija się brzegiem o podłogę, upada na płask na dywan w przedpokoju. Wzrok Oskara wędruje do Eli.

Wierzch jej dłoni pokrywa cienka, wilgotna błonka krwi, która nadal wypływa.

Znów patrzy jej w oczy i nie znajduje jej. Oczy Eli zdają się tkwić głęboko w oczodołach pełnych krwi, która wypływa na wierzch, spływa po grzbiecie nosa, na wargi i do ust, które też są pełne krwi; dwie strużki wyciekają z kąci ków ust, spływają po szyi, znikają w wycięciu jej swetra, na którym zaczynają się pokazywać ciemne plamy.

Eli krwawi wszystkimi porami ciała.

Łapiąc z trudem oddech, Oskar woła:

- Możesz wejść, możesz... zapraszam cię, możesz... tu być!

Eli się odpręża. Otwiera zaciśnięte dłonie. Grymas bólu znika. Przez chwilę Oskar sądził, że krew też zniknie, że, kiedy ją zaprosi, wszystko stanie się znów takie jak wcześniej.

Lecz nie. Krew przestaje płynąć, ale twarz i ręce Eli są nadal ciemnoczerwone. Kiedy tak stoją naprzeciwko siebie i nic nie mówią, krew zaczyna powoli krzepnąć, tworząc ciemniejsze brzegi i drobne skrzepy w miejscach, gdzie było jej najwięcej. Oskar wyczuwa lekką woń szpitala.

Podnosi płytę z podłogi, wkłada ją z powrotem do obwoluty i, nie patrząc na Eli, mówi:

- Przepraszam, ja... nie sądziłem, że...

- W porządku. Sama tego chciałam. Ale teraz muszę chyba wziąć prysznic. Masz plastikową torbę?

- Plastikową torbę?

- Tak, na ubranie.

Oskar kiwa głową, idzie do kuchni i z szafki pod zlewem wygrzebuje plastikową torbę, na której jest napisane „ICA - jedz, pij i raduj się”. Potem idzie do dużego pokoju, kładzie płytę na stoliku obok kanapy i stoi, szeleszcząc torbą.

Gdybym tego nie powiedział. Gdybym pozwolił jej... się wykrwawić.

Mnie torbę w kulkę, puszcza, torba wyskakuje mu z ręki, upada na podłogę. Podnosi ją, podrzuca, łapie. Słyszy, jak w łazience Eli odkręca prysznic.

To wszystko prawda... Ona jest...

Idąc do łazienki, rozwija torbę. „Jedz, pij i raduj się”. Za zamkniętymi drzwiami słychać chlupanie. Zamek ustawiony jest na białe pole. Puka ostrożnie.

- Eli...

- Tak, wejdź...

- Nie, ja tylko... torba...

- Nie słyszę, co mówisz. Wejdź.

- Nie.

- Oskarze, ja...

- Kładę ją tutaj.

Zostawia torbę pod drzwiami i ucieka do dużego pokoju. Wyjmuje płytę z obwoluty, kładzie na talerzu adaptera, przesuwając igłę na trzeci utwór, jego ulubiony.

Dość długie intro, a potem z głośników płynie miękki głos solisty.

„Dziewczyna, idąc łąką,

wplata we włosy kwiaty.

To jej dziesiętnasta wiosna,

uśmiecha się, idąc łąką...”

Eli wchodzi do dużego pokoju. Wokół pasa ma przewiązany ręcznik, w ręku trzyma plastikową torbę z ubraniami. Twarz jest już czysta; miękkie włosy układają się w loki na policzkach, za uszami. Oskar krzyżuje ręce na piersi i staje obok adaptera; kiwa głową.

„Czemu się uśmiechasz, pyta chłopak,

gdy przypadkiem spotykają się przy furcie.

Myszę o tym, który na mnie czeka,

odpowiada niebieskooka dziewczyna.

O mym ukochanym...”

- Oskarże?
- Tak?
Oskar ściszył dźwięk, skinął głową w stronę adaptera.
- Głupie, prawda?
Eli zaprzecza.
- Nie, bardzo dobre. Mnie się podoba.
- Tak?
- Tak, ale wiesz... - zaczyna Eli; sprawia wrażenie, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale dodaje tylko „ech” i puszcza ręcznik, który ma zawiązany wokół talii. Ręcznik upada na podłogę obok jej stóp. Stoi teraz naga kilka kroków od Oskara. Wskazuje na swoje nagie ciało i mówi:

- Teraz już wiesz.

„... ..nad wodą rysują na piasku.

Mówią do siebie cicho:

To ciebie pragnę, moje kochanie.

La-lala-lalala...”

Krótką wstawka instrumentalna i koniec piosenki. Łagodnie skrzypienie z głośników, igła przechodzi do następnego kawałka. Oskar przygląda się Eli.

Małe brodawki wydają się niemal czarne na jej bladej skórze. Tors jest szczupły, prosty, bez konturów. W ostrym świetle lampy jedynie zebra są wyraźnie zarysowane. Chude ręce i nogi wydają się nienaturalnie długie, wystają z tułowia; jest jak młode drzewo z naciągniętą ludzką skórą. Między nogami... nie ma niczego. Żadnej szpary ani członka. Tylko gładka skóra.

Oskar przeciąga ręką po włosach, sięga do karku. Nie zamierzał użyć tego głupiego słowa, które zawsze słyszy od mamy, ale jakoś samo mu się wyrywa.

- Ale ty nie masz... ptaszka.

Eli schyla głowę, patrzy w dół, jakby dokonała zupełnie nowego odkrycia. Zaczęła się następna piosenka i Oskar nie słyszy, co Eli odpowiada. Odciąga ramię adaptera, igła się unosi.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że kiedyś miałam.

- I co się z nim stało?

Eli się śmieje. Oskar sam słyszy, jak to zabrzmiało, i się rumieni. Eli rozkłada ręce, wydyma dolną wargę.

- Zostawiłam go w metrze.

- Ech. Wyglupiasz się.

Nie patrząc na Eli, Oskar mija go i idzie do łazienki, sprawdzić, czy nie zostały tam jakieś ślady.

Gorąca para nadal unosi się w powietrzu; lustro jest zaparowane. Wanna jest jednak równie biała jak wcześniej, tylko przy samym brzegu pozostał lekki żółty osad, który nie daje się usunąć. Umywalka jest czysta.

To się nie zdarzyło!

Eli weszła do łazienki tylko dla pozorów, na niby. Chociaż nie: mydło. Oskar podnosi kawałek mydła w różowe paski, w zagłębieniu, w którym leży w kałuży wody, jest coś, co wygląda jak kijanka, i to żywa; wzdryga się, zaczyna... płynąć... ruszać się, bić ogonkiem, więc się; płynie do ujścia odpływu, zaczyna spływać w dół i utyka na brzegu umywalki. Tkwi nieruchomo jak nieżywa. Oskar odkręca wodę, spłukuje ją do odpływu, płucze mydło i czyści zagłębienie w umywalce. Potem zdejmując z haczyka płaszcz kąpielowy, wraca do dużego pokoju i podaje go Eli, która nadal stoi naga na środku podłogi i się rozgląda.

- Dziękuję. Kiedy przyjdzie twoja mama?

- Za kilka godzin - mówi Oskar.

Podnosi torbę z jej ubraniem i pyta:

- Mam je wyrzucić?

Eli wkłada płaszcz kąpielowy, wiąże pasek.

- Nie, później je wezmę.

Dotyka ramienia Oskara.

- Posłuchaj, rozumiesz, że nie jestem dziewczyną, że nie jestem...

Oskar robi krok do tyłu.

- Boże, ile ty gadasz! No przecież wiem. Sama mi powiedziałaś.

- Nie powiedziałam ci.

- Jasne, że tak.

- A kiedy?

Oskar zaczyna się zastanawiać.

- Nie pamiętam, ale wiem. I to już od dawna.

- Jest ci... przykro?

- Niby dlaczego?

- No, bo ja... nie wiem. Może jest ci ze mną... trudno. Twój koledzy...

- Przestań! Przestań. Masz coś nie tak z głową. Przestań.

- Okej.

Eli skubie pasek płaszcz kąpielowego; po chwili podchodzi do adaptera i zaczyna się przyglądać wirującej płytce. Odwraca się, rozgląda po pokoju.

- Wiesz, dawno nie byłam... u kogoś w domu. Nie bardzo wiem... Jak mam się zachować?

- Też nie wiem.

Eli opuszcza ramiona, wkłada ręce do kieszeni płaszcz kąpielowego; wpatruje się niemal hipnotycznie w ciemną płytę. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, zamyka je. Wyjmuje z kieszeni prawą rękę i wyciąga w stronę płyty, dotyka palcem, naciska; płyta się zatrzymuje.

- Uważaj. Może się... zniszczyć.

- Przepraszam.

Eli szybko cofa palec i płyta znów zaczyna się obracać. Oskar spostrzega, że palec zostawił wilgotny ślad, który powraca za każdym razem, kiedy ten

fragment płyty pojawia się światło lampy. Eli znów wkłada rękę do kieszeni płaszcza kąpielowego; przygląda się adapterowi, jakby próbował słuchać muzyki, studiując rowki na płycie.

- To brzmi, jak... - zaczyna i kąciki ust zaczynają mu drgać. - Nie miałem żadnego normalnego przyjaciela od dwustu lat.

Patrzy na Oskara, uśmiecha się, jakby chciał powiedzieć: „przepraszam-że-mówię-takie-głupie-rzeczy”. Oskar otwiera szeroko oczy.

- Masz aż tyle lat?

- Tak. To znaczy nie. Urodziłem się mniej więcej dwieście dwadzieścia lat temu, ale połowę tego czasu przespałem.

- To tak jak ja. Śpię przynajmniej osiem godzin dziennie... Ile to będzie... jedna trzecia.

- Tak. Chociaż... kiedy mówię o spaniu, to znaczy, że czasem przespłam nawet... kilka miesięcy. A potem kilka miesięcy... żyję. I w ogóle nie śpię, najwyżej odpoczywam trochę w ciągu dnia.

- Tak to wygląda?

- W moim przypadku tak. A potem, kiedy się budzę, to znów... jestem dzieckiem. Małym, słabym dzieckiem. Które potrzebuje pomocy. Może dlatego udaje mi się przeżyć. Bo jestem dzieckiem, więc ludzie chcą mi pomagać. Chociaż pewnie... z bardzo różnych powodów.

Zamyka usta i na jego twarzy pojawia się cień. Wkłada ręce głębiej do kieszeni płaszcza kąpielowego; coś tam znajduje. Wyjmuje błyszczący, cienki pasek papieru. Mama go tam zostawiła; czasem pożycza płaszczy kąpielowy od Oskara. Eli wkłada ostrożnie pasek papieru z powrotem do kieszeni, jakby to było coś cennego.

- Sypiasz w trumnie?

Eli się śmieje i kręci głową.

- Nie, nie. Ja...

Oskar nie może się powstrzymać. Nie chce tego, ale jednak jego słowa brzmią jak oskarżenie:

- Ale zabijasz ludzi?

Eli patrzy mu w oczy z pewnym zdziwieniem; jakby Oskar stwierdził, że ma pięć palców na każdym ręku, czy coś równie oczywistego.

- Tak. Zabijam ludzi. To przykre.

- Dlaczego to robisz?

Błysk złości w oczach Eli.

- Jeśli masz jakiś lepszy pomysł, to proszę, powiedz.

- No, przecież... krew... można chyba... w jakiś sposób... żebyś...

- Nie można.

- Dlaczego?

Eli prychnął, ma oczy jak szparki.

- Bo jestem taki jak ty.

- Jak to? Ja...

Eli zrobił ruch ręką, jakby zamachnął się nożem, i mówi: „Co robisz, kretynie? Chcesz umrzeć, co?”

Markuje kolejny cios: „Tak to się kończy, jeśli ktoś się na mnie gapi”.

Oskar pociera górną wargą o dolną, zwilża usta.

- Co ty mówisz?

- Nie ja. Ty to powiedziałeś. To było pierwsze zdanie, które od ciebie usłyszałem. Tam, na placu zabaw.

Nagle Oskar sobie przypomina. Drzewo. Nóż. I jak przeglądał się w jego ostrzu; wtedy pierwszy raz zobaczył Eli.

- Ja... nie zabijam ludzi - powiedział.

- To prawda. Ale chciałybyś. Gdybyś tylko potrafił. Na pewno zrobiłybyś to, gdybyś musiał.

- Bo ich nienawidzę. To jest wielka...

- Różnica. Tak?

- Tak...

- Gdybyś mógł. Gdyby było tak, że mógłbyś zażyczyć sobie, żeby ktoś umarł i tak by się stało. Wtedy zrobiłybyś to?

- ...tak.

- Tak. Chociaż byłoby to wyłącznie dla przyjemności. Z zemsty. Ja robię to, bo muszę. Bo nie ma innego sposobu.

- To wszystko dlatego, że... oni robią mi krzywdę; drażnią się ze mną, aja...

- A ty chcesz żyć. Tak jak ja.

Eli wyciąga ręce, kładzie je na policzkach Oskara, przyciąga jego twarz do swojej.

- Bądź trochę mną - mówi.

I całuje go.

Mężczyzna chwytą kostki powykręcanyimi palcami. Oskar spostrzega, że ma paznokcie pomalowane na czarno.

Cisza unosi się nad salą jak dusząca mgła. Szczupła dłoń obraca się... powoli... i kostki wypadają na stół... stuk-stuk. Stukają o siebie, wirują, zatrzymują się.

Dwójka. I czwórka.

Oskar czuje ulgę, chociaż nie wie dlaczego, kiedy mężczyzna zaczyna iść wzdłuż stołu; zatrzymuje się przed szeregiem chłopców jak generał przed swoją armią. Głos mężczyzny jest bezdźwięczny; ani ciemny, ani jasny, kiedy wyciąga palec wskazujący i zaczyna odliczać.

- Jeden... dwa... trzy... cztery...

Oskar spogląda w lewo, w stronę, od której mężczyzna zaczął liczyć. Chłopcy stoją rozluźnieni, swobodni. Słychać szloch. Chłopiec obok Oskara

kuli się, dolna warga mu drży. Och, to on jest... szósty. Teraz Oskar rozumie, czemu poczuł ulgę.

- Pięć... sześć... i... siedem.

Palec wskazuje prosto na Oskara. Mężczyzna patrzy mu w oczy. I się śmieje.

Nie!

To przecież... Oskar odrywa wzrok od mężczyzny, patrzy na kostki.

Pokazują teraz trójkę i czwórkę. Chłopiec obok Oskara rozgląda się, jakby nagle przebudził się z jakiegoś koszmaru. Na sekundę ich wzrok się spotyka. Oczy są puste. Nierozumiejące.

Potem krzyk, dochodzący od strony ściany.

- ...mama...

Kobieta w brązowej chuście podbiega do niego, ale dwóch mężczyzn staje między nimi; chwytają jej ręce i... popychają ją na kamienną ścianę. Oskar wyrzuca ręce do przodu; chce ją złapać, żeby nie upadła; na jego ustach pojawia się słowo:

- ...mama!

Ręce, ciężkie jak kamienie, opadają na jego ramiona; wyprowadzają go z szeregu, popychają w stronę małych drzwi. Mężczyzna w peruce nadal ma podniesiony palec, wiedzie nim za Oskarem, podczas gdy mężczyźni popychają go przed sobą, wyciągają z sali i prowadzą do ciemnego pomieszczenia, w którym pachnie... spirytusem...

...a potem migotanie, niewyraźne obrazy, światło, ciemność, kamienie, naga skóra...

Wreszcie obraz się stabilizuje i Oskar czuje, że coś uciska mu pierś. Nie może ruszać rękami. Ma wrażenie, że prawe ucho zaraz mu pęknie, przywiera nim do... deski.

Ma coś w ustach. Kawałek sznura. Ssie sznur, otwiera oczy.

Leży na brzuchu na stole. Ręce ma przywiązane do nóg stołu. Jest nagi. Ma przed oczami dwie postaci: mężczyznę w peruce i jeszcze jedną. Niskiego, grubego mężczyznę, który wygląda... zabawnie. Nie. Wygląda jak ktoś, komu się wydaje, że... jest zabawny. Kto zawsze opowiada dowcipy, z których nikt się nie śmieje. Zabawny mężczyzna trzyma w jednym ręku nóż, w drugim miszkę.

Coś jest nie tak.

Czuje ucisk na pierś, na ucho. Na kolana. Powinien też czuć ucisk na... ptaszka. Ale ma wrażenie, że akurat w tym miejscu... w blacie jest dziura. Oskar próbuje się przekręcić, żeby to sprawdzić, ale jest mocno związany.

Mężczyzna w peruce mówi coś do zabawnego mężczyzny i zabawny mężczyzna się śmieje, kiwa głową. Potem obaj się kłaniają. Mężczyzna w peruce zatrzymuje wzrok na Oskarze. Jego oczy są wyraźnie niebieskie, jak niebo w zimny jesienny dzień. Widać w nich zainteresowanie. Mężczyzna patrzy w oczy Oskara, jakby szukał w nich piękna, czegoś, co kocha.

Zabawny mężczyzna wchodzi pod stół z nożem i miską w rękach. I Oskar już wszystko rozumie.

Wie też, że gdyby mógł... wypluć ten kawałek sznurka, to nie musiałby wcale tam być. Zniknąłby.

Oskar próbuje odchylić głowę do tyłu, żeby uniknąć pocałunku. Jednak Eli, przygotowany na taką reakcję, przytrzymuje mu ręką głowę. Przywiera swoimi wargami do jego warg; zmusza, żeby pozostał w jego wspomnieniu.

Ktoś wciska mu do ust kawałek sznura, rozlega się lekki syk, kiedy Oskar ze strachu zaczyna puszczać wiatry. Mężczyzna w peruce marszczy nos, kłaska, przeklina. Ale jego oczy nie zmieniają wyrazu. Nadal wyglądają jak oczy dziecka, które idzie otworzyć szufladę, wiedząc, że znajdzie w niej szczeniaka.

Zimne palce chwytają ptaszka Oskara, ciągną. Oskar otwiera usta, żeby krzyknąć „nieee!”, lecz sznurek nie pozwala mu sformułować słowa i tylko wydaje z siebie „eeeeee!”

Mężczyzna pod stołem zadaje jakieś pytanie, a mężczyzna w peruce przytakuje, nie spuszczając oczu z Oskara. A potem ból Rozżarzony pręt wwierca mu się w podbrzusze; pełźnie przez żołądek, płuca; żrący słup ognia drąży jego ciało; zaczyna krzyczeć; krzyczy, podczas gdy jego oczy napełniają się łzami, a jego ciało płonie.

Serce wali w stół jak pięść w bramę; Oskar zaciska powieki, gryzie sznur; z daleka słyszy jakiś plusk, jakieś szemranie, widzi...

Swoją mamę, która stoi i płucze ubrania w potoku. Mama. Mama. Gubi coś, kawałek materiału; Oskar się podnosi, leżał na brzuchu, wszystko go pali; podnosi się i biegnie nad potok schłodzić swoje ciało, biegnie w kierunku szybko oddalającego się małego kawałka materiału, chwytą go. Koszula jego siostry. Unosi ją do światła. Do mamy, której kontury rysują się na brzegu; z materiału kapią krople wody, błyszczą się w słońcu, spadają z pluskiem do potoku; w jego oczach, a nie widzi zbyt wyraźnie, bo z oczu leci mu woda, spływa po policzkach, kiedy...

...otwiera oczy i niewyraźnie widzi jasne włosy, niebieskie oczy jak odległe leśne gwiazdy. Widzi miszkę, którą mężczyzna trzyma w ręku; miszkę, którą podnosi do ust, z której pije. Widzi, jak mężczyzna zamyka oczy, nareszcie zamyka oczy i pije...

Więcej czasu... Nieskończenie dużo czasu. W zamknięciu. Mężczyzna gryzie. I pije. Gryzie. I pije.

Potem rozżarzony pręt dociera do jego głowy i wszystko staje się jasnoczerwone; szarpnięciem uwalnia głowę i upada...

Eli łapie Oskara, kiedy ten zaczyna lecieć do tyłu. Byłby upadł. Eli trzyma go w objęciach. Oskar złapał się tego, czego mógł się złapać, ciała, które miał przed sobą. Trzyma się go mocno, wodzi niewidzącym wzrokiem po pokoju.

Jest cicho.

Po sekundzie przed oczami Oskara zaczyna się jawić jakiś wzór. Tapeta. Beż z bielą; niemal niewidoczne róże. Poznaje wzór. To tapeta w dużym pokoju w jego mieszkaniu. Jest w pokoju dziennym w swoim i mamy mieszkaniu.

Pamięta, że trzymał w objęciach... Eli.

Chłopca. Swojego przyjaciela. Tak.

Oskarowi robi się niedobrze, kręci mu się w głowie. Pamięta, że oswobodził się jego objęć. Siada na kanapie, jeszcze raz się rozgląda, jakby chciał się upewnić, że wrócił, że nie był... tam. Przełyka ślinę; ma wrażenie, że jest w stanie odtworzyć każdy szczegół miejsca, w którym przed chwilą był. To było bardzo rzeczywiste doświadczenie. Coś, co mu się przydarzyło, niedawno. Zabawny mężczyzna, miska, ból...

Eli klęczy przed nim na podłodze, trzyma ręce na brzuchu.

- Przepraszam.

Dokładnie jak...

- Co się stało z mamą?

Eli rozgląda się niepewnie, pyta:

- Chodzi ci o... moją mamę?

- Nie - odpowiada Oskar i milknie. Ma przed oczyma obraz mamy płuczącej pranie nad potokiem. Chociaż to nie była jego mama. Nawet nie były do siebie podobne. Przeciera oczy i mówi:

- To znaczy tak, chodzi mi o twoją mamę.

- Nie wiem.

- Oni chyba nie...

- Nie wiem!

Dłonie Eli zaciskają się na brzuchu, aż knykcie robią się białe; podciąga ramiona. Po chwili się odpręża i mówi już łagodniejszym tonem:

- Nie wiem. Przepraszam. Przepraszam za... wszystko. Chciałem, żebyś... sam nie wiem. Przepraszam. To było... głupie.

Eli jest kopią swojej mamy. Szczuplejszy, ma gładszą cerę, jest młodszy, ale... jest jej kopią. Za dwadzieścia lat będzie zapewne wyglądał jak kobieta nad potokiem.

Pomijając fakt, że to się nie stanie. Będzie wyglądał dokładnie tak, jak wygląda teraz.

Oskar wzdycha zmęczony, odchyła się do tyłu na kanapie. Za dużo. Czuje w skroniach lekki ból, który przybiera na sile, szarpie nim. Za dużo.

Eli wstaje.

- Muszę iść.

Oskar trzyma głowę w dłoniach. Nie ma siły protestować, czy zastanawiać się, co powinien zrobić. Eli zdejmuje płaszcz kąpielowy i Oskar znów widzi jego łono. Na tle bladej skóry dostrzega jasnorożową plamę, bliznę.

Co on robi, kiedy chce... sikać? A może on nie...

Nie ma siły pytać. Eli kuca obok plastikowej torby, otwiera ją i zaczyna wyciągać swoje ubrania. Oskar mówi:

- Możesz wziąć... coś mojego.

- Poradzę sobie.

Eli wyjmuje koszulę w kratę. Ciemne plamy na jasnoniebieskim tle. Oskar siada, prostuje się. Ból głowy świdruje mu w skroniach.

- Nie wygłupiaj się, możesz...

- Jest okej.

Eli zaczyna wkładać poplamioną krwią koszulę.

- To jest obrzydliwe, nie rozumiesz tego? Ty jesteś obrzydliwy - wyrzuca z siebie Oskar.

Odwraca się do niego z koszulą w ręku.

- Tak uważasz?

- Tak.

Eli chowa koszulę do torby.

- To co mam włożyć? - pyta.

- Poszukaj czegoś w szafie; weź, co chcesz.

Eli kiwa głową, idzie do pokoju Oskara, gdzie jest szafa. Oskar osuwa się na kanapie, przyciska dłoń do skroni, jakby się bał, że pęknie mu głowa.

Mama, mama Eli, moja mama, Eli, ja. Dwieście lat. Tata Eli. Tata Eli? Ten facet, który... Facet.

Eli znów wchodzi do dużego pokoju. Oskar chce coś powiedzieć, ale powstrzymuje się, kiedy zauważa, że Eli ma na sobie sukienkę. Wyblakłą, żółtą letnią sukienkę w małe, białe groszki. Jedną z sukienek jego mamy. Eli wygładza ją dłonią.

- Może być? Wziąłem taką, która wyglądała na najbardziej zniszczoną.

- Ty jesteś...

- Oddam ją, później.

- Tak, dobrze.

Eli podszedł do niego, ukucnął przed nim, wziął jego dłoń.

- Posłuchaj, przykro mi, że... nie wiem, co...

Oskar macha ręką, dając mu do zrozumienia, żeby nie kończył. Mówi:

- Wiesz, że ten facet uciekł?

- Który facet?

- Facet, który... ten, który mówiłeś, że jest twoim ojcem. Ten, który z tobą mieszkał.

- Co z nim?

Oskar zamyka oczy. Niebieskie błyskawice pod powiekami. Łańcuch zdarzeń, które odtworzył sobie na podstawie artykułów prasowych, przetacza mu się przed oczami. Czuje złość; wyswabada dłoń, zaciska pięść i uderza nią w swoją pulsującą bólem głowę. Oczy ma nadal zamknięte. Mówi:

- Przestań. Daj spokój. Wszystko wiem. Przestań udawać. Przestań kłamać, mam tego dosyć, do diabła!

Eli nie odpowiada. Oskar mruży oczy, oddycha.

- Facet uciekł. Ścigali go całą noc i nie znaleźli. Teraz już wiesz.

Paauza. Potem głos Eli nad głową Oskara.

- Gdzie?

- Tutaj. W lesie, w Judarnskogen. Niedaleko Åkeshov.

Oskar otwiera oczy. Widzi, że Eli już wstał; zakrywa ręką usta i patrzy na niego dużymi, przerażonymi oczami. Sukienka jest na niego za duża, zwisa jak worek z jego szczupłych ramion. Wygląda w niej jak dziecko, które bez pozwolenia pożyczło sobie ubranie mamy i teraz oczekuje srogiej kary.

- Oskarze - mówi Eli. - Nie wychodź po zmroku. Obiecuj mi to.

Sukienka. Porządek. Oskar parska śmiechem, nie może się powstrzymać.

- Mówisz jak moja mama.

Wiewiórka zbiega z pnia dębu, zatrzymuje się, zaczyna nasłuchiwać. Dźwięk syreny, gdzieś w oddali.

Ulicą Bergslagsvagen przejeżdża karetka, mruga niebieskie światło, jedzie na sygnale.

W karetce są trzy osoby. Lacke Sörensson siedzi na rozkładanym stołku i trzyma niemal pozbawioną krwi, podrapaną rękę, należącą do Virginii Lindblad. Ratownik z karetki poprawia wężyk, dostarczający płyny fizjologiczne ciału Virginii, żeby jej serce miało co pompować, skoro straciła tak dużo krwi.

Wiewiórka ocenia dźwięk jako niegroźny, nieistotny. Dalej zbiega z pnia. Cały dzień w lesie byli ludzie, psy. Nawet jednej spokojnej chwili; dopiero teraz, kiedy zrobiło się ciemno, zdobywa się na odwagę, żeby zejść z dębu, na którym zmuszona była przebywać cały dzień.

Teraz szczekanie psów już umilkło, a głosy zniknęły. Także ten hałasujący ptak, który fruwał nad wierzchołkami drzew, najwyraźniej odleciał już do swojego gniazda.

Wiewiórka dociera do podnóża drzewa, biegnie wzdłuż grubego korzenia. Nie lubi poruszać się po ziemi, kiedy jest już ciemno, ale głód pcha ją przed siebie. Jest czujna, zatrzymuje się, nasłuchuje, co kilka metrów ogląda się za siebie. Omija jamę borsuka, gdzie latem mieszkała cała borsuczka rodzina. Dawno ich nie widziała, ale przezorności nigdy dość.

W końcu dociera do celu: najbliższego z wielu miejsc, w których jesienią złożyła swoje tegoroczne zapasy na zimę. Wieczorem temperatura znów spada poniżej zera i na śniegu, który w ciągu dnia już zaczął się topić, tworzy się cienka, twarda skorupa. Wiewiórka drapie pazurami, przedziurawia ją i znika

pod nią. Zatrzymuje się, nasłuchuje, znów zaczyna kopać. Przedziera się przez śnieg, liście, ziemię.

Kiedy chwytą łapkami orzeszek, słyszy jakiś dźwięk.

Niebezpieczeństwo.

Bierze orzeszek w zęby i wbiega na sosnę, nie zdążywszy zakryć swojej kryjówki. Dopiero wysoko na gałęzi, gdzie znów czuje się bezpieczna, bierze orzeszek w łapki i usiłuje zlokalizować dźwięk. Dokucza jej głód, jedzenie jest zaledwie kilka centymetrów od jej pyszczka, ale niebezpieczeństwo musi zostać zlokalizowane; musi wiedzieć, że nic jej nie zagraża, zanim przyjdzie pora najedzenia.

Wiewiórka przekręca łebek z boku na bok; nosek jej drży, kiedy patrzy w dół na krajobraz tonący w księżycowej poświacie i znajduje źródło dźwięku. Tak. Słusznie zrobiła, że nadłożyła drogi. Z borsuczej jamy dochodzi łagodne drapanie.

Borsuki nie chodzą po drzewach. Wiewiórka nieco się odpręży, odgryza kawałek orzeszka, dalej jednak przygląda się ziemi w dole, teraz jednak bardziej jak widz w teatrze, z trzeciego balkonu. Chce zobaczyć, co się wydarzy; ile jest tam borsuków.

Jednak to, co wychodzi z jamy, to nie borsuk. Wiewiórka wyjmuje orzech z pyszczka, patrzy. Próbuje zrozumieć. Połączyć, to co widzi, ze znanymi jej faktami. Nie potrafi.

Dlatego znów wkłada orzech do pyszczka; wdrapuje się wyżej na drzewo, aż na sam czubek.

Może takie coś potrafi chodzić po drzewach?

Przezorności nigdy dość.

NIEDZIELA

8 LISTOPADA (WIECZÓR/NOC)

JEST WPÓŁ DO DZIEWIĄTEJ, NIEDZIELA WIECZÓR.

W chwili kiedy karetka z Virginią i Lackem przejeżdża przez most Traneberg; w chwili kiedy komendant wojewódzki sztokholmskiej policji pokazuje zdjęcie spragnionym informacji dziennikarzom, w chwili kiedy Eli wybiera sukienkę z szafy mamy Oskara, w chwili kiedy Tommy wyciska klej z plastikowej torebki i przez nos wdycha błogi zapach wraz z zapomnieniem, w chwili kiedy wiewiórka, pierwsze żywe stworzenie, które od czternastu godzin widzi Håkana Bengtssona; Staffan, jeden z tych, którzy go poszukiwali, nalewa sobie herbaty.

Nie zauważył, że sam czubek dzióbka imbryka jest lekko wyszczerbiony, i woda zaczyna się łać wzdłuż dzióbka, leci po imbryku i spływa do zlewu. Staffan mamrocze coś pod nosem, szybko przechyla imbryk, herbata się rozpryskuje, a pokrywka imbryka wpada do filiżanki. Wrząca herbata ochlapuje mu dłonie; mężczyzna odstawia imbryk z hukiem; opuszcza ręce sztywno wzdłuż tułowia i zaczyna recytować w pamięci hebrajski alfabet, żeby zdusić impuls rzucenia imbrykiem o ścianę.

Alef, Bet, Gilet, Dalet...

Yvonne wchodzi do kuchni, widzi Staffana pochylonego nad zlewem; mężczyzna ma zamknięte oczy.

- Co ci jest?

Staffan kręci głową.

- Nic.

Lamed, Mem, Nun, Samech...

- Jesteś smutny?

- Nie.

Kuf, Resz, Szin, Taw. No. Lepiej.

Otwiera oczy, wskazuje ręką na imbryk.

- Jakiś kiepski imbryk.

- Niedobry?

- Tak... herbata się przelewa.

- Nigdy nie zauważyłam.

- Mówię ci.

- Nic z nim nie jest.

Staffan zagryza wargi, wyciąga poparzoną rękę w stronę Yvonne i robi gest, jakby chciał powiedzieć: „Pokój. Shalom. Bądź cicho”.

- Yvonne. W tej chwili... czuję niesłychaną ochotę, żeby cię uderzyć. Więc, proszę: nic więcej już nie mów.

Yvonne cofa się pół kroku. W pewnym sensie jest na to przygotowana. Nie dopuszczała tego do swojej świadomości, ale domyślała się, że pod fasadą pobożności Staffana kryje się... złość.

Krzyżuje ręce na piersi, wypuszcza powietrze, nabiera powietrza i tak kilka razy; Staffan natomiast stoi spokojnie, wpatrując się w filiżankę, w której pływa pokrywka. Po chwili Yvonne zadaje mu pytanie:

- Zwykle tak robisz?

- Co?

- Bijesz. Kiedy coś ci nie wychodzi.

- Uderzyłem cię?

- Nie, ale powiedziałeś...

- Poprosiłem cię, a ty posłuchałaś. Wszystko jest już w porządku.

- A gdybym nie posłuchała?

Staffan jest już całkowicie spokojny, Yvonne się odpręża, opuszcza ręce. Mężczyzna bierze jej rękę, całuje lekko grzbiet jej dłoni.

- Yvonne. Trzeba się nawzajem słuchać.

Herbata zostaje rozlana do filiżanek; piją ją w dużym pokoju. Staffan postanawia, że musi kupić jej w prezencie nowy imbryk. Yvonne zaczyna wypytywać go o poszukiwania w Judarnskogen i Staffan zaczyna opowiadać. Yvonne robi, co może, żeby poruszać różne tematy, ale w końcu pada nieuniknione pytanie:

- Gdzie jest Tommy?

- Ja... nie wiem.

- Ty nie wiesz? Yvonne...

- No, jest u kolegi.

- Hm. O której wróci?

- On... chyba będzie tam nocował.

- Tam?

- Tak, u...

Yvonne szuka w myślach imion kolegów Tommy'ego. Nie chce powiedzieć Staffanowi, że zdarza się, że Tommy znika na noc, a ona nie wie, gdzie on jest. Staffan przykładą dużą wagę do odpowiedzialności rodziców.

- ...u Robbana.

- Robban. To jego najlepszy przyjaciel?

- Tak. Chyba tak.

- Jak się nazywa na nazwisko?

- ...Ahlgren, bo co? Może go...

- Nie, tak tylko spytałem.

Staffan bierze łyżeczkę, stuka nią lekko w filiżankę. Delikatny dźwięk. Kiwa głową.

- Dobrze. Wiesz, co... proponuję zadzwonić do tego Robbana i poprosić, żeby Tommy przyszedł na chwilę do domu. Chcę z nim porozmawiać.

- Nie mam numeru.

- Ale znasz nazwisko... Ahlgren. Chyba wiesz, gdzie on mieszka? Można też sprawdzić w książce telefonicznej.

Staffan wstaje z kanapy, Yvonne zagryza wargi, czując, że dała się wciągnąć w coś, z czego trudno będzie jej się wyplątać. Staffan przynosi miejscową książkę telefoniczną; staje na środku pokoju i zaczyna ją kartkować, mamrocząc:

- Ahlgren, Ahlgren... Hm. Na jakiej ulicy mieszka?

- Na... Björnsonsgatan.

- Björnsons... nie. Nie ma tam żadnego Ahlgrena. Ale jest na Ibsengatan.

Może to ten?

Yvonne nie odpowiada, więc Staffan zaznacza adres palcem i mówi:

- Tak czy inaczej, spróbuję. Rozumiem, że to zdrobienie od Roberta?

- Staffan...
- Tak?
- Obiecałam mu, że ci nie powiem.
- Nie rozumiem?
- Tommy'mu. Obiecałam, że nie powiem ci... gdzie on jest.
- On nie jestuRobbana?
- Nie.
- To gdzie jest?
- Obiecałam.

Staffan odkłada książkę telefoniczną, podchodzi do kanapy i siada obok Yvonne. Yvonne pije łyk herbaty; unosi filizankę na wysokość twarzy, jakby chciała za nią się schować, ale Staffan czeka na jej odpowiedź. Kiedy odstawia filizankę na talerzyk, czuje, że drżą jej ręce. Staffan kładzie dłoń na jej kolanie.

- Yvonne. Musisz zrozumieć, że...
- Obiecałam.

- Chcę z nim tylko porozmawiać. Wybacz, ale uważam, że właśnie nieumiejętność radzenia sobie z problemami w momencie, kiedy mają miejsce, sprawia, że pojawiają się kłopoty. Moje doświadczenia z młodymi ludźmi dowodzą, że im szybciej reagujemy na ich czyny, tym większa szansa... Weźmy na przykład narkomanów. Gdyby ktoś zareagował, kiedy chłopak palił, powiedzmy haszysz...

- Tommy nie robi takich rzeczy.
- Jesteś tego absolutnie pewna?

Zapada cisza. Yvonne wie, że z każdą sekundą jej twierdząca odpowiedź na pytanie Staffana traci na wiarygodności. Tik-tak. Właściwie już odpowiedziała „nie”, nawet jeśli nie wypowiedziała tego słowa. Tommy rzeczywiście bywał czasem dziwny. Kiedy wracał do domu, coś w jego oczach... A jeśli on...

Staffan opiera się o kanapę; wie, że wygrał bitwę. Teraz czeka na zastrzeżenia.

Oczy Yvonne szukają czegoś na stole.

- Czego szukasz?
- Moich papierosów, widziałeś...
- Są w kuchni. Yvonne...
- Dobrze. W porządku. Ale nie wolno ci iść do niego teraz...
- Oczywiście. Ty zadecydujesz. Jeśli uważasz...
- Jutro rano. Zanim pójdziesz do szkoły. Obiecuj, że nie pójdziesz tam teraz.

- No, dobrze, obiecuję. Co to za tajemnicze miejsce, w którym on przebywa?

Yvonne mówi mu.

Potem idzie do kuchni zapalić papierosa; wydmuchuje dym przez uchylone okno. Zapala następnego, mniej już się przejmując dymem. Kiedy Staffan wchodzi do kuchni, odgania demonstracyjnie dym ręką i pyta o klucz do piwnicy. Yvonne odpowiada, że nie pamięta, ale że prawdopodobnie przypomni to sobie jutro rano.

Jeśli będzie dla niej miły.

Po wyjściu Eli Oskar wrócił do kuchni; usiadł przy stole i zaczął przeglądać artykuły. Ból głowy nieco zelżał, powoli wszystko zaczęło mu się układać w pewien wzór.

Eli wytłumaczył mu, że facet jest... zarażony. Jedyne, co w nim żyło, to właśnie zaraza. Mózg umarł, i teraz kierowała nim zaraza. Pchała go w stronę EU.

Eli opowiedział mu to, prosząc, żeby niczego nie robił. Obiecał, że jutro, jak tylko zapadnie zmrok, wyjedzie stąd. Oskar chciał oczywiście wiedzieć, dlaczego nie od razu, jeszcze dzisiaj w nocy?

Bo to... niemożliwe.

Dlaczego? Mogą ci pomóc.

Oskarze, to niemożliwe. Jestem zbyt słaby.

Jak to? Przecież ty...

Po prostu tak jest.

Oskar zrozumiał, że to on jest powodem jego słabości. Ta krew, która wypłynęła z niego w korytarzu. Jeśli facet dorwie Eli, to będzie to wina Oskara.

Ubranie!

Oskar wstał tak gwałtownie, że krzesło przechyliło się do tyłu i przewróciło, uderzając o podłogę.

Torba z zakrwawionymi ubraniami nadal leżała na podłodze obok kanapy. Oskar zobaczył wystającą z niej koszulę. Kiedy zaczął wciskać ją do torby; spostrzegł, że rękaw jest nasączony krwią jak gąbka. Zawiązał torbę... Nagle zastygł, zerknął na dłoń, którą dotykał koszuli.

Na rance po skaleczeniu zrobił się już strupek, ale jest lekko pęknięty, widać bliznę.

...krew... nie chciał mieszać krwi... czy ja... jestem zarażony?

Mechanicznym krokiem ruszył do drzwi; trzymając w ręku torbę, zaczął nasłuchiwać odgłosów z klatki. Cisza, pobiegł na górę do otworu zsykowego, otworzył zasuwę. Wcisnął torbę przez otwór, pozwalając, żeby na chwilę zawisła w ciemnościach szybu.

Poczuł zimny powiew z szybu; wiatr chłodził jego dłoń, zaciśniętą wokół węzła plastikowej torby. Biała torba odcina się na tle czarnych, nierównych ścian szybu. Jeśli ją puści, nie polecą do góry, tylko spadnie w dół. Siła grawitacji ściągnie ją w dół. Do wielkiego worka w kontenerze na śmieci.

Za kilka dni przyjedzie śmieciarka i zabierze worek. Zwykle zjawia się wcześniej rano. Pomarańczowe, mrugające światło oświetli daszek nad

klatką Oskara mniej więcej wtedy, kiedy zwykle ludzie się budzą. Leżąc w łóżku, będzie się wsłuchiwał w warkot maszynierii miażdżącej i mielącej śmieci. Być może wstanie i zacznie się przyglądać mężczyznom w kombinezonach, którzy wprawnymi ruchami wrzucają worki i wciskają guziki. Potem szczęki śmieciarki się zamkną, a mężczyźni wskoczą do wozu i pojedą dalej, do następnej klatki.

Zawsze dawało mu to pewne poczucie... ciepła. Czuł się bezpieczny w swoim pokoju, wiedział, że wszystko działa jak należy. Może czuł też rodzaj tęsknoty. Za tymi mężczyznami i samochodem. Żeby tak mógł teraz siedzieć w słabo oświetlonej szoferce i jechać sobie...

Puścić. Muszę puścić.

Zaciskał kurczowo palce na torbie. Ręka go bolała, tak długo trzymał ją wyciągniętą. Dłoń miał zziębniętą od przeciągu. Wreszcie puścił.

Rozległo się szuranie, kiedy torba, spadając, ocierała się o ściany szybu; pół sekundy ciszy, kiedy leciała, a potem uderzenie, kiedy wylądowała w kontenerze.

Pomogłem ci.

Znów spojrzął na rękę. Ręka, która pomaga. Ręka, która...

Zabiję kogoś. Pójdę, przyniosę nóż, a potem wyjdę i kogoś zabiję. Jonny'ego. Poderżnę mu gardło, zbiorę krew i zaniosę Eli; jakie to ma znaczenie, skoro i tak jestem zarażony i niedługo...

Nogi się pod nim ugięły; żeby nie upaść, musiał chwycić się brzegu otworu zypowego. Rozważał to. Na serio. To już nie była zabawa z drzewem. Przez chwilę... naprawdę myślał, żeby... to zrobić.

Gorąco. Poczuł, że jest mu gorąco. Jakby miał gorączkę. Wszystko go bolało, chciał tylko się położyć. Teraz.

Zarażłem się. Zamienię się w... wampira.

Zmusił nogi do ruchu, do zejścia po schodach; jedną ręką - tą zarażoną - trzymał się poręczy. Udało mu się wejść do mieszkania, potem do swojego pokoju; położył się na łóżku i zaczął się wpatrywać w tapetę. Las. Zaraz pokazała się jedna z jego postaci i spojrzała mu w oczy. Mały krasnoludek. Pogłaskał go palcem, i nagle przyszła mu do głowy śmieszna myśl: „Jutro muszę iść do szkoły”.

Nie odrobił jednego zadania. Afryka. Powinien teraz wstać, usiąść przy biurku, zapalić lampę i zacząć przeglądać atlas. Wyszukać jakieś bezsensowne nazwy i napisać je na przerywanych liniach.

Właśnie to powinien teraz zrobić. Powolnym ruchem pogładził czapkę krasnoludka, a potem zaczął wystukiwać:

E.L.I.

Żadnej odpowiedzi. Pewnie gdzieś wyszedł i...
robi to, co my robimy.

Naciągnął kołdrę na głowę. Miał dreszcze. Próbował sobie wyobrazić. Jak to jest. Żyć wiecznie. Budząc strach, będąc przez wszystkich znienawidzonym. Nie. Eli nie znienawidzi go. Jeśli oni... razem...

Próbował sobie to wyobrazić, fantazjował. Po chwili otworzyły się drzwi i weszła mama.

Poduchy tłuszczu.

Tommy gapił się przed siebie pustym wzrokiem. Dziewczyna ścisnęła rękami swoje piersi, tak że wyglądały jak dwa balony; wysuwała usta. Wyglądało to idiotycznie. Myślał, że będzie trzepał konia, ale coś musiało być nie tak z jego mózgiem, bo według niego laska wyglądała jak Potwór.

Niezwykle powoli zamknął pisemko i schował pod poduszką kanapy. Każdemu najmniejszemu ruchowi poświęcał oddzielną myśl. Był naćpany. Naćpał się klejem. I dobrze. Świata nie było. Tylko pomieszczenie, w którym się znajdował, i bezkresna pustynia, gdzieś na zewnątrz...

Staffan.

Próbował myśleć o Staffanie. Nie wychodziło mu. Nie mógł go uchwycić. Widział tylko wyciętą z kartonu figurę policjanta, która stała na poczcie. Była naturalnej wielkości. Żeby odstraszać złodziei.

Obrabujemy pocztę ?

Coś tyś? Pokręciło cię, tam jest ten papierowy gliniarz!

Tommy zachichotał, kiedy odkrył, że papierowy policjant ma twarz Staffana. Za karę. Miał pilnować poczty. Na gliniarzu coś było napisane, tylko co?

„Zbrodnia nie popłaca”. Nie. „Policja cię widzi”. Nie, co to było, do licha? „Uważaj! Jestem mistrzem w strzelaniu!”

Tommy zaczął się śmiać. Śmiał się coraz bardziej. Śmiał się tak, że cały się trząsał; miał wrażenie, że goła żarówka u sufitu huśta się w rytm jego śmiechu. Śmiał się. „Uważaj! Papierowy policjant! Z papierowym pistoletem! I łbem z papieru!”

Coś stukało mu w głowie. Ktoś przyszedł na pocztę.

Papierowy policjant nastawia uszu. Na poczcie jest dwieście papierów. Odbezpiecza papierowy pistolet. Pang-pang.

Stuk. Stuk. Stuk.

Pang.

...Staffan... matka, cholera...

Tommy zesztyniał. Próbował myśleć. Nie wychodziło mu. W głowie miał poszarpaną chmurę. Nagle się uspokoił. Może to Robban albo Lasse. Albo Staffan. Ale on przecież był z papieru.

Atrapa penisa, z papieru.

Tommy odchrząknął:

- Kto tam?

- Ja.

Rozpoznawał głos, ale nie potrafił go umiejscowić. Nie należał do Staffana, przynajmniej tyle. Nie chciał oglądać papierowego pajaca.

Papierowego tatuśka.

- Coś ty za jeden?
- Możesz otworzyć?
- Poczta jest już zamknięta. Wróć za pięć lat.
- Mam pieniądze.
- Papierowe pieniądze?
- Tak.
- No dobrze.

Podniósł się z kanapy. Bardzo powoli. Kontury rzeczy nie chciały się układać tak, jak powinny. Głowę miał jak z ołowiu.

Betonowa czapka.

Stał kilka sekund, zaczął się chwiać. Miał wrażenie, że cementowa podłoga lekko się przechyliła najpierw w prawo, potem w lewo, jak w Domu Strachów. Szedł przed siebie, krok za krokiem; uniósł haczyk, pchnął drzwi. Na zewnątrz stała ta dziewczyna. Kumpelka Oskara. Tommy gapił się na nią, nie rozumiejąc, co widzi.

Słońce i kąpiel.

Dziewczyna miała na sobie tylko cienką sukienkę. Żółtą w białe groszki, które przykuwały wzrok Tommy'ego; usiłował się na nich skoncentrować, ale groszki zaczęły tańczyć, wirować; zrobiło mu się niedobrze. Była może dwadzieścia centymetrów niższa od niego.

Słodka... jak lato.

- Nagle zrobiło się lato? - spytał.

Dziewczyna przechyliła głowę.

- Co?
- Masz na sobie... jak to się nazywa... letnią sukienkę.
- Tak.

Tommy pokiwał głową, zadowolony, że udało mu się znaleźć właściwe słowo. Co ona mówiła? Pieniądze? Ach tak. Oskar mówił, że...

- Chcesz... coś kupić?
- Tak.
- A co?
- Mogę wejść?
- Tak.
- Powiedz, że mogę wejść.

Tommy wykonał przesadnie zachęcający gest dłonią. Zobaczył, jak jego ręka rusza się w przyspieszonym tempie; naćpana rybka płynęła w powietrzu nad podłogą.

- Wchodź. Zapraszam do... filii.

Nie miał siły dłużej stać. Ciągnęła go podłoga. Odwrócił się, opadł na kanapę.

Dziewczyna weszła przez drzwi, zamknęła je za sobą, założyła haczyk. Wyglądała jak ogromny kurczak; zachichotał. Kurczak usiadł w fotelu.

- O co chodzi?
- Nic, tylko... jesteś... strasznie żółta.
- Aha.

Dziewczyna położyła ręce na małej torebce na kolanach. Nie zauważył jej wcześniej. Torebka wyglądała jak - nesesor. Tommy przyglądał się jej. Torebka. Ciekawe, co w niej jest.

- Co masz... w tej tam?
- Pieniądze.
- Jasne.

Coś się nie zgadzało. Było w tym coś dziwnego.

- Co takiego chcesz kupić?

Dziewczyna otworzyła zamek neseseru i wyciągnęła tysiąc koron w jednym banknocie. I jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Trzy tysiące. Banknoty wydawały się śmiesznie duże w jej drobnych dłoniach; pochyliła się i położyła je na podłodze.

Tommy parsknął:

- Co to takiego?
- Trzy tysiące.
- Tak, ale na co?
- Dla ciebie.
- Tak...?
- Tak.
- Pewnie jakiś cholerny papierowy szmal... z „Monopoly”, tak?
- Nie.
- Nie?
- Nie.
- Po co mi je dajesz?
- Chcę coś od ciebie kupić.
- Chcesz kupić coś za trzy tysią... nie.

Tommy wyciągnął rękę, najdalej jak mógł, i chwycił banknot. Pomacał go, zaszeleścił nim, podniósł do światła i sprawdził znak wodny. Dokładnie ten król czy kto tam, co to powinien na nim być. Banknot był prawdziwy.

- Więc nie żartujesz?
- Nie.

Trzy tysiące. Mógłby... gdzieś pojechać. Polecieć gdzieś.

I niech sobie Staffan i matka... Nagle Tommy poczuł się całkowicie trzeźwy. Cała sprawa była od czapy, ale co tam: trzy tysiące. To były fakty. Pozostawało tylko pytanie...

- A co chcesz kupić? Za to możesz dostać...
- Krew.
- Krew.
- Tak.

Tommy prychnął, pokręcił głową.

- Nie, niestety. Nie mamy... na składzie.

Dziewczyna siedziała spokojnie w fotelu, patrzyła na niego. Nawet się nie uśmiechnęła.

- A teraz na serio - powiedział Tommy. - Co?
- Dostaniesz pieniądze... jeśli dostanę trochę krwi.
- Nic nie mam.
- Masz.
- Nie.
- Masz.

Tommy zrozumiał. Do diabła...

- Mówisz... poważnie?

Dziewczyna wskazała na banknoty.

- To nie takie straszne.
- Ale... co... jak?

Dziewczyna włożyła rękę do neseseru, coś wyjęła. Mały, biały plastikowy prostokąt. Potrząsnęła nim. Coś zagrzecotało. Tommy przyjrzał się dokładnie. Opakowanie żyletek. Położyła je na kolanach, i wyjęła jeszcze coś. Prostokąt w kolorze skóry. Duży plaster.

To idiotyczne.

- Przestań. Chyba rozumiesz, że... mogę po prostu zwinąć tę forszę. Włożę do kieszeni i powiem: „Co takiego? Trzy tysiące? Nie widziałem”. To dużo pieniędzy, tyle chyba wiesz? Skąd je masz?

Dziewczyna zamknęła oczy, westchnęła. Kiedy je otworzyła, nie wyglądała już tak miło.

- Chcesz? Czy nie chcesz?

Ona mówi serio. Cholernie serio. Nie... nie...

- Co zrobisz... szast-prast i...

Dziewczyna przytaknęła, podniecona.

Szast-prast. Zaczekaj chwilę. Zaczekaj... co to ma znaczyć... jak świnie...

Zmarszczył brwi. Myśl pojawiła się w jego głowie, jakby ktoś wrzucił gumową piłkę; chwilę się odbijała, zatrzymała się. Przypomniał sobie. Otworzył usta. Spojrzał jej w oczy.

- ...nie...?
- Tak.

- To jakiś żart, prawda? Posłuchaj. Idź stąd. Nie. Teraz nie możesz stąd odejść.

- Jestem chora. Potrzebuję krwi. Jeśli chcesz, mogę dać ci więcej pieniędzy. Zaczęła szukać w neseserze; poszperała i wyciągnęła dwa banknoty po tyśiąc koron każdy; położyła na podłodze. Pięć tysięcy.

- Proszę.

Morderca. Vällingby. Poderżnięte gardło. Tylko co u licha... ta dziewczyna...

- Po co ci to... cholera... Jesteś dzieciakiem...
- Boisz się?
- Nie, przecież... a ty się boisz?
- Tak.
- Czego?
- Że powiesz: nie.
- Powiedziałem: nie. No przecież... weź się w garść. Wracaj do domu.

Dziewczyna siedziała spokojnie w fotelu. Po chwili skinęła głową, wstała, podniosła pieniądze z podłogi, włożyła do neseseru. Tommy patrzył na miejsce, gdzie przed chwilą leżały. Pięć. Tysięcy. Usłyszał stuknięcie, kiedy podniosła haczyk. Odwrócił się na plecy.

- Ale jak... poderżniesz mi gardło czy co?
- Nie. Zrobię nacięcie w zgięciu ręki, maleńkie.
- I co zrobisz, z krwią?
- Wypiję.
- Teraz?
- Tak.

Tommy skupił się i zobaczył planszę krwiobiegu na swojej skórze, od wewnątrz. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że w ogóle ma jakiś krwiobieg. Nie tylko wyizolowane punkty, gdzie na ranach pojawiała się kropla albo parę kropel krwi, ale duże, pulsujące drzewo żył, w których krążyło... ile? Cztery, pięć litrów krwi...

- Co to za choroba?

Dziewczyna nie odpowiedziała, stała przy drzwiach z ręką na skoblu; przyglądała mu się. Mapa arterii i żył w jego ciele przybrała nagle charakter... schematu. Odsunął od siebie tę myśl. „Zostań krwiodawcą. Dwadzieścia pięć koron i kanapka z serem”. Po chwili jednak powiedział:

- Daj mi pieniądze.

Dziewczyna otworzyła neseser i ponownie wyjęła banknoty.

- A jeśli dam ci... teraz trzy. A dwa potem?
- Dobrze. Chociaż mógłbym cię napaść i zwinąć forszę, nie rozumiesz tego?
- Nie mógłbyś.

Podawała mu trzy tysiące. Trzymała banknoty między palcem wskazującym i serdecznym. Podniósł każdy z nich do światła. Były prawdziwe. Zwinął je w rulon wokół lewej ręki.

- No dobrze. Co teraz?

Dziewczynka położyła pozostałe dwa tysiące na fotelu, ukucnęła przy kanapie, wygrzebała z neseseru opakowanie żyletek, wyjęła jedną.

Robiła to już wcześniej.

Obracała żyletkę, jakby próbowała zdecydować, która strona jest bardziej ostra. Potem podniosła ją do twarzy. Odczytała napisane na niej jedno słowo: „Schick”. Powiedziała:

- Nie wolno ci nikomu o tym mówić.
- Bo co?
- Nie wolno ci o tym mówić. Nikomu.
- Dobrze - powiedział Tommy, zerkając to na swoją wyciągniętą rękę, to na banknoty po tysiąc koron, które leżały na fotelu.
- Ile potrzebujesz?
- Litr.
- To... dużo?
- Tak.
- Tak dużo, że...
- Nie, nic ci nie będzie.
- Odtworzy się.
- Tak.

Tommy pokiwał głową. Zafascynowany przyglądał się żyletce, połyskującej jak małe lusteczko. Była coraz bliżej jego skóry, a on miał wrażenie, że cała ta historia dotyczy kogoś innego. Widział jedynie grę konturów. Szczęki dziewczynki, jej ciemne włosy, swoją białą rękę, prostokąt żyletki, który przeciął delikatny włoszek na jego ręku i... dotarł do celu; na chwilę zastygł; żyła zaczęła pęcznieć, zrobiła się nieco ciemniejsza niż skóra dookoła.

Poczuł ucisk, bardzo lekki, leciutki. Jakby cierń dotknął skóry, ale nie przebijając jej. A potem: „szzzzy...” i szarpnięcie. Tommy wstrzymał oddech; drugą ręką ścisnął mocniej banknoty. Kiedy zagryzł wargi, coś zaczęło stukać mu w głowie: zgrzytał zębami. Pokazała się krew, jakby coś ją wypychało na zewnątrz.

Brzdęk, kiedy żyletka upadła na podłogę. Dziewczynka chwyciła dłońmi jego rękę, przycisnęła usta do rany.

Tommy odwrócił głowę, czuł jedynie jej ciepłe wargi i język liżący jego skórę. Po raz kolejny zobaczył wewnętrzną mapę swojego ciała, kanaliki, którymi płynęła krew, podążając do nacięcia.

Płynie ze mnie.

Tak. Ból się nasilił. Ręka zaczynała mu drętwieć; nie czuł już warg, tylko ssanie; miał wrażenie, że wysysano z niego krew, jakby z niego... wypływała.

Przestraszył się. Chciał, żeby dziewczyna skończyła. Za bardzo bolało. Łzy napłynęły mu do oczu, otworzył usta, chciał coś powiedzieć, żeby przestała... Nie mógł. Zabrakło mu słów, które mogłyby... Podniósł wolną rękę, włożył zacisniętą pięść do ust. Poczuł owinięty wokół niej papierowy rulon. Gryzł go.

Przed salonem fryzjerskim zaobserwowano mężczyznę. Stał z twarzą i dłońmi opartymi o szybę wystawową. Sprawiał wrażenie mocno nietrzeźwego. Kiedy kwadrans później zjawiła się policja, mężczyzna zdążył już opuścić miejsce. Szyba nie doznała żadnego uszczerbku, zostały na niej jedynie ślady gliny bądź ziemi. W rozświetlonym oknie wystawowym widać było zdjęcia młodych ludzi, modele fryzur.

- Śpisz?
- Nie.

Powiew perfum i chłodu, kiedy mama Oskara weszła do pokoju i usiadła na brzegu łóżka.

- Miło spędziłeś czas?
- Tak.
- Co robiłeś?
- Nic specjalnego.
- Widziałam gazety. Na stole kuchennym.
- Mhm.

Oskar okrył się szczelnie kołdrą; udawał, że ziewa.

- Jesteś śpiący?
- Mhm.

Prawda i nieprawda. Był zmęczony, tak bardzo, że szumiało mu w głowie. Chciał otulić się kołdrą, zaplombować wejście i nie wychodzić, dopóki... dopóki... Ale nie był śpiący. Poza tym... mógł spać, skoro był zarażony?

Słyszał, że mama pyta o ojca, powiedział „dobrze”, nie wiedząc, na jakie pytanie odpowiada. Zapadło milczenie. Potem mama westchnęła głęboko.

- Mój maleńki, co z tobą? Mogę ci jakoś pomóc?
- Nie.
- Ale co się stało?

Oskar ukrył twarz w poduszce, wypuścił powietrze: nos, usta, wargi zrobiły się wilgotne. Nie da rady. To było zbyt trudne. Musi to komuś powiedzieć. Z twarzą wciśniętą w poduszkę zaczął: .. emżony...

- Co powiedziałeś?
- Jestem zarażony.

Ręka mamy gładziła tył jego głowy, kark, zjechała niżej, kołdra nieco się osunęła.

- Jak to zara... Ale... Ty masz na sobie ubranie?
- Tak, ja...

- Pokaż. Jesteś rozgrzany? - spytała, przykładając swój chłodny policzek do jego czoła. - Masz gorączkę. Wstań. Musisz się rozebrać i położyć do łóżka.

Podniosła się, szarpnęła go delikatnie za ramię.

- Chodź.

Zaczęła szybciej oddychać, coś przyszło jej na myśl. Odezwała się innym tonem:

- Nie wzięłeś ze sobą dość ubrań?

- Wziąłem. To nie o to chodzi.

- Wzięłeś czapkę?

- Tak. To nie to.

- Więc co?

Oskar znów schował twarz w poduszkę, ścisnął ją i powiedział:

- ...ędampirem...

- Co ty mówisz?

- Będę wampirem.

Pauza. Cichy szelest płaszcza mamy, kiedy podniosła rękę, krzyżując je na piersi.

- Oskarze, wstawaj. Rozbierz się. I połóż się do łóżka.

- Zamienię się w wampira.

Słyszał oddech mamy. Była wyraźnie zła.

- Jutro powyrzucam te wszystkie książki, w których się zaczytujesz.

Kołdra została ściągnięta z Oskara. Wstał, zaczął się powoli rozbierać, starając się nie patrzeć na mamę. Położył się ponownie do łóżka, mama otuliła go kołdrą.

- Coś ci podać?

Oskar pokręcił głową.

- Zmierzymy temperaturę...?

Oskar pokręcił głową bardziej zdecydowanie. Patrzył na mamę. Stała, pochylona nad jego łóżkiem, dłonie oparła o kolana. Jej wzrok był badawczy, smutny.

- Jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

- Nie. Chociaż tak.

- Co?

- Nie, nic.

- Powiedz.

- Możesz opowiedzieć mi... bajkę?

Mieszanina różnych uczuć pokazała się na twarzy mamy: smutek, radość, niepokój, lekki uśmiech, ściągnięta brew, zmartwienie. Wszystko w ciągu kilku sekund. Potem powiedziała:

- Ja... nie znam żadnych bajek. Ale mogę ci... jakąś przeczytać, jeśli chcesz. Masz może jakąś książkę...

Jej wzrok powędrował na półkę z książkami, obok głowy Oskara.

- Nie, nie musisz.

- Chętnie to zrobię.

- Nie. Nie chcę.

- Dlaczego? Przecież mówiłeś...

- Tak, ale... nie. Nie chcę.

- To może... coś ci zaśpiewam?

- Nie!

Mama zacisnęła usta, poczuła się zraniona. Postanowiła jednak się nie obrażać, skoro Oskar był chory:

- Mogę coś wymyślić, jeśli...

- Nie, wszystko jest w porządku. Chcę teraz spać.

Po jakimś czasie mama powiedziała dobranoc i wyszła z pokoju. Oskar leżał z szeroko otwartymi oczami, patrzył w okno. Próbował dojść, czy zaczął już się zamieniać w... Nie bardzo wiedział, jak miałyby się czuć. Pomyślał o Eli. Jak to się stało, że ona stała się ... taka?

Rozstać się ze wszystkim.

Zostawić. Mamę, tatę, szkołę... Jonny'ego, Tomasa...

Być z Eli. Na zawsze.

Słyszał, jak w dużym pokoju mama włączyła telewizor; szybko ściszyła głos. Ciche stukanie dzbanka do kawy w kuchni. Zapaliła gaz, brzdęk filiżanki o talerzyk. Otworzyła jakąś szafkę.

Zwyczajne dźwięki. Słyszał je setki razy. Zrobiło mu się smutno. Bardzo smutno.

Rany się zabiłiły. Ślady po zadrapaniach były jedynie białymi kreskami, gdzieś resztki strupków, które nie zdążyły odpaść. Lacke gładził rękę Virginii, przywiązaną do ciała skórzanym paskiem; kolejny strupek rozkruszył się w jego palcach.

Virginia stawiała opór. Gwałtowny opór, kiedy doszła do siebie i zrozumiała, co się działo. Wyrwała wężyk, przez który podawano jej krew, krzyczała, kopała.

Lacke nie miał siły patrzeć, jak walczy z personelem szpitala. Była odmieniona. Zszedł do kawiarni i wypił filiżankę kawy. Potem drugą i jeszcze jedną. Kiedy wstał, żeby nalać sobie kolejną, kobieta w kasie zwróciła mu uwagę, że w cenie była tylko jedna dodatkowa kawa. Lacke odpowiedział, że jest spłukany, że czuje się, jakby jutro miał umrzeć, i czy nie może zrobić dla niego wyjątku?

Mogła. Poczęstowała go nawet suchym ciastkiem marcepanowym, „które i tak jutro trzeba będzie wyrzucić”. Żuł ciastko; w gardle miał gulę; myślał o dobrych i złych stronach w ludziach i o tym jak względne było pojęcie dobra i zła. Stał przy wyjściu i zapalił swojego przedostatniego papierosa, zanim poszedł na górę do Virginii.

Przywiązali ją do łóżka.

Uderzyła jedną z pielęgniarek, rozbiła jej okulary, pielęgniarka miała szramę nad okiem. Virginia nie dawała się uspokoić. Nie odważono się zrobić jej żadnego zastrzyku ze względu na jej ogólny stan, dlatego przypięto ją do łóżka skórzanymi rzemykami, przede wszystkim „żeby sama nie zrobiła sobie krzywdy”, jak to określono.

Lacke rozgniatał strupek między palcami; proszek, jak pigment, zabarwił czubki jego palców na czerwono. Jakiś ruch w kąci oka; krew z woreczka, który wisiał na stojaku obok łóżka Virginii, skapywała powoli do plastikowego pojemniczka, podłączonego do wenflonu, który tkwił w ręce Virginii.

Dopiero po ustaleniu grupy krwi zrobiono jej transfuzję, przetłoczono jej krew, a teraz, kiedy jej stan się ustabilizował, podawano jej krew w kroplówce. Na częściowo już opróżnionym woreczku była nalepka z całą masą niezrozumiałych oznaczeń; w oczy rzucała się duża litera „A”, grupa krwi, oczywiście.

Ale... zaraz...

Lacke miał grupę krwi B. Pamiętał, że kiedyś rozmawiali o tym, że yirginia też ma grupę krwi B, i że wobec tego mogli... tak, właśnie tak wtedy powiedzieli, że mogą dać sobie nawzajem krew, skoro mają tę samą grupę. A Lacke miał grupę krwi B, tego był pewien.

Wstał i wyszedł na korytarz.

Chyba nie popełniają takich błędów?

Złapał pielęgniarkę.

- Przepraszam, ale...

Rzuciła okiem na jego zniszczone ubranie, przybrała wyczekującą postawę.

- Tak?

- Tak się zastanawiam. Virginia... Virginia Lindblad, która została przyjęta tu... niedawno...

Pielęgniarka przytaknęła, ale nie był to zachęcający gest. Może była obecna, kiedy...

- Zastanawiam się nad grupą krwi...

- A o co chodzi?

- Zauważyłem, że na woreczku jest literka „A”... Ale ona ma inną grupę.

- Nie rozumiem?

- No bo... ma pani chwilę?

Pielęgniarka rozejrzała się po korytarzu. Może, żeby sprawdzić, czy w razie czego będzie mogła wezwać pomoc, albo żeby pokazać, że ma inne, ważniejsze sprawy, ale poszła jednak z nim do sali, w której leżała Virginia. Miała zamknięte oczy; krew powoli kapała przez wężyk. Lacke wskazał na woreczek z krwią.

- Tutaj. To jest „A”. Czy to znaczy, że...

- Jest to krew z grupy A, tak. Ostatnio bardzo brakuje nam krwiodawców, gdyby ludzie wiedzieli, jak...

- Przepraszam. Ale ona ma grupę krwi B. Czy to nie jest niebezpieczne...

- Owszem, jest.

Pielęgniarka nie była wprawdzie niegrzeczna, ale sposobem bycia dawała mu wyraźnie do zrozumienia, że raczej nie powinien kwestionować kompetencji szpitala. Wzruszyła ramionami:

- Jest niebezpieczne, jeśli ktoś ma grupę krwi B. Ale w przypadku tej pacjentki tak nie jest. Ona ma grupę AB.

- Ale... na woreczku... jest napisane „A”.

Pielęgniarka westchnęła; czuła się, jakby tłumaczyła dziecku, że na księżycu nie żyją ludzie:

- Osoby, które mają grupę krwi AB, mogą przyjmować krew wszystkich grup.

- Ale... to znaczy, że jej grupa krwi się zmieniała.

Pielęgniarka uniosła brwi. Dziecko właśnie stwierdziło, że było na księżycu i widziało tam ludzi. Wykonała gest, jakby przecinała wstęgę, i powiedziała:

- To się po prostu nie zdarza.

- No tak, pewnie się myliła.

- Zapewne. Przepraszam, ale mam inne zajęcia.

Sprawdziła wenflon na rękę Virginii, przekreśliła nieco stojak. Patrzyła na Lackego, jakby chciała mu powiedzieć, że to są ważne sprawy i niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli czegoś tu dotknie. Po chwili energicznym krokiem opuściła salę.

Co się stanie, jeśli dostanie się niewłaściwą krew? Krew się... zbryli.

Nie. Na pewno Virginia coś źle zapamiętała.

Poszedł do kąta sali, gdzie stał niewielki fotel, obok stolik, a na nim sztuczny kwiat. Usiadł w fotelu, rozejrzał się po pokoju. Zimne ściany, błyszczące podłogi. Neonówki na suficie. Łóżko Virginii z metalowych rurek, na nim jasnożółty koc z nadrukiem: „Samorząd terytorialny”.

Tak to wygląda.

U Dostojewskiego choroba i śmierć niemal zawsze kojarzyły się z brudem, z biedą. Ktoś został zmiażdżony pod kołami wozu, gлина, tyfus, poplamione krwią chusteczki. I tak dalej. Ale, do diabła, czy to nie było lepsze niż to tutaj? Człowiek niknął w jakiejś wypolerowanej maszynie.

Lacke oparł się w fotelu, zamknął oczy. Oparcie było za niskie, głowa opadła mu do tyłu. Poprawił się, oparł ręce na podłokietnikach, wsparł twarz o dłonie. Spojrzał na plastikowy kwiatek. Pomyślał, że jest tu tylko po to, żeby podkreślić, że w takim miejscu nie może być życia: tu muszą panować ład i porządek.

Kwiatek pozostał na jego siatkówce także, kiedy zamknął powieki. Zamienił się w prawdziwy kwiat, zaczął rosnąć, stał się ogrodem. Ogrodem domu, który mieli kupić. Lacke stał w ogrodzie, przyglądał się krzewowi róż z lśnącymi, czerwonymi kwiatami. Z domu padał długi cień człowieka. Słońce szybko zachodziło; cień rósł, sięgał przez cały ogród...

Wzdrygnął się i obudził. Dłoń była mokra od śliny, która ściekła mu z ust podczas snu. Wytarł usta, mlasnął, spróbował unieść głowę. Nie mógł. Miał sztywny kark. Zmusił się do ruchu, rozległ się trzask więzadła, znieruchomiał.

Szeroko otwarte oczy przyglądały mu się.

- Cześć! Nie...

Usta się zamknęły. Virginia leżała na plecach, przytrzymywana rzemykami, z twarzą odwróconą do niego. Tyle że twarz była nazbyt spokojna. Żadnego ruchu, znaku, że go poznaje, radości... niczego. Oczy nie mrugały.

Martwa? Czy ona...

Lacke wyskoczył z fotela i coś znów trzasnęło mu w karku. Upadł na kolana obok łóżka, chwycił za stalowe rurki i zbliżył swoją twarz do jej; jakby swoją obecnością chciał zmusić duszę do powrotu do jej twarzy, wywołać ją gdzieś z otchłani.

- Ginja? Słyszysz mnie?

Nic. A jednak przysiągłby, że jej oczy były wpatrzone w jego oczy, że nie były martwe. Szukał jej gdzieś za nimi; drażył wzrokiem jej źrenice, usiłując tam, w ciemnościach, znaleźć jakiś punkt zaczepienia...

Źrenice. Czy tak wygląda człowiek, kiedy...

Źrenice nie były okrągłe. Były jakby nieco rozciągnięte i spiczasto zakończone. Na twarzy Lackego pojawił się grymas, kiedy zimny promień bólu znów przeszył jego kark, uniósł rękę, zaczął go masować.

Virginia zamknęła oczy. Znów je otworzyła. Żyła.

Lacke głupekowato otworzył usta, nadal mechanicznie pocierał kark dłonią. Rozległ się drewniany dźwięk, kiedy Virginia otworzyła usta:

- Boli cię? - spytała.

- Nie, ja tylko... myślałem, że ty...

- Jestem unieruchomiona.

- Bo... walczyłaś. Poczekaj, zaraz... - powiedział i sięgnął ręką między pręty łóżka, zaczął luzować rzemyki.

- Nie.

- Co?

- Zostaw.

Lacke się zawahał; trzymał w palcach rzemyk.

- Zamierzasz znów się bić?

Virginia przymknęła oczy.

- Zostaw.

Lacke puścił rzemyk; nie wiedział, co zrobić z rękami, skoro pozbawiono je zadania, które miały wykonać. Nie wstając, odwrócił się i, nadal kłęcząc, przyciągnął - nowy promień bólu - mały fotel w stronę łóżka. Wdrapał się na niego niezdarne.

Virginia niemal niezauważalnie pokiwała głową.

- Zadzwoiłeś do Leny?

- Nie, ale mogę...

- Nie trzeba.

- Nie chcesz, żebym...

- Nie.

Zapadła cisza. Cisza charakterystyczna dla szpitali, wynikająca z samej sytuacji - ktoś na łóżku, chory albo ranny, a obok ktoś zdrowy - to właściwe mówićo wszystko. Słowa stawały się zbędne. Długo patrzyli na siebie. Powiedzieli to, co mieli sobie do powiedzenia, bez słów. Potem Virginia odwróciła głowę, leżała wyprostowana, patrzyła w sufit.

- Musisz mi pomóc.

- Zrobię dla ciebie wszystko.

Virginia oblizała wargi, zacerpnęła powietrza, wypuściła je, głębokie westchnienie, tak długie, że można było odnieść wrażenie, że wyczerpała wszystkie ukryte zapasy powietrza, jakie miała. Powiodła wzrokiem po ciele Lackego. Uważnie, jakby żegnała się z ciałem ukochanego i chciała wyryc sobie w pamięci jego obraz. Potarła wargi i w końcu wypowiedziała słowa.

- Jestem wampirem.

Kąciki ust Lackego były gotowe unieść się w drwiącym uśmiechu, usta wypowiedzieć jakiś lekki komentarz, rzucić jakiś dowcip. Lecz kąciki ust się nie poruszyły, a komentarz zgubił się gdzieś po drodze, nie zbliżywszy się nawet do ust. Jedyne, co zdołał wykrztusić to:

- Nie.

Rozcierał kark, chcąc przełamać ponury nastrój, tę próżnię, w której wszystkie słowa stawały się prawdą. Virginia mówiła spokojnie, była opanowana.

- Poszłam do Gösty. Żeby go zabić. Gdyby nie stało się to, co się stało... Zabiłabym go. A potem... wypiłabym jego krew. Zrobiłabym to. Taki miałam zamiar. Dokładnie taki. Rozumiesz?

Wzrok Lackego błądził po ścianach pokoju, jakby szukał komara, źródła dręczącego, gwizdzącego dźwięku, który w ciszy łaskotał mu mózg, uniemożliwiając myślenie. W końcu zatrzymał się na neonówkach na suficie.

- Cholerne lampy brzęczą.

Virginia spojrzała na neonówkę, powiedziała:

- Nie znoszę światła. Nie mogę jeść. Nachodzą mnie okropne myśli. Będę krzywdzić ludzi. Ciebie. Nie chcę żyć.

W końcu coś konkretnego, coś, na co można odpowiedzieć.

- Nie wolno ci tak mówić - odezwał się Lacke. - Słyszysz? Nie wolno ci tak mówić. Słyszysz?

- Ty nie rozumiesz.

- Pewnie nie. Ale przecież, do cholery, ty nie umierasz. Rozumiesz? Leżysz teraz tutaj, rozmawiasz, jesteś... Wszystko jest v porządku.

Lacke wstał z fotela, zrobił kilka bezsensownych kroków, rozłożył ręce.

- Przecież nie wolno... nie wolno ci tak mówić.

- Lacke. Lacke?

- Tak!

- Ty wiesz. Że to prawda. Mam rację?

- Niby co wiem?

- Że to prawda.

Lacke parsknął, pokręcił głową, zaczął klepać się po ciele, po kieszeniach.

- Potrzebuję dymka, rozumiesz... To...

Znalazł zmięte opakowanie, zapalniczkę. Udało mu się wygrzebać ostatniego papierosa i włożyć go do ust. Nagle przypomniał sobie, gdzie jest. Wyjął papierosa.

- Cholera, wyrzucą mnie stąd, zanim zdążę...

- Otwórz okno.

- Mam wyskoczyć, o to ci chodzi?

Virginia się uśmiechnęła. Lacke podszedł do cna, otworzył je szeroko i wychylił tak daleko, jak mógł.

Pielęgniarka, z którą rozmawiał, na pewno potrafi wyczuć zapach dymu na milę. Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko; starał się wydmuchać dym tak, żeby nie wpadł z powrotem przez okno do sali; spojrzał w górę na gwiazdy. Za jego plecami Virginia znów zaczęła mówić.

- To było to dziecko. Zaraziło mnie. A potem... to zaczęło rosnać. Wiem, gdzie to we mnie tkwi. W sercu. W samym sercu. Jak rak. Nie potrafię tego kontrolować.

Lacke wydmuchał trochę dymu. Jego głos odbijał się echem między wysokimi budynkami wokół szpitala.

- Znów mówisz. Jesteś taka jak... zawsze.

- Staram się. Dostałam krew. Ale jeśli na chwilę odpuszczę, a to może się stać w każdej chwili, wtedy „to” przejmie kontrolę, jestem tego pewna - powiedziała Virginia. Chwilę ciężko oddychała, potem zaczęła mówić dalej: - Stoisz tam, a ja patrzę na ciebie i chcę cię... zjeść.

Ciarki przeszły mu po plecach. Lacke nie wiedział, czy znów chwycił go ból, czy też powód był inny. Nagle poczuł się bezbronny. Szybko zgasił papierosa o mur, pstryknął peta, tak że poleciał łukiem w powietrze. Odwrócił się i spojrzał na nią:

- Mówisz bzdury.

- Ale tak to wygląda.

Lacke skrzyżował ręce na piersi. Z wymuszonym uśmiechem spytał:

- Więc, co chcesz, żebym zrobił?

- Chcę, żebyś... zniszczył mój mózg.

- Co takiego? Jak?

- Wszystko jedno jak.

Lacke podniósł oczy do nieba.

- Czy ty słyszysz, co mówisz? Słyszysz, jak to brzmi? To kretynstwo. Mam... wbić w ciebie kołek czy co?

- Tak.

- Nie, nie. Zapomnij o tym. Wymyśl coś lepszego.

Lacke roześmiał się, pokręcił głową. Virginia patrzyła, jak spacerował po pokoju z rękami nadal skrzyżowanymi na piersi. Pokiwała głową, powiedziała cicho:

- Dobrze.

Podszedł do niej, chwycił jej dłoń. Było coś niezwykłego w tym, że była... unieruchomiona. Nie mógł jej nawet objąć. Ale przynajmniej jej ręka była ciepła; ścisnęła jego dłoń. Wolną ręką pogładził ją po policzku.

- Nie chcesz, żebym cię uwolnił?

- Nie, to może... zdarzyć się w każdej chwili.

- Wyzdrowiejesz. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Mam tylko ciebie. Zdradzić ci tajemnicę?

Nie puszczając jej ręki, usiadł w fotelu i zaczął opowiadać. Opowiedział jej o wszystkim. O znaczkach, o lwie, o Norwegii, o pieniądzach. O domku, który kupią. Będzie czerwony. Puścił wodze fantazji i zaczął opowiadać, jak będzie wyglądał ogród, jakie kwiaty będą w nim hodować; że wystawiana zewnętrznie stół; zrobi małą altankę, gdzie będzie można siedzieć i...

W pewnym momencie w trakcie jego opowieści z oczu Virginii popłynęły łzy. Małe, przezroczyste perełki spływały jej po policzkach, mocząc poszewkę. Żadnego szlochania, tylko spływające łzy, klejnoty smutku... czy radości?

Lacke umilkł. Virginia mocno ścisnęła jego dłoń.

Potem Lacke wyszedł na korytarz; pewną dawką perswazji i odpowiednią dawką prośb udało mu się przekonać personel, żeby do pokoju wstawiono dodatkowe łóżko. Lacke przesunął je tak, żeby stało tuż obok łóżka Virginii. Potem zgasił światło, zdjął ubranie i wśliznął się między sztywne prześcieradła; poszukał i znalazł jej rękę.

Długo leżeli w milczeniu. Potem padły słowa:

- Lacke, kocham cię.

Lacke nie odpowiedział. Pozwolił słowom zawisnąć w przestrzeni. Pozwolił, żeby rosły, aż zamieniły się duży, czerwony koc, który unosił się w powietrzu, aż opadł na niego i grzał go całą noc.

Ludzi, zamieszkałych przy Björnsonsgatan, obudziły głośne wrzaski. Ktoś, sądząc, że to płacz niemowlaka, zadzwonił po policję. Policja przybyła na miejsce; ale krzyki zdały już ustać. Przeszukano teren, znaleziono kilka martwych kotów. Niektóre miały na wierzchu wnętrzności. Policja spisała nazwiska i numery telefonów z obróżek, które koty miały na sobie; w celu powiadomienia właścicieli. Straż miejska została wezwana, żeby usunąć ścierwa.

Pół godziny do wschodu słońca.

Eli siedzi oparty w fotelu w dużym pokoju. Spędził w domu całą noc i cały ranek. Pakował się.

Jutro wieczorem, po zapadnięciu zmroku, pójdzie do budki telefonicznej i zamówi taksówkę. Nie ma pojęcia, pod jaki numer trzeba zadzwonić, ale każdy przechodzień na pewno mu to powie. Wystarczy spytać. Kiedy taksówka przyjedzie, włoży swoje trzy kartony do bagażnika i poprosi, żeby kierowca zawiózł go...

Dokąd?

Zamyka oczy i próbuje wyobrazić sobie miejsce, w którym chciałby się znaleźć.

Jak zwykle natychmiast staje mu przed oczami domek, w którym kiedyś mieszkał z rodzicami i rodzeństwem. Ale domek już nie istnieje. W pobliżu Norrköpingu, gdzie kiedyś był, jest teraz rondo. Potok, w którym mama płukała bieliznę, wysechł i zarósł; zamienił się w niewielką nieckę obok przydrożnego rowu.

Eli ma pieniądze. Może poprosić kierowcę, żeby pojechał dokądkolwiek, byle zdażył przed wschodem słońca. Na północ. Na południe. Usiądzie na tylnym siedzeniu i każe mu jechać na północ za dwa tysiące koron. Potem wysiądzie. I zacznie wszystko od początku. Znajdzie kogoś, kto...

Eli odchyła głowę do tyłu, patrzy w sufit i woła:

- Nie chcę!

Pod wpływem powietrza zakurzone pajęczyny zaczynają lekko falować. W zamkniętym pokoju głos powoli zamiera. Eli podnosi dłoń do twarzy, przyciska opuszki palców do powiek. W całym ciele czuje niepokój zbliżającego się świtu. Szepcze:

- Boże. Boże? Czemu nie wolno mi niczego zatrzymać? Czemu nie mogę...

Od wielu lat zadaje to pytanie.

Dlaczego nie mogę żyć?

Bo powinienem być trupem.

Tylko raz od momentu zarażenia spotkał innego nosiciela. Była to dorosła kobieta, równie cyniczna i zdegenerowana jak mężczyzna w peruce. Wtedy to Eli usłyszał też odpowiedź na inne nurtujące go pytanie.

- Jest nas wielu?

Kobieta pokręciła głową i rzekła z udawanym smutkiem:

- Nie. Jest nas bardzo mało.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Dlatego że większość odbiera sobie życie, nie wiedziałaś? Ciężko jest nosić takie brzemie - powiedziała. - Oj, oj, jak ciężko - dodała piskliwym głosem i zaczęła machać rękami: - Nie chcę mieć na sumieniu śmierci innych ludzi.

- My też możemy umrzeć?

- Oczywiście. Możemy spłonąć, wystarczy się podpalić. Albo poprosić kogoś o pomoc, zawsze znajdzie się ktoś chętny. Albo... - zaczęła i nagle z całej siły wbiła palec wskazujący w jego klatkę piersiową, tuż nad sercem.

- O tu. To jest to miejsce, tu ona tkwi, prawda? Mam pewien pomysł, przyjacielu...

Wtedy Eli uznał, że najlepszym wyjściem będzie ucieczka. Nie po raz pierwszy zresztą i na pewno nie ostatni.

Położył rękę na sercu, czuł jego powolne uderzenia. Był dzieckiem, może dlatego dotąd jeszcze ze sobą nie skończył? Wola życia była silniejsza niż wyrzuty sumienia.

Wstał z fotela. Tej nocy Håkan już się nie pojawił. Przed wyjściem Eli postanowił jeszcze zajrzeć do Tommy'ego. Sprawdzić, czy doszedł do siebie. Był pewien, że go nie zaraził, ale chciał się upewnić, ze względu na Oskara.

Zgasił światło i wyszedł z mieszkania.

Zszedł na dół, otworzył drzwi do piwnicy. Jakiś czas temu, kiedy był tu razem z Oskarem, włożył kawałek papieru do zamka, żeby drzwi nie mogły się zatrzaskać. Kiedy teraz ruszył piwnicznym korytarzem, usłyszał, jak drzwi zamknęły się za nim z głuchym łoskotem.

Zatrzymał się, nasłuchiwał. Nic.

Nie słyszał niczyjego oddechu, czuł jedynie intensywny zapach rozpuszczalnika. Szybkim krokiem ruszył korytarzem do piwnicznego schowka, otworzył drzwi.

Pusto.

Do świtu zostało jeszcze dwadzieścia minut.

W nocy Tommy budził się i po chwili znów zapadał w drzemkę; dręczyły go koszmary. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, kiedy w końcu zaczął dochodzić do siebie. Goła piwniczna żarówka cały czas świeciła tak samo. Może switało, może był już ranek, może dzień. Może powinien być teraz w szkole. Było mu wszystko jedno.

Na wargach czuł smak kleju. Rozejrzał się. Na jego piersi leżały dwa banknoty. Dwa tysiące. Zgiął rękę, żeby po nie sięgnąć, i poczuł, że ciągnie go skóra. W zgięciu ręki miał przyklejony duży plaster, zobaczył małą kroplę krwi.

Ale przecież było coś... jeszcze...

Odwrocił się, pomacał pod poduszką i znalazł zwitek, który zgubił w nocy. Trzy tysiące. Rozwinął banknoty i położył obok tych, które znalazł na swojej piersi; szeleściły mu w palcach. Pięć tysięcy. Zastanawiał się, co z nimi zrobi.

Zerknął na plaster i zaczął się śmiać. Niezłe pieniądze za to, że na chwilę zamknie się oczy.

Niezłe pieniądze za to, że na chwilę zamknie się oczy.

Gdzieś to już słyszał. Ktoś to powiedział, ktoś...

Przypomniał sobie. Siostra Tobbego. Jak ona ma na imię... Ingela? Puszczą się, tak twierdził Tobbe. Dostawała za to pięć stów, a Tobbe skomentował to:

- Niezłe pieniądze za to... że na chwilę zamknie się oczy.

Tommy ścisnął banknoty w dłoni, zmiął je w kulę. Zapłacała mu, bo pozwolił jej napić się jego krwi. Mówiła, że to jakaś choroba. Ciekawe jaka? W życiu o takiej nie słyszał. Jeśli ktoś był chory, to szedł do szpitala, a nie... Nie do piwnicy z pięcioma tysiącami w garści i... szast-prast!

No nie?

Tommy usiadł, zdjął z siebie koc.

Takie rzeczy nie istniały. Wampiry? Możliwe, że dziewczyna w żółtej sukience ubzdurała sobie, że... ale chwileczkę. A ten morderca, którego wszyscy szukają...

Tommy oparł głowę o dłonie; słyszał w uszach szelest banknotów. Coś się nie zgadzało. W każdym razie na pewno cholernie się bał dziewczyny.

Zastanawiał się, czy nie powinien wrócić na górę do mieszkania, nawet jeśli wciąż jeszcze była noc, kiedy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi do klatki. Serce trzepotało mu w piersi jak przestraszony ptak; rozejrzał się dookoła.

Musi mieć jakąś broń.

Pod ścianą stała szczotka. Kąciaki ust uniosły mu się w uśmiechu, który jednak trwał zaledwie sekundę.

Szczotka była dobrą bronią przeciwko wampirom.

Nagle wszystko sobie przypomniał, wstał i wyszedł ze schowka, pieniądze wsunął do kieszeni spodni. Szedł korytarzem, usłyszał, jak otwierają się drzwi do piwnicy i ukrył się w schronie. Nie odważył się zamknąć drzwi z obawy, że ona to usłyszy.

Ukucnął w ciemnościach; starał się oddychać najciszej, jak mógł.

Na podłodze błysnęła żyletka. Jeden brzeg był brązowy, jakby zardzewiały. Eli oderwał kawałek strony jakiegoś pisma motoryzacyjnego, zawinął w niego żyletkę i wsadził do tylnej kieszeni.

Tommy zniknął, co znaczyło, że żyje. Opuścił piwnicę o własnych siłach, poszedł do domu spać i nawet jeśli zacznie coś podejrzewać, to przecież nie wie, gdzie Eli mieszka.

Wszystko jest w porządku. Wszystko jest... świetnie.

Oparta o ścianę stała szczotka na długim kiju.

Eli wziął ją, złamał kij na kolanie, tuż przy szczotce. Ostro zakończone końce były poszarpane. Wziął do ręki długi, cienki kij. Dotknął szpikulcem klatki piersiowej między dwoma zębami. Dokładnie w miejscu, które kiedyś wskazała mu kobieta.

Wziął głęboki wdech; ścisnął w rękę kij i czekał.

Wbij go! Wbij!

Wypuścił powietrze, poluzował chwyt. Znów ścisnął i powoli zaczął naciskać.

Dwie minuty trzymał czubek kija centymetr od serca. Wciąż ścisnął go w rękę, kiedy nagle usłyszał, że klamka opada i drzwi się otwierają. Cofnął rękę i zaczął nasłuchiwać. Powoli wyszedł na korytarz. Poruszał się ostrożnie jak dziecko, które właśnie nauczyło się chodzić. Bardzo duże dziecko, które niedawno nauczyło się chodzić.

Tommy usłyszał kroki. Kto to mógł być? Zaczął się zastanawiać.

Nie Staffan, nie Lasse, nie Robban. Ktoś chory, ktoś, kto dźwigał jakiś duży ciężar. Święty Mikołaj! Dłoń powędrowała do ust, żeby zdławić chichot: wyobraził sobie Świętego Mikołaja w wersji disneyowskiej.

- Hohoho! Powiedz: mama! - mówił Święty Mikołaj, sunąc chwiejnym krokiem przez piwniczny korytarz z nieistniejącym workiem na plecach.

Tommy czuł drzenie warg pod dłonią zagryzł zęby, żeby nie szczękały. Kucnął i krok po kroku zaczął posuwać się do drzwi. Uderzył plecami o róg ściany, zobaczył, jak coś zasłoniło promień światła w szparze pod drzwiami.

Święty Mikołaj stanął zapewne między lampą a schronem. Tommy zakrył usta drugą dłonią, żeby nie krzyknąć; czekał, aż drzwi się otworzą.

Nie ma dokąd uciec.

Przez szpary w drzwiach widać było kontur ciała Håkana, jakby narysowany przerywaną linią. Eli wyciągnął kij najdalej jak mógł i dotknął drzwi, które uchyliły się o jakieś dziesięć centymetrów. Więcej nie mogły, bo po drugiej stronie ktoś stał i je blokował.

Jakaś ręka chwyciła za krawędź skrzydła i szarpnęła tak, że uderzyło o ścianę, jeden zawias się urwał. Skrzydło się przechyliło i - wisząc na jednym zawiasie - uderzyło w ramię ciała, które teraz wypełniło framugę.

Czego ode mnie chcesz?

Jasnoniebieskie palmy wciąż jeszcze były widoczne na koszuli, która okrywała ciało do kolan. Reszta była brudną masą ziemi i gliny, plamami czegoś, co nos Eliego zidentyfikował jako krew: zwierzęca, może ludzka. W wielu miejscach koszula była podarta, przez dziury prześwitywała biała skóra i zardrapania, które miały się już nigdy nie zagoić.

Twarz się nie zmieniała. Niezdarnie ukształtowany nos, grudka nagiego mięsa i jedno oko, jakby dodane dla żartu; wisienka, którą ozdobiono zepsute ciastko. Usta były otwarte.

Czarna dziura w dolnej połowie twarzy. Nie było warg, które mogłyby osłonić zęby, które teraz białeły obnażone: biały wianuszek, który sprawiał, że czarna dziura wydawała się jeszcze bardziej czarna. Nagle powiększyła się, zwężyła i wydostało się z niej:

- Eeeiiiij.

Nie wiadomo, czy miało to znaczyć „hej”, czy „Eli”, ponieważ „J” czy też „L” wypowiedziane zostało bez użycia warg czy języka. Eli skierował kij w stronę serca Håkana i powiedział:

- Hej.

Czego chcesz?

Żywy trup. Eli nic o nich nie wiedział. Nie miał pojęcia, czy „to”, co przed nim stoi, podlega takim samym ograniczeniom, jak on. Czy, niszcząc jego serce, cokolwiek osiągnie. To, że Håkan nadal stał na progu, zdawało świadczyć o jednym, że potrzebował zaproszenia.

Żrenica Håkana przesuwała się w górę i w dół po ciele Eliego, który w swojej cienkiej żółtej sukience czuł się bezbronny. Żałował, że nie ma na sobie innego ubrania, że praktycznie nic nie dzieli go od Håkana. Ostrożnie skierował kij w stronę jego klatki piersiowej.

Czy on coś czuje? Czy czuje... strach?

Nagle on sam doświadczył niemal zapomnianego już uczucia strachu przed bólem. Wiedział, że rany na jego ciele szybko się goją, ale od Håkana biła tak nieślychana siła, że poczuł się zagrożony.

- Czego chcesz?

Rozległ się przeciągły charczący dźwięk, kiedy postać wypuściła powietrze, z podwójnej dziury w miejscu, gdzie kiedyś był nos, poleciała żółtawa ciecz. Dało się słyszeć - westchnienie? - potem szept: „Eeejjj...”. Jedną ręką wykonała szybki ruch, jak małe dziecko, i sięgnęła do rąbka koszuli. Uniosła ją.

Członek Håkana sterczał sztywny, domagając się uwagi. Eli przyglądał się siatce żyłek napęczniałych od krwi...

Czy to możliwe... że zawsze taki był...?

- Eeejjjjlll...

Szybkie, gwałtowne ruchy. Dłoń Håkana odciągała napletek, ukazała się żołądź, znikła, po chwili znów się pojawiła i znów znikła, jak głowa człowieka, wyskakującego z pudełka, aż w końcu rozległ się przeciągły krzyk rozkoszy, a może cierpienia?

- Eeee...

Eli roześmiał się z poczuciem ulgi.

Tyle zachodu. Żeby trzepać konia.

Postać stała nieruchomo, jakby nie była zdolna się ruszyć, aż... aż...

Czy on jest w stanie zaznać rozkoszy? Czy może zostanie tu tak już na zawsze?

Eliemu stanęła przed oczami obsceniczna lalka nakręcana kluczykiem: mnich, podnoszący habit i onanizujący się tak długo, aż sprężyna znów się zwinęła.

Klik-klik-klik

Roześmiał się. Pochłonięty idiotyczną sceną nie zauważył, kiedy Håkan zrobił krok i wszedł do pomieszczenia, nieproszony. Nie zauważył niczego, aż dłoń, zajęta przed chwilą próbą wykrzesania nieosiągalnej rozkoszy, zawisła nad jego głową.

Nagły spazm, dłoń opadła i wylądowała na uchu Eliego z siłą, która mogłaby zabić konia. Poczuł, jak pęka mu skóra, pół ucha zostało niemal oddarte od głowy. Eli upadł i uderzył głową o betonową podłogę, rozległ się głuchy huk.

Kiedy Tommy zrozumiał, że „to”, co stało w korytarzu, wcale nie zamierzało wejść do schronu, odjął dłonie od ust. Siedział wciśnięty w kąt i nasłuchiwał, próbował zrozumieć, co się wydarzyło.

Głos dziewczynki.

- Hej. Czego chcesz?

A potem śmiech. I za chwilę ten drugi głos. Inny, jakby w ogóle nie głos człowieka. A potem głucho uderzenia, odgłos padających ciał.

Teraz znów coś tam się przemieszczało. Ktoś ciągnął coś po podłodze. Tommy bynajmniej nie miał ochoty dochodzić, co tam się działo. Hałas na szczęście zagłuszyły dźwięki, które wydawał, usiłując wstać. Przesuwał się po omacku wzdłuż ściany, aż znalazł ustawione jeden na drugim kartony.

Serce waliło mu jak młotem, ręce drżały. Nie miał odwagi zapalić zapalniczki, zamknął oczy, żeby lepiej się skoncentrować, macał dłonią po omacku po stosie kartonów.

Znalazł to, czego szukał, zacisnął ręce. Strzeleckie trofeum Staffana. Wziął je, trzymał delikatnie, ważył w ręku. Jeśli chwyci za tors strzelca, może użyć figurki jako pałki. Otworzył oczy, widział niewyraźny zarys srebrnego strzelca.

Przyjaciel. Jego mały przyjaciel.

Z figurką przyciśniętą do piersi wrócił do kąta i usiadł; czekał, aż będzie po wszystkim.

Eli czuł, że coś zawładnęło jego ciałem.

Miał wrażenie, że tonie w ciemnościach i próbował wynurzyć się na powierzchnię; jednocześnie jednak czuł, że gdzieś, po drugiej stronie tego czarnego oceanu, coś działo się z jego ciałem.

Czuł ucisk na plecy, ktoś ciągnął go za nogi, wokół nadgarstków zacisnęły się żelazne obręcze. Ręce miał uniesione nad głową, a kręgosłup tak napięty, że miał wrażenie, że zaraz mu pęknie.

Nie dam rady.

Porażający ból wypełnił mu głowę, kiedy jego ciało siłą zostało zgięte w pół jak bela materiału. Miał wrażenie, że ma halucynacje, bo kiedy w końcu przejrzał na oczy, widział wokół jedynie żółć, a za nią, gdzieś w oddali, falujący cień.

Potem przyszło zimno. Jakby po cienkiej skórce jego pośladków ktoś toczył kulę lodu. Coś próbowało w niego wejść, najpierw lekko napierając, potem uderzając z coraz większą siłą. Eli gwałtownie zaczerpnął powietrza, kiedy nagle powiew wiatru unióś materiał sukienki i - zobaczył go.

Håkan leżał na nim. Jego oko wpatrzone było w pośladki Eliego. Dłonie trzymały go za nadgarstki. Nogi Eliego zostały brutalnie zgięte w kolanach i odciągnięte na boki, tak że teraz dotykały ziemi tuż obok jego ramion; Håkan napierał na niego i nagle Eli poczuł, jak ścięgnięta ud pękają niczym zbyt napięte struny.

- Nieceee! - wrzasnął prosto w bezkształtną, pozbawioną wszelkich uczuć twarz Håkana, z którego ust wypływała strużka ciągnącej się śliny. Kilka kropel oderwało się i skapnęło na wargi Eliego. Trupi smak wypełnił mu usta. Jego ręce poleciały na boki, jakby był szmacianą lalką.

Poczuł coś pod palcami. Coś okrągłego. Twardego.

Próbował myśleć, stworzyć wokół siebie otoczkę światła, rodzaj skorupy wewnątrz tej szaleńczej, zasysającej ciemności. I nagle zobaczył tam siebie. W rękę trzymał kołek.

Tak.

Eli ścisnął w dłoni kij od szczotki, zacisnął palce, jakby chwycił się ostatniej deski ratunku, podczas gdy Håkan nadal napierał, próbując w niego wtargnąć.

Szpic kija. Musi być z właściwej strony.

Odwrocił głowę, sprawdził, czy jest zwrócony tak, jak trzeba.

Ma szansę.

W głowie Eliego panowała cisza, próbował wyobrazić sobie, jak powinien to zrobić. A potem to zrobił. Jednym ruchem unióś kij i zamachnął się nim z całej siły, celując w twarz Håkana.

Musnął ręką własne udo, kij unióś się w powietrzu i zatrzymał się kilka centymetrów od twarzy Håkana. Ze względu na położenie swojego ciała Eli nie mógł dosięgnąć dalej.

Nie udało mu się.

Przez sekundę miał nadzieję, że może uda mu się nakazać własnemu ciału, żeby umarło. Gdyby mógł odciąć wszystkie...

W tym momencie Håkan opuścił głowę i ponownie na niego naparł. Rozległo się lekkie klasknięcie, jakie wydaje łyżka zanurzana w kaszy, i czubek kija wszedł w oko Håkana.

Håkan nawet nie krzyknął. Możliwe, że w ogóle nic poczuł. Najwyraźniej jednak zdziwienie, że nagle przestał widzieć, sprawiło, że poluzował swój chwyt. Eli, nie czując już bólu zerwanych ścięgien, oswobodził stopy i kopnął go z całej siły w pierś.

Lekkie klasknięcie. Håkan upadł do tyłu. Eli podciągnął nogi i uklęknął; jego ciało przeszył zimny ból. Okazało się jednak, że Håkan wcale nie upadł, tylko odchylił się nieco do tyłu, już po chwili wrócił do swojej dawnej pozycji jak elektryczna lalka w Domu Duchów w wesołym miasteczku.

Kłęczeli naprzeciwko siebie.

Kij wbijał się coraz głębiej w oko Håkana, wchodził w nie z dużą precyzją kawałek po kawałku, przeszedł na drugą stronę, wypadł, uderzył o podłogę. Z dziury zaczął się sączyć przezroczysty płyn, poleciały łzy.

Żaden z nich się nie ruszył.

Płyn z oka Håkana kapał na jego nagie uda.

Eli skupił całą swoją siłę w prawym ręku, zacisnął pięść. Kiedy ramię Håkana drgnęło, próbując ponownie go chwycić, wbił pięść w pierś Håkana.

Rozległ się trzask łamanych żeber, słysząc było, jak pęka skóra.

Głowa Håkana schyliła się, patrzyła, jak Eli szuka czegoś w jego klatce piersiowej i znajduje. Serce. Zimna, miękka grudka. Nieruchoma.

Ono nie żyje. Ale przecież...

Eli zmiażdżył je w dłoni. Poddało się zbyt łatwo, jak martwa meduza.

Håkan niemal nie zareagował, jakby to był drobiazg, mucha, która usiadła na jego ręku. Unióś dłoń, żeby pozbyć się natręta, ale zanim zdołał chwycić rękę Eliego, ten zdążył już wyciągnąć ją z jego klatki piersiowej; resztki zmiażdżonego serca przeciekały mu przez palce.

Musi się stąd wydostać.

Eli chciał wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Håkan posuwał się w ciemnościach, macał przed sobą dłońmi, szukał go. Eli położył się na brzuchu i zaczął pełzać, ciągnął kolanami po betonie. Håkan odwrócił głowę w stronę, skąd doszło go szuranie; wyciągnął ręce, chwycił za sukienkę i - zanim Eli zdążył dotrzeć do wyjścia - pociągnął za rękaw.

Håkan kierował się do drzwi.

Eli wiedział, że ma zaledwie kilka sekund. Próbował nakazać swoim obojętnym członkom, żeby zagoiły się na tyle, by mógł stanąć, ale jego nogi nadal były tak słabe, że nie chcąc upaść, musiał wspierać się o ścianę.

Dotknął drewnianej ściany, drzazgi nierówno oheblowanych desek raniły opuszki jego palców. Teraz już wiedział. Håkan, nawet pozbawiony serca i oczu, nadal będzie go prześladował aż do... do...

Musi... musi... go... zniszczyć.

Czarna kreska.

Pionowa czarna kreska przed jego oczami. Wcześniej jej nie było. Eli zrozumiał, co musi zrobić.

- Aaaaa!

Ręka Håkana chwytająca krawędź drzwi, jego ciało w piwnicznym korytarzu; dłoń błędząca po omacku. Eli przywarł plecami do ściany; czekał na odpowiedni moment.

Håkan wyszedł, poruszał się niepewnie, zatrzymał na wprost Eliego. Nasłuchiwał, jakby węszył.

Eli pochylił się i jego ręce znalazły się na wysokości ramienia Håkana.

Nagle się odbił, runął do przodu i z całej siły uderzył w niego.

Udało się.

Håkan się zachwiał, zrobił krok do tyłu i upadł na drzwi schronu. Szpara, którą Eli widział jako czarną kreskę, powiększyła się, kiedy drzwi się otworzyły i wtoczył się Håkan, macając wokół rękami. Nagle Eli się potknął i poleciał do przodu, na szczęście udało mu się wyhamować i nie upadł; wyciągnął rękę i chwycił dolną część koła, którym zamykało się drzwi.

Håkan leżał nieruchomo na podłodze. Eli przekręcił koło, zamknął drzwi. Zaczął pełzać po podłodze, znalazł kij, którym dodatkowo zablokował koło, żeby nie można było otworzyć drzwi od wewnątrz.

Całą swoją uwagę skoncentrował teraz na tym, żeby jego ciało zaczęło się goić. Próbował wydostać się z piwnicy. Pełzał, zostawiając na podłodze strużkę krwi, która sączyła się z jego ucha. Kiedy dotarł do drzwi, jego ciało zregenerowało się na tyle, że mógł wstać. Naparł na drzwi, otworzył je i chwiejnym krokiem ruszył na górę po schodach.

Odpocząć Odpocząć Odpocząć

Otworzył drzwi od klatki i wyszedł na zewnątrz. Stał w świetle latarni obolały, poniżony. Na horyzoncie widać było już wschodzące słońce.

Odpocząć Odpocząć Odpocząć

Najpierw jednak musiał - doprowadzić do zagłady. Był tylko jeden skuteczny sposób. Ogień. Chwiejnym krokiem opuścił podwórze, kierując się do miejsca, gdzie wiedział, że znajdzie to, czego teraz potrzebował.

7.34, PONIEDZIAŁEK RANO, BLACKEBERG

W sklepie sieci ICA przy Arvid Mörnes Väg włącza się alarm. Policjanci, którzy przybyli jedenaście minut później, znaleźli rozbity szybę. Na miejscu był też mieszkający tuż obok właściciel sklepu. Zeznał, że ze swojego okna widział wybiegającego ze sklepu bardzo młodego, ciemnowłosego chłopca. Przeszukano sklep, nie stwierdzono, żeby cokolwiek zginęło.

Szpitalne żaluzje przepuszczały znacznie mniej światła niż żaluzje w jej mieszkaniu. Tylko w jednym miejscu uszkodzone blaszki wpuszczały cienki promień porannego światła, które zostawiało szarą kreskę na ciemnym suficie.

Virginia leżała sztywno wyprostowana na łóżku i przyglądała się szarej kresce, która zaczęła drzeć, kiedy powiew wiatru szarpnął oknem. Odbicie słabego światła wzbudziło w niej lekką irytację jak maleńkie ziarenko piasku w oku.

Lacke chrapał i pochrząkiwał w łóżku obok. Długo nie mogli zasnąć, leżeli i rozmawiali. Głównie wspominali. Około czwartej nad ranem Lacke w końcu zasnął, z jej dłońią w swojej.

Oswobodziła rękę, kiedy godzinę później przyszła pielęgniarka, żeby zbać jej ciśnienie. Było w normie, więc wyszła zadowolona, zerkając niemal z czułością na Lackego. Virginia słyszała, jak Lacke nalegał, by pozwolono mu zostać, słyszała jego prośby. Pewnie dlatego to czułe spojrzenie.

Virginia leżała teraz z rękami skrzyżowanymi na piersiach, walczyła z własnym ciałem, które chciało się - wyłączyć. Zasnąć nie było chyba odpowiednim określeniem. Jak tylko przestawała się koncentrować, oddech ustawał. A ona nie mogła sobie na to pozwolić.

Miała nadzieję, że pielęgniarka przyjdzie ponownie, zanim Lacke się obudzi. Najlepiej byłoby, gdyby mógł wszystko po prostu przespać.

Ale nie sądziła, że to się uda.

Słońce dogoniło Eliego, kiedy wychodził z bramy. Jakby ktoś rozżarzonymi obcęgami dotknął jego nadszarpniętego ucha. Cofnął się instynktownie, przyciskając do piersi trzy plastikowe butelki benzyny na podpałkę, jakby chciał także i je chronić przed słońcem.

Dziesięć kroków dzieliło go od jego klatki. Dwadzieścia od klatki Oskara. I trzydzieści od klatki Tommy'ego.

Nie da rady.

Nie. Gdyby był zdrowy i silny, może zdobyłby się na odwagę i próbował dotrzeć do klatki Oskara mimo słońca, które z każdą sekundą grzało coraz mocniej. Ale nie do klatki Tommy'ego. I na pewno nie w tej chwili.

Dziesięć kroków. Potem jeszcze schody. Duże okno na klatce. A jeśli się potknę... Jeśli słońce...

Eli zaczął biec.

Słońce zaatakowało go, wbiło w jego plecy swoje pazury jak wygłodniały lew. Eli niemal stracił równowagę, kiedy potężna siła słonecznych promieni pchnęła go do przodu. Przyroda okazywała mu swoje niezadowolenie: popełnił przestępstwo, kiedy odważył się wyjść na światło dzienne.

Skóra na jego plecach skwierczała jak smażący się olej, kiedy wreszcie dotarł do klatki i szarpnięciem otworzył drzwi. Niewiele brakowało, a zemdlałby z bólu. Szedł po schodach, jakby był naćpany, po omacku, bojąc się otworzyć oczy, żeby się nie roztopiły.

Upuścił jedną z butelek; słyszał, jak toczy się po podłodze, ale nie mógł nic zrobić. Stał z pochyloną głową, trzymając pozostałe butelki mocno jedną ręką, drugą trzymał się poręczy. Szedł na górę, dotarł do podestu. Zostało mu jeszcze jedno piętro.

Przez okno promienie słońca po raz ostatni uderzyły go swoją łapą w kark, kąsały go, gryzły w uda, w łydki, w stopy, kiedy szedł na górę po schodach. Eli czuł, że płonie. Brakowało tylko płomieni. Otworzył drzwi, wpadł w błogą, chłodną ciemność mieszkania. Zatrzasnął za sobą drzwi. Nagle okazało się, że wewnątrz wcale nie jest ciemno.

Drzwi do kuchni były otwarte, znikły koce z okien. Światło, które przez nie wpadało, było jednak słabsze i bardziej szare niż to, na które przed chwilą był wystawiony. Nie zastanawiając się, postawił butelki na podłodze i ruszył w głąb mieszkania. Promienie światła dotykały łagodnie jego pleców, kiedy przemykał się korytarzem do łazienki, czując w nozdrzach swąd spalonego mięsa.

Nigdy już się nie zagoję.

Wyciągnął rękę, otworzył drzwi do łazienki i wszedł w całkowitą ciemność. Odsunął kilka plastikowych pojemników, zamknął za sobą drzwi.

Zanim wszedł do wanny, zdążył jeszcze pomyśleć:

Nie zamknąłem drzwi do mieszkania.

Ale było już za późno. Zanurzył się w ciemności i ogarnął go błogi spokój. Zresztą nie miał siły.

Tommy siedział cicho, wciśnięty w kąt. Wstrzymywał oddech tak długo, aż poczuł szum w uszach, a przed oczami pokazały mu się gwiazdy. Dopiero kiedy usłyszał, że drzwi od piwnicy się zamykają, odważył się wypuścić powietrze z płuc; głębokie westchnienie odbiło się jękiem od ścian.

Panowała całkowita cisza. Ciemność była tak nieprzenikniona, że czuło się jej ciężar.

Podniósł dłoń do oczu. Nic. Żadnej różnicy. Pociągnął ręką po twarzy, żeby upewnić się, czy wciąż jeszcze istnieje. Dotykał palcami nosa, warg. Były jakby nierzeczywiste. Chwilę drżały pod opuszkami jego palców i zniknęły.

Figurka, którą trzymał w drugim ręku, wydała mu się bardziej żywa, bardziej rzeczywista niż on sam. Ścisnął ją mocniej, jakby się jej trzymał.

Tommy siedział z głową między kolanami; zamknął oczy, zatkał rękami uszy, żeby nie widzieć ani nie słyszeć tego, co działo się w schowku. Miał wrażenie, że dziewczynka została zamordowana. A on nie był w stanie, a on nie

odważył się jej pomóc. Próbował wyprzeć zdarzenie ze swojej świadomości, dlatego zniknął.

Był znów ze swoim tatą. Na boisku, w lesie, na basenie. W końcu zdecydował się na wspomnienie wyprawy na łąki w Räcksta, gdzie kiedyś razem puszczały samolot sterowany falami radiowymi, który tata pożyczył od znajomego w pracy.

Mama była z nimi przez chwilę, ale samolot, który jedynie zataczał kolejne kółka w powietrzu, szybko zaczął ją nudzić, więc wróciła do domu. On i tata zostali aż do zmroku, kiedy samolot był już ledwie widoczną kreską na różowym wieczornym niebie. Potem, trzymając się za ręce, wracali razem do domu przez las.

Tommy tkwił we wspomnieniu tamtego dnia, odcinając się od krzyków i szaleństwa, rozgrywającego się zaledwie kilka metrów od niego. Słyszał głośny, gniewny szum silnika, czuł na plecach ciepło dużej ojcowskiej dłoni, kiedy nerwowo manewrował samolotem nad łąką i cmentarzem.

Wówczas Tommy jeszcze nigdy nie był na cmentarzu. Wyobrażał sobie jedynie ludzi krążących bez celu między grobami, płaczącymi wielkimi łzami, które z głośnym pluskiem uderzały o kamienie. To było wtedy. Potem umarł tata i Tommy przekonał się, że cmentarz najczęściej wygląda zupełnie inaczej.

Przycisnął ręce mocniej do uszu, nie chciał o tym myśleć; chciał wrócić do drogi przez las, poczuć zapach benzyny w małej butelce, przypomnieć sobie...

Dopiero kiedy usłyszał przekręcanie zamka, odjął ręce od uszu i rozejrzał się. Bez sensu, ponieważ w schronie było, o ile to możliwe, jeszcze ciemniej niż w próżni pod jego powiekami. Wstrzymał oddech. Słyszał, jak kolejna zapadka zamka trafia na swoje miejsce; bał się odetchnąć, dopóki osoba, czy cokolwiek to było, wciąż znajdowała się w piwnicy.

Usłyszał daleki trzask zamykanych drzwi, poczuł drzenie ścian. Wtedy odetchnął; wiedział, że przeżył.

Nie dopadł mnie.

Dokładnie kim był ten on, tego nie wiedział, ale ktokolwiek to był, nie zauważył go.

Tommy wstał, rozprostował się. Ruszył niepewnym krokiem wzdłuż ściany do drzwi, poczuł mrowienie obolałych mięśni nóg. Dłonie miał spocone ze strachu i od przyciskania do uszu; figurka wyślizgiwała mu się z dłoni.

Wolną ręką odnalazł koło, zaczął je przekręcać.

Przesunęło się kawałek i zatrzymało się.

Co to znaczy...

Nacisnął mocniej, ale koło nie chciało się dalej przesunąć. Tommy puścił figurkę, żeby chwycić je obiema rękami; figurka upadła na podłogę. Usłyszał głucho uderzenie.

Znieruchomiał.

Dźwięk wydał mu się dziwny. Jakby figurka trafiła na coś - miękkiego...

Podszedł na kuckach do drzwi; spróbował odkręcić dolne koło. To samo. Dziesięć centymetrów i stop. Usiadł na podłodze. Próbował myśleć praktycznie.

Do diabła, ma tu zostać na zawsze...

No cóż.

Nagle do gardła zaczął podchodzić mu strach, podobny do tego, który czuł przez kilka miesięcy po śmierci ojca. Potem zniknął, ale teraz, kiedy Tommy siedział zamknięty w ciemnościach, znów dał o sobie znać. Śmierć sprawiła, że jego miłość do ojca zamieniła się w strach przed nim. Przed jego ciałem.

Poczuł jak gula rośnie mu w gardle, jak sztywnieją mu palce.

Musi myśleć! Teraz musi myśleć!

Na półce po drugiej stronie były świece. Problem polegał na tym, jak tam się dostać po ciemku.

Idiota!

Uderzył się w czoło i zaczął się śmiać. Przecież miał zapalniczkę. Poza tym jaki sens miało szukanie świeczek, jeśli nie miałyby ich czym zapalić?

Jak ten czubek, co miał tysiąc puszek z jedzeniem, ale nie miał otwieracza. I umarł z głodu.

Zaczął szukać w kieszeni. Doszedł do wniosku, że jego sytuacja wcale nie jest taka beznadziejna. Prędzej czy później ktoś w końcu zejdzie do piwnicy, mama na pewno to zrobi, więc jeśli tylko będzie miał światło...

Wyrzebał z kieszeni zapalniczkę, zapalił.

Płomień oslepił go. Jego oczy zdążyły już przywyknąć do ciemności, po chwili jednak przystosowały się do nowych warunków i wtedy zobaczył, że nie jest sam.

Wyciągnięty na podłodze, tuż u jego stóp, leżał jego - tata.

Zupełnie zapomniał, że ciało ojca zostało poddane kremacji. Kiedy w migoczącym płomieniu zapalniczki zobaczył twarz nieboszczyka, wyglądała dokładnie tak, jak według niego powinna wyglądać po kilku latach leżenia pod ziemią.

Tata...

Wrzasnął tak, że płomień zgasł, jednak zanim to nastąpiło, zdążył jeszcze zauważyć, że głowa taty jakby się uniosła...

On żyje...

Kiszki opróżniły swoją zawartość do spodni, lekka eksplozja i poczuł ciepło na pośladkach. Potem nogi się po nim ugięły, miał wrażenie, że się rozsypuje, rozpada. Zapalniczka wypadła mu z dłoni, poleciała po podłodze. Jego ręka wylądowała przy nieboszczyku, tuż obok jego zimnych palców u nóg. Poczuł, jak ostre paznokcie wbijają się mu w dłoń. Znów krzyknął.

Nie obciąłeś paznokci, tato?

Nagle zaczął głaskać i pieścić zimną stopę, jakby była zmarzniętym szczeniakiem, potrzebującym pocieszenia. Przesunął dłoń, teraz głaskał gołeń, udo; czuł, jak mięśnie się napinają pod skórą, jak się ruszają, kiedy wydawał z siebie urwane okrzyki jak mała sarenka.

Pod opuszkami palców poczuł metal figurki. Leżała pomiędzy udami nieboszczyka. Chwycił ją, przestał krzyczeć, na chwilę powrócił do rzeczywistości.

Kij.

W ciszy, która nastąpiła po krzyku, usłyszał dziwny kłaskający dźwięk: nieboszczyk uniósł swój tors i jakaś zimna część jego ciała musnęła dłoń Tommy'ego. Cofnął ją i mocniej chwycił figurkę.

To nie jest tata.

Nie. Tommy zaczął się wycofywać; sunąc po podłodze; czuł jak kał klei mu się do pośladków. Przez chwilę wrażenia słuchowe stały się tak dojmujące, że wydawało mu się, że zaczyna widzieć w ciemnościach. Zobaczył, jak ciało się podnosi, patrzył na jego żółtawy zarys przypominający gwiazdę.

Kiedy sunąc stopami po podłodze, dotarł do ściany i oparł się o nią, ciało po drugiej stronie wydało urwany jęk:

- Aaaa...

I Tommy zobaczył...

Małego słońca, małego narysowanego słońca, za którym szedł (tuuuut) duży słoń; obaj mieli wysoko podniesione trąby i trąbili, a za nimi szli Magnus, Brasse i Eva i śpiewali: „Tam! Tutaj? Tam, gdzie...”

Nie, jak to szło...?

Ciało musiało zawadzić o kartony, bo rozległo się głucho uderzenie, a potem łoskot uderzającego o podłogę sprzętu, kiedy Tommy wpadł na ścianę; uderzył o nią głową z takim impetem, że aż zabulgotało mu w czaszce. Mimo hałasu nadal słyszał kłaskanie gołych, sztywnych stóp stających po podłodze.

Tutaj. Jest tam. Tam, gdzie go nie ma. Nie. Tak.

Właśnie. Nie było go tu. Nie widział siebie, nie widział też źródła dźwięków. Więc istniały tylko same dźwięki. Siedział i nasłuchiwał, wpatrując się w ciemny materiał głośnika. To było coś, co nie istniało.

Tutaj. Jest tam. Tam, gdzie go nie ma.

Niewiele brakowało, a zaczęłyby śpiewać na głos. Resztką zdrowego rozsądku podpowiadała mu jednak, że nie powinien tego robić. Szum w jego głowie zaczął cichnąć, zostawiając po sobie pustą przestrzeń, w której z trudem zaczął układać swoje myśli.

Twarz. Twarz.

Nie chciał myśleć o twarzy, nie chciał o niej myśleć...

Coś było nie tak z twarzą, którą zobaczył w płomieniu zapalniczki.

Ciało zbliżyło się. Nie tylko coraz wyraźniej słyszał szurające po podłodze kroki, ale i czuł jego obecność, jak cień ciemniejszy od ciemności.

Zagryzł dolną wargę, aż poczuł w ustach smak krwi; zamknął oczy. Widział jak znikają gdzies, jak dwa...

Jak para oczu...

Ono nie ma oczu.

Lekki powiew, jakby czyjaś dłoń zamachała w powietrzu.

Ślepy. Ono jest ślepe.

Nie był pewien, ale miał wrażenie, że grudka osadzona na ramionach istoty nie miała oczu.

Kiedy dłoń przecięła powietrze, Tommy poczuł, jak lekki powiew muska jego policzek. W ułamku sekundy odwrócił głowę i zobaczył dłoń, która głąskała go po włosach. Tommy rzucił się na brzuch i zaczął pełzać, macając przed sobą rękami, jakby płynął.

Zapalniczka, zapalniczka...

Coś ukuło go w policzek. Poczuł odruch wymiotny, kiedy zrozumiał, że ono dotknęło go paznokciem. Zaczął się turlać, byle dalej od miejsca, gdzie szukały go obce ręce.

Tutaj. Jest tam. Tam, gdzie mnie nie ma.

Coś gotowało się mu w ustach. Próbował to powstrzymać, ale nie udało mu się. Z ust trysnęła ślina, a z jego obolałego od krzyku gardła zaczęły się wydobywać dziwne dźwięki, jakby śmiech, płacz, westchnienia, łkanie. Jego ręce, niczym promienie radaru, nadal szukały tej jednej rzeczy, dzięki której mogłyby zapanować nad ciemnością, która chciała go pochłonać.

Pomóż mi, Panie Boże. Niech Twoje światło... Panie, przepraszam za to, co stało się w kościele, przepraszam - za wszystko. Dobry Boże, zawsze będę w Ciebie wierzył, jeśli tylko... Spraw, żebym znalazł zapalniczkę... Bądź moim przyjacielem, proszę Cię, Panie.

Coś się stało.

W tym samym momencie, w którym Tommy poczuł rękę istoty na swojej stopie, niebieskobiała poświata niczym błysk flesza na ułamek sekundy rozświetliła pomieszczenie; podczas tego ułamka sekundy Tommy dostrzegł porozrzucane kartony, nierówną fakturę ściany i korytarz prowadzący do magazynu.

I zobaczył zapalniczkę.

Leżała zaledwie metr od jego ręki. Kiedy znów zapanowała ciemność, na siatkówce jego oka pozostał obraz zapalniczki. Tommy wyswobodził stopę, wyrzucił do przodu rękę i chwycił zapalniczkę. Wstał, ściskając ją mocno w dłoń.

Nie zastanawiając się, czy przypadkiem nie żąda zbyt wiele, znów zwrócił się do Boga:

Panie Boże, spraw, żeby ono było ślepe. Spraw, żeby było ślepe. Spraw...

Zapalił zapalniczkę. Błysk, podobny do tego przed chwilą, a potem żółty płomień wokół niebieskiego pnia.

Istota stała bez ruchu, przekreśliła głowę w kierunku dźwięku. Płomień zadrgał, kiedy Tommy zrobił dwa kroki w bok i zbliżył się do drzwi. „To” stało teraz tam, gdzie trzy sekundy temu stał Tommy.

Czułby radość, gdyby był w stanie ją odczuwać. W słabym świetle zapalniczki wszystko stało się bezlitośnie rzeczywiste. Nie dawało możliwości ucieczki w fantazję; nie mógł wmówić sobie, że niby go tu nie ma, że nie jemu się to wszystko przytrafiło.

Był zamknięty w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu razem z tym, czego bał się najbardziej. Coś buntowało mu się w żołądku, ale nie miał już co zwracać. Puścił wiatry i istota znów odwróciła głowę w jego stronę.

Wolną ręką Tommy z całej siły próbował odkręcić koło; dłoń, w której trzymał zapalniczkę, zadrżała i światło zgasło. Koło nie poruszyło się; kątem oka Tommy dostrzegł, że istota idzie w jego stronę, odsunął się od drzwi i przywarł do ściany, pod którą przed chwilą siedział.

Pociągał nosem, łkał.

Niech to się skończy. Boże, spraw, żeby to już się skończyło.

I znów zobaczył dużego słonia, który uniósł kapelusz i nosowym głosem powiedział:

- Kiedy to się skończy? Mam zatracić? Tuuu! Koniec!

Ja oszaleję, ja chyba...

Pokręcił głową, ponownie zapalił zapalniczkę. Tuż przed nim, na podłodze leżała figurka. Schylił się, podniósł ją i odskoczył w bok, w stronę przeciwległej ściany. Patrzył, jak istota macha rękami, macając przestrzeń, którą przed chwilą opuścił.

Ciuciubabka.

W jednej ręce trzymał zapalniczkę, w drugiej figurkę. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wydał z siebie jedynie syczący gwizd.

- No, chodź...

Istota posłuchała, odwróciła się i ruszyła w jego stronę.

Uniósł figurkę Staffana jak kij, i - kiedy istota była półtora metra od niego - zamachnął się, celując w jej twarz.

Podobnie, jak kiedy piłkarz strzela rzutem karnym i w chwili kiedy jego stopa dotyka piłki, już wiadomo, że trafi w bramkę, tak Tommy od razu poczuł, że...

Tak jest!

Ostry róg kamiennej podstawki trafił w skroń istoty z taką siłą, że Tommy'ego aż zabolęła ręka, ale triumfował. Po chwili usłyszał, jak czaszka istoty rozpada się na kawałki z trzaskiem podobnym do tego, jaki wydaje pękający na rzece lód. Jakaś zimna ciecz obryzgała mu twarz i istota upadła.

Tommy stał i z trudem łapał powietrze. Patrzył na rozciągnięte na podłodze ciało.

Ma wzwód.

Tak. Z leżącego na podłodze ciała sterczał kutasik, niczym maleńki, na wpół przewrócony kamień nagrobny. Tommy stał i czekał, aż członek zwiotczeje. Ale nie wiotczał. Miał ochotę się roześmiać, ale bolało go gardło.

Tommy poczuł pulsujący ból kciuka. Spojrzał na swoją rękę i zobaczył, że płomień zaczął palić skórę palca, którym trzymał przycisk zapalniczki. Puścił go odruchowo. Ale to niczego nie zmieniło, bo chwycił go skurcz i kciuk nadal naciskał przycisk.

Spróbował ustawić zapalniczkę pod innym kątem. Nie chciał jej zgasić. Nie chciał zostać w ciemności z tym...

Jakiś ruch.

Tommy poczuł, jak coś istotnego, coś, czego potrzebował, żeby pozostać sobą, opuściło go w momencie, kiedy istota znów podniosła głowę i spróbowała wstać.

Słoń balansował na cieniutkiej, cieniutkiej pajęczynie!

Nić pękła. Słoń spadł.

A Tommy uderzył. Raz i potem znów.

Po chwili uznał, że to nawet zabawne.

PONIEDZIAŁEK

9 LISTOPADA

MORGAN PRZESZEDŁ PRZEZ BRAMKĘ, machając biletami miesięcznym, który stracił ważność pół roku temu, podczas gdy Larry sumiennie się zatrzymał, wyciągnął pogniecione bilety i powiedział:

- Na Ångbyplan.

Konduktor zerknął znad książki, którą czytał, i przeciął dwa kartoniki. Morgan roześmiał się, kiedy Larry podszedł do niego i razem zaczęli schodzić ze schodów.

- Po co to robisz?

- Co? Kupuję bilety?

- Tak. Nie musiałeś.

- Nie jestem taki.

- Jaki?

- Nie jestem taki jak ty, okej?

- Daj spokój. Facet siedział i nawet nie spojrzał. Mogłeś zamachać mu przed nosem zdjęciem króla i też by nie zareagował.

- Daj mi spokój. Nie gadaj tak głośno.

- Myślisz, że zaczną nas gonić czy co?

Zanim otworzyli drzwi prowadzące na peron, Morgan złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

- Uwaga! Uwaga! Pasażer na gapę!

Larry pchnął drzwi i zaczął iść peronem. Kiedy Morgan go dogonił, powiedział:

- Wiesz, że to dziecinada?

- Jasne. Powiedz mi jeszcze raz co i jak?

Larry zadzwonił w nocy do Morgana i zdał mu krótką relację z tego, co dziesięć minut wcześniej Gösta powiedział mu przez telefon. Postanowili, że wcześniej rano spotkają się na stacji metra i pojedą do szpitala.

Powtórzył całą opowieść. Virginia, Lacke, Gösta. Opowiedział też o kotach. I o karetkę, w której Lacke towarzyszył Virginii. Ubarwił wszystko kilkoma dodatkowymi szczegółami; nie zdążył skończyć, kiedy na peron wjechały wagoniki metra. Wsiedli i zajęli miejsca przy oknie. Larry zakończył swoją opowieść:

- Odjechali na sygnale.

Morgan pokiwał głową i zaczął skubać paznokcie kciuka. Wyglądał przez okno, kiedy wagonik metra wyjechał z tunelu i zatrzymał się na stacji Islands-torget.

- Co się z nimi stało?

- Z kotami? Nie wiem. Chyba zwariowały.

- Wszystkie? Naraz?

- Tak. Masz jakieś lepsze wytłumaczenie?

- Nie. Cholerne koty. Lacke jest pewnie załamany.

- Tak. Ostatnio nie zawsze był wobec niej w porządku.

- To prawda - westchnął Morgan. - Cholernie mi go żal, naprawdę. Powinniśmy... Sam nie wiem. Coś dla niego zrobić.

- A Virginia?

- Przykra sprawa. Ale jej coś dolega, prawda? Jest chora. Tak po prostu jest. Leży tam i już. A tak siedzieć obok jest cholernie trudno. Sam nie wiem. Ostatnio - o czym on to opowiadał? Jakies bzdury. O wilkołakach?

- O wampirach.

- Właśnie. To świadczy o tym, że nie jest z nim najlepiej.

Metro zatrzymało się przy Angbyplan. Kiedy drzwi się zamknęły, Morgan powiedział:

- No dobrze, to teraz jesteśmy w takiej samej sytuacji.

- Może kanar okaże się bardziej wyrozumiały, jeśli ma się opłacony bilet chociaż na jedną strefę.

- Możesz się tak łudzić, ale nie wiesz.

- Widziałeś, jakie poparcie mają komuniści?

- Tak, ale do wyborów to się zmieni. Jest mnóstwo socjaldemokratów, którzy kiedy przychodzi co do czego, głosują tak, jak im serce dyktuje.

- Tak ci się wydaje.

- Ja to wiem. W dniu kiedy komuniści nie wejdą do parlamentu, zacznę wierzyć w wampiry. Chociaż liberałowie oczywiście też zawsze będą istnieli, Bohman i całe to towarzystwo. To są prawdziwi krwiopijcy.

Morgan zaczął kolejny ze swoich słynnych monologów. Larry przestał go słuchać przy Ákeshov. Przed szklarniami stał samotny policjant i przyglądał się wagonikom metra. Larry poczuł ukłucie niepokoju na myśl o nieskasowanym bilecie, ale przestał się tym martwić, kiedy przypomniał sobie, dlaczego policjant tu stoi.

Gliniarz wyglądał na znudzonego. Larry się rozluźnił. Kiedy pociąg ruszył dalej w stronę Sabbatsbergu, do świadomości Morgana docierały już tylko pojedyncze słowa tyrady Morgana.

Za kwadrans ósma i wciąż żadnej pielęgniarki.

Brudnoszara kreska na suficie zmieniła kolor na jasnoszary; żaluzje przepuszczają wystarczająco dużo światła, żeby Virginia czuła się jak w solarium. Jej ciało było gorące, pulsowało, jednak poza tym nic się nie działo. I nie będzie się działo.

Lacke młaskał obok w łóżku; jakby zuł coś przez sen. Virginia była gotowa. Gdyby mogła nacisnąć guzik i wezwać pielęgniarkę, zrobiłaby to. Ale miała unieruchomione ręce i nie mogła się ruszyć.

Więc czekała. Skóra piekła ją coraz bardziej, ale to było jeszcze do wytrzymania. Więcej wysiłku wymagała walka ze snem. Chwila nieuwagi i oddech zanikał; zanikała też świadomość, jakby w kolejnych komórkach jej mózgu w zawrotnym tempie gasło światło. Musiała bardzo się starać, żeby oczy same jej się nie zamknęły, potrzęsała gwałtownie głową.

Ta bezustanna koncentracja była jednak także błogosławieństwem, bo zwalniała ją z myślenia. Całą energię koncentrowała na tym, żeby nie zasnąć. Nie miała siły rozmyślać, żałować, zastanawiać się.

Punkt ósma weszła pielęgniarka.

Kiedy otworzyła usta, żeby powiedzieć „Dzień dobry!”, czy co pielęgniarki zwykle rano mówią pacjentom, Virginia wyszczała:

- Ciiii!

Pielęgniarka zamknęła usta zdziwiona. Zmarszczyła brwi i ruszyła w stronę łóżka Virginii, pochyliła się nad nią i znów zaczęła:

- No więc jak pani...

- Ciii... - wyszczała Virginia. - Przepraszam, ale nie chcę, żeby się obudził - powiedziała, wskazując ruchem głowy na Lackego.

Pielęgniarka skinęła głową i odezwała się już ciszej:

- Rozumiem, ale muszę zmierzyć temperaturę i pobrać krew do analizy.

- Dobrze. Można go stąd wywieźć?

- Wywieźć... Mam go obudzić?

- Nie. Ale gdyby można go wywieźć teraz, kiedy śpi.

Pielęgniarka spojrzała na Lackego, jakby się zastanawiała, czy prośba Virginii jest możliwa z praktycznego punktu widzenia, po czym uśmiechnęła się, pokiwała głową i powiedziała:

- Pewnie tak. Ale zmierzę pani temperaturę w ustach, więc...

- Nie chodzi o to. Mogłaby pani zrobić to, o co proszę?

Pielęgniarka zerknęła na zegarek.

- Przepraszam, ale mam też innych pacjentów...

Virginia wyszczała tak głośno, jak tylko się odważyła:

- Proszę!

Pielęgniarka zrobiła pół kroku do tyłu. Najwyraźniej była poinformowana o tym, co tu się wydarzyło w nocy. Jej wzrok powędrował do rzemyków, którymi skrępowane były dłonie Virginii. Widok ten najwyraźniej ją uspokoił, bo znów podeszła do łóżka. Zaczęła mówić do niej, jakby Virginia była niespełna rozum.

- Bo widzi pani - ja - to znaczy my jesteśmy tu po co, żeby pomóc ludziom wyzdrowieć...

Virginia westchnęła i zamknęła oczy, poddała się. Po chwili powiedziała:

- Może pani podciągnąć żaluzje?

Pielęgniarka skinęła głową i podeszła do okna. Virginia wykorzystała ten moment, żeby skopać z siebie kołdrę i leżała teraz obnażona na łóżku. Wstrzymała oddech. Zamknęła oczy.

To koniec. To musi się wreszcie stać. Cały ranek walczyła, żeby zachować swoje funkcje życiowe, a teraz świadomie próbowała je odciąć. Niestety nie była w stanie. Doświadczyła natomiast tego, o czym często słyszała: przed oczami zaczęły jej się pokazywać sceny z całego jej życia, jak na filmie.

Ptaszek, którego kiedyś trzymała w pudełku... zapach świeżo wymaglowanych prześcieradeł w pralni... mama zbierająca okruszki bułeczek z cynamonem... tata... dym unoszący się z jego fajki... Per... domek w lesie... ja i Lena, i ogromna kura, którą obie znalazły w lesie... Ted z jagodami rozsmarowanymi na policzkach... Lacke, jego plecy... Lacke...

Usłyszała szelest podciąganych żaluzji i poczuła, jak pochłania ją morze ognia.

Parę minut po siódmej mama obudziła Oskara, jak zwykle. Wstał, zjadł śniadanie, jak zwykle. Ubrał się i około wpół do ósmej powiedział mamie „cześć”, jak zwykle.

Czuł się normalnie, jak zwykle.

Co prawda nieco się niepokoił, miał jakieś złe przeczucia. Ale to nie było nic nadzwyczajnego; często tak się czuł, kiedy po weekendzie wracał do szkoły.

Włożył do tornistra podręcznik do geografii, atlas i kartkę z nieodrobionym zadaniem domowym. Pięć minut po wpół do ósmej był gotów. Musiał wyjść za kwadrans ósma. Może powinien dokończyć zadanie? Nie miał siły.

Usiadł przy biurku i zaczął wpatrywać się w ścianę.

Chyba jednak nie został zarażony. A może jest jakiś okres inkubacji? Nie, tamten facet zachorował w ciągu kilku godzin.

Nie jestem zarażony.

Powinien się cieszyć, czuć ulgę. A on nie czuł nic. Zadzwoił telefon.

Eli! Coś się stało z...

Odskoczył od biurka, wybiegł do przedpokoju, chwycił słuchawkę.

- CześćmówiOskar!

- Witaj...

Tata. To był tylko tata.

- Cześć.

- Jesteś... w domu.

- Właśnie wychodzę do szkoły.

- Więc nie będę... Mama jest w domu?

- Nie, wyszła już do pracy.

- Tak myślałem.

Oskar rozumiał, o co ojcu chodzi. Dzwonił o tak dziwnej porze, bo wiedział, że mamy nie ma w domu. Tata odchrząknął.

- Bo wiesz, w sobotę... tak niefortunnie się złożyło.

- Tak.

- Właśnie. Powiedziałaś mamie, co się stało?

- A jak myślisz?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Słysząc było jedynie szum dziesiątek kilometrów kabli telefonicznych, na których siedziały wrony, podczas gdy rozmowy ludzi mknęły pod ich pazurami. Tata znów chrząknął.

- Rozmawiałem o tych łyżwach. Tak jak sądziłem, możesz je wziąć.

- Muszę już iść.

- Tak, oczywiście. Trzymaj się, powodzenia w szkole.

- Cześć.

Oskar odłożył słuchawkę, wziął tornister i wyszedł.

Nic nie czuł.

Do lekcji zostało jeszcze pięć minut, więc część uczniów stała przed klasą. Oskar zawahał się chwilę, ale zarzucił tornister na plecy i ruszył do klasy. Oczy wszystkich były zwrócone na niego.

Zbiegowisko. Tłum.

Obawiał się najgorszego. Wszyscy oczywiście wiedzieli już, co w czwartek przytrafiło się Jonny'emu. Wśród grupy uczniów przed klasą nie widział co prawda twarzy Jonny'ego, ale w piątek Micke na pewno przekazał im własną

wersję wydarzenia. Teraz też tu był, stał i patrzył na niego z tym swoim głupkowatym uśmiechem.

Zamiast zwołnić kroku, przygotować się do ucieczki, Oskar przyspieszył; szybkim krokiem zbliżał się do klasy. W środku czuł pustkę. Było mu wszystko jedno, co się stanie. To nie było ważne.

I nagle zdarzył się cud. Morze się rozstąpiło.

Grupa przed klasą rozproszyła się i Oskar mógł spokojnie wejść do klasy. Właściwie spodziewał się tego. I było mu obojętne, czy dlatego, że najwyraźniej biła od niego jakaś siła, czy też może uznano go za cuchnącego pariasa, którego należało unikać.

Tak czy inaczej, zmienił się. Oni to czuli, dlatego mu ustąpili.

Oskar wszedł do klasy i, nie rozglądając się na boki, usiadł w swojej ławce. Słyszał gwar z korytarza, po chwili do klasy zaczęli wchodzić uczniowie. Przechodząc obok ławki Oskara, Johan podniósł do góry kciuk. Oskar wzruszył ramionami.

Potem przyszła nauczycielka, a pięć minut po rozpoczęciu lekcji do klasy wszedł Jonny. Oskar spodziewał się, że będzie miał na uchu jakiś opatrunek, ale nie miał. Ucho było jednak purpurowe, spuchnięte, jakby nie było częścią jego ciała.

Jonny usiadł na swoim miejscu. Nie patrzył na Oskara, nie patrzył na nikogo.

Było mu wstyd.

Tak właśnie było. Oskar odwrócił głowę i spojrzał na Jonny'ego, który wyjął z tornistra album ze zdjęciami i położył go na półce pod ławką. Zauważył, że zaczerwienił się, jego policzki miały niemal ten sam kolor, co ucho. Oskar miał ochotę pokazać mu język, ale się rozmyślił.

To byłoby dziecinne.

W poniedziałki Tommy zaczynał lekcje dopiero za kwadrans dziewiąta. O ósmej Staffan wypił szybką kawę i postanowił pójść rozmówić się z chłopcem.

Yvonne wyszła już do pracy, a Staffan miał się stawić w Judarnskogen dopiero o dziewiątej. Wtedy miało się rozpocząć przeszukiwanie lasu, które, jak podejrzewał, nie przyniesie żadnego rezultatu.

Pogoda zapowiadała się znośna, więc przynajmniej spędzi dzień na dworze. Opłukał filizankę po kawie, chwilę się zastanawiał, w końcu jednak postanowił włożyć mundur. Początkowo myślał, że pójdzie do Tommy'ego w swoim zwykłym ubraniu i porozmawia z nim tak po ludzku. Ale doszedł do wniosku, że właściwie jest to sprawa policyjna, akt wandalizmu, a mundur był symbolem władzy. Co prawda nie narzekał na jej brak, ale...

Poza tym w grę wchodziły też względy czysto praktyczne, zaraz potem szedł przecież do pracy. Tak więc Staffan włożył mundur i służbową kurtkę,

sprawił w lustrze, jak wygląda, i uznał, że w porządku. Wziął klucz od piwnicy, który Yvonne zostawiła na stole kuchennym, i wyszedł. Rzucił okiem na zamek (skrzywienie zawodowe), zszedł po schodach do piwnicy i otworzył drzwi.

Skoro o tym mowa, to od razu zauważył, że z zamkiem było coś nie w porządku. Przekreślił klucz, nie poczuł żadnego oporu, więc pchnął drzwi. Ukucnął, sprawdził mechanizm zamka.

No tak, kawałek papieru.

Klasyczny sposób włamywaczy. Wchodzą do upatrzonego pomieszczenia i manipulują przy zamku, mając nadzieję, że właściciel niczego nie zauważy.

Staffan wyciągnął szczyryk i usunął kawałek papieru.

Oczywiście zrobił to Tommy.

Staffan nawet się nie zastanowił, dlaczego Tommy miałby manipulować przy zamku, do którego przecież miał klucz. Tommy był złodziejem, a to był sposób, w jaki działali złodzieje, więc na pewno zrobił to Tommy.

Yvonne opisała mu miejsce, w którym Tommy zwykle przebywał. Staffan ruszył w stronę schowka, układając sobie w myślach, co mu powie. Pierwotnie zamierzał potraktować go trochę jak kumpla, delikatnie, ale historia z zanikiem rozsierdziła go.

Wy tłumaczy mu, właśnie: wytłumaczy, nie będzie mu groził, tylko powie mu, jak wygląda poprawczak, czym zajmują się pracownicy socjalni, kiedy człowiek zaczyna odpowiadać za własne czyny i tak dalej. Żeby zdał sobie sprawę z tego, na jaką drogę wkracza.

Drzwi do schowka były otwarte. Staffan zajrzał do środka. No tak, lis umknął z nory. Po chwili zobaczył plamy. Ukucnął, przeciagnął palcem po jednej z nich.

Krew.

Koc Tommy'ego leżał na kanapie; na nim też widniały pojedyncze plamy krwi. Kiedy zaczął się rozglądać nieco uważniej, zobaczył, że podłoga była wręcz zalana krwią.

Przerażony wyszedł na zewnątrz.

Miał przed sobą miejsce zbrodni. Nie myślał już, o czym chciał rozmawiać z chłopcem, tylko zaczął sobie przypominać zasady postępowania w takich sytuacjach. Właściwie to znał procedurę na pamięć, nawet poszczególne paragrafy: należało zabezpieczyć materiał, który może ulec zniszczeniu, odnotować godzinę, zabezpieczyć ewentualne dowody...

Nagle usłyszał za sobą jakby mamrotanie, przerywane cichymi jękami.

Przez koło zamykające drzwi do schronu przewleczony był kij. Podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Tak, mamrotanie dochodziło właśnie stamtąd. Brzmiało niemal jak - modlitwa. Litania, której słów nie mógł rozróżnić.

Czciciele szatana...

Głupstwa; kiedy jednak spojrzął na kij blokujący drzwi, zauważył na jego czubku coś, co go przeraziło. Jakieś ciemnoczerwone strzępy, grudki. Właśnie tak, dokładnie tak, pomyślał, wyglądały strzępy ludzkiego ciała, gdy przestępstwo zostało popełnione przy użyciu żyłki.

Mamrotanie przybrało na sile.

Powinien wezwać posiłki?

Nie. Może tam w środku, ktoś dokonywał właśnie przestępstwa, może kiedy pójdzie dzwonić, coś tam się wydarzy. Musi załatwić to sam.

Odpiął kaburę, żeby mieć pod ręką broń. Chwycił pałkę. Drugą ręką wyciągnął z kieszeni chusteczkę i delikatnie okrył nią czubek kija. Zaczął go wyciągać, nasłuchując, czy hałas nie spowoduje jakiejś reakcji za drzwiami.

Ale nie. Litania trwała nadal, słychać było też jęki.

Wyjął kij i postawił go pod ścianą, żeby nie zniszczyć odcisków palców.

Wiedział, że chusteczka nie jest wystarczającym zabezpieczeniem, więc zamiast położyć dłoń na kole, chwycił je sztywnymi palcami i przekreślił.

Zapadki zamka ustąpiły. Staffan oblizał usta. Zaszło mu w gardle. Drugie koło też się poddało i drzwi się uchyliły.

Teraz słyszał już słowa. To była piosenka. Śpiewana ciekawym głosem, jakby szeptem:

„Dwieście siedemdziesiąt cztery słoni wędrowało

po cieniutkiej pajęczynie

- bum-

Ale fajnie, pomyśleli sobie

i poszli po kolegę!

Dwieście siedemdziesiąt pięć słoni wędrowało

po cieniutkiej pajęczynie

- bum-

Ale fajnie, pomyśleli sobie..."

Staffan chwycił pałkę i otworzył nią drzwi.

I wtedy zobaczył.

W grudce, przed którą klęczał Tommy, trudno byłoby rozpoznać ciało ludzkie, gdyby nie uniesiona do góry ręka, oddzielona w połowie od ciała. Klatka piersiowa, brzuch, twarz były jedynie kupą mięsa, wnętrzności, połamanych kości.

Tommy trzymał w rękach kanciasty kamień, którym w pewnym momencie, przy refrenie, uderzał w zmasakrowane resztki ludzkie, które nie stawały oporu, więc kamień z łoskotem trafiał w podłogę. Tommy podnosił go i kolejny słoń dołączał do grupy.

Staffan nie był do końca pewien, czy to naprawdę był Tommy. Osoba, trzymająca kamień, była bowiem też cała we krwi i strzępach mięśni, tak że

trudno było... Staffan poczuł mdłości. Przełknął żółć, która podeszła mu do gardła i spuścił wzrok, żeby nie patrzeć. Przy progu leżał cynowy żołnierz. Nie, to był strzelec. Rozpoznał go. Strzelec leżał tak, że celował prosto w sufit.

Tylko gdzie jest podstawka?

Nagle wszystko zrozumiał.

Zakreśliło mu się w głowie, niepomny na odciski palców i ewentualny materiał dowodowy oparł rękę o framugę, żeby się nie przewrócić. Nadal słyszał monotony refren piosenki:

„Dwieście siedemdziesiąt siedem słoni wędrowało
po cieniutkiej pajęczynie...”

Musiało być z nim naprawdę źle, bo najwyraźniej miał halucynacje. Wydało mu się... Nie, wyraźnie widział, jak ludzkie strzępy na podłodze między jednym a drugim uderzeniem - poruszyły się.

Usiłowały wstać.

Morgan był nałogowym palaczem. Kiedy gasił swojego papierosa na trawniku przed szpitalem, Larry jeszcze dopalał swojego. Morgan wsadził rękę do kieszeni i co chwila spoglądał na parking; zaklął, kiedy przez dziurę w podeszwie poczuł wodę z kałuż; miał mokrą skarpetę.

- Masz forszę, Larry?
- Wiesz przecież, że jestem na rencie i...
- Wiem, ale może coś masz?
- Nawet jeśli, to nie pożyczam...
- Nie, ale pomyślałem o Lackem. Może zaprosimy go na jakieś prawdziwe... no wiesz.

Larry zakasłał i spojrział z wyrzutem na papierosa.

- Żeby lepiej się poczuł, tak?

- Tak.

- No, nie wiem...

- Czego nie wiesz? Czy rzeczywiście lepiej się poczuje, czy masz forszę, czy jesteś sknera?

Larry westchnął i, nadal kaszłąc, znów się zaciągnął. Skrzywił się i zgasił papierosa nogą. Podniósł peta, wrzucił go do wypełnionej piaskiem donicy i zerknął na zegarek.

- Morgan, jest wpół do dziewiątej rano.
- Wiem, ale za jakiś czas, kiedy już otworzą.
- Wtedy zobaczymy.
- Więc masz forszę?
- Wchodzimy czy nie?

Weszli przez obrotowe drzwi. Morgan przeciągnął rękami po włosach i ruszył w stronę kobiety, siedzącej w recepcji, żeby się dowiedzieć, gdzie leży

Virginia. Larry stał i obserwował rybki pływające w akwarium; poruszały się sennie w dużym szklanym cylindrze.

Po minucie Morgan wrócił, przeciągnął rękami po swojej skórzanej kamizeli, jakby chcąc strzepnąć z niej coś, co się do niej przykleiło, i powiedział:

- Wstrętna baba. Nie chciała nic powiedzieć.
- Pewnie jest na oddziale intensywnej terapii.
- A tam wpuszczają?
- Czasem tak.
- Znasz się na tym.
- Owszem.

Ruszyli w kierunku OIOM-u. Larry prowadził.

Wielu „znajomych” Larry’ego leżało w szpitalu. W tej chwili dwóch, nie licząc Virginii. Morgan podejrzewał, że nawet ludzie, których Larry poznał gdzieś przypadkiem, stawali się jego znajomymi albo wręcz kumplami, kiedy tylko trafiali do szpitala. Wtedy Larry natychmiast ich odszukiwał i zaczynał odwiedzać.

Dlaczego tak się zachowywał? Zamierzał go o to spytać, ale właśnie dotarli do drzwi na oddział, pchnęli je i w głębi korytarza zobaczyli Lackego. Siedział w fotelu w samych kalesonach. Trzymał się kurczowo podłokietników i patrzył nieruchomo przed siebie, na ludzi, którzy wchodzili i wychodzili z pokoju.

Morgan pociągnął niespokojnie nosem.

- Cholera, spalili tu kogoś czy co? - rzucił i się roześmiał. - Cholerni liberałowie. Pewnie oszczędzają. Wymyślili, że szpitale mogą zająć się kremacją...

Zamilkł, kiedy podeszli do Lackego. Był szary na twarzy, patrzył na nich czerwonymi, niewidzącymi oczami. Morgan zaczął się domyślać, co się stało, i pozwolił przejąć Larry’emu inicjatywę. On się do tego nie nadawał.

Larry podszedł i położył rękę na dłoni Lackego.

- Witaj, Lacke. Jak leci?

W sali obok działy się jakieś tajemnicze rzeczy. Przez drzwi widać było otwarte na oścież okna, a mimo to na korytarzu wyraźnie czuło się kwaśny zapach spalenizny. Przez dym unoszący się w sali widać było ludzi, którzy rozmawiali podniesionymi głosami, gestykulowali. Morgan usłyszał coś o „odpowiedzialności szpitala” i że „musimy próbować...”

Nie dosłyszał, co kto musi próbować, bo w tym momencie Lacke odwrócił głowę, spojrzął na nich, jakby byli mu całkiem obcy, i powiedział:

- Powiniennem być zrozumieć...

Larry pochylił się nad nim.

- Powinieneś być zrozumieć co?

- Że to się stanie.

- A co się stało?

Lacke nagle otworzył szeroko oczy, spojrzał na zadymioną salę i powiedział:

- Ona spłonęła.
- Virginia?
- Tak. Spłonęła.

Morgan podszedł do sali i zajął do środka. Starszy, władczo wyglądający mężczyzna, wyszedł mu naprzeciw.

- Przepraszam, ale to nie jest cyrk.
- Nie, nie, ja tylko...

Morgan zamierzał rzucić coś dowcipnego, że szuka swojego boa dusiciela, coś w tym stylu, ale darował sobie. I wtedy zobaczył. Dwa łóżka. Jedno z pogniecionymi prześcieradłami i odrzuconym na bok kocem, jakby ktoś nagle z niego wstał. I drugie, zasłane grubym, ciemnoszarym kocem od nóg po poduszkę. Drewniane wezgłowie łóżka było całe w sadzy. Pod kocem widać było zarys ciała bardzo chudego człowieka. Widać było głowę, klatkę piersiową, miednicę. Reszta ginęła w fałdach i nierównościach koca.

Morgan zaczął trzeć powieki tak mocno, że niemal wcisnął gałki oczne w czaszkę. Więc to była prawda. Do diabła.

Rozejrzał się po korytarzu, jakby szukał kogoś, kto mógłby to potwierdzić. Zobaczył starszego mężczyznę, który stał obok statywu z kropłówką i próbował zajrzeć do sali. Morgan zrobił krok w jego stronę.

- Co tu stoisz i się gapisz? Mam...

Mężczyzna zaczął się cofać, powoli krok po kroku. Morgan zacisnął pięści, próbując się opanować. Nagle przypomniał sobie coś, co widział w sali, i zawrócił.

Mężczyzna, którego wcześniej zaczepił, właśnie wychodził.

- Przepraszam pana, ale...
- Dobrze, dobrze - powiedział Morgan, lekko go odpychając. - Muszę zabrać rzeczy kumpla, jeśli można. Ma siedzieć tu tak cały dzień?

Mężczyzna skrzyżował ręce na piersi i pozwolił mu przejść.

Morgan wziął rzeczy Lackego z krzesła, stojącego obok rozesłanego łóżka. Rzucił okiem na drugie łóżko. Spod koca wystawała czarna, spalona dłoń z rozcapierzonymi palcami. Byłaby nie do rozpoznania, gdyby nie pierścionek na palcu wskazującym. W kolorze złota z niebieskim kamieniem, należał do Virginii. Zanim Morgan się odwrócił, zdążył jeszcze dostrzec skórzane rzemyki wokół jej nadgarstków.

Mężczyzna nadal stał w drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Zadowolony?
- Nie. Dlaczego była przypięta?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Przekaż swojemu kumplowi, że zaraz będzie tu policja i pewnie będą chcieli z nim rozmawiać.

- Dlaczego?
- Nie wiem. Nie jestem gliniarzem.
- No, proszę, a ja myślałem, że tak.

Pomogli Lackemu się ubrać. Kiedy zjawiło się dwóch policjantów, był już gotowy. Nie było z nim żadnego kontaktu, na szczęście pielęgniarka, która podciągnęła żaluzje, była na tyle przytomna, że zaświadczyła, że Lacke nie miał z tym nic wspólnego. Że spał, kiedy to wszystko się zaczęło.

Pozostałe pielęgniarki zaczęły pocieszać swoją koleżankę. Larry i Morgan zabrali Lackego ze szpitala.

Kiedy przeszli przez obrotowe drzwi, Morgan wziął głęboki wdech i wciągnął do płuc zimne powietrze.

- Chyba puszczyć pawia - powiedział; nachylił się nad trawnikiem i resztki wczorajszego obiadu, wymieszane z zieloną flegmą, wylądowały na gołych o tej porze roku krzakach.

Kiedy skończył, przeciągnął ręką po ustach i wytarł dłoń w nogawkę spodni. Podniósł rękę, jakby pokazywał jakiś dowód, i zwrócił się do Lany'ego:

- Musisz, do diabła, pomóc mi go ciągnąć.

Pojechali do Blackebergu; Morgan dostał sto pięćdziesiąt koron na zakupy, a Larry zabrał Lackego ze sobą do domu.

Lacke pozwolił mu się prowadzić. Podczas podróży metrem nie odezwał się nawet słowem.

Jadąc windą do mieszkania Larry'ego na szóstym piętrze, zaczął płakać. Bynajmniej nie cicho i spokojnie, ryczał jak dziecko, a może i gorzej. Kiedy Larry otworzył drzwi od windy i wypchnął go na klatkę, zaczął płakać jeszcze bardziej; szloch odbijał się echem wśród betonowych ścian. Jego płacz, pełen bezgranicznego smutku, wypełnił wszystkie piętra, wdzierał się do mieszkań przez szpary na listy, dziurki do kluczy, zamieniając dom w nagrobek postawiony ku pamięci miłości i nadziei. Larry wdrygnął się; w życiu nie słyszał czegoś podobnego. Tak się nie płacze. Tak nie wolno płakać. Człowiek może umrzeć od takiego płaczu.

Sąsiedzi. Pomyślą, że ja go morduję.

Larry zaczął wyciągać klucze, podczas gdy całe cierpienie tego świata, cała ludzka bezradność i wszystkie zawiedzione nadzieje w tym momencie skumulowały się w drobnym cielem Lackego i teraz wypływały z niego nieprzerwanym strumieniem.

W końcu Larry'emu udało się włożyć klucz do zamka i z siłą, której istnienia w sobie nawet nie podejrzewał, niemal wniósł Lackego do mieszkania i zamknął drzwi. Lacke nadał płakał. Jego rozpacz zdawała się nie mieć końca. Na czole Lany'ego pokazały się kropelki potu.

Co, do diabła, mam... zrobić...

Wpadł w panikę i zrobił coś, co widział, że ludzie robią na filmach. Otwartą dłoń wymierzył mu policzek; odgłos udeżenia tak go przestraszył, że natychmiast tego pożałował. Okazało się jednak, że policzek poskutkowało.

Lacke natychmiast zamilkł. Patrzył na Larry'ego dzikim wzrokiem. Przez moment Larry miał wrażenie, że zaraz mu odda. Po chwili jednak oczy Lacke go złagodniały, otwierał i zamykał usta, jakby brakowało mu powietrza.

- Larry, ja... - odezwał się.

Larry objął go. Lacke położył policzek na jego ramieniu i zaczął płakać; cały się trząsał. Po chwili Larry poczuł, że nogi się pod nim uginają. Próbował się oswobodzić z jego objęć i usiąść na krześle, ale Lacke trzymał go mocno i kiedy w końcu Larry opadł na krzesło, Lacke osunął się na niego; jego głowa wyśladowała na kolanach przyjaciela.

Larry gładził go po włosach, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Wyszepiał więc tylko:

- Już dobrze, dobrze...

Larry'emu zaczęły już drętwieć nogi, kiedy nagle coś się zmieniło. Płacz ustał, zamienił się w cichy szloch; Larry czuł napięte mięśnie przyjaciela na swoim udzie. Lacke podniósł głowę, wytarł smarki w rękaw koszuli i powiedział:

- Zabiję to.

- Co?

Lacke spuścił wzrok, popatrzył na pierś Larry'ego i pokiwał głową.

- Zabiję. Nie pozwolę, żeby żyło.

Na długiej przerwie o wpół do dziesiątej Staffe i Johan podeszli do Oskara: „super”, „tak trzeba było zrobić”, mówili. Staffe poczęstował go żelkowymi samochodzikami, a Johan zaproponował, że może któregoś dnia wybiorą się gdzieś razem...

Nikt go nie popychał, nikt na jego widok nie łapał się za nos. Nawet Micke Siskov uśmiechnął się i pokiwał głową z uznaniem, jakby Oskar powiedział jakiś świetny dowcip, kiedy wpadli na siebie na korytarzu przed stołówką.

Jakby wszyscy oczekiwali, że tak właśnie się zachowa. Teraz, kiedy już było po wszystkim, stał się jednym z nich.

Problem polegał na tym, że nie potrafił się tym cieszyć. Stwierdził fakt i tyle. Fajnie, że przestali go bić, to prawda. Gdyby ktoś spróbował go uderzyć, oddałby. Nie było tu już dla niego miejsca.

Podczas lekcji matematyki podniósł oczy znad podręcznika i spojrzał na klasę, do której chodził sześć lat. Głowy pochylone nad zadaniami, niektórzy obgryzali ołówki, inni przesyłali sobie karteczki, chichotali. Pomyślał: Przecież to są-dzieci...

Sam też był jeszcze dzieckiem, ale...

Zaczął bazgrać coś z zeszytu, postawił krzyżyk, zamienił go w szubienicę.

Jestem dzieckiem, ale...

Narysował pociąg. Samochód. Łódź.

Dom. Z otwartymi drzwiami.

Robił się coraz bardziej niespokojny. Pod koniec lekcji nie mógł już usiedzieć; przytupywał, bębnił palcami w blat. Nauczyciel odwrócił głowę i spojrzął na niego zdziwiony, poprosił, żeby był cicho. Spróbował, ale niepokój zaraz powrócił i znów pociągał za sznurki, jakby Oskar był marionetką.

Kiedy zbliżała się ostatnia lekcja, gimnastyka, nie wytrzymał. W korytarzu zaczepił Johana:

- Powiedz Avili, że jestem, chory, dobrze?

- Zrywasz się?

- Nie wzięłem stroju.

To była prawda, rano zapomniał wziąć stroju gimnastycznego, ale nie dlatego wychodził. W drodze do metra zobaczył klasę ustawioną w równym szeregu. Tomas zawołał za nim „buuu!”

Pewnie doniesie. Ale to nie miało już znaczenia. Najmniejszego.

Gołębie machały skrzydłami i zbijały się w szare stada, kiedy szybkim krokiem szedł przez rynek w Vällingby. Jakaś kobieta z dzieckiem w wózku zmarszczyła brwi na jego widok, pewnie zwierząt też nie lubi. Spieszył się, więc wszystko, co było między nim a celem, do którego zmierzał, stanowiło przeszkodę.

Zatrzymał się przed sklepem z zabawkami, zerknął na wystawę. W siełankowym krajobrazie ustawiono smerfy. Na to był już za duży. W kartonie w domu przechowywał kilka figurek Big Jima, którymi często się bawił, kiedy był mały.

Jakiś rok temu.

Otworzył drzwi i usłyszał dźwięk elektronicznego dzwonka. Minał wąskie przejście między półkami zastawionymi plastikowymi lalkami, figurkami i pudełkami modeli do składania. Obok kasy stały opakowania z formami do wylewania cynowych żołnierzyków. O cynę trzeba było poprosić w kasie.

Było tak, jak myślał: kopie stały jedna na drugiej na półce pod plastikowymi lalkami, natomiast oryginały z autografem Rubika na opakowaniu nie były już tak łatwo dostępne. Kosztowały dziewięćdziesiąt osiem koron sztuka.

Niski, dość tęgi mężczyzna stał za ladą. Na jego twarzy malował się uśmiech, który Oskar określiłby zapewne jako schlebający, gdyby znał znaczenie tego słowa.

- Słucham? Szukasz czegoś szczególnego?

Oskar wiedział, że kostki zapewne stoją na ladzie, i miał gotowy plan.

- Tak, potrzebuję farby do cyny.

- Tak? - powtórzył mężczyzna i wskazał ręką na maleńkie pojemniczki z farbami, ustawione na półce za nim. Oskar pochylił się do przodu, palce jednej ręki oparł o ladę tuż przed kostkami, a kciukiem przytrzymywał torbę. Udawał, że przygląda się farbom.

- Złoty. Macie złoty kolor?
- Złoty, oczywiście.

Kiedy mężczyzna się odwrócił, Oskar sięgnął po jedną z kostek; włożył ją do torby i zdążył ułożyć rękę w poprzedniej pozycji, kiedy mężczyzna znów się odwrócił i postawił przed nim dwa pojemniczki farby. Serce Oskara waliło jak szalone, paliły go policzki, uszy.

- Matowy czy metaliczny?

Mężczyzna spojrzał na Oskara, który czuł, że ma na twarzy wymalowane ostrzeżenie: „Uwaga, złodziej!” Nie chcąc, żeby mężczyzna coś zauważył, pochylił się nad pojemniczkami i powiedział:

- Metaliczny jest ładny.

Miał dwadzieścia koron. Farba kosztowała dziewiętnaście. Sprzedawca włożył mu ją do małej foliowej torebki, którą Oskar wsunął do kieszeni, nie chcąc otwierać torby.

Wyszedł ze sklepu i jak zwykle poczuł ulgę i przypływ energii, większy niż zwykle. Poczuł się jak niewolnik, któremu zwrócono wolność; który przed chwilą zrzucił swój ciężar. Nie mógł się powstrzymać i ruszył biegiem na parking, gdzie - ukryty między dwoma samochodami - ostrożnie rozpakował kostkę.

Była o wiele cięższa niż jego kopia. Kwadraciki przekręcały się bez trudu, jakby miały łożyska. A może miały? Nie, nie rozbierze jej, żeby sprawdzić; nie chciał ryzykować, że ją zniszczy.

Opakowanie było brzydkie, kawał przezroczystego plastiku, więc w drodze z parkingu wyrzucił je do śmietnika. Sama kostka prezentowała się lepiej. Wsadził ją do kieszeni kurtki, żeby mógł gładzić ją ręką, czuć w dłoni jej ciężar. To był dobry prezent, po prostu świetny prezent pożegnalny.

Przed wejściem na stację metra się zatrzymał.

A jeśli Eli pomyśli... że ja...

Właśnie, może pomyśleć, że on, dając mu prezent, akceptuje jego wyjazd. Skoro to prezent pożegnalny. Cześć, na razie. A tak przecież nie było. Oskar na pewno nie chciał, żeby...

Powiódł wzrokiem po holu, zerknął na kiosk z prasą. Spojrzał na statyw z gazetami. Na „Expressen”. Na pierwszej stronie było duże zdjęcie faceta, który mieszkał z Eli.

Oskar podszedł bliżej i zaczął przerzucać kartki. Pięć stron poświęcono poszukiwaniom w lesie. Morderca rytualny. Historia jego życia i zdjęcie na całą stronę. Håkan Bengtsson. Karlstad. Ostatnich osiem miesięcy mieszkał pod

nieznanym adresem. Policja zwracała się z apelem do społeczeństwa. Jeśli ktoś coś widział...

Strach wbił swoje kolce w pierś Oskara.

Kto jeszcze mógł go widzieć; kto jeszcze wiedział, gdzie mieszkał...

Sprzedawca wystawił głowę:

- Kupujesz coś?

Oskar pokręcił głową, wetknął gazetę na miejsce na stojaku. I zaczął biec. Dopiero na peronie przypomniał sobie, że nie pokazał kontrolerowi biletu. Zaczął przytupywać, gryzł palce, oczy zaszczyły mu łzami.

Przyjeżdżaj, przyjeżdżaj...

Lacke na wpół leżał na kanapie, mrużył oczy, zerkając w stronę balkonu, gdzie stał Morgan, i bezskutecznie próbował zwabić do siebie siedzącego na sąsiedniej balustradzie gila. Zachodzące słońce tworzyło nad głową Morgana świetlną aureolę.

- No, chodź. Nic ci się nie stanie.

Larry siedział w fotelu i jednym okiem zerkał na telewizyjną lekcję hiszpańskiego. Sztywni ludzie w wymyślonych sytuacjach poruszali się na ekranie, mówiąc:

- *Yo tengo un bolso.*
- *Que hay en el bolso?*

Morgan schylił głowę i słońce trafiło Lackego w oczy, zamknął je. Słyszał, jak Larry mamroce: *Ke haj en el bolso?*

W mieszkaniu pachniało dymem papierosowym i kurzem. Trzy czwarte litra zostało opróżnione, pusta butelka stała na stoliku obok przepełnionej popielniczki. Lacke przyglądał się śladom po petach, gaszonych na blacie stolika. Kręciło mu się w głowie, ślady tańczyły mu przed oczami i wyglądały jak chrząszcze.

- *Onakamisay pantalones.*

Larry śmiał się do siebie:

- *...pantalones...*

Nie uwierzyli mu. To znaczy uwierzyli, ale tłumaczyli całe zdarzenie zupełnie inaczej. „Spontaniczne samospalenie”, powiedział Larry, a Morgan poprosił, żeby mu to przeliterował.

Tyle że spontaniczne samospalenie jest naukowo udokumentowane w takim samym stopniu jak istnienie wampirów. Czyli w żadnym.

Pewnie łatwiej uwierzyć w coś nawet mało wiarygodnego, byle nie wymagało to od nas działania. Bo nikt nie zamierzał mu pomóc. Morgan wysłuchał z powagą jego opowieści o tym, co się zdarzyło w szpitalu, gdy jednak doszło do tego, że należałoby unicestwić tego, który był przyczyną wszystkich nieszczęść, powiedział:

- To znaczy, że chcesz, żebyśmy urządzili polowanie na wampiry? Ty, ja i Larry? Mamy szykować kołki, krzyże i co tam jeszcze...? Bardzo cię przepraszam, ale nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Kiedy zobaczył ich pełne niedowierzania twarze, dystansujące się od wszystkiego, od razu pomyślał: Virginia uwierzyłaby mi. I ból znów wbił w niego swoje szpony. To on nie uwierzył Virginii i dlatego ona... Wolałby spędzić kilka lat w więzieniu za popełnienie morderstwa z litości, niż do końca życia mieć przed sobą obraz tego, co się stało.

Jej ciało wijące się na łóżku, skóra, która nagle szerniała i zaczęła dymić. Szpitalna koszula, która uniosła się, obnażając jej łono. Metalowe rurki łóżka wpadły w drżenie, kiedy zaczęła rytmicznie uderzać biodrami o łóżko, jakby odbywała stosunek z niewidzialnym partnerem, podczas gdy płomienie sięgały już jej bioder. Zaczęła krzyczeć. Ten krzyk i swąd palonych włosów i palonej skóry wypełnił pokój. Jej przerażone oczy wpatrzone w moje; sekundę później zrobiły się białe, zaczęły wrzeć, pękły...

Lacke wypił ponad połowę tego, co było w butelce, za przyzwoleniem Morgana i Larry'ego.

...pantalones

Lacke spróbował wstać z kanapy. Tył głowy zdawał się ważyć tyle, ile cała reszta ciała. Oparł się o blat stołu i podciągnął do góry. Larry wstał, podał mu rękę.

- Do licha, prześpij się trochę, Lacke.
- Nie, muszę wracać do domu.
- A co tam będziesz robił?
- Muszę coś... załatwić.
- Chyba nie zamierzasz, no wiesz, wspominałeś coś...
- Nie, nie.

Widząc, że Lacke zbiera się do wyjścia, Morgan zszedł z balkonu.

- Zaraz! Dokąd ty się wybierasz?
- Do domu.
- Pójdę z tobą.

Lacke zawrócił, spróbował się wyprostować, wytrzeźwieć na tyle, na ile to było możliwe. Morgan podszedł do niego, gotów go podtrzymać, gdyby upadł. Ale Lacke pokręcił głową i poklepał Morgana po ramieniu.

- Chcę mieć trochę spokoju. Naprawdę.
- Poradzisz sobie?
- Dam sobie radę.

Lacke nadal kiwał głową, jakby coś się w nim zablokowało. Zmusił się jednak do zmiany pozycji, odwrócił się, wyszedł do korytarza, włożył buty i płaszcz.

Wiedział, że jest mocno pijany, ale przecież nie pierwszy raz mu się to zdarzało. Opanował sposób, który pozwalał mu uniezależnić ruchy ciała od mózgu i wykonywać je mechanicznie. Mógłby zbierać szpilki z podłogi i nawet nie zdrząłaby mu ręka.

Z głębi mieszkania dochodziły głosy:

- Może powinniśmy.... ?
- Nie. Jeśli tak mówi, to uszanujmy to.

Wyszli do przedpokoj, żeby się z nim pożegnać. Uściskali go nieco niezdarne. Morgan chwycił go za ramiona i odchylił głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Powiedział:

- Nie zrobisz chyba jakiegoś głupstwa? Wiesz, że masz nas, prawda?
- Tak, wiem. I nie zrobię żadnego głupstwa.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, zatrzymał się na chwilę; patrzył na słońce, które spoczywało w koronach sosen.

Już nigdy więcej... słońce...

Śmierć Virginii, sposób, w jaki umarła. Całe zdarzenie ciążyło mu w piersi jak ołów; czuł go w miejscu, w którym kiedyś było jego serce. Szedł zgarbiony, jakby przygnieciony niewidzialnym ciężarem. Popołudniowe słońce, które teraz oświetlało ulice, zdawało się drwić z niego. Podobnie jak pojedynczy ludzie idący ulicą. Słyszał ich głosy. Rozmawiali o codziennych rzeczach, jakby nie wierzyli, że nagle... w każdym momencie...

Ono was też może dopaść.

Przy kiosku stał mężczyzna, pochylony rozmawiał z właścicielem. Lacke zobaczył, jak czarna grudka spada z nieba, przykleja mu się do pleców i...

Co do diabła...

Lacke zatrzymał się, patrzył na pierwsze strony gazet, zmrużył oczy, próbując skupić się na zdjęciu, które wypełniało niemal całą pierwszą stronę. Morderca rytualny. Lacke parsknął. Też nowina. On to wiedział. Ale...

Rozpoznał twarz. To był przecież...

Wieczór u Chińczyka. Wszedł, postawił mu whisky. Niemożliwe...

Zrobił krok, przyjrzał się zdjęciu dokładniej. Tak. To na pewno on. Te same blisko osadzone oczy, te same... Lacke podniósł ręce do ust i przycisnął do warg. Obrazy wirowały mu w głowie; próbował je jakoś uporządkować.

Pił whisky, którą postawił mu ten, który zabił Jockego. Morderca Jockego mieszkał w tym samym kompleksie budynków, co on, zaledwie kilka klatek dalej. Kilka razy mówili sobie nawet dzień dobry...

Ale przecież nie on to zrobił. To zrobił...

Usłyszał głos. Ktoś coś mówił.

- Cześć, Lacke! Znasz go może?

Kioskarz i mężczyzna, który stał przy kiosku, przyglądali mu się. Odpowiedział „tak” i ruszył w stronę domu. Świat nagle zniknął. Zobaczył przed

sobą klatkę, z której zwykle mężczyzna wychodził. Przypomniał sobie zasłonięte okna. Musi to wszystko wyjaśnić. Musi.

Stopy zaczęły się szybciej poruszać; wyprostował plecy. Ołowiany odważnik, który tkwił w miejscu, gdzie dawniej było jego serce, zaczął rytmicznie się kołysać. Lacke poczuł, że drży. Uznał to za ostrzeżenie.

Idę. Do cholery, już idę...

Metro zatrzymało się przy stacji Räcksta. Oskar się niecierpliwił. Gryzł wargi, czuł narastającą panikę. Miał wrażenie, że drzwi zbyt długo pozostają otwarte. Kiedy zatrzeszczał głośnik, był przekonany, że maszynista zapowie dłuższy postój, ale usłyszał tylko:

- Uwaga na drzwi. Drzwi się zamykają.

Pociąg ruszył, wyjechał ze stacji.

Oskar nie miał żadnego planu; chciał tylko ostrzec Eli. Żeby wiedziała, że w każdej chwili policja, czy ktokolwiek, może zadzwonić do jej drzwi i powiedzieć, że widziano tu tego faceta, tu, w Blackebergu. W tych blokach. W tej klatce. W tym mieszkaniu.

A co się stanie, jeśli policja... Jeśli wyłamią drzwi... do łazienki...

Wagoniki metra przejeżdżały z łoskotem przez most. Oskar wyjrzał przez okno. Dwóch mężczyzn stało przy Kiosku Kochanka, zza ich pleców dostrzegł rząd wywieszonych pierwszych stron gazet, wydrukowanych na rzucającym się w oko żółtym papierze. Zobaczył też, jak jeden z mężczyzn szybko odchodzi od kiosku.

Ktokolwiek. Każdy może wiedzieć. Ten mężczyzna też.

Kiedy metro zaczęło zwalniać, Oskar już był przy drzwiach. Włożył palce między gumowe uszczelki, jakby to mogło sprawić, że drzwi szybciej się otworzą. Przyłożył czoło do szyby, szkło chłodziło przyjemnie jego rozpaloną skórę. Hamulce zapiszczały; maszynista najwyraźniej się zagapił, bo dopiero teraz dało się słyszeć:

- Następna stacja - Blackeberg.

Na peronie stał Jonny. I Tomas.

Nie, nie, niech stąd znikną.

Wagoniki się zachybotwały, stanęły i oczy Oskara i Jonny'ego się spotkały. W miarę jak drzwi się otwierały, ich oczy też otwierały się coraz szerzej. Oskar zobaczył, że Jonny mówi coś do Tomasza.

Spiął się, wypadł przez drzwi i zaczął biec.

Tomas wysunął swoją długą nogę, podstawił mu ją i Oskar runął jak długi na peron. Próbując złagodzić upadek, otarł sobie dłonie. Jonny usiadł mu na plecach:

- Spiesz ci się?

- Puść mnie! Puść mnie!

- A niby dlaczego?

Oskar zamknął oczy i zacisnął pięści. Wziął kilka oddechów, na tyle głębokich, na ile mógł sobie pozwolić, mając na sobie ciężar ciała Jonny'ego, i zaczął mówić z głową wciśniętą w beton.

- Zróbcie ze mną, co macie zrobić. I puśćcie mnie.

- Okej!

Chwycili go za ręce, postawili na nogi. Oskar zdążył dostrzec godzinę na zegarze na stacji. Dziesięć po drugiej. Sekundnik powoli przesuwiał się po tarczy. Napiął mięśnie twarzy, brzucha, chciał stać się twardy jak kamień, nieczuły na razy.

Byle szybciej.

Dopiero kiedy dotarło do niego, co zamierają zaczął stawiać opór. Pewnie już wcześniej wszystko ustalili, wykręcili mu ręce; przy najmniejszym ruchu miał wrażenie, że zaraz mu coś pęknie. Popchnęli go do krawężnika peronu.

Nie odważą się. Nie mogą...

Ale Tomas był szalony, a Jonny...

Próbował się zapierać nogami. Machał nimi, ale Tomas i Jonny nadal popychali go w stronę białej linii bezpieczeństwa przy krawędzi peronu.

Kosmyk włosów łaskotał Oskara w lewą skroń, kiedy dosięgnął go podmuch powietrza z tunelu. Pociąg się zbliżał. Szyny już zaczęły śpiewać, a Jonny wyszeptał:

- Zaraz umrzesz, rozumiesz?

Tomas zaczął chichotać, chwycił mocniej jego rękę. Oskarowi zrobiło się ciemno przed oczami: oni naprawdę zamierzają to zrobić. Pchnęli go, tak że połowa jego ciała wystawała teraz poza krawędź peronu.

Światła nadjeżdżającego pociągu zbliżały się, rzucając strzałę zimnego światła na szyny. Oskar odrzucił głowę w lewo i zobaczył w tunelu pędzący pociąg.

Buuuuuu!

Maszynista zaczął trąbić, serce Oskara podskoczyło w przedśmiertnym spazmie, puściły mu zwieracze, złał się; zdążył jeszcze tylko pomyśleć o Elim!

Potem ktoś go odciągnął, pociąg mignął mu przed oczami dziesięć centymetrów od niego.

Leżał na wznak na peronie, z ust leciała mu para. Jego mokre spodnie zaczęły się robić zimne. Jonny ukucnął obok niego.

- Żeby do ciebie dotarło. Że to nie przelewki. Rozumiesz?

Oskar instynktownie pokiwał głową. Żeby już było po wszystkim. Wróciły dawne reakcje. Jonny dotknął lekko swojego nadszarpniętego ucha, uśmiechnął się. Potem położył dłoń na ustach Oskara, przycisnął.

- Kwicz jak prosię, rozumiesz?

Oskar zaczął kwiczeć. Jak prosię. A oni się śmiali. Tomasz powiedział:

- Dawniej robił to lepiej.

Jonny przytaknął.

- Będzie musiał poćwiczyć.

Z przeciwnej strony zbliżał się kolejny pociąg. Zostawili go.

Oskar leżał chwilę. Czuł pustkę. Potem zobaczył nad sobą twarz. Jakaś kobieta. Wyciągnęła do niego rękę.

- Kochanie, wszystko widziałam. Musisz to zgłosić na policję, to przecież... ..

Policja.

- To było usiłowanie morderstwa. Chodź ze mną...

Oskar nie chwycił wyciągniętej do niego ręki, sam skoczył na nogi. Potykając się ruszył do drzwi, zaczął wchodzić po schodach, słysząc za sobą głos kobiety:

- Nic ci nie jest...

Gliny.

Lacke zatrzymał się, kiedy wszedł na podwórze i zobaczył radiowóz. Na zewnątrz stało dwóch policjantów. Jeden z nich pisał coś w notesie. Lacke uznał, że pewnie szukają tej samej osoby, co on, ale widocznie byli źle poinformowani. Policjanci nie zauważyli jego wahania, skierował się więc do pierwszej klatki z brzegu i wszedł do środka.

Żadne z nazwisk na tablicy nic mu nie mówiło, ale przecież i tak wiedział: na dole, po prawej stronie. Obok drzwi do piwnicy leżała butelka benzyny na podpałkę. Zatrzymał się. Przyglądał się jej, jakby mogła pomóc mu zdecydować, co powinien dalej robić.

Benzyna się pali. Virginia spłonęła.

Nagle jakby przestał w ogóle myśleć. Kiedy znów ruszył po schodach, czuł w sobie jedynie dojmującą, krzyczącą złość. Coś się zmieniło.

Teraz jego myśli były wyraziste, a ciało niezdarne. Szedł po schodach i ciągnął za sobą nogi, musiał się oprzeć o poręcz, podciągnąć, ale jego mózg pracował jasno.

Wejść. Znajdę go. Wbiję mu coś w serce. I zaczekam na gliniarzy.

Stanął przed drzwiami, na których nie było żadnej tabliczki.

Jak do licha mam wejść?

Wyciągnął rękę i dla żartu chwycił za klamkę. Drzwi się otworzyły, ukazując puste mieszkanie. Żadnych mebli, dywanów, obrazów. Żadnych ubrań. Obliznął wargi.

Uciekł. Nie mam tu czego...

Na podłodze w przedpokoju leżały jeszcze dwie butelki benzyny. Próbował zrozumieć, co to może znaczyć. Że ten osobnik... Że...

To znaczy, że ktoś tu niedawno był. Inaczej te butelki nie leżałyby tu

Tak.

Wszedł, zatrzymał się. Nasłuchiwał. Głucha cisza. Przeszedł przez mieszkanie; zwrócił uwagę, że w niektórych pokojach okna były zasłonięte kocami. Wiedział dlaczego. Zrozumiał, że trafił we właściwe miejsce.

Stanął przed drzwiami do łazienki. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Ale z takim zamkiem poradzi sobie bez problemu; potrzebny mu był tylko śrubokręt albo jakieś inne narzędzie.

Znów zaczął się koncentrować na swoich ruchach. Musiał wykonać kilka konkretnych ruchów. Nie musiał już myśleć. Nie było takiej potrzeby. Jeśli zacznie myśleć, to zacznie się wahać, a nie chciał się wahać. Czyli musi się skupić na ruchach.

Wyciągnął szuflady z szafek w kuchni. Znalazł nóż kuchenny. Wrócił pod drzwi łazienki. Dotknął ostrzem rowka śrubki i przekreślił w kierunku przeciwnym do kierunku wskazówek zegara. Zamek puścił, otworzył drzwi. Wewnątrz było całkowicie ciemno. Poszukał włącznika, znalazł. Nacisnął go.

Dobry Boże. To przecież...

Nóż wypadł mu z ręki. Wanna, którą miał przed sobą, była do połowy wypełniona krwią. Na podłodze leżało kilka dużych przezroczystych plastikowych pojemników, na których widoczne były czerwone paski. Nóż wysunął mu się z ręki i upadł z hałasem na kamienną posadzkę.

Język przykleił mu się do podniebienia, kiedy się nachylił, żeby... żeby co? Żeby pomacać, żeby... Czuł jakąś prymitywną fascynację taką ilością krwi... Żeby zanurzyć w niej rękę, umoczyć ręce we krwi.

Włożył palce do ciemnej cieczy - zanurzył je w niej, a one nagle znikły, jakby ktoś mu je odciał. Otworzył usta ze zdziwienia, zanurzył rękę głębiej i nagle trafił na...

Krzyknął i odskoczył do tyłu.

Wyjął rękę z wanny, krople krwi opryskały łazienkę: sufit, ściany. Odruchowo uniósł dłoń do ust. Zrozumiał, co zrobił, dopiero kiedy na języku i na wargach poczuł słodką, lepką ciecz. Wypluł ją, wytarł ręce w spodnie. Podniósł do ust drugą dłoń, tę czystą.

Tam w wannie coś... jest.

Tak. Wymacał palcami - brzuch. Skóra poddała się jego dotykowi, zanim wyciągnął rękę. Żeby przestać myśleć o całym tym obrzydlistwie, zaczął rozglądać się po podłodze; znalazł nóż, wziął go ponownie do ręki, chwycił mocno za uchwyt.

Co ja teraz...

Gdyby był trzeźwy, pewnie by po prostu wyszedł. Zostawił tę ciemną i lepą niczym smoła ciecz, która pod swoją błyszczącą powierzchnią mogła skrywać cokolwiek. Na przykład poćwiartowane ciało.

Ten brzuch to może... może to tylko brzuch...

Ale był pijany i to pozwoliło mu nie zważać na strach; kiedy więc spostrzegł cienki łańcuszek, biegnący od brzegu wanny i znikający w ciemnej cieczy, wyciągnął dłoń i pociągnął.

Korek puścił, w rurach zabulgotało i na powierzchni powstał mały wir. Uklęknął obok wanny, oblizał wargi. Poczuł ich szorstkość, splunął na podłogę.

Poziom cieczy obniżał się powoli. Na brzegu wanny pozostał wyraźnie zaznaczony ciemnoczerwony rant.

Musi leżeć tu już od dawna.

Po minucie z jednej strony wanny pojawił się zarys nosa. Z drugiej wystawał palec, a po jakimś czasie ukazały się dwie stopy, obie do połowy. Wir zrobił się mniejszy, ale przybrał na sile i umiejscowił się dokładnie między stopami.

Lacke przyglądał się dziecięcemu ciału, które stało się coraz bardziej widoczne. Skrzyżowane na piersi dłonie. Kolana. Twarz. Bulgotanie ustało, kiedy ostatnie krople krwi trafiły do odpływu.

Ciało przed jego oczami było ostro czerwone, jakby płonęło, i było oślizgłe jak ciało noworodka. Zauważył pępek. Ale żadnych organów płciowych. Chłopak czy dziewczyna? Właściwie było to bez znaczenia. Spojrzał na twarz z zamkniętymi oczami i zrozumiał, że ją zna.

Oskar próbował biec, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Zbuntowały się.

Przez pięć sekund, które zdawały się wiecznością, był naprawdę przekonany, że umrze. Że go pchną. Teraz jego mięśnie jakby nie chciały porzucić tej myśli.

W drodze między budynkiem szkoły a salą gimnastyczną stracił resztkę sił.

Musiał się położyć. Przynajmniej oprzeć się o rosnące obok krzaki. Nie obawiał się, że gałęzie będą go kłuły, bo miał na sobie kurtkę i ocieplane spodnie. Ale spieszył się. Przed oczami miał cały czas sekundnik na stacyjnym zegarze, jego wędrówkę po tarczy zegara.

Szkoła.

Kanciasta czerwonobrunatna ceglana fasada. W myślach leciał jak ptak korytarzem, wpadł do klasy, gdzie byli już Jonny i Tomas. Siedzieli w swoich ławkach i śmiali się niego. Schylił głowę, spojrzał na swoje buty.

Sznurowadła były brudne, jedno wisiało rozwiązane. Także jedna z metalowych klamerek przy kostce była wygięta. Stawiał nogi nieco do wewnątrz i imitacja skóry na cholewkach obu butów była wytarta, aż się błyszczała. Ale i tak pewnie będzie musiał nosić je do końca zimy.

Spodnie były mokre, zimne. Podniósł głowę.

Nie pozwoli im wygrać. Nie pozwoli. Im. Wygrać.

Czuł, jak ciepła ciecz zaczyna spływać mu po nogach. Zaczął biec, ceglana fasada szkoły nagle się przechyliła, zatraciła swoją ostrość, rozmyła się. Stawiał coraz dłuższe kroki, błoto rozpryskiwało się na boki. Jakby płynął nad ziemią; miał wrażenie, że kula ziemską obraca się zbyt szybko, że nie nadaża.

Potknął się, wstał i biegł dalej, mijając wysokie bloki osiedla, sklep sieci Konsum, fabrykę piankowych czekoladek; i - chyba z przyzwyczajenia - wbiegł na podwórze, minął klatkę Eli, biegł dalej do swojej. I niemal wpadł na policjanta, który właśnie wchodził do jego klatki. Policjant rozłożył ręce, chwycił go.

- Hej! Po co taki pośpiech!

Poczuł, że ma sztywny język. Policjant puścił go i zaczął mu się przyglądać. Oskar miał wrażenie, że podejrzliwie.

- Mieszkasz tutaj?

Oskar skinął głową. Nigdy wcześniej nie widział tego policjanta. Wyglądał sympatycznie. To znaczy miał twarz, którą w innych okolicznościach Oskar uznałby za sympatyczną. Policjant sięgnął ręką do nosa i powiedział:

- Bo widzisz, coś tu się wydarzyło. W klatce obok. Dlatego chodzę teraz i rozpytuje. Może ktoś coś słyszał. Albo widział.

- W której... klatce?

Policjant wykonał ruch głową w stronę klatki Tommy'ego i Oskar poczuł ulgę, panika zaczęła mijać.

- W tamtej, to znaczy nie w klatce, tylko w piwnicy. Nie zauważyłeś tam ostatnio czegoś niezwykłego? A może coś słyszałeś?

Oskar pokręcił głową. Różne myśli kotłowały mu się w głowie. Nie bardzo wiedział, co ma myśleć; był przekonany, że w jego oczach widać było strach i że policjant musi to zauważyć. I rzeczywiście, policjant przekręcił głowę i spojrzał na niego badawczo.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Nie masz się czego bać. Już po wszystkim. Nie musisz się już niczym przejmować. Twoi rodzice są w domu?

- Nie. Mamy nie ma.

- W porządku. Jeszcze tu wrócę. Przemyśl sobie wszystko. Może jednak słyszałeś coś albo widziałeś - powiedział policjant i przytrzymał mu drzwi:

- Idź pierwszy.

- Nie, ja tylko...

Oskar zawrócił, starał się iść normalnie. W połowie drogi odwrócił się i zobaczył, jak policjant wchodzi do jego klatki.

Zatrzymali Eli.

Szczęki zaczęły mu drzeć, zęby szczękały, jakby wystukiwały wiadomość alfabetem Morse'a; otworzył drzwi na klatkę Eli i ruszył w górę po schodach. Ciekawe, czy wygrodzili jej mieszkanie takimi plastikowymi taśmami?

Powiedz, że mogą wejść.

Drzwi były uchylone.

Jeśli była tu policja, to czy zostawiliby otwarte drzwi? Policja chyba tak nie postępuje? Położył palce na klamce, pociągnął ostrożnie i wśliznął się do korytarza. W mieszkaniu panował mrok. Uderzył o coś stopą. O plastikową butelkę. Najpierw pomyślał, że w butelce jest krew, potem zobaczył, że to jakaś ciemna ciecz, której używa się jako podpałki.

Oddech.

Słyszał czyjś oddech.

Jakiś ruch.

Dźwięk dochodził z przedpokoju obok łazienki. Ostrożnie stąpając, Oskar ruszył w jej kierunku; wessał wargi, żeby nie było słychać, jak szczękają mu zęby. Cały dygotał: drżała mu broda i ledwie jeszcze widoczne jabłko Adama. Minał narożnik i zerknął w stronę łazienki.

To nie policjant.

Obok wanny klęczał niechlujnie ubrany mężczyzna. Pochylał się nad wanną; Oskar widział jedynie jego brudne szare spodnie i zniszczone buty opierające się czubkami o kafelki. I rąbek płaszcza.

To był on! Facet!

Ale on oddychał.

Z łazienki dochodził go świszczący oddech, jakby głośne westchnienie. Niewiele myśląc, podszedł bliżej. Z każdym krokiem widział coraz więcej tego, co działo się w łazience; kiedy był już całkiem blisko, rozumiał wszystko.

Lacke nie mógł nic zrobić.

Ciało na dnie wanny wyglądało na całkowicie bezsilne. Nie oddychało. Położył rękę na jego piersi i stwierdził, że serce nadal bije, ale bardzo słabo, zaledwie kilka uderzeń na minutę.

Spodziewał się czegoś przerażającego. Czegoś równie strasznego jak to, co widział w szpitalu. Ta mała krwawa resztką człowieka pewnie nigdy już się nie podniesie, nikomu nie wyrządzi już krzywdy. To było zaledwie dziecko. Skrzywdzone dziecko.

To jakby patrzeć, jak ukochana osoba odchodzi, konając na raka, a potem obejrzeć komórkę nowotworową pod mikroskopem. Żadnego wrażenia. Nic. To coś? To ona jest wszystkiemu winna? To maleństwo?

Zniszcz moje serce.

Zaczął szlochać, opuścił głowę, która z głuchym hukiem uderzyła o brzeg wanny. Nie potrafił. Nie. Nie mógł zabić dziecka. Śpiącego dziecka. To było niewykonalne. Nieważne, że...

Nagle zrozumiał, że właśnie w ten sposób to przeżyło.

To. Nie dziecko. Tylko właśnie to.

To rzuciło się na Virginie i to zabiło Jockego. To. Stworzenie, które leżało tu, przed nim. I które znów mogło to zrobić. Bo to nie było człowiekiem. To nawet nie oddychało, chociaż serce biło mu jak u zwierzęcia, które zapadło w sen zimowy.

Pomyśl o innych.

Jadowity wąż w miejscu, gdzie żyją ludzie. Mam go nie zabić, dlatego że w tym właśnie momencie wygląda tak niewinnie?

Ale nie to sprawiło, że w końcu jednak się zdecydował. Podjął decyzję, kiedy spojrzał w jego twarz, pokrytą cienką warstwą krwi, i zobaczył, jak drwiąco się uśmiecha.

Śmieje się ze wszystkiego zła, które wyrządziła innym.

Dosyć.

Unióś nóż, cofnął się nieco, żeby móc się porządnie zamachnąć i...

- Aaahhh!

Oskar krzyknął.

Mężczyzna wzdrygnął się, zeszywniał, odwrócił się do Oskara i powiedział:

- Muszę to zrobić. Rozumiesz mnie?

Oskar rozpoznał go. Był to jeden z pijaczków, którzy tu mieszkali; czasem mówił mu dzień dobry.

Dlaczego on to robi?

To było bez znaczenia. Ważny natomiast był fakt, że mężczyzna trzymał w ręku nóż, a jego ostrze skierowane było w pierś Elięgo, który leżał nagi w wannie.

- Nie rób tego.

Mężczyzna pokręcił głową w prawo, potem w lewo, nie żeby zaprzeczyć jego słowom, tylko jakby czegoś szukał.

- Nie...

Znów patrzył na wannę, na nóż. Oskar chciał mu wytłumaczyć. Powiedzieć, że w wannie leży jego przyjaciel, że ma dla niego prezent, dla tego czegoś, co leżało w wannie; że to był Eli.

- Zaczekaj!

Czubek noża dotykał znów piersi Elięgo, dziurawił mu skórę. Oskar nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co robi, kiedy nagle włożył rękę do kieszeni, wyjął kostkę i pokazał ją mężczyźnie.

- Spójrz!

Lacke zobaczył ją kątem oka: barwna plama na tle otaczającej go czerni i szarości. Podjął już decyzję, ale mimo to nie potrafił się powstrzymać. Odwrócił głowę, spojrzał, co chłopak trzymał w ręku.

Taką kostkę. W wesołych kolorach.

To chore, tutaj, w tym miejscu? Niczym papuga wśród czarnych kruków. Przez chwilę przyglądał się jak zahipnotyzowany mnogości kolorów, po czym znów spojrzął na wannę, na nóż, który zaraz przebije żebra.

Muszę tylko... nacisnąć.

Jakiś błysk.

Oczy istoty były otwarte.

Spiął się, żeby wcisnąć nóż między żebra, kiedy nagle poczuł, że jego skroń eksploduje.

Kostka zatrzeszczała, kiedy Oskar trafił nią Lackego w głowę. Natychmiast wypuścił ją z ręki. Mężczyzna upadł na bok i wylądował na plastikowym pojemniku, który zaczął sunąć po podłodze łazienki i z głuchym hukiem uderzył w wannę.

Eli usiadł.

Stojąc w drzwiach, Oskar widział jedynie tył jego głowy. Włosy miał lepkie; przylegały płasko do tyłu głowy, plecy były jedną wielką raną.

Mężczyzna próbował się podnieść, kiedy Eli nie tyle wyskoczył, ile wypadł w wanny i wylądował mu na kolanach, jak dziecko, które wspięło się na kolana ojca, żeby tam szukać pocieszenia. Eli zarzucił mu ręce na szyję, przyciągnął jego głowę, jakby chciał szepnąć mu coś miłego.

Kiedy Eli wpił się w szyję mężczyzny, Oskar wycofał się do przedpokoju. Eli nie widział go. Natomiast mężczyzna tak. Ich oczy się spotkały; patrzyli na siebie cały czas, kiedy Oskar cofał się z łazienki do przedpokoju.

- Przepraszam.

Oskar nie mógł wydobyć z siebie głosu, słowo samo ułożyło się na jego ustach, zanim skręcił i ich kontakt wzrokowy się urwał.

Stał z ręką na klamce, kiedy mężczyzna krzyknął. Nagle jednak ucichł, jakby ktoś położył dłoń na jego ustach.

Oskar wahał się. W końcu zamknął za sobą drzwi.

Nie patrząc w prawo, przeszedł przez korytarz i wszedł do dużego pokoju.

Usiadł w fotelu.

Zaczął nucić, żeby zagłuszyć dźwięki, które dochodziły z łazienki.

CZĘŚĆ PIĄTA

WPUŚĆ GO

*Obecnie jest moja jedyna szansa,
by wyrazić swój sprzeciw...*

bob pies: *Ten, który się buntuje*

*Pozwól wejść temu, który wejść powinien
Pozwól umrzeć dawnym marzeniom
Pozwól odejść tym, którzy odejść powinni
Nie oczekuj, że zrobią to
Co chciałbyś, żeby zrobili*

Morrissey: *Let the Right One Slip In*

„ECHA DNIA”, 16.45,
PONIEDZIAŁEK, 9 LISTOPADA 1981

„Tak zwany morderca rytualny został w poniedziałek rano zatrzymany przez policję. W danym momencie mężczyzna przebywał w pomieszczeniach piwnicznych w bloku w Blackebergu w zachodniej części Sztokholmu. Mówi rzecznik policji, Bengt Larn:

- Potwierdzam, że zatrzymano jedną osobę.
- Jesteście pewni, że jest nim właśnie poszukiwany mężczyzna?
- Raczej tak. Mamy jednak pewne problemy z ostateczną identyfikacją.
- Jakie problemy?
- Niestety w chwili obecnej nie mogę nic więcej powiedzieć.

Po zatrzymaniu mężczyzna został przewieziony do szpitala. Jego stan określa się jako krytyczny.

Z mężczyzną był szesnastoletni chłopiec. Jest cały i zdrow, ale znajduje się w szoku; on także został przewieziony do szpitala na obserwację.

Policja przeszukuje najbliższą okolicę, zbierając informacje o przebiegu zdarzenia”.

Król Karol Gustaw otworzył wczoraj nowy most nad cieśniną Almósund w Bohus. W swoim przemówieniu...

Z NOTATEK CHIRURGA, PROFESORA T. HALLBERGA,
SPORZĄDZONYCH NA POTRZEBY POLICJI

„...wstępne badanie utrudnione... skurcze mięśni o charakterze spazmatycznym. ... pobudzenie centralnego układu nerwowego, źródła nie zlokalizowano ... zatrzymanie akcji serca.

Zgon stwierdzono o godz. 14.25... wstępne wyniki pozwalają stwierdzić poważną deformację organów wewnętrznych...

Ciało martwego węgorza nadal podskakuje na patelni... nigdy dotąd nie zaobserwowano podobnego zjawiska w odniesieniu do tkanki ludzkiej... pragniemy zatrzymać ciało... łączymy wyrazy szacunku..."

ARTYKUŁ Z LOKALNEJ GAZETY „YASTERORT”, LISTOPAD

„Kto zabił nasze koty?

Jedyne, co mi zostało, to jej obróżka, mówi Svea Nordstrom, wskazując ręką na pokrytą błotnistym śniegiem łąkę, gdzie znaleziono ciało jej kota i ośmiu innych..."

„AKTUELLf, PONIEDZIAŁEK, 9 LISTOPADA, 21.00

„Wieczorem policja weszła do mieszkania, które -jak się uważa - należało to tak zwanego mordercy rytualnego, który dzisiaj rano został zatrzymany.

Wiadomość, przekazana przez anonimowego informatora, umożliwiła policji zlokalizowanie mieszkania. Mieści się ono w Blackebergu, pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie mężczyzna został zatrzymany.

Nasz reporter, Folke Ahlmarker, jest na miejscu:

- Personel karetki wnosi właśnie ciało mężczyzny, znalezione w mieszkaniu. Nie wiadomo jeszcze, kim jest mężczyzna. Mieszkanie wydaje się opróżnione. Znalezione ślady świadczą jednak o tym, że w mieszkaniu przebywały niedawno także inne osoby.

- Czym zajmuje się teraz policja?

- Cały dzień pukano do drzwi okolicznych mieszkańców, ale wyniki akcji nie są jeszcze znane.

- Dziękujemy, Folke".

Most Tjörnbron, ukończony sześć tygodni przed czasem, został dzisiaj otwarty przez króla Karola Gustawa...

PONIEDZIAŁEK

9 LISTOPADA

SMUGA NIEBIESKIEGO PULSUJĄCEGO ŚWIATŁA NA SUFICIE.

Oskar leży w łóżku z rękami pod głową.

Pod łóżkiem stoją dwa pudła. W jednym leżą pieniądze, mnóstwo banknotów i dwie butelki benzyny; w drugim cząstki układanki.

Karton z ubraniami został w mieszkaniu.

Żeby ukryć pudła, Oskar ustawił przed nimi planszę z grą w hokeja. Jutro zniesie je do piwnicy, jeśli będzie miał siłę. Mama ogląda program w telewizji, woła, że pokazują ich blok. Ale przecież wystarczy podejść do okna i zobaczy się to samo, tyle że pod nieco innym kątem.

Pudła przerzucił z balkonu Eliego na swój, kiedy jeszcze było widno; Eli mył się wtedy w łazience. Kiedy wyszedł, rany na plecach zdażyły się już zagoić. Eli czuł się lekko podchmielony, we krwi miał nadal trochę alkoholu.

Leżeli razem na łóżku, obejmowali się. Oskar opowiedział o tym, co się stało na stacji metra.

- Przepraszam. Ja to wszystko uruchomiłem - powiedział Eli.

- Nie przejmuj się. Wszystko jest w porządku.

Potem cisza. Długa cisza. Potem Eli spytał ostrożnie:

- Chciałbyś być taki jak ja?

- Nie. Chciałbym być z tobą, ale...

- Jasne. Oczywiście. Rozumiem.

Kiedy zapadł zmrok, wstali z łóżka, ubrali się. Stali w pokoju, obejmując się, kiedy usłyszeli dźwięk piły. Ktoś próbował wyciąć zamek.

Wybiegli na balkon, przeskoczyli przez balustradę i wylądowali miękko w rosnących na dole krzakach.

Z mieszkania doszedł ich głos:

- Co do diabła...

Skulili się pod balkonem. Nie mieli już czasu.

Eli odwrócił się twarzą do Oskara:

- Ja... - zaczął, ale zaraz zamilkł. Wycisnął pocałunek na ustach Oskara.

Przez kilka sekund Oskar patrzył Eliemu w oczy. I widział w nich - siebie.

Tylko lepszego, przystojniejszego i silniejszego, niż uważał, że był. To był jego obraz stworzony z miłości.

Widział go przez kilka sekund.

Głosy w mieszkaniu obok.

Zanim wstali z łóżka i wyszli, Eli zdążył jeszcze zerwać ze ściany kartkę z alfabetem Morse'a. Teraz obce stopy zostawiają swoje ślady w pokoju, gdzie Eli leżał na łóżku i z nim rozmawiał.

Oskar przyłożył dłoń do ściany.

- Posłuchaj...

WTOREK

10 LISTOPADA

WE WTOREK OSKAR NIE POSZEDŁ DO SZKOŁY. Leżał w łóżku i wsłuchiwał się w głosy, dochodzące zza ściany. Zastanawiał się, czy znajdą coś, co naprowadzi ich na jego trop. Po południu głosy ucichły, nikt się nie pojawił.

Wtedy wstał, ubrał się i poszedł do klatki Eliego. Drzwi do mieszkania były zaplombowane. Nie wolno było tam wchodzić. Stał i przyglądał się drzwiom, wtedy nadszedł policjant. Ale dla niego był po prostu ciekawskim chłopcem z sąsiedztwa.

Kiedy na dworze zaczęło się ściemniać, zniósł pudła do piwnicy. Nakrył je starym dywanem. Potem się zastanowił, co z nimi zrobić. Złodziej, który teraz włamałby się do ich piwnicy, na pewno by się ucieszył.

Długą chwilę siedział w ciemnościach i rozmyślał. Eli, Tommy, facet. Eli wszystko mu opowiedział; zapewniał, że nie chciał, żeby to tak się potoczyło.

Tommy żył. Dojdzie do siebie. Jego mama powiedziała to mamie Oskara. Jutro miał wrócić ze szpitala do domu.

Jutro.

Jutro też Oskar miał wrócić do szkoły.

Do Jonny'ego, do Tomasa, do...

Musimy z nim trochę poćwiczyć...

Zimne, silne place Jonny'ego na jego policzkach. Wbijają się w jego miękkie ciało, naciskały na szczęki, aż w końcu otwierała usta.

Kwicz jak prosię.

Oskar złożył ręce. Oparł twarz o dłoń. Przyglądał się małemu wyrzuceniu na dywan. Wstał, odciągnął dywan i otworzył pudło z pieniędzmi.

Banknoty po tysiąc koron, po sto, wymieszane ze sobą, w zwitkach. Sięgnął głębiej i wśród pieniędzy namacał plastikową butelkę. Potem poszedł do mieszkania po zapałki.

Pojedynczy reflektor oświetlał szkolne podwórze zimnym, białym światłem. Poza jego kręgiem można było dostrzec zarys różnych przyrządów na placu zabaw. Stoły do ping-ponga, tak popękane, że można było grać na nich tylko piłką tenisową, pokryte były śnieżną mazią.

Kilka rzędów okien było oświetlonych. Kursy wieczorowe. Z tego też powodu zostawiano otwarte jedne z bocznych drzwi.

Szedł ciemnymi korytarzami do swojej klasy. Przez chwilę przyglądał się ławkom. O tej porze sala lekcyjna wydawała mu się nierzeczywista, jakby przejęły ją duchy i prowadziły tu swoje zajęcia, jakkolwiek mogły one wyglądać.

Podszedł do ławki Jonny'ego. Otworzył nakrętkę i rozlał trochę benzyny. Potem podszedł do ławki Tomasa i zrobił to samo. Zatrzymał się chwilę przed ławką Mického. Postanowił, że jej nie obleje. Potem usiadł we własnej ławce. Niech podpałka się wchłonie. Jakby szykował się do grillowania.

Jestem duchem. Buuu... buuu...

Podniósł pulpit, wyjął książkę. *Podpalaczka*, roześmiał się i włożył ją do torby. Wyjął zeszyt do szwedzkiego, w którym napisał kiedyś opowiadanie, które mu się podobało. Wziął do ręki swój ulubiony długopis. Włożył do torby. Potem wstał, przeszedł się po klasie. Lubił tu przebywać. Kiedy był spokojny.

Kiedy unióś blat, żeby wyjąć zapałki, od ławki Jonny'ego doszedł go jakiś chemiczny zapach.

Zaraz, chwileczkę...

Podszedł do półki, wiszącej na przeciwległej ścianie, i wziął dwie duże drewniane linijki. Jedną podparł blat ławki Jonny'ego, drugą Tomasa. Inaczej ogień zgasłby, jak tylko opuści blat.

Dwa głodne przedpotopowe potwory, otwierające paszcze do karmienia. Smoki.

Zapałił zapałkę, trzymał ją w ręku, aż zaczęła płonąć dużym, jasnym płomieniem. Wtedy ją upuścił.

Upadła. Żółta kropla ognia...

A niech to...

Zapiekły go oczy, nad ławką pojawił się mały ogon komety i polizał mu twarz. Cofnął się, spodziewał się, że ogień będzie się palił jak na rożnie, ale ławka zajęła się natychmiast, zamieniając się w jeden wielki płomień, który już sięgał sufitu.

Ogień był za duży.

Płomienie tańczyły, muskały ściany klasy; nad ławką Jonny'ego wisiała girlanda z dużych liter wyciętych z papieru, „P” i „Q” natychmiast się zajęły,

girlanda upadła, część jej wylądowała na ławce Tomasa, która natychmiast też stanęła w płomieniach.

„Hoummm” słyszał Oskar, kiedy wybiegał z klasy z torbą, objijając mu się o biodro.

A jeśli cała szkoła...

Kiedy dotarł do końca korytarza, zaczął dzwonić dzwonek. Głośny metaliczny dźwięk wypełnił budynek; dopiero na schodach zrozumiał, że był to alarm przeciwpożarowy.

Na szkolnym podwórzu duży dzwonek wzywał swoim wściekłym głosem nieobecnych uczniów, zbierał duchy szkoły i towarzyszył Oskarowi niemal przez całą drogę do domu.

Dopiero, kiedy dotarł do starego sklepu, gdzie dźwięk dzwonka już nie docierał, nieco się rozluźnił. Spokojnym krokiem ruszył do domu.

W lustrze w łazience zobaczył, że czubki jego rzęs były poskręcane, spalone. Przesunął po nich palcem i odpadły.

ŚRODA

11 LISTOPADA

ZOSTAŁ W DOMU. Bolała go głowa. Około dziewiątej zadzwonił telefon. Nie odebrał. Koło południa zobaczył przez okno Tommy'ego i jego mamę. Tommy siedł powoli, zgarbiony. Jak stary człowiek. Oskar przykucnął, schował się pod oknem, kiedy przechodzili obok.

Telefon dzwonił co godzinę. W końcu, o dwunastej, podniósł słuchawkę.

- Mówi Oskar.

- Dzień dobry. Nazywam się Bertil Svanberg i, jak zapewne wiesz, jestem dyrektorem szkoły, do której...

Oskar odłożył słuchawkę. Telefon znów zadzwonił. Stał chwilę, wpatrując się w aparat. Wyobrażał sobie dyrektora, który siedział w swojej marynarce w kratkę, bębnił palcami w blat biurka i stroił miny. Oskar ubrał się i zszedł do piwnicy.

Siedział nad kartonem z częściami układanek, włożył rękę do białego drewnianego pudełka, gdzie błyszczały setki drobnych kawałków szklanego jajka. Eli wziął ze sobą tylko kilka tysięcy koron i kostkę. Oskar zamknął pudło z układankami i otworzył to drugie, zamieszał ręką w szeleszczących banknotach. Wziął garść, rzucił na podłogę. Część wsadził do kieszeni. Po chwili wyjął i zaczął się bawić w *Chłopca w złotych spodniach*. W końcu się zmęczył. U jego stóp leżały pomięte banknoty: dwanaście po tysiąc koron i siedem po sto.

Zebrał banknoty tysiackoronowe i złożył je. Banknoty stukoronowe schował z powrotem do pudełka. Zamknął je. Wrócił do mieszkania, znalazł białą kopertę i włożył do niej banknoty. Siedział, trzymając ją w rękę, i nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Nie chciał nic na niej pisać, ktoś mógłby przecież rozpoznać jego charakter pisma.

Zadzwonił telefon.

Przeście dzwonić. Zrozumcie wreszcie, że ja już nie istnieję.

Ktoś chciał z nim poważnie porozmawiać. Zapewne spytać, czy zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił. Bardzo dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Jonny i Tomasz zapewne też. Bardzo dobrze. Więc o czym tu rozmawiać.

Podszedł do biurka, wyjął arkusz z literami do naklejania. Na środku koperty nakleił „T” i „O”. Pierwsze „M” nakleiło mu się krzywo, ale drugie już lepiej. „Y” też.

Kiedy z kopertą w kieszeni otwierał drzwi do klatki, gdzie mieszkał Tommy, bał się bardziej niż poprzedniego wieczoru w szkole. Ostrożnie, z bijącym sercem, wrzucił kopertę do skrzynki na listy na drzwiach Tommy'ego. Nie chciał, żeby ktoś coś usłyszał i podszedł do drzwi albo zobaczył go z okna.

Ale nikt nie podszedł do drzwi, nikt go nie zobaczył; kiedy Oskar wrócił do swojego mieszkania, czuł się już nieco lepiej. Przez moment. Potem wszystko wróciło.

Mnie... nie powinno tu być.

O trzeciej wróciła mama z pracy, znacznie wcześniej niż zwykle. Oskar siedział w dużym pokoju i słuchał płyty Wikingów. Mama weszła do pokoju, podniosła ramię adaptera i wyłączyła go. Po jej twarzy widać było, że wiedziała.

- Jak się czujesz?

- Nienajlepiej.

- No tak...

Westchnęła i usiadła na kanapie.

- Dzwonił dyrektor szkoły. Do mnie do pracy. Mówił, że był pożar. Wczoraj wieczorem. W szkole.

- Ach tak. Spaliła się?

- Nie, ale...

Zamknęła usta, spuściła wzrok i kilka sekund wpatrywała się w dywan. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Ty to zrobiłeś?

Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział:

- Nie.

Pauza.

- Bo widzisz, znaczna część klasy została zniszczona, a szczególnie ławki Jonny'ego i Tomasa - od nich zaczął się pożar.

- Ach tak.

- I oni są przekonani, że ty to zrobiłeś.

- Ale nie zrobiłem.

Mama nadal siedziała na kanapie, oddychała przez nos. Siedzieli metr od siebie, a odległość między nimi wydawała się nieskończona.

- Chcą z tobą rozmawiać.

- Ale ja nie chcę rozmawiać z nimi.

Zapowiadał się długi wieczór. W telewizji nie było żadnego ciekawego programu.

W nocy Oskar nie mógł zasnąć. W końcu wstał z łóżka i podszedł do okna. Miał wrażenie, że widzi kogoś przy drabinkach na placu zabaw. Ale to pewnie było tylko złudzenie. A jednak stał i dalej przyglądał się cieniom, aż oczy same zaczęły mu się zamykać.

Jednak kiedy położył się do łóżka, nadal nie mógł zasnąć. Delikatnie zastukał w ścianę. Żadnej odpowiedzi. Tylko pusty dźwięk, kiedy jego palce uderzały o betonową ścianę, pukając do drzwi, które na zawsze miały pozostać zamknięte.

CZWARTEK

12 LISTOPADA

RANO OSKAR WYMIOTOWAŁ i mama pozwoliła mu zostać w domu jeszcze jeden dzień. Mimo że spał w nocy kilka godzin, nie czuł się wypoczęty. W całym ciele czuł dręczący go niepokój, bez przerwy chodził po pokoju. Brał różne rzeczy do ręki, oglądał je, odkładał na miejsce.

Jakby czuł, że musi coś zrobić. Coś, co było szalenie ważne, co musiał zrobić. Tylko nie wiedział, co to było.

Przez moment, kiedy podpałał ławki Jonny'ego i Tomasa, sądził, że to było to. Potem myślał to samo, wrzucając kopertę z pieniędzmi dla Tommy'ego. Ale to też nie było to. Chodziło o coś innego.

O jakiś wielki spektakl teatralny, który już się skończył. A on chodził teraz po pustej, ciemnej scenie i zgarniał to, o czym zapomniano. Tu chodziło o coś innego...

Tylko o co?

Koło jedenastej przysłała poczta, jeden list. Kiedy go podnosił, czuł, że serce robi fikołka w piersi.

List był do mamy. W prawym górnym rogu był stempel z napisem: „Kuratorium dla Południowego Ängby”. Podarł go, nie przeczytawszy, i spuścił

kawałki w toalecie. Natychmiast tego pożałował, ale było już za późno. Nie obchodziło go, co tam było napisane, ale tego rodzaju postępowanie może doprowadzić do jeszcze większych problemów; najlepiej było zostawić wszystko własnemu biegowi.

Ale to i tak nie miało żadnego znaczenia.

Rozebrał się, włożył płaszcz kąpielowy. Stał przed lustrem w przedpokoju i przyglądał się sobie. Udawał, że jest kimś innym. Pochylił się, żeby pocałować lustro. W momencie, kiedy jego wargi dotknęły zimnej tafli, zadzwonił telefon. Niewiele myśląc, podniósł słuchawkę:

- Tak, to ja.

- Oskar?

- Tak.

- Cześć, mówi Fernando.

- Słucham?

- Avila. Twój nauczyciel.

- Ach tak. Cześć.

- Chciałem spytać, czy przyjdiesz dzisiaj na trening.

- Ja... jestem chory.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Oskar słyszał, jak nauczyciel oddycha. Jeden oddech, drugi... I potem:

- Posłuchaj, Oskar. Czy ty to zrobiłeś, czy nie ty... To nie ma dla mnie znaczenia. Jeśli chcesz rozmawiać, to porozmawiamy. Jeśli nie, to nie. Ale chcę, żebyś przyszedł na trening.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie możesz się zamykać, jak ten *caracol*... Jak to się nazywa? Ślimak. Jak ślimak w swojej skorupie. Jeśli nie jesteś chory, to będziesz. Jesteś chory?

- ...tak.

- Więc potrzebujesz poćwiczyć. Przyjdź.

- A reszta?

- Reszta? Jaka reszta? Jeśli będą robić coś głupiego, to powiem *boh*, i będą musieli wyjść, ale nie zrobią nic głupiego. Trening to trening.

Oskar nie odpowiadał.

- Więc okej? Przyjdiesz?

- Tak...

- Dobrze. Na razie.

Oskar odłożył słuchawkę i znów zapanowała wokół niego cisza. Nie chciał iść na trening. Ale chciał się spotkać z nauczycielem. Może przyjdzie trochę wcześniej, może nauczyciel już tam będzie. A potem, kiedy zaczną się ćwiczenia, pójdzie do domu.

Avili to się nie spodoba, ale...

Zrobił kilka rund po mieszkaniu. Spakował swój strój gimnastyczny, głównie, żeby mieć jakieś zajęcie. Dobrze, że nie podpalił ławki Mickego. Przynajmniej on będzie mógł przyjść. Ale może jego ławka też została zniszczona, skoro stała tuż obok ławki Jonny'ego? Ciekawe, co naprawdę się spaliło?

Może spyta kogoś...

Około trzeciej znów zadzwonił telefon. Oskar zawahał się, zanim podniósł słuchawkę, ale po historii z listem uznał, że lepiej będzie, jeśli odbierze.

- Słucham, mówi Oskar.
- Cześć, tu Johan.
- Hej.
- Jak sprawy?
- Tak sobie.
- Pójdziemy gdzieś wieczorem?
- O której?
- Tak około siódmej.
- Nie. Mam trening.
- Ach tak. Szkoda. Cześć.
- Johan?
- Tak?
- Słyszałem, że... był pożar. W klasie. Dużo się spaliło?
- Nie. Kilka ławek.
- Nic więcej?
- Nie, trochę jakichś papierów.
- Aha.
- Twoja ławka ocalała.
- Dobrze.
- No to nara.
- Nara.

Oskar odłożył słuchawkę z dziwnym uczuciem w żołądku. Spodziewał się, że wszyscy już wiedzą, że on to zrobił. A Johan brzmiał, jakby nie wiedział. Mama twierdziła, że szkody są duże. Ale pewnie przesadzała.

Oskar postanowił uwierzyć Johanowi. W końcu on tam był i widział wszystko na własne oczy.

- No wiesz...

Johan odłożył słuchawkę i rozejrzał się bezradnie. Jimmy kręcił głową. Wydmuchał dym przez okno pokoju Jonny'ego.

- W życiu nie słyszałem takiej głupiej gadki.
- To wcale nie było łatwe - odpowiedział żalonym głosem Johan.

Jimmy odwrócił się do Jonny'ego, który siedział na swoim łóżku i skubał frędzle od narzuty.

- A jak jest naprawdę? Pół klasy spłonęło?

Jonny pokiwał głową.

- Wszyscy w klasie go nienawidzą.
- A ty - zwrócił się Jimmy do Johana - powiedziałaś, że co? Jakies papiery. Myślisz, że da się na to nabrać?

Johan schylił głowę zawstydzony.

- Nie wiedziałem, co powiedzieć. Pomyślałem, że zacznie coś podejrzewać, jeśli...

- No trudno. Stało się. Miejmy nadzieje, że przyjdzie.

Johan zerkał to na Jonny'ego, to na Jimmy'ego. Ich wzrok był pusty, obaj wydawali się pochłonięci tym, co dzisiaj miało się wydarzyć.

- Co zamierzacie zrobić?

Jimmy pochylił się na krzesło, strzepał popiół, który upadł mu na rękaw, i powiedział cicho:

- Wszystko spłonęło. Wszystko, co mieliśmy po naszym ojcu. Więc domyśl się. Ale nie musisz się w to tak bardzo angażować.

Mama wróciła o wpół do szóstej. Kłamstwa, wczorajsze niedopowiedzenia nadal wisiały między nimi jak zimna mgła. Mama od razu poszła do kuchni i zaczęła hałasować talerzami. Oskar zamknął drzwi. Położył się na łóżku, wpatrywał się w sufit.

Mógł wyjść. Na podwórko. Zejść do piwnicy. Pójść na rynek. Pojechać gdzieś metrem. Ale nie było miejsca, gdzie on... Takiego miejsca nie było.

Słyszał, jak mama podeszła do telefonu, wybrała jakiś numer, dużo cyfr, pewnie do taty.

Oskarowi zrobiło się zimno.

Naciągnął na siebie narzutę i usiadł, opierając się o ścianę. Słuchał rozmowy rodziców przez telefon. Gdyby mógł porozmawiać z ojcem. Ale nie mógł. Nigdy im to nie wychodziło.

Oskar otulił się szczelniej narzutą. Udawał, że jest indiańskim wodzem i nic go nie obchodzi. Mama mówiła coraz głośniejsze. Po chwili zaczęła krzyczeć. Indiański wódz padł na łóżko, naciągnął na siebie narzutę, zatkał rękami uszy.

W jego głowie panowała cisza. Jakby znalazł się w przestrzeni kosmicznej.

Oskar zamieniał kreski i kolorowe kropki, które tańczyły mu przed oczami, na planety, odległe systemy słoneczne, przez które podróżował. Lądował na kometach, leciał chwilę z nimi, a potem szybował swobodnie w przestrzeni, aż poczuł, że ktoś go szarpie i otworzył oczy.

Nad nim stała mama. Miała zaciśnięte usta. Zaczęła mówić łamiącym się głosem:

- No więc tata mi wszystko powiedział. Że wtedy, w sobotę... Że ty... Gdzie ty byłeś? Słyszysz? Gdzie byłeś? Możesz mi odpowiedzieć?

Mama chwyciła narzutę i szarpnęła, przy jego twarzy. Jej szyja wyglądała jak naciągnięta struna.

- Nigdy więcej już tam nie pojedziesz. Nigdy! Słyszysz? Dlaczego nic nie powiedziałaś? Co za kretyn! Tacy w ogóle nie powinni mieć dzieci. Nigdy już cię nie zobaczy. Niech sobie tam siedzi, niech się zapije na śmierć. Słyszysz? Nie jest nam potrzebny. Mam go tak...

Mama nagle odwróciła się od łóżka, trzasnęła drzwiami, aż ściana zadrżała. Oskar słyszał, że znów zaczęła wybierać ten długi numer. Opuściła jedną cyfrę i zakłęta, zaczęła od początku. W końcu jej się udało i po kilku sekundach znów zaczęła krzyczeć.

Oskar wstał z łóżka, wziął torbę ze strojem gimnastycznym i wyszedł do korytarza, gdzie mama była tak zajęta krzyczeniem na tatę, że nie zauważyła, jak włożył buty i, nie zawiązując ich, podszedł do drzwi.

Zobaczyła go dopiero, kiedy już stał na podeście.

- A ty dokąd się wybierasz?

Oskar trzasnął drzwiami i zbiegł po schodach; biegł aż do budynku basenu.

- Roger, Prebbe...

Jimmy wskazał plastikowym widelcem na dwóch chłopaków, którzy właśnie wychodzili z metra. Kawałek kanapki z sałatką z krewetek, który Jonny przed chwilą wziął do ust, ugrzązł mu w gardle i musiał jeszcze raz przełknąć. Spojrzał pytająco na swojego brata, ale uwaga Jimmy'ego była skierowana na tych dwóch, którzy, nie spiesząc się, podeszli do budki z kiełbaskami.

Roger był chudy, miał długie, rzadkie włosy i skórzaną kurtkę. Twarz miał całą w dziobach, wydętne kości policzkowe i oczy, które wydawały się nienaturalnie duże.

Prebbe ubrany był w dżinsową kurtkę z odciętymi rękawami, T-shirt i nic więcej, mimo że na dworze było zaledwie kilka stopni ciepła. Był potężnie zbudowany. Jakby spuchnięty. Włosy miał krótko ostrzyżone. Wyglądał jak myśliwy, który stracił swoją dawną formę.

Jimmy coś im powiedział, wskazał na coś ręką i po chwili obaj ruszyli w kierunku stacji przekąsnikowej nad torami metra. Jonny wyszeptał:

- Po co oni przyjechali?

- Żeby nam pomóc, rozumie się.

- A to konieczne?

Jimmy parsknął i pokręcił głową. Jonny najwyraźniej naprawdę nie rozumiał, jak sprawy się miały i jak się załatwiało takie rzeczy.

- A pomyślałeś o kolorowym?

- O Avili?

- Tak. Myślisz, że pozwoli nam tam tak po prostu tam wpaść, co?

Na to Jonny nie miał odpowiedzi; ruszył za bratem, który kierował się w stronę małego domku z cegły. Obok, w cieniu, stali Roger i Prebbe, ręce mieli w kieszeniach, przytupywali. Jimmy wyjął z kieszeni kurtki papierośnicę w kolorze srebra, otworzył i podsunął w ich stronę.

Roger przyglądał się uważnie leżącym w niej sześciu ręcznie skręconym papierosom.

- Tylko brać, no proszę - powiedział i dwoma palcami sięgnął po najgrubszego.

Prebbe zrobił minę, która sprawiła, że wyglądał, jak jeden z tych facetów z *Muppetów*, którzy siedzieli na balkonie.

- Tracą na jakości, jeśli tak leżą.

Jimmy potrząsnął papierośnicą.

- Gówno się znasz. Sam je zwijałem godzinę temu. To nie jest to marokańskie badziewie, którego wszędzie pełno, tylko prawdziwy towar.

Prebbe go zatkało, ale wziął papierosa, Roger podał mu ogień.

Jonny spojrzał na brata, którego profil odcinał się ostro w świetle padającym z peronu metra. Jonny podziwiał go. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek odważy się powiedzieć: „Gówno się znasz” do kogoś takiego jak Prebbe.

Jimmy też wziął papierosa. Zapalił. Papier na czubku tlił się chwilę, zanim na dobre się rozpalił. Zaciągnął się i Jonny poczuł wokół siebie słodkawą zapach, którym zawsze przesiąknięte było ubranie brata.

Chwilę palili w milczeniu. Potem Roger podał swojego skręta Jonny'emu.

- Sztachniesz się?

Jonny już wyciągał rękę, kiedy Jimmy klepnął Rogera w ramię.

- Kretyn. Chcesz, żeby zrobił się taki jak ty?

- Byłoby fajnie.

- Może dla ciebie. Dla niego na pewno nie.

Roger wzruszył ramionami, cofnął rękę.

Było wpoł do siódmej, kiedy wszyscy skończyli palić i Jonny zaczął wyklądać sprawę. Mówił przesadnie wyraźnie, cedząc każde słowo, jakby było jakąś skomplikowaną strukturą.

- Okej. To jest Jonny. Mój brat.

Roger i Prebbe kiwnęli głowami ze zrozumieniem. Jimmy nieco niezdarnym ruchem chwycił brata za brodę i przekręcił nieco jego głowę w stronę pozostałych.

- Widzicie jego ucho? On to robił. Ten, którym musimy się zająć.

Roger zrobił krok do przodu, zmrużył oczy i cmoknął.

- A niech to. Paskudnie wygląda.

- Nie potrzebuję opinii eksperta. Macie tylko słuchać. A więc zrobimy tak...

Krata w korytarzu była otwarta. Szybciej, szybciej zdawało się mówić echo, kiedy Oskar podchodził do drzwi pływalni. Otworzył je. Wilgotne ciepło oblepiło mu twarz, chmura pary wtoczyła się do zimnego korytarza. Szybko wszedł i zamknął drzwi.

Skopał buty i ruszył w stronę szatni. Była pusta. Spod prysznic dochodził plusk wody i czyjś niski głos. Ktoś śpiewał:

Besame, besame mucho

Como si fuera esta noche la ultima vez...

Nauczyciel. Nie zdejmując kurtki, Oskar usiadł na jednej z ławek. Czekał. Po chwili ustało i pluskanie, i śpiew. Nauczyciel wyszedł do przebieralni z ręcznikiem wokół bioder. Jego klatka piersiowa porośnięta była gęstymi, czarnymi włosami, gdzieniegdzie już siwymi. Oskar uznał, że wygląda jak przybysz z innej planety. Nauczyciel zauważył go i szeroko się uśmiechnął.

- Oskar? Więc jednak wyszedłeś ze skorupy.

Oskar pokiwał głową.

- Zrobiła się za ciasna.

Nauczyciel się roześmiał; podrapał się po piersi, palce zniknęły wśród gęstych włosów.

- Przyszedłeś wcześniej.

- Tak, pomyślałem...

Oskar wzruszył ramionami. Nauczyciel przestał się drapać.

- Co pomyślałeś?

- Nie wiem.

- Chcesz porozmawiać?

- Nie, ja tylko...

- Pokaż mi się.

Avila podszedł do Oskara i zaczął się przyglądać jego twarzy. Pokiwał głową.

- Aha. Okej.

- Co takiego?

- Ty to zrobiłeś - powiedział. I wskazując na swoje oczy, dodał. - Widzę przecież. Spaliłeś sobie brwi. Nie, jak to się mówi? Rzę...

- Rzęsy?

- Rzęsy. Właśnie. I włosy też, trochę. Hm. Jeśli nie chcesz, żeby ktoś się dowiedział, powinieneś trochę je podciąć, tutaj. A rzęsy - szybko ci odrosną. W poniedziałek nie będzie śladu. Benzyna?

- Podpałka.

Nauczyciel zagwizdał i pokręcił głową.

- Bardzo niebezpieczne. Prawdopodobnie - zaczął i dotknął palcem wskazującym skroni Oskara - jesteś trochę szalony. Nie tak bardzo. Tylko trochę. Dlaczego podpałka?

- Znalazłem.

- Znalazłeś? Gdzie?

Oskar spojrział na twarz nauczyciela: była wilgotna, dobroduszną, jakby wyciosana z kamienia. Chciał mu powiedzieć. Wszystko. Tylko nie wiedział, od czego zacząć. Avila czekał. Po chwili się odezwał:

- Niebezpiecznie jest igrać z ogniem. To może się przerodzić w nawyk. Kiepska metoda. Polecam ćwiczenia fizyczne.

Oskar przytaknął i nagle stracił chęć. Nauczyciel był w porządku, ale nie zrozumiąłby go.

- Przebierz się, pokażę wam parę technicznych chwytów ze sztangą. Okej? Nauczyciel odwrócił się, zatrzymał się w drzwiach.

- I nie bój się, Oskar. Nie musisz się martwić. Jeśli nie chcesz, to nikomu nie powiem. Dobrze? Po treningu możemy porozmawiać.

Oskar zaczął się przebierać. Kiedy skończył, do przebieralni weszli Patrik i Hasse, dwóch chłopców z 6A. Powiedzieli Oskarowi „cześć”. Miał jednak wrażenie, że zbyt uważnie mu się przyglądają, a kiedy wchodził na salę, słyszał, jak szepczą coś między sobą.

Poczuł się nieprzyjemnie. Zaczął żałować, że w ogóle przyszedł. Ale zaraz za nim wszedł nauczyciel ubrany w koszulkę i szorty. Pokazał im, jak mogą więcej wycisnąć, ćwicząc ze sztangą, jeśli oprą ją na opuszkach palców. Oskar udźwignął dwadzieścia osiem kilogramów, o dwa więcej niż poprzednim razem. Avila zapisał nowy rekord w swoim notesie.

Przychodziło coraz więcej chłopców. Pojawił się też Micke. Jak zwykle miał przyklejony do ust swój tajemniczy uśmieszek, który mógł oznaczać wszystko: że za chwilę da komuś prezent, albo da mu w twarz.

Najczęściej to drugie. Micke krzywdził ludzi, nie zawsze zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo.

Kiedy szedł na trening, dogonił go po drodze Jonny; powiedział, że chce zażartować sobie trochę z Oskara i potrzebuje jego pomocy. Micke'owi się to spodobało. Lubił żarty. Poza tym we wtorkowym pożarze spłonęła cała jego kolekcja kart z hokeistami, więc chętnie zgodził się pomóc. Zabawią się kosztem Oskara. Fajnie.

Na razie jednak się uśmiechał.

Trening trwał. Oskar miał wrażenie, że koledzy dziwnie na niego patrzą, ale kiedy próbował pochwycić ich wzrok, od razu zaczynali patrzeć w inną stronę. Najchętniej wróciliby do domu.

Nie... wracać...

Po prostu wyjść.

Ale nauczyciel miał na niego oko, więc nie bardzo mógł. Poza tym tu chyba było jednak lepiej niż w domu.

Kiedy Oskar skończył swój zestaw ćwiczeń, był tak zmęczony, że nawet nie miał siły źle się czuć. Poszedł do przebieralni chwilę po wszystkich. Wszedł pod prysznic, stał odwrócony plecami do łazienki. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. I tak wszyscy byli nadzy.

Zatrzymał się chwilę przy szklanej tafli, oddzielającej prysznice od basenu, wytarł ręką dziurę w zaporowanym szkle i zaczął się przyglądać dzieciom, które skakały do basenu, goniły się, rzucały piłkami. I znów powróciło to uczucie. Nie potrafił wyrazić tego słowami, nie była to nawet jakaś konkretna myśl, ale bardzo mocno czuł, że jest sam.

Jestem zupełnie sam.

W tym momencie zauważył go nauczyciel. Pokazał mu ręką, żeby przyszedł i wskoczył do basenu. Oskar zszedł po niskich schodkach, podszedł do brzegu basenu i zaczął się przyglądać chemicznemu błękitowi wody. Stał na drabince i zaczął powoli schodzić, zanurzając się coraz głębiej w zimnej wodzie.

Micke siedział na brzegu basenu, śmiał się do niego, kiwał głową. Oskar zrobił kilka ruchów i zaczął płynąć w stronę nauczyciela.

- Uważaj!

Kątem oka zobaczył lecącą na niego piłkę, ale o sekundę za późno. Uderzyła w wodę tuż przed nim, ochlapała go, chlorowana woda wpadła mu do oczu. Poczuł pieczenie, poleciały mu łzy. Zaczął trzeć oczy. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, zobaczył, że nauczyciel stał i patrzył na niego, a na jego twarzy malowało się... współczucie?

Czy pogarda.

A może mu się tylko zdawało? Odsunął piłkę, która kołysała się na powierzchni tuż przed jego nosem, i zanurzył się w wodzie. Pozwolił głowie zniknąć pod powierzchnią, czuł, jak włosy łaskoczą go za uszami. Wyciągnął ręce na boki, zaczął unosić się na wodzie z twarzą całą czas pod powierzchnią. Udawał, że nie żyje.

Miał nadzieję, że pozostanie w wodzie już na zawsze.

Że już nigdy nie będzie musiał się podnieść i patrzeć w oczy tych, którzy życzyli mu jak najgorzej. Albo że gdy się podniesie, to świat zniknie. Że będzie tylko on i wielki błękit.

Mimo że uszy też miał zanurzone w wodzie, dochodziły do niego odległe dźwięki, głosy otaczającego go świata, bo on istniał, i kiedy Oskar w końcu unosił głowę, powrócił do niego, krzykliwy i jazgotliwy.

Micke opuścił miejsce przy brzegu basenu, chłopcy w wodzie grali teraz w rodzaj siatkówki wodnej. Biała piłka fruwała w powietrzu, wyraźnie widoczna na tle szyb z czarnego mrożonego szkła. Oskar podpłynął do rogu basenu w jego głębszej części, stał i przyglądał się im, tylko nos wystawał mu z wody.

Nagle zobaczył, jak Micke idzie szybkim krokiem od strony pryszniców i woła:

- Proszę pana! W pana pokoju dzwoni telefon!

Avila wymamrotał coś pod nosem i ruszył wzdłuż basenu. Skinął głową Micke'owi. Oskar widział jego niewyraźny profil za taflą zaporowanego szkła.

Po chwili zniknął.

Jak tylko Micke opuścił przebieralnię, zajęli swoje pozycje.

Jonny i Jimmy wśliznęli się do salki gimnastycznej; Roger i Prebbe przywarli do ściany obok drzwi. Usłyszeli, jak Micke woła coś do nauczyciela, i po chwili byli już gotowi.

Słyszeli odgłosy bosych stóp, zbliżały się, minęły salkę gimnastyczną i za ledwie kilka sekund później Avila stanął w drzwiach do przebieralni. Zaczął kierować się do swojego pokoju. Prebbe miał już naszykowaną długą, grubą skarpetę, napełnioną drobnymi monetami. Owinał ją sobie wokół dłoni, żeby móc lepiej trzymać. Kiedy nauczyciel dotarł do drzwi i odwrócił się do niego plecami, Prebbe zrobił krok do przodu i zamachnął się ciężką skarpetą, celując w jego głowę.

Zrobił to jednak nieudolnie i nauczyciel najwyraźniej coś usłyszał. Odwrócił głowę i uderzenie trafiło go tuż nad uchem. Skutek jednak był taki sam. Avila poleciał do przodu, uderzył głową o framugę i upadł na podłogę.

Prebbe usiadł mu na piersi, chwycił mocniej ciężką skarpetę z drobniakami, żeby w razie czego uderzyć jeszcze raz, chociaż nic nie wskazywało, że będzie to konieczne. Ręce nauczyciela drżały lekko, ale nawet nie próbował stawiać oporu. Prebbe nie sądził, żeby nie żył. Nie wyglądał na trupa.

Podszedł Roger, nachylił się nad ciałem.

- To Turek czy co?

- A cholera wie. Szukaj kluczy.

Roger sięgnął do kieszeni spodnek nauczyciela. Kątem oka widział, jak Jonny i Jimmy wychodzą z przebieralni i kierują się w stronę basenu. Wyjął klucze, sprawdził, czy pasują do zamka. Zerknął na leżącego na podłodze nauczyciela.

- Owłosiony jak małpa. Turek, na mur.

- Opuść już siebie.

Roger westchnął, dalej próbował dopasować klucz do zamka w drzwiach.

- Powiedziałem to ze względu na ciebie. Pewnie trochę lepiej się poczujesz...

- Mną się nie martw. Pospiesz się.

Roger znalazł właściwy klucz i otworzył drzwi. Zanim wszedł do pokoju, pokazał ręką na nauczyciela i powiedział:

- Nie siedź tak na nim. Nie może oddychać.

Prebbe zsunął się z piersi Avili, usiadł obok niego, trzymając cały czas skarpetę w ręku, na wszelki wypadek.

Roger przeszukał kieszenie kurtki, która wisiała w pokoju. Znalazł portfel z trzema stówami. W szufladzie biurka, do której po krótkiej chwili też znalazł kluczyk, leżało dziesięć nieostemplowanych biletów na komunikację miejską. Wziął je.

Kiepski łup. Ale nie o to przecież chodziło. Winien był przysługę.

Oskar stał nadal w kącie basenu i puszczał ustami bańki powietrza, kiedy zobaczył zbliżających się Jonny'ego i Jimmy'ego. Jego pierwszą reakcją nie był strach, tylko złość.

Mieli na sobie wierzchnie ubrania.

Nie zdjęli nawet butów, a nauczyciel bardzo tego przestrzegał...

Kiedy Jimmy stanął przy krawędzi basenu i zaczął się rozglądać, nadszedł strach. Widział Jimmy'ego kilka razy gdzieś w przelocie i nie lubił go. Było coś w jego oczach, w sposobie, w jaki się poruszała...

Jak Tommy i reszta, kiedy...

Wzrok Jimmy'ego odnalazł Oskara, który nagle poczuł na plecach ciarki, zdał sobie sprawę, że był nagi. Jimmy miał na sobie ubranie, chronił go pancerz. Oskar siedział w zimnej wodzie, niemal goły, obnażony. Jimmy pokiwał głową Jonny'emu, który wykonał jakiś gest ręką, i obaj zaczęli iść wzdłuż basenu, kierując się do miejsca, gdzie był Oskar. Jimmy krzyknął:

- Wynocha stąd! Wszyscy! Wychodzić z wody!

Dzieci stały nieruchomo albo przebierały nogami w wodzie, nie bardzo wiedząc, co robić. Jimmy stanął nad brzegiem basenu, wyjął z kieszeni kurtki sztylet, chwycił go, jakby to była strzała, i skierował w stronę grupki chłopców. Udawał, że zaraz nim rzuci.

Oskar siedział wciśnięty w kącie, marzył; patrzył, jak koledzy szybko płyną bądź po prostu przechodzą na drugą stronę basenu, zostawiając go samego.

Nauczyciel... gdzie jest nauczyciel...

Czyjaś ręka chwyciła go za udo. Palce szarpnęły go za włosy, poczuł ból, ktoś odchylił mu głowę do tyłu. Usłyszał nad sobą głos Jonny'ego:

- To jest mój brat, ty gnoju.

Ręka, trzymająca Oskara za włosy, zaczęła uderzać jego głowę o ścianę basenu. Jimmy podszedł do brzegu, ukucnął ze sztylitem w ręku.

- Cześć, Oskar.

Woda dostała się Oskarowi do ust, zaczął kasłać. Każdy wstrząs, każde kasznięcie wzmagało ból, bo Jonny ciągnął go za włosy coraz mocniej. Kiedy wreszcie kaszel się uspokoił, Jonny przesunął ostrzem sztyletu po kamiennych płytkach basenu:

- Pomyślałem sobie, że trochę się zabawimy, urządzimy sobie taki konkurs. Nie ruszaj się.

Podał sztylet Jimmy'emu tuż nad czołem Oskara i teraz on chwycił go za włosy. Oskar nie miał odwagi się ruszyć. Przez kilka sekund widział oczy Jimmy'ego i zobaczył w nich szaleństwo. Były tak pełne nienawiści, że nie można było w nie patrzeć.

Głowę miał przyciśniętą do ściany basenu; machał rękami, ale nie miał się czego chwycić. Poszukał wzrokiem pozostałych chłopców. Stali po drugiej stronie, najbliżej stał Micke. Nadal był uśmiechnięty, czekał na dalszy ciąg. Pozostali wyglądali na przestraszonych.

Nikt mu nie pomoże.

- No więc, słuchaj, zasady są proste. Musisz zostać pod wodą pięć minut. Jeśli wytrzymasz, to w porządku. Zostawimy ci jakąś szramę na policzku, na pamiątkę, i to wszystko. Ale jeśli nie wytrzymasz i wypłyniesz wcześniej, wtedy wykluję ci oko. Okej? Zrozumiałeś zasady?

Oskarowi udało się wychylić nieco nad powierzchnię wody. Powiedział łamiącym się głosem:

- Nie dam rady...

Jimmy pokręcił głową.

- To już twój problem. Widzisz tamten zegar? Za dwadzieścia sekund zaczynamy. Pięć minut. Albo stracisz oko. Nabierz powietrza. Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem...

Oskar próbował odepchnąć się stopami od dna, ale musiał stać na palcach, żeby utrzymać głowę nad powierzchnią wody, a Jimmy nadal trzymał go za włosy, uniemożliwiając mu wszelki ruch.

Jeśli oswobodzę się z jego uchwytu... pięć minut...

Kiedy raz próbował się zanurzyć, wytrzymał trzy minuty. Prawie trzy.

- Sześć... pięć... trzy...

Nauczyciel. Na pewno zaraz tu wejdzie...

- Dwa... jeden., zero!

Oskar zdążył wziąć pół oddechu, kiedy jego głowa została siłą wepchnięta pod wodę. Stracił grunt pod nogami, dolna część jego tułowia zaczęła powoli wypływać na powierzchnię; unosił się teraz na wodzie z głową przytkniętą do piersi jakiegoś dziesięć centymetrów pod powierzchnią. Skóra na głowie paliła go, chlorowana woda wdzierła się w każdą najdrobniejszą ranę, w każde zadrapanie.

Nie upłynęła jeszcze minuta, a już czuł panikę.

Otworzył oczy i zobaczył błękit i wirujące welony różu, kiedy próbował napiąć ciało, chociaż to przecież było niemożliwe, bo nie miał się czego chwycić. Rozpryskiwał nogami wodę i wtedy błękit pękał, a światło zaczynało falować.

Z ust leciały mu bąbelki, bił wodę rękami, unosił się na plecach, a jego wzrok przyciągały falujące promienie białego światła u sufitu. Serce waliło mu w piersi, jakby czyjaś ręka uderzała w szklaną taflę. Od czasu do czasu woda dostawała mu się do nosa i wtedy jego ciało zaczynał ogarniać błogi spokój. Ale serce biło nadal, coraz mocniej i coraz bardziej uparcie, chciało żyć; znów zaczął się rozpaczliwie rzucać, szukał czegoś, czego mógłby się chwycić, ale nie miał czego.

Czuł, że ktoś wciska mu głowę głębiej pod wodę. I o dziwo pomyślał: Lepsze to niż stracić oko.

Po dwóch minutach Micke poczuł dziwny niepokój.

Wyglądało na to, że oni naprawdę zamierzają... Rozejrzał się dookoła, ale żaden z chłopaków najwyraźniej nie zamierzał nic robić, więc tylko wydusił z siebie:

- Jonny... co ty...

Jonny wydawał się go nie słyszeć. Klęczał nieruchomo na brzegu basenu, w rękę trzymał sztylet z ostrzem skierowanym w wodę, wycelowanym w tę niewyraźną wierzgającą białą masę.

Micke zerkał w stronę przebieralni. Dlaczego nie było nauczyciela? Patrik pobiegł po niego, więc dlaczego nie przychodził? Wcisnął się głębiej w kącie, przywarł do ciemnej tafli szklanych drzwi, prowadzących w noc, skrzyżował ręce na piersi.

Kątem oka zauważył, że coś spada z dachu. Ktoś zaczął się dobijać do szklanych drzwi, uderzając w nie tak mocno, że aż drżały.

Stanął na palcach, wyrzał przez wysoko umieszczone okno i zobaczył małą dziewczynkę. Uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Powiedz: Wejź!

- Co..?

Micke zerknął znów na drugi kraniec basenu. Ciało Oskara przestało się ruszać, ale Jimmy nadal klęczał nachylony na brzegu i wciąż nie puszczał jego głowy. Micke przełknął ślinę i poczuł, że boli go gardło.

Nieważne jak, ale niech to się skończy.

Znów rozległo się stukanie, tym razem silniejsze. Spojrzał w ciemność. Kiedy dziewczynka otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, zobaczył, że jej zęby... że z jej rąk coś zwisało...

- Powiedz, że mogę wejść!

Cokolwiek.

Micke skinał głową i ledwie słyszalnym głosem powiedział:

- Możesz wejść.

Dziewczynka odeszła od drzwi, znikła w ciemnościach. To coś, co zwisało z jej rąk, błysnęło i po chwili już jej nie było. Micke znów odwrócił się

w stronę basenu. Jimmy wyciągnął głowę Oskara z wody, wziął od Jimmy'ego sztylet i wycelował go w twarz Oskara.

Nagle w środkowym oknie pojawił się błysk i ułamek sekundy później szyba się rozsypała.

Pancerne szkło nie pękło jak zwykłe szkło, tylko eksplodowało na tysiące maleńkich kawałków, które posypały się na brzeg basenu, rozsypały się po korytarzu i pokryły wodę miriadami białych gwiazd.

EPILOG

PIĄTEK, 13 LISTOPADA

P IĄTEK, TRZYNASTEGO...

Gunnar Holmberg siedział w pustym sekretariacie dyrektora szkoły i próbował uporządkować swoje notatki.

Cały dzień spędził w szkole w Blackebergu; oglądał miejsce zbrodni, rozmawiał z uczniami. Dwóch techników z centrali i laboranci z policyjnego laboratorium nadal zabezpieczali ślady na pływalni.

Wczoraj zginęło tam dwoje młodych ludzi, a trzeci chłopiec zniknął.

Policjant rozmawiał nawet z Marie-Louise, wychowawczynią klasy. Skojarzył, że zaginiony chłopiec, Oskar Eriksson, był tym, który trzy tygodnie wcześniej podniósł do góry rękę i odpowiedział na jego pytanie o heroinę. Pamiętał go. „Dużo czytam i w ogóle”.

Przypominał sobie, że wtedy myślał, że chłopiec będzie jednym z pierwszych przy radiowozie. Planował nawet, że zabierze go na krótką przejażdżkę. Dodałoby mu to pewności siebie. Ale chłopiec nie przyszedł.

A teraz zniknął.

Gunnar przejrzał jeszcze raz notatki z rozmów z chłopcami, którzy wczoraj wieczorem byli na basenie. Ich zeznania były w zasadzie zgodne, powtarzało się w nich jedno słowo: anioł.

Oskar Eriksson został zabrany przez anioła.

Tego samego, który, zgodnie z zeznaniami świadków, urwał głowy Jonny'emu i Jimmy'emu Forsbergom i wrzucił je do basenu.

Kiedy Gunnar wspominał o tym fotografowi, który podwodnym aparatem robił zdjęcia głów w miejscu, gdzie je znaleziono, ten dodał:

- Ale chyba nie był to anioł z nieba.

Właśnie...

Policjant wyjrzał przez okno, próbując znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie.

Flaga na podwórzu była opuszczona do połowy masztu.

Dwóch psychologów było obecnych podczas rozmów z chłopcami, ponieważ wielu z nich opowiadało o zdarzeniu z niepokojącą lekkością, jakby opowiadali treść filmu, coś, co nie zdarzyło się naprawdę. Taką wersję pewnie łatwiej było im przyjąć.

Problem w tym, że laboranci w pewnym sensie zdawali się potwierdzać to, co mówili chłopcy.

Ślady krwi znajdowano w zadziwiających miejscach (na dachu, na belkach), można było odnieść wrażenie, że zrobił to ktoś, kto - unosił się w powietrzu. Usiłowano znaleźć jakieś wytłumaczenie. Żeby zrozumieć.

Na pewno się to uda.

Nauczyciel chłopców leżał w szpitalu z silnym wstrząśnieniem mózgu; najwcześniej jutro będzie można go przesłuchać. Wątpliwe jednak, czy będzie w stanie wnieść coś do sprawy.

Gunnar przyłożył ręce do skroni, ścisnął głowę, zmrużył oczy i nadal wpa-trywał się w swoje notatki.

„anioł... skrzydła... głowa pękła... sztylet... próbował utopić Oskara... Oskar był cały siny... takie zęby, jakie ma lew... zabrał Oskara...”

W głowie kołatała mu tylko jedna myśl: Muszę stąd wyjechać.

- To twoja?

Stefan Larsson, kontroler biletów na odcinku Sztokholm - Karlstad, wskazał na walizkę, leżącą na półce na bagaże. To była prawdziwa walizka. W dzisiejszych czasach rzadko się takie widywało.

Chłopiec skinął głową i podał swój bilet. Stefan przeciął go.

- Ktoś po ciebie wyjdzie?

Chłopiec pokręcił głową.

- Nie jest taka ciężka, na jaką wygląda.

- Tak? A co w niej masz, jeśli wolno spytać.

- Różne rzeczy.

Stefan spojrzął na zegarek i przeciął bilet dziurkaczem.

- Zrobi się wieczór, zanim będziemy na miejscu.

- Mhm.

- Te pudła. Też są twoje?

- Tak.

- Nie chciałbym się... Ale jak sobie...

- Ktoś mi pomoże. Później.

- Ach tak. Dobrze. Przyjemnej podróży.

- Dziękuję.

Stefan zamknął drzwi od przedziału i ruszył do następnego. Wyglądało na to, że chłopak da sobie radę. Gdyby to on musiał tyle dźwigać, nie miałby takiej radosnej miny.

Ale cóż, wszystko jest inne, kiedy jest się młodym.



PODZIĘKOWANIA

Jeśli ktoś zada sobie trud i sprawdzi, jaka była pogoda w listopadzie 1981 roku, dowie się, że zima tego roku była wyjątkowo łagodna. Pozwoliłem więc sobie obniżyć temperaturę o kilka stopni.

Poza tym wszystko, co opisałem, jest prawdą, nawet jeśli bieg wydarzeń był nieco inny.

Chciałem też podziękować paru osobom:

Eva Månsson, Michael Rübshagen, Kristoffer Sjögren i Emma Berntsson przeczytali pierwszą wersję mojej powieści; ich uwagi były bardzo cenne.

Jan-Olof Wesström też przeczytał powieść i nie zgłosił żadnych uwag. Ale to mój najlepszy przyjaciel.

Aron Haglund zaś przeczytał książkę i tak mu się spodobała, że odważyłem się ją wysłać wydawnictwu. Dziękuję ci za to.

Dziękuję też personelowi w bibliotece w Vingåker za cierpliwość i pomoc w wyszukiwaniu różnych, bardzo dziwnych książek, które były mi potrzebne podczas pisania. To mała biblioteka z bibliotekarzami o wielkim sercu.

I oczywiście dziękuję też Mii, mojej żonie, której czytałem kolejne fragmenty książki i która zmusiła mnie do usunięcia tego, co było kiepskie, i dalszej pracy nad tym, co uznała za dobre. Nie chcę nawet myśleć, co znalazłoby się w tej książce, gdyby nie ona.

Wszystkim bardzo dziękuję.

John Ajvide Lindqvist



**J.A. LINDQVIST to znakomity szwedzki pisarz,
stawiany obok Bentleya Little'a, Neila Gaimana,
a nawet Stephen Kinga**

**Legenda wampira i hipnotyzująca, posępna historia
odrzućenia, przyjaźni i zemsty**

Oskar mieszka z matką na sztokholmskim przedmieściu.

Nieśmiały i zakompleksiony nie ma przyjaciół.

W szkole jest przedmiotem nieustannych drwin i szyderstw,
koledzy dreczą go i prześladują. Do sąsiedniego mieszkania
wprowadza się Eli. Jest rówieśniczką Oskara, ale nie chodzi do szkoły.

I opuszcza dom tylko po zmroku.

Pewnego dnia w okolicy zostaje znalezione ciało nastolatka – bez kropli krwi.

Ale Oskara bardziej intryguje fakt, że to zginął jego prześladowca.

A przecież jest ich wielu...

J.A. LINDQVIST jest autorem powieści i scenariuszy filmowych.

Jego debiut literacki *Wpuść mnie*, wielki szwedzki bestseller,
został wydany w 10 krajach. Nagrodzona w Szwecji książka
jest obecnie ekranizowana.

Patronat medialny:



Cena det. zł 34,80

www.wydawnictwoamber.pl